PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY DZIEWIĄTY. — TOM CXIII.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1912.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1912.

KS. PIOTR SKARGA

(MIEDZIORYT MANSFELDA WEDŁUG RYSUNKU PASZKOWSKIEGO).

WYNIK PIERWSZEGO KONKURSU „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“

NA ROCZNICĘ SKARGI.

Na konkursowy temat *Przeglądu Powszechnego* p. t.: Rodzaj twórczości Skargi nadesłano trzy prace.

Godłem pierwszej:

Błogosławiony lud, którego Panem Bóg jego. P. 193.
Skargi nikt, jeno Skarga drugi, chwalić nie może.
Birkowski.

Godłem drugiej:

Scientia proptem potentiam.

Godłem trzeciej: *N.* 12.

Komisya oceniająca po dokładnem rozpoznaniu i przedyskutowaniu wszystkich wad i zalet nadesłanych rozpraw nabyła przeświadczenia, że wprawdzie żadna z wymienionych trzech prac nie dała wyczerpującej i naukowo silnie umotywowanej odpowiedzi na konkursowe zagadnienie, że jednak praca, oznaczona godłem N. 12, korzystnie wyróżnia się pośród innych i na nagrodę zasługuje. Szczegółowe motywa tej rezolucyi były następujące.

1. Ażeby uzyskać na krytyczno-psychologiczne zagadnienie konkursowe odpowiedź, należało poddać ânalizie dzieła Skargi, a zwłaszcza te z nich, w których indywidualność twórcza najlepiej się wyraziła. Jeżeli niektóre z nich straciły już dziś swą moc oddziaływania, krytyk psycholog powinien nauczyć się

czuć historycznie t. z. wypracować w sobie zdolność przeczucia w nich dziś zamarłej, niegdyś czynnej, siły.

2. Ponieważ każdy pisarz składa się w znacznej części z elementów, należących do środowiska i do spółczesnych mu prądów, należało przeto zbadać i porównać spokrewnionych ze Skargą spółczesnych mu pisarzy pod względem idei, uczucia, erudycyi, stylu, słownictwa, obrazów — a wytworzone w taki sposób pojęcie twórczości skontrolować przez zestawienie własnego sądu z sądami innych badaczy dawnych i dzisiejszych.

3. Tymczasem pierwsza rozprawa opierała się w bardzo wielu swych wywodach nie na dziełach Skargi i wieku XVI., lecz na opracowaniach. Stąd ma ona cechy kompilacyi, tylko w technicznej konstrukcyi oryginalnej, w szczegółach powtarzającej myśli już wyrażone.

4. Rozprawa druga wiele znamion twórczości Skargi pomija; nie analizuje różnorodnych odcieni stylu, a przecież inny jest styl Skargi polemiczny, inny w kazaniach, inny Żywotów Świętych, inny w dziele O jedności; nie udowadnia, że Skarga nowych kombinacyi obrazów nie dał, jednak takie twierdzenie wymagałoby studyum językowego, do którego zresztą materyały jużby się znalazły; nie stara się analizować obok formy także i treści dzieł i szukać w niej tych pierwiastków które formę tworzą.

5. Rozprawa trzecia nie uwzględnia, jak i dwie poprzednie, tak ważnych dzieł Skargi, jak np. Żywoty Świętych lub Wzywanie do pokuty; w naukowym stylu okazuje niewyrobienie a niejednokrotnie w entuzyastycznych określnikach brak spokoju i przedmiotowej powagi. Jednakże wziąwszy za substrat analizy głównie Kazania dowodzi szczegółowej ich znajomości; wyzyskuje tę znajomość do wskazanego tematem konkursowym celu umiejętnie, gruntownie i wszechstronnie, dąży do tego celu logicznie i konsekwentnie, wysnuwa w końcowych rozdziałach wnioski jasno, pewnie i przekonywująco tak, że na zagadnienie konkursu daje wcale pełną i względnie z naukowych przesłanek wysnutą odpowiedź.

Po otworzeniu koperty z godłem N. 12 okazało się, że autorem pracy jest p. Stanisław Mitera, słuchacz filozofii 4 roku.

Kazimierz Morawski *Antoni Mazanowski*
Ignacy Chrzanowski *Lucyan Rydel*
Ks. J. Pawelski T. J.

„INDYWIDUALNOŚĆ TWÓRCZA SKARGI"

Praca nagrodzona na konkursie *Przeglądu powszechnego.*

Praca tak syntetyczna, jak określenie twórczości Skargi i to w niedługim półrocznym terminie, nastręczała bardzo wiele trudności. O Skardze pisano stosunkowo niewiele, a przecież jego działalność pisarska, nie mówiąc już o innej, tak bogata! A nadto był to człowiek o wielkiem wykształceniu, w pismach jego ścierają się różnorodne wpływy, czytał bowiem dzieła ojców Kościoła, dzieła ówczesnych pisarzy obcych i polskich, a zatem do zupełnego obrazu jego indywidualności twórczej trzebaby wpierw ustalić, co i skąd czerpał. Staraliśmy się w naszej pracy to bodaj krótko naznaczyć, ale wiemy dobrze, że to wcale nie wystarcza. I określenie jego twórczości nie będzie dokładne, bo do opanowania jego wielkiej spuścizny pisarskiej potrzeba dłuższego czasu. Jednak chcieliśmy temu zadaniu o ile możności podołać. Najpierw przedstawiliśmy poglądy Skargi i stosunek do różnych ówczesnych kwestyi. Wydawało się nam to rzeczą potrzebną, bo w ten sposób dopiero przez opisanie jak daleko i głęboko swą myślą sięgał, możemy jego umysł wyraźnie przedstawić. Aby znowu dać obraz zdolności naszego autora w zakresie polemiki, którą, jak wiadomo, całe życie z różnowiercami prowadził, poświęciliśmy osobny rozdział sposobom, jakich w tej walce używał. W tym samym celu naszkicowaliśmy krótko, jakimi środkami umiał serca słuchaczy względnie czytelników pociągać i unosić, przyczem rozpatrzyliśmy najpierw zalety jego wykładu, potem sposoby, jakiemi słuchaczy do swych ideałów nakłaniał, na-

koniec staraliśmy się wyjaśnić, na czem piękno w jego dziełach polega.

Każda z tych części naszej pracy była nie tak celem dla siebie, jak środkiem do celu, miała nam posłużyć do wyciągnięcia wniosków o jego twórczej indywidualności, a końcowe rozdziały są właśnie streszczeniem tych spostrzeżeń i ich jednolitem ujęciem.

Droga ta wyda się może zbyt długa i szeroka, ale nakłoniły nas do jej obrania dwa względy. Najpierw praca w ten sposób przeprowadzona, opowiada o rzeczach, których dotąd o Skardze przeważnie nie mówiono, po drugie określa jego zdolności dokładnie przez obraz ich objawów i nie uprzedza czytelnika z góry o jakiemś twierdzeniu, a wiedzie go powoli do tych ostatecznych wniosków, jakimi tę książkę zamykamy.

W pierwszej części zajmiemy się określeniem pojęć Skargi takich, jak o Bogu, naturze ludzi i etyce chrześcijańskiej. Mogłoby się to wydawać zrazu rzeczą zbyteczną. Był przecież Skarga księdzem, a nawet zakonnikiem Jezuitą, a więc jego ideały musiały stosować się ściśle do zasad Kościoła katolickiego. Prawda to, ale w obrębie tych granic mogą jeszcze zachodzić różnice i one to będą właśnie dla naszego kaznodziei znamienne. Najpierw dlaczego zaufał tak bardzo Kościołowi i w jaki sposób przyjął jego naukę? Czy przemyślał ją głęboko i nie tylko zrozumiał, lecz także oświecił płomieniem swego uczucia? Czy wzniósł się do najwyższych zawrotnych szczytów chrześcijańskiej myśli, czy też może zatrzymał się w połowie drogi? Jak spoglądał ze swego stanowiska na różnorodne zagadnienia życia i jak je rozwiązywał? Dalej jak włączał nowe spostrzeżenia w system pojęć przejętych z nauki kościoła? Czy ustawiał je luźnie mechanicznie, czy też zespalał je wewnątrzną pracą ducha w jednolitą całość? Pierwsza i druga część naszej pracy będzie odpowiedzią na te pytania, a równocześnie da obraz jego zdolności umysłowych, wykazując jak daleko i głęboko sięgał swą myślą.

I.

Punktem wyjścia dla wszystkich myśli Skargi, był jak później zobaczymy Kościół katolicki. Na jego nauce oparł nasz ka-

znodzieja swoje religijne przekonania, a te zakreśliły mu stały kąt patrzenia na otaczające go życie. Do Kościoła odnosił się z bezwzględną ufnością i szukającym prawdy Bożej kazał się najpierw udać do biskupów i soborów, uznać ich naukę, a dopiero potem czytać Pismo św. Początkiem jego żarliwej wiary był niewątpliwie wpływ otoczenia, wychowanie domowe i szkolne. Rodzina jego odznaczała się gorliwą religijnością, szkoły ówczesne były w rękach księży, a też i akademia krakowska pozostawała pod wpływem myśli katolickiej. Już od najwcześniejszej młodości musiały padać w duszę Skargi zasady, które miały zadecydować o całem jego życiu. A padały na rolę bardzo wdzięczną. Później wprawdzie wypowiedział Skarga zdanie, że »tać jest droga do rozumu, złożyć swój rozum, a mieć się za maluczkiego«,[1] ale tego samego przekonania był już przedtem, bo dyktowało mu je serce pełne pokory i cichości. W logiczne rozpatrywanie tajemnic wiary nie wdawał się, sprzeczności w Piśmie św. nie wyszukiwał, bo i jakżeż mógł się na to odważyć on, który wierzył, że słowa Pisma św. są duchem Bożym natchnione i że fundamentem »ludzkiej mądrości jest swojej mądrości nie dufać«.[2] »Na tajemnice Boskiej mądrości próżno się rozumem udawać, bo są nieogarnione, dosyć, że ich wiarą — ile daje komu Pan Bóg — sięgamy, ale do cnót pobożności chrześcijańskiej wszystko serce obracajmy i siły wszystkie na ich wykonanie puszczajmy[3].« Z tego punktu widzenia musiał Skarga patrzeć na religię jeszcze za młodych lat; była mu ona mistrzynią życia, nie materyałem do rozumowej krytyki.

Skoro się spotkał z nowymi prądami uderzającymi przedewszystkiem w powagę Kościoła katolickiego, nie mógł się zawahać ani chwili.

Najpierw musiał się już przedtem dosyć nasłuchać, jak wielkim grzechem jest odstępstwo od wiary. Po drugie nie miały w so-

[1] Na dzień św. Macieja. Część I. w Kazaniach na niedzielę i święta. Druk. w r. 1595, 1597, 1602, 1609 etc.

[2] Kazanie sejmowe. I. o mądrości.

[3] Kazanie na dzień św. Trójcy z r. 1604.

bie nowe hasła nic, czemby go mogły pociągnąć. Reformacya była buntem przeciw katolicyzmowi, powierzała wykład Pisma św. każdemu rozumnemu człowiekowi, znosiła bezżenność księży i życie klasztorne, a Skarga miał przed oczyma obraz Chrystusa, o którym mawiał, że był cichy i pokorny, posłuszeństwo uważał za jedną z największych cnót chrześcijańskich, wierzył że w czystości serdecznej i cielesnej kochać się znak jest anielskiego towarzystwa« i wzdychał do klasztornej ciszy. Przyszło mu wybierać między śmiałymi reformatorami, którzy mu się wydawali pełni »pychy i cielesności« a Kościołem, którego starożytność i historyę podziwiał, świętych czcił, w którego »porządne posłanie« od Chrystusa wierzył niewzruszenie. Został zatem wierny dawnym ideałom. Jeżeli kiedy nad stosunkiem Kościoła do herezyi rozmyślał, to czynił to z głębokiem przekonaniem o prawdziwości katolicyzmu. Usiłowania swoje zwracał tylko do umocnienia raz zajętego stanowiska i do obalenia zaczepek ze strony różnowierców. Wstąpienie do Jezuitów i pobyt w Rzymie, rozpaliły jego duszę jeszcze gorętszem umiłowaniem Kościoła i uczyniły go nieprzejednanym wrogiem wszelkiej herezyi. Za powrotem do kraju rozpoczął też walkę i prowadził ją z zapałem i energią, na którą tylko jego potężny duch mógł się zdobyć. Pisma Ojców Kościoła, w których się gorliwie rozczytywał, były pełne uszanowania dla soborów i tradycyi, mówiły mu, że niektóre herezye wówczas światu ogłoszone dawno już przed wiekami upadły, opowiadały mu o niezwalczonej mocy katolickiej wiary, trwającej ciągle mimo wszelkich burz i prześladowań, a równocześnie bieg współczesnych wydarzeń pouczał go naocznie, do jakich konsekwencyi prowadziła reformacya, rozpadająca się na szereg wrogich sekt coraz skrajniejszych, coraz więcej się oddalających od dawnego Kościoła. Utrwalał się również w przekonaniu, że Pismo św. nie może być jedyną wyrocznią w rzeczach wiary i etyki, bo »zakryte jest, trudności ma wiele« i potrzebuje wykładu, kiedy tymczasem umysły ludzkie są chwiejne i niestałe. Dlatego zwracał się do Kościoła, który opierając się

[1] Kazan. na niedz. i św. Na dzień Wszystkich Świętych. Część II.

na słowie Chrystusa i nieprzerwanem następstwie swych naczelników głosił, że posiada z Ducha św. dar nieomylności. Dlatego wydawało się Skardze »dziecinnym« nierozumem, albo ślepotą, gdy heretycy powoływali się na Pismo św., na »martwy statut« nie mogący mówić ani za jedną ani za drugą stroną, a uciekali od żywego sędziego: Kościoła.

To wszystko prowadziło go do przekonania, że skoro herezye powstały przez odrzucenie autorytetu Kościoła, to najwłaściwszą drogą do nawrócenia będzie: przekonać je o prawdziwości i konieczności tej powagi. Na tej podstawie usiłuje on oprzeć dzieło »O jedności Kościoła Bożego«,[1] gdzie krytykuje najpierw definicye heretyków, zauważając, że wszystkie sekty »które się naszych czasów wznowiły, kładą za znaki prawego Kościoła Bożego prawdziwe przepowiadanie Ewangieliej i prawdziwe szafowanie Sakramentów, które dwa znaki są wszystkim pospolite wedle ich rozumienia. A znaki własne rzeczy tej, którą poznać kto chce nie mają być innym pospolite, jedno samej onej rzeczy własne. Bo próżno mi kto oznajmiać ma Dawida po tem, że ma dwie ręce i dwie nodze, gdyż to każdy ma, ale po tym co się na drugie nie trafi«.[2] I Skarga wylicza je dalej wedle kreda nicejskiego w następujący sposób: 1) zgoda na wszystkie artykuły wiary chrześcijańskiej. 2) trwałość i stateczność starożytna, 3) powszechność, 4) następstwo nieprzerwane, 5) płodność w duszach i skutek słowa Bożego, 6) cudy. W podobny sposób ujął też na schyłku swej działalności »Wzywanie do jednej zbawiennej wiary«[3]. Jest to niby krótkie zebranie całej polemicznej działalności Skargi, jego testament do różnowierców.

[1] „O jedności Kościoła Bożego pod jednym Pasterzem i o greckim od tej jedności odstąpieniu z przestrogą i upominaniem do narodów ruskich przy Grekach stojących, rzecz krótka na 3 części rozdzielona". Wilno 1577. Gdy schyzmatycy pierwszy nakład tego dzieła wykupili i zniszczyli, przerobił je Skarga ocalonego egzemplarza na dzieło „O rządzie i jedności Kościoła Bożego". Zbiór wyd. z 1610 od 294—378, wyd. z 1738. II od 1—83, osobno r. 1590.

[2] „O rządzie i jedności Kośc. Bożego". Część I., rozdz. 3.

[3] Wzywanie do jednej i zbawiennej wiary. Wilno 1611, Kraków 1835.

Jeżeli teraz rzucimy okiem wstecz na jego stanowisko względem Kościoła, to uderzą nas dwa znamienne rysy. Najpierw niezwykła uległość dla jego autorytetu, płynąca przedewszystkiem z harmonii między nauką katolicką a sercem Skargi, a więc wielki wpływ uczucia na rozum. Po drugie, uczucie to jest u naszego kaznodziei potężną siłą, która przez całe życie każe mu walczyć z herezyą i pobudza go do logicznego uzasadniania swego stanowiska.

II.

Nauka Kościoła była wiarą, do której Skarga swoje pojęcia bezwzględnie stosował. Można jednak i tutaj znaleść miejsca rzucające wiele światła na jego indywidualność. W stosunku naszego kaznodziei do Boga uderzają nas przedewszystkiem dwa znamienne momenty. Jest to stosunek bliski i niezwykle serdeczny. Bliski w tem znaczeniu, że Skarga nadaje Bogu niekiedy rysy prawie ludzkie, a tylko powiększone w nieskończoność; serdeczny, bo każdy nieomal ustęp o Bogu jest przepełniony szczerem, żywem, nieraz wspaniałem lub rozrzewniającem uczuciem. Nie znaczy to jednak, żeby pojęcia jego o Bogu były niskie; owszem, są one bardzo wysokie. Zgodnie z nauką katolicką uważał Boga za najwyższą moc władnącą całym światem, za sprawiedliwość najlepszą, za mądrość najdoskonalszą, a zwłaszcza za nieogarnioną dobroć, »bo nic tak własnego Panu Bogu nie jest, jako ludziom wszystkim dobrze czynić«[1]. Właściwa natura Boga jest swej istocie dla ludzi, a nawet dla aniołów niezbadana. Jeżeli Go zaś poznać możemy, to więcej z tego czynu nie jest, niż z tego czym jest i ze śladów dzieł Bożych na ziemi i w świecie wogóle. Skoro Bóg wszystko stworzył, to jest nieograniczonym Panem nieba i ziemi. Jest tak wielki, tak potężny, że Go żadne miejsce nie ogarnie. Nic Go wyrazić

[1] Kazania sejmowe I. Wyszły po raz pierwszy w r. 1597. Z nowszych wydań najlepsze krytyczne wydanie prof. Chrzanowskiego w „Btce dzieł chrześcijańskich". Warszawa 1903. Ukazało się ono także tego roku na półkach księgarskich

nie zdoła, bo któż może określić istotę najdoskonalszą i zawsze niezmienną. Jest *purus actus*[1] i jednością absolutną. »W człowieku stworzonym jest człowieczeństwo, jest i człowiek, dwie rzeczy niejako w myśli rozdzielne, ale w Panu Bogu[2] tego rozdziału niemasz. Jednoż w Nim Bóstwo i Bóg; by Bóg rozdzielny był od Bóstwa, Bóstwoby coś innego było, a nie Bóg, co nie jest podobno. Dlatego, co jedno w Bogu jest, Bóg jest[3].« Poglądy te nie były oryginalną własnością Skargi, lecz mają swe źródło w pismach św. Tomasza, św. Augustyna a pośrednio także w dziełach Arystotelesa.[4]

Także dowód na istnienie Boga przeprowadzony drogą »rozumu przyrodzonego« przypomina zupełnie, nawet co do porządku argumentów ustępy z dzieła św. Tomasza p. t. *Summa theologia* (I. qu. 23). Najpierw więc powiada Skarga »widzieć się i rozumem da, jako każda rzecz widoma się rusza, a jedna drugą pociąga, aż przyjść musi do tej, która wszystkim moc do ruszania się daje, ni od kogoż jej nie bierze i w sobie stoi ani się rusza.«[5] Czyli musi być jakaś ostateczna przyczyna ruchu, a nią jest Bóg. Drugi dowód to rozumowa konieczność pierwszej przyczyny bytu. »To się na wszystkich rzeczach pokazuje, iż gdy jedna z drugiej idzie i rodzi się, do tej przyjść musi.

---

[1] W znaczeniu arystotelosowego podziału na materyę i formę kształtującą ἐνεργεια *actus*,

[2] Skarga ma tu na myśli „universalia“ pojęcia ogólne i „individuum“ w którem się to pojęcie urzeczywistnia.

[3] Areopag K. II. Wyszedł po raz pierwszy w r. 1608. Późniejsze przedruki w r. 1610, 1738, 1808, 1835.

[4] Św. Augustyn uczył poznawać Boga właśnie negatywną drogą: „Nie możesz dotrzeć do poznania czem Bóg jest, docieraj do tego, czem Bóg nie jest“. Tak samo uważasz Boga za nieogarnioną istotę, za rzecz bezwzględnie pojedynczą, za doskonałą pełnię bytu. Takie znowu określenia, że Bóg jest *purus actus*, że niema w Nim rozdziału na Bóstwo i Boga, ma znów źródło w teologii scholastycznej, której właściwym twórcą był św. Tomasz. Twierdzenie, że Boga możemy poznać z jego dzieł znajdujemy u św. Tomasza, także u św Augustyna; również Arystoteles używa podobnej metody.

[5] Areop. K. II u Arystotelesa, Physica c. 7. 8.

która sama nierodzona, ani stworzona, wszystkich rodzajów i stworzenia przyczyną jest.«[1]. Dalej następuje u św. Tomasza rozumowanie, że każda rzecz przypadkowa musi zależeć od rzeczy koniecznej, a ta albo od drugiej tak samo koniecznej i od innej zawisłej, albo od bezwzględnie koniecznej, od przyczyny wszelkiej konieczności t. j. od Boga. Tego dowodu nie znajdujemy jednak u Skargi, uważał go prawdopodobnie za rzecz zbyt trudną dla słuchaczy, albo też odtwarzając to rozumowanie z pamięci opuścił jego trzecią część, tem więcej, że była do drugiego argumentu niemało podobna. Trzeci i czwarty dowód powtarza już zgodnie ze swym mistrzem. Na świecie istnieją przeróżne stopnie przymiotów. »Jest co ciepłego nad nie, jest inne cieplejsze, nad ono drugie, gorące, aż przyjść do samego ognia musi, który w sobie gorący jest i przyczyną wszystkiej ciepłoty i gorącości. Toć jest Bóg, który nad wszystko lepszy, namędrszy i namocniejszy jest«.[2] Nakoniec »drzewo nie wie co czyni, gdy kwiecie, jagody, jabłka, wina, figi daje, a jednako co rok i swoim porządkiem na ludzki pożytek. Któż drzewo naucza takie miej gałęzie, takie liście, taki kwiat, taki owoc? Musi ten być, który zawiaduje koniec, do którego ono dzieło prowadzi, a toć jest Bóg«.[3]

Jeżelibyśmy porównali wykład Skargi z rozumowaniem św. Tomasza, to otrzymalibyśmy równocześnie różnice między rodzajami ich umysłowości. Św. Tomasz, to filozof, myśli ściśle, abstrakcyjnie, nie wystarcza mu sam dogmat, gdzie może, dąży do rozumowego uzasadnienia. Skarga jest zaś pod tym względem bierny; obchodzi go praktyczne życie, dąży do jasnego plastycznego wykładu, choćby z ujmą dla ścisłości filozoficznej. Co prawda, poglądy św. Tomasza zrozumiał dobrze, a wykład ich można co do przystępności nazwać klasycznym. Nadto, mimo

---

[1] Areopag. K. II u Arystotelesa, zasada πρῶτον κινοῦν (Metaph. XII 6 f.).

[2] Areopag. K. II u Arystotelesa *Physica* c. 7, 8.

[3] Areop. K. II.

wszystko, nie pozostaje Bóg u naszego kaznodziei niepojętą abstrakcyą. Uczucie i wyobraźnia domagały się koniecznie jakichś widomych zarysów, wyraźniejszego określenia. I znajdujemy to u Skargi. Boga widzi nieomal jak autorowie ksiąg Starego Zakonu w postaci prawie ludzkiej. Pan Bóg nie tylko lituje się nad upadłym rodem ludzkim, ale dba także wielce o Swą sławę. Pragnie, aby człowiek osiągnął zbawienie, które mu przeznaczył dla dobra ludzi i — »aby się czart nie chlubił, iż to, co był Bóg umyślił z człowiekiem uczynić, na złość Bogu przerwał i Boskie sprawy chytrością swoją popsował. Aby nie *były złości i chytrości jego potężniejsze, niźli* Boska rada i przedsięwzięcie tak dawne około dobra ludzkiego.«[1] Źródłem podobnych poglądów było Pismo św. Wyraźnie świadczą o tem miejsca opatrzone cytatami z ksiąg Starego Zakonu, a odznaczające się takiemi wyobrażeniami o Bogu. W jednem kazaniu poucza nas, że Pan Bóg »z szczerej dobroci swojej na wielką pociechę i nadzieję naszą, dać mógł na siy prawo, jakie dał w Starym i Nowym Zakonie, abę nam dobrze czynił, a nas nigdy nie opuszczał.«[2] Otóż Pan Bóg dotrzymuje danego słowa niezłomnie i pamięta o Swej obietnicy. »Takąż obietnicą Pańską — objaśnia Skarga — obronili się dziwnie źli i grzeszni synowie Dawidowi Joram, Achas i inni.«[3] »Wolał Pan Bóg od nich wzgardy cierpieć i przepychu ich przeciw sobie nie karać, niźli naruszyć słowa swego«.[4] Nie są to wypadki odosobnione. Kaznodzieja nasz uczy również modlitw w ten sposób; każe »z pokorą się powinności Panu Bogu upominać«, żałować więcej Jego niesławy, niż naszego nieszczęścia; żołnierzom radzi wołać do Pana Boga, by im dał zwycięstwo w słusznej sprawie, bo »Tobie będzie zelżywość, gdy rzecze przeciwnik: a gdzież ich Bóg«? Źródłem tej nauki było znów Pismo św., a mianowicie modlitwy różnych wodzów biblijnych

[1] Kazania na niedziele i święta, na Wielki Piątek. Trzecie słowo.
[2] Kazania na niedziele i święta, na V niedzielę po Wielkanocy. Cz. I.
[3] Tamże.
[4] Tamże.

przed bitwą.[1] Pojęcia Skargi staną się jeszcze zrozumialszemi, gdy dodamy, że drugą ich przyczyną była sama natura jego umysłu, obdarzonego wielką i żywą wyobraźnią. Skarga zdaje się poprostu widzieć Chrystusa, siedzącego na wysokiej stolicy otoczonego hufcami wojsk anielskich. Jego moc nie ma miary, tak, że »sami dobrzy aniołowie, którzy pewni łaski Bożej i oddalenia gniewu Jego od siebie, na ogromność majestatu Jego i wspaniałość wielką patrząc, wzdrygają się i te choć mocne filary majestatu, wielkości i chwały Bożej chwieją się i oną się bojaźnią synowską z wielkiej zdumiałości przerażają.«[2]

Tymto aniołom »wielką Chrystus ucztę sprawuje, gdy się który z nas upamięta i z prawego serca pokutuje«. Wtedy Chrystus »anioły zwoływa, aby mu w radości i weselu pomagali, z tego, iż krew Swoje nie darmo za nas wylał, iż męka Jego mu się płaci.«[3] Naturalnie, obrazy tutaj roztoczone, to tylko poryw bujnej wyobraźni, o wierze w ich prawdziwość, w tej formie, jakeśmy tu widzieli, nie ma mowy, ale stanowiły one podatną rolę do pojęć wyżej rozbieranych.

Drugim rysem znamiennym dla Skargi w jego stosunku do Boga, to uczucie o przebogatej skali tonów: od pokornego lęku przed mocą i sprawiedliwością Bożą, aż do zuchwałej prawie ufności, zrywające się raz silniej, raz słabiej, czasem wybuchające żywiołowo, — a zawsze czyste i szlachetne. Najsilniej dźwięczą w jego pismach dwie struny: jednej na imię pokora, drugiej miłość. Czuł się Skarga małym i marnym, »jak proch i ziemia« grzesznym, niczem niezasłużonym. Choćbyśmy nawet co w sobie dobrego mieli — powiadał, — to winniśmy to przypisać raczej łasce Bożej i miłosierdziu. Miłość Skargi do Boga ma coś z dzie-

[1] Np. w kazaniach „Pobudki czasu wojny" lub w „Nabożeństwie żołnierskiem". „Pobudki czasu wojny" w Kazaniach przygodnych, przy Kazaniach o 7 Sakramentach 1600 etc. „Nab. żołn." Kraków 1608, 1618 i przy zbior. wyd z 1610 r.

[2] Pobudki do 40 g. naboż. Pob. II. przy Kazaniach o 7 Sakr. 1600 etc. Kaz. na niedz. i św., na 3-cią niedz. po Świątkach. Cz. II.

cięcej świeżości i prostoty. Tylko, że płomień tego uczucia, którem jego serce pałało, nie był słaby, lecz płonął majestatycznie. Skarga nie rozumiał poprostu, jak można Boga nie kochać. »Inne cnoty potrzebują nakładu, kosztu, a miłość nic — jedno serca dobrego potrzebuje. Hojnym być nie może, jedno pan co ma wiele. Mądry być nie może, jedno ten, który się wiele uczył. Mężnym być nie może jedno duży. A miłować P. Boga każdy może i najuboższy i najprostszy i najsłabszy«.[1] — I miłował też Skarga Boga, tak gorąco, tak ogromnie, że świat mu był wobec Niego niczem, — że wolał nosić »z Chrystusem koronę cierniową, niźli z królmi tego świata złotą«, tak, że gdyby trzeba było, gotów był — jak oświadczał — nie tylko życie ale i duszę dla Chrystusa na zatratę i potępienie oddać. Wobec takiego stosunku do Boga milkła wszelka krytyka. Dziwiły wprawdzie Skargę sądy Boże, »iż po śmierci grzechy o pomstę wołają i dla jednego króla złego Pan Bóg wszystko królestwo karze"[2], z przerażeniem opowiadał jak Pan Bóg Amalechitów za grzech ich pradziadów przed 400 laty popełniony okropnie pokarał[3], jak Saulowi, za to, że się z królem tego narodu miękko obszedł, panowanie odjął, ale ufnością jego w Boga nie zachwiało to nigdy. Czuł wprawdzie w swem miłosiernem sercu, coś nakształt lękliwego zdziwienia i wołał zdumiony: „Sprawiedliwy Sędzio, już onych tam nie masz, którzy się Twemu ludowi przykrzyli. — Cóż winni, którzy o tem nie wiedzą, ani przyzwalali"[4] ? — ale przed majestatem Bożym chylił pokornie głowę i tłumaczył sobie, że dziwne to sądy, — jednak Bóg »przygany mieć nie może i wie gdzie czynić miłosierdzie, gdzie sprawiedliwość«[5].

Bóg rządzi światem bezpośrednio. Dopatrywał się też Skarga

---

[1] Kaz. na niedz. i św. Na XII niedz. po Św. Cz. II.
[2] Kazanie „czasu suchości" w Kazaniach przygodnych.
[3] Pobudki do 40 g. nabożeństwa. Pob. V. w Kazaniach przyg.
[4] Tamże.
[5] Tamże.

wszędzie śladu karzącej lub nagradzającej ręki Bożej. Choroby uważał za karanie grzechów, także źli urzędnicy, kapłani, królowie, to też zwykle kara Boża. Dla grzechów społeczeństwa przenosi Pan Bóg królestwa od narodu do narodu i zsyła na upadłych niewolę. Zdobycie Konstantynopola i zależność Kościoła greckiego od władzy świeckiej było dla Skargi karą za odszczepieństwo. Rozwielmożnienie się heretyków na Węgrzech zemściło się na nieszczęśliwym kraju niewolą turecką. Dlatego też drżał na widok »herezyi, bluźnierstw« i »grzechów jawnych« w Polsce, bo obawiał się, że kiedyś gniew Pański upadnie na niezbożnych i potęgę ich w niwecz obróci.

Wiarę w Opatrzność przeprowadza konsekwentnie do najdrobniejszych szczegółów, tak, że gniewał się nawet, gdy kto w chorobie lekarzom i lekarstwom ufał, a nie Bogu. Nie zabraniał ich używać, ale wierzyć im nie kazał, tylko jednemu Stwórcy. Czy jednak taka wiara w rządy Opatrzności nie odwracała uwagi Skargi od zwykłego przyczynowego biegu wydarzeń, czy nie prowadziła do lekceważenia zwyczajnych, ludzkich zabiegów? Był wprawdzie nasz kaznodzieja zdania, że choćby człowiek coś obmyślił, to jednak siłę do wykonania jeden tylko Pan Bóg daje, że są przypadki, z których nas żadna moc prócz Bożej wyrwać nie zdoła, kazał się więc modlić o łaskę z nieba, ale rąk zakładać nie pozwolił. Bóg pomaga pilnym, nie próżniakom. »Ludzką obroną gardzić nie trzeba i owszem używać jej Pan Bóg nie zakazuje«[1]. Że się Skarga na nią rzeczywiście oglądał, a na otaczające go życie umiał patrzeć trzeźwo i bystro, o tem świadczą jego poglądy na stosunki polskie, na »choroby Rzeczypospolitej«. Co prawda, tam gdzie tendencya trzymała myśl jego na uwięzi, był skłonny do wniosków powierzchownych, jak to później zobaczymy.

Taki był stosunek Skargi do Boga. Ze Świętymi obcował naprawdę, tak, że zdaje się czasem w kazaniach z nimi rozmawiać; miewał też podobno widzenia.[2] Do Matki Boskiej żywił

[1] Pob. do 40 g. nab. I.

[2] Wielewicki podaje z dziennika Skargi (który niestety zaginął) pod r. 1608, że przy Mszy św. przed Komunią otrzymał objawienie: „Daję ci zadatek

niezwykłe nabożeństwo, i to uczucie rzewnej miłości zabłysło czasem pięknem światłem w jego kazaniach.

Na tem zakończymy ten krótki szkic o stosunku Skargi do Boga.

Widzieliśmy, że do pojęć czerpanych z nauki Kościoła, dodawał Skarga niemało wyobraźni i bardzo wiele uczucia i że te dwie władze wpływały znacznie na sam sposób myślenia. Pewne filozoficzne zabarwienie jego poglądów nie polegało na *skłonności do filozofowania*, lecz raczej na zdolności subtelnego rozumowania i trafnem pojmowaniu obcych myśli. Dalej widać u Skargi dążność do ujmowania wszystkich faktów według jednej zasady Opatrzności Bożej, a więc staranie o jednolitość poglądu na świat. Mimo to daleki jest nasz kaznodzieja od lekceważenia zwykłej przyczynowości wydarzeń, owszem umie zręcznie ujmować fakta i widzi ich naturalne powody lub następstwa, lecz o tem pomówimy szerzej w następujących ustępach.

III.

Świat uważał Skarga za dzieło wszechmocy Bożej, a początek jego istnienia oznaczał na podstawie Pisma św. Według św. Tomasza było stworzenie wszechrzeczy prawdą, do której poznania prowadziło nie tylko objawienie, lecz także zwykłe rozumowanie. I kaznodzieja nasz dowodzi, że »czego nie masz, to sobie bytu dać nie może, i inny być musi, który mu byt daje, a sam go w sobie nie ma ani od kogoż nie bierze. A toć jest Bóg przedwieczny i niestworzony, który świat i wszystko co jest na niebie i ziemi stworzył«.[1] Natomiast powstanie świata w czasie przyjmuje wielki filozof z Akwinu jedynie jako dogmat religijny. Przez wieczność nie stawałby się jeszcze świat równym Panu Bogu, bo świat jest zmienny, Bóg niezmienny. Także zasada: *oportet ut causa agens*

---

miłości mojej ku tobie. Przyjmuję cię w jedność ciała mego etc.". W 1610 r miał ujrzeć św. Franciszka z Pauli i św. Ignacego Lojolę, którzy mu rzekli, że przyszli prosić Pana Boga o jego zdrowie (był wtedy chory). Notatki te podaję za Rychcickim „Skarga i jego wiek". (T. II, str. 568 i 9), (wyd. II).

[1] Areopag. K. III.

praecedat durationem sum suum causatum wydaje się mu przy najwyższej absolutnej przyczynie niekonieczną. Św. Augustyn zgadzał się jedynie na początek świata, ale wszelkie oznaczenia, kiedy to było, odrzucał. Czas, uznawał bowiem jedynie za ludzką formę poznania, której bezwzględnej wartości przypisywać nie wolno. Ciekawem jest, że Skarga mimo to usiłuje dowieść rozumowo początek świata, choć naturalnie w objawieniu upatrywał najpewniejszy punkt oparcia. Tutaj potwierdza się jednak jeszcze raz, iż nie posiadał zmysłu filozoficznego, a równocześnie zarysowuje się wyraźnie jego sposób myślenia raczej indukcyjny, niż dedukcyjny a w każdym razie mniej abstrakcyjny, a więcej zwrócony ku zjawiskom życia naocznego. Jakże więc Skarga rozumuje? Najpierw zaznacza mimochodem, że przymiot[1] wieczności jak i pierwszej przyczyny odnosi się tylko do Boga. Więcej miejsca zajmuje drugi dowód: »Ubywa światu starością siły — gdyż widzim, iż starzy nasi ojcowie dłużej żyli, duższy byli i rzadki syn, któryby z ojcem siłą i laty zrównał. Po potopie wiele światu odeszło na żywiołach, urodzajach, latach ludzkich i innych dobrach, które pierwej miał, czegoby mu wrodzona jego wieczność nie dopuściła. Do tego by świat był przedwieczny, zostałyby wżdy jakie pisma starych onych przed potopem ludzi«[2]. Tymczasem wesług świadectwa najstarszych ksiąg (Mojżesza) nie możemy sięgnąć poza r. 5666. (Skarga brał za podstawę rachuby r. 1600).

„Przed temi laty, gdybyś wiat był, zostałaby jaka tego pamiątka, jakie pismo. Pewnie tedy świata nie było«[3]. — Jak widzimy, dowodzenie to opiera się na wnioskach wyciągniętych ze szeregu spostrzeżeń lub faktów podawanych przez historyę, jednak kąt patrzenia na nie, jest dość ciasny. Skarga ocenia je według ówczesnego życia i dlatego nie przychodzi mu na myśl, że ludzie przed potopem, lub wogóle przed pierwszą historyą mogli istnieć — a dziejów swych nie spisywać. I na dzieje Starego

[1] Areopag. K. III.
[2] Areopag. K. III.
[3] Tamże.

Zakonu spogląda niby na państwo z 16 w. Wodzów biblijnych nazywa hetmanami, kapłanów żydowskich — biskupami, także o królu Dawidzie powie, że zwołał... sejm do Jerozolimy. Z pewnością, wiele można przypisać dążeniu do jasności ,do uprzystępnienia wykładu przez słowa więcej znane ale na tle dopiero co przytoczonego ustępu, uprawnia nas to wszystko co najmniej do przypuszczenia, że Skarga był skłonny do spoglądania na odległe i dawno minione rzeczy przez szkła ówczesnego i bliższego sobie życia.

Świat stworzył Pan Bóg dla ludzi na ich użytek; zioła obdarzył »dziwną mocą do lekarstw, ptaki pierzem, mięsem smaków rozmaitych, bestye skórami biegiem, i mocą do roboty na potrzebę ludzką«[1]. I ludzi obsypał Stwórca hojnemi darami. »Jednemu dał rozum i naukę, drugiemu wymowę i mądrość kazania, drugiemu dowcip. i radę do rzeczy świeckich, drugiemu umiejętność prawa, drugiemu do wojny i rycerstwa... I inne innym dał talenta swoje rozmaite i niewyliczone, jako dziwnie hojny i bogaty gospodarz«[2]. A jednak, mimo to wszystko patrzał Skarga na ziemię raczej ze smutkiem i lekceważeniem. Była mu tylko »gospodą przechodnią«, krainą wygnania, na której nie radować się, ale płakać należało. Dał wprawdzie P. Bóg ludziom tysiące dobrodziejstw na świecie, »nie iżby na nich przestawali, bo nic masz na czym, nie iżby w nich serce swoje więzili, — ale aby na cień patrząc, o ciele się pytali, aby kroplę w ręku mając, która wnet uschnie, do rzeki dóbr prawych pragnęli.«[3] »Cóż za wsi i zamki i państwa świata tego? Cóż pycha i wielkie stany i u ludzi sława? Cień mijający, a próżność i grzechów komora«[4]. Nie przywiązywał się tedy do dóbr i rozkoszy świata, bo mu się wydawały znikomą marnością. I więcej jeszcze: »W weselu świeckim jest też utra-

[1] Na dzień św. Mikołaja Cz. II. (Kaz. na niedz. i święta).
[2] Tamże.
[3] Na II niedz. po Św. Cz. II.
[4] Tamże.

pienie serca. A jako nie ma cię o to sumienie ściskać, iż dobra Boże i cudze rozpraszasz?, iż ubogiego morzysz, na któregoś te straty obrócić mógł?«[1] Jakże miał Skarga nie patrzeć na »zabawy świeckie« ze smutkiem, kiedy koło siebie widział tyle nędzy? Zresztą bogactwa nikogo szczęśliwym nie czynią — powiadał. Człowiek chciwy mimo rosnących dochodów pozostanie ubogim — owszem im więcej mu przybywa, tem mniej ma. A rozkoszy ciała? Na dnie takich przyjemności gorycz i żal! Nakoniec życie choćby najdłuższe to »żywot śmierci«. »Człowiek skoro się narodzi, więźniem jest, skazanym na śmierć. Nie wie kiedy go wywiodą, jeśli w rok, abo przed rokiem, abo w kilkanaście, abo w kilkadziesiąt lat.«[2] A kiedy Skarga odwracał się od świata, który mu się wydawał tak biedny i marny, zjawiała się przed jego oczyma promienna wizya »niebieskiego królestwa«, »gdzie śmierci nie masz, gdzie słońce nie zachodzi i miesiąca nie ubywa, gdzie wszystka wiosna bez zimy, rozkosz bez uprzykrzenia, pomieszkanie wesołe, bez tęsknośći«[3]. Słów powyższych nie należy naturalnie brać dosłownie. Jest to zwykły u naszego autora, obrazowy sposób opisu, mający wyrazić, że w niebie jest szczęście trwałe, wieczne i zupełnie. Polegać zaś miało według Skargi na widzeniu Boga, na wiadomości wszystkich mądrości i tajemnic, wszystkich Bożych zamiarów i właściwych przyczyn wszelkich wydarzeń. Serca zaś przepełni miłość najdoskonalsza t. j. miłość Boga. Wobec tego cudownego obrazu musiała się ziemia wydawać tem marniejsza! Skarga uważał się za wygnańca w obcej ziemi, życie za »dzień targowy«, za żmudną pielgrzymkę, śmierć za litosny kres. Wspaniałość dworu królewskiego[4] nie tylko, że go nie nęciła, ale sprawiała mu nawet przykrość tak, że z utęsknieniem wycze-

---

[1] Na 3 niedz. po Św. Cz. II.

[2] Na 3 niedz. po Wielkan. Cz. II.

[3] Na 1 niedz po Wielkan. Cz. II.

[4] Wiadomo, że Zygmunt III zamianował go królewskim kaznodzieją. Zaczął Skarga swój zawód w r. 1588 31 stycznia kazaniem dziękczynnem za zwycięstwo pod Byczyną, skończył w r. 1611 22 kwietnia.

kiwał chwili, kiedyby mógł się »porwać« do swej cichej »komórki«. Karty, polowania, huczne biesiady potępiał, a pieniądze marnowane na nich kazał rozdawać na kościoły i ubogich. Zbytek w ubraniu karcił również, a na miejsce strojności zalecał miłosierdzie. Miłość zbytnią pieniędzy, skąpstwo, lichwę nie karcił już, ale gromił i wyklinał, chwalił natomiast post, umartwienie ciała i wzgardę świata. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że Skarga uczył zupełnej obojętności dla spraw świeckich. Wzgarda świata prowadziła w ostatniej konsekwencyi do pustelniczego życia. Skoro bowiem do dobrego »urodzaju duchownego« przeszkadza »zabawa wielka około rzeczy świeckich, w urzędach, pracach i gospodarstwach, któremi się jako Pan mówi, serca obciążają,« to raczej odrzucić je precz od siebie! — i pozostać samotnym. Ale co się stanie wtedy ze społeczeństwem, gdy je najlepsi opuszczą? Gdyby kto zadał Skardze takie pytanie, usłyszałby następującą odpowiedź: »Dobrze bogomyślnością się i pustynią bawić i o swoim tylko zbawieniu myślić, ale też dobrze drugich nawracać i do Pana Boga ciągnąć. Dobrze dusze swoje i ludzkie opatrować, ale też dobrze ciała bliźnich karmić i odziewać. Każdy, gdy wedle swego powołania czyni co dobrego a nie próżnuje, miłość Boga i bliźniego mając na wiecznych dobrach i zapłacie nie straci«[1]. A »kto oboje zabawy odprawować może, ten jest daleko doskonalszy«[2]. Tęsknocie życia »w ciszy i zatajeeniu« przeciwstawiał hasło miłości bliźniego i szedł za niem przez całe swe życie pracowite, mozolne i święte, choć postawione na szczycie społeczeństwa. Do tego hasła dodawał drugie »miłości ojczyzny: »Wiem — pisał[3] do Boboli — »iżeś temi czasy zabawiony posługami króla J. M. Pana naszego Mił. — i czytać tych ksiąg — nie możesz. Jednakżeś ich pragnął — spodziewając się lepszego czasu w domowem i od dworu oddalonem pomieszkaniu, któreby do roz-

[1] Na dzień Wniebowstąpienia M. B. (Kaz. na niedz. i św. Cz. II).
[2] Tamże.
[3] W przedmowie dedykacyjnej do „Kazań o 7 Sakram.". 1600.

myślania i czytania rzeczy nabożnych wiele czasu dać mogło, czego wiem, jako sobie W. M. życzysz, i ustawicznem wzdychaniem pragniesz. Ale ja, patrząc na potrzeby, które tu pomieszkania W. M. wyciągają a oddalenia od dworu bronią, życzę królowi J. M. i ojczyźnie miłej, aby W. M. jeszcze na tem miejscu posług zażywała«. Tak więc przenosił Skarga ostatecznie życie czynne, poświęcone zbawieniu bliźnich i szczęściu ojczyzny nad całkowite opuszczenie świata[1]. Za doskonałość zaś uważał harmonijne połączenie obu ideałów.

Nie zamykał też oczu na potrzeby życia wytworzone długotrwałym rozwojem społeczeństwa. Przesadną miłość pieniędzy potępiał zawsze, dobrowolne ubóstwo pochwalał, lecz go nie nakazywał: »Chrześcijaninowi godzi się być bogatym, ale się nie godzi być skąpym«. Z majątku swego należy najpierw zaopatrzyć »potrzeby przyrodzone«, bez których człowiek być nie może, dalej potrzeby swego stanu, bo większe wydatki ma król, niż wojewoda, większe człowiek wychowany »miękko« niż prosty wieśniak.

Nakoniec wolno zachować coś »dla przyszłych potrzeb i przygody«. Ale zresztą wszystko co zbywa winien każdy oddawać na jałmużny, zwłaszcza, gdy tego nędza współbraci wymaga. Trudno zaiste o trafniejsze i szlachetniejsze pogodzenie chrześcijańskiego ideału z naturą ludzi i potrzebami życia!

A teraz przypatrzmy się, czy Skarga zawsze spoglądał na świat ze smutkiem i pogardą? O ile chodzi o niskie zabiegi, o rozkosz zmysłową, o rozliczne grzechy, których tyle napotykał, to tak! Wtedy wołał ze wstrętem: »a niechże mi ta ziemia wśmierdnieje«! Ale inaczej, gdy patrzał na świat jako na dzieło Boże, gdy podziwiał wszechmocność, mądrość, i nieogarnioną dobroć Stwórcy. Bóg wszystko powołał do życia aby czynić dobrze[1]. Wszystko co stworzył ma swój cel — jest potrzebne[2]. Nawet nierówność zlewa się w zgodną harmonię. Bo nie ma ona wy-

[1] Na VIII niedz. po Św Cz. I.
[2] Por. św. Augustyna: *De civitate Dei* XI, 21. ff.

chodzić na korzyść silniejszych, przeciwnie istnieje po to, »aby mocniejszy słabszemu, mędrszy głupszemu, bogaty ubogiemu służył, i żeby było jakie porównanie dla wysługi u Pana Boga i miłości spólnej, aby było jednako i temu co ma wiele i temu co mało«[1]. Poglądy Skargi oświeca wtedy jakaś promienna aureola filozofii chrześcijańskiej, patrzącej na świat pogodnie, jasno, bo przecież Bóg najwyższą mądrością i dobrocią. Są przeciwieństwa w świecie, — prawda, ale i one zlewają się w harmonię. »W stworzenie też swoje Pan Bóg nakładł przeciwności, to światło, to ciemno, to ciepło, to zimno, to noc, to dzień, to gorzko, to słodko, to piękne, to szpetne i t. d. Rozum Boski i około tego jest niewyczerpany. Nie takby dzień miły był, by się nocą nie przeplatał. I słodkość nie takby wdzięczna była, by gorzkości nie było«.[2] I gdy Skarga spoglądał ku niebu, ku tej niezmierzonej światłości, co mu przez całe życie wszędzie i we wszystkiem świeciła, wtedy zstępowała na ziemię spokojna, łagodna jasność i napełniała wszystko swym blaskiem. »Bóg jest hojny i miłosierny. Wylał dobroć swoję na każde dzieło swoje, żadnego i najmniejszego bez darów nie puszczając«.[3] Pogląd antropocentryczny i utylitarny zmieniał się w dobrotliwe i poetyczne spojrzenie na »gospodarstwo Boże« we wszechświecie. Pan Bóg »iż ma wielki i nieprzebrany skarb, wiele i bez liczby, tych coby je bogacił naczynić raczył, aby miał komu dobrze czynić, a na swoje stworzenie nieprzebrane skarby swoje wysypować«.[4] »Dał słońcu światłość, księżycowi piękność, gwiazdom taką jasność, powietrzu subtelność, obłokom takie wody takie wody i deszcze, wiatrom taką moc i prędkość, ziemi takie rodzaje ziół i drzew bez liczby i kruszcze wewnętrzne, ptakom taką śliczność w pierzu i śpie-

[1] Areopag. Kaz. III.
[2] Tamże.
[3] Areopag. Kaz. III.
[4] Areopag. Kaz. III.

waniu, rybom taką czerstwość i latanie wodne, bestyom i bydłu takie siły, urody, odzienia i pasze. A człowiekowi nad wszystko najwięcej«.[1]

Jakież więc światło rzuca powyższy rozdział na indywidualność naszego kaznodziei? Odpowiedzią na to będą przyczyny, czemu Skarga do takich, a nie innych poglądów dochodził. Leżą one poczęści zewnątrz, po części wewnątrz jego duszy. Do zewnętrznych trzeba zaliczyć wpływ religii, wzór Chrystusa, który opowiadał ludziom o królestwie, ale nie z tego świata, dalej rozliczne przykłady świętych, pisma ojców Kościoła, a z drugiej strony blizkie zetknięcie się z logiką i wymaganiami ówczesnego życia, tam właśnie, gdzie się ono najwięcej skupiało, na dworze królewskim; nakoniec także pisma św. Augustyna i innych pisarzy kościelnych. Ale było to tylko ziarnem, które przyjęło się i wyrosło bujnie dzięki sercu Skargi, kochającemu nadewszystko ideały chrześcijańskie, niezadowolonemu ze świata, który jego wielkiej tęsknoty do wieczności i życia jasnego nie zaspokajał. A też dzięki umysłowi przenikającemu poza błyszczącą szatę ziemskiej wspaniałości i szukającemu w nich trwałego i wzniosłego celu. Kontrast między życiem doczesnem a wielkimi ideałami, jakie mu przyświecały, oto skrzydła, na których jego stęskniona myśl ulatywała ku niebu. Ale równocześnie to samo serce zwracało go do »złotej ojczyzny«, »braci miłej«, a rozum obliczał realne podstawy i warunki i dążył do zharmonizowania obu pierwiastków. I ta równowaga, oparta na współdziałaniu gorącego i szlachetnego serca, oraz trzeźwego i praktycznego rozumu, to właśnie jeden z najznamienniejszych rysów Skargi. Umysł zwrócony ku naocznemu życiu, kieruje się raczej induktywnem myśleniem i obserwacyą, umie nawet patrzeć na fakty pod kątem ewolucyi (raczej dekadencyi świata) ale równocześnie trudno mu wyjść poza ramy ówczesnych stosunków. Pewien pessymizm i pogarda świata, nie szarpie nigdy jego duszy, bo przemienia się pod słońcem dobroci Bożej w optymizm. Tkliwe wzruszenia religijne sprzyjają u Skargi powstaniu uczucia este-

[1] Areopag. Kaz. III.

tycznego. Gdy patrzy na świat, jako dzieło Boże, nabiera dlań słońce blasku, gwiazdy jasności, o ptakach nie powie wtedy, że je P. Bóg opatrzył »pierzem i mięsem smaków rozmaitych, — ale »ślicznością w pierzu i śpiewaniu«. I to jest ostatnie spostrzeżenie nasunięte przez powyższy rozdział.

IV.

Z poglądami na świat łączyły się u naszego kaznodziei wyobrażenia o człowieku i o jego naturze, bo i one mogły go prowadzić do wzgardy ziemi i tęsknoty za niebem.

Człowiek składa się z ducha nieśmiertelnego, z duszy i ciała. Twierdzenie to zaczerpnięte z listu św. Pawła do Tessaloniczan[1] rozwija Skarga w następujący sposób: »Dusza nasza duchem się zowie, gdy z anioły, którzy są szczerzy duchowie obmyśla rzeczy niebieskie i do onej się ojczyzny z anioły przysposabia. Ale się dusza zowie, gdy rzeczy ziemskie i te z bydłem równe zabawy o życiu i o dobrym na tym świecie mieniu, na sobie nosi, bez których też być w tym żywocie nie możem. Ciało zaś ma swój obyczaj i jest naczyniem dusze i przez nie czyni dusza źle i dobrze«.[2] Jakkolwiek zatem dusza i duch są tutaj uważane za dwie różne rzeczy, to jednak zlewają się faktycznie w jedną całość: »duszę«. Duszy tej atoli, przysługuje tylko wtedy to miano, gdy czynność jej ogranicza się do zaspokojenia potrzeb życia ziemskiego. Duchem zwie się, jeśli jej usiłowania dążą ku niebu i mają na celu duchowe dobro człowieka. Na wielu innych miejscach mówi Skarga jedynie o ciele i duszy, a wspomniana troistość naszej natury wynikała raczej z nierównomiernego podziału dostosowanego do całości kazania.[3] W każdym

[1] I. Tess. 3 „Bóg pokoju niech was we wszystkiem poświęci, aby i duch wasz i dusza i ciało zachowane bez przygany było na przyjście Pana naszego Jezusa Chrystusa".

[2] Na niedz. VI po Trzech Królach. Cz. II. Bardzo trudno przypuszczać wpływ św. Augustyna. Rozróżnia on w pismach więcej naukowych, pomiędzy duchem i duszą, ale w polemice z Manichejczykami trzyma się ściśle dichotonii.

[3] Wskazują na to wyraźnie słowa: „A iż o trzech miarach Pan wspomina, przez nie rozumieć się trzy części natury mogą Cz. II.,

razie rozróżnia Skarga niższe i wyższe władze psychiczne, bo wzmiankę o tem znajdujemy także gdzieindziej. Raz[1] powiada, że dusza nasza spojona jest «z duchowieństwa i cielesności« drugi raz czytamy znów o »górnej części duszy naszej«, w której są dwie władze »jedna rozumu i uznania abo rozsądku, druga wolej i skłonności«.[2]

Dusza ludzka jest nieśmiertelna. Nad twierdzeniem tem, nie zatrzymałby się Skarga prawdopodobnie dłużej, gdyby nie ataki ze strony różnowierców. One to skłoniły go do obrony tego dogmatu. Dowód polega w pierwszej części na cytatach z Pisma św., następnie powołuje się nasz kaznodzieja na »dowcip dusz ludzkich«: »Mędrcy pogańscy[3] widząc w duszy ludzkiej taką biegłość i w przeglądaniu prędkość, taką pamięć, na którą się zdumiewamy, taką na przyszłe rzeczy roztropność, takie w w rzemiesłach wymysły, takie wysokie nauki i dowcipy i domysły, takie po wszystkim świecie myślą samą zabiegi, przywieść się do tego dali, iż dusza rzecz tak droga i dziwna nie ginie z ciałem, ale wieczna jest«.[4] Nadto nie jest ona koniecznie związana z ciałem. Człowiek dochodzi wprawdzie do nauki przez zmysłowe wrażenia, czyli »cielesne fantazye« jak je Skarga nazywa, »ale oddzielone z nich formy ma na myśli, w rozumie i bez ciała niemi władnie i dyszkursy swoje ma i czyní je bez ciała«[5] czyli — posługując się dzisiejszym językiem, — używa tych zmysłowych wrażeń samodzielnie, wytwarza z nich wyższe formy, łączy je w różnorodną całość i czyni to wszystko bez ciała. »A do tego — pisze Skarga — nie ciało duszę ożywia, ale dusza ciało swą mocą«[6]. Ciało nie może bez niej nic, ale dusza może sama widzieć, słyszeć, mówić, co zwłaszcza we śnie jasno występuje.

---

[1] Kazanie na niedz. i św. Na dzień św. Wawrzyńca.
[2] Areopag. K. I
[3] Cicero *De senectute.*
[4] Na XV niedz. po Św. Cz. I.
[5] Tamże.
[6] Tamże.

Nakoniec znamionują duszę ludzką pragnienia, których na tym świecie nic nie może zaspokoić. Człowiek chciałby wiedzieć wszystko o Bogu, chciałby wiecznie a szczęśliwie żyć, tęskni za nieśmiertelną sławą i t. d. Ponieważ chęci te wlewa w serca nasze Pan Bóg, więc byłby niemądry albo okrutny, gdyby się wypełnić nie mogły. Także pojęcie doskonałej sprawiedliwości domaga się, aby po doczesnem życiu następowała jakaś nagroda za cnoty i kara za grzechy.

Dowodzenie Skargi opiera się więc na dwóch podstawach. W ostatnich dwu argumentach stanowią ją idee sprawiedliwości, mądrości i dobroci Bożej, oraz wnioski z nich, niemożliwe, do pogodzenia z pojęciem śmiertelnej duszy. Rozumowanie to mógł Skarga zaczerpnąć z dzieł św. Tomasza z Akwinu. Pierwsza część argumentów opiera się znów na obserwacyi psychologicznej, na owe czasy wcale dobrej, ale wnioski z niej wyprowadzone nie mają tej siły logicznej, jaką się dwa końcowe argumenta odznaczają, naturalnie, o ile się przyjmie ich założenie. Jednak w połączeniu z nimi, wykazując na objawach życia możliwość nieśmiertelności, stanowią doskonałe uzupełnienie. Jakkolwiek Skarga mówiąc o »dowcipie dusz« powołuje się na Cicerona, a wskazując na samodzielne życie ducha we śnie odsyła do św. Augustyna, to jednak jest w tej pierwszej grupie argumentów daleko samodzielniejszy, niż w pierwszej. Wynika z tego, że dążył wmyśleniu do oparcia się na konkretnych faktach, na obserwacyi. Atoli z drugiej strony wytyczała mu niezachwiana wiara w Kościół i jego dogmaty drogę deduktywnego rozumowania, i ten kierunek ostatecznie zwyciężał.

Dowodził też Skarga wolności woli. Oprócz cytatów z Pisma św., które szły zawsze na czele, zwraca uwagę na praktyczne następstwa przeciwnych teoryi. »Nakoniec próżnoby kogo upominać, nauczać, karać, chwalić i wychowanie dziatek i szkoły i kazania, sądy, wszystkoby się słusznie znieść miało«[1]. Dalej, na niczem nie pokazuje się tak wspaniałość Boża, jak na wolnej woli, bo Bóg jakoby mówił

[1] Kaz. na niedz. i św. Na dzień św. Szczepana Cz. I.

do nas: służcie komu chcecie, Ja was nie potrzebuję. Równocześnie »większa sława i cześć ze zasługi, niźli ze szczerego daru« t. j. z niezapracowanego zbawienia. Czyli — u Skargi etyczne i praktyczne względy nie tylko górowały nad czystem, bezstronnem myśleniem, ale przemieniały się nawet w polemiczne argumenta.

Nad obiema częściami natury ludzkiej cięży przekleństwo pierworodnego grzechu. Zwłaszcza ciało krępuje na każdym kroku porywy duszy, a nawet wiedzie wprost do grzechu przez różne pożądliwości. Do zmysłowości i w ogóle zła, płynącego ze zepsutej natury ciała przyłącza się, a właściwie zlewa z nią w jedno fałszywa miłość. Nie ma ona jednak u Skargi wyraźnej formy. Określenia jej są raczej przypadkowe, niż jasne i ścisłe. W każdym razie da się ona ująć w następujący sposób: egoizm jest nam wszystkim wrodzony, »ma to każdy z przyrodzenia, iż sam siebie miłuje«.[1] Nic w tem jeszcze złego, byleby miłość ta była rozsądna i umiarkowana. Ale ludzie miłują się czasem zanadto i fałszywie. To już znak zepsutej natury. »Fałszywa miłość samego siebie jest, kto rozkoszy i woli cielesnej sobie dopuszcza, kto się złym swoim popędliwościom nie opiera, kto żądzom swoim wędzidło z gęby wyjmuje, a rozuzdawa swego osła i chciwościom jego wodze popuszcza. Tej nierządnej ku sobie samemu miłości i pogańscy mędrcy wszystkie grzechy przypisywali«.[2] Również egoizm więcej intellektualny, a więc to, co dziś właściwie tem mianem nazywamy, jest powodem rozlicznych grzechów. Ta »hardość i niepomierna miłość i chęć ku własnym naszym czciom i sławom, abo pożytkom« każe nam gonić za pochlebstwem, za majątkiem, czyni ludzkie serce skąpe i nieużyte, zamyka oczy na potrzeby ojczyzny i na nędze współbraci. I jest jeszcze jeden wielki niedostatek w naszej naturze, a mianowicie niechęć do rzeczy niebieskich i niewidomych, czyli mówiąc po dzisiejszemu zbytni sensualizm, mający

[1] Na 17 niedz. po Świątkach Cz. II.
[2] Na 17 niedz. po Św. Cz. II.

swe źródło w tem, »że to co tu cierpim, abo z czego się weselim, w oczach i w uczuciu jest, a to co nam po śmierci obiecują i czym grożą w tyle jest i patrzeć na to jedno wiarą i nadzieją możem«.[1]

Nakoniec rozum ludzki jest słaby, — wola chwiejna, pamięć ograniczona, to wszystko skutki pierworodnego grzechu. Mimo to jest w nas jeszcze jakaś iskierka dobrego. Widzieliśmy, jak Skarga broniąc nieśmiertelności duszy, zachwycał się jej »dowcipem« i mówił o wielkich pragnieniach, które ją wypełniają. Rozumem przyrodzonym dowodził nawet prawd wiary, odwoływał się nieraz do »praw przyrodzonych«, które Bóg na ludzkich sercach wypisał. Iskrę tę trzeba jednak rozżarzyć nadprzyrodzonymi środkami, czerpiącymi swą moc z wielkiej ofiary Chrystusa.

Poza tymi ogólnie zarysowanymi poglądami na ludzką naturę, możnaby bardzo wiele powiedzieć o tem, z jak wielką przenikliwością umiał Skarga rozmaite właściwości naszej psychiki ująć i wykorzystać. Nie była to wprawdzie żadna teoretyczna wiedza, żaden filozoficzny systemat, ale raczej szereg luźnych spostrzeżeń i uwag i jakaś instyktowna nieuświadomiona wyraźnie umiejętność, którą tylko po jej skutkach poznać można. Występuje ona wyraźnie tam, gdzie chodziło o znalezienie skutecznych środków, czyto do przekonania przeciwnika, czyto do wpojenia jakiejś zasady moralnej, do wykazania podłości grzechu lub marności tych przyczyn, które do niego wiodły. Pokaże się to jaśniej w następujących rozdziałach, gdzie omówimy szczegóły jego polemicznej i kaznodziejskiej techniki. Nie wszystkie jednak wypadki można pomieścić w dwóch wyżej wymienionych kategoryach. Czasem chce Skarga zaradzić jakiemuś brakowi i szuka psychologicznych przyczyn jego powstawania. Tak n. p. w I. kazaniu sejmowem wylicza cały szereg przeszkód do prawdziwej mądrości. Pierwsza, to grzech. Skarga był idealistą i wierzył głęboko, że człowiek moralnie zły nie może mieć rzeczywistej mądrości. Ale na tem nie poprzestaje. Jako baczny obserwator życia sejmowego, widzi dobrze, iż do mądrych obrad w izbie po-

[1] Na 3 Niedz. po Wielkanocy. Cz. II.

selskiej nie dopuszczały: kłótliwość, pycha i zarozumiałość, zacięty i niczem nie przekonany upór, gonitwa za popularnością, lekkomyślność w posądzaniu innych i nakoniec obojętność dla spraw publicznych ,obłuda ludzi, którzy i jedno i drugie chwalą, a żadnemu nie sprzyjają. W uwagach tych jest wiele prawdy, a zwłaszcza w odniesieniu do polskich sejmów, których zbiorową duszę Skarga na wskroś przeniknął. A jak głęboką znajomością psychologii tłumu odznacza się krytyka »rządu popularitatis« w tem samem dziele! Albo z jak niezwykłą zręcznością i subtelnem odczuciem różnych tajników duszy ludzkiej podaje sposób do przygotowania konających na śmierć[1]! Każe przystępować do chorych z wielką ostrożnością, radzi nie wspominać wprost o nadchodzącym zgonie, ale przygotowywać do tej wiadomości powoli, z daleka. Naucza, żeby się uporczywem moralizowaniem nie naprzykrzać, lecz iść do celu krótkimi etapami, odpoczywając. Przewiduje możliwe trudności i podaje przepisy, jak je pokonać. Ponieważ ludzi zbytnio do świata przywiązanych rzadko abstrakcyjne, idealne, względy poruszą, należy przemówić do nich ich własnym językiem, a więc zaleca przedstawić, że zwykle grzechy powodują karę już tu na ziemi, sprowadzając choroby, kiedy tymczasem oczyszczenie duszy — czasem i zdrowie wraca. Naturalnie nie jest to dobrze, gdy ktoś tylko dla takich względów się spowiada, lecz bądź co bądź, ma już kapłan środek do dalszego działania. W dalsze szczegóły wdawać się nie będziemy; już tych parę słów mogło dać pewne wyobrażenie o tej znajomości duszy ludzkiej, jaką się Skarga odznaczał. Równocześnie widzimy okoliczności, wśród których ta umiejętność wzrosła. Długoletnia praca kapłańska, nawracania, konfesyonał, — oto szkoła naszego kaznodziei.

Streśćmy teraz nasze spostrzeżenia. Źródłem tych poglądów była znowu nauka Kościoła. Ale pojęcia z niej przejęte, nie pozostały u Skargi zwykłą wiadomością z drugiej ręki. W granicach zakreślonych przez wiarę tłumaczy je sobie i objaśnia, czerpiąc

[1] Kazania o 7 Sakramentach. Kazanie 33-cie. Wyszły w r. 1600. Drukowano je potem przy „Kaz. niedzielnych", 1618, dalej w r. 1738, 1757, najnowszy druk z r. 1871. Kraków.

po części z Pisma św., po części ze starożytnej filozofii, z dzieł św. Tomasza i po części z własnego życiowego doświadczenia. Obserwacye te, — a więcej jeszcze nawpół świadome doświadczenie wskazują na umysł przenikliwy, o wielkim darze spostrzegawczym. Skarga umie wyodrębniać pewne momenta, w dziedzinie tak zawiłej jak psychologia, zapamiętać je i łączyć przyczynowo, nawet z odległemi następstwami (n. p. przeszkody do mądrości). Ale nie odznaczał się dążnością do wszechstronnego oświetlenia otaczających go zjawisk. Poprzestawał na ogólnych zarysach, jakie mu dawała religia a wypełniał je tylko wtedy, gdy wymagała tego praktyczna potrzeba lub obrona (nieśmiertelność duszy,, wolna wola). Ideał ,który mu w życiu przyświecał nie nazywał się: wiedza, ale etyka, prowadzenie dusz do Boga i naprawa niedostatków ojczyzny. Stąd to pochodzi też związek z rzeczywistością, to odwoływanie się do szczegółów życia w przeprowadzaniu dowodów (n. p. następstwa determinacyi, lub własności duszy ludzkiej, wskazujące na nieśmiertelność). Nie potrzeba chyba wspominać, że rozumowanie stosował zawsze do zasad wiary .

V.

Do spełnienia swych ideałów dążył Skarga dwiema drogami. Jedną z nich była nauka obyczajów i chrześcijańskiego życia, drugą stanowiły wykład i obrona rozmaitych artykułów wiary. Moralność, którą głosił, jest naturalnie zupełnie zależna od etyki głoszonej przez Kościół i dlatego całokształtu pojęć Skargi pod tym względem nie myślimy roztaczać, a zadowolimy się jedynie uwydatnieniem rysów znamiennych i do naszych celów przydatnych.

Pierwszem przykazaniem — powiadał nasz kaznodzieja, — jest miłość, a z niej wypływają inne, niby promienie ze słońca. »Co jedno jest nauk do zbawienia i co jedno rozkazał Pan Bóg, to się wszystko kończy miłością ku Panu Bogu i bliźniemu«.[1] Od miłości zawisło wszystko — powiada

[1] Kazanie o miłości Boga i bliźniego z r. 1607, przyłączone do „Kazań na niedz. i św.“, jako II na 17 niedz. po Świątkach. Na myśl tę naprowadziły Skargę słowa św. Augustyna, jak to sam zaznacza.

z przedziwną znajomością psychologii, — bo miłość jest »jako pierwsze koło u zegara, które wszystkie inne rusza i obraca. Bo do każdej rzeczy, co jedno poczniem, miłość nas pragnieniem tego co nam miło pędzi. Jest jako hetman, który wszystkimi żołnierzami władnie, tak miłość wszystkiemi naszemi postępkami wnętrznemi i zwierzchnemi«.[1] Trudno zaiste oprzeć się zdziwieniu, gdy się czyta te słowa, tak ogromnie głębokie, a tak nieporównanie proste! Czy mogłaby dzisiejsza psychologia uzasadnić lepiej wszechpotęgę miłości?! Pozmieniałaby może nazwy, ale zostałby fakt, że życie uczuciowe jest podstawą naszego działania, i że wszelkie objawy tego życia poruszają się między odczuciem czy wyobrażeniem przyjemności lub boleści. Ustęp ten, to najlepszy dowód, że Skarga tam, gdzie go pociągało serce, a pouczało doświadczenie, umiał się zdobywać na wspaniałe myśli, oświecające niby jasna błyskawica cały szereg szczegółów. Jest to jedno z najważniejszych znamion jego umysłu, że dąży do przyczynowego ujmowania rzeczy, które go interesują i do systematycznego ich objęcia w jedną całość.

Miłość może się odnosić do rzeczy dobrych i złych. Dobra jest wtedy, gdy się zwraca do Pana Boga i do bliźniego i rozlewa się jak najszerzej. »O samym sobie myślić, ścisłe jest i łakome serce. Powinne tylko i domowe opatrywać, miłość jest, domowa i ciasna. O wszystkich i o Rzeczypospolitej radzić i stanom wszystkim dobrze radzić, to prawie Boska cnota. Im się miłość na ludzie więcej szerzy, im kto dobroć swoję na większy lud wylewa, tym jest większa ku Bogu i bliźniemu miłość i do Boskiej bliżej przystępuje«.[2] I tu trudno oprzeć się urokowi tych słów mądrych i prosto z serca wyjętych, z serca na wskróś chrześcijańskiego i szerokiego jak cała ludzkość.

W jakimże stosunku pozostają do siebie te dwa najwyższe przykazania chrześcijańskie? — »Ta jest różność miłości

---

[1] Kaz. na XVII n. po Św. Cz. II.

[2] Kazanie na 4 niedz. w post. Cz. II.

Bożej od bliźniego — odpowiedziałby Skarga, — iż Boga mamy bez miary miłować, a bliźniego pod miarą, jako sami siebie«.[1] — Dla Pana Boga winniśmy być gotowi nawet dusze zatracić, kiedy tymczasem dla bliźniego, takie bezgraniczne poświęcenie nie obowiązuje, owszem byłoby grzechem. Przedewszystkiem zaś polega różnica na tem, że miłość Boga jest właściwym celem naszego serca i przez nią dopiero otrzymuje drugie przykazanie swą wartość t. j. miłujemy bliźniego dla Pana Boga, bo każdy człowiek nosi na sobie obraz Boży i ponieważ nam tę miłość Pan Bóg polecił. Mamy kochać bliźnich, dopóki się to z miłością Bożą zgadza, ale gdyby nam we wypełnianiu Bożej woli przeszkadzali, i od Pana Boga odrywali, powinniśmy ich opuścić — i to wszystkich nawet krewnych i rodziców. A więc od każdego grzesznego uciekać jak od zapowietrzonego? Nie! Skarga zaleca wprawdzie ostrożność w postępowaniu z heretykami, odradza, a nawet zabrania małżeństw z nimi, ale równocześnie każe im pomagać do zbawienia i ofiarować się w tym celu »na wszystką pracę, koszty, robotę i samo zdrowie«.[2] Z tych ludzi należy tylko unikać jako okazyi do grzechu, — ale ich opuszczać nie wolno! Błędy ich powinniśmy odsuwać ze wstrętem od siebie, »ale persona grzeszącego ohydy takiej mieć nie ma, ale raczej politowanie«.[3] »Pan Bóg wszystkich ludzi na swój obraz stworzył i przetoż każdy człowiek i Żyd i Samarytanin i Turczyn i poganin jest bliźnim naszym i miłować go mamy«.[4] Atoli nie w równej mierze: »Gdyby dziwiał jednąż potrzebą złożonego żyda i chrześcijanina, katolika

[1] Na 17 niedz. po Św. Cz. II.

[2] Na 4 niedz. po Trzech Królach.

[3] Na dzień św. Szymona i Judy, apostołów. Cz. II. W „Przestrodze do katolików“ powiada wyraźnie o heretykach: „Zwiedzionych i prostych, których się namnożyło i bez których w tem królestwie żyć i bez sąsiedztwa ich ujść nie możem, nie strzeżem się dla ludzkości i miłości ku nim nie na kacerstwo ale na ich człowieczeństwo i dobre natury i na dobre sąsiady patrząc, a nadzieją się ich upamiętania ciesząc. Kościół z nimi towarzystwa nie zakazuje, byle, bez dusznej naszej utraty było“.

[4] Na 12 niedz. po Św. Cz. II.

i heretyka, domownika i sąsiada a obiema mógł pomoc dać, — daj! Ale pierwej chrześcijaninowi, pierwej katolikowi, domownikowi, powinnemu. A jeśli nie możesz obiema, jednego któremuś więcej i pierwiej powinien, opatrz. Ten porządek jest w miłości i ma być, jako św. Augustyn naucza«.[1] Uczucie nie było u naszego kaznodziei nigdy ślepą siłą, lecz kierowało się rozumem i nauką, w tym wypadku ojców Kościoła. Nie znaczy to jednak, żeby przy kazania miłości, które głosił, pojmował tylko rozumowo, jako religijny przepis. Odczuwał je także sercem i dlatego kładł na miłość bliźniego czasem tak wielki nacisk, że nawet — jakby się zdawać mogło — upatrywał w niej jedyny sposób, w jaki Panu Bogu służyć możemy: »Ku Bogu miłość pierwej się zawiąże w sercu, ale się pierwej na bliźnim pokaże w uczynku. Bo nie widząc Pana Boga nie możesz mu dobrze czynić, nie możesz mu się przysłużyć, aż na bliźnim. Bo sam nic nie optrzebuje, jedno swoję potrzebę na brata twego i bliźniego twego włożył«.[2] Naturalnie nie znosił Skarga postów, dozgonnej czystości, ani męczeństwa, ani ofiar dla Chrystusa; słowa przytoczone miały tylko wielkie znaczenie miłości bliźniego jak najsilniej podkreślić. Że nawoływanie do niej płynęło z głębi serca kochającego gorąco i płomiennie, o tem świadczy całe życie naszego kaznodziei. Co tylko pisał i czynił, co tylko zalecał lub gromił, wszystko czerpało swą siłę i blask z tego wielkiego słońca miłości. Bez niej bladły i gasły w jego oczach wszystkie dobre uczynki. »Bez miłości nic nie waży, ani czystość, ani post, ani sprawiedliwość. Na tę cnotę wszyscy są obowiązani. Nie wszyscy mogą pościć, długo się modlić, za Chrystusa krew rozlewać, ale wszyscy mogą być miłosierni«.[3] »Bez miłosierdzia cnoty inne są, jak dom bez jednej ściany, ptak bez jednego skrzydła, potrawa bez soli, mowa bez prawdy, wiara bez uczynków«.[4]

[1] Tamże.
[2] Na 12 niedz. po Św. Cz. II.
[3] Na 6 niedz. po Św. Cz. II.
[4] Tamże.

Nazwał raz Skarga św. Jana »kaznodzieją miłości«. — Otóż i dla niego samego trudno o inne określenie. Miłość Boga, bliźnich i ojczyzny — oto całe jego serce. Jeśli zalecał miłość prawdy, pobożność, wzgardę doczesności, post, czystość dozgonną, — to przyczyną tego była miłość Boga. I do bojaźni Bożej nawoływał w jej imię, bo nie tak kary i cierpienia kazał się lękać, jak gniewu ojcowskiego, jak utraty łaski niebieskiej. Jeśli zaś nawoływał do sprawiedliwości, to czyż nie czynił tego na widok pokrzywdzonych i bezbronnych? Jeśli błagał o pokój i zgodę, to czyż tych wspaniałych zaklęć nie zrodziła miłość ojczyzny? A jeśli chwalił »cichość i łaskawość« i serce cierpliwe nawet na krzywdy i potwarze, to czyż źródłem tego nie była miłość posunięta aż do zaparcia swych uczuć? Miłość to wywołała w jego duszy oburzenie i gniew na »mężobójców«, na lichwiarzy, na okrutnych dziedziców, na »ludzie łakome i ścisłe« i kazała mu rzucać gromy potępienia na »wydzieracze dobra pospolitego«na sobkostwo, swawolę i pychę. Nawet, gdy heretyków upominał, lub domagał się kar na nich — to kierowała nim także miłość, serce bolejące nad upadkiem chwały Bożej i nad zgubą dusz ludzkich. Prawda, niektóre cnoty, do których w swych pismach nakłaniał, łączą się z tem przykazaniem miłości dosyć luźnie i dopiero pośrednio, ale czy n. p. Skarga nie dlatego tak bardzo do posłuszeństwa nawoływał, że ginęła bez niego ojczyzna, jego »najmilejsza matka«? Jedynie chyba pokora, tak częsta u Skargi a płynąca z przezwyciężenia własnej miłości i z porównania między wysokim ideałem jaki nam przyświeca, a naszą zasługą, stoi w luźniejszym związku z tem wielkiem uczuciem, które jego duszę wypełniało. W luźniejszym tylko, bo do wyrwania z serca własnej miłości potrzeba było iść przez ukochanie Chrystusa i bliźnich, Wszak pokora opiera się też na zasadzie »nie rób drugiemu co tobie nie miło, t. j. nie wynoś się nad innych.

Za pełnienie przykazań Bożych obiecywał niebo. Ale dla nagrody tylko być dobrym, to jeszcze niedoskonała cnota. »Ma być zasługom zapłata; ale cnota nie ma być najemna, ale sprawiedliwa i skłonna do tego, co Pan Bóg i za-

kon Jego i dobry rozum każe«.[1] — »I sam dobry uczynek, gdy się przez nas komu, a zwłaszcza wszystkim dobrze czyni, ma swoją serdeczną zapłatę i pociechę wnętrzną wielką«. W ten sposób nie mówił o moralności żaden z naszych pisarzy 16 i 17 wieku. Jeden Skarga zdobył się na te wielkie słowa, dzięki swemu wspaniałemu sercu, które już w tem znajdywało szczęście, gdy się przez nie innym dobrze działo.

Nie potrzeba chyba wspominać, że etyka naszego kaznodziei była wolna od wszelkiego formalizmu. Ceremonie uznawał zgodnie z nauką Kościoła i pojmował je jako daninę należną Panu Bogu. Rozumiał też doskonale ich znaczenie i uzasadniał je psychologicznie z wielką trafnością: »Te obrządki zwierzchowne, znaki są wnętrznego nabożeństwa, które rozmnażają i zachowują. Jako ogień w popiele trwa, a nie gaśnie, tak wnętrzna gorącość nasza ku Panu Bogu Boskimi się tymi ceremoniami dochowywa i rozżarza«.[2] wszelkie jednak formy i modlitwa nawet muszą się łączyć z czynną pobożnością. Na nią kładł cały nacisk — a za pole działania wyznaczał jej miłość bliźnich. Dlatego nauczał, że »nabożeństwa cel i skutek jest miłość ku bliźnim i miłosierdzie«,[3] że »modlitwa się jałmużną i dobremi uczynkami ku niebiosom podnosi«.[4] — I w tę dziedzinę wkraczała więc miłość.

Nakoniec należy podnieść umiarkowanie i wyrozumiałość, jaką się jego pisma odznaczają. Mimo całą podniosłość swej nauki, a może właśnie dlatego nie popadał nigdy w krańcowość. »Cnota ma swoje miarę i wagę, źle w niej niedoważyć, źle przeważyć«.[5] Niektóre zalety przesadzone mogą się stać grzechem. »Jest zbytek i przygana w surowej barzo sprawiedliwości, w wielkich postach, w wielkim zmoże-

[1] Kazanie o miłości ojczyzny.
[2] Na VI niedz. w pośc. Cz. I.
[3] Kazania przygodne: „Na śmierć Anny z Rakus".
[4] Tamże.
[5] Kązania sejmowe. VI.

niu ciała, w niewczesnej cierpliwości, w niepotrzebnej łaskawości, szkodliwej hojności i pokorze, gdy po niej mało. Musi mądrość i roztropność, jako hetman nad nimi stać, a miary i czasów i okoliczności patrzyć«.[1] U Skargi łączyło się dziwnie harmonijnie uczucie, zdolne nawet do mistycznych wzlotów, z trzeźwym rozsądkiem. Inne znów cnoty, które uważał za trudne, nakazywał w łagodniejszej formie. Widzieliśmy, że zezwalał na bogactwo mimo pogardy świata. I przykazanie miłości bliźniego czynił przystępnem: »Nie każe Pan Bóg, abyś tak miłował bliźniego, jako sam siebie, wedle równości, jedno wedle podobieństwa«[2]. — »A równie miłować, z taką chucią i gorącością jako samego siebie, nie wyciąga tego to prawo Boże, chyba to wyciąga, abyś tego bliźniemu nie życzył ani czynił, czegobyś sam nie rad cierpiał. A to mu dawał, coby rad widział, aby też sobie, gdyby w takiej potrzebie był dawano. Co nie jest rzecz trudna«.[3] — Skarga robi tu naturalnie ustępstwo dla »skażonej natury« ludzi; »prawa miłość wszystkie szkody i utraty dla miłego podejmuje«[4].

Na początku naszych rozpatrywań, postawiliśmy sobie pytanie, czy też Skarga sięgnął do zawrotnych wyżyn chrześcijańskiej myśli. Teraz możemy odpowiedzieć twierdząco. Widzieliśmy, jak głęboko i subtelnie je zrozumiał i jak je jasno gorącym płomieniem własnego uczucia oświecił. Ono to mu pozwoliło na tak zadziwiające pojęcie wzniosłych idei chrześcijańskich. Ze słów Skargi przemawia nie tylko wielkie serce, lecz też niepospolity rozum, a wzajemny ich stosunek spływa się w harmonijną całość. Jest to jeden z najznamienniejszych rysów Skargi. Uczucie jest u niego pobudką i dynamiczną siłą i wytycza sobie kierunek, ale przy pomocy rozumu, — który je miarkuje i objaśnia. Od-

[1]) Na niedz. starozapustną. (Kaz. na niedz. i święta). Cz. II.
[2]) Na XIII niedz. po Św. (Kaz. na niedz. i św.). II.
[3]) Tamże.
[4]) Kazanie II. na XVII niedz. po Św

znacza się Skarga niezwykłą znajomością duszy ludzkiej. Rozum idąc za głosem serca skupia swą uwagę tam, gdzie tego wymaga praktyczna potrzeba i gdy doświadczenie (zebrane w kapłańskiej pracy) dostarcza mu szeregu spostrzeżeń, umie je doskonale oprzeć o psychologię i ujmować jedną ogólną zasadą (ceremonie; miłość to cała etyka, to podstawa naszego działania). Psychologiczna biegłość mogła polegać na analizie własnych stanów psychicznych i pamięci tych rozmyślań[1], oraz na trafnych analogiach z obcemi zwierzeniami. Potrzeba było do tego naturalnie bystrego zmysłu spostrzegawczego, trafnego podkreślenia zasadniczych momentów i zdolności organizowania ich w całość. Między uczuciem i myślą a czynem panuje u naszego autora silny związek; Skarga dąży z upartą konsekwencyą do urzeczywistnienia swych ideałów. Ale zobaczymy to dopiero potem wyraźnie. Nakoniec wypada wspomnieć o umiarkowaniu i wyrozumiałości, na co się znów złożyły dwie rzeczy: związek z życiem i trzeźwość rozumu.

VI.

Miłość jest motorem i ogniskiem wszystkich cnót, ale podstawą ich i miłości także jest wiara. Skarga wierzył niezachwianie w słowa św. Pawła, że »bez wiary niepodobna się Panu Bogu podobać«.[2] i dlatego nazywał ją początkiem zbawienia, a o tych, którzy nią pogardzali, był głęboko przekonany, że idą na niechybną zgubę. Bez wiary niema także dobrych uczynków, bo odstępcy tracą łaskę Bożą, a bez niej jesteśmy, jak ciało bez duszy. Natura nasza nosi na sobie klątwę grzechu pierworodnego i dopiero oświecona Duchem św. może się wznieść do życia naprawdę doskonałego. Skarga szedł w tych wyobrażeniach tak daleko, że nie rozumiał poprostu, jak można być bez wiary katolickiej uczciwym i szlachetnym. W »Nabożeństwie żoł-

[1] Rychcicki wspomina w swej książce „Skarga i jego wiek", że kaznodzieja nasz zwykł jedną godzinę dziennie rozmyślać.

[2] Do Hebrejczyków. II.

nierskiem«[1] opowiada, jak sułtan Asan okazał się wspaniałomyślniejszym, niż chrześcijański cesarz Diogenes — i uderzony tym dziwnym kontrastem wyjaśnia go sobie, że »musiał być... tajemnym chrześcijaninem ten sułtan i brzydząc się głupstwem owego Diogenesa, sławę jego chrześcijaństwa na się włożył«.

Na tem tle stanie się stosunek Skargi do herezyi zrozumiałym. Zobaczymy najpierw, jak się na ich powstanie zapatrywał. Powiada o nich często, że »korzeń ich hardość i nieposłuszeństwo«, że więc głównym powodem powstania sekt jest brak szacunku dla powagi Kościoła, wynikający z pychy i zarozumiałego uporu. Cóż było powodem tego przekonania? Jeśliby im tylko o prawdę szło — rozumował nasz autor — toby się do odstępstwa nigdy nie posunęli, bo »czegoż ci do prawdy nie dostaje? masz pismo, masz Kościół, w którym Duch św. naucza i pismo wykłada, masz Doktory, masz Koncilia, masz uczone ludzie i święte, czemuż nie pytasz, a na ich rozsądku nie przestajesz?«[2] Ale oni wolą opierać się na swym »pojedynkowym rozumku«, niż skłonić głowę przed orzeczeniem soboru, a więc są *superbiae progenies* — »synowie pychy«. Jeśli zaś nie szczera chęć poprawy Kościoła nimi kierowała, to co ich przywiodło do herezyi? »Ci ludzie z rozumem swoim do tajemnic Bożych idą i przeto ślepemi i głupiemi zostają. Światłość nieprzystępna oczy ich sowie ślepi. Boską moc rozumem swoim mierzą i przetoż nie tylko rozum, ale i wiarę tracą«.[3] Wiara to przecież »dar nieba«, który pokorą trzeba sobie wyjednać. Heretycy są więc zaślepieni, złą obrali drogę i dlatego zeszli na manowce, ale sami sądzą, że postępowanie ich dobre. Raz porównuje ich Skarga do trędowatego, który nie czuje tej niemocy i mniema, że jest zdrów; tak i heretyk

[1]) Nab. żołn. rozdz. XIV. Wyszło w r. 1608. Potem przedrukowano je w zbiorowem wydaniu z r. 1610 (niedokładnie), dalej w r. 1618, 1677, 1688, 1738 (według wydania z r. 1610) i w r. 1763.

[2]) Na 4 niedz. po Wielkanocy. Cz. II.

[3]) Na I niedz. po Wielk. Cz. I.

mniema, iż dobrze wierzy i naucza i nie czuje niebezpieczeństwa swego i czyni się zdrowym. Ale gdzieindziej pisze: »W ten grzech (przeciw Duchowi św.) pospolicie upadają oni dowcipni, ale uporni i źli heretykowie, o których nie podobno rozumieć, aby prawdy kościelnej nie widzieli i nie znali, a przedsię ze złości i nienawiści na papieże i księżą zowią ją nauką dyabelską«.[1] Wyrazy »pospolicie« i »niepodobno« wskazują w każdym razie na ograniczenia twierdzenia i rzeczywiście był Skarga mniemania, że są »złości pełni« heretycy, którzy »upornie i wiadomie prawdę Bożą ganią«, ale powiadał, że tych najmniej. Równocześnie zaś mówi o »zwiedzionych prawdziwie od ministrów, iż tak rozumieją, że to szczera prawda na której się zasadzili, iż się dalej o prawdzie pytać nie chcą«.[2]

Wielu różnowierców odstępuje od katolicyzmu dla swobody w grzeszeniu. »Wiedzą, iż Kościół Boży króci cielesność i swawole, przetoż kochając się w tej ciemności od wiary się jego odrażają«.[3] Wielu odrzuca dla tych przyczyn prawdziwą religię i to tak łatwo, bez namysłu! »Dziś chrześcijanie lekko sobie wiarę świętą ważą, bo im lekko przychodzi. Wnet ją z lada namowy heretyckiej odstępują, dla zysku i rozkoszy ją Turkom i pogaństwu przedają«.[4]

W ten sposób powiadał Skarga o heretykach gdy unosiło go przekonanie o szkodzie i złości różnowierstwa, gdy go porywało oburzenie i skupiało myśli tendencyjnie do swego wyrazu lub uzasadnienia. Inaczej, gdy rozpatrywał rzecz chłodniej w innym celu. Dowodzi tego kazanie na II. niedz. po Świątkach, gdzie zwyczajem swym, dzieli heretyków na różne grupy. I tutaj powiada wprawdzie, że są heretycy, »barzo świetcy, którzy więcej miłują majętność, rozkoszy i zdrowie«niż wiarę,

[1] Na III niedz. w pośc. I.
[2] Na II niedz. po Świątkach I.
[3] Na poniedziałek świąteczny II.
[4] Na VI niedz. po Wielkanocy. Cz. I.

i że takich jest bardzo dużo, »a ledwie nie wszyscy«. ale oprócz nich wylicza też »zastarzałych« w herezyi, wychowanych już od młodości w fałszywej religii, i wymienia też różnowierców, którzy zostali »prawdziwie zwiedzeni od ministrów«, tak, że wierzą w swe błędy niezachwianie — jako w prawdę i dlatego innej nie szukają. Mówiliśmy już o tem wyżej. I nie są to rzadkie miejsca. Już w *Pro Sacratissima Eucharistia*[1] znajdujemy wzmiankę o prostaczkach nie umiejących odróżnić monety prawdziwej od fałszywej, o uwiedzionych raczej *simplicitate et animi quadam mobilitate*, w innem znów dziele[2] narzeka na szlachtę, która zabiera ubogim wieśniakom i mieszczanom kapłanów, i uwodzi ich przez swych ministrów. Co więcej! W »Upominaniu do ewangielików« przyznaje nawet, że »księżej naszej ospałość, złe przykłady, próżnowanie, rozkoszy, łakomstwo, herezye wasze tuczą. Barziej ich zły żywot heretyki mnoży, niźli ministrowskie kazania«. A więc nie tylko pycha, nie tylko chęć swobodnego grzeszenia, byli i tacy, których odpychał od katolicyzmu rozstrój i upadek jego przewodników.

»Heretyctwo natury ludzkie dziwnie mieni, z łaskawych okrutne, z sromiężliwych wszeteczne, z cichych swarliwe, ku Panu Bogu bezpieczne, z nabożnych oziębłe do rzeczy Boskich, z miłosiernych, nieludzkie i leśne czyni i inne dziwne a prędkie odmiany«.[3] Dają teraz przykład — pisze dalej — na kilku narodach, na Niemieckim, na Brabanckim, na Szwedzkim. O których pięknych, ludzkich, cichych, miłości i nabożeństwa i męstwa pełnych obyczajach nasi starsi wychwalić się nie mogli. Teraz wydziwić się takiej odmianie nie możem, jako okrutni nieludzcy i prawie piekielni z nich ludzie się stali, jadu tego heretyckiego skusiwszy. Pełne historye okrucieństwa ich, niezbożności i nieludzkiej i dzikiej,

---

[1]) W przedmowie dedykacyjnej. Pro S. Euch. r. 1576. 1610, 1707, 1738.

[2]) W „Pierwszem Zawstydzeniu Aryan“ 1604. W przedmowie. Drukowane też w 1610, 1758, ale bez przedmowy.

[3]) Na VII niedz. po Świątkach. II.

a leśnej natury, czytaj historye, kto temu wiary nie daje«.[1] Źródłem tych poglądów były zatem »historye«, może roczniki zakonne lub t. p. Ktoby się w nich dopatrywał stronniczości, zarzutu tego nie może robić Skardze, lecz tym, którzy te wypadki tak przedstawili. Błąd jego polegał raczej na tem, że i do polskich różnowierców stosował te same nazwy i czynił ich niejako odpowiedzialnymi, to za co inne czasem sekty w innych krajach wywołały. Reformacya za granicą dostarczała zresztą niemało materyału do takich zarzutów, wszystkim wiadomo, jak okrutnie i krwawo prześladowali protestanci katolików w innych krajach. I u nas działo się to nieraz na mniejszą skalę. Nie stawiano szubienic, ale łupiestwa plebanii, kościołów, wyrzucanie księży z parafii, zakonników z klasztorów nie było wielką rzadkością. A nawet trzeba zarzut, jakiśmy Skardze postawili, ograniczyć. Wszak powiadał także, iż »złe heretyctwo, ale sąsiedzi i bracia dobrzy«.[2] Wszak przyznawał, że »Polacy nasi, którzy w łaskawych i cichych naturach, nie tak jako inne narody, jadowite serca nosząc, przywieść się do dobrego łaskawością dają«.[3] Na takie doświadczenia zdobywał się bardzo rzadko, ale to tłumaczy się aż nadto dobrze jego wojennem stanowiskiem wobec heretyków. Sam taktyka wymagałaby już zarzutów, nie usprawiedliwiania. U Skargi nagromadzał je nie tak z góry powzięty zamiar, jak głębokie przekonanie o szkodliwości herezyi, które z konieczności nakazywało mu szukać stron ujemnych. Nie brakowało ich zresztą naprawdę. Taki znawca staropolskiej literatury jak prof. Brückner,[4] powiada wyraźnie, że powodem zwycięstw reformacyi w Polsce był oprócz opieszałości i nieopatrzności katolicyzmu »kaprys pański«na tle »złotej wolności«. Mimo sympatyi dla niektórych przywódzców reformacyi — pisze, — że cały szereg magnatów dla nowej wiary nic nie robił, ale wielu

---

[1] Na VII niedz. po Świątkach. II.

[2] „Upominanie do ewangielików“ z r. 1592. Zbiór wyd. z r. 1600 i 1610 1738.

[3] „Przestroga do katolików“ z r. 1592 też w zbiorowych wydaniach.

[4] Różnowiercy polscy. Serya I. str. 8 i 9.

zagarniało »bezczelnie«dochody kościelne na...swój użytek. O tem, jak czasem naprawdę »lekko«zmieniano religię, świadczy choćby dziełko Kacpra Wilkowskiego[1], w którem wytyka dawnym towarzyszom, że porzucili dawne przekonania »lekkomyślnie« »w dzieciństwie, lat 20 wam wtedy nie minęło«. Wiadomo wszystkim, jak wielka niezgoda panowała wśród dyssydentów polskich; mniej może wie, że zdarzały się także wśród nich wybuchy fanatyzmu. Nawet wśród cichych aryan znalazł się taki Erazm Otwinowski, który podeptał w Lublinie podczas procesyi Bożego Ciała monstrancyę... Sam Skarga doświadczył na sobie popędliwości różnowierców. Nie myślimy wypisywać aktu oskarżenia przeciw nim, — ale uprzytomnić, że zarzuty Skargi nie były miotane w zaślepieniu, ale miały rzeczywistą podstawę, choć ich uogólnianie było co prawda za dalekie.

Wobec tych pojęć jego stosunek do herezyi przedstawia się jasno. Uważał je za jeden z najcięższych grzechów, za wielką obrazę Pana Boga więc jakże się na heretyków nie oburzać? Wszak »nic dobrym synom żałośniejszego być nie może, jako niecześć Ojca i Boga ich i pohańbienie majestatu jego«.[2] Jeśli herezya prowadzi dusze ludzkie na wieczną zatratę, to» jako się nie zafrasować, patrząc na taki upadek dusz ludzkich?« »O Boże! jakie potępienie i jaka żałość serca naszego, gdy na taki upadek oczy obracamy?«[3] Jeśli herezya rodzi swary i burzy społeczność chrześcijańską to »jako łzy pohamować, widząc zelżywość chrześcijańską i śmiech Turków i Żydów z niezgody naszej i takiego odstępstwa od zakonu?«.[4] I więcej jeszcze! Różnowiercy zabierają kościoły, wyganiają księży, znoszą nabożeństwa za umarłych. To, co sobie ktoś na pomoc swej duszy ustanowił, gubią i niszczą, nie zważając na świętą wolę umarłych. Nakoniec wzniecają wojny i prześladują

---

[1] „Przyczyny nawrócenia do wiary powszechnej". Wilno 1583 napisanej z okazyi nawrócenia się do katolicyzmu z aryanizmu.

[2] I Zawstydzenie Aryan. W przedmowie.

[3] Tamże.

[4] Tamże.

katolików gdzie mogą, jakżeż więc nie zawołać, że mają serca »leśne« i »okrutne?« Do tej żywej boleści duszy kapłana i chrześcijanina przyłączała się nadto dręcząca obawa serca polskiego. Cóż przejmowało je takiem lękiem? Jakto? obruszyłby się Skarga na takie pytanie: »Iżali nie czas, aby Pan Bóg tę Polskę karał, w której na wiele wielkich grzechów karania nie masz? Iżali tak długo tym bluźniercom Trójce św. Boga chrześcijańskiego odstępnikom przepuścić ma? Którym ani król, ani urząd ani prawo i palcem nie pogroziło? Iżali dłużej przepuszczać ma Pan Bóg takim fałszerzom słowa Bożego, rozrywaczom miłości i jedności chrześcijańskiej, łupieżcom kościołów, burzycielom praw Bożych i ludzkich, wzgardzicielom urzędu kościelnego i stanu duchownego, wydzieraczom dziesięcin i imion Chrystusowych, na które karania nie masz, iżali im P. Bóg dłużej czekać ma?« Nakoniec bez osobliwej kary Bożej, jest herezya szkodliwą dla Polski. Wnosi obcą wiarę, a więc dzieli synów jednej ojczyzny na różne obozy. Przecież zgoda z miłości pochodzi, a ta wobec sprzecznych religii jest niemożliwa. »Bo jako ja mam z tym się jednoczyć, który inszego Boga ma? inszą wiarę? z mojej się śmieje i mój Kościół i nabożeństwo sobie ohydził?«[1] Po drugie w każdem królestwie opiera się wszystko na posłuszeństwie, tymczasem »herezye nie tylo cnoty tej nie fundują, ale się jej barzo sprzeciwiają«. Bo natura ich i korzeń ich pycha i nieposłuszeństwo«.[2]

Takie były powody jego walki z różnowierstwem. Płynęły one nie z nienawiści, ale z miłości, z tego uczucia, co wypełniało całą duszę Skargi. I to nam tłumaczy tę żywiołową siłę, z jaką walkę na śmierć i życie podjętą prowadził i usprawiedliwia pewne jej momenta, dzisiaj dla wielu przykre i rażące.

Jeśli herezya tak wielkiem niebezpieczeństwem grozi, nie

---

[1] Na 13 niedz. po Świątkach I.

[2] Tamże.

doczesną już, ale wieczną zgubą, to nie można zezwolić na jej rozszerzanie się w kraju. »Sam rozum — dowodził nasz autor — nakazuje, iż jad się kłaść na stół nie ma, aby się kto nie omylił, a nie otruł«.[1] To było powodem, że zwalczał swobodę religijną i konfederacyę warszawską, Wszak ta konfederencya »na takie prawo poszła i owszem taką wolność daje, aby każdy, kto chce, już nie ciała, na których mniejsza szkoda, ale dusze zabijał i jad heretycki w potrawy słowa Bożego wmiatał«.[2] Przedewszystkiem zaś należy wygnać wszystkich cudzoziemców, którzy bezkarnie dusze polskie tym jadem zatruwają. Dlatego zaklinał senatorów na »Kazaniu wiślickiem«, wołając «obróć Boże oczy tych ludzi na heretyki cudzoziemce, duszorozbójniki, które tu sprowadzają za mistrze kacerstwa i skażce wiary św. i rozsiewacze niezgody sąsiedzkiej. Takich i konfederacyą bronić chcą! O rozumie wysoki! Te wyganiajcie! Na te prawa tak srogie stawcie!« Heretycy nie mogą naturalnie piastować żadnych urzędów. Najpierw nie mają łaski Bożej, a więc Bóg ich pracy błogosławić nie będzie, po drugie zechcą zaraz użyć swej władzy na rozszerzenie reformacyi, a więc na zatratę tylu dusz! Z tego samego powodu nie powinni heretycy stanowić praw. »Co za prawa ludzie nieumiejętni stawić mogą? A jeśli źli, a cnoty i sprawiedliwości nie miłujący, to jeszcze większa na nie ślepota, iż nic dobrego i ostrożnego nie napiszą. A jeśli jeszcze heretycy i niewierni — o Boże mój! jaka tam ślepota, jakich tam błędów i niesprawiedliwości w ich statutach pełno będzie? jaka tam ochrona do czci i chwały Bożej, do obrony wiary św. i kościołów być może?«[3] Ale nie dosyć na tem. »W Piśmie św. rozkazuje Pan Bóg karać fałszywe proroki i tych, którzy w nauce Bożej na rozsądku najwyższego kapłana nie przestają i bluźnierce uka-

[1] „Upominanie do ewangielików".
[2]) Tamże.
[3] Kazania sejmowe. VII. O prawach.

mionować rozkazał«.[1] I kościelne prawa przepisują, »aby heretyki nieupamiętałe mocy świeckiej podawano, aby od niej słusznym obyczajem byli karani«[2]. Również »Doktorowie święci każą penować heretyki«[3], nakoniec prawa cesarskie, a w Polsce dawna konfederacya korczyńska i rozum sam wskazują, że różnowierców cierpieć nie można: »Gdzie na świecie który poganin uczynił takie prawo, aby wolno każdemu zabijać i truciznę w potrawy ludzkie kłaść? Nie dopuści tego prawo przyrodzone, od Boga na sercu pisane«.[4] Wobec tego domaga się także Skarga »penowania« heretyków. »Iżali to nie lepsze i wszystkiej ludzkości pełne prawo, które mówi, gdy się kto chce obiesić abo zabić, wydrzy mu z ręku powróz, odejmi mu nóż, ręce mu zwiąż, zamkni go w ciemny kąt, aż ku sobie przyjdzie i za miłosierdzie podziękuje«.[5] Prof. Chrzanowski ma słuszność, że te słowa podyktowało Skardze »głębokie przekonanie i szczere uczucie«.[6] Karanie heretyków ma być z jednej strony środkiem zapobiegawczym, przeszkadzającym rozsiewaniu zgubnych zasad, z drugiej będzie ono wielką pomocą w nawracaniu różnowierców. Ale czyż godzi się religijne przekonania groźbą i gwałtem zdobywać i czy to wogóle możliwe? Skarga odpowiada — tak — i tłumaczy, że wieluby takie »trapienie i pogróżki« nawróciły. Jedni bowiem przyjęli herezye lekkomyślnie dla ludzi, dla panów, krewnych lub rodziców. »Takim łacno pogróżeniem pomóc, bo jako dla ludzi przy błędzie stoją, tak dla ludzi odstąpić go im nie trudno«[7]. Drudzy poznali już swe błędy, ale trwają w herezyi z ambicyi, z obawy przed zarzutem odstępstwa. »Ci tylo przyczyny jakiej czekają,

[1] Proces konfederacyi Cz. IV., rozdz. I.
[2] Tamże, rozdz. II.
[3] Tamże, rozdz. III.
[4] Proces konf.
[5] Proces konf.
[6] Wydanie kazań sejmowych w Btce dzieł chrześc. Warszawa 1903. Rozdz. VI.
[7] Na II niedz. po Św. I.

za którąby udatnie bez przymówki o niestatek wrócić się do Kościoła mogli«[1]. Inni — to znów uwiedzeni, a pewni swej wiary. Ale gdyby konieczność zmusiła ich zapoznać się bliżej z katolicką nauką, ujrzeliby swój błąd i nawrócili do prawdziwej religii. Tak samo zrobiliby »zastarzali heretycy«. Niemało też jest obojętnych, »co tak mniemają, iż każda wiarad obra, byle dobrym był, a grzechów się ustrzegł.« Z takimi nie byłyby trudności. Najwięcej zaś heretyków to »ludzie barzo świetcy, którzy więcej miłują majętność, rozkoszy i zdrowie niż wiare. Tacy, zagrożeni w tem co kochają, zarazby się upamiętali, zrazu — przymuszeni, ale potem gdyby zobaczyli, gdzie prawda dziękowaliby nawet za zniewolenie. «Domagał się więc Skarga karania heretyków w nadziei, że do tego nie dojdzie i na pogróżkach się skończy. Jednak, gdyby znaleźli się i tacy, którzyby woleli śmierć niż narzuconą im wiarę? Odpowiedzi wyraźnej nie mamy; Skarga mówi tylko o nich, że »wiele ludzi pozarażali i krew ich na sobie mają« i dodaje: »takim rzadko co pomóc może«. Ale rzecz naturalna, że jeśliby pogróżki skutkować miały, to musiano by je spełniać.

Takie stanowisko Skargi może się wydać dla wielu niezrozumiałem. Jakże to, więc ten Skarga, który na cały świat chciał rozciągnąć panowanie miłości, bez różnicy narodu, stanu, nawet religii — dochodzi ostatecznie do wniosków usprawiedliwiających okrucieństwa inkwizycyi? Więc mimo tak wzniosłych idei i wielkiej znajomości duszy ludzkiej nie waha się twierdzić, że religię wolno i można gwałtem wymuszać? W teoryi dochodzi rzeczywiście do takich konsekwencyi. Wiodła go do nich z jednej strony bezwzględna uległość dla autorytetu, i z drugiej gorąca wiara i prawdziwe uczucie — miłości. Widzieliśmy to już przedtem. I dlatego właśnie, że nie kierowała nim nienawiść, ale kochające serce, pozostaje to żądanie »penowania« heretyków tylko w teoryi — bo Skarga nie tylko, że nie dążył

[1] Tamże.
[2] Tamże.

do tego w rzeczywistości, ale cofał się przed tem nawet w swych pismach. »Pęnować« heretyków wprawdzie należy — ale nam tego robić nie wolno. Konfederacye znieść trzeba, ale żaden katolik nie powinien myśleć o napastawaniu różnowierców. Cudzoziemców wygnać — heretykom odmawiać urzędów — zwłaszcza gdy są równie zdolni katolicy — to nawet obowiązek ale porywać się do miecza przeciw rodakom? Nie! Na to nie pozwalał Skardze trzeźwy i w praktycznej działalności nigdy nie zaślepiony rozum, który mu powiadał, że »konfederacya zła, ale sąsiedzka wojna gorsza, w której zła przegrana, zła wygrana i zamieszanie rzeczy Boskich i ludzkich i upadek królestwa następuje«.[1] I broniło mu tego przedewszystkiem serce pełne łaskawości, wzdrygające się na myśl rozlewu krwi. »Ludzkość, miłość, cierpliwość i baczenie dobra Kościoła świętego katolickiego i dzieci jego nie dopuści tego, aby co o wojnie z sąsiady i bracią miłą myśleli, aby się do tak ostrych i przykrych do ich nawrócenia środków uciekać mieli«[2] »Nie daj Boże któremu katolikowi o tym myślić, wiedzą, iż kąkol zły, ale plewidło gorsze, gdy nie czas a bardzo się zaspało; wiedzą, że złe heretyctwa, ale sąsiedzi i bracia dobrzy, z któremi się w jednej ojczyźnie powiązała miłość"[3]. A znajomość duszy ludzkiej powiadała mu, »iż zniewolenie trwałości nie ma, a co się z niechęci poczyna prędko ustaje«,[4] i Skarga porzucał myśl o »penowaniu" heretyków, zostawiał nawet konfederacye, jako mniejsze zło niż wojna domowa, a do nawracania kazał dążyć przykładami i miłością. »Miłujcie dusze ludzkie — wołał do kapłanów — i krew Chrystusową dla nich przelaną, a niedługo heretyki pokonamy prawdą, pismem, kazaniem, dysputacyą, przykłady, miłością ku nim i modlitwą za nie i gę-

[1] „Upominanie do ewangielików".
[2] Upomin. do ew.
[3] Tamże (do podobnych sądów dochodził też Powodowski w „Propozycyi").
[4] Tamże.

stemi u świętych ołtarzów ofiarami«[1]. Kazał więc zakładać szkoły katolickie, seminarya duchowne, a sam pracował usilnie nad naprawą stanu kapłańskiego, jak to wnet zobaczymy.

Tak przedstawia się na podstawie pism Skargi jego stanowisko wobec różnowierców, A jakie światło rzuca na nie samo życie naszego kaznodziei? Czy i tu spotykamy tę sprzeczność, którą widzieliśmy w jego dziełach? Na ogół biorąc żdaje się, że nie. Całe życie upłynęło mu przecież na zwalczaniu „herezyi pismem, kazaniem, dysputacyą", a nie mieczem. Nawet do przewódców reformacyi jak n. p. Wolana szedł z przyjacielską namową, a nie z groźbą. Co więcej bywały wypadki, że wypraszał od kary różnowierców, którzy go ciężko znieważyli. Tak opowiada Birkowski w kazaniu wygłoszonem na jego pogrzebie. Ale ten sam kaznodzieja podaje równocześnie fakt, w który nie chce się poprostu wierzyć. Mówi on o jednym Włochu, kalwinie, który „w dzień Bożego Ciała w processyej z najświętszym Sakramentem po rynku, stanąwszy u ołtarza z bronią dobytą, plugawe bluźnierstwa przeciw Bogu i najświętszemu Sakramentowi wyrzucił. Pojmany, czwartowany od urzędu, który nie chciał bluźnierce żywić, wziął swą zapłatę, na którą robił. X. Skarga winien nie kto inny, że ten złoczyńca stracony"[2]. Zupełnie wierzyć Birkowskiemu nie można; kto wie, czy to nie fałszywa informacya, albo tylko domysł, że skoro Skarga był w Wilnie, to musiał się o ukaranie owego Włocha koniecznie starać. Z drugiej jednak strony brak przyczyn, któreby wiarę w ten szczegół stanowczo wykluczały. Nawet na tle psychiki Skargi można go wytłumaczyć. Różnowiercy, których od kary wyprosił, obrazili tylko jego, a ów Włoch znieważył samego Boga; po drugie nie był Polakiem, lecz cudzoziemcem, który — według Skargi — dusze polskie jadem herezyi zatruwał.

Ostatecznie prowadzi nas ten rozdział do następujących wniosków. Na stosunek Skargi do różnowierców złożyło się kilka

[1] „Upomin. do ewan.".

[2] Cirkowski: „Na pogrzebie Wielebnego Ojca X. Skargi" Kraków 1605, str. 30.

pierwiastków. Z jednej strony głęboka wiara i uległość dla autorytetu, oraz silny wpływ tych czynników na rozumowanie, a w dalszym ciągu na uczucie. Z drugiej strony oddziaływało uczucie na rozum. Skoro reformacya jest zniewagą Boga, wiedzie ludzi na potępienie i grozi zagładą Polsce, to trzeba ją koniecznie zwalczać. Tak nakazywało Skardze serce pełne litości dla tych, których uważał za nieszczęśliwych szaleńców. Reformacyi nienawidził, ale na ludzi tego uczucia prawie nigdy nie przenosi. Prawie nigdy, bo szczegół podany przez Birkowskiego dowodziłby, że nawet szlachetne i miłosierne serce Skargi dało się unieść oburzeniu. Byłby to jednak fakt wyjątkowy. Zresztą miłość i litość były tak silne, że stawały w poprzek rozumowaniu, domagającemu się kar na różnowierców i zwyciężały. Rozum prowadził go czasem do błędnych wniosków, zwłaszcza, gdy go unosiła tendencya. Ale nie działo się to zawsze, zdarzały się chwile chłodniejszej rozwagi, i bezstronności w jego warunkach nawet zadziwiającej. Powodem tego był związek z rzeczywistością i rozum patrzący na nią mimo wszystko jasno i rozsądnie. Ta to rzeczywistość ukazywała Skardze katolików, którzy mieli wiarę na ustach, ale »ręce heretyckie«, powiadała mu, że jest wśród heretyków wielu zwiedzionych, że są między nimi nawet »natury chwalebne«. Ona to pozwalała mu przewidywać następstwa, do jakich »penowanie« heretyków wieść mogło i uczyło, że nawracanie siłą na nic się nie zda. C. d. n.

Stanisław Mitera.

CHARAKTER SKARGI[1].

Praca niniejsza jest pierwszą w naszej literaturze próbą odtworzenia konkretnej osobowości Skargi. Z tego względu zamieszczamy ją skwapliwie, choć sądzimy, że nie wszystkie wnioski i spostrzeżenia autora mają moc przekonywującą. *Redakcya.*

Chcąc bliżej mówić o charakterze Skargi, musimy sobie naprzód usunąć zasadniczą trudność — mianowicie tradycyę. Apoteoza tego człowieka, która się po części za jego życia w zakonie, na dworze, wśród bliższych dokonała, którą następnie ustalił Birkowski w kazaniu pogrzebowem, a następcy sobie z pietyzmem jako nienaruszalną tradycyę przekazywali — apoteoza ta sprawia, iż Skargę w naszej wyobraźni nie oglądamy zazwyczaj w żywem oświetleniu życia, aktualności i codziennego bytu. Według X. Birkowskiego, Skarga był wizyonerem, ascetą, rodzajem świątobliwego zakonnika — do którego nie powinniśmy inaczej przystępować, jak z uczuciem czci i omal nie modlitwy na ustach. Nie przesądzając wartości tego uwielbienia, jako literaci mamy prawo, a nawet obowiązek, zbliżyć się do Skargi z zupełnie innym celem, i według dzieł, aktów biograficznych i wszelkiego dostępnego materyału, zapytać się i osądzić, co się da i o ile z tej apoteozy do naszej nauki wciągnąć. X. Birkowski pozostawał pod wrażeniem typów średniowie-

[1] Ustęp z wykładu uniwersyteckiego z r. 1897, pozostającego w rękopisie, a obejmującego rozdziały: życiorys, charakter, etyka, inteligencya, kaznodzieja, kazania sejmowe, publicysta, literat, język — i poprzedzony rozprawą teoretyczną o monografii literackiej na sposób francuski.

cznych, gdy swą biografię modelował; my wydobyć się musimy z pod wpływu tego zapatrywania i odpowiedzieć sobie, nie powiem na ważniejsze, ale równie ważne i uprawnione w naszej nauce postulata.

Przedewszystkiem nie należy sobie nigdy wyobrażać, jakoby Skarga na uczucia ludzkie był nieczuły. Zakonnikowi, podobnie jak żołnierzowi, wrażliwość humanitarna nie przynosi najmniejszej ujmy i raczej dziwićby się należało, gdybyśmy u Skargi uczuć ludzkich zauważyć nie mogli. W jednem z kazań powiada Skarga: »Serca mego ludzie nie widzą, jeśli go jakim znakiem na wierzchu nie pokażę« i mimowoli zachęca nas do zbadania tej strony swego charakteru. Naprzód więc Skarga wiedział dóbrze, co to jest płacz i smutek i w jednem z kazań objaśnia nas, że »rozmaite jest płakanie i zasmucenie ludzkie« i rozróżnia płacz trojaki tj. przyrodzony — wśród dolegliwości żywota, niepotrzebny nad stratami materyalnemi i pożyteczny — nad nędzą ludzką (N. 28 [1]). W kazaniu o Miłości Bożej (1607), określając to uczucie transcedentalne przez drugie zmysłowe, powiada, że miłość ma tę własność, że idealizuje i żąda przytomności ukochanej osoby, że skłonną się okazuje do wielkich poświęceń i musi być przytem stałą i bezinteresowną. »Miłość uprzejma — to jego słowa — zawżdy sobie kochanie swoje w umiłowanym swym rozczyta i na oczy kładzie i piękność i cnoty jego rozbiera i słodkości w nich zażywa«. »Ten kto szczerze miłuje, wszystko serce swoje tam obraca, gdzie miłość jego zapadła«. Wreszcie powiada: »Kto pana miłuje i pan jego przykrym nie jest«. Jak widzimy, są to wyrażenia, w których odczuć można ciepłe i bijące serce i które nas w sam środek kwestyi wprowadzają.

Rozwoju uczuciowości u Skargi śledzić nie możemy, bo źródeł do tego nie mamy i Skardze jako zakonnikowi chodzić o to nie mogło, żeby nam świadectw szczegółowych o sobie dostarczyć. Ale wyobrazić sobie łatwo, że sierota od 12 roku i zdany na łaskę ludzi, chłopiec samotny od dzieciństwa, który w życie

[1] Literą „N“ znaczymy Kaz. Niedzielne, „S“ Kaz. o Sakr., inne dziełka literami początkowemi tytułów.

wstąpił w roli guwernera, a wspomnień lepszych nie miał jak z bursy krakowskiej, nie popychany w tym kierunku przez nikogo, choć miał serce wielkie i czułe, musiał mu nieraz milczenie nakazywać. Okoliczność tę objaśnimy jeszcze niżej, tu nam wystarczy fakt, że po wstąpieniu do zakonu Skarga żyć musiał ideałami abstrakcyjnymi, że z ludzkich uczuć pozostała mu tylko przyjaźń, której znajdziemy obfite przykłady i na którą sobie zarabiał przez całe życie — patryarchował i pomagał innym, i ztąd poszła naprzód jego apoteoza. Skarga wiedział dobrze, że »człowiek z natury jest tak niedołężny, iż bez towarzystwa y ludzkiey pomocy potrzeb swych odprawić nie może« (S. 74); wierzył on w ten czynnik społeczny i moralny i wyrobił sobie pod tym względem najpiękniejsze zasady: »Przyjaźni y serc dobrych — powiada — nic nie wiąże, jedno cnota«. »Miłość przyjacielska jest z szczerey cnoty, która nie brać« ale dawać zawżdy przyjacielowi pragnie, która nie patrzy na pożytek ale na tego, którego miłuie, bez którego nic iey nie smaczno, która zawżdy obecnego przyiaciela mieć pragnie (I. 40) itd.

Najwcześniejszym przyjacielem Skargi, jeszcze z uniwersytetu, był Stanisław Sokołowski, głośny następnie i bardzo uczony teolog a przytem żarliwy kaznodzieja nadworny Stefana Batorego. Co do postaci swej zewnętrznej, Sokołowski był podobno bardzo brzydkim, małym i pogarbionym człowieczkiem, cery śniadej, twarzy okrągłej i z dosyć nieprzyjemnym wyrazem, jak się zresztą z portretu jego u św. Floryana w Krakowie przekonać można. Wady te jednak wynagradzał wielkimi przymiotami duszy i przekonywującą wymową. O mądrości jego krążyły liczne anegdoty w Polsce. Jest to ten sam Sokołowski, o którym Kochanowski pozostawił epigram:

Postać jego maleńka; ale wielką swadą,
Zrówna się z Nestorem i Laertiadą
Szczęśliwy kto go czyta, szczęśliwy kto słucha,
Bo tyle w tym człowieczku jest wielkiego ducha.

Skarga wspomina trzy razy Sokołowskiego w swoich pismach, chwaląc jego »pilność y wielką naukę«; najbardziej osobisty

ton posiada wspomnienie w żywocie św. Jana Kantego: »Jako cię zapomnieć mam Sokołowski? byłeś mi niegdyś ochłodą i pobudką do dobrego«. Naodwrót i Sokołowski o swoim przyjacielu nie zapomina i, jak już Birkowski zauważył, podnosi w jego osobistości przyjemne i niespodziewane błyski talentu, jak niemniej jego dowcip. Wypada więc, że w uniwersytecie Sokołowski miał pewną przewagę umysłową nad Skargą, jakoż wcześniej zasłynął w świecie, niż Skarga, choć był o rok od niego młodszy; że Skargą się niejako opiekował, widząc w nim talent, dobre serce i znajdując pewną rozrywkę w jego towarzystwie. Że tak było istotnie, mogłaby także świadczyć ta okoliczność, że Sokołowski miał już ten przymiot, żeby odgrywać rolę Aligera wobec zdolnych a nieco osamotnionych chłopców i znaną jest jego przyjaźń z późniejszych lat dla młodego Szymonowicza, która rzec można, obok wspomnień rodzinnych, była najdroższym skarbem młodocianego poety.

Druga przyjaźń Skargi, to Stanisław Warszewicki [1] kasztelanic warszawski, niegdyś bujny młodzian i początkujący dyplomata polski, który w Wittenberdze z całym zapałem przylgnął do kultury odrodzenia, tłomaczył pod okiem Melanchtona na łacinę śliczne Nowele etyopskie Heliodora — a potem z życiem tem zerwał i wstąpił do Jezuitów. Skarga spotkał się z Warszewickim w nowicyacie rzymskim, następnie pracował pod jego okiem w kollegium wileńskiem i kto wie, czy nie przez niego na kaznodzieję dworskiego polecony został. Warszewicki bowiem miał ogromny wpływ na Zygmunta III; na dworze szwedzkim w latach 1574—1583 zajmował omal nie takie stanowisko, jak Skarga następnie w Polsce, i powszechnie znaną jest rycina, która wyobraża Zygmunta III klęczącego z różańcem obok wychowawcy swego, Warszewickiego. Skarga wspomina czterykroć w pismach swych Warszewickiego; raz w Żywotach ŚŚ. z podziwem, że porzucił karyerę dworską i sławę i nadzieję do biskupstwa, którego najbliższy był« (317); następnie w jednej broszurze polemicznej, gdzie mu daje tytuł »naymilszy moy Warsze-

[1] Ossoliński. Wiadom. krytyczne I.

wicki« i oświadcza, że niegdyś »za przykłady jego chodził« (Próba zak.); i wreszcie jeszcze dwakroć przypomina sobie o nim w dyaryuszu i to ostatni raz w bardzo tkliwy sposób, bo czyniąc zapiskę o wielkiej febrze, na którą sam r. 1604 chorował, i o gorączce silnej, jakiej doznał tuż przed chwilą krytyczną, powiada, że naówczas tłoczyły mu się do głowy rozmaite myśli i jedna szczególnie jak zmora go nękała, mianowicie, kiedy pokończy swoje dzieła i żeby jeszcze przynajmniej rok mógł żyć na świecie. Wtedy, jak czytamy, »*Pater Warszevicius apparuit, hora* 12 *in fine febris*« i, jak się Skardze zdawało, zapytał go: »*Unum adhuc? quare non decem?*« Jakkolwiekbyśmy się zapatrywali na ową wizyę, pozostanie faktem, że myśl o Warszewickim należy do najtkliwszych wspomnień Skargi, i że przyjaźń owa butnego niegdyś kasztelanica warszawskiego z ubogim stosunkowo i o kilkanaście lat młodszym mieszczaninem grojeckim, jest w warunkach XVI wieku dosyć zastanawiającą.

Trzecim wreszcie istotnym przyjacielem Skargi, którego pozyskał już na dworze, gdy tamtych dwu utracił, był Jędrzej Bobola, ochmistrz dworu Zygm. III, o kilka lat młodszy od samego Skargi. Był to typowy dworzanin polski, który »dworem ustawicznie się bawił a gospodarstwa nie dobrze wiedział«, jak biograf jego zaznacza [1], pełen taktu, a nawet przesady w przestrzeganiu etykiety, podobny nieco do onego ideału dystynkcyi towarzyskiej, jaki nam skreślił Górnicki, z tą tylko różnicą, że dworzanin Zygmunta III. musiał już nadto być i wielce pobożnym. Ze Skargą łączyły go instynkta starokawalerskie — Bobola pisał podobno jakiś traktat przeciw małżeństwu; następnie sympatya pewna w zapatrywaniach politycznych, mianowicie na stosunki poddańcze w Polsce; wreszcie przywiązanie do dworu i duch dewocyi religijnej. Bobola czynił codzień, podobnie jak Skarga, rachunek sumienia, podobnie jak on co tydzień się spowiadał i nawet dyscypliny często używał. Gdy wchodził do kościoła, rzucał się krzyżem na ziemię; podczas podniesienia zawsze z ławki wychodził i na kolana z pokorą padał. Zwłaszcza,

[1] M. Bembo, Wizerunek szlachcica prawdziwego. Wilno 1629.

zauważa biograf, punktualnie obchodził praktyki wielkotygodniowe, i wszystkich współczesnych zachowaniem swem budował. Biograf jego podaje z uniesieniem, jaka to »piękna rzecz była onego staruszka świętego w kościele widzieć« i bardzo się roztkliwia nad jego dewocyą. Rysami tymi mógł on Skardze posłużyć jako żywy obraz jego ideałów pańsko-szlacheckich. Skarga dedykował mu trzy dzieła, z wdzięczności za rozmaite drobne usługi, a w jednem z nich p. t.: »O czterech końcach żywota ludzkiego«, wyznaje »Mnie przerywania dworskie prędko pomięszają, a W. M. wielkie na posługach K. J. M. zabawy, szkody na duchowieństwie nie czynią. Masz swoje do rozmyślania y modlitwy czasy, których sobie wydzierać nie dopuścisz«. Bobola był egzekutorem testamentu Skargi, a za życia zapewne przewodnikiem i busolą w stosunkach dworskich, bo naturalnie, gdy Skarga wprost od św. Barbary na Zamek się przeniósł, to nie mógł mieć tego wyobrażenia o intrygach antykamery królewskiej, co Bobola, stary dworzanin jeszcze z czasów Zygmunta Augusta.

Jak widzimy, źródeł bardzo szczegółowych, do oceny stosunków przyjacielskich Skargi nie posiadamy, ale i z tego co jest, ocenić można, że przyjaźni szukał i na nią szczerze pracował — i że okazywał w niej niezawodnie wierność, prawość i dyskrecyę. Ale przyjaźń Skargi nie była już zupełnie bezinteresowną. Jakkolwiek będziemy sądzić fakta, któreśmy przywiedli, bije to w oczy, że Skarga nie przywięzywał się zazwyczaj do ludzi równych, ale znaczniejszych, od których coś skorzystać mógł; Skarga przyswaja sobie widocznie od swych przyjaciół, Sokołowskiego, Warszewickiego i Boboli, przymioty i środki, które mu się w walce życiowej przydać mogą. Nie mówi to zapewne na jego niekorzyść, jak raczej objaśnia jego ciężkie warunki bytu. Potem przyjaźń Skargi nie jest także bezcelowa i dla własnej satysfakcyi, jak u Reja albo Kochanowskiego; Skardze nie o to chodzi, żeby miał z kim bawić się, pić i rozmawiać; stosunek ten pojmuje on niewątpliwie szlachetniej, ale zarazem mniej otwarcie, humanitarnie. W Żywotach SS. powiada: »Nauczże się wiernym towarzyszem być, a obłudności się strzeż,

a wżdy do dobrego, przyjaciela miłego pociągaj«. (8). Skarga z zasady chce zaraz oddziaływać, poprawiać, podnosić, ścigać wyższe cele etyczne. Przyjaźń jego jest więcej krytyczną, bardziej oględną, zresztą spoczywa już na innym podkładzie umysłowym, jak u tamtych.

Właściwem jednak polem rozwojowem dla uczuciowości Skargi stał się dopiero dwór królewski, na którym zajął stanowisko, jakgdyby bardzo cenionego i kochanego sługi i doradcy. Z obiema królowymi pozostaje wprawdzie jeszcze na dosyć obojętnej stopie. Z Anną Jagiellonką miał honor kilkakroć rozmawiać, znał jej życie codzienne, znał niektóre dykteryjki, z attencyą na nią patrzył, ale dalej nic. Podobnież z Anną Austryaczką. Przypuszczony był blisko do jej towarzystwa, wmięszany do wypadków, których przed bliższymi ukryć niepodobna, znał także jej tok życia, budował się jej pobożnością. Widocznie, że go uważano za dobrego i wiernego sługę — człowieka neutralnego, nieszkodliwego i w intrygi dworskie nie wdającego się, którego w życiu codziennem żenować się nie potrzebowano. (Kaz. pogrz.). Bliższe już stosunki panują pomiędzy Skargą a Królową Konstancyą, jakkolwiek przybycie tejże do Polski omal nie stało się przyczyną do usunięcia Skargi z dworu i jakkolwiek z początku nieznajomość języka niemieckiego stała Skardze na przeszkodzie do zawiązania z królową bliższej znajomości. Ale już r. 1608 Skarga został wezwany dla dokonania ceremonii chrztu nowonarodzonego królewicza; następnego roku na prośbę królowej, ofiarował uroczyście na własnych rękach późniejszego Jana Kaźmierza, przed ołtarzem M. Boskiej i św. Kaźmierza w Wilnie; wreszcie w roku 1611 odbywa z królową pielgrzymkę do Matki Boskiej trockiej na pomyślność wyprawy Smoleńskiej (Dyaryusz). Naówczas więc, był już widocznie rodzajem opiekuna i poważanego przyjaciela domowego w ścisłem kółku rodzinnem dynastyi Wazów.

Właściwą jednak przyjaźnią Skargi na dworze — to sam król. Przyjaźń to bardzo szczególna, która wypłynąć musiała z obopólnej sympatyi duchowej, i której szczerości w żaden sposób podejrzywać nie możemy, skoro dziwnym trafem zacho-

wał się nam list, pisany przez Skargę, zanim jeszcze został kaznodzieją dworskim, i mieszczący pierwsze wrażenie pięćdziesięciokilkoletniego zakonnika o dwudziestokilkoletnim władcy. Otóż w tym już liście Skarga jest wprost zachwycony »anielskiem obliczem« Zygmunta III i z satysfakcyą wyliczając jego przymioty, powiada, że one »jako perły niejakie pokazują się na jego twarzy« (Maciejowski, Dod.). Zachwyt ów może ma trochę ludowego zacięcia, w każdym razie w zdaniu tem Skarga na zawsze się utrzymał. W dwu listach dedykacyjnych (1590 i 1595) i w dwu kazaniach (1598), Skarga wychwala Zygm. III za wielką bogobojność, ostrożne sumienie, zamiłowanie czystości, umiarkowanie affektów, za dowcip, pamięć, cierpliwość, pilność w wykonywaniu obowiązków królewskich i wielkie serce jagiellońskie. Słowem, Skarga widzi w Zygmuncie III skarbnicę wszelakich przymiotów, a nie można powiedzieć, żeby mu chciał pochlebiać, bo równocześnie spostrzegamy to jak na dłoni, że go Skarga zna na wylot, i — przepraszam za wyrażenie — że nad nim trochę przewodzi. Skarga traktuje Zygmunta III. z attencyą, ale jak młodzieńca — widocznie O. Warszewicki wpoił dobrze swemu wychowańcowi uszanowanie dla księży — daje mu rad i wskazówek mnóstwo, żeby słuchał starszych i wytrawnych ludzi, żeby otaczał się samymi pobożnymi patryotami, usuwał z dworu pochlebców i chytrych, wystrzegał się egoistów i familiantów, pomnażał skarb, fundował rycerskie zabawy, popierał nauki, miłował poddanych itd. Płynie to u Skargi jak z rogu obfitości. I wyobraźmy sobie, że król tego wszystkiego słucha, widocznie się tem powoduje i nie gniewa się na kaznodzieję, czy mu te rady daje prywatnie, czy publicznie w ogromnym natłoku osób, czy nawet przynosi je w książce wydrukowane. Skarga, upominając króla, mówił do niego zawsze w trybie rozkazującym w liczbie mnogiej, jakby i sam siebie chciał równocześnie upominać: »nie frasujmy się« »zdrowia nie psujmy« »pociechy przyimuymy« itd.

Skarga był do króla gorąco a nawet fanatycznie przywiązany, może być dlatego, że tak wielki miał wpływ na niego. Przyjaźń ta była mu nagrodą za wiele złudzeń i prześladowań,

jakich w życiu doznał. Król lubił z nim rozmawiać, brał go na rozmaite przejazdy po kraju, odbywał z nim wspólne pielgrzymki do miejsc cudownych, zwłaszcza do Częstochowy, robił mu prezenta w postaci kosztownych relikwii, listów protekcyjnych, jałmużny dla kollegiów jezuickich, wreszcie uczynił mu dar prawdziwie królewski: fundował kościół św. Piotra w Krakowie, który otrzymał patrona po części ze względu na imię nadwornego kaznodziei. I czyż dziwić się, gdy w tych stosunkach, syn mieszczanina grojeckiego, prawie, że onieśmielony nadmiarem łaski, zaczął do tonu poufałości bezinteresownej dodawać trochę nieświadomego pochlebstwa; gdy króla począł nazywać »Dawidem«, »Saulem«, »wysokiem drzewem, pod którem żyjemy«, »orłem na wysokości«, »Eliaszem rydwanu państwa polskiego«. (Na dziękow. 1598). Te wszystkie biblijne attrybuty, powiedziane publicznie, usprawiedliwiać musiał w swej poczciwej duszy tem, że równocześnie publicznych napomnień królowi nie szczędził. Zresztą, że w tak wyjątkowych warunkach unosił się to w tę, to w ową stronę, to dowód błogiej prostoty owych czasów, kiedy człowiekowi wolno było jeszcze gadać, co sobie myśli, i kiedy zarówno burę, jak przesadne zachwyty przyjmowano z równem skupieniem, o ile ze szczerego serca pochodziły. Najlepszym jednak z tych szczególnych objawów czułości dla króla są życzenia noworoczne na czele »Rocznych dziejów kościoła« w r. 1603 wydrukowane:

»Obrońcy katholickiey wiary, długie dni. Amen.

Miłośnikowi sprawiedliwości y cnót świętych, hoyne i wesołe lata. Amen.

Budownikowi kościołów Bożych y zwycięzcy szczęśliwemu, przedłużony wiek. Amen.

Powstań sprawiedliwość za dni jego, y okwitość pokoju. Amen.

Day mu Panie, poddane uspokoione a nieprzyiaciele poniżone. Amen.

Day mu ostrożną na wszytki potrzeby pospolite, domową y woienną czuyność y mądrość. Amen.

Niech ogląda Syny Syna swego, a patrzy na pokoy kościoła Bożego y królestwa swego. Amen. Amen. Fiat. Fiat«.

Uczucia, które Skarga posiadał dla Zygm. III. przeszły w całej pełni, a nawet podwojone i potrojone, na syna jego, następcę tronu polskiego, Władysława IV. Dotykamy tu może najciekawszej strony uczuciowości Skargi, mianowicie jego zachowania się w obec dzieci. Władysław IV dla starych Polaków, mianowicie z obozu katolickiego, stanowił przedmiot takiej dumy i radości, jako żywe wcielenie uczuć dynastycznych jagiellońskich, że małem dzieckiem będąc, ze łzami prawie, jak cudowne zjawisko, powszechnie na ulicach bywał witany i rycina jego z szabelką w ręku, była naówczas tak popularną w Polsce, jak później w dworze soplicowskim »Przysięga Kościuszki na rynku krakowskim« albo »Śmierć Księcia Józefa w Elsterze«. Wśród epigramów płodnego rymotwórcy owego czasu Ks. Grochowskiego, czytamy taki wierszyk: »Na konterfekt polskiego królewica Władysława, siódmy rok wtenczas mającego«.

Tak wzrok, tak szabelką nosi syn Pana naszego
Władysław, to konterfekt, to własny kształt jego;
Bądź siedzi, bądź paciorkiem służy pańskiej chwale,
Bądź chodzi, bądź gdzie jedzie na swym bucefale.
Zdrów rość, nadzieje wielkiej mały królewice,
A ćwicz się, chceszli tron mieć królewskiej stolice.
Królewskiemu synowi trzeba umieć siła,
Tak czyń, by się twa dzielność i nam przygodziła.

Otóż jeśli poeta z daleka od dworu stojący, na widok konterfektu Władysława tak serdecznie i ciepło umiał się odezwać — wyobrazić sobie można, czego dopiero Skarga doznawał, który nad królewiczem omal nie od zarania jego życia, jak duch opiekuńczy czuwał i pół na pół zapewne go wychowywał. Już w latach 1597, 1598, kiedy Władysław był zaledwo dwu lub trzyletniem dzieckiem, uważał Skarga za stosowne polecać go w Kazaniach Sejmowych narodowi, z tą gorącością w słowach, która mu już była właściwą. »Rzadka nowina — powiada — tobie Polaku wieków tych złych naszych, królewic w domu królewskim«. (Kaz. pogrzeb.). W r. 1603, zwracając się do prymasa

Karnkowskiego, odzywa się jeszcze czulej »Władisław nasz nacieszniejszy«, »Władisław przewdzięczny synaczek K. J. M. a nadzieia korony tey« (Roczne dzieje); z całem jednak przywiązaniem swem do młodziutkiego królewicza wylał się dopiero w dedykacyi trzeciego wydania »Żywotów ŚŚ.«, przedsięwziętego specyalnie dla Władysława, gdzie wśród powodzi rad i wskazówek, daje Władysławowi upomnienia, jak ma postępować, gdy kiedyś królem zostanie. Napomnienia te są bardzo ciekawe dla poznania samego Skargi, obejmują jednak tylko ogólnikowe uwagi o stanie królewskim, acz poczciwe, i ślicznym językiem ułożone. Skarga czyni Władysława IV. uważnym na jego wielkie obowiązki, radzi mu postępować po prostu i uczciwie według powszechnych prawideł religijnych, mieć przywiązanie do Stolicy apostolskiej, okazywać się energicznym i rozważnym w rządzeniu a przytem popierać nauki. Osobisty ton posiadają zwroty uboczne, pełne głębokiego uczucia, jak zwykle u Skargi i »najmilsze dziecię, ochłodo wszystkiej Korony« »dziwnie wdzięczne dzieciństwo twoje śmiałym mnie czyni«, »rozrastajże przejasny królewski synu w Boskiem błogosławieństwie na duszy i ciele«. Rady te, w paragrafy ujęte, były następnie sławne w całej Polsce i krążyły wśród partyzantów królewskich [1], jak kordyał drogocenny, podsycający dobre instynkta patryotyczne, w trudnych nieraz sytuacyach moralnych.

Te trojakie stopnie przywiązania, zażyłości i węzłów Skargi z osobami rodziny królewskiej, mianowicie z Zygmuntem III, królową Konstancyą i Władysławem IV, dają nam dopiero właściwą miarę stanowiska naszego autora na dworze. Było w tym stosunku i trochę wdzięczności dawnych rezydentów polskich i trochę serdecznej przyjaźni, jaka się zwykła wytwarzać wśród osób, pod względem socyalnym bardzo nierównych, gdy je wypadki złączą a serca do siebie przylgną. Skarga oddał sporo usług rodzinie Zygmuntowskiej, asystując przy zgonach dwu królowych, biorąc udział w rozmaitych zdarzeniach tej rodziny wesołych i smutnych, niosąc pociechę, jaką dać umiał, i rady, na

[1] Siarczyński. Obraz wieku Zygmunta III-go I. 310.

jakie go stać było. Snać jednak słowa jego zawsze trafiały do serc członków rodziny królewskiej, skoro go w niej tak wysoko ceniono, a gdy się usunąć pragnął, puścić go nie chciano, a nawet tuż przed ostateczną chorobą zaledwo krótki urlop otrzymał. Gdy Skarga czuł się już bardzo słabym i prawie z otaczającymi rozmawiać nie mógł, dano mu pomocnika, i dopiero następnego roku, gdy już koniecznie naparł się wyjechać do cieplejszego klimatu — a naówczas za klimat cieplejszy uważano w Polsce Sandomierszczyznę — pozwolono mu wreszcie na kilka miesięcy dwór opuścić, ale z dniem ściągano jeszcze do Wielkiej Nocy, a potem aż do imienin królewskich. Wyjazd jego naówczas przybrał rozmiary wyjątkowo wzniosłej i doprawdy nie codziennej uroczystości familijnej. Było to dnia 2 maja. Skarga odprawiał cichą mszę, na której, w celu pożegnania go, pojawili się oboje królestwo, a król, królowa, i młody królewicz przyjęli uroczyście Komunię św. z rąk swego długoletniego przewodnika religijnego.

W tych stosunkach zdawałoby się, że Skarga »mieszkał z wielką chęcią u dworu« i my sądzimy, że tak rzeczywiście było. Naprzód wszystkie słowa, któreśmy powyżej przytoczyli, przemawiają za tem, że Skarga do dworu istotnie się przywiązał i piękną misyę swoją na tem trudnem stanowisku zrozumiał; następnie zapominać nie można, że mimo rozmaitych wahnień w stosunku swym do dworu, ostatecznie do końca życia na nim pozostał; wreszcie z jego własnego dyaryusza dowiadujemy się, że te dowody życzliwości, przywiązania i uszanowania, jakich doznał od rodziny Wazów, były mu bardzo przyjemne. Pomijamy na razie względy patryotyczne i idealne, które mu nakazywały zatrzymać jak najdłużej tę wyjątkową godność, której sam nie mało blasku dodał. Tymczasem w jednej mowie, wypowiedzianej publicznie r. 1606, czytamy takie słowa: »Mieszkamy u dworu, iż nam kazano; nie obieraliśmy nigdy mieysca tego, jedno stoiem, jako żołnierze, choć tam gęsta strzelba bije. Niech jedno skinienie starszego y króla J. M. będzie, obaczy każdy, z jaką się ochotą do komórki porwiemy, y strawnego, y odwozu nie prosząc. Ja temu, który mi tę nowinę przyniesie, y suknię,

będzieli moją, z siebie daruję. Abo my na jakie dochody y wakancye straż dworską trzymamy? Abo nam smakują świeckie mięszaniny, odmiany y nowiny y postępki kościołowi Bożemu y ojczyźnie straszliwe, krzywdy, ciężkości, wrzaski ludzkie, które się do dworu, jako rzeczki do Wisły zbiegają? Izali kochać się możem w nabieganiach y niepokojach y ścieraniu się z dworskiemi y żołnierskiemi obyczaymi«. Słowa te w ustach zakonnika wytłomaczalne — w piśmie publicznem polityka są nam zupełnie niezrozumiałe, i uważamy je wprost za frazes niezręczny, wywołany irytacyą na rokoszan, za uchwalenie artykułu o usunięciu Skargi z dworu królewskiego. W historyę całej tej sprawy wchodzić nie możemy; wystarczy nam wiadomość, że naówczas mogło nastąpić pewne oziębienie w stosunkach Skargi do dworu dlatego, że na niego po części zwaliły się skutki powtórnego małżeństwa królewskiego, któremu sam był przeciwny; że dalej wyznaniem powyższem chciał osłonić swój zakon, który niepotrzebnie w wir tej sprawy wciągnięto. W każdym razie, choćby ze względu na liczne dobrodziejstwa królewskie, ze względu na te serdeczne stosunki, któreśmy wyżej skreślili, twierdzić wypada, że słów przytoczonych nie należy brać za rozważne sprawozdanie autora o stosunku swym do dworu. Prawda, że Skardze, jako prawdziwemu zakonnikowi, niektóre ciemne strony życia dworskiego, mogły się nie podobać. W dalszym ciągu swej przyostrej nieco krytyki powiada, że na dworze zygmuntowskim objawiało się takie zapalczywe ubieganie za wakansami »iżby się drudzy y piecuchom y masztalerzom królewskim kłaniali, by tam o pomocy swey poczuli«. Prawda, że i do Skargi często o pośrednictwo się udawano, a Skarga jako człowiek, co do zachowania dosyć prosty, nie wiedział czasem, jak sobie poradzić z odwiedzinami senatorów, o których, będąc w Grojcu, zapewne nigdy nie myślał, że ich w swym pokoju będzie przyjmował. »Zamykać się przed nimi trudno y grubo je przyimować nie przystoyno« — powiada. Skarga ratował się poczciwą radą: »Nie chodźcie do nas o wakancye y pożytki swoje; macie urzędy, kancellarye, sekretarze; na spowiedź do nas y duchowne porady przychodźcie«. Prawda,

że nawet tych słów natrętni dygnitarze nie słuchali, bo wiedzieli o potężnym wpływie zakonnika na króla — nie mogli zrozumieć tej wzorowej bezinteresowności Skargi, która potem w tak cudnych uwagach o stanie moralnym Polski skupić się miała. Prawda, że Skarga nawet próbował bronić się przeciw temu natręctwu w kazaniach »Jam kilkakroć y na kazaniach tę odprawę ich opowiadał« — i wszystko to nie skutkowało. Prawda to dosłowna, mimo to te przykrości, aczkolwiek może dla Skargi bardziej dotkliwe, niźli dla kogo innego — są tak drobne i małostkowe, że zasadniczego poglądu na stosunek i missyę jego u dworu nie mogły zmieniać i Skargę bynajmniej nie uprawniały do publicznego wypowiedzenia tamtych słów zbyt zapewne pośpiesznych, a nawet niegrzecznych i szorstkich. Tego samego zdania byli nawet jego przełożeni i kazali mu złe wrażenie owej mowy zatrzeć i Skarga »z poruczeniem starszych« musiał potem pisać osobną broszurę, nawiasem mówiąc pod względem literackim bardzo słabą, w której z innego zupełnie punktu widzenia i bez przymieszki osobistych i zbyt porywczych uniesień, miał przeciwnikom swoim odpowiedzieć.

Oprócz powyższych przyjaźni, zawarł Skarga w ciągu swego życia jeszcze wiele rozmaitych znajomości na Litwie, Rusi, w Małopolsce, a nawet w Rzymie, stosownie do rozmaitych faz swego żywota. Stosunki te nawiązuje Skarga początkowo wśród niższego kleru, a potem znów głównie w wyższych sferach świeckich, kościelnych i dworskich, jak to naturalnym rzeczy biegiem z warunków jego życia wynikało. Skarga do ludzi lgnął łatwo, łatwiej niżby się nam wydawało; miał jednak tę normę, żeby zbliżać się tylko do osób, poprawnie po katolicku myślących, co w stosunkach ówczesnych było wprawdzie wskazanem, jednak znajomościom jego nadało cechę pewnej wyłączności. Godnemi uwagi zwłaszcza są jego znajomości z konwertytami, których nawrócenia sam dokonał, np. z takim Hieronimem Gostowskim, wojewodą poznańskim, późniejszym nadzorcą budowli św. Piotra; albo z dobroczyńcami zakonu, taką Zofią Odrowążową, fundatorką kollegium jarosławskiego itd., w których sympatya osobista mięsza się z szczególnego rodzaju

wdzięcznością i wytwarza węzeł osobliwego powinowactwa kościelnego, dziś wobec zmienionych stosunków, dosyć zapomnianego. Najciekawszą jednak z wszelkiego rodzaju znajomości, i rzucającą bardzo sympatyczne światło na Skargę, jest jego zażyłość, raczej niż przyjaźń, z Janem Karolem Chodkiewiczem, wielkim hetmanem polskim, którego imię w naszej literaturze żyje przeważnie dzięki wspaniałym odom, drugiego jezuity polskiego, Sarbiewskiego. Zawiązanie tej znajomości trzeba przypisać ślicznemu kazaniu Skargi o zwycięztwie kircholmskiem, w którem naturalnie bez przyjaznych wzmianek o hetmanie obejść się nie mogło; następnego roku poświęca mu Skarga, a zarazem Żółkiewskiemu godne uwagi dziełko, p. t. »Żołnierskie nabożeństwo«. Była to znajomość pełna obopólnego uszanowania. Chodkiewicz pisze w jednym liście do prowincyała jezuitów: »Jegomości Xiędzu Skardze niski pokłon oddawam« — i usprawiedliwia się, że do niego osobnego listu pisać nie może; Skarga zaś na wiadomość o powodzeniach hetmana w wojnie moskiewskiej, przesyła mu powinszowanie, w którem czytamy takie słowa: »Radości serca mego zataiciem nie mógł. Błogosław Cię Pan Bóg i dom twój na wieki«. (Dziedusz. II. 358, 523).

Jeśli teraz wszystkie wiadomości nasze o serdecznych stosunkach Skargi z rodzinnemi osobistościami pozbieramy, to nie wiem, czy nie przyjdziemy do tego wniosku, że Skarga właściwie nie ludzi kochał, ale idee, które oni w głowie jego przedstawiali. Fakta niektóre objaśnimy jeszcze później. Tu wystarczy nam wrażenie, że Skarga nie kocha ludzi tą bezmierną, panteistyczną miłością, która wprost przenika zmysłową powłokę ludzką i w ludziach wielbi całe ich człowieczeństwo. Przywiązanie jego do ludzi zbliża się raczej do bezosobowej adoracyi przymiotów, i bystremu spostrzegawcy okazywać zapewne nie potrzebujemy, że we wszystkich powyższych a najbardziej znamiennych oświadczeniach przyjacielskich Skargi niepodobna zauważyć ani jednego zachwytu nad ruchem np. zewnętrznością, albo stanem psychologicznym jakiegokolwiek człowieka. Skarga potrafi się przywiązać do ludzi brzydkich na twarzy np. Sokołowskiego;

KS. PIOTR SKARGA
(PORTRET STACHOWICZA, MIEDZIORYT LANGERA).

Bobolę wielbił za jego pobożność, Chodkiewicza za jego patryotyzm; króla zaś razem z synem dlatego, że przedstawiają dla niego syntezę uczuć i ideałów, które później objaśnimy. Wiek XVI był ogromnie zmysłowy i wydał jak wiadomo cudowne ideały piękna. W Polsce wprawdzie, Skarga ze swojemi pojęciami, nie tak silnie odcinał się od otoczenia. Ale i tu, w stosunku do zmysłowego światopoglądu takiego Gieuisa, Janitiusa, Reja, Kochanowskiego, abstrakcyjny kierunek myślowy Skargi dosyć się zaznacza, przynajmniej tak, ażeby nawet popularne a dosyć trzeźwe głowy mogły go zauważyć. W jednej z broszur współczesnych, wydanej w odpowiedzi na polemikę Skargi czytamy: »autor tego pisania nie iest, któremuby szło o przyiacioły miłe, o żonkę, o dziatki a potomstwo wdzięczne: ale iestto osoba duchowna, samotna, swoie tylko delicie upatruiąca«. (Resp. w porywczą dany 1592). Jeśli z tego cytatu wyrzucimy słówko oszczercze »delicie« i podstawimy »ideały«, będziemy mieli w tym kierunku zupełnie trafny choć popularny sąd o Skardze.

Do tego momentu trzeba nam było badania doprowadzić, ażeby zrozumieć najgłębsze pokłady życia serdecznego Skargi. Skarga miał wielkie i gorące serce, ale ono nie było przeznaczone dla ludzi i żadna istota ludzka zapełnić je w całości nie potrafiła. Jeden człowiek, nawet jeden stan, jak u Reja, to dla niego za mało — całe zbiorowisko ludzkie, które nazywa się ojczyzną, cała ludzkość, która u niego nazywa się kościołem — to dopiero jego konkretna miłość, a zarazem jego serdeczna abstrakcya. Przypominać kazania sejmowego »O miłości Ojczyzny« zdaje się nie potrzebujemy. Apoteoza Polski w tem kazaniu jako matki jest niezrównana i przewyższa objętością uczucia wszystko, co na ten temat powiedziano aż do czasów Mickiewicza. Skarga ukochał Polskę, jak nam tłumaczy, za jej wiarę, za nieskalaną i podniosłą historyę, za jej wolność, dostatniość ziemi, pokój i sławę wojenną. Pierwszy raz to uczucie manifestuje się w tej postaci i tak silnie w literaturze polskiej. Długosz je posiada, w wysokim stopniu niem się kieruje, ale go bliżej nie uzasadnia; u Reja jest ono ślepą wiarą w żywotność elementu polskiego; w listach Zygmunta Augusta objawia się namiętnem

ukochaniem etnicznych właściwości i ludowych pieśni polskich. U Skargi pierwszego uczucie to jest pełne, z wszystkich zasadniczych ogniw złożone i doskonale po nowoczesnemu uzasadnione. A przytem z jakichże głębin i z jaką elementarną potęgą wytryska! Skarga nauczył patryotyzmu Polaków; uczucie to opromieniło skroń jego nigdy niegasnącą aureolą i uczyniło »Wtóre kazanie seymowe« podstawowym pomnikiem naszej literatury.

Jak przyszedł Skarga do tego pojęcia, musimy sobie w kilku słowach objaśnić. Miłość ojczyzny a właściwie ojcowizny, miał Skarga wrodzoną, etniczną, mazurską, a pogłębił ją przez kilkoletni pobyt we Włoszech i kilkoletnią tęsknotę za domem. Już w jednem kazaniu niedzielnem powiada, że Polak przebywający we Włoszech, czeka tak niecierpliwie i z taką zachłannością czyta nowiny z Polski, które dla Włocha są obojętne, że to mimowoli uwagę otaczających zwraca. Mamy tu to samo uczucie w skróceniu, które z całą świadomością występuję w opisach przyjęcia emissaryuszów w Soplicowie. W Żywotach ŚŚ. i to szczególnie w żywocie Abrahama patryarchy, pojawia się taki zwrot: »Nad inne miłe człowiekowi rzeczy, najmilsza jest ojczyzna, naród, dom i powinni, między którymi się kto urodzi i wychowa; okrom nich, by się człowiekowi najlepiej działo, przyrodzona jednak tęskliwość ciągnie i najlepszą krainę za wygnanie sobie poczyta«. A więc Skarga odczuwał »przyrodzoną tęskliwość« i inne kraje poczytywał nie za miejsce łatwiejszego zarobku, nie za miejsce przyjemniejszego albo zabawniejszego pobytu, ale wyraźnie tem a nie innem słowem za »wygnanie«. Z uczucia tego łatwo mu już było wyprowadzić dalsze wnioski. Jakoż w kazaniu »O miłości Ojczyzny« najwyraźniej oznacza ślad swoich myśli: »Dobrze, powiada, miłować sąsiada; lepiej wszystkie, którzy w mieście jednem są, a pogotowiu jeszcze lepiej wszystkie obywatele królestwa tego«. Tu naturalnie Skarga jeszcze zatrzymać się nie mógł i pierwszy raz usłyszano w Polsce te wyrazy: »Do tej szerokiej i przestronnej miłości przywodzić się macie«, i drugie niemniej znaczące: »nie cieśnijcie ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach«.

Odkrywszy właściwy podkład myśli serdecznych Skargi, łatwo nam teraz zrozumieć i jego humanitarne idee i jego przywiązanie do drugiego ostatecznego wniosku swych uczuć i myśli, mianowicie do Rzymu i to nie tego Rzymu z ludzi i kamienic złożonego, nie tego Rzymu realnego, który każdemu łatwo zobaczyć, ale Rzymu idealnego, abstraktu omal nie teologiczno-filozoficznego, który obok ojczyzny, jako drugi istotny ideał w głowie Skargi istnieje. Potrzebował Skarga coś czcić i wielbić bezgranicznie, a że w uczuciach swych dochodził zawsze do ostatnich konsekwencyi, więc nic dziwnego, że jako ksiądz ukochał ów Rzym całem sercem. O Rzymie wspomina Skarga w »Żywotach« cztery razy, a ze sposobów wyrażenia tam poddanych możnaby złożyć mniej więcej taką całość: »Jako cię mam sławić święty i dziwnie u Boga uczczony Rzymie! Kto twoją dostojność i szczęście wyczytać może? W tobie i proch wszystek, po którym depczesz, krwią męczeńską polany jest... Szczęśliwe prawie miasto, które w rozwalinach i ruinie obalonego świeckiego panowania leżąc a innej obrony nie mając, takiemi murami obtoczone, szerzej swoją duchowną władzę, niżeli kiedy państwo rzymskie rozciąga. Już dziś twoje ulice za morze się puściły y na on świat, o którym żadne wieki nie wiedziały, zaszły korzenie winnice twojej... Nie dziwuję się stolico opoczystego Piotra, iż tak długo stoisz, boś na głębokich i drogich fundamentach (wiary i męczeństwa) osadzona jest« (16, 126). Mamy tu pojęcie Rzymu omal nie takie, jakie następnie w głowie Krasińskiego odżyło, a godna uwagi, że Skarga do tych przekonań samorodnie i bardzo prostą drogą dochodzi. Jak więc widzimy, uczuciowością Skarga wybujał ponad wiek i zbliżył się nią poniekąd do poetów romantycznych. Stanowi on, jak na swój czas, naturalne uzupełnienie do Kochanowskiego, u którego rozwój uczuciowości poszedł w zupełnie innym kierunku, a w zakresie patryotyzmu i katolickich uczuć tak uszczegółowiony i zdecydowany nie był.

Oprócz jednak strony afektywnej, znajdujemy u Skargi drugą seryę zajmujących symptomatów, które nas w inną dziedzinę jego duchowej istoty przeprowadzają. Skarga miał zawsze

jasny cel w życiu i zmierzał do niego nadzwyczaj prostą drogą. Pomijając na razie zdarzenia z młodości, warto teraz nieco bliżej rozważyć sprawę wyboru stanu przez głośnego kaznodzieję. Co do tego faktu, łatwo ocenić, że Skarga na mocy swego urodzenia byłby niewiele dokazał w Polsce i musiałby był ugrzęznąć na miejscu, jak Klonowicz, lub przerzucić się do innego, praktycznego zawodu, do którego najmniejszego powołania nie uczuwał. Także w duchowieństwie świeckiem szczególne widoki mu się nie otwierały. Chwila, w której mógł zrobić karyerę w Polsce taki Janitius, Hosius, Kromer, Modrzewski, Górnicki — już przeminęła; mieszczaninowi, rwącemu się do społecznego działania, należało w drugiej połowie XVI. wieku szukać oparcia w jakiej potężnej i niezależnej od polskich stosunków korporacyi. Zakon Jezuitów był na ówczasświeży — »a rzeczka, im źródła bliższa tem jaśniejszą ma wodę«, jak Skarga w żywocie św. Franciszka Borgii notuje (283), — okazywał wielką żywotność, rozwijał się świetnie i rokował wspaniałą przyszłość Argumenta te w decyzyi Skargi, jak wogóle w decyzyi każdego człowieka, odgrywały zapewne niejaką rolę; głównie jednak, pomijając naturalnie pobudki moralne, chodziło mu, żeby się wyswobodzić od krępujących stosunków krajowych i zyskać swobodę do kształcenia się i działania, żeby »za jedną plebanię świata wszystkiego plebanię miał a wszędzie wolno kazanie swe i przykłady rozsiewać mógł«, jak powiada, tłómacząc nam decyzyę św. Jacka w podobnej okoliczności. Skardze podobał się rzeczywiście internacyonalny charakter tego zakonu. »Zakon nasz, zaznacza raz Skarga, y na tym jest od Pana Boga obdarzony, iż się miłością uprzeymą ze wszystkiemi językami y narody wiąże a zgodę wielką z nimi zachowuje« (Na art.).

Wstąpiwszy do zakonu, pozbywał się Skarga zupełnie troski o stanowisko społeczne, która mu osobiście jako człowiekowi inteligentnemu musiała być przykrą. Nie znaczy to wcale, iżby Skarga nie był sobie potrafił zdobyć zwyczajnych środków bytu, iżby nie posiadał instynktu życiowego, który ludzi energicznych pcha naprzód i nie pozwala im dać się zbić z tropu drobnemi szykanami ludzkiemi. Owszem jeszcze przed wstąpieniem do

zakonu da się u niego wykryć dążność do celowego kierowania sobą. Skarga dostał się na Ruś, zapewne za poręką albo raczej wskazówką swego uniwersyteckiego kolegi Herbesta, Przemyślanina, późniejszego apostoła Pokucia, Podola i Rusi. Przynajmniej znajomości jego i Herbesta są na Rusi identyczne. Książę Ostrogski, hetman Mielecki i Melchior z Mościsk, prowincyał Dominikanów — to ich stosunki wspólne. (Wiszn. VI. i Wielewicki, pod r. 1593). Wprawdzie Skarga powiada, że się z księciem Ostrogskim dopiero na pogrzebie Tarnowskiego poznał (O jedn. kość. Boż. 1577), ale pozostają jeszcze dwie tamte osobistości, a potem refleksya, dlaczego z początku swego duchownego zawodu poszedł na Ruś, a nie aplikował się w dyecezyi poznańskiej. Samo bowiem wezwanie arcybiskupa lwowskiego, o którem wspominają dawne życiorysy, zwrócone do Skargi, naówczas jeszcze cywilnego człowieka, byłoby zapewne nie wystarczało, ażeby go w obce strony pociągnąć. Będąc wreszcie na Rusi, wchodzi Skarga w koneksye z wszystkiemi znakomitościami miejscowemi, oprócz wymienionych, z Janem Krzysztofem Tarnowskim, kasztelanem wojnickim i jego żoną Zofią Odrowążową, na którą zyskuje wielki wpływ. Jak się to odbywa, zkąd się to wszystko bierze? W braku źródeł stanowczych, przypuszczamy w tem dowód umiejętności życiowej Skargi, a może także zdobycze jego talentu kaznodziejskiego albo pasterskiego.

W Wilnie rozszerzają się znajomości Skargi, głównie pod egidą Stanisława Warszewickiego, który z natury rzeczy stosunki w najwyższych sferach posiadał. Skarga wchodzi w styczność z miejscowym biskupem, którego po wielekroć w pismach swoich wspomina — widocznie był u niego dobrze notowany; następnie zbliża się do Radziwiłłów, dzięki konwersyi przez kazanie dokonanej i chwyta się pierwszy raz silnie miejscowego gruntu. Nawrócenie Mikołaja Radziwiłła Sierotki i jego braci: Jerzego, późniejszego kardynała, Stanisława, starosty żmudzkiego, wreszcie Albrychta, marszałka litewskiego — to znaczy, jak powiada Dzieduszycki, zabranie zborów kalwińskich w Nieświeżu, Ołyce i Klecku, usunięcie ich szkół z dóbr radziwiłłow-

skich, odebranie im drukarni, palenie Biblii brzeskiej, pielgrzymka do Ziemi Świętej Mikołaja Sierotki, nie bez korzystnego wpływu na ogólną opinię prowincyi — wogóle setka faktów, które tętno wyznaniowe Litwy ku katolicyzmowi przechyliły. W aktach nuncyatury polskiej mamy kilka karteczek Skargi, z imiennymi spisami jego konwertytów na Litwie, a w jednym z artykułów późniejszych, wspomnienie pełne zadowolenia, że owe stosunki tak prędko przeminęły, kiedy to w Wilnie »ukazać się na ulicę kapłanowi katholickiemu ledwie było podobna« i kiedy to »we wszystkim Wielkim onym Xięstwie, zwłaszcza między przednimi pany, rzadki już był katholik« (Na art.). Przemiany tej nie będziemy naturalnie wyłącznie przypisywać Skardze, bo takich rzeczy dokonywa tylko praca zbiorowa, ale że Skarga w konwersyi Litwy odegrał poczesną rolę, że zabrać się do rzeczy umiał i do wielu wypadków rękę swą przyłożył, to pewna. Wpływ jego na postęp katolicyzmu na Litwie, znać także z okoliczności Synodu brzeskiego, na który panowie litewscy: Radziwiłł Sierotka, Lew Sapieha, Dymitr Chałecki, zabierają dobrze sobie znajomego Skargę, żeby mieć jego pomoc w ewentualnej dyspucie religijnej, lub np. w ułożeniu »Namów dla posłów królewskich«. Jak dobrze Skarga był postawiony w opinii takiego potentata litewskiego, jak ojciec powyższych Radziwiłłów, znać z dedykacyi jednej z wileńskich broszur polemicznych, gdzie chwali jego zelotyzm, ofiarność na cele katolicyzmu, darowanie typografii Jezuitom, wspieranie ich kollegium itd. (*pro S. Eucharistia*). Także list z oblężonego Krakowa w r. 1588 do kardynała Radziwiłła, z poleceniem nowego króla, świadczyłby wyraźnie o pozyskaniu przez Skargę znacznych wpływów w tej rodzinie.

Wreszcie stajemy w Krakowie. Tu Skarga ma znów trochę odmienny teren do działania, niemniej natychmiast odpowiednie stosunki nawiązać umie i w nowem środowisku stosownie się zachować. Może uwaga nie będzie zbyteczna, że Skarga bokami nie chodził, tylko zawsze w same ogniska wpływów dostawać się umiał i nawet wśród warstw dosyć sobie obcych obracać się wcale dobrze potrafił. Otóż w Krakowie było ognisko dam pobożnych,

pozostające pod wpływem moralnym wojewodziny Barbary Barzynej, bardzo majętnej wdowy i matki znanego gentlemana tych czasów, Stanisława Mińskiego. Do grona tego należała: Barbara Firlejówna, wojewodzianka krakowska, stara panna, wielce pobożna, przez Skargę nawrócona; dalej Anna Kormanicka, kasztelanka, też stara panna i wielka bigotka; następnie Małgorzata Kozłowska, właściwie Foxowa, wdowa po lekarzu krakowskim, Ślązaczka »*apud foeminas nobiles et cives maximam habens auctoritatem*«; wreszcie Zofia Mnichowska, ongi wyedukowana w fraucymerze Anny Jagiellonki a naówczas ochmistrzyni dworu Barzyny i niezmiernie przez nią lubiana. Grupa tych pań nadawała naówczas ton religijnemu życiu Krakowa. Barzyna »*maxima benefatrix*« OO. Jezuitów, podobno łagodna, bardzo sympatyczna i dystyngowana osoba, przytem wielce pobożna, siadywała po pięć godzin rano w kościele, a dwa razy na tydzień chodziła do spowiedzi. Pani ta, co się zowie bogata, fortuna jej i tych czterech dam, to milionowy kapitał, którym można było bardzo wiele dobrego zdziałać. Dom Barzyny oprócz tego był miejscem prawdziwej kultury umysłowej — »*ab optimis et nobilissimis quibusque eius conversatio expetebatur*« — a wojewodzina sama znaną jest, jako mecenaska literatury nabożnej: r. 1580 dedykował jej. Januszowski „Kwiat rajki"; r. 1597 ks. Wujek »Żywot Jezusa Chrystusa« r. 1612 Paszkowski, literat krakowski »Dyalog albo rozmowę grzesznego człowieka z anioły«, prześliczny dramat dewocyjny, który odgrywano w Wielki piątek, zapewne u Franciszkanów w Krakowie.

Skarga wspomina te panie naprzód w dedykacyi Kormanickiej drugiego wydania Żywotów ŚŚ. (1585), następnie obszernie w dedykacyi »Gospodarstwa duchownego« samej Barzynie (1606) i powiada, że całe to towarzystwo »przykładem pobożności miasto wszystko i goście w nim uweselało i budowało«, że panie te pomagały mu ustawicznie, opiekując się nawet zakonną spiżarnią; — o Kozłowskiej zaś, owej Ślązaczce, szczegółowo wyznaje, że i jemu »przestrogi mądre dawała« i chwali jej »mądrość i cierpliwość«. Wśród tych stosunków nie będzie za-

pewne dziwną wiadomość, że Kormanicka, Mnichowska i Kozłowska, wiedzione pobożnością, zakupiły dla Jezuitów dom koło św. Barbary, bo Jezuici mieszkali naówczas w Krakowie, jeszcze jak w hotelu; że razem ze Skargą przystąpiły do uporządkowania opuszczonej kaplicy cmentarnej, którą Jezuici na placu Maryackim posiedli. »Patrzyłem na was«, powiada nasz kaznodzieja, »gdyście zabrukany kościół św. Barbary i ściany jego i obrazy same rękami swemi umywały«.

Jak widzimy z tego, to Skarga z ludźmi radzić sobie umiał i udzielić drugim trochę z tego zapału, który go całe życie poruszał. Skarga zaprowadza nowe porządki w tej skromnej siedzibie. Każe pobielić kościół, stawia kazalnicę, nowe ławki i konfessyonały, poprawia okna i organy i do kollegium nowy zegar z Norymbergi sprowadza. Ten drobny fakt sprowadzenia zegaru z Norymbergi, to bardzo charakterystyczne dla kraju. Nagle kościółek św. Barbary staje się wzorową świątynią i bardzo modną w Krakowie. Napływ ludzi ogromny podnosi silnie religijny nastrój Krakowa. Równocześnie zaprowadza Skarga »Bractwo Miłosierdzia« dla klas wyższych *»iis potissimum qui magna fortuna et honesta exciderunt«* — Bractwo to, to jego prawa ręka; wprowadza kwesty w kościele i po domach na rzecz tego towarzystwa. Potem zakłada Kasę Oszczędności i tak się między lud dostaje. W r. 1587 był już Skarga ogromnie popularny w sferach katolickich w Krakowie i zyskał wpływ przeważający w mieście. Zostaje więc uwolniony od superyorstwa, żeby się tylko kaznodziejstwu poświęcił. Podczas oblężenia Krakowa, arcyksiążę Maksymilian pragnie pozyskać go dla swej sprawy, i wpływ jego w mieście wyzyskać — widać, że Skarga jest naówczas omal nie trybunem ludowym — Skarga jednak tę propozycyę odrzuca, idąc zapewne za przykładem Warszewickiego, który także ongi kardynałowi Commendonemu do praktyk politycznych użyć się nie dał. Na Nowy Rok 1588 był Zygmunt III. na jego kazaniu u św. Barbary i niebawem zamianował go kaznodzieją nadwornym.

Bylibyśmy jednak bardzo niesprawiedliwi, gdybyśmy wyniesienie Skargi chcieli przypisywać jedynie obliczeniu i umieję-

tności wyzyskiwania drobnych okoliczności życia. Mówiąc o Skardze zapominać nie można, że posiadał on wielki talent kaznodziejski i że jako prawdziwemu zakonnikowi, karyera wszelka była mu zupełnie obojętną. Fakt ten nawet łatwo stwierdzić z nielicznych co prawda, ale stanowczych świadectw o jego równoczesnej działalności wśród warstw niższych. Póki stosunki Skargę zupełnie do sfer arystokratycznych nie przerzuciły, póty znajdował on wielką przyjemność w oddawaniu usług religijnych niższym klasom społecznym. Ze względu na tę okoliczność zasługują na wspomnienie stowarzyszenia pobożne, które w miejscach swego pobytu zazwyczaj wskrzeszał. Jak się przekonujemy, to Skarga posiadał wiele miłosierdzia dla niedoli ludzkiej a przytem potężny zmysł organizacyjny. Już to samo wyszukanie sobie kwestyi jasnej i dobrze odgraniczonej, to utrafienie w sedno rzeczy przy zakładaniu rozmaitych instytucyj, wskazuje wyborny zmysł spostrzegawczy. A określenie szczegółów, obowiązków radnych, protektorów, kapelanów, inspektorów, to wcielenie w życie i w rzeczywiste stosunki danej idei, jest dowodem zdolności, którejby mu i dzisiejsi ludzie czasem pozazdrościć mogli. Skarga to pierwsza głowa systematyczna XVI. wieku, która zabrała się w Polsce do akcyi społecznej i miała w tej dziedzinie ślad wyraźniejszy pozostawić. Podobne także zdolności okazuje Skarga później w działalności publicznej, a zwłaszcza w organizacyi stronnictwa rządowego i katolickiego. Czytając jego broszury polityczne, dostrzegamy ten sam zmysł twórczy w niezliczonych radach i wskazówkach, jak się katolicy mają wobec różnowierców zachowywać, które sprawy uważać za najważniejsze, jak wybrnąć z rozmaitych trudności. Jak wiadomo, do tych broszur programowych należały także »Kazania sejmowe«.

Do tej pracy twórczej i organizacyjnej zaprawił się Skarga przez czas długoletniej próby w zakonie, zanim jeszcze na naczelne stanowisko przez okoliczności wysunięty został. Skarga w wykonywaniu swoich obowiązków był bardzo akuratny i punktualny, jak to zresztą jeszcze bliżej w rozdziale »o etyce« zobaczymy. Z czasów jego pobytu na Litwie zachowały nam się

dwa raporta urzędowe, pisane przez Skargę z Połocka i Rygi, gdzie z polecenia króla miał dokonać fundacyi dwu kollegiów jezuickich (Theiner Annales Eccl. tłomacz. u Dziedusz.). Czytając »Kazania Sejmowe« niktby się nie domyślił, że Skarga miał wielkie zdolności urzędnicze i bardzo oględnie powierzone sobie czynności załatwiał. Listy owe świadczą, jak Skarga koło codziennych spraw chadzać umiał, ile miał zmysłu praktycznego, umiejętności w oryentowaniu się w sytuacyi i wyzyskaniu odpowiedniem ludzi i wypadków. Szczęśliwej ręki może dla zbyt zasadniczego postępowania nie miał, i dużo o tem dałoby się powiedzieć, ale na trzeźwości i drobiazgowej zapobiegliwości wcale mu nie zbywało.

Dalszych rysów do charakterystyki umysłowej Skargi dostarczą nam jego ulotne pisma. Uprzedzając z konieczności bliższą definicyę jego inteligencyi, podać już teraz musimy, że z pism polemicznych Skargi okazuje się dosadnie, jak essencyonalnie nasz kaznodzieja kwestye sporne ujmował, jak umiał unikać sporów niepotrzebnych i uchronić się od niedorzecznych konkluzyi, co się niestety zbyt często jego przeciwnikom zdarzało. Jeśli jaka polemika z pism Skargi wypłynęła, to chyba, że za silnie i za trafnie swego przeciwnika ugodził, albo za bezwzględnie swoje zdanie wypowiedział. W logice jednak nigdy się nie pomylił. Skarga posiadał także ogromną przytomność umysłu i bystry, prawdziwie orli zmysł oryentacyjny. Ocenia on zawsze jasno swych przeciwników i zwłaszcza czułym jest na właściwości obcej inteligencyi. Smotryckiego i jego wysoce liryczne dziełko określa temi słowy: »zagmatwana rzecz« »człowiek nieświadomy y ciemny« »chce udawać do pospólstwa (tj. popularnie wyłożyć) to, czego sam rozumkiem swoim nie dosięga, ani może, y w czym się sam nie rozumie y drudzy go rozumieć nie mogą«. Podobnież określa różnicę umysłową Smalciusa i Moskorzewskiego »Smalcius może za swym mistrzem Moskorzewskim księgi Socyna nosić« — sąd, który staje się zabawnym, gdy się ich pisma odczyta.

Wreszcie musimy jeszcze zwrócić uwagę na rzeźwość i niewyczerpaną energię umysłową Skargi. Z początku swego zawodu Skarga zdaje się być mało skoncentrowanym, na starość staje

się treściwym, omal nie lapidarnym, jak broszury jego z r. 1610 i 1611 wskazują. Jeszcze wśród ostatniej choroby Skarga trudni się lekturą i Birkowski podaje, że śmierć zaskoczyła go w trakcie przygotowania do druku traktatu »O cnotach chrześcijańskich«. Skarga z satysfakcyą odczuwał tę właściwość swego umysłu. Mając 70 lat wieku powiada: »Jam się wprawdzie zestarzał, alem zmysłów nie utracił; starym siły cielesney ubywa, ale rozumney przybywa« (Odpow. na artyk.). Jeszcze w 73 roku życia Skarga jest pełen animuszu i nażywa swą »starość jakoby odmłodniałą« a zarazem stwierdza, »iż mu jeszcze do tego duża robota (umysłowa) nie ciężka« (Przedm. do Tylickiego w 3-ciej edycyi kazań 1609). Jestto w każdym razie głowa wyjątkowo tęga, która w literaturze współczesnej nie ma sobie równej, i tęgością swą przypomina trzeźwe głowy XVIII wieku, zwłaszcza Staszica.

Z właściwości tych wynikły rozmaite konsekwencye. Przedewszystkiem staje nam się teraz jasnem, dlaczego Skarga z ucznia szkoły grójeckiej stał się potężnym czynnikiem rządów zygmuntowskich, dlaczego z niskiego swego stanu potrafił się wydobyć, czem imponował ludziom i co prócz serca, dwór Zygm. III w nim cenił. Skarga, jak w rozdziale czwartym szczegółowo okażemy, jest głową bardzo samoistną, »dusza oświecona« jak sam o sobie z satysfakcyą powiada, umysł jasny, metodyczny, choć niebardzo krytyczny, posiadający — zwłaszcza w kazaniach — kryształną przejrzystość myśli, rezon wielki, logikę ścisłą i bystrą i radykalizm w zapatrywaniach kościelno-politycznych. Skarga wszystko precyzyuje i dogmatyzuje; wszystko u niego jest uważne i umiarkowane; wszystko liczy, układa i segreguje. Skarga nie posiada tych mrocznych zagłębień i mglistych przepaścistości mózgów trochę mniej wyklarowanych; jestto umysł dosyć silnie ku analizie racyonalnej się skłaniający; wszystko u niego jest definicyą i najczęściej matematycznie do wyobrażenia przystającą, a zawsze wdzięczną allegoryą. Właściwości te poznamy jeszcze później, tu zadowolimy się kilku oryginalnemi sentencyami: »Nad mądrość nic niema człowiek milszego«, powiada Skarga (S. 52). »Tak ledwie wie, co wierzy, który tego co wierzy nie rozmyśla«

(N. 5); »Nie bądźmy dziećmi ale dorośli w rozumie i wiedzmy jako co waży i stoi« (N. 10); »Gdy człowiek rozumny co poczyna, zawżdy sobie na myśli stawi koniec, do którego sprawę swoją prowadzić chce (N. 94) itd.

Trzecią wreszcie, wysoce rozwiniętą władzą duchową Skargi, jest energia. Skarga nie należy do kwietystów umysłowych i zapewne nie dlatego wstąpił do zakonu, ażeby się poświęcić kontemplacyi. Już w drodze ze Lwowa do Rzymu, zatrzymał się Skarga w Gródku, na dworze zaciekłego kalwina hetmana Mieleckiego, i pełen ferworu apostolskiego zaczął go namawiać do powrotu na łono katolicyzmu. Hetman zgniewany, wyrzucił Skargę za drzwi i omal nie kazał go z mostu zamkowego strącić (»*e ponte arcis in fossam*«). To ten sam butny magnat podolski, do którego Kochanowski tak uprzejme wiersze układał. Podobnie było w Wilnie. Skarga chciał koniecznie zawiązać polemikę z przywódcą litewskich kalwinów. Wolan długo się wzbraniał, wreszcie na nalegania Skargi przystał. Inicyatywa w obu wypadkach wyszła od Skargi i kaznodzieja sam nieraz o tych zdarzeniach z satysfakcyą opowiadał. Skardze jest właściwą na każdym polu działania chęć do ataku, wojny i zaczepki. Zarówno w literaturze, jak w polemice przeprowadzał on ideę rewindykacyi; wszędzie czegoś żąda, domaga się, osiąga. W porównaniu do Kochanowskiego i wogóle do całej tej starszej, napół marzycielskiej generacyi humanistów, stoi on wprost na przeciwnym biegunie.

Skarga także odznacza się wielką przedsiębiorczością. Jestto prawdziwy Mazur, zahartowany jak stal do walki. Skoro raz postanowił do Rzymu jechać, nic go już nie zdoła od tego zamiaru odstraszyć. Na pierwszem postąpieniu, jak sam opowiada — potknął mu się koń, ale nic sobie z tego nie robił, choć wyraźnie na ten omen zwrócił uwagę. Podobnie było w życiu codziennem i w publicystyce. Postanowił co zrobić, to niewątpliwie tego dokonał. Mówiąc np. o sprawie Unii, oświadcza: »Od kilkuset lat w Rusi y w Litwie nie widzę, aby się kto był statecznie w to włożył a oto się pokusił. Dali się bardzo zastarzeć tej ranie, iż mniemają, aby już niezleczona była. A ono nie tak jest. Cho-

ciayże stara, przedsię zleczyć się może. Nie dopiero mówmy trudno, nie sprawiem nic: aż gdy nad tym posiedziem, porobiem i potu naszego y nakładu przysadziem« (O jedn. kość. Boż.). Skarga nie lubi ludzi flegmatycznych »onego ziewania flegmatyckiego« niektórych katolików, jak się z przekąsem o tej wadzie polskiej wyraża (Upom. 1592). Najulubieńszem oznaczeniem wszystkich aktów ludzkich jest u niego przymiotnik »męski i dzielny«. Wszystko u niego powinno być »dzielne«, nawet miłosierdzie. Imponują mu ludzie stali, niewzruszeni, energiczni »Wielki a niewzruszony statek i stałość jako filar u tego świętego ma mieć podziwienie i słuszne wychwalenie« — mówi o św. Kolumbanie (Żyw. 325). Ztąd też, jako środkiem do celu, i milczeniem się zachwyca. Czytając żywot św. Eufrozyny, dziwi się jej »pohamowaniu języka«. »Ta mię też stateczność „dodaje, w Józefie patryarsze »ku zdumieniu przywodzi« (2). Podobnież wielbi wytrwałość w przedsięwzięciu u św. Alexego.

Wyrobienie woli niepowszednie objawia się u Skargi w całym przebiegu życia, w tej umiejętności wydobywania się ponad poziom, w obszernym planie literackim, w nieustraszoności i żądzy szerokiego pola do działania. »Prawa mądrość, według niego, ma cztery dzielności tj. że rzeczy, które są, dobrze sądzi i uważa je tak, jako są, że na przyszłe oko mając, ma je za niniejsze, że najduje dowcipne środki, któremiby ze złego wychodzić a nakoniec wykonania nie odwłacza«. (Niedz. 45). »Najwyższy rozum jest rychła a nie odwłoczna exekucya dobrej rady« — mówi poniżej. W innem kazaniu mamy specyalny rozdział o gniewie. Skarga wyraźnie twierdzi, że jest »pożyteczny i potrzebny«, tylko sądzi, iż powinien być ouzdany, nie rządzić rozumem, ale go słuchać »jako sługa« i dać użyć według rozumnej potrzeby »abyśmy czuło i mężnie i potężnie i prędko rzeczy dobre odprawiali«. Gniew był u Skargi równoznaczny z energią i zapałem. »Ludzie bez gniewu i gorącości są słabi do exekucyi« — powiada; przytem śmieje się z flegmatyków, iż są »jako barszczykowie, ani ciepli ani zimni, ale jako zmokła kokosz«. Flegmatycy »nie umieją rzeczy dobrych, świętych, boskich, sprawiedliwie popierać i gorąco ich

odprawować« (Niedz. 42). Wynika, że Skarga był cholerykiem i ową gorącością lubił się często powodować.

Szczególnym objawem energii u Skargi, skombinowanej z intelligencyą, jest upór żelazny, który krzyżuje nawet porywy jego dobrego serca. Z przykładów rozmaitych wyciągnął sobie np. taki wniosek: »Do odwiedzenia matki przed podróżą nie dał się nikomu namówić, jako prawdziwy uczeń Chrystusów«; albo: »Czem nauczył nas, iż nam, którzyśmy od świata uciekali, o powinnych starać się nie potrzeba«. Surowość ta wynikała ze współczesnych stosunków religijnych; jest ona właściwą wielu współczesnym katolikom, np. Hozyuszowi, i mimowolną odpowiedzią na stoicką etykę kalwinizmu i zwinglianizmu. Skarga potrafi czasem wypowiedzieć jakieś zdanie z bezwzględnością rzymskiego wodza lub prawodawcy. »U sukni nieszytey Chrystusowey pierwszy haczek — *authoritas Ecclesiae*; skoro ten przerwiesz, inne się wszystkie rozwięzują« (Żyw. 330); albo »Najpożyteczniejsze i najtrudniejsze jest wytrwanie w dobrem do końca — *perseverantia*« (Żyw. 331), »Obojga bowiem rzeczy potrzeba i łaskawości i karności, wedle czasu i potrzeby, aby łaskawość do dobrego przyciągała i karność od złego odwodziła« (169)

Innym symptomem woli Skargi jest wielka, nieprzeparta wytrwałość, która mu się później, zwłaszcza w polemice przydać miała. Zdanie swoje pragnie Skarga wprost przeprzeć: »I*n hoc proposito, concionando et scribendo quod restat vitae meae curriculi hasque exiguas vires consumere, esset mihi optabile*« — mówi w jednem piśmie do Wolana (Duod. artes). Postępować pragnął zawsze najszczerzej, najuczciwiej, ale, że w drobiazgi czasem za wiele energii wkładał, więc nigdy nie przypuszczał, żeby się mógł pomylić. Skarga zasze był przekonany o swojej słuszności i raczej przypuszczał, że się inni zmienili albo go nie zrozumieli, ale żeby on sam kiedy fałszywie postąpił, to nie. Gdy r. 1606 zjazd rokoszowy zarzucił mu, że się mięsza w nieswoje rzeczy, a w tym zarzucie było zapewne trochę prawdy, to Skarga był przekonany, że to różnowiercy innych na niego podburzyli i że

wszyscy raczej mają niesłuszność, ale on w żaden sposób. (Na art.).

Z faktami tymi pozostaje w związku jego może trochę dziwaczne wyobrażenie o godności kaznodziei dworskiego. Pod względem psychologicznym jest to objaw zupełnie podobny do przesady Mickiewicza w pojęciu znaczenia katedry literatur słowiańskich w Paryżu. U człowieka, u którego były w tak silnem naprężeniu trzy główne władze duchowe, serce, intelligencya i wola, który pełnego zadowolenia w świecie faktów i stosunków ludzkich znaleść nie potrafił, nic dziwnego, że przy pewnej dozie fantazyi, w warunkach losu dosyć niezwykłych, mogło się zrodzić przypuszczenie, że kaznodzieją nadwornym został w jakimś wyjątkowym celu. W tekstach, które na objaśnienie tego ciekawego zjawiska psychologicznego przywieść możemy, — a jest ich ośm z różnych dat [1] — rozróżnia on wprawdzie objawienie albo proroctwo osobliwe od poselstwa pospolitego, które sobie jedynie przyznaje, ale równocześnie mianuje siebie w jednem miejscu »niegodną proroczyną« a w innem pisze najwyraźniej »będąc jaką taką proroczyną w słowie Bożem i poselstwie do domu królewskiego«. Coby te słowa znaczyły, trudno naturalnym rozsądkiem zbadać — w każdym razie to ustawiczne powtarzanie o poselstwie, które z rolą kaznodziei dworskiego nie wszędzie jest złączone, a następnie posługiwanie się, gdy się mówiło o sobie blisko znacznemi pojęciami: prorok, poseł Boży, proroczyna — zrodziło już naówczas, a tembardziej u potomnych, rzeczywiste złudzenie o darze prorockim Skargi. Motywa, dosyć skomplikowane, tego procesu mentalnego u autora i jego słuchaczy rozbierzemy jeszcze niżej — tu nam tylko wypada stwierdzić, że Skarga w długim przeszło 20-letnim przeciągu czasu — tj. mniej więcej w okresie swej missyi u dworu — uczuwał w niektórych momentach sympatyę tajemną do proroków i proroctw biblijnych, zastanawiał się ciągle nad rodzajem ich postępowania, oceniał w umyśle swym stale z rodzajem pewnego uporu

[1] Pobudka 6 do modlitw 40 godz. Upomin, do ewang. Przedm, do kazań niedzielnych. Kazanie sejmowe 8. Czasu wojny pobudka. Kazanie o św. Trójcy. Przedm. do Areopagu. Wzywanie do pokuty.

stopień ich, jak mawiał »pogróżek« i badał szczegółowo środki, których dla poruszenia mas ludowych używali. Wszystko to wypływa u niego z jednego tylko momentu, tj. iż stanowisko swe uważał za wyjątkowe i chciał temu idealnemu poglądowi w jakiś godny sposób odpowiedzieć.

Skarga, czysty człowiek jak kryształ, miał przecież jedną wadę, to jest ambicyę, która przeradzała się u niego czasem w prostą ludową chełpliwość. Skarga miewał chwile uniesienia, w których objawiało się u niego uczucie szalonego gniewu, pomięszane z pewnością siebie i wyniosłością a równocześnie rozrzewnieniem i poufałością ojcowską. Uczucie to występuje u niego w chwilach ciężkich komplikacyi psychologicznych; złość Michała Anioła, druzgoczącego pomnik Medyceuszów, i średniowieczna wyniosłość, owo »sdegno« Dantego. Skarga długo walczył z objawami tej chełpliwości swojej, ale jakoś zupełnie zwyciężyć się nie potrafił. Trzeba przeczytać w całości jego odpowiedź na zarzuty rokoszan, ażeby zrozumieć, ile dumy królewskiej mieści się w takich wyrażeniach: »Jużto 15 seymów za panowania króla naszego odprawiło się; na każdym byłem posłem, ale nie z jednego powiatu«; albo »Woźnicy, który mię wozi y ze mną się u dworu zstarzał, uprosiłem wakancyą w żupach, groszy 20«; albo wreszcie »Większey nad Pana mego (Chrystusa) modestiey mieć nie mogę«. Podobnież zebrawszy z pism Skargi wszystkie wspomnienia biograficzne, przekonamy się, iż tysiąc razy wspomina o sobie, a nigdy nie poda wzmianki, któraby go w jego własnej wyobraźni choć trochę niekorzystnie przedstawiała. Skarga niema tej szczerości literackiej, którą w wysokim stopniu posiada Kochanowski, Rousseau, Mickiewicz. Jest zamknięty. O krewnych swoich stale milczy i wyrobił dla nich, jak Górnicki, fikcyjne szlachectwo. O tej wadzie, wiedzą wszyscy przeciwnicy Skargi i starają się przynajmniej z tej strony zachwiać jego magiczny wpływ na opinię. Jeden z nich, minister rakowski i pastor niemiecki, Smalcius, rzucił się raz na niego z temi brutalnemi słowami: »Pamiętaj na to X. Skargo, że stłoczy tę twoię pychę Bóg, który się zawsze pysznym przeciwia« (Zawstydzenie X. Skargi 1606 str. 72).

Skarga posiada także fantazyę bujną, uprzedzającą jego głębokie pragnienia i wielką tęsknotę za ideałami. Fantazya ta zrobiła go literatem i na swojem miejscu jej charakter określimy. Fantazya ta była także czynną w decyzyi jego co do wyjazdu do Rzymu, ona go i na Ruś i do Wiednia na guwernerkę w pierwszej fazie życia musiała prowadzić. Ona go także zrobiła oryginalnym. Ale w życiu praktycznem nieraz mu figle płatała. Objawiała się ona u niego często jako niecierpliwość, że za wcześnie przyspieszał swoje postanowienia np. z »Odpowiedzią nà artykuł rokoszowy«, który musiał następnie poprawiać, — albo w formie walki z wiatrakami i urojonemi niebezpieczeństwami, czego liczne przykłady w broszurach jego znaleść można. Przeciwnicy Skargi nieraz żartują z tych wyskoków zbyt gorącego temperamentu i nieraz miarkują jego poczciwy ale chwilami nadto fantastyczny zapał: »Z motyką na słońce się miece« »swoie zmyślone condicye bórzy« — powiada Anonym z 1596 r. (Obrona powtórzona). Aryanie odzywają się o nim jeszcze śmielej — »triumph wedle swey phantasiey« odnosi, mówi Moskorzewski (znieś. zawstydz. Raków 1607 str. 233); z cieniem swoim walczy«» — dodaje Smalcius (Zawstydz. X. Sk. Raków 1606 str. 45).

Do tego punktu musieliśmy studya nasze doprowadzić, ażeby zrozumieć walki duchowe Skargi. W badaniu jego postaci mieliśmy tę niedogodność, żeśmy go stosunkowo w bardzo późnym wieku poznali — i w materyale tak pozornie bezosobowym, jakim zdają się być pisma religijne, musieliśmy sondować charakter indywidualny człowieka. Ale Skarga takim, jakim się później stał, od początku naturalnie nie był. Zanim się samoistnie oderwał od kultury Odrodzenia, musiał przejść całą seryę walk heroicznych, a walki jego były tem cięższe, im siły duchowe były większe a mniej zapewne w młodości ujarzmione, i im trudniej mu było rozłączyć się na zawsze z tą cudowną cywilizacyą XVI wieku, której czar we wszystkie fibry duchowe ówczesnego człowieka potrafił się wsączyć. Przedstawienie dokładne tych przełomów, wymagałoby wyjątkowo szczegółowych zeznań osobistych; my z konieczności musimy się zadowolnić naszkicowa-

niem i ugrupowaniem faktów, które każdy upiększyć sobie może, jak potrafi.

O walkach duchowych człowieka, Skarga najobszerniej rozwodzi się w kazaniach »O boju i żołnierstwie chrześciańskim«. W kazaniu pierwszem opisuje nam kaznodzieja wojnę indywiduum i jego dobrych porywów ze światem i opinią ludzką. »Naprzód wychodzi na nas, powiada »jako wielka rota zbroynych: rozumienie pospolite y zdanie wszytkich po świecie ludzi, iż podłym na świecie być y ubogim — bardzo źle; a bogactwa mieć y w szczęściu pływać pożądana każdemu. Od nędze y prace nadaley uciekać; do dobrego mienia y na wysokie się mieysca cisnąć, każdemu się podoba. To prawo, to droga, to rozum — wszyscy wołają«. Drugą rotą ma być nienawiść świata do ludzi samodzielnych i oryginalnych; co jest wielką prawdą, przez każdego doświadczoną; a trzecią zazdrość, trudno ukoić się dająca, gdy widzimy, że nasi towarzysze, których niższość umysłową dobrze znamy, nagle ponad nami się podnoszą a my sami musimy jeszcze długo w szarzyźnie małostkowych stosunków tkwić. Jak widzimy, jest to wybornie odczuty ustęp, w którym osobistych rysów Skargi podkreślać nie potrzebujemy. Skarga uważał swą naturę za »gniewliwą y bystrą« i miał swój osobny system walczenia ze złemi skłonnościami. W kazaniu drugiem owej seryi mówi o pokusach i oświadcza, że szatan »może y to co się gdzie dzieie albo działo jako na malowaniu ukazować«; twierdzi, że między pokusami, a jak on określa »szatanami« »są jakoby ćwiczeńszy jeden niźli drudzy. Są jako profesorowie, inszy fhilozofyi, inszy theologyi, inszy gramatyki i wymowy, każdy w swym rzemieśle doskonały. Jedni czarci są na namowę piiaństwa wielcy mistrzowie; drudzy na kosterstwo, drudzy na nieczystość, drudzy na hardość«. Te ostatnie zwroty nie mogą się naturalnie do Skargi odnosić. Skarga rozprawia dalej, że pokusa zjawia się zawsze pod postacią uczucia przyjaznego »umie każden grzech pod płaszczem cnoty udawać; szkód nie przedstawia, ale ową odrobinę słodkości »tak ją szerząc y zalecaiąc jako niebo jakie y ray«.

Pierwszą widownią walk duchowych Skargi była plebania

przy kościele M. Boski Śnieżnej we Lwowie. Walka owa zaczęła się u niego zapewne od rezygnacyi z probostwa rohatyńskiego, gdy uznał, że tym obowiązkom nie podoła, mając drugie zajęcie we Lwowie. Rozpoczyna się więc ona pod wrażeniem dopiero co uchwalonych kanonów Soboru trydenckiego, za które następnie przez całe życie miał w Polsce walkę prowadzić. Według opowieści zapewne Szymona Wysockiego, który później nasunął Skardze myśl wstąpienia do Jezuitów i do Rzymu z nim pojechał (Vita 1661 r.), miał Skarga przez trzy lata przed ową decyzyą odczuwać, jakoby mu w łóżku na nogach kładł się jakiś czarny pies i przez całą noc przygniatał śpiącego. Coby to było za zjawisko, nie nasza rzecz objaśniać, w każdym razie w tej materyalnej allegoryi kryje się jakaś ciężka walka wewnętrzna. Skarga przybywszy do Rzymu, zadawał sobie wprost zdumiewające upokorzenia. Tenże sam zapewne Wysocki opowiada, że Skarga nosił we Lwowie »subtelną i przydłuższą brodę«, której mu żal było w nowicyacie zgolić. Widząc jednak w sobie tę resztkę świeckiej próżności, w chwili stanowczej wziął nożyczki i naumyślnie po cudacku ją ostrzygł. Wynikałoby więc niewątpliwie, że w czasach dawniejszych Skarga lubował się w zbytku odrodzenia. Mamy także drugą taką anegdotę z czasów pobytu Skargi w nowicyacie. Przy pierwszym obiedzie wspólnym, przy deserze, miał podobno Skarga dla umartwienia zjeść melon wraz z łupiną, żeby się wydawało, że jest prostakiem i przy stole nie umie się zachować. Kto nigdy nie jadł melonów, mógłby to i bez umartwienia zrobić, ale przyjąwszy fakt, wynikałoby znów, że Skarga dawniej lubił jadać wyszukanie i miał wydelikacone podniebienie, jak zresztą wszyscy humaniści. Może guwernerka roczna w Wiedniu, przy kasztelanicu krakowskim Janie Tęczyńskim, sławnym rycerzu-awanturniku i szykowcu-dworzaninie czasów Zygmunta Augusta, o którym Paprocki cuda opowiada — może więc ta guwernerka, na którą Skarga poszedł niebawem po opuszczeniu uniwersytetu, przyzwyczaiła go do wykwintniejszego życia? Anegdota owa z melonami podobno tak się zakończyła, że Piotr Ribadeneira, znana postać z historyi zakonu a naówczas rektor Skargi, miał mu podać kieliszek wy-

bornego wina, a Skarga zbity z tropu rzekł: »*Optimum medium, ut generosum bibas vinum, non decorticatis vescaris melonibus*« — zapewne po łacinie. Tę samą walkę z przyzwyczajeniami do dawnej wykwintności opowiada trzecia anegdota, mianowicie, że gdy Skarga po powrocie z Rzymu znalazł się raz w godzinie obiadowej w refektarzu kapituły lwowskiej, to podczas obiadu, przyklęknął na środku sali i prosił kanoników — którzy to podobno ze zdziwieniem przyjęli — żeby zapomnieli o jego dawnem życiu i o rozmaitych wykroczeniach poza ściśle zakonną normę życia.

Jeszcze w dawniejszą historyę duchowego życia Skargi przeprowadza nas zakończenie jednej z jego bezimiennych broszur z r. 1592 (Upominanie). W broszurze owej przyjmuje Skarga na się fikcyjną postać szlachcica-katolika i opowiada, że około r. 1562 herezyą »mało nie każdy się sparzyć musiał«. Naówczas — a była to najświetniejsza doba szczeropolskiego Odrodzenia — Kochanowski rozrzuca wtedy swe misterne fraszki, Rej wydaje Zwierzyniec szlachecki — otóż naówczas, powiada Skarga, powstawały ogromne wątpliwości w duszach ludzkich. »Potwarzy one na Kościół Boży — cytujemy to wyznanie dosłownie — zdały się szczerą prawdą, iż wiele bogów mamy« — tj. świętych, stąd może potem Żywoty ŚŚ. — »iż obrazy za Bogi mamy, iż dla łakomstwa msza urosła i czyściec y inne ozdobne matactwa do uszu y serc ludzkich przenikały«. Te wszystkie »matactwa« naturalnie upowszechniał przedewszystkiem patryarcha literatury polskiej, Mikołaj Rej z Nagłowic. Skarga prawi dalej, iż był w postaci owego fikcyjnego szlachcica na sejmie piotrkowskim, na którym i Kochanowski się znajdował i pisał swoją »Zgodę« i na którym uchwalono sławne polskie »interim« co do jurysdykcyi biskupiej. Otóż na i tym sejmie — cytujemy znów dosłownie — »pomnim, iż na naszych seymach kila posłów heretyków mogli wszystko jeszcze katholickie koło rycerskie językami zarazić i (do tego) przywieść, aby prawo i sprawiedliwość duchownym w exekucyey u groda zepsowano. Nie pomogły biskupów prośby, upadania, płakania. Widzieliśmy je, gdy z zakrwawionemi łzami wychodzili z rady na wieży piotrkowskiej«. O ile

te wyznania odnoszą się ściśle do Skargi, oznaczyć niepodobna; w każdym razie to pomięszanie fikcyi z osobistemi wspomnieniami daje trochę do myślenia, a ewentualnie postać półznaną wybornie nam uzupełnia i tłomaczyć może ten jego zapał Boży do walki z niedowiarstwem i zmysłowością, których mógł niegdyś choć trochę zakosztować. Naturalnie, znając Skargę, o prawdziwej apostazyi i poważnych zboczeniach nie można mówić; ale że jako młodzieniec niewyrobiony a bardzo bystrego charakteru, mógł w owym wirze reformacyjnym pewne wątpliwości czasem uczuwać, które mu następnie jego skrupulatne aż do przesady sumienie wyrzucało, to nie byłoby nic tak bardzo dziwnego. Zwracamy także uwagę, że Skarga w Żywotach ŚŚ. omal nie w każdem stosownem miejscu, zaznacza z naciskiem i błędy świętych, które następnie świątobliwem życiem okupili; że tłomaczy, iż błędom takim dziwić się nie należy, byleby następnie dały pobudkę do zmiany na dobre; że wreszcie ma największą sympatyę do wielkich konwertytów, a szkice psychologiczne nawrócenia Maryi Magdaleny i św. Mateusza celnika są jakgdyby kolosalnymi kartonami malarskimi, w które wsiąknęły rysy osobiste wielkich przełomów duchowych i wielkiego charakteru. (Niedz. 83, 89). Zresztą Skarga powiada »Pan Bóg z osobney łaski na mnie weyżrzał, gdy mię do zakonu Jezusowego powołać raczył« (II Zawstydz.); i oświadcza, może być, że ze zbytniej skrupulatności: »w nim pokutę za grzechy moje zacząłem (Próba)«.

Jakkolwiek było, Skarga w zakonie znalazł zupełne uspokojenie i w kłopotach świata tego nieraz sobie mawiał »*Haec requies mea, hic habitabo, quoniam elegi eam*« — zastosowując do siebie te słowa kantyku. W przeciwieństwie do dawnego wykwintu, ulubił sobie teraz skromność celi zakonnej i nieraz w niej z zachwytem powtarza »Radbych obrócił oczy nam niesprzyjaznych, aby jakim okienkiem wypatrzyli, co się w tym zakonie dzieje. Napatrzyłby się każdy ubóstwa wielkiego, uyrzałby dziwną ku starszym powolność. Miłość spólna wszystkich mocno spaja, choć z różnych narodów zebrani są. Pokoy, ochota, uprzeymość y słodkie a poczesne obeszcie jednego z drugim kwitnie.

Modlitwa wszystkim dzień otwiera y zamyka. Codzień kapłani ofiarę przeczystą P. Bogu przynoszą, codzień na rozmyślaniu godzinę trawią. Bliźnim z wielką ochotą y darmo służą; w kazaniach, w lekcyach, w pisaniu, w szkołach y akademiach; żywnostka, suknia y łóżko ubóstwem pokryte; próżnować nie masz czasu. Kto temu nie wierzy, niech pyta, niech sam wchodzi do nas, drzwi mu nie zamkną« (Próba). Skarga potrzebował czasem samotności i skupienia. Życie na świecie porównuje z »mętną wodą«, która nabiera przejrzystości »w cichym i uspokojonym i odsadzonym od ludzi sercu i miejscu«. (Niedz. 44).

Drugi przełom duchowy Skargi rozegrał się w latach 1591—1595, a widownią tegoż był pokój na Zamku krakowskim, który Skarga zajął jako kaznodzieja królewski. Pokój ów opisuje nam Birkowski „Kto wszedł do komórki jego — powiada — dziwował się każdy, iż tak ubogie łóżko, lawaterz, ławki, stoliki nieprzybrane widział«, a następnie dodaje, że Skarga »Jana Chrzciciela, gromiącego grzechy ludzkie na puszczy, miał zawsze przed oczyma malowanego, jako konterfekt pewny dobrego kaznodziei«. O ile Skarga inspirował się Janem Chrzcicielem w swoich przełomach życiowych, toby nie łatwo było stwierdzić. Pewnem jest przecież, iż ta potrójna antyteza; skromności własnej celi, która od niego osobiście zależała; wspaniałości pałacu królewskiego, na którym ukazywać się musiał; wreszcie wir spraw publicznych i rozfalowanego sejmu, które wprawdzie u progu jego izby przycichały, ale z których przecież coś ze sobą do swej samotni przenosił — że więc ta potrójna antyteza musiała mu nasuwać wiele uwag i refleksyi i rozburzać powoli przycichłe już serce zakonnika. Walka musiała się już zacząć od dnia nominacyi; obserwować jej w szczegółach nie jest nam dano. Przypuszczamy, że te trudne sytuacye polityczne, których nagle stał się świadom; że ta ustawiczna obawa o dobrą radę, na tle aż do skrupułów czystej duszy; że ta wielka odpowiedzialność za każde słówko, która razem z godnością na jego barki spadła; ta ogniowa próba serca i inteligencyi, której omal nie codziennie poddawać się musiał, ta chęć sprostania doniosłym zdarzeniom i konieczność przerobienia umysłu teoretyczno-ko-

ścielnego na praktyczno-polityczny, że więc te momenta złożyły się na główną treść drugiego przełomu duchowego Skargi. Skarga mógł sobie nie wytwarzać żadnego poglądu politycznego i nie starać się o zajęcie żadnego oryginalnego stanowiska na dworze. Kaznodzieją byłby niewątpliwie pozostał — ale nie byłby się stał Skargą. Owoce tej walki będą właśnie przedmiotem dalszego studyum naszego. Tu naszkicujemy tylko faktyczny obrót wypadków.

Jako doradca królewski wystąpił Skarga już podczas podróży Zygmunta III. do Rewla (1589) i spełnił naówczas bardzo poprawnie swą rolę. Znalezienie się jego w tym wypadku opisuje Heidenstein (*RR. pp. ab excessu Sig. Aug. ll. XII*), a z opisu tego widać, że Skarga spowodował króla do zaniechania wyjazdu do Szwecyi. Trudność ówczesnej sytuacyi zaznaczyła się tylko w tem, żeby oddzielić obowiązki króla jako prywatnego człowieka, od obowiązków króla, jako naczelnika państwa. Skarga znalazł bardzo dobrą radę, ale w podobnych wypadkach byłby sobie poradził Orzechowski, Górnicki, Rej, bo w ogóle nasi statyści XVI w. mieli pod tym względem bardzo jasne pojęcia. Trudności zaczęły się mnożyć dopiero w dalszej karyerze, gdy Skardze przyszło radzić w wypadkach bardziej zawiłych, a węzłem moralnym onego przełomu stało się zburzenie przez motłoch uliczny, protestanckiego domu modlitwy t. zw. Brogu w Krakowie w r. 1591. Z owego czasu mamy broszurę, w której po raz pierwszy właściwe oblicze Skargi się zaznacza i to jego tak sympatyczne podniesienie się na wyższy stopień humanitarności: »Polak z Polaki, brat z braty, krew ze krwią, sąsiad ze sąsiady rozmawiam« — powiada kaznodzieja i opisuje te przeciwieństwa, które naówczas w jego duszy powstały: »Prawda, iż złe heretyctwo, ale ludzie dobrzy; złe błędy ale natury chwalebne, złe odszczepieństwo, ale krew miła«. Jeszcze bardziej skomplikowane sytuacye nadarzyły mu się w czasach następnych: w sprawie zniesienia aktu konfederacyi sandomierskiej; w sprawie niezgody króla z Zamojskim o małżeństwo z arcyksiężniczką austryacką; w sprawie ponownego wyjazdu Zygm. III do Szwecyi; w sprawie gotującego się rokoszu w kraju, ligi

tureckiej itd. Spraw tych opowiadać nie możemy, dość, że już w przedmowie do »Kazań Niedzielnych« z r. 1595 oglądamy oblicze Skargi zupełnie wyklarowane, które następnie z przymieszką energii i patosu w »KazaniachSeymowych« poznamy.

Przedmowa ta jest nadzwyczaj melancholijna. Skarga jest pełen niepokoju i niezadowolenia, czy dobrze swój urząd spełnia. Uważa się wyraźnie na posłańca Boga, »który go na tę swoję robotę posłał«, a niżej nazywa się już wprost »posłańcem«. Stanowisko swoje uznaje za opatrznościowe i mówi o swem, »wielkim powołaniu« i objaśnia że go »po to i na to posłano«. Czyniąc rachunek z dotychczasowej działalności, podaje zupełnie dokładnie treść przyszłych Sejmówek, a widząc, że jego kazania mały pożytek dotąd przyniosły, popada w wielki smutek: »Nie wiem, czym się dzieje, iż nie pomaga im poselstwo twoje i wołanie moje i do pokuty rzadki barzo powstaje«. »Niestety mnie«— dodaje niżej — »na złym czas trafił, na jesień«. Żali się przytem, że już ludzie wyższej miary za jego czasów powymierali i że zaledwo pokłosie albo resztki owoców, jak po otrzęsieniu sadu znajduje. Przytem naśladuje także pessymizm autorów Starego Testamentu i powiada: »Zginął święty z ziemie i prostego a uprzejmego między ludźmi nie znaleść«. Skarga widząc takie skutki swych kazań, przypuszcza, że albo bojaźnią zgrzeszył, albo niedbalstwem, albo nieumiejętnością; przecież umywa ręce od winy i spodziewa się usprawiedliwienia: »Uczyń mię wolnym Panie, bomci wołał na nie i przestrzegał ich«.

W dalszem życiu nastręczyły się Skardze jeszcze nieraz trudne okoliczności, np. podczas rokoszu, — ale wtedy był już przygotowany do walki, zresztą wypadki te już bez wrażenia po jego duszy się prześliznęły i conajwięcej wywołały pewne zaburzenia charakteru, któreśmy wyżej rozpatrzyli. W każdym razie w większych trudnościach pojawiał się u Skargi zawsze jakiś smutek melancholijny i także w przedmowie do zbiorowego wydania dzieł z r. 1609 możemy go jeszcze zauważyć. Ta melancholia to cudny kwiat ducha Skargi, która pewnym interesującym kirem postać jego w pierwszej fazie kaznodziejstwa sej-

mowego przesłania, a potem już z przebłyskami wesołości się ztapia i zapewne na zawsze zanika. Skarga przechodził wielkie przełomy, które go może zupełnie z szablonu powszedniości nie wydarły, ale w wielu miejscach odsłoniły niezwykłą duszę, która stanowi prawdziwą chlubę literatury naszej w XVI w. Czytając kazania jego może nie zawsze odnosimy to wrażenie, jakobyśmy z wyjątkowym człowiekiem mieli do czynienia; ale wgłębiwszy się w jego pisma, spostrzeżemy, że ma pewne sentencye osobiste, wybornego moralisty, które rzuca niby perły łez i bolów własnych na tkaninę swego pysznego języka: »Musi się sobie człowiek uprzykrzyć, jeśli co wielkiego sprawić chce«. »Lepiej nam niewiadomość cierpieć, niźli się niepewnemi pociechami karmić« »Co nabożeństwo zebrało, to pycha rozprószy i jako mól w szaciech dobrych wszystko zepsuje«. »Serce wszystko tam stoi, gdzie boli«. »Mnie wiara jest widzenim i za wszystkie mi z rozumu i zmysłów wywody stoi«. »Im kto jest zacniejszy i mędrszy, tym go każda zelżywość barziej boli«. »Fundament wszystkiego szczęścia z dusze jest«. »Mielibyśmy zawżdy z dobrym uważanim, iako złotnik z wagami chodzić, kładąc na wagę, iako co waży«.

Tu zamkniemy charakterystykę psychologiczną Skargi, żeby dorzucić jeszcze kilka wskazówek fizyologicznych o jego zewnętrznem zachowaniu. Nie trzeba sobie nigdy wyobrażać, jakoby Skarga był mizantropem i ludzi z zasady unikał. Owszem, to człowiek towarzyski. W jednem z swych kazań powiada: »Doznawamy na ziemi, iż niema człowiek większej uciechy, jedno gdy u stołu swego z miłymi przyjaciółmi zasiędzie i z weselem i dostatkiem i z pokojem i z bezpiecznością chleba swego pożywa i tak idzie wesoło spać i dzień skończy. I by mu tak dni wszystkie służyły, nie byłoby pomieszkania na świecie lepszego« (N. 38, 91). »Tu na ziemi, zaznacza w innem miejscu — »choć strapiony żywot, tedy przed się jaki taki żywot, miło człowieku, iż nie umiera a żyie, choć w nędzy żyie« (S. 83). Pod względem zapatrywania na życie, Skarga, choć ksiądz, różni się bardzo od swego przyjaciela Boboli, który i przy stole nie chciał o czem innem rozprawiać, jak tylko o świętych rzeczach. Skarga był

wcale niewymuszony i gdy potrzeba było, potrafił nawet wydać wcale miłe przyjęcie towarzyskie, jak się to zdarzyło w Warszawie, gdy wespół ze swym towarzyszem zdołał zakupić dom na kollegium i chciał przenosiny do nowego pomieszkania uroczyście obchodzić. Skarga był przeciwny wszelkiej przesadzie w drobnych kwestyach życiowych. »Jest zbytek a przygana, powiada, w surowej barzo sprawiedliwości, w wielkich postach, w wielkim zmorzeniu ciała, w niewczesnej cierpliwości, w niepotrzebnej łaskawości, w pokorze, gdy po niej mało« (N. 12). Indziej dodaje: »Nie wszystkiego co czynili święci, naśladować możem, wiele jest przykładów, które tylo na dziwowanie dane są (S. 79). »Wesołe serce a głowa zdrowa« to jego ideał. Maksymy te stosował zwłaszcza w hygienie. »Ciało, powiada, nie służy nam jako niewolnik, ale jako towarzysz: swego się snu, jedzenia, odzienia, odpoczynienia upomina« (N. 43); »Ciało masz, nie jesteś duchem, jeść i pić musisz« (N. 15, 65); »Najadszy się, więcej zrobisz za godzinę, niźli głodny a słaby będąc, za dziesięć« (N. 13). Gdyby chodziło o oznaczenie, co najbardziej lubił, to trzebaby wskazać »mięsa przewyborne w tłustości, smaku i tuczeniu«, zwłaszcza »kapłony, kuropatwy i sarninę», które często wspomina; następnie »wina przesłodkie, wdzięczne, korzenne i wonne«, których my obecnie nie lubimy, ale nad które, według niego, »ludzie tu na ziemi większej roskoszy nie mają«. Skarga, jako kaznodzieja dworski nie miał zbyt wielkiej pensyi, bo tylko 1032 złp. (tj. 86 miesięcznie) [1], więc tych wszystkich przysmaków zapewne najczęściej przy stole królewskim albo u Boboli, wcale majętnego człowieka, mógł kosztować.

Portretów Skargi mamy trzy: lwowski u M. B. Śnieżnej, krakowski u Arcybractwa Miłosierdzia i trzeci miedzioryt z pocz. XVII w. rysownika holenderskiego C. de Malleryego. Wylicza je Dzieduszycki. W pierwszych dwu sportretowano Skargę w młodym wieku, w sutannie księżej, po pas, ale bez szczególnych emblematów; w ostatnim widzimy go w wieku bardzo po-

[1] Rachunki podskarbiowskie Jana Firleja z r. 1590. Gołębiowskiego, „Domy i Dwory" 192.

deszłym, przy krucyfiksie i z książką na stole, nadto z boku otwarto perspektywę na wnętrze kościoła gotyckiego, w którym siedzi kilku panów na stołkach w presbyteryum a Skarga stoi na kazalnicy, naturalnie w komży, stule i birecie. Na dawniejszych portretach twarz Skargi jest ściągła, pełna żelaznej energii, może trochę za surowa i zanadto wyniszczona; Skarga nosi naówczas włosy dłuższe i brodę, która mu całą dolną część twarzy zakrywa. Na portrecie późniejszym, Skarga ma już oczy wielkie, wypatrzone i jak gdyby wypłakane; twarz trochę rozlaną, szczękę dolną dosyć wyrazistą, może zmysłową; włos siwy, rzadki i krótko strzyżony.

Skarga był zdaje się konstytucyi zdrowej i wytrwałej naszych małomieszczan. Przecież nie należy sobie wyobrażać, jakoby miał siły herkulesowe i mógł poddawać się nadzwyczajnym próbom wytrwałości. Kilkakroć w swych pismach wspomina, że tydzień zamierzywszy pościć, trzeciego dnia mdlał; że z długiej modlitwy dostawał bólu głowy i że nie mógł nigdy całej nocy się przemodlić, bo mu się głowa zawracała (N. 43, 53). Chorował zapewne rzadko. Od 65 roku życia zaczął trochę niedomagać; roku 1604 trapiła go ciężka febra, wśród której właśnie zjawił mu się Warszewicki; dwa lata przed śmiercią chorował na kamień; umarł zaś na wyczerpanie sił. Birkowski powiada, że »usechały w nim żyły i arterye« i że żegnając się z dworem, ledwie mówił, bo zerwał sobie głos w ciągu omal nie półwiekowego kaznodziejstwa. W każdym razie pod względem fizycznym Skarga był wcale dobrze wyposażony od natury i przy pewnej uwadze, która mu zresztą była właściwa, mógł wcale tęgim organizmem wśród całej publicystycznej i kaznodziejskiej działalności rozporządzać.

W końcu musimy także sprzeciwić się tradycyjnemu podaniu, jakoby Skarga dawał się bezkarnie znieważać. Tak przynajmniej przedstawia go Birkowski. Naówczas istotnie ludzie byli trochę brutalniejsi i Skarga doznał w swem życiu niejednej bolesnej i niesłusznej obelgi. Ale jeśli przeciw obrazie czasem nie wystąpił, to chyba z głębszego powodu, bo nie można sobie wyobrazić, iżby człowiek tej miary i tak czcigodnego stanu, nie miał

poczucia swej wysokiej godności. Zasada ta nawet w społeczeństwie XVI wieku i w czasie zatargów reformacyjnych byłaby wprost niemożebną. Wprawdzie Skarga powiada, że »dobry chrześcianin ma być gotów raczej krzywdę cierpieć, niźli się o nią mścić« (N. 42) — ale w innem miejscu zaraz objaśnia »abyśmy uciekali, gdy nas prześladują a w pokusy się nie wdawali, póki o woli Bożej nie wiemy« (N. 70). Wogóle co do wszelkich drobiazgów życiowych, należy wiedzieć, że Skarga starał się zawsze roztropnie postępować.

S. Windakiewicz.

SKARGA I BOSSUET.

Na tle kazań pogrzebowych.[1])

I.

Jak Skarga w XVI w w Polsce, tak we Francyi w wieku XVII zasłynął Bossuet jako niezrównany mowca. Kaznodzieja królewski na dworze Ludwika XIV ma pewne wspólne rysy z kaznodzieją polskim. Jego »Oraisons funèbres« bardzo przypominają Skargę i dlatego krótkie porównanie ich z kazaniami pogrzebowemi Skargi jest konieczne do charakterystyki tych ostatnich.

Przy porównaniu opieram się głównie na trzech kazaniach Bossueta, a mianowicie:

I. Oraison funèbre. De Henriette-Marie de France Reine de la Grande-Bretagne (z 16. XI. 1699 r.).

II. Oraison funèbre. De Henriette-Anne D'Angleterre Duchesse D'Orléans (z 21. VIII. 1670 r.).

III. Oraison funèbre. De Marie-Thérèse D'Autriche Infante D'Espagne, Reine de France et de Navarre (z 1. IX. 1683 r.).

Te bowiem dotyczą królowych, podobnie jak u Skargi; na nich więc i cechy wspólne i różnice najlepiej się uwydatniają [2].

---

[1] Ostatnia część niniejszej pracy „o języku i stylu kazań pogrzebowych“ umieścimy w drugim zeszycie jubileuszowym Skargi. *Redakcya.*

[2] Tłumaczenie siedmiu kazań Bossueta (6 pogrzeb.) wyszło w Krakowie w r. 1838 p. t. „Mowy Pogrzebowe J. B. Bossueta, biskupa Meldeńskiego“, przez Aleksandra Cukrowicza. W tem tłumaczeniu podaję wiele przytoczonych miejsc z Bossueta; niektóre w przekładzie swoim. Tłumaczenie bowiem Cukrowicza nie zawsze oddaje wiernie myśl autora, a często grzeszy niedbałością formy. Np. zdanie Bossueta z mowy II-giej str. 93: *Et si nos coeurs,*

Bossuet i Skarga występują zawsze nie tylko jako kaznodzieje, ale i jako obywatele. Dlatego i jeden i drugi naród swój głównie ma na myśli, jego dobro, jego sławę, ustrój wewnętrzny, wartość moralną. Nie skąpi Skarga rad królom osierociałym i synom królewskim, nie brak ich i u Bossueta. Skarga staje u trumien dwóch królowych, aby pamięć ich cnót, pamięć ich życia a także dynastyi utrwalić w sercach na zawsze, a stawia te królowe, jako wzór i to wzór naprawdę godny naśladowania. Podobnie Bossuet. Podnosi u królowych pobożność, aby do pobożności wszystkich zapalić, podkreśla cierpliwość w znoszeniu nieszczęść niezwykłych, codziennych, ale wielkich, przygniatających, a czyni to, aby cierpliwości nauczyć. Przy żadnej nie zapomni wspomnieć o jej zasługach dla państwa, o stosunku królowej do państwa i państwa do królowy.

Skargę nazwano tyranem dusz, a, u Bossueta nie rzadko spotykamy ustępy, wstrząsające całą duszą — olśniewające przepychem słów. Naprzykład taki ustęp z kazania II-go na str. 73 [1]: »La voilá, malgré ce grand coeur, cette princesse si admirée et si chérie! la voilà telle que la mort nous l'a faite; encore ce reste tel quel va-t-il disparaître, cette ombre de gloire va

---

s'endurcissent apres un avertissement si sensible..." tłumaczy Cukrowicz: A jeżeli serca wasze wpadają w zatwardzenie (stc. 92) po tak dotkliwej nauce..." Po francusku wyszły w *Biblioteque Nationale* p. t. *Oraison Funèbres*, Paris 1903, i tem wydaniem posługuję się przy porównaniu.

[1] Tłumaczenie z Cukr, str. 71 – 2: „Oto ta pani wielkiem sercem sławna, tyle wielbiona i kochana! Otóż taka, jaką ją śmierć uczyniła! Jeszcze i te obecne tu szczątki wkrótce się rozsypią, ten cień chwały zniknie, a my niebawem zobaczymy ja odartą z tej smutnej ozdoby. Zstąpi ona zaraz do tych siedlisk ponurych, do tych zaciszy podziemnych, gdzie wedle słów Joba zasypiać będzie w prochu z tymi mocarzami ziemi, z tymi królami i książęty zbutwiałymi, między którymi będzie można ją pomieścić, tak ściśnione tam szeregi, tak śmierć do zapełniania ich pochopna, ale wyobraźnia nasza i tu nas jeszcze uwodzi; śmierć nie zostawia nam tyle ciała, byśmy mogli jakie miejsce zajmować i widać tam same tylko grobowce, jakiś kształt mające: nasza powłoka wkrótce zmienia swą własność, ciało przybiera inne nazwisko, nawet wyraz „zwłoki" przestaje mu wkrótce służyć, gdyż maluje nam jeszcze jakąkolwiek postać ludzką, nawet nie wiedzieć czem się ono staje, staje się tem, na co w żadnym języku nie masz nazwania: jakże to wielka prawda, że wszystko w człowieku umiera, nawet te słowa żałobne, któremi określamy nieszczęsne jego szczątki".

s'evanouir, et nous l'allons voir dépouillée même de cette triste decoration. Elle va descendre á ces sombres lieux, á ces demeures souterraines, pour y dormir dans la poussière avec les grands de la terre, comme parle Job, avec ces rois et ces princes anéantis, parmi lesquels á peine peut-on du placer, tant les rangs y sont pressés, tant la mort est prompte á remplir ces places. Maisi ci notre imagination nous abuse encore; la mort ne nous laisse pas assez de corps pour occuper quelque place, et on ne voit lá que le tombeaux qui fassent quelque figure; notre chair change bientôt de nature, notre corps prend un autre nom; même celui de cadavre, dit Tertullien, parce qu'il nous montre encore quelque forme humaine, ne lui demeure pas longtemps; il devient un je ne sais quoi qui n'à plus de nom dans aucune langue: tant il est vrai que tout meurt en lui, jusqu'á ces termes funèbres par lesquels on exprimait ses malheureux restes!«

Skarga jednak nie na formę kładł główny nacisk, jak Bossuet, bo ona sama »nieszukana do niego przychodziła« [1]; stąd u niego niema tego patosu, co u Bossueta, stąd Skardze się wierzy i podziwia się go, podczas kiedy Bossueta tylko podziwiać można.

Adam Mickiewicz pisze w swojej literaturze (t. I. str. 351—2 Warszawa 1850): »Jako mowca, jako pisarz stoi on na równi z Bossuetem i Massilonem, a poniekąd wyżej. W najpiękniejszych kazaniach francuzów zanadto bierze górę forma, znać zaraz, że były przeznaczone dla publiczności uczonej; kiedy u Skargi formy nawet nie widać«. A Rychcicki (Dzieduszycki w t. II. str. 285 [2]): »Widać z mów tych Skargi (tj. z mów pogrzebowych IV, V), że nie były jak niejedna rzecz Bossueta lub Fleszyera ostatnim wysileniem sztuki krasomowskiej i obowiązkową pochwałą, ale wyrazem uczucia powszechnego, które znalazło tylko wybornego tłumacza. Zaprawdę! warto wziąć do ręki te sławione płody złotego wieku piśmiennictwa francuzkiego i porównać ich układ cały i ustęp po ustępie,

[1] Chrzanowski. Kazania sejmowe 1903.
[2] Piotr Skarga i jego wiek, Kraków 1869.

KAZANIE SKARGI

myśl po myśli, z owemi dwoma kazaniami naszego mowcy, a nie tylko przyznamy mu większą siłę, więcej żywości i prawdy w obrazach, ale, co dziwniejsza, wyda nam się jakoby niejedna z tamtych była niejako odwzorowaniem mów Skargowskich" [1].

Mecherzyński (w t. I. na str. 283 Hist. wyd. w Polsce) również wyższość przyznaje Skardze: »Bez uprzedzenia powiedzieć można, że jakkolwiek Francya w wieku XVII obchodziła złoty wiek wymowy kaznodziejskiej, jakkolwiek chlubi się wydaniem Bossuetów, Massylionów, Burdalów, Flessierów, przecież ci wszyscy mowcy nie sprostają jednemu Skardze«. A Stefan Witwicki w »Wieczorach Pielgrzyma« (t. I. str. 170, Lwów 1885) pisze: »Porównywując Skargę ze sławnymi mowcami kościoła francuzkiego, możnaby powiedzieć, iż mniej od nich akademikiem, lecz bardziej był kapłanem; u tamtych więcej krasomowstwa i sztuki, u tego więcej serdeczności i ducha apostolskiego. To też z kazań francuzkich weźmie się łatwiej wyjątki do wypisów szkolnych, ze Skargi łatwiej całe karty do książek od nabożeństwa. Przyznając Francuzom więcej ćwiczenia i obmysłu pisarskiego, przyznam jeszcze polskiemu kaznodziei daleko więcej obywatelstwa. Wszakże nie jest on pośledniejszy od nich w kunszcie wymowy«.

Inny wydaje sąd Stan. hr. Potocki w swoich »Pochwałach, Mowach i Rozprawach« [2] (w t. II. str. 412): »Znakomitem jest w naszym Skargi imie, i słusznie stało się klasycznem, bo cho-

[1] Uwaga ciekawa i ponętna, ale czy prawdziwa nie wiem, bo nie znam żadnego tłumaczenia kazań Skargi na język francuski ani z XVI ani z XVII w. Kazania na niedziele i święta i o siedmiu Sakramentach wyszły w tłumaczeniu łacińskiem w r. 1691 Jana Pie iążka p. t.: *Conciones pro diebus dominicis et festis totius anni r. p. Petri Skarga Poloni, societatis Jesu: iam olim ab ipso authore cum additione de septem sacramentis et aliarum quarumdam concionum saepius recognitae et editae nunc vero in Latinum idioma translatae et ad fidei doctrinaeque christianae augmentum a Joanne Odrowąż Pieniążek palatino Siradensi in lucem publicam datae Permissu superiorum. Cracoviae typis universitatis.* A. 1691. Rychcicki podaje, że jest to tłumaczenie z wyd. z r. 1600, zatem i kazania pogrzebowe byłyby tłumaczone. To tłumaczenie mogło być znane Bossuetowi, ale na kazania z przed r. 1691 wpłynąć nie mogły. Wpływ ten — zdaniem prof Grabowskiego — jest niemożliwy.

[2] Warszawa 1816.

ciaż kościelna wymowa iego nie wyrówna Bossueta, Fleszyera, Burdalego lub Massiliona, żaden go przecież z tych sławnych mowców, co do czystości, prostoty i powagi mowy w języku swoim nie przewyższył, a mało któren z rodaków w własnym mu wyrównał«.

W sądach tych wszystkich da się jednak zauważyć jedno, co do czego dwóch zdań nie spotykamy nigdzie, a mianowicie, że Skarga zawsze jest szczery i prosty, a Bossuet sztuczny, wymowny i uczony!

Biorę pod uwagę same tylko kazania pogrzebowe obydwu mowców a nie wszystkie ich dzieła kaznodziejskie, i co do tych kazań jak zresztą i co do wszystkich innych przyznać trzeba zupełną słuszność Mickiewiczowi, Dzieduszyckiemu, Mecherzyńskiemu, Tarnowskiemu i wielu innym.

Wykwintnym Skarga nigdy nie był, o sztuczność się nie starał, olśnić ozdobną formą nie chciał, ale prawdę mówił w oczy — królowi, senatorom i całemu narodowi, prawdę mówił o królowych i, czy to z śmierci koronowanych głów wyciągał nauki i upominał, czy się do serc i dusz wdzierał żalem, smutkiem i modlitwą, czynił to bez przesady i co ważniejsza bez pochlebstw żadnych.

Bossuet »rzuca na papier wiele myśli, wiele efektownych wyrażeń bez wyboru« [1], bo ich zadaniem głównem jest olśnić formą, sztucznymi efektami, niespodziewanym zwrotem, wirtuozostwem słowa, i dlatego nazwa krasomowcy najzupełniej odpowiada charakterowi francuzkiego kaznodziei. Naprzykład czyż nie o sam efekt tylko chodziło Bossuetowi, kiedy mówił o Henryce: »toute autre place qu'un trône eût été indigne d'elle... Elle eût une magnificence royale, et l'on eût dit qu'elle perdait ce qu'elle ne donnait pas« [2]. Lub kiedy robi z niej bohaterkę narodową, dlatego, że byłaby napewne kraj uratowała, gdyby

---

[1] Alfred Rébellian: Bossuet, Paris 1900, str. 24. „*Il jette sur le papier lusieurs idées, plusieurs expressions sans choisir.*

[2] I. str. 19.; w tłum. Cukrowicza: Żadne inne miejsce oprócz tronu nie było jej godne! — Jaśniała wspaniałością królewską i rzekłbyś, że to tylko traciła, czego nie rozdawała.

ten mógł być uratowany! [1] Nad grobem jej córki, księżny Orleańskiej, po pięknych i porywających uniesieniach nad jej młodością, urodą, cnotami i t. p., pociesza: »N'est-ce donc pas un bienfait de Dieu d'avoir abrégé les tentations avec les jours de Madame, de l'avoir arrachée á sa propre gloire avant que cette gloire, par son excès, eût mis en hasard sa moderation? Qu'importe que sa vie ait été si curte? jamais ce qui doit finir ne peut être long«.[2]

Jak Skarga pocieszał królestwo całe po zgonie pierwszej żony Zygmunta III, wiemy już. Nie, że śmierć uwolniła ją od pokus i przypuszczalnej pychy i odstępstwa, nie tą filozofią, że wszystko co jest ziemskie, kończy się, a co się kończy długiem być nie może, ale tem, że mało tak umiera, jak Anna Rakuska umierała, i że uwolniła królestwo od zawieruchy bezkrólewia. A jużby o żadnej nie powiedział Skarga takiej pochwały, jak Bossuet o Maryi Teresie, żonie Ludwika XIV: „et on voyait paraître en cette jeune princesse plus de belles qualités qu'elle n'attendait de couronnes. Philippe l'élève pour ses Etats; Dieu, qui nous aime, la destine á Louis«.[3]

Czy przez to chciał mowca zaznaczyć, że królowa miała tych przymiotów bardzo wiele?, czy raczej, że prócz francuskiej, mogła się spodziewać i hiszpańskiej korony, jako córka Filipa IV?

Przy śmierci Bossuet zatrzymuje się chętnie, bo ta pozwala mu w całej pełni rozwinąć swoją wymowę, nauki moralne osnuć w złotą przędzę słów, ale nie zawsze ta złota wymowa do końca wytrwa w tym samym tonie i na tej samej wysokości. Czasem następuje nagły spadek, przeskok, choć słyszy się jeszcze, że

---

[1] Str. 20.

[2] Str. 91; w tłum. Cukr. (str. 90): „Nie jestże to dobrodziejstwem Boga, że skracając dni Księżnej, skrócił także jej pokusy; że ją wydarł własnej chwale nim ta chwała swym nadmiarem przyprawiła o zgubę jej umiarkowanie? Cóż z tego, że jej życie było tak krótkie? Co się skończy, nigdy nie jest długotrwałem".

[3] Str. 104; w tłum. Cukr. (str. 103), „Więcej w tej księżniczce naliczyć można było pięknych przymiotów, aniżeli się koron spodziewać mogła. Takto Filip wychowywał ją dla swego kraju, ale Bóg, który nas kocha, przeznaczył ją Ludwikowi".

mowca mówi dalej w tym samym zapale, z tym samym ogniem i w dobrej wierze, że tak samo. Naprzykład kiedy ustęp o śmierci Henryki-Anny i Maryi Teresy, kończy słowami: »Cóż chrześcianie wyrzeczemy o tych dwóch królowych, chyba, że jedna nauczyła nas, jak z czasu należy korzystać (tj. Anna, bo chorowała bardzo długo), a druga nam pokazała, że śmierć chrześciańska i tego nie potrzebuje«.[1] Czyli, że »śmierć chrześciańska« nie potrzebuje z czasu korzystać, bo można i nagle umrzeć po chrześciańsku! Do niej także odnosi się ta jakby odezwa do całego świata: »Accourez, peuples: venez contempler dans la première place du monde la rare et majestueuse beauté d'une vertu toujours constante«.[2] A Skarga całą duszą i prawie ze łzami w oczach mówi przy trumnie Jagiellonki: »Płaczmy wszyscy, iżeśmy utracili królową i matkę naszą!«

O Bossuet'cie nie możnaby powiedzieć tego, co Tarnowski napisał o kazaniach pogrzebowych Skargi: »Istotnie prawda, szczera prawda, to największy sekret jego mów pogrzebowych«.[3]

W słowach Skargi jest tylko prawda, u Bossueta przepiękne słowa — i schlebianie dworowi Ludwika XIV i samemu Ludwikowi. Za jego panowania — zdaniem Bossueta — Francya nauczyła się lepiej znać i oceniać samą siebie [4], poczuła się naprawdę wolną, nie krępowaną bezwzględnością królów i t. d. Chyba zapomniał Bossuet na mownicy o słowach samego Ludwika, który powiedział o sobie: l'état c'est moi! państwo to ja!

Warto temu schlebianiu francuzkiego kaznodziei przeciwstawić — proste i szczere a tak wzruszające słowa Skargi, zwrócone do króla Zygmunta:[5] »Wracam się do Ciebie: Nayiaśnieyszy Mił. Królu, ukazuiąc, iako się sądu Bożego boię, ieślim co boia-

---

[1] Tłum. Cukr. str. 134. „*Que dirons-nous chrétiens de ces deux reines? Par l'une, Dieu nous apprit comment il faut profiter du temps, et l'autre nous a fait voir que la vie vraiment chrétienne n'en a pas besoin,*" str. 135—6.

[2] Str. 99; w tłum. Cukr. (str. 98): „Schodźcie się ludy i oglądajcie na najwyższym rzeczy ludzkich szczeblu rzadką i wspaniałą piękność cnoty zawsze stałej".

[3] Hist. L. pol. I., str. 348, Kraków 1900.

[4] Str. 106—108.

[5] Z encyklopedyi wydania z r. 1595 (odpis z wyd. z r. 1597).

źliwie, nieroztropnie, niedbale sobie na tym wielkim powołaniu postawił, a wiernym y mądrym robotnikiem nie był. Jeślim się na maiestat W. K. Mości przestraszył a tego, co P. Bóg kazał do W. K. M. nie mówił, a iako Jonas od poruczenia Boskiego uciekał, abo ieslim mówił nie z taką roztropnością y miarą iako było potrzeba. Jeślim nie usłuchał głosu Bożego, ktorym mię umocnił mówiąc: Mów wszytko, coć każę, a nie bóy się ich, bom ia z tobą iest, abych cię z ręki ich wyrwał«. Ustęp ten, nie z kazań pogrzebowych Skargi wyjęty, przytaczam w tym celu, aby uwidocznić tę właśnie ogromną różnicę, jaka zachodzi między polskim kaznodzieją z XVI wieku a francuzkim z XVII, t. j. z epok tych dwóch narodów dla kaznodziejstwa najświetniejszych.

Alfred Rébelian pisze o Bossuecie: »Les admirateurs de Bossuet le représentaient jadis comme un génie presque miraculeux«.[1] To był sąd wieku XVIII. Sąd słuszny, bo we Francyi drugiego takiego mowcy nie było, któryby z taką siłą słowa trafiał do dusz i olśniewał je;[2] u Skargi treść kazała zapominać o formie — u Bossueta nieraz odwrotnie bywało.

Dla porównania tych dwuch mowców zestawiam obok siebie niektóre ustępy, które wybitnie malują różnicę — a równocześnie wykazują wzajemną ich wspólność..... w wielkości.

Takim jest ustęp w kazaniu na pogrzebie Henryki-Anny, w którym Bossuet opisuje ostatnie chwile księżny i uczucia jej blizkich, i podobny ustęp u Skargi o zgonie Anny z Rakuz.

„O nuit désastreuse![3] ô nuit effroyable, où retenti tout

---

[1] W dziele „Bossuet" Paris 1900, str. 5.

[2] *Rébelian.*

[3] Str. 70—1 „O nocy straszna... tak okropna! w której jak nagły trzask piorunu spada wieść: księżna umiera... księżna nie żyje! I któż z nas nie odczuł tego ciosu tak, jakby tragedya w jego dom się własny wdarła? Na wieść o tem wielkiem nieszczęściu zbiegają się ze wszystkich stron tłumy do Saint-Cloup; wszyscy... prócz księżnej... jakby piorunem rażeni! Zewsząd dochodzą krzyki żałosne — wszędzie boleść i rozpacz i... obraz śmierci. I król i królowa i dwór cały i lud smutny i rozżalony i pełen rozpaczy! A ja — zda się widzę, iż pełnią się słowa proroka: Król płakać będzie, a książę poczuje się opuszczonym, a narodowi ręce opadną z bólu i zdumienia! Ale i książę ud płakali daremnie daremnie brat królewski i król sam obdarzali ją najczulszemi pieszczotami! Mogliby powiedzieć ze św. Ambrożym: *Stringebam*

á coup comme un éclat de tonnerre cette étonnante nouvelle! Madame se meurt! Madame est morte! Qui de nous ne se sentit frappé á ce coup, comme si quelque tragique accident avait désolé sa famille? Au premier bruit d'un mal si étrange, on accourut á Saint-Cloud de toutes partes; on trouve tout consterné, excepté le coeur de cette princesse; partout on entend des cris, partout on voit la douleur et le désespoir, et l'image de la mort. Le roi, la reine, Monsieur, toute la cour, tout le peuple, tout est abattu, tout est désespéré; et il me semble que je vois l'accomplissement de cette parole du prophète: »Le roi pleurera, le prince sera désolé, et les mains tomberont au peuple de douleur et d'étonnement". Mais et les princes et les peuples gemissaient en vain; en vain Monsieur, en vain le roi même tenait Madame serrée par de si étroits embrassements. Alors ils pouvaient dire l'un et l'autre avec saint Ambroise: Stringebam brachia, sed iam amiseram quam tenebam. Je serrais les bras, mais j'avais déjá perdu ce que je tenais. La princesse leur échappait parmi des embrassements si tendres, et la mort plus puissante nous l'enlevait entre ses royales mains. Qui donc! elle devait périr si tôt! Dans la plupart des hommes les changements se font peu á peu, et la mort les prépare ordinairement á son dernier coup: Madame cependant a passé du matin au soir, ainsi que l'herbe des champs: le matin elle âfleurissait, avec quelles gràces! vous le savez, le soir nous la vîmes séchée; et ces fortes expressions par lesquelles l'Ecriture sainte exagére l'inconstance deschoses humaines devaient être pour cette princesse si précises et si littérales!«

— A Skarga o Annie tak mówi:

»Ona dawno przed śmiercią, nieiako duchem św. wiedząc mówiła do króla J. M.: Zda mi się, iż się rychło rozdzielim,

---

brachia, sed iam amiseram quam tenebam. Z objęć wymknęła się księżna, śmierć ją przemogła i z rąk królewskich wydarła! Cóż więc! Tak przedwcześnie zgasnąć miała! Przemiany w ludziach dzieją się zwykle powoli, a śmierć ostatnim ciosem ich dokonywa! Księżna — jak kwiaty po polach — dzień cały przeżyła; rano tak wdzięcznie zakwitała — a wiecie, jak zwiędłą ujrzeliśmy ją wieczór. I z jaką ścisłością wypełniły się na niej słowa, któremi Pismo św. niestałość rzeczy ludzkich maluje"!

y będąc blisko rodzenia, uczęszczała do spowiedzi, y w Niedzielę, iako się wspomniało, najświętszy sakrament z wielką gorącością miłości ku Panu Bogu swemu, który dla niey w onym ciele umarł, przyimowała. W onę Niedzielę źle się mieć poczęła, w Poniedziałek zdrowsza się trochę być mniemała, y rzekła do swego epowiednika: Wiecie, iż dziś dzień nasz jest, którego karmić ubogie mamy? podobno dla słabości y ciężkości w piersiach odprawić dziś tey posługi nie będę mogła. Odłożym da Pan Bóg na iutro, a tego nie opuścim. Co iako się iey nazaiutrz oddało, wnet usłyszym. Nie mogło ono miłosierdzia pełne serce y w takich bolach śmiertelnych tego przepomnieć, w czym się kochało y do czego się przyuczyło. A gdy wtorek przyszedł, barzo iey piersi ociężały, iż z trudnością wielką oddychała, a iednak iako zdrowa w swoim zwykłym ubierze na krześle siedziała. Lekarze poznali niebezpieczeństwo. W samy prawie obiad około godziny 12 barzo się źle mieć poczęła. Przybieżem kapłani wszyscy trzey,[1] uczyniła św. spowiedź, a gdy drudzy za iey upominanim po naświętszy Sakrament y po oley św. pobiegli: iam został; y uyrzawszy mię przy królu J. M. stoiącego, zawołała: Modlcie się za mną. Skorośmy na kolana padli, tak konać na onym krześle poczęła, y porwaliśmy się do niey, wołaiąc na nią y do P. Boga, iako kto mogł. Tymczasem naświętszy Sakrament przyniesiono, y przy nim kilakroć tylo tchnąwszy, głowę oną wdzięczną królewską spuściła. Y odeszła do tego, który ią do siebie zamiłował: tey godziny, którey ona Chrystusa swego w ubogich karmiła, na niebieskie iego królestwo, y wesoły a wieczny obiad wezwana iest. Oczyśmy iey zamknęli y do króla J. M. rzuciwszy, gorzkie y smutne płakanie ze wszystkiemi przytomnemi y białemi głowy zaczęliśmy« (V. 270).

Oba ustępy przepiękne, w obu liryzm wielki, uczucie silne, poezya niemała, a przecież każde inne: w pierwszym krasomowstwo, w drugim prostota słowa a rzewność myśli; Bossuet mówi, jakby chciał płacz na oczy wycisnąć słowami, ich

[1] Skarga, Fab. Qudrantinus spowiednik królowej i legat Jermanik Malaspina.

potęgą; Skarga opowiada to, co widział, pod wpływem osobistego żalu, jakby nie myśląc o tem, że przed nim król i królestwo.

Wiemy, jak żegnał Skarga Jagiellonkę, jak modlił się: »Płać ci Boże te zasługi w królestwie onym...«

Bossuet podobnie mówi przy trumnie Maryi Teresy:

»Recevez, père Abraham, dans votre sein, cette héritière de votre foi, comme vous servante de pauvres, et digne de trouver en eux, non plus des anges, mais Jésus-Christ même. Que dirai-je davantage? Ecoutez tout en un mot: fille, femme, mère, maîtresse, reine, telle que nos voeux l'auraient pu faire, plus que tout cela, chrétienne, elle accomplit tous ses devoirs sans présomption, et fut humble non-seulement parmi toutes les grandeurs, mais encore parmi toutes les vertus«.[1]

Możnaby więcej podobnych przytoczyć przykładów, ale i te wystarczą, aby wykazać, że Skarga Bossuetowi w kazaniach pogrzebowych w niczem nie ustępuje, a przewyższa go prostotą i szczerością. Być może, że, jak pisze Thomas we wstępie do wydania kazań Bossueta XII—XIII, nikt we Francyi nie mówił lepiej od niego ani o życiu, ani o śmierci, ani o nieskończoności, że słowa jego przejmują dreszczem, jak nagły krzyk w głębokiej ciszy lub tajemniczy spokój lasów — to jednak o 100 lat prawie wcześniej tak samo Skarga mówił w Polsce...z tą tylko różnicą, że mówił z serca a nie z rozumu tylko, że mówił z głębi duszy i z wiarą, że tak Bóg chce!

II.

Mówić o kazaniach pogrzebowych Skargi ze stanowiska wymowy kościelnej jest rzeczą trudną, choćby z tego względu, że uwzględniać i stosować się musi teorye i wymogi dzisiejsze, stawiane przez Jungmann'a, Krynickiego, Pelczara, Ważyńskiego,

[1] Str. 129; mp: Przyjmij ojcze Abrahamie na twoje łono, dziedziczkę twojej wiary, i tak jak ty sługę ubogich, godną w nich znaleźć nie już aniołów ale Chrystusa samego. I cóż więcej powiem? Słuchajcie — jedno słowo, córką była, żoną i matką, panią i królową, jaką tylko pragnienia nasze wymarzyć mogły, i więcej jeszcze, bo chrześcijanką, wypełniającą bez przesady powinności swoje, skromną nietylko w wielkości, ale i w cnocie.

Markiewicza, Jougan'a, i t. d. i t. d. do kazań dawnych, z wieku XVI, które nieraz za wzór definicyom późniejszym posłużyły, jak np. Skarga księdzu Krynickiemu.

Sięganie zaś do źródeł średniowiecznych jak św. Jana Chryzostoma, św. Augustyna, św. Bonawentury, czy późniejszych jak Hieronima Dungersheima, Karola Boromeusza, a z polskich Sokołowskiego — jest pracą, wychodzącą po za ramy kilku uwag, konieczną natomiast w szczegółowem rozpatrywaniu całego kaznodziejstwa Skargi.

Zresztą kazania pogrzebowe wyłamują się przez swój charakter okolicznościowy od ogólnych norm, odnoszących się do budowy homilij i kazań katechetycznych. Jeśli tam każde kazanie musi mieć swój »protasis totalis« czyli wstęp, »tractatio« tj. przeprowadzenie i »epilogus« czyli domówienie i jeśli każda z tych głównych części ma swoje poddziały mniejsze i większe — to w kazaniach pogrzebowych to całe rusztowanie nieraz misterne albo zupełnie odpada albo zarysowuje się kilkoma prostemi liniami.

W pierwszych trzech kazaniach pogrzebowych Skargi (I, II, III) można się jeszcze dopatrzeć tego podziału na części poszczególne, możnaby w przybliżeniu utworzyć szkic, z którego powstały i każdej części podporządkować jakąś główną myśli dominującą nad wszystkiemi innemi; tego nie da się zrobić w kazaniach dwóch następnych, gdzie wstęp np. składa się z kilku wierszy zaledwie i dlatego jest wstępem, że zaczyna kazanie, gdzie zakończenie jest modlitwą lub wezwaniem do modlitwy.

Ale nie na mechanicznej stronie opiera się istota kazań, ale na tem, czy osiąga zamierzony cel, a celem każdego kazania jest wpłynąć na wolę ludzką, a przez nią na czyny. Ten sam cel mają także kazania pogrzebowe, z tą tylko różnicą, że z tem łączy się inny, a mianowicie rozbudzenie żalu i oddanie należnych zasług umarłemu.

Do osiągnięcia pożądanego celu musi kaznodzieja używać odpowiednich środków, a tymi są: język i styl, jasny nie wyszukany, tłómaczący wiernie myśli mowcy, nie przeładowany niepotrzebnymi epizodami, efektami, obrazami itp., znajomość

serc ludzkich, potrzeb życia, rozwaga i ostrożność w tłómaczeniu słów Pisma św. i czystość i nieskazitelność samego kaznodziei.

Język sam nie wystarcza, i choćby błyszczał i olśniewał słowami, to zawsze wyda się czemś martwem, jeśli każdy nie będzie czuł, że kaznodzieja mówi z serca, z przekonania, że sam wierzy w to, co mówi. »Das Herz ist es, aus dem die Kraft der Beredsamkeit stammt, die innere Bewegung der Seele«.[1] Wszystkie zatem porównania, analogie, podobieństwa, apostrofy, eksklamacye, »emfazy« i t. p. środki stylowe nie zdadzą się na nic, gdy zabraknie tego jednego czynnika, — tak bardzo osobistego. Budowa wtedy będzie sztuczna, może nawet piękna i godna podziwu, ale nic więcej: serca nie poruszy, na wolę nie oddziała.

I właśnie to stawia Skargę ponad wszystkich innych, ponad Bossueta nawet, że on przedewszystkiem mówił ze serca, z głębi duszy, nie z zawiści, nie dla sławy, nie dla zajaśnienia przed słuchaczem formą i stylem.

To też »silną i przerażającą (?) była wymowa Skargi, ale nie gwałtowną i mimiczną jak u Włochów, mile brzmiącą i harmonijną, lecz nie krasomowską i po dworsku pochlebną jak u Francuzów, gruntowną w wywodach i przekonywującą, przecież nie zimną i bezbarwną, jak u Niemców«[2].

Drugim środkiem — znajomość życia. Bez tej znajomości kazania będą tylko zbiorem zdań z Pisma świętego, nauk moralnych, wielkich cnót z życia świętych — i ustawicznem kołowaniem w pewnej stałej liczbie tematów. A kazanie każde ma być przedewszystkiem praktyczne, ma się odnosić do człowieka, do jego życia, do jego spraw codziennych.

Skarga dobrze znał ludzi i świat, a najlepiej już serca ludzkie. W kazaniach pogrzebowych i nauki daje i przykłady liczne, przemawia do rozumu i do serca, wyciska łzy i zmusza słuchających, aby i do swoich sumień zaglądnęli, aby i sprawy swoje

[1] Jungmann. *Die Th. d. g. Bered.*, Fryburg. 1908, str. 275—6.
[2] Mecherzyński H. W. w P. t. II., str. 194.

mierzyli wiarą i przykazaniami. »... Skarga nie schodzi nigdy z wyżyny zasad, trzyma się zawsze ścisłej rzeczywistości, a nieskazitelnością uczucia i charakterem świeci«.[1]

O nim nie powiedziałby Jungmann za Gisbertem francuskim: »Wieder und wieder und immer aufs neue redet man gegen Ehrgeiz, Genusssucht und Habsucht und wenn man gegen diese drei Arten von Lastern geredet hat, da ist man am Ende mit seiner Nutzanwendung, man sitzt auf dem Trockenen und weiss nichts mehr zu sagen...« (str. 102).

Dalszym środkiem jest ostrożność i rozwaga w tłumaczeniu Pisma św. Często bowiem kaznodzieje robią z kazań katechetycznych, a także z homiletycznych, a nawet i z okolicznościowych, rozprawy teologiczne, pełne definicyi naukowych, nie zrozumiałych dla większości słuchaczy, pełne terminów naukowych, słowem, jakby słuchacze byli ojcami lub doktorami Kościoła, a conajmniej bakałarzami uniwersyteckimi. Zamiast jasno i prosto rozwijać omawiany dogmat, czy tekst ewangelii, wytaczają przed forum całe barykady zarzutów i stosy rozomowań, przywołują na pomoc całą sofistykę... i nieraz, czując słabość dowodzeń, zamykają je powagą Arystotelesa, Cycerona Seneki i t. d. — i takie kazanie może być rzeczywiście niezłym środkiem na bezsenność. Co prawda i Skarga chwali Zygmunta III. za to, że nie spał na jego kazaniach, ale je pilnie słuchał,[2] ale bo też jego kazania w niczem nie przypominają takich dyskusyi teologicznych.

Tak np. w pierwszych trzech kazaniach pogrzebowych chciał przedstawić krótkość i niestałość życia i małą wartość uciech ziemskich — i celu dopiął bez żadnych środków sztucznych, bez dociekań głębokich, podobnie jak i w kazaniach następnych.

Wreszcie... życie samego kaznodziei. »Wer das Wort Gottes vorträgt, der wird seine Zuhörer zu entschiedenen übernatür-

---

[1] Bobrzyński, Kazania sejmowe, Kraków. 1876, str. 24.

[2] „Czegoś W. K. M. słuchał z tak wielką ochotą, iżem nigdy W. K. M. drzymiącego na kazaniu, ani z kim gadającego nie widział". Dedykacya z wydania z r. 1595 (odpis z r. 1597).

lichen Führwahrhalten der religiösen Lehren, die er vorträgt, um so leichter führen und die Glaubensüberzeugung, die er in Augen haben muss, um so sicherer in ihnen zu bewirken — je mehr die Zuhörer in ihm den Mann des Glaubens und der Gottesfurcht anerkennen und je grösser das Vertrauen ist und die Verrehrung, welche sie ihm gegenüber hegen.«[1]

Oczywiście, jeżeli ksiądz czy zakonnik będzie mówił o miłości bliźniego, a sam jej w sercu nie ma, jeśli będzie groził piekłem, w które sam nie wierzy, jeśli nauki o moralności, rady i przestrogi jego będą w sprzeczności z nim samym, z jego życiem, z jego czynami, to rzecz zupełnie naturalna, że takiemu księdzu nikt nie będzie wierzył i kazanie takiego kaznodziei, jeśli jaki skutek wywrze, to chyba wręcz przeciwny zamierzonemu.

Wydawać sąd o Skardze, o jego życiu to to samo, co przejść całą jego biografię; nie znajdzie się w niej ani jednego cienia, ani jednego fałszywego kroku, ani jednego odstępstwa od głoszonych na kazalnicy nauk. Wszystkie jego prace: nawrócenie Radziwiłłów, księcia Sierotki i w. i., walka z różnowierstwem nie z nienawiści do niego, ale z miłości Boga i ojczyzny, Unia Brzeska i Bractwo Miłosierdzia, kollegia w Połocku, Rydze, Wilnie, Jarosławiu, Dorpacie i cała działalność pisarska była wynikiem całego życia Skargi, wielkiej pracy nad samym sobą i wiary w posłannictwo swoje. Człowiek, który tak żył jak on, był naprawdę powołany, aby z kazalnicy drugich nauczać, aby umarłych zasługi podnosić a do poprawy wzywać żywych.

Zupełnie słusznie pisze o nim Tarnowski w swojej literaturze (t. I, str. 352, Kraków 1900): »Miłość ojczyzny, wrodzony zmysł moralny, mogły podnieść jego żal i oburzenie do wysokości natchnienia, ale kiedy do nich przybywała żarliwość religijna, gorąca wiara, przekonanie, że chodzi tu nie o same tylko dobro świeckie doczesne, ale o zbawienie tysięcy dusz nieśmiertelnych, o obrazę Boga, którego mowca nad wszystko miłował, rzecz naturalna, że wszystkie jego uczucia podwajały się przez to nową siłą, że oburzenie, zgroza, prośba, zaklęcie, wszystko

[1] Jungmann. op. c.

nabierało tem większej intensyi i mocy. Gdyby Skarga był człowiekiem świeckim tylko, gdyby był przemawiał tylko w imię ojczyzny, honoru i uczciwości, nie byłby (?) wydobył z siebie tyle zapału i tyle natchnienia, ile znalazł w swojem uczuciu religijnem, w tem przekonaniu, że spełnia obowiązek nie tylko obywatelski, ale kapłański, że swojem słowem broni nie tylko Pospolitej Rzeczy i jej całości, ale chwały Bożej i zbawienia pospolitej rzeszy Bożego ludu. — Te więc dwie rzeczy, miłość ojczyzny i obawa o nią, miłość Boga, religijna gorliwość i wiara, złożyły się na rezultat tak nadzwyczajny, jak jego natchniona, jedyna w swoim rodzaju wymowa«.

Mógł się więc ustrzedz i ustrzegł się z łatwością w kazaniach pogrzebowych tego błędu, który popełniali wszyscy inni t. j. schlebiania, kłamstw i przesady.

Najpierwszym obowiązkiem kaznodziei pogrzebowego ma być prawda i tej żadnym względom poświęcać nie może, ani pod żadnym warunkiem ukrywać jej w wykwintnym płaszczyku kwiecistej wymowy nie powinien.[1]

Czy Skarga choćby na jotę odstąpił od tej prawdy? Czy schlebia, kiedy podnosi pobożność, cnoty obu królowych, kiedy stawia je przed oczy całego narodu, jako matki i opiekunki?

Jungmann radzi kaznodziejom, aby najlepiej nigdy nie występowali w charakterze mowców pogrzebowych, a czyni to dlatego, ponieważ nie wierzy, by tego rodzaju mowy mogły być

---

[1] Wł. Krynicki tak pisze w swojej „Wymowie Świętej“ na str. 117. (Warsz. 1906): „Osobny rodzaj mów okazyonalnych stanowią mowy żałobne i pogrzebowe. miewane albo z powodu zgonu znakomitych dostojników i ludzi zasłużonych w kościele i narodzie, albo przy oddawaniu ostatniej posługi zwłokom nieboszczyków. W pierwszym razie mowa ma charakter panegiryku(!), a celem jest wykazać zasługi i przymioty zmarłego, żywym zaś podać do naśladowania wzniosły przykład pracy i poświęceń, których on był wzorem. Tu zwłaszcza potrzebne jest należyte opracowanie rzeczy, styl podniosły i uroczysty; przytem wszystkiem kaznodzieja ma niezapominać, że najpierwszym jego obowiązkiem jest prawda, ze więc ani na jotę w pochwałach mu się przesadzić nie godzi, a chociaż niektóre wątpliwe co do pobudek czyny (sprzeczność z tem, co poprzednio powiedział) wolno tłumabzyć na dobre w oświetleniu późniejszych spraw pełnego zasługi żywota, to jednak nigdy nie może dać się powodować względom czy na słuchaczów, czy na rodzinę zmarłego“.

wolne od pochlebstw niesłusznych i przesady. I nawet takiego kaznodziei, jak Bossuet, od tego zarzutu uwolnić nie można. Skarga jeden może stanąć jako przykład, że kazanie pogrzebowe nie musi być panegirykiem, że celem jego nie jest staranie się o względy wielkich tego świata, ale tylko prawda zupełna. Historyk może zarzuciłby Skardze to lub owo, zwróciłby na niejedno uwagę i ze sceptycyzmem patrzyłby na pochwały życia domowego żony Batorego i żony Zygmunta III, — ale jednej rzeczy niktby nie dokazał, t.j. nikt by nie dowiódł, że Skarga inaczej myślał a inaczej mówił, że mu nie o prawdę samą chodziło, ale tylko o jej pozór, lub o samo tylko przekonanie słuchaczy.

St. Mondelski.

SKARGA JAKO HAGIOGRAF.[1]

Hagiografia była to dziedzina, w której Skarga miał zdobyć uznanie nadzwyczajne, gdyż spór z Wolanem obchodził dotąd tylko warstwy najoświeceńsze, a dzieło o unii czytała w istocie tylko mała liczba ludzi. Znaczenie polemisty urosło jednak widocznie w zakonie; z Rzymu Hozyusz wyrażał mu swe zadowolnienie[1] choć obawiał się, by pewne szczegóły nie obraziły Rusi niepotrzebnie. Wujek zdobywał właśnie uznanie mas swą postyllą, Skarga postanowił dać zbiór żywotów świętych, których brak dawał się odczuwać żywo, jak przed laty kilku, brak zbioru kazań polskich w duchu katolickim. Nikt nie pamiętał i tutaj o ubogich duchem, choć od trzech wieków prawie, czytywano, tłumaczono, uzupełniano żywotami polskich świętych ulubioną lombardzką historyę Jakóba de Voragine. W tym wieku nie tworzono już nowych legend, jak niegdyś, gdy powstawała prosta i budująca legenda o św. Wojciechu, nabrzmiewały legendy zakonne o św. Stanisławie, św. Kunegundzie, św. Jadwidze. Zamknął ich szereg Długosz, gdy bardziej wytworną od swych skromnych poprzedników łaciną opowiadał te same żywoty, podzielone na traktaty i rozdziały, jak gdyby chodziło o utwór literacki, stwarzał rzecz godną czytania nawet w wieku humanizmu.

[1] Ustęp z obszerniejszej pracy, pod tytułem: „Skarga na tle katolickiej literatury XVI wieku".

[2] Rękopis biblioteki Jagiellońskiej 154/I (gdzie znajduje się list do Skargi z 30 maja 1577 r., str. 9, *et sum eo legendo plurime delectatus*).

Brakło jednak strony bardziej odpowiedniej smakowi mas, które o świętych dowiadywały się tylko z kazalnicy. Legend trudno było się doszukać nawet w postylli, która teraz ograniczała się do apostołów i ważniejszych świętych, a unikała wprost pierwiastku legendowego. Nie wystarczały oczywiście i historye rzymskie, w których plątały się również legendy wśród mniej przykładnych anegdot. Potrzeba było tedy opowiadań o charakterze równie cudownym, jak poprzednio, byle unikały zbyt naiwnego allegoryzmu, zwłaszcza w wyprowadzaniu imion świętych i dawały odpowiednią naukę. Tego nie dawała historya lombardzka, takie żywoty mogły zastąpić nawet kazania. Ruch na polu hagiografii zwracał się zresztą również do źródeł, które odtąd oceniano krytyczniej [1], porzucił opowiadania Jakóba de Voragine, by stworzyć nowe i oparte na świadectwach apostolskich aktów męczenników, podaniach Ojców Kościoła, protokołach kanonizacyjnych. Na czoło hagiografów wybił się szczególnie Lippomano, którego usiłowanie prowadzi dalej koloński Kartuz Surius. Ożywiona na nowo pobożność przyjęła ich zbiory z zapałem, w każdym kraju katolickim pomyślano teraz o wyciągach z olbrzymiego dzieła, które posłużyło i Skardze, jak później Ribadeneyrze.

Rozpoczął on swą pracę wnet po ukończeniu dzieła o unii, a więc na wiosnę r. 1577. Po dwóch latach z sześciu tomów Suriusa zrobił jeden, by dokonać tym razem pracy o znaczeniu wyłącznie praktycznem. A tymczasem następowały po sobie zdarzenia dużej doniosłości. Podjazdy polskie posuwały się naprzód w najechanej przez Iwana Groźnego ziemi inflackiej, dowództwo nad wojskami regularnemi obejmował hetman wielki koronny Mielecki. Wojna zawrzała na kresach, by podejść pod mury Połocka. W Wilnie Batory zetknął się przedtem osobiście z najwpływowszym członkiem zakonu. Był na kazaniu w kościele akademickim, żądał przedłożenia życzeń zakonu. Uległ urokowi wymowy tego, który począł współzawodniczyć

[1] *Vollständiges Heiligen-Lexikon* von J. E. Stadler und F. J. Hein. Augsburg 1858, I Band, str. 15.

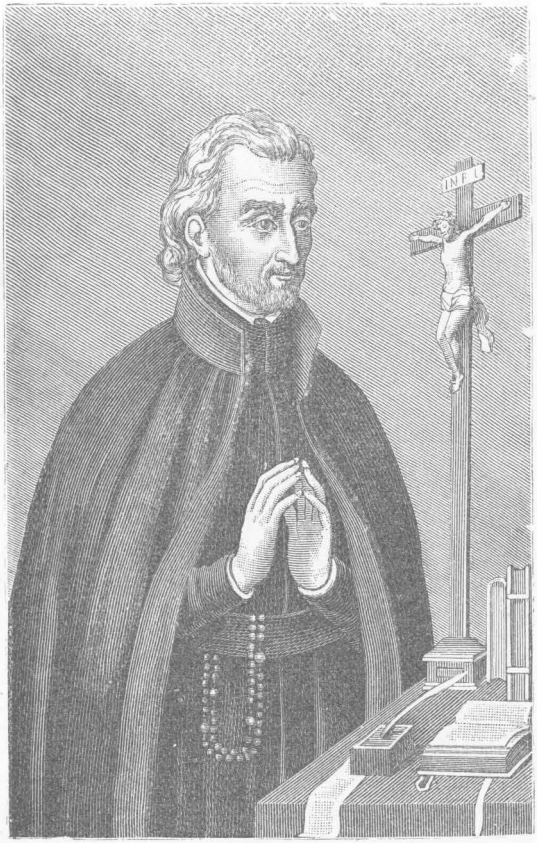

Ks. PIOTR SKARGA

(WEDŁUG PORTRETU W ARCYBRACTWIE MIŁOSIERDZIA).

z Sokołowskim, podniósł też ducha w samym kaznodziei, który nie zapomniał wspomnieć o nim w drukowanej właśnie i kosztem dotychczasowego opiekuna zakonu wydanej pracy. Nastrój wojenny dni odbił się w niej wyraźnie, do niego dołączyła się pewność, że zdobycie Połocka nie będzie tylko zdarzeniem politycznem. Nowy dzień świtał dla litewskiego katolicyzmu z powodu przyjaznej postawy króla, na jego czoło wysuwał się Skarga, by zdobywać szybko zaufanie decydującego w tej sprawie czynnika.

Pierwszą część żywotów poświęcał on Annie Jagiellonce, gdyż i ona mogła zaważyć na szali wypadków. I tłumaczył pobożnej królowej, że żywoty były dla przodków pobudką nabożeństwa, umocnieniem wiary, podporą nadziei, pociechą w trosce, nauką w wątpliwościach. Były deszczem dla spragnionych, więc rzecz zaniechaną w latach upadku prostoty wiary, trzeba odnowić i przywrócić bez zmiany. Może ona być także ukojeniem dla królowej, która dni samotne pędzi i pobożnością przodków naśladuje. „Chcąc tedy — mówił hagiograf — rzecz zaniechaną i prawie w ludzkiej pamięci umarłą ożywić, a serca ojcowskie w syny ich obrócić i wmówić", udałem się na wyłożenie świętych Bożych na język nasz polski. Których czytanie i uważanie, jako do pobożnego życia pomoc, z przodków się naszych i doznanie pokazuje i ja nieco niżej w przemowie nadmienię, a każdy dobre serce mający z skutku i czytania poczuje. Praca ta, acz nie jest tak świetna i zaleceniem dowcipu wielkiego udatna i od której podobno, jako od niskiej i niewiele sławy mającej wiele uczonych uciekało, wszakżem ja na to, nie co mnie, ale co wielom pożyteczno jest patrząc, acz też co czynić mając, z takom się jej ochotą chwycił, iżby mi się była zabawa na niej przez cały żywot mój nie utęskniła [1]".

[1]) Żywoty Świętych Starego i Nowego Zakonu, na każdy dzień przez cały rok wybrane, z poważnych Pisarzów i doktorów kościelnych, których imiona wyższej położone, do których przydane są niektóre duchowne obroki i nauki przeciw kacerstwom dzisiejszym tam, gdzie się żywot, którego doktora starożytnego położył. Pierwsze części przez ks. Piotra Skargę S. J. przebrane, uczynione i w język polski przełożone. W Wilnie C. T. 1579, fol. A_2.

I objaśniał czytelnikowi, że najpiękniejszą świata ozdobą są święci. Stanowią przykład lepszy od gołej nauki, każą budować się swemi cnotami. Czy ma takie przykłady retoryka? Są bowiem święci naszymi przodkami, żyli w kościele papieskim, okazali, jak marne są heretyckie plotki. I dlatego woń ich praw musi nam towarzyszyć. „Na to w dzisiejszych czasach widzim, iż nauka kwitnie, rozumy się w ludziach ostrzą, ale przykładnych kapłanów i ludzi i plebanów duchownych mało. Gdyć na przykładnych, żywych pasterzach zejdzie, do tychże się acz niewidomych, a żywiących w Chrystusie uciekaj, tak jako na żywe patrz, a złym się żywem od dobrej nauki nie odrywaj. Pij z plugawej konwie dobre wino, a rozumiej, iż tacy być mają, jako ich przodkowie tu opisani byli[1]". Po tym wstępie, który rzucał światło na stanowisko hagiografa w odniesieniu do obowiązków duchowieństwa, przedstawiał on rozwój działu literatury religijnej, o którym zapomniano, a który on wskrzeszał na nowo. Podawał źródła, z których czerpał, metodę, której się trzymał. Choć żądał wiary, nie wymagał przecież, by podane przykłady ściśle naśladowano. Nie byłby przecież zwolennikiem poglądów założyciela zakonu[2], gdyby zalecał ten ascetyzm, jaki wieje z legend i ascetycznych traktatów średniowiecznych. Oddzielał się w ten sposób od kierunków Stanisława ze Lwowa, który nowym czasom nie odpowiadał wcale.

Bo jak długa suknia — mówił — karlikowi nie służy, tak zbytne karności ciała, gdy kto nie ma osobnego daru od Boga i wzrostu, na nie brane być nie mają. Bowiem abo jemi zdrowie starga, abo zacząwszy je, nie wytrwa i we wszystkiem osłabnie, abo na drugą stronę od końca jednego do drugiego, od niedobierania do przebrania pójdzie, bo jako mądrzy doktorowie mówią: po świecie się wszystkiemu dziwować, ale nie wszystkiego naśladować możem. Wyliczył następnie hagiografów aż do czasów ostatnich, doktorów kościelnych, z których

[1] Tamże, fol. A_4.
[2] U Philippina, str. 126, 131.

zaczerpnął nauki, wreszcie świętych, o których miał mówić w zbiorze. Nim przystąpił do rzeczy, nie zapomniał też w osobnem kazaniu na pierwszy dzień roku zaznaczyć, że żywot Chrystusa jest arcywzorem świętości, a stanowi nie tylko przykład do naśladowania, ale i źródło siły. Ten żywot ma stanowić też rachunnk sumienia za rok przeszły, przewodnika w postępowaniu w następnym. I w szeregu wspaniałych porównań przedstawiał marność żywota ludzkiego w zestawieniu z wiecznością, objawiał się w stylu niespotykalnym dotąd u kaznodziei, choć była to tylko zapowiedź przyszłych tryumfów.

A potem opowiadał żywoty, od urodzenia do śmierci, by zamknąć każdy obrokiem duchownym. Jeżeli chodziło o apologetę wiary, przytaczał jego naukę w sposób przystępny i tytuły dzieł, które je zawierają. Nie wstrzymywał się przy tej sposobności od polemiki, jak świadczy już pierwsza nauka przy żywocie św. Bazylego. „A nowi ci teologowie sekterscy — zauważał — jako do tej wysokiej nauki i rozumienia takich tajemnic przystępują? Oni z surowością żywota, a ci z rozkoszami: oni z posłuszeństwem, a ci z swą wolą i rozumki swemi. Oni z ubóstwem dobrowolnem, a ci z dobrem mienim, które z teologiej zyskiwać chcą. Przetoż oni tajemnice Boże głębokie czerpali, a ci w nich co dalej tym więcej ślepieją i w grube błędy wpadają“[1]. Wątek polemiczny nie przerwał się tedy, żywoty splotły się z polemiką przeciwnika różnowierstwa, z wzniosłemi naukami kaznodziei, którego słuchał z uznaniem już król. I nie mogło być inaczej w chwili wystąpienia zakonu o charakterze wybitnie bojowym. Podstawą jego powodzenia było właśnie posłuszeństwo, usuwające wszelki poryw indywidualny. Takiemu zastępowi karnemu nie mogli oprzeć się różnowiercy walczący z sobą i niezorganizowani.

A hagiograf miał temperament bojowy w stopniu wysokim. Wzrastał on w miarę lat, miał przejawić się niebawem jeszcze potężniej. Jak założyciel zakonu[2], podnosił on nieustannie po-

[1] Tamże fol. Ac.
[2] *Exercitia spiritualia*, str. 422

trzebę ślepej wiary przy każdej sposobności nie zaniedbywał jednak powtarzać, że są różne stopnie świętości. „Bo w domu Bożym — opowiadał — wiele jest mieszkania, a inna światłość jest słoneczna, inna gwiazd innych i gwiazda od gwiazdy różno świeci, a przedsię wszystkie piękne, i niebo imi osadzone jest«.[1] Była ta uwaga zupełnie na miejscu przy żywocie św. Symeona Słupnika, nie brakło jej przy innych. Nadewszystko nie pomijał jednak sposobności, by polemizować z różnowierstwem, którego zaślepienie piętnował z oburzeniem. Epiczną przędzę legendy zdobił jednak na prawdę haft cenniejszy od nauk i polemik. Były niemi kazania wypowiadane zapewne podczas świąt i przeplatające żywoty od czasu do czasu. W tamtych nie brakło powtarzania tych samych myśli, tu wątek oratorski rozwijał się różnolicie. Raz uderzał powagą, raz pociągał miękkością raz wznosił się do wyżyn natchnienia, któremu nigdy nie brakło zwrotów czerpanych z natury, wyrazistości i obrazowości, prostoty i nastroju prawdziwie biblijnego.

»A to co za ptaszęta w ręku twoich — zapytywał w dniu Gromnic kaznodzieja — z parą synogarlic na ofiarę okupować miłego pierworodnego syna twego, i żywność dać kapłanowi i sługom kościelnym idziesz I to dziwna tajemnica, jako Syn ten twój okupu potrzebuje, który nas sam okupuje. On jednorodny Ojcu, w niebie wszytko stworzył, i jego jest świat i niebo, i pierworodny w żywocie twoim, tą krwią, którą z czystego ciała twego wziął, odkupić nas ma; a ty zań jako niewolnika, i okupu potrzebującego, taką ofiarę niesiesz? Co to za tajemnice? daj nam zrozumieć, Skrzynio zakonu i Stolico mądrości Bożej, czemu baranka według zakonu nie niesiesz? Nie przestanie Bóg na twych synogarlicach, i my z takiej ofiary u Boga łaski nie najdziemy i Kościół się z takich ubogich darów nie wzbogaci. Chce Bóg baranka tego, którego tak mile u piersi nosisz, aby był za nas zabity«.[2]

W ten sposób przeciwstawiał dalej obraz ofiarowania syno-

[1] „Żywoty Świętych" fol. l. 3.
[2] Tamże, fol. Ig.

garlic przyszłej męce, by następnie w słowach przedziwnie barwnych opisać radość Symeona na widok dziecięcia. Skarga widzi niejako te sceny, przeżywa je w duchu, by potem rzucić na papier widzenie. Miewa przecież widzenia, wyobraża sobie zmysłowo sceny biblijne, nakazał to zresztą założyciel zakonu.[1] Nie wyszedłby zresztą z epoki Hozyusza, gdyby nie cenił, za nim wymowy św. Chryzostoma. Jeżeli tamten, choć wielbił Cycerona[2], nazywał jednak twórcę przełożonego przez siebie kazania najwymowniejszym[3], to jego następcę pociągało do greckiego Ojca Kościoła i pokrewieństwo ducha. Obaj byli ludźmi przeważnie uczucia, co zaznaczyło się zwłaszcza w kazaniach bardzo wydatnie i stanowczo. Dlatego tłumaczy jego kazanie o męczeństwie dwóch świętych; uderza go we wzorze nie tylko jasność, którą ceni nadewszystko, ale i żywość przedstawiania rzeczy. On działa na uczucie, działa i na zmysły, gdy sypie porównaniami, które słuchacze znają. Jego wymowa przeszła szkołę, jest jednak także samorodną i własną nie tylko argumentacyą, ale i przez związek z życiem.

Co się tyczy argumentacyi, to cenił ją mocno w św. Tomaszu z Akwinu, gdy chwalił jego przymioty.[4] Ale i dawał się unosić zelotyzmowi, gdy łatwowiernie pomawiał Żydów[5] o używanie do celów rytualnych krwi chrześcijańskiej. Nie mylił się jednak, gdy gromił osiadły u nas od wieków szczep za lichwę, nieuczciwość, niemoralność, poduszczanie szlachty do ucisku chłopów.[6] Nie oszczędzał zresztą i duchownych, gdy ponownie piętnował ich dbałość o sprawy doczesne. »Oby dziś Pan Bóg tak wzbudził biskupy i plebany i prałaty — dodawał przy żywocie św. Katarzyny z Sieny — którzy stan ten i rzemiesło dusz ludzkich mając, imiona tylko i dochody łowią a dusze

[1] *Exercitia spiritualia*, str. 164, *ut spectare nos imaginemur synagogas villas et oppida, quae praedicens Christus pertransibat.*

[2] *Acta historica.* T. IV. str. 6.

[3] Tamże, str. 8, *ita Chrysostomum suopte Cuique disertissimum.*

[4] „Żywoty Świętych", fol. R. 2.

[5] Tamże, fol. G. 5.

[6] Tamże, fol. Y 5.

ludzkie porzucają«[1]. Czy nie w takich słowach kryła się tajemnica opuszczenia kanonii lwowskiej i porzucenia jej dla zakonu? Z tem większą nadzieją zwracał oczy na Batorego, w którym widział już panującego na wzór dawnych wyznawców wiary na tronie.

Zesłał ci nędzna a już na zepchnieniu samym postawiona korono Polska — przemawiał snać po bliższem zetknięciu się z przyjacielem zakonu a przy żywocie św. Stanisława — ostatniego podobno, na poratowanie twe, posłańca i pomazańca swego, jako Egiptowi Salvatora, przez którego cię wydźwignąć od zguby twojej chce, to jest wielkiego króla Stefana teraz szczęśliwie panującego z takiemi dary swymi, jakich niewiem abyś w którym kiedy królu twym tak pospołu miała: z wiarą świętą katolicką, z uprzejmą chucią do rozmnożenia czci najwyższego króla, którego się tak pokornie sługą i niewolnikiem być ma, z mądrością nigdy niespodziewaną, z miłością ku Rzeczypospolitej twojej, za którą już tak ochotnie krwie nastawia, z umiejętnością rzeczy wojennych i hetmańskich, z męstwem i sercem żadną przygodą nieustraszonym, z sprawiedliwością, czynnością, trzeźwością, czujnością, ze wzgardą rozkoszy, z onymi królewskiemi i chrześcijańskiemi, a tobie teraz w ty złe czasy, w zepsowaniu i upadku chrześcijańskich i rycerskich obyczajów twoich barzo potrzebnymi«.[2] Z pod szaty hagiografa rozmyślającego nad świętością dawnych ludzi wynurzał się tedy mowca polityczny, którego objawiały już ustępy dzieł poprzednich.

Ten mowca czerpał natchnienie także w św. Grzegorzu z Nazyanzu, gdy przyszło mu mówić o św. Janie Chrzcicielu. Śledził zapewne subtelność jego artyzmu w operowaniu abstrakcyami, w rozwijaniu tematów najbardziej prostych, w rozmaitości nastrojów. I był sobą, gdy od legend przerzucał się do rodzaju właściwego. Więc oratorski charakter ma też przedmowa do drugiej części żywotów, którą poświęcał wojewodzie podolskiemu Mieleckiemu. Wszakże niegdyś nawrócił go do jedności, teraz

[1] Tamże, fol. Hh.
[2] Tamże, fol. Ll.

przemawiał do zwycięscy w imieniu Korony i Litwy. I radował się ze zdobycia ziem niegdyś najechanych, marzył, że za zwycięscami pójdzie zwycięski katolicyzm. »Wielka się rzecz — mówił — i nad zasługi nasze i nad zmawianie wielu ludzi stała, iż Połock, klucz do Moskiewskiej i Litewskiej ziemi, największa nadzieja tyrana wielkiego i źrenica oka jako, którą z takim nakładem, pilnością i dostatkiem, jaki się znalazł, opatrywał, i którą na Wilno i wszystko Litewskie księstwo łakomie patrzył i już je bliską nadzieją pożerał, teraz jemu wypadła, iż księstwo wszystko, połockie wyswobodzone z wielkiej bojaźni Litwę i Polskę wyjęło«[1]. I dziwił się, że tylu kacerzy w wojsku szczęścia nie odwróciło, w zwycięstwie Batorego upatrywał tryumf katolicyzmu nad odszczepieństwem moskiewskiem. Nastrój polemiczny wzmagał się w nim tedy nadzwyczajnie, skoro zwroty o kacerzach odnosiły się do wodza węgierskiej piechoty, Bekiesza i hetmana polnego litewskiego Mikołaja Radziwiłła Rudego, także wojewody połockiego Dorohostajskiego. Hagiograf uważał wogóle zakony za wielkie wojsko, walczące z grzechem i herezyą, co mogło szczególnie stosować się do nowego, napomykał nawet o potrzebie karania heretyków, czego nikt dotąd tak otwarcie nie żądał. Zapuszczał sięi w wywody dogmatyczne o naturach Chrystusa w dzień Bożego Narodzenia, na ogół opowiadał jednak do końca zwięźle i ciepło żywot za żywotem. Stwarzał rzecz najpoetyczniejszą zapewne, jak wyraził się Mickiewicz, gdyż działała ona nadzwyczajnością swej treści ulubionej średniowieczu. Cudowność nawracała niby literaturę na drogę dawnych opowiadań tego rodzaju, cudowność przemawiała silnie do wyobraźni prawie dziecięcych szerokich warstw szlacheckich. Jeżeli Wujek trafiał do nich swą rubasznością, Skarga samym wątkiem legendowym, który nie potrzebował nawet zbyt urozmaiconego stylu, by zdobyć uznanie. Nie znaczy to, by hagiograf zaniedbywał tego stylu, choć zarzekał się, że nie myśli do rzeczy duchownych stosować przepisów szkół krasomówskich.

Owszem niejednokrotnie rozpoczyna opowiadanie rzewną

[1] Tamże, wtóra część, fol. 4.

apostrofą do czytelników, by potem poważnie rozwijać sam żywot, który zamyka się wreszcie wezwaniem do naśladowania cnót świętego. W istocie jednak oddzielił się od hagiografów średniowiecza zupełnie.

Tamci tworzyli istotnie ,on skracał tylko to, co znalazł u nich i w zbiorze Suriusa. Jego twórczość stanowiły nauki moralne, legenda nie była jego tworem. Tworzył ją bezimienny zakonnik, gdy naiwnie i po prostu opowiadał żywot św. Wojciecha[1]. w wieku dwunastym, tworzyli ją dominikanie krakowscy, gdy budowali braci zakonnych przenikniętym duchem i ascetycznym żywotem św. Stanisława. Twórczość objawiała się tu mnożeniem szczegółów nieznanych dawniejszym, dostosowaniem niejako żywotu świętego do kierunku czasu. Czy nie świadczyłby o tem choćby szczegół, że biskup krakowski odbywa studya, w żywocie większym, w Gnieźnie i Paryżu, gdy w mniejszych[2] niema jeszcze o tem mowy? Im dalej w lata, tem potężniej wzmagała się ta twórczość, tem chciwiej wciągała tradycye ustne, tem ochotniej zastępowała wreszcie brak wiedzy retoryką[3]. Znać to szczególnie u Długosza, który pojmuje już legendę jako dzieło sztuki[4], gdy wiek trzynasty miał jedynie gdy chodziło o opowiadanie dominikańskie albo franciszkańskie, tylko zbudowanie na celu.

Były one jakby dalszym ciągiem dziejów biblijnych, ich pierwszymi bohaterami byli apostołowie. Zaspokojały wyobraźnię chciwą nadzwyczajności, graniczyły niejednokrotnie z bajką o pochodzeniu nader odległem. Czy nie było tak z niezwykłą opowieścią o Baarlaamie i Jozafacie[5], której duch odpowiadał wybornie chrześcijańskiemu? Dość, że szczera i poważna przędza opowiadań zalśniła zwolna ozdobami, które mało licowały z jej

[1] *Monumenta Poloniae historica.* T. IV, Lwów 1882, str. 206—221.

[2] Tamże, str. 238—285.

[3] *Die polnische Geschichtsschreibung des Mittelalters von H. Zeissberg* Leipzig 1873, str. 266.

[4] *Jo. Dlugossii sen. Opera omnia.* Vol. I, Cracoviae 1887, str. 6, *non enim vita Sancti nostri pro sua excellentia et dignitate usitato genere scribendi contenta est, sed exigit genus dicendi verum, excellens atque politurus.*

[5] G. Pery: *La litterature francaisé en moyenage.* Paris 1890: str. 208.

treścią. Typ średniowieczny legendy, przeważa przecież, skoro dominikanin i biskup genueński Jakób de Voragine czytywany jest do trzeciej ćwierci wieku humanizmu. Wszakże przemawiał on najpierw poglądem, skoro dzielił dzieje na czas błędu Adamowego, odnowienia Mojżeszowego, pojednania Chrystusowego i pielgrzymki obecnej. Przemawiał opowiadaniem i cudami, które rozpoczynała nieunikniona etymologia. Przemawiał powagą wolną od wszelkiego frazesu, surowym nastrojem homilety, nienawiścią herezyi[1]. Uczony ton hagiografa, nadawał jego historyi znamię wyższości. Powiększono więc jego zbiór zbiorem żywotów, patronów polskich[2], które mogły być pomocą dla duchownych. Brakło jednak zbioru w języku narodowym, choć krążyły rękopiśmienne legendy polskie wierszem i prozą. Dał go ten sam zakon, który dał zbiór kazań polskich.

Tam Ferus, tu Surius, posłużył za podstawę. W całym świecie katolickim poważano wysoko erudycyę nawróconego przez Cenisiusa kartuza, który nie tylko dał historyę wieku, by ją przeciwstawić dziełu lutra Sleidana, ale i stworzył zbiór ceniony nawet przez bollandystów. Skarga rozczytywał się w jego historyi, z której czerpał poglądy na wiek, wyżej zapewne cenił jeszcze hagiogrrafa. Jak przed laty gandawski bakałarz Tiletanus skracał Lipomana[3], tak on Suriusa, by uczynić go dostępnym ogółowi. Znaczy to, że z obfitego zbioru żywotów wybierał te, które wydały mu się najodpowiedniejszemi. Następnie wybrane streszczał zwięźle, by uzupełnić streszczenie w końcu obrokiem duchownym. Jeżeli chodziło zaś o apologetę wiary, dodawał jego naukę, którą przeciwstawiał ka-

---

[1] *Jacobi a Voragine Legenda aurea* vulgo Historia Lombardica dicta. Vratislaviae 1890. str. 280.

[2] *Vita Sanctissimi Stanislai crac. ep. Necnon legendae Sanctorum Poloniae,* Hungariae, Bohemiae, Mazoviae, Prussiae et Slesiae patronorum, in lombardica historia non exstentes. — Impr, Cracoviae in aedibus providi viri Jo Haller, 1511, gdzie z polskich świętych jest jedynie św. Wojciech idący bezpośrednio po żywocie św. Stanisława pióra Długosza.

[3] *Historiae Aloysii Lipomani Ep. veron. de vitis Sanctorum. Pars Prima* Lovenii 1508, str. 3; *ex prolixis octo R. P. D. Aloysii tomis eorum sancto rum vitas selegi.*

cerstwom. Obrok i nauka były już jego własnością. Jeżeli pierwszy wskazywał, że kaznodzieja brał w nim ostateczne górę nad hagiografem, druga dowodziła jego ogromnej erudycyi patrologicznej. Czerpał ją bezpośrednio z Ojców Kościoła, by w nauce końcowej, szczegółowo i z powoływaniem się na źródła, wykazać, co mówił naprzykład św. Hieronim, o Trójcy św., bóstwie Chrystusa, jedności Kościoła, prymacie, chrzcie, mszy, transubstancyacyi, pokucie, zadośćuczynieniu, czystości, postach, modlitwach, czci świętych, wykładzie Pisma św.

Podziwiać trzeba przystępność, z jaką omawiał zagadnienia dogmatyczne. Surius ograniczał się tylko na żywocie, on uzupełniał go tak, że dzieło stało się w dużej części jego własnością. Wprowadzał w świat zagadnień dalekich od głównego wątku, nie dawał zapominać, że mamy do czynienia i z polemistą. Głównym wątkiem zapełniał zaś brak dotkliwy. Wujek uwzględniał bowiem w trzeciej części swej postylli[1], wydanej przed laty czterema, głównie apostołów, odkładał żywot świętego do trzeciej części kazania, niekiedy nawet, gdy chodziło na przykład o św. Franciszka z Assyżu, pomijał całkiem żywot a bronił życia zakonnego. Szczegółów życiowych podawał skąpo, choć nie zapominał już o obroku, dostosowanym jednak raczej do tekstu, objaśnianej perykopy. Skarga przywrócił niejako do czci rodzaj upadający, obrokiem duchownym ratował czasem legendę, która sama nie mogłaby się ostać zupełnie. Czy nie było tak, choćby ze św. Symeonem Słupnikiem, lub św. Szymonem z Edessy? Wzmocniona znów religijność przyjmowała najbardziej fantystyczne opowiadania z dobrą wiarą, gdyż wykładał je kaznodzieja.

Graniczyły one zaś całkiem z bajką, gdy zjawiały się w nich święte żyjące w męskich klasztorach, gdy pustelnicy zamieniali ludzi w zwierzęta, gdy ascetów wiozły przez rzekę krodyle. Hagiograf żądał, by wierzono ślepo w ich prawdziwość, choć dziś nawet członek jego zakonu uznaje, że żywot

[1] *Postille Catholicznej*, część trzecia fol. A. 2. Znajomości Suriusa tu nie znać. Charaktery o świętych pochodzą z Metefrasta i brewiarza rzymskiego.

najzupełniej obcy rzeczywistości wkroczył do legend szerokim prądem, i że są one wspólnym tworem ludu i piszącego hagiografa[1]. Gdy w wiekach średnich tworzono je dla zbudowania wiernych[2], teraz twórczość zanikała poniekąd, a raczej ograniczała się do faktów realnych. To, co zostawiła przeszłość, nie mogło jednak doznać przebrania, skoro zbiór Suriusa uznawano w kościele ogólnie. Z powrotem starej wiary do dawnego znaczenia nie mogło braknąć tego, co wytworzyła ona najbardziej nadzwyczajnego. Legenda była tradycyą wieków wiary naiwnej, bezwzględnej, chciwej cudu i nadzwyczajności, a nie znajdującej nawet dość pokarmu w legendach o świętych zachodnich, gdyż były one zbyt proste i trzeźwe.

Co się tyczy świętych polskich, pierwsze wydanie zawiera tylko żywoty św. Wojciecha i św. Stanisława. Do pierwszego materyału dostarczył Surius [3] a nie nieznany autor legendy powstałej [4], jak przypuszcza jej wydawca, w Gnieźnie, najpóźniej w wieku XII. Drugi jest streszczeniem Długosza. Śladem Wujka, nie zaniedbał i Skarga zużytkować pieśń przypisywaną świętemu, jako argument przeciw nowościom w wierze. »W tej pieśni — mówił — pokazuje się naprzód prawa a szczera wiara katolicka, wszytki kacerstwa główniejsze potępiająca: a to w tym, jednym słówku, w tytule Panny Przenajświętszej Bogarodzice. Bo wszytki kacerstwa wiarę świętą psujące abo biją na człowieczeństwo prawe Chrystusowe, abo na bóstwo uwłocząc mu której natury z tych dwu, żeby nie był, abo prawy człowiek, abo prawy Bóg [5]. Oba żywoty celują zresztą prostotą stylu, który przypomina raczej wzory średniowieczne a nie retoryczne wytwory, za jakie wypada uważać opowia-

---

[1] Tamże, str. 11.

[2] Tamże, str, 65, *In ihren Augen sind diese schönen Erzählung n, die sie enzückten, Geschichten.*

[3] *De probatis sanctorum historiis, partim ex tomis Al. Lipomeni doct. episc., partim ex egregiis manuscriptis codicibus per F. Laur. Surium carthus T. II. Colonae Agrippine 1571, fol. 826—840.*

[4] *Monumenta Poloniae historica.* T. IV. Lwów 1884, str. 203.

[5] „Żywoty Świętych", fol., Ff 2.

dania Suriusa [1] i Długosza. Niema w nich ani olśniewających metafor ani cytatów z poetów starożytnych. Długosz lubuje się nadto w rozwlekłości, sądzi, że świetności odpowiadać winien styl, że surowy i prosty sposób pisania nie dogadza czytelnikom [2]. Skarga wkłada w swoje opowiadanie dużo uczucia, ubiera go jednak w szatę skromną i poważną, jakby odczuwał niewłaściwość postąpienia swego poprzednika.

»Pierwszy z Polaków — mówi — i wielki, i daleko sławny męczennik Chrystusów, a patron i obrońca twój, cny Polski narodzie, do czytania cię tego żywota, który ma w sobie wielki nad inne pożytek, wzywa. Bliski a domowy przykład krwie twojej, rychlej cię ruszy ku naśladowaniu cnót, nabożeństwa starożytnego i karanie niepobożności rychlej cię ustraszy. Bo jako na własnej przyrodzonej ziemi osadzony szczep rychlej się krzewi i bujniej rośnie i plenny owoc daje, tak żywot ten wielkiego Stanisława na tobie, któraś jest własna ziemia jego szczepiony, prędsze i doskonalsze pożytki owoców puścić może[3]. Patryotyzm hagiografa wystąpił tu wyraźnie. Jeszcze wyraźniej objawiły się zalety stylu, który nie nuży dla swej prostoty i rzewności. Hagiograf nie tworzył dzieła sztuki, chciał być tylko przewodnikiem duchowym czytelnika, nie kusił się o frazesy, nie sadził się na wyszukane zwroty. Przemawiał jednak tak, że nikt nie mógł oprzeć się z wierzących urokowi tego, co było i wiarą piszącego. Uczucie udzielało się niepostrzeżenie, uczyło skupienia się w sobie, nakazywało patrzeć z góry na rzeczy ziemskie. Żywoty stały się księgą, która przeżyła inne i cztery wieki karmiła nie tylko legendą, ale i wskazaniami moralisty.

Dr. Tadeusz Grabowski.

---

[1] *De probatis sanctorum historiis*, str. 826, *Nascitur purpureus flos B-ea nucis terris, maior filius ex parentibus magnis, aureum pomum processit e nobilibus ramis.*

[2] *Jo. Dlugossii sen. can. crac. Opera omnia.*, vol. I. str. 7. *Maiorem siquidem delectationem legentibus, sermone ad gratiam instructo, lepidus scriptor et expeditus inseret, quam aridus et rusticanus.*

[3] „Żywoty Świętych", fol. Kke 4.

SKARGA, JAKO TŁUMACZ PISMA ŚWIĘTEGO.

Z V KSIĘGI MOJŻESZOWEJ

ROZDZIAŁ 15—34

wedle przekładu X. Piotra Skargi.

SŁOWO WSTĘPNE.

Już Maurycy hr. Dzieduszycki wspomina w dziele »Piotr Skarga i jego wiek« o tłómaczeniu Pisma św. przez Skargę. Powiada (t. II² 561): »To pewna, że wszystkie niezliczone miejsca, które (Skarga) przytacza z Pisma św. w dziełach swych i kazaniach, są własnego jego przekładu, o czem nietrudno się przekonać, porównywając je z innemi znanemi tłómaczeniami, a nie raz lepsze są jak np. Wujka«. W najnowszych czasach zwracał na przekład ten niejednokrotnie uwagę X. Biskup Likowski. W Poznańskim Miesięczniku Kościelnym (1909, I 266) wskazywał na »tłómaczenie X. Skargi, obejmujące wielką część Pisma św.« jako na niewyzyskane dotąd źródło do poprawienia Wujka. Zachęceni przez Dostojnika tego, zabraliśmy się do zestawienia rozrzuconych w dziełach Skargi cytatów Pisma św. i ułożenia z nich pewnej całości. Przejrzeliśmy w tym celu całą spuściznę literacką Skargi, o ile się ukazała drukiem, usiłowaliśmy dotrzeć do niewydanych dotąd pism jego a owocem żmudnych tych i mozolnych poszukiwań jest drukująca się obecnie praca: Pismo św. w dziełach X. Piotra Skargi, z której poniżej podajemy urywek.

Zadziwia wspomniane już bogactwo onych cytatów. Skarga pełną dłonią czerpał z krynicy Pisma św., aby ożywić własną

myśl i rozumowanie swoje poprzeć powagą Bożą. Pismo św. jest w jego dziełach jakby tajemniczą siłą, która najtajniejsze myśli jego przenika, dodaje im polotu, rozszerza je, a raz po raz w niezrównanym blasku bezpośrednio na jaw występuje.

Z cytatów tych ułożyło się jakby z kamyków mozaikowych większą część ksiąg Bożych, a część najważniejszą. Niema prawie zdarzenia biblijnego, niema ważniejszego cytatu, zachodzącego w teologii, któryby Skarga pominął. Niespodziewanie odnalazły się w Żywotach Świętych całe niemal księgi, całe rozdziały z Pisma św. Przywodził je Skarga, jak wyjaśnia w tychże Żywotach (I[1] 175): »aby y do Bibliey tych, ktorzy nie rozumieią abo ktorym bezpieczne iey czytanie nie iest, tęskno nie było«.

Tłómaczenie samo wznosi się w wielu miejscach na wyżyny, z których bije płomienna moc Bożego natchnienia pierwotnych autorów ksiąg Bożych. Nie tu miejsce rozpisywać się szerzej i wchodzić w szczegóły zalet przekładu Skargowskiego; czynimy to w wspomnianem już dziele samem.

Oprócz cytatów Pisma św. porozsypywał Skarga w dziełach swoich pełno uwag, poglądów na Pismo św., na kwestye, które omawia się we Wstępie do nauk biblijnych. Z zapisków tych powstała rozprawa, uwydatniająca znaczenie Skargi jako biblisty a obejmująca II część pracy: »Pismo św. w dziełach X. Piotra Skargi«, które w tym roku opuści prasę.

X. Stanisław Okoniewski.

SKRÓCENIA

Areop. = Areopagus w Kazaniach przygodnych, Kraków 1610, str. 756—779.
BM = Bractwo Miłosierdzia, Kraków 1598.
C = Costera S. J. O czterech końcach ostatnich żywota ludzkiego. Z łacińskiego na polski ięzyk przełożone od X. Piotra Skargi S. J., Kraków 1606.
K = Kazania na niedziele y święta, Kraków 1595.
Orz. = O rządzie y jedności Kościoła Bożego. Kraków 1590.
OS = Kazania o siedmiu Sakramentach. Kraków 1600.
Pdk = Przestroga do katolików (z Upominaniem do Ewangielików.) Kraków 1592.
Rdz = Roczne dzieje kościelne. Kraków 1607.

SF = Siedm Filarów, na których stoi katolicka Nauka o Przenajśw. Sakr. Ołtarza. Wilno 1582.
Żołnierskie nabożeństwo. Kraków 1606.
ŻŚ = Żywoty Świętych, I. wyd. Kraków 1579.
Uwaga: W przypisach umieszczono waryanty tekstu.

Rozdział 15.

7. Gdy iaki brat twoy, ktory z tobą w iednym mieście mieszka, na ziemi, ktorą tobie da Bog twoy, do ubostwa przydzie, nie zatwardzay serca twego ani skurczay ręki twoiey,

8. ale ią otwarzay ubogiemu, a pożyczay mu pieniędzy tyle, ile mu baczysz być potrzebno.[1]

9. Nie odwracay oczu twoich od ubogiego brata twego, niechcąc mu tego pożyczyć, o co prosi, żeby do mnie nie zawołał, a tobie się to w grzech nie obrociło.

10. Ale mu day a nic chytro nie poczynay w poratowaniu potrzeb iego, abyć Pan Bog twoy błogosławił na każdy czas y w każdey sprawie, do ktorey rękę ściągniesz.[2]

11. Na ubogich schodzićci nie będzie w ziemi mieszkania twego, y przetożci roskazuię (mowi Pan Bog), abyś otwarzał rękę bratu twemu niedostatecznemu y ubogiemu, ktory z tobą mieszka na ziemi[3].

B M 86—87.

15. Pomni, iżeś y ty był w cudzey stronie.

---

[1] K 735 : Gdy ktory brat z tych, którzy z tobą w iednym mieście mieszkaią, do ubostwa przyidzie: nie zatwardzay serca twego, ani skurczay ręki swey, ale ią otworz ubogiemu y pożyczysz mu tyle, ile mu baczysz być potrzebno; Kp 153 : Ieśli kto z braciey twoiey przydzie do ubostwą, nie zatwardzisz serca twego ani ręki twoiey ściśniesz, ale ią otworzysz ubogiemu y pożyczysz mu, czego potrzebować będzie.

[2] K 735 : Day ubogiemu, gdy chce pożyczyć, a nic nie czyń chytrego około poratowania potrzeb iego, abyć błogosławił Pan Bog twoy każdego czasu y we wszytkim, co poczniesz; K 721 : Gdy się nad potrzebnym zmiłuiesz błogosławić ci Pan Bog czasu każdego będzie, y wszytkoć się, co poczniesz, poszczęści.

[3] K 727 : nie będzieć schodziło nigdy na ubogich w ziemi mieszkania twego: a takci rozkazuię, abyś otwarzał rękę twoię bratu twemu niedostatecznemu, ktory z tobą żyie na ziemi.

K 728.

Rozdział 16.

16. Ukaże się przed oblicznością Pana Boga każdy mężczyzna.

K 39.

Z prożnemi się rękoma do mnie nie ukazuy.

S F 105.

18. Niech sędziowie sprawiedliwie sądzą,

19. niech się na iednę stronę nie uwodzą, osobami niech nieprzebieraią, darow niech nie biorą, ktore mądre zaślepiaią y słowa ich odmieniaią.[1]

Areop. 761.

Rozdział 17.

8. Kto ma co trudnego y wątpliwego około rzeczy sumnieniu należących y duchownych[2],

9. poydziesz do kapłana rodzaiu Lewitow y do sędziego, ktory na on czas będzie: y ci ukażąć prawdziwy rozsądek.

11. y nauczą cię wedle zakonu Bożego y słuchać zdania ich będziesz.

12. A ktoby tak był hardym y niechciał posłusznym być roskazania kapłańskiego, ktory na ten czas służy Panu Bogu twemu: z dekretu sędziego on człowiek umrzeć ma[3],

K 435; OS 513.

13. a lud, usłyszawszy, bać się będzie y źle czynić przestaną.

ŻŚ 844.

18. Y kazał Pan Bog krolowi, skoroby na państwo nastąpił, pisany zakon Boży wziąć od kapłanow

---

[1] PdK 76 : Upominki mienią słowa mądrych. Cfr. Áreop. 761: Exod. 23 8, Nie bierz darów, które y mądre zaślepiają y sprawiedliwych słowa wywracaią.

[2] Orz 100 : Gdy trudny y wątpliwy rozsądek obaczysz miedzy krwią y krwią sprawą y sprawą, trądem y nie trądem, a obaczysz, iż sędziowie w bramach twoich nie zgadzaią się: wstań a idź na mieśce, ktore Pan Bog twoy obrał.

[3] Orz 101 : z wyroku sędziego umrzeć ma on człowiek : Orz 247; UdE 7; Ktoby kapłana nawyższego nie posłuchał. z wyroku sędziego zabit być ma. ŻŚ 844: Człowiek, ktory w hardości swey kapłanowi abo sędziemu, ktory będzie na on czas, posłuszny nie będzie, umrzeć ma.

19. y czytać go po wszytki dni swoie, aby się, prawi, nauczył bać Boga swego y strzedz słow y caeremoniy iego,[1] ktore w zakonie roskazano.

Pd K 78.

Rozdział 18.

10. Niech się miedzy wami nie naydzie ten, coby się na snach bawił, wrożąc.

K 502.

15. Po mnie mowi Moyzesz wzbudzi Pan Bog twoy Proroka z narodu twego y z braciey twoiey, tak, iako mnie:[2]

16. wedle tego iakoś prosił na gorze Horeb, gdyś z Panem Bogiem rozmawiać niechciał, boiąc się, abyś nie umarł.

ŻŚ 464.

Rozdział 19.

15. W uściech dwu abo trzech świadectwo stoi.

Orz 255.

20. (Rozkazuie Pan Bog iedny karać), aby drudzy słysząc, bali się a tego czynić nie śmieli.

K 289.

Rozdział 20.

1. Gdy wyciągniesz na woynę przeciw nieprzyjaciołom twoim a uyźrzysz więtsze woysko nieprzyiacielskie, iezdnych y wozow, a niźli ty masz: Nie boy się ich. Bo Pan Bog twoy z tobą iest.[3]

2. A gdy do bitwy y potkania przyidzie: stanie kapłan przed woyskiem y tak mowić będzie:

3. Słuchay Izraelu: Wy dziś z waszemi nieprzyiacioły bitwę

---

[1] K 678 : (Napisał prawo Moyżesz), aby król, skoro stolicę swoię zasiędzie, zakonu Bożego księgi brał od kapłanów y czytał iey uczył się bać Pana Boga y strzedz ceremoniey iego.

[2] K 20, 198, 340 : Proroka tobie wzbudzi Pan Bog twoy z narodu y braciey twoiey iako mnie, onego słuchać będziecie; K 487: Wzbudzę im proroka z pośrodku braciey ich. tobie podobnego.

[3] ŻŚ 999 : Gdy uyźrzysz woysko wielkie, więtsze, nizli u ciebie, nieprzyiaciół swoich nie boy się.

staczacie, niech się nie lękaią serca wasze, nie boycie się, nie ustępuycie, nie przestraszaycie się.

4. Bo Pan Bog wasz iest miedzy wami, y za wami przeciw nieprzyiaciołom walczyć będzie y wybawi was z niebespieczności.[1]

ŻN 65—66.

5. Kto dom zbudował, a ieszcze w nim nie mieszkał: niech się wroci do niego;

6. kto winnicę szczepił, a ieszcze iagod z niey nie pożył: niech także do niey idzie;

7. kto się zrękował, niech się wraca á żonę poymuie;

8. kto iest boiaźliwy, niech ustąpi, aby swym przykładem drugich nie zastraszył.

OS 242; ŻS 515.

10. Gdy miasta dobywać będziesz: pierwey mu podasz pokoy.

ŻN 14.

Rozdział 2]

20. Ten syn nasz uporny iest, krnąbrny, upominania naszego słuchać nie chce, bawi się złym towarzystwem, z niemi biesiad y zbytkow patrzy.

21. Takiego (mowi prawo Boże) kamieńmi zabić maią ludzie onego miasta, aby złe wyrzucił z pośrzodku siebie a wszytek się lud bał.[2]

K 732.

23. Przeklęty, ktory na drzewie wisi.

---

[1] OS 243 : Dziś bitwę zwiedziecie z nieprzyiacioły waszemi: niechże się serce wasze nie lęka, nie boycie się, nie ustępuycie, nie bojcie się: Bo Pan Bog wasz iest miedzy wami y on za wami przeciw nieprzyiaciołom walczyć będzie, aby was wyrwał z niebespieczeństwa.

[2] K 44 : Ten syn nasz uporny y krnąbrny, upominaniem naszym gardzi, biesiad tylo i nierządów pilnuie; (tedy za to, mowi), ukamienuie go lud miasta y umrze, aby złe wyrzucone było, a lud się wszytek bał, słysząc to; K 323: Ten nasz syn słuchać nas nie chce, utratnik wszytko przeie y przepije y przełotruie na biesiadach. Niechże go kamieńmi lud wszytek pobije, aby się złe wykorzeniło.

K 147.

Rozdział 22.

4. Gdy uyźrzysz osła a on upadł pod ciężarem: nie miniesz go, ale mu pomożesz do wstania.

BM 75.

Rozdział 23.

21. Gdy co Panu Bogu twemu ślubuiesz, nie omieszkay wypełnić, bo się Pan Bog twoy o tym pytać będzie; ieśli omieszkasz, za grzech poczytanoć to będzie.

OS 262.

Rozdział 24.

6. Nie bierz w zastawie spodniego y zwierzchniego kamienia, ktorym sobie ubogi chleb miele. Gdy to bierzesz, iakoby mu duszę wydarł.

K 736.

10. Gdy wyciągać dług iaki od bliźniego twego będziesz, nie wchodźże w dom iego, abyś zastaw brał,

11. ale stoy przed domem, a on tobie wyniesie to, co ma.[1]

12. A ieśli iest ubogi, niechay zastawa iego u ciebie nie nocuie,

13. wroć mu ią przed zachodem słońca, aby on śpiąc na swey sukni, błogosławił tobie a ty żebyś miał sprawiedliwość (to iest odpłatę) przed Panem Bogiem twym.

BM 88.

19. Gdy zbierać z pola zboże będziesz a snopka ktorego zapomnisz, nie wracay się poń, ale go zostaw przychodniowi, sierocie y wdowie, aby go sobie wzięli, żeby tobie błogosławił Pan Bog twoy w każdey rzeczy, ktorą poczniesz.

20. Gdy zbierać oliwę z drzewa będziesz, to, co zostanie na drzewie, tego nie zbieray, ale zostaw przychodniowi, sierocie y wdowie.

---

[1] K 736 : Gdy zastawę brać u bliźniego twego dla długu, któryć winien, będziesz: nie wchodź w dom iego, abyś miał zastawę brać, ale stoy przed domem a on tobie wyniesie to, co ma.

21. Gdy wino zbierać będziesz, nie bierz gron pozostałych, niech się obraca w pożytek przychodniowi, sierocie y wdowie.

22. Pamiętay, iżeś y ty był w niewoli w Egyptcie y dla tegoć roskazuię, abyś uczynił tę rzecz, mowi Pan Bog.

BM 90.

Rozdział 25.

2. Wedle miary grzechow, będzie miara karania.

C 104.

Rozdział 26.

13. Przyniosłem to, com tobie, Panie, poświęcił z domu mego y dałem to Lewicie, przychodniowi, sierocie y wdowie, tak, iakoś mi roskazał; nie zaniedbałem roskazania twego, anim zapomniał mandatu twego:

15. weyrzysz z wysokiego nieba twego a błogosław ludu twemu.

K 727.

18. (Jako Moyzesz mowi:) aby, mając lud sobie miły y wdzięczny, miał (Pan Bog) komu dobrze czynić.

K 425.

Rozdział 28.

1. Jeśli słuchać Pana Boga będziesz, uczyni cię Pan Bog wyższym nad inne narody na ziemi.[1]

K 688.

2. Przyidą na cię wszytkie błogosławieństwa te.

7. Nieprzyiaciele twoie da na upadek; jedną drogą przyidą, a siedmią uciekać będą;

10. y poznaią wszytki narody, iż imię Pańskie nad tobą wezwane iest y bać się ciebie będą.

ŻS 1047.

23. Pan Bog nam zamyka niebo y czyni ie iako miedziane y ziemię żelazną.

ŻS 1046 : uczyni cię nawyższym nad wszytki narody.

OS 245.

30. Żonę poymiesz a drugi ią weźmie: dom zbuduiesz a mieszkać w nim nie będziesz: wszczepisz winnicę a iagod z niey nie zbierzesz.

31. Bydło twoie y dzieci twoie w oczu twoich pobiorą.

OS 226.

47. Przeto, żeś nie służył Panu Bogu twemu w weselu, gdyć dawał obfitość wszystkiego:

48. służyć będziesz nieprzyiacielowi twemu w głodzie, w pragnieniu, w nagości y we wszytkim ubostwie, ktory włoży iarzmo na szyię twoię żelazne, aż cię zetrze.[1]

OS 222.

49. Na cię (grzeszny lud) przywiedzie Pan Bóg narod z daleka y od końca ziemie na wzor orła lataiącego z pędem wielkim, ktorego ięzyka nie będziesz rozumiał,

50. narod popędliwy, ktory starego nie czci ani zlitowania ma nad dziećmi,

51. a pożrze owoc bydła twego y zboże twoie, aż zginiesz. Nie zostawi ani chleba, ani wina, ani oleiu, ani bydła, ani owiec, aż zginiesz y starty będziesz;

52. we wszytkich miastach twoich popsuie mury twoie mocne y wysokie, w ktorycheś miał nadzieię, we wszytkiey ziemi twoiey. W oblężeniu ieść mięso dzieci y corek twoich będziesz, ktoreć da Pan Bog twoy,

53. w nędzy y w zburzeniu, ktorym cię ściśnie nieprzyiaciel twoy.

OS 227.

56. Niewiasta miękka y roskosznica, co po ziemi chodzić y nogami się iey prze roskosz y miękkość dotykać nie mogła, zay-

[1] K 674: Będziecie nieprzyiaciołom waszym służyli w głodzie, w pragnieniu, obnażeniu y we wszytkim niedostatku; y włożą iarzmo żelazne na szyie wasze, przeto iżeście nie służyli Panu Bogu swemu w weselu y w radości serdeczney, gdyście mieli dostatek wszytkiego.

rzeć będzie mężowi swemu, gdy synaczka swego y corki swey ieść mięso będzie (w oblężeniu y spustoszeniu).

OS 226.

Rozdział 29.

23. Takci uczyni iako Sodomie y Gomorze, Adamie y Seboim, ktore wywrocił w gniewie y zapalczywości swoiey.

OS 202.

25. Bo opuścili zmowę Pańską, ktorą miał z oycy ich:
26. służyli cudzym bogom, ktorych oycowie ich nie znali
27. Dla tego zapalił się gniew Pański przeciw ziemi tey y wprowadził to przeklęctwo na nie.

K 683.

Rozdział 30.

6. Obrzeże Pan Bog serce twoie y serce nasienia twego: abyś miłował Pana Boga ze wszytkiego serca twego y dusze twoiey.

K 361.

11. To, co wam Pan Bog przez mię roskazuie: Ten mandat nie nad tobą iest ani od ciebie daleko.
12. Nie w niebie iest: abyś mogł mowić: a kto tam wnisć może, aby go do nas przyniosł, żebyśmy usłyszeli y uczynkiem wypełnili?
13. Ani za morzem iest: abyś się wymawiał, mowiąc: a kto się tam przewieść może?
14. Lecz bliski przy tobie iest barzo, przy uściech twoich y przy sercu twoim, abyś to wypełniał.

OS 11.

15. Obacz, iżem dziś położył przed tobą żywot y dobre: y z drugiey strony śmierć y złe.

K 491.

19. Świadkow wzywam nieba y ziemie, iżem przed wami po-

stawił żywot y śmierć: błogosławieństwo y przeklęctwo. Obierayże żywot, abyś żył y nasienie twoie.

K 491; ŻŚ 758.

Rozdział 32.

6. Takli to oddaią Panu głupi y niemądrzy ludzie? Izali on nie iest Oycem waszym, ktory was za swoie wziął y uczynił y stworzył?

OS 104.

15. Rostył namilszy y biie nogami: rostył y zmiąższał y opuścił Pana Boga tworcę swego y odstąpił od Boga zbawiciela swego.

OS 222.

20. Zakryię twarz moię od nich (mowi Pan Bog).

OS 432

23. Zbiorę wszytko złe na nie y strzały moie wystrzelam na nie.

OS 433.

32. Winnice Sodomskiey winnica ich, z przedmieścia Gomorry iagoda ich, iagoda żołci y grona barzo gorzkie,

33. żołć żmije wino ich y iad smokow nie uleczony.

K 542.

8. Lewi, doskonałość twoia y nauka twoia w mężu świętym twoim:

9. ktory rzekł oycu swemu y matce swoiey: nie znam was, y braciey swoiey rzekł: nie wiem o was: y zapomnieli synow swoich: tacy wypełnili, Panie, roskazanie twoie y zmowy z tobą dotrzymali.

K 462.

Rozdział 34.

1. Potym mu Pan Bog wstąpić kazał na wysoką gorę Nebo, w ziemi Moabskiey, y ukazał mu z niey wszytkę obiecaną ziemię,

2. aż do morza

3. w dłusz y wszerz

4. y rzekł mu: toć iest ziemia, ktorąm obiecał Abrahamowi, Isaakowi y Jakobowi, mowiąc: potomstwu twemu dam tę ziemię: Widziałeś ią oczyma twymi, ale do niey nie wnidziesz;

5. y tam mu umrzeć kazał Pan Bog

6. y sam go pogrzebł w pagorku ziemi Moabskiey przeciw Phegor; a o grobie iego żaden człowiek nie wie, aż do tego czasu.

7. Żył lat sto y dwadzieścia; oczy iego nie stępiały ani się ruszyły zęby iego.

ŻŚ 464; Rdz p. II.

8. Y płakał go wszyciek Izrael y wypełnił dni żałobne nad nim.

ŻŚ 464.

SKARGA I FILALET.[1]

Walka, stoczona na synodzie brzeskim 1596 r. pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami unii kościelnej, wzburzywszy umysły, odbiła się natychmiast w literaturze. Książki i pisma, tak ruskie jak polskie dla Rusinów pisane, które bezpośrednio po niej ukazują się, noszą charakter polemiczno-religijny i historyczny zarazem. Po obu stronach, unickiej i dyzunickiej, chodziło o to, aby wypadki synodu brzeskiego i te, które gop oprzedziły, przedstawić w świetle korzystnem dla swego obozu. Było tych pism wiele i nie wszystkie do nas doszły.

Najważniejszem pismem po stronie katolickiej był utwór Skargi, składający się z dwu części, z których pierwsza p. t. *Synod brzeski* opowiadała wypadki z dni synodowych, druga p. t. *Obrona Synodu brzeskiego* miała za zadanie dowieść, iż synod brzeski, który dokonał Unii, »porządnie i prawnie zgromadzony był«. Ukazała się ta książka zaraz po synodzie, bo jeszcze z datą 1596, a w roku następnym zjawiła się w ruskim przekładzie. Tą książką Skarga chciał umocnić unię, która była przedewszystkiem jego dziełem, do której natchnął, przy której dokonaniu najwięcej pracował; chciał ją umocnić i od wszelkich zarzutów i napaści obronić, jakie rzucano na nią z obozu przeciwnego.

[1] Niniejszy artykuł jest wyjątkiem z obszernej pracy o znaczeniu Piotra Skargi w dziejach Unii kościelnej, która to praca ma się ukazać w ciągu bieżącego roku.

Po stronie przeciwnej głównem dziełem w sprawie świeżo odbytego synodu, naturalnie wymierzonem przeciw Unii, przedewszystkiem przeciw obronie synodu przez Skargę, była książka, napisana po polsku, potem także przełożona na język ruski, ale w oryginale i w przekładzie mająca, stosownie do mody współczesnej, grecki tytuł: Ἀπόκρισις. Książka ta ,tak dla swego historycznego znaczenia, jak i dla innych względów, jest niezwyczajnem zjawiskiem w literaturze polskiej, a jednak historya tej literatury prawie zupełnie ją pomija. Julian Bartoszewicz, który w swojej Historyi literatury polskiej więcej od innych uwzględniał literaturę polemiczno-religijną, wspomina o tym utworze, ale tylko wspomina, i to w taki sposób, że przybrane nazwisko autora niedokładnie podaje. W innych podręcznikach literatury polskiej panuje o nim głuche milczenie. Tylko Brückner w rozprawie umieszczonej w w Kwartalniku Hist. 1896 p. t. *Spory o Unią*, zwrócił uwagę na tę książkę.

Cóż to jest za utwór, gdzie i kiedy został wydany i kto jest jego autorem? Miejsce druku, ani rok nie jest podany, ale rok można wywnioskować, miejsce druku jest więcej wątpliwe. Mianowicie list dedykacyjny do Zamojskiego, który poprzedza *Apokrisis*, datowany jest: »Z Wilna ostatniego dnia Oktobra wedle starego kalendarza. Roku 1597«. Ponieważ w tej dedykacyi mówi autor o swojej pracy, jako gotowej, więc trzeba przypuszczać, że data dedykacyi jest zarazem datą ukończenia utworu i stąd można i druk *Apokrisis* odnieść do końca 1597. Melecy Smotrzyski w swojej *Apologii peregrynacyey* (str. 21) także to poświadcza. W innym utworze (*Paraenesis* abo *napomnienie* str. 20) wskazuje on i miejsce druku: Wilno, drukarnia bractwa Ś-tej Trójcy.

Ale to są rzeczy podrzędne. Najważniejszą jest, kto był autorem, to jest, kto się ukrywał pod przybranem nazwiskiem Christophora Philaletha, które na książce było wypisane? Otóż nie ulega wątpliwości, że autorem nie był Rusin i nie człowiek greckiego wyznania. Już we dwa lata po ukazaniu się *Apokrisis*, pisarz unicki, autor *Antirresis*, nazywa go aryanem, heretykiem urodzonym w wierze katolickiej i mówi o nim: »za

Rusina się udaje, którym nigdy nie był. A gdyby go kto lepiej przekupił, miasteczkami y wioskami poświęcił, pewnieby y na ruską professyą gębę otworzył. Nie dziw, że mając ręce dobrze namazane za to, taki rozsądek, o tych rzeczach daje i t. d.« (str. 107). Smotrzyski w *Apologii* (46) wyraźniej już powiedział o Filalecie, że dostał za napisanie *Apokrisis* miasteczko z kilku wsiami, ale nie nazwał jeszcze ani autora, ani dawcy.

Imię dobrodzieja odkrył dopiero Jakób Susza w książce w Rzymie wydanej 1666 p. t. *Saulus et Paulus* (p. 86), mówiąc, że był nim Konstanty Ostroski. Dopiero w 18 w. Bazylian Ignacy Stebelski (*Dwa wielkie światła* t. II, str. 174—5) odkrył imię i nazwisko autora i nazwę miasteczka. Autorem okazał się Krzysztof (Krzysztofor) Broński, miasteczko z przyległościami Wilsk na Ukrainie. Brońskiego nazywał Stebelski aryanem.

Wszystko to były świadectwa ze strony unickiej, możnaby więc je było poniekąd uważać za stronne, gdyby strona przeciwna zaprzeczyła stanowczo tym ubliżającym dla autora wieściom. Ale zaprzeczyć niełatwo było, bo trzeba było wymienić autora rzekomo właściwego, a skąd go wziąć było? To też pisarze prawosławni: Andrzej Mużyłowski w *Antidotum* i Gelaziusz Diplic (Ostafi Kisiel) w polemice ze Smotrzyskim uznawali Filaleta za heretyka, za nie Rusina i tem się tylko pocieszali, że i heretyk może być dobrym historykiem i dobrym obrońcą greckiej wiary. Jeden z nich użył nawet takiego porównania: jeżeli Chrystus dokonał dzieła zbawienia dzięki Judaszowi, a Apostoł Paweł cieszył się, że niektórzy, choć obłudnie, głosili naukę Chrystusa, to dlaczegóż my mamy odrzucać obronę prawosławnej wiary przez heretyka? Tak więc, gdyby nawet powątpiewać, że Stebelski omylił się w nazwisku autora, to niewątpliwą pozostanie rzeczą, że ten autor nie był Rusinem, i nie był prawosławnym.

Że autor nie był Rusinem, wskazuje polszczyzna jego nie tylko znakomita, na toku klasycznej składni wygładzona, ale i wolna od rutenizmów, prawie zupełnie; dowodzi tego i fakt, że pisał swój utwór po polsku, a nie sam przetłómaczył na ję-

zyk ruski, bo tłómaczenie zostało dokonane najniedołężniej, w wielu miejscach z zupełnem niezrozumieniem myśli i pojedyńczych wyrazów. Że nie był prawosławnym, tylko kalwinem lub aryanem z przekonań, wywnioskować to także można z jego utworu, w którym uderzał na Kościół katolicki w obronie prawosławia tylko o tyle, o ile to protestanckiemu stanowisku dogadzało, a choć to stanowisko starał się zakryć i wszędzie ostentacyjnie nazywał się człowiekiem greckiej wiary, przecież ostrożność nie wszędzie mu dopisała i nieraz stanowisko protestanckie autora wbrew jego woli wyraźnie się zarysowało, mianowicie w poglądach na Sakrament ołtarza i udział świeckich w sprawach wiary. Rzecz więc jest jasna, jak słońce, że autor *Apokrisis* nie był Rusinem i prawosławnym, że najznakomitszy utwór polemiczny przeciw Unii wymierzony wyszedł z rąk zapłaconych Polaka-protestanta.

Powiedziałem, jak się zapatrywali dawniejsi pisarze prawosławni na ten fakt dla nich nieprzyjemny. Dzisiejsi są daleko drażliwsi od dawniejszych, co byłoby rzeczą bardzo piękną, gdyby ta drażliwość w wysokim stopniu nie osłabiała ich uszanowania dla prawdy. Tak n. p. Skabałanowicz, autor monografii o *Apokrisis* Filaleta, nie mogąc odeprzeć świadectw, mówiących o protestantyzmie Filaleta, tworzy przypuszczenie, że Filalet, jakkolwiek był może protestantem przed pisaniem *Apokrisis*, ale zmienił przekonania religijne i pisząc *Apokrisis* uważał się w istocie za prawosławnego (str. 17—19). Zawitniewicz (1883) w *Palinodyi* (str. 143) nazywa go krótko »schizmatykiem«, ukrywając w tej niby ironicznie pożyczonej od łacinników nazwie protestantyzm i polskość autora. Tylko metropolita Makary w swojej *Jstoryi ruskoj cerkwi* (T. X. 1881 290) przyznał otwarcie, że Filalet — to Krzysztof Broński, uczony protestant.

Ale choć nie ulega żadnej wątpliwości, kim był Filalet, przecież zagadka, dotycząca jego osoby, nie może być uważana za zupełnie rozwiązaną. Pozostaje zawsze pytanie, jak człowiek który napisał »*Apokrisis*«, mógł być poza tem zupełnie nieznany, dlaczego niczem innem nie upamiętnił się w literaturze.

Zobaczmy teraz, co to była owa *Apokrisis*, a przedewszystkiem, jaka jej geneza. Kiedy Skarga po synodzie brzeskim zabierał się do utwierdzenia dokonanej Unii za pomocą swojej *Obrony synodu*, ani się domyślał, ani przypuszczał zapewne, że w obozie przeciwników Unii znajdzie się zapaśnik tej miary, co Filalet. Sądził on po tem, jaką polemikę ze strony ruskiej wywołało pierwsze jego dzieło *O jedności Kościoła Bożego*. Właściwie wystąpił przeciw niemu tylko jeden Wasyl Surażski, a wystąpił bardzo niedołężnie. Skarga zatem nie erudycyą chciał nadrabiać, ale przedewszystkiem chciał trafić do serc Rusinów, w uzasadnieniu zaś władzy papieskiej sięgał po dowody, które oddawna były w obiegu w Kościele katolickim. Gdyby zwracał się do protestantów, zapewne pisałby inaczej, rozważałby krytykę protestancką władzy papieskiej i do tego by zastosował dobór i układ dowodów. Ale on pisał dla Rusinów prawosławnych, których niechęć do Kościoła katolickiego i do jedności z nim z innych płynęła źródeł, niż u protestantów.

Kiedy synod brzeski dokonał Unii, kiedy król na sejmie następującym nie uwzględnił protestacyi dyzunitów, a sąd senatorski uznał winnym Nikifora, naczelnika synodu przeciwnego Unii, Ostroski wybuchnął mową, w której obrażona pycha pańska zabłysła w całej jaskrawości. Niedbał on już na wet o los Nikifora, odjechał z sejmu, gotując zemstę tym, którzy pychę jego upokorzyli. Tą zemstą była *Apokrisis*. Ostroski znał swoich prawosławnych ziomków, wiedział, że pomiędzy nimi nie znajdzie się nikt, ktoby potrafił odpowiedzieć na nową książkę Skargi o Unii tak, żeby zadać cios dotkliwy. Ale oddawna pielęgnował stosunki z protestantami, miał ich na swoim dworze, słyszał od nich zajadłą namiętną krytykę władzy papieskiej; a opartą przytem na krytycznych badaniach naukowych. Już po wyjściu pierwszego dzieła Skargi, którem czuł się dotknięty, chciał użyć pomocy innowierczej, ale go odstręczył od tego kroku poważny i szczery w prostocie swojej głos ks. Kurbskiego. Potem przyszły czasy wahania się; książę sam myślał o Unii, takiej naturalnie, w którejby pierwszą odgrywał rolę. Ale kiedy Unia stała się faktem bez jego przyzwolenia,

książę już pozbył się dawnych skrupułów i wyszukał innowiercę, któryby podjął się zadania, do którego nikt ze współwyznawców jego nie dorastał.

Że w wydaniu *Apokrisis* była ręka księcia pod spodem, to nie może ulegać wątpliwości; Broński był tylko narzędziem, takiem właśnie, jakie potrzebne było księciu, aby wywrzeć dotkliwą zemstę. Świadczy o tem z jednej strony majątek, którym obdarzył autora, a jeszcze więcej z drugiej strony świadczą listy Rahozy, Pocieja i Zygmunta III., pisane do księcia, będące zatem jego własnością, a umieszczone w *Apokrisis* dla zawstydzenia przeciwników.

Ale książę nie chciał, aby świat wiedział, kto jest autorem; że jest nim kalwin czy aryan. Ubliżałoby to naprzód ludziom greckiej religii, że sami nie mogą zdobyć się na obronę swojej sprawy, powtóre rzucałoby cień herezyi i na tę sprawę i na księcia, który chciał uchodzić za przedstawiciela czystej orthodoksyi. Bezimienność autora *Apokrisis* była potrzebniejszą dla księcia niż dla samego autora, bo ten nie miał się czego lękać, zwłaszcza mieszkając w województwach, gdzie było dużo różnowierców i partyzantów księcia.

A potrzeba było ukryć nie tylko jego imię, ale i wyznanie, bo o to najwięcej chodziło, i dlatego autor ciągle od początku do końca ostentacyjnie mówi o sobie, jako o człowieku greckiej religii. Potrzeba też było utaić i stosunek autora do księcia, o ile to było możebne. Nigdzie tu niema osobnych pochwał dla księcia; nawet podając list królewski do Ostroskiego, Broński nie wymienia nazwiska księcia. W jednem tylko miejscu jest mowa o wielkiem znaczeniu księcia, a to mówi autor nie od siebie, tylko podając przekład listu patryarchy Melecyusza Pigasa i pozwalając sobie w tym ustępie na dowolne rozwinięcie tekstu słów Pigasa.

Całkowity tytuł utworu jest następujący: *Apokrisis* (ἀπόκρισις) *abo odpowiedź na xiążki o synodzie brzeskim, imieniem ludzi starożytnej religiey greckiey, przez Christophora Filaletha w porywczą dana.* Wyrażenie »w porywczą« dane w tytule, może się wydawać przechwałką wobec ogromnej erudycyi, którą ta książka

zawiera w sobie, wobec całego stosu cytat, wobec wreszcie imponujących rozmiarów — dużych stronic 344. A jednakże, jeśli zwrócimy uwagę na to, że książka Skargi nie mogła wyjść wcześniej z druku, jak pod sam koniec 1596, że *Apokrisis* była w istocie odpowiedzią na tę książkę, a wciągała w zakres polemiki i wypadki sejmowe z marca 1597, że wreszcie pod koniec roku 1597 już była gotową, to musimy przyznać, że wyrażenie to nie było przechwałką.

Wspomniałem już o dedykacyi, zwróconej do Jana Zamojskiego. Filalet uzasadnia swoją dedykacyę znaną mądrością i bezstronnością Zamojskiego, przypominając między innemi sentencyę wypowiedzianą przezeń: »że w wierze nikomu nie trzeba gwałtu czynić«. Pod osłoną takiego imienia chce on puścić w świat swoją książkę, tem imieniem obronić ją od grożącego jej ognia, i wyrażał pewność, że gdy kanclerz przeczyta tę książkę »tym się nam, choć w wierze od nas różny będąc, ieszcze przychylniejszym y do leczenia urazów naszych tym chętniejszym stawić raczysz«. Ale wszystkie pochwały, które obficie administrował Zamojskiemu i ta ufność w jego dobrą wolę, wszystko to był pozór, pod którym kryła się głęboka perfidya i ironia i trzeba się dziwić, że nikt z piszących o *Apokrisis* nie dostrzegł jej dotąd.

Żeby ją zrozumieć, trzeba znać stosunek, jaki wówczas zachodził między Ostroskim a Zamojskim. Dla dumnego pana, który ród swój wywodził od Włodzimierza Wielkiego i tyle znaczenia przypisywał swemu pochodzeniu, nie mogło być miłem nadzwyczajne wyniesienie się Zamojskiego, którego genealogia była znacznie mniej świetną. Ale oprócz tego ogólnego motywu, były inne, daleko bardziej drażniące księcia. Oto Zamojski widocznie sprzyjał Unii, i bez jego woli nie byłaby przyszła do skutku; co gorzej w procesie Nikifora w Warszawie stawał jako świadek, którego świadectwo mocno obciążało protegowanego przez księcia protosyngiela i exarchę. Mówił on tam o roli, jaką odegrał Nikifor świeżo w Wołoszczyźnie wobec Polski.[1] On dostarczył innych świadectw, przemawiających przeciw Nikiforowi,

[1] Archiw. *Zapadnoj Rossii*. T. IV.

mianowicie listów zgubionych przez posłańca ks. Ostroskiego do Wołoch, a pisanych przez jakiegoś mnicha Pafnucego, w którym dopatrywał Nikifora. Otóż dużo rzeczy miał książe na wątrobie przeciw Zamojskiemu i w *Apokrisis* chciał zemścić się na nim.

A naprzód samo przypisanie książki, — w najzjadliwszy sposób traktującej Unię z Kościołem katolickim i sam Kościół katolicki, — było afrontem dla Zamojskiego, który choć słynął z tolerancyi, przyznawał się głośno do katolicyzmu i sprzyjał Unii. Była w tem przypisaniu zarazem jakby zapłata Skardze za to, że on pierwsze wydanie swego dzieła »*O jedności*« przypisał Ostroskiemu, choć naturalnie przypisanie Skargi uczynione było z najlepszą wiarą, bez wszelkiej złej myśli utajonej.

Tyle co do samego pomysłu dedykacyi. A teraz jakże przedstawił Filalet Zamojskiego, pod osłoną słów pełnych pozornego uszanowania? Oto jako człowieka, który z przekonań jest wprawdzie tolerantem i oziębłym katolikiem, ale który «dla łapania faworów«, gotów jest zaprzeć się swoich przekonań i popierać »nadzwyczaj gorących teraz prałatów rzymskich«. Nie mówił tego Filalet otwarcie, ale za pomocą insynuacyi; pozornie on bronił Zamojskiego. »O mężu mądrym rzeczono, że gwiazdom panuje. W. m. memu mściwemu Panu, że nie ladajaką mądrość wszyscy, doświadczywszy iey z różnych miar, przyznawaią, przetoż y ia nie mogąc inaczej rozumieć, że w. m. mój m. pan, tych górnych obrotów obrotowi, przykładem drugich nie podlegasz; ale zaś jednę o rzeczach sentencyą uważnie przyiąwszy, przy niey tak stoisz, że łapanie faworów, abo iakiego wyższego szczęścia (bo go iuż y tak dosyć) od niej w. m. nie odrazi«. I wymieniwszy potem rozmaite sentencye hetmana, świadczące o jego tolerancyi, zapytuję: »Azaż się w. m. tym od raz wyrzeczonego zdania swego dasz uwieść? Azaż łapanie sobie chęci ich m. teraz nadzwyczaj gorących prałatów rzymskich miałoby rozumienie w. m. odmienić, abo przynajmniej do pokrywania iego przyczyną być? Nie tuszę!« I tu następował przytyk i do jakiejś odpowiedzi hetmana, zapewne na wezwanie dyzunitów, aby ich popierał, i może do jego stosunkowo mniej świetnego po-

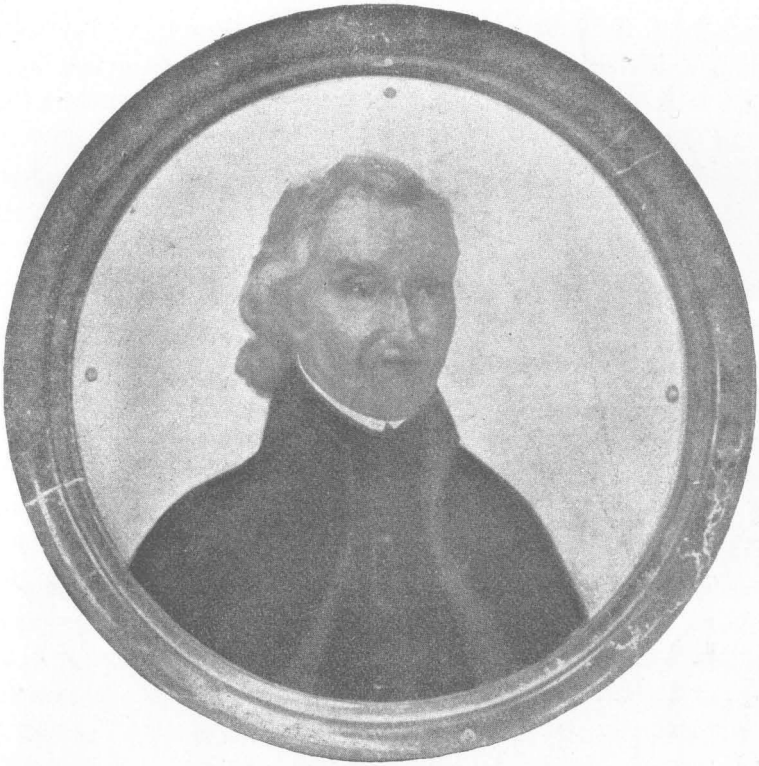

KS. PIOTR SKARGA

(MIEDZIORYT Z PŁYTY NAGROBNEJ).

chodzenia. »Ci to niech czynią, ci niech nam mówią, żebyśmy dosyć na tym mieli, iż nam nie zawadzają, choć nie pomagają, którzy się obojętnym szczęścia piastowaniem dopiero z dolnej niskości na małą goreczkę wyniósszy, a namniej wyniesienia swego nie ugruntowawszy, y od maluczkich niechęci ludzkich wiatrów obalenia boją. W. m. memu m. panu insza i t. d.«

Że ta cała dedykacya była przeznaczoną na to, aby ukłuć Zamojskiego, nie zaś, żeby z imienia hetmana zrobić tarczę dla książki ,jak to głosił Filalet, jednym więcej dowodem służy okoliczność, że autor nie posłał wcale swej książki Zamojskiemu i ten dowiedział się o niej dopiero z listu Pocieja. »*Quod attinet ad inscriptionem, mihi usque nunc inauditam, nescio cuiusnam ad me scipti libri*, odpowiadał Zamojski Pociejowi 30 paźd. 1598, *id vero ejus modi est, ut qua de libro, qualis sit, qua de auctore libri, ecquisnam is tandem sit, omnino nihil sciam neque prorsus quicquam scissem, nisi ea de re a Reverendissima D. V. litteras accepissem. Libellum eum, rogo, si potest, ad me mittat, et nomen proprium auctoris, si novit, aperiat, nam Philalethis fictum esse apparet. Simul atque quis is sit, et quidnam sit istud rei, rescivero, alium sibi patronum suarum ejus modi scriptionum, is scriptor bonus ut adoptet, cum illo agam*«. (*Antirresis* w *Wilnie* 1600 *str.* 4). Czy się Zamojski dowiedział? Sądzę, że przeczytawszy książkę, nie odgadł może autora książki, ale zapewne odgadł tego, na czyje zamówienie była napisaną.

Po dedykacyi następowała przedmowa do czytelnika, w której Filalet objaśniał, że go do napisania *Apokrisis* pobudziła chęć dania odpowiedzi na książkę (*Synod brzeski*), którą »pod sejmem blisko przeszłym... puścił ktoś między ludzie,« objaśniał podział swej odpowiedzi na cztery części i sposób prowadzenia polemiki przeważnie za pomocą pytań zadawanych przeciwnikowi. Już tutaj zapowiadając, iż będzie przestrzegał skromności w polemice, dał próbkę, czem miała być owa skromność i jaką się pod nią zjadliwość ukrywała. Wymieniwszy ,ile to Skarga, którego postanowił nazywać tylko »synodowym dziejopisem«, »żadnych mu uraźliwych tytułów nie dając« — wytknął wad i błędów »nam starożytnej religiey ludziom«, wymieniwszy to

wszystko, co »jadowita ślinka do ust mu przyniosła«, powiadał następnie: »Ta uszczypliwość iego zarobiła pewnie na nieuszanowany a wzajem uszczypliwy respons. Ale uważaiąc przystoyność naszę nie odpowiadamy głupiemu wedle głupstwa iego, na wszeteczność wszeteczności, — którey y urodzenia, y zachowania, y usta nasze nie przywykły, — nie zażywamy, skardze skargi nie opponuiemy, owszem skromność nasza aby była wszystkim ludziom jawna przestrzegaiąc, nietylko nie oddawamy złego za złe, ani złorzeczymy za złorzeczenie, ale też z odniesienia tych fałszywych przymówek, upewnienie o społeczności cerkwie, ś. Krzyżowi zawsze podległey, a tak wiary naszey tem więtsze potwierdzenie y pociechę nielada jaką bierzemy«. Tak więc zapowiadając skromność i przystojność i wstrzymanie się od wszelkich »uraźliwych tytułów« dla przeciwnika, nazywał go tuż zaraz przytem »głupim, wszetecznym i jadowitym«. I w dalszym ciągu znalazł dlań cały szereg epitetów takich jak: wyszpociciel, fałszerz, szczekacz i t. p. Prawda, że w porównaniu z Wolanem, który nazywał Skargę w swoich pismach polemicznych głupcem, zuchwalcem, kumańskim osłem, ostatnim szaleńcem, łajdakiem, bezbożnikiem, złośliwcem, hersztem rozbójników, Filalet mógł się uważać jeszcze za skromnego.

W analizę właściwej treści *Apokrisis* wchodzić tu nie będę, zostawiając ją do innego miejsca; tu chodzi tylko o porównawczą charakterystykę Skargi i Filaleta, dwu postaci, które z wielu względów warto zestawić, przedewszystkiem zaś dlatego, że są przedstawicielami i dwóch krańcowych typów i dwóch wręcz przeciwnych kierunków, jakie się w dziejach Polski objawiały i ścierały z sobą. Kto w Skardze — jak to się czasem zdarza — widzi tylko człowieka zapatrzonego w interesa wiary, ten Skargi dobrze nie rozumie. Skarga stawiał ojczyznę niebieską wyżej od ziemskiej, to pewna, ale ojczyzna niebieska nie zasłaniała mu spraw i potrzeb ziemskiej, którą gorąco kochał. Jedna miłość godziła się doskonale z drugą, nic sobie wzajem nie szkodziły. Ideał, który Skarga stawiał przed narodem, nie był jakimś ascetycznym, niedosiężnym ideałem, ale zupełnie zastosowany do potrzeb i ducha narodu; był to ideał, który się wcielił w posta-

ciach Żółkiewskiego i Chodkiewicza. Najlepiej się w tym względzie wypowiedział Skarga w przedmowie do *Rocznych dziejów Kościoła*, a także w *Żołnierskiem Nabożeństwie*. W swoich poglądach politycznych był jasny, wyraźny i konsekwentny. Zarzucano mu, iż wielbił *absolutum dominium*, ale on wielbił tylko ład i porządek monarchiczny, przy którym sprawiedliwość i zgoda łatwiej da się utrzymać. Chciał, aby monarchia była konstytucyjna, »obłóczona« i arystokracyą i demokracyą, aby się król nie zamienił w tyrana, ale żądał, aby władza wykonawcza była silna, aby ustawy i wyroki były nie na papierze tylko, jednem słowem pragnął dla Polski silnego rządu, którego jej tak potrzeba było wobec coraz większej niesforności szlacheckiej.

Jak Skarga był przedstawicielem i obrońcą zasad jedności, ładu i zgody zarówno w państwie, jak w Kościele, podporządkowania jednostki pod dobro ogółu, tak Filalet był przedstawicielem i obrońcą tej wolności, co prowadziła do anarchii, a interesy jednostek lub grup pojedyńczych stawiła ponad interesa całego narodu. Kiedy Skarga w proroczych słowach pokazywał, do czego ma Polskę nierząd doprowadzić, Filalet z lekkiem sercem wołał: Nierządem przecież stoimy! a choć zapewne za rozumny był na to, żeby wierzyć, iż nierządem stać można, nic go nie trwożyły niebezpieczeństwo z tej strony, natomiast upatrywał on niebezpieczeństwa grożące wolności szlacheckiej od zwolenników zgody, ładu i jedności.

Nie wiem, czy wyjaśniono dobrze, jaki zachodził związek między teoryą anarchii i swawolą szlachecką z jednej strony a protestantyzmem z drugiej. Związek to wyraźny. Humanizm osłabił, oziębił religijność średniowieczną, ale nie tykał powagi Kościoła, z którym zawarł przymierze. Protestantyzm zachwiał silnie tę powagę, a to silne wstrząśnienie w rozmaitych krajach wcale różne wywołało następstwa. Tam, gdzie na czele nowego ruchu stanęły rządy, rzucając rękawicę Rzymowi, n. p. w Anglii lub Szwecyi, tam protestantyzm w masach dawał wielką siłę rządowi, który nie znajdował już żadnych ograniczeń w Kościele, i tam przyczynił się do wzmocnienia jego powagi. Tam, gdzie

monarcha był katolicki, ale powaga monarchicznej władzy była silnie ugruntowaną, jak we Francyi, gdzie protestantyzm po długich walkach wewnętrznych został złamany, tam ruch protestancki doprowadził również do wzmocnienia władzy monarchicznej. Ale gdzie, jak w Polsce, protestantyzm był tolerowany, nie wywołał walk religijnych, a trafiał na czasy, kiedy tron miał stać się elekcyjnym i na społeczeństwo, które nie dorosło do rządzenia samem sobą, tam naruszenie powagi kościelnej prowadziło bezpośrednio do naruszenia powagi monarchicznej.

Wprawdzie Batory, choć się opierał przedewszystkiem na katolicyzmie, umiał zaprzęgać różne pod względem wyznania żywioły do rządowego rydwanu, ale powodzenie jego zależało tylko od jego wyjątkowego charakteru, doświadczenia i rozumu. Kiedy na tron wstąpił Zygmunt III i wyraźniej zamanifestował się, jako król katolicki, protestanci uderzyli w surmę wolności przeciw urojonemu *absolutum dominium* i starali się skupiać przeciw królowi wszystkie niechętne mu z jakichkolwiek powodów żywioły. Szlachta katolicka łączyła się z protestancką w imię tej wolności, która nie chciała znosić żadnego monarchicznego hamulca i o nic więcej nie dbała, prócz własnego chwilowego interesu. W rokoszu Zebrzydowskiego łączyły się wszystkie wyznania w imię tej wolności przeciw *absolutum dominium*, ale główne jądro rokoszu składało się z inowierców.

Protestantyzm prędko osłabł i stopniał po części z przyczyn wewnętrznych, brakiem siły własnej, wskutek rozkładu wewnętrznego, po części wskutek wpływów wychowania jezuickiego, ale osłabienie powagi królewskiej, które sprawił, uwielbienie złotej wolności szlacheckiej, wogóle nastrój wewnętrzny pozostał i następcy Skargi umieli się z tem wszystkiem pogodzić, widząc, że anarchizm szlachecki nosi teraz barwę katolicką.

Otóż Filalet był przedstawicielem tego, co było ujemnem we wpływach protestantyzmu na dzieje Polski, Skarga przedstawicielem dodatniej roli katolicyzmu w tych dziejach.

Skarga na *Apokrisis* nic nie odpowiedział. Tyle szyderstw, ironii i złości, wylanej na siebie, przyjął w milczeniu, jak ów imiennik jego w *Dziadach*, który w scenie ze złym duchem w podobnej znajdował się sytuacyi, cierpliwie w modlitwie znosząc wszelkiego rodzaju urągania i szyderstwa. Mógł też ów duch negacyi, z którym walczył ksiądz Piotr o duszę Konrada, nazwać się nie tylko: »Lukrecy, Lewiatan, Voltaire, alter Fritz«, ale i Philalet; erudycya, którą ten ostatni rozwijał, nie powstydziłaby się stanąć obok erudycyi owego ducha, a jego słowa: »*En sais — tu plus que nous, parle — je te défie*«, mógłyby służyć za dewizę do *Apokrisis*. Ale dusze, o które walczono w jednym i drugim razie nie były podobne do siebie; to też ksiądz Piotr zdobył duszę młodego Konrada, Skarga utracił wszelką nadzieję pozyskania duszy starego Konstantyna.

Józef Tretiak.

SKARGA I BATORY[1]

Na tle listów Skargi.

Stefanowi Batoremu oddaje Skarga w listach swoich największe pochwały, bo też ten monarcha wszechstronnie zasługiwał na to. I tak pod dniem 29 marca 1579 pisze o nim do generała Merkuryana: Mamy tu w Wilnie Jego Królewską Mość. Daje nam ustawiczne dowody najwyższej życzliwości swojej. W uroczystość Zwiastowania Najśw. Panny (25 marca) przybył z zamku, gdzie się znajduje katedra, do naszego kościoła. Był tu obecnym na wszystkich nabożeństwach aż do nieszporów, wysłuchał też uważnie mego łacińskiego kazania, z ogólnem zbudowaniem wszystkich. Potem udał się do kollegium, wstąpił do kaplicy domowej i refektarza, zwiedził nawet niektóre nasze mieszkalne izby. Dziwowali się temu różnowiercy, zgrzytali zębami i rumienili się, katolikom zaś z radości rozszerzało się serce. W tymże dniu przysłał do kollegium marszałka swego nadwornego, Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, żądając przez niego, ażebyśmy wszystko wyrazili na piśmie, czegokolwiek potrzebować możemy. Kazał mi także oznajmić, ażebym owo kazanie, wypowiedziane w obecności jego, podał do druku dla pożytku drugich [2].

Król Batory, w czasie pobytu swego we Lwowie 7 lipca 1578, na prośbę biskupa Protaszewicza, podniósł szkołę jezuicką w Wilnie do stopnia akademii, nadając jej te same prawa i przy-

[1] Ustęp wyjęty z książki, która wkrótce opuści prasę, pod tytułem: „Działalność księdza Piotra Skargi na tle jego listów".

[2] List nr. 56.

wileje, jakie posiadała akademia krakowska. Akt ten fundacyi zatwierdził król najpierw w Wilnie 1 kwiet. 1579, osobnym erekcyjnym dyplomem, opatrzonym wielką pieczęcią litewską i podpisami obydwóch kanclerzy: Mikołaja Radziwiłła Rudego (litewskiego) i Jana Zamoyskiego (koronnego), oraz licznych senatorów, obydwóch podkanclerzy, dygnitarzy i urzędników królewskich; potem zaś za zgodą wszystkich stanów powtórnie na sejmie warszawskim 23 lut. 1585. Równocześnie owym erekcyjnym dyplomem oddał król zakonowi przyległy kościół parafialny św. Jana Chrzciciela; papież zaś Grzegorz XIII wydał 29 paźdz. 1579 osobną bullę, potwierdzającą wszelkie prawa i przywileje akademii wileńskiej [1]. Formalne uroczyste otwarcie akademii nastąpiło z początkiem września 1580. Skarga był jej pierwszym rektorem.

Po zdobyciu Połocka z rąk nieprzyjaciół 29 sierp. 1579, pisał król następnego dnia wraz z Janem Zamoyskim do Skargi, aby z kilku Jezuitami co prędzej przybywał, w sprawie fundacyi kollegium w Połocku. »Nie zazdrośćcie — mówił w tym liście Batory — waszym Portugalczykom i Hiszpanom obcych w Azyi i Ameryce światów, aby je do Boga nawracać, są tu w pobliżu i Indye i Japony w narodzie ruskim połockim, w mieście nieświadomem Boskich rzeczy« [2]. Zanim oni przybyli, król zdobywszy trzy ostatnie zamki w ziemi połockiej, urządziwszy na prędce miasto, twierdzę i ziemię połocką, powierzył jej dalszy zarząd tytularnemu dotąd wojewodzie połockiemu, Mikołajowi Dorohostajskiemu, sam zaś 4 paźdz. 1579 wrócił tryumfalnie do Wilna. Tu wezwawszy prowincyała O. Sunnera i Skargę, ułożył z nimi, w myśl swego wotum, fundacyę połockiego kollegium. Różnowiercy, znając Skargę, nie chętnie na to patrzali, to też, gdy powtórnie w czerwcu 1580 otrzymał rozkazanie królewskie do dalszego zajęcia się tą sprawą, źle był przyjęty i obłudnie

[1] Dyplomy królewskie i bullę papieską, przytacza Józef Bieliński: Uniwersytet Wileński. T. I. 34—48, 51—53. Kraków 1890. Akademia wileńska miała cztery wydziały: teologiczny, filozoficzny, prawniczy i filologiczny. Lekarskiego wydziału nie było.

[2] St. Rostowski: *Lituanic. Histor.* p. 85.

traktowany w Połocku od Mikołaja Dorohostajskiego, który był kalwinistą i sprzeciwiał się jawnie królowi. Jeden tylko Franciszek Żuk, gorliwy katolik, horodniczy połockiego zamku, dał mu przytułek u siebie na zamku. Z jego pomocą sam Skarga znalazł pomieszkanie dla braci w mieście 30 czerwca 1580 i urządził na prędce do służby Bożej cerkiew św. Piotra i Pawła, zaniedbaną i opuszczoną od schizmatyckich mnichów. Pierwsze nabożeństwo odprawili 2 lipca. Wspierała ich w tem potajemnie pani Dorohostajska, Wojnianka [1] z domu, gorliwa katoliczka, pomimo mężowskiego różnowierstwa. Wreszcie i król nadesłał z rozkazami swego podskarbiego nadwornego litewskiego, Teodora Skumina Tyszkiewicza, który zabrał się rączo do rzeczy, oznaczył miejsce dla przyszłego kollegium, budynki, place i ogrody [2]. Na uposażenie tego kollegium przeznaczył król obszerne dobra Spasowskie, składające się z 72 wsi i folwarków [3] po obydwóch stronach Dźwiny, ale nadzwyczaj zniszczone i zarosłe, istne pustkowie. Należały przedtem do 6 monasterów i 8 parafii ruskich, opustoszałych podczas wojny i okupacyi moskiewskiej 1563 r. Były to więc *bona nullius*, przypadały prawem wojennem do fiskusa, a kolatorem ich był król; w istocie zaś rozdrapane, zostawały w posiadaniu bezprawnem ludzi świeckich; sam wojewoda połocki, Mikołaj Dorohostajski, zagarnął 5 wsi najlepszych. Musiał jednak odstąpić, przynaglony do tego wyrokiem królewskim.

Wspomnianą wyprawę misyjną z Wilna do Połocka w czerwcu 1580, odbytą w towarzystwie dwóch Ojców: Jana Alanda Lwowianina i Stanisława Lęczyckiego, najprzód lądem 18 mil na dwóch wozach czterokonnych (królewskim i kollegium wileńskiego) aż do miasteczka Postaw, potem rzeką Dzisna i Dźwiną, ciągle trzymając się brzegów, wśród różnych niewygód, częstych deszczów i noclegów w lasach pod gołem niebem, gdzie dokuczliwe owady i robaki dawały się dobrze we znaki; oraz

---

[1] Córka Wawrz. Wojny, podskarbiego ziemskiego litew. († 1580).
[2] List. 65.
[3] Ks. Stanisław Załęski: „Jezuici w Polsce". T. IV. 188.

wszystkie piętrzące się trudności, jakie długo pokonywać potrzeba było, to z wojewodą połockim, to z władyką miejscowym schizmatyckim, Teofanem Rypińskim, opowiedział Skarga w najdrobniejszych szczegółach, w obszernej relacyi do prowincyała Sunnera, datowanej 27 lipca w Połocku i 4 sierpnia w Wilnie 1580. Widać z niej, że wojewoda oglądał się na władykę, a władyka na wojewodę, jeden drugiemu nie ufał, jeden bał się drugiego, obydwaj się wahali i wymawiali nawzajem, żaden nie chciał uczynić dla zakonu jakichkolwiek ustępstw, ani oddać opuszczonej schizmatyckiej cerkwi, pomimo wyraźnej królewskiej woli. Przytoczył Skarga w tym liście inne jeszcze ciekawe i nieznane epizody, jak swój pobyt w obozie królewskim nad Dźwiną, oraz gościnne przyjęcie u króla, na co ze zdumieniem patrzali różnowiercy senatorowie litewscy. Na prośbę bowiem Skargi, kazał król oddać zakonowi opuszczoną cerkiew św. Piotra i Pawła, a zarazem mieszkanie tymczasowe na zamku wyższym połockim. Mikołaj Jasiński, pisarz litewski i jedyny między urzędnikami katolik, z polecenia króla wygotował odpowiedni akt i przedłożył do podpisania i opieczętowania Eustachemu Wołłowiczowi, kanclerzowi litewskiemu, kasztelanowi wileńskiemu. Ale ten magnat nie przyłożył pieczęci, owszem w obecności innych senatorów poszarpał w kawałki królewskie pismo. Uwiadomiony o tem król, odpowiedział z cierpliwością i wielką powagą: »Nie dziwię się temu, że tak uczynił, bo jest heretykiem. Niech wie o tem, że jestem katolickim monarchą. A co rozdarł, niech na nowo napisze«. Przestraszony kanclerz, wystawił ponowny akt i opieczętował. Podobnie postąpił Krzysztof Mikołaj Radziwiłł (Piorun), podkanclerzy litewski. Król bowiem wydał uniwersał do wojewody, dygnitarzy i szlachty połockiej, aby darowane zakonowi dobra wiernie do rąk oddali. Uniwersału tego nie chciał pieczętować podkanclerzy litewski. Użalił się Skarga przed królem. Król wezwał podkanclerzego i zgromił surowo w obecności wszystkich, mówiąc: »Jestem królem, a wy jesteście poddanymi. Ja przykazuję sprawiedliwe i święte rzeczy ku czci i chwale Bożej. Jeśli nie chcesz opieczę-

tować, już ja sam pieczęć znajdę«. Zawstydzony tem podkanclerzy, przyłożył niebawem pieczęć [1].

Jako potwierdzenie błogiej działalności króla Stefana, a współudziału Skargi, mamy list jego, pisany do nuncyusza Caligarego, z Wilna 20 czerw. 1580. Donosi w nim, że gdy król z Grodna do Kowna, a stamtąd do Wilna jechał, wstępował po drodze do każdego kościoła, który we wsi zobaczył, jakby archidyakon. Wypytywał się najdokładniej wszystkiego o proboszczu, o jego wikarym, o postępach ludu w religii, o ozdobach kościoła, o kazaniach, o życiu kapłana. A potem w pewnej rozmowie ze Skargą ubolewał nad stanem owych kościołów, iż w żadnym nie znalazł zdolnego księdza, oprócz w Stokliszkach, posiadłości wójta wileńskiego, doktora Augustyna Rotunda Mieleskiego. Pod rozsądek Skargi oddawał kandydatów, ubiegających się o beneficia kościelne, ale on wymawiał się od tego, twierdząc, że tylko wspólnie z egzaminatorami synodalnymi rzecz tę przeprowadzić może; fakt jednak pozostał, że w tej mierze król Stefan na niego całą sprawę zdawał. O misye połocką, pisze Skarga, tyle się Król Jegomość przed swoim stąd odjazdem troszczył, że prawie dnia nie było, w którymby mi czego przez swego kapelana, ks. Jerzego Fabiusza, był nie oznajmił. Żądał ode mnie, ażebym przeznaczonych do Połocka księży sam odwiózł, wszystko własnemi rozpatrzył oczyma, i doniósł o tem dla wiadomości królewskiej i ostrzeżenia naszych przełożonych. Chciałem się uwolnić od tej podróży dlatego, że od O. Prowincyała nie miałem żadnego zlecenia, ale w ostatniej ze mną rozmowie tyle mi król przytoczył powodów, że już się wymawiać nie ważyłem, zwłaszcza, iż wyrozumiałem, że wojewoda połocki, Mikołaj Dorohostajski, niektórych kacermistrzów z Wilna sprowadza, zapewne po to, aby tych wilków naprzeciw nam postawił i naszym obrządkom przeszkadzał [2].

Skarga, nie opuszczając swojego stanowiska w Wilnie, pełnił zarazem obowiązki pierwszego przełożonego w Połocku.

---

[1] List. nr. 65.
[2] List nr. 60.

Mieszkał w Wilnie, ale dojeżdżał raz po raz do Połocka, gdzie niebawem 1581 otworzył na żądanie królewskie dwie klasy gramatykalne [1]. Zgłosiło się do nich z początku zaledwie 5 uczniów, taki wstręt do książki mieli Połoczanie, wyłącznie prawie Rusini dyzunici. Na całe zresztą województwo połockie, siedm było domów polskich katolickich, reszta Kalwini i Aryanie.

W liście do generała Akwawiwy, z Dzisnej pod Połockiem 5 lipca 1581, uzupełnia jeszcze i zaokrągla swoje relacye o działalności Batorego: Przybyłem tu wczoraj, zawezwany umyślnie od Króla Jegomości, i omówiłem z nim osobno sprawę fundacyi połockiego kollegium, która mu tak bardzo na sercu leży, że nawet na sejmie warszawskim publicznie z senatorami rozprawiał o niej. Oznajmił mi także, że po zawarciu pokoju z Moskwą, uda się czemprędzej do Inflant, gdzie pierwszą jego czynnością będzie: ufundowanie kollegium w Rydze, Dorpacie i Narwie, o którą obecnie toczy się spór przy układach pokojowych. Zaprosił mię już naprzód do podróży ze sobą do Inflant. Jest to tabula rasa — mówił król do mnie — potrzeba tam wykorzenić różnowierstwo, a zaszczepić na nowo katolicką wiarę. Dodał przytem, że O. Possewinowi zamierza utorować drogę do Moskwy, jak tego pragnie Stolica św., bez względu na to, czy pokój będzie zawarty, czy też wojna pociągnie się dalej. Po ludzku jednak mówiąc, bardzo słaba przyświeca nadzieja, pozyskania dla kościoła katolickiego wielkiego księcia moskiewskiego, Iwana Groźnego, znanego z tyranii i brudnych występków [2].

W następnym znów liście, z Wilna 2 sierp. 1581, podnosi żarliwość Batorego w sprawach kościoła i zakonu na Litwie: Starania, jakie król poczynił w celu przyspieszenia budowy kollegium, są prawdziwie zadziwiające, a znamionują wybornie jego apostolską gorliwość. Wśród dwutygodniowych zajęć i narad wojennych w obozie pod Dzisną i Połockiem, nic nie miał pilniejszego i ważniejszego, o niczem tyle razy nie rozprawiał z senato-

[1] List nr. 75
[2] List nr. 72.

rami swymi, nawet po dwa razy dziennie, jak o fundacyi połockiego kollegium. Mnie samego tyle razy wzywał do siebie, tylekroć przynaglał, że mię swoją pobożnością w zdumienie wprawił. To też jeden z najprzedniejszych różnowierców na Litwie odezwał się w te słowa: »Musimy już przed Jezuitami uchylić czoło, skoro ich sam król tak bardzo ceni«. W nocy 20 lipca, mając nazajutrz raniutko już zwinąć obóz i ruszyć z nim dalej, woła mię król do namiotu swego, kiedy jeszcze był w łóżku, objaśnia mi plan całej budowy i prosi, bym uzupełnił, co jeszcze za stosowne uważam. Potem z tak dziwną słodyczą ducha rozmawiał o naszym Instytucie, że niektórzy, widząc przy odjeździe jego załzawione oczy, sądzili, żem miał do niego po wieczerzy kazanie i rozrzewniłem go niem do tego stopnia. Posyłam Przewielebności Waszej główny zarys, a raczej punkta przyszłej budowy. Jeden egzemplarz prześlę do obozu królowi, drugi kanclerzowi Zamoyskiemu. Nie potrzeba, rzekł król, szukać innego promotora, ja sam nim będę. Porobiłem pewne uwagi i posłałem już 23 lipca. Sądzę, że w samym obozie król załatwi fundacyę. Na początek budowy wręczył mi król z własnej szkatuły 1000 florenów. A kiedym mu przedstawiał, żeby na razie wśród tylu wydatków wojennych oszczędzał pieniędzy, odpowiedział na to: »P. Bóg opatrzy, ja zaś chcę, abyście obrócili tę sumę na wasze mocne osiedlenie w Połocku«. Później zaś Jego Królewska Mość obiecuje dawać co roku 7 do 8 tysięcy florenów na fabrykę kollegium aż do jej ukończenia. Prosi jednak Przewielebność Waszą o przysłanie z Włoch jakiego zdolnego murarza, czyli architekty zakonnego, któryby się zajął kierownictwem całej budowy [1].

Do tej działalności Batorego i to dodać należy, że już w r. 1579 powołał na swego nadwornego kaznodzieję, O. Marcina Laternę [2], który odtąd podzielał z nim trudy obozowego i dwor-

[1] List nr. 75.

[2] Wiełewicki: *Diarium* T. I. 253—256, gdzie też opisany jest jego żywot i apostolska działalność. Na rozkaz przełożonych wyjechał z królem Zygmuntem III do Szwecyi. Gdy stamtąd dla choroby wracał do Polski, schwytany na morzu bałtyckiem przez heretyckich marynarzy księcia Karola Sudermańskiego i za wiarę znieważony, po obcięciu rąk, został w worku wrzucony do morza 30 września 1598.

skiego życia aż do jego śmierci, w Grodnie 12 grud. 1586. Przechowały się po nim dwa ciekawe listy, pisane do Skargi. W pierwszym z nich, z Zawołocza 1 sierp. 1581, opisuje swoje poufne rozmowy z królem, jego staranność o zachowanie postów kościelnych, nawet w czasie wypraw i wrzawy wojennej; dalej jego troskliwość o obyczajność wśród wojska koronnego, dlatego nakazał swoim marszałkom wypędzać precz z obozu kobiety nierządnego życia; wreszcie wspomina o swojem apostołowaniu w obozie, w celu pozyskania różnowierców dla katolickiego kościoła, a między innymi sławnego kalwinisty, Hieronima Filipowskiego, starosty nurskiego, który później, pojednany z kościołem, zakończył życie w r. 1587. W drugim liście, z Ostrowa 21 sierp. 1581, kreśli z dokładnością historyka oblężenie i zdobycie tego warownego miasta, jego zamku w niedostępnem miejscu, dział, hakownic, oraz pozostałych pieniędzy, prochu armatniego i zapasów żywności, spisywanych skrzętnie zaraz po zdobyciu warowni przez Jacka Młodziejowskiego, podskarbiego nadwornego koronnego [1].

[1] Listy nr. 74, 76.

Ks. J. Sygański T. J.

Z NIEZNANYCH LISTÓW SKARGI.

W tych dniach opuści prasę dzieło: *Listy ks. Piotra Skargi z lat 1566—1610*, przez ks. Jana Sygańskiego T. J. Owe listy, pisywane przeważnie do generałów zakonu, czerpane z rozmaitych bibliotek krajowych i zagranicznych, a nieznane dotąd, rzucają pod względem treści duży snop światła na stan Kościoła w Polsce; na ruch reformacyjny, zwłaszcza na postacie Andrzeja Wolana, Szymona Budnego i Jana Łasickiego; na świetny okres panowania Stefana Batorego, na stosunki domowe książęcego rodu Radziwiłłów na Litwie; na niektóre ważniejsze epizody z życia Zygmunta III; na kulturę i obyczaje narodu, wreszcie na pracę zakonu Tow. Jez. i rozwój jego kollegiów ze szkołami w Koronie i na Litwie, w Inflantach i Siedmiogrodzie, których sprężyną poruszającą i duchem ożywiającym był właśnie Piotr Skarga. Pod względem zaś formy i stylu, listy te nie ustępują w niczem klasycznym pisarzom XVI. wieku, owszem jasnością i jędrnością językową, a barwnością opisów, przewyższają ich nawet pod wielu względami. Przebija się w nich cały duch Skargi.

W zbiorze tym, wynoszącym 20 arkuszy druku, mieści się listów własnoręcznych Skargi 101 (z dodatkami 106), inne pisane są jużto do niego, jużto zawierają o nim jakieś ważne szczegóły. Prawie wszystkie pochodzą z XVI. w.; od r. 1600—1610 posiadamy ich zaledwie 15. W Wilnie napisał ich 34, w Krakowie 27, w Pułtusku 11, w Rydze 7, inne w rozmaitych miastach. W języku polskim jest ich 12 z dodatkami 16), po włosku 8 (z dodatkiem 9), reszta po łacinie; ogółem wszystkich listów 142, a z dodatkowymi dokumentami sztuk 151. Wydawca tych listów podał w nagłówku każdego pojedynczego listu krótką jego reść. W licznych zaś notach dał objaśnienie o różnych osobach, a nierzadko i o rzeczach, mało komu znanych. Skorowidze szczegółowe, umieszczone na końcu, ułatwiają odszukanie miejscowości i osób, wymienionych w rozmaitych listach.

Oprócz wymienionych listów, drukuje się jeszcze osobna praca historyczna Ks. Sygańskiego: Działalność Piotra Skargi na tle jego listów. Tę jego działalność skreślił autor w 4 wielkich okresach. Pożegnanie kanonii lwowskiej i odjazd do nowicyatu rzymskiego, a potem po powrocie z Włoch jego początkowe prace w Kollegium pułtuskiem. Najdłużej, bo przez lat 11 przebywał w Wilnie na Litwie, ten też okres czasów wileńskich zawiera najwięcej szczegółów, tak o Skardze, jak i o Batorym. Zarząd domem u św. Barbary w Kra-

kowie, niemniej troskliwy jak w Wilnie, urozmaica w dalszym ciągu barwną mozaikę jego ruchliwego życia. Nakoniec *missio aulica*, czyli urząd kaznodziejski na dworze Zygmunta III. i na sejmach, „z których ani jednego nie opuścił, a wszystkie wymową swoją uświetnił". W dodatku załączono osobny rozdział: Grób i ikonografia Piotra Skargi. Dzieło to będzie ozdobione licznemi rycinami

Z korespondencyi Skargi przytaczamy kilka polskich listów:

Redakcya.

Generoso Domino Joanni Stefanowski, Sacrae Mtis Regiae Aulico, domino mihi colendissimo.

Łaskawy mnie Panie Stefanowski. Pax Christi.

Oddane są rzeczy kościelne z jednym kielichem do rąk J.M.X. Solikowskiego, o czem ja też wiem z tak daleka. O kielichy pozostałe w Wilnie i monstrancye piszę do ks. wicerektora, aby je odesłano, gdy będą gotowe, także i monstrancye. Mamy sam często posły z Wilna; może się to bez nakładu na posłańce sprawić. O innych rzeczach pisałem J.Mci P. Podskarbiemu; proszę zaleć W.Mść służby me J.Mci i modlitwy grzeszne, a proś W.Mść o respons.

Już nas sam ex Societate czterzy, a piąty w lada dzień będzie; mamy też chłopię do kuchenki i drugie dla dzwonienia. Nieradzibyśmy się in convictu mieszali z kapłany innymi dla chowania swej dyscypliny i reguły. Proś W.Mość J.Mości P. Podskarbiego, aby pisał do X. Solikowskiego, żebychmy mieli stół osobny, a inne kleryki osobno opatrywano. Dobrzeby (było), żeby J.Mość z Królem J.Mcią o tem rozmówił. Pieniądze posłane odebrał J.M.X. Solikowski. Za to staranie i łaskawe do mnie pisanie W.Mości barzo dziękuję i znam w tem łaskę W. Mości, której się pilnie zalecam. W Rydze 2 Iulii 1582.

Wasz Mości sługa duchowny

Petrus Scarga S. I.

Illustrissimo Principi Dno, Dno Nicolao Christophoro Radziwil, Duci in Olika et Neswiez, Comiti in Szidlowiec et Mir, Palatino Trocensi etc., Dno et benefactori observantissimo.

Illustrissime Princeps Domine, Dne Excellentissime.

Modlitwy moje pokornie do łaski Waszej Xiążęcej Mości zalecam. Wczora przez Wilno posłałem W. X. M. trochę w pisaniu polskim pracy mojej. Dziś przez tego posłańca prosił mię P. Burgrabia, abych jego żądaniu pomógł u W. X. M., żeby listem W. X. M. Ich Mość Panom exekutorom nieboszczyka ś. p. Kardynała zalecony był, i świadectwo miał zachowania swego w tym wysokiem domu W. X. M. W czym wiem, iż W. X. M. trudnym nie będzie, patrząc na słuszność rzeczy samej. Co P. Bóg W. X. M. płacić będzie. Pokornie się i nędzne służby moje łasce W. X. M. mego Miłościwego Pana oddaję. W Warszawie 26 Maja 1600.

Waszej Xiążęcej Mości najniższy sługa

X. Skarga S. I.

Illustrissimo Principi Domino, Dno Ioanni Zamoyski, Supremo Duci exercituum et Cancellario Regni, Dno mihi observandissimo.

Illustrissime Princeps, Domine mihi observandissime.

Miałem przez pana Łączyńskiego list Wasz Mości mego miłośc wego pana mnie wielce ucieszny, i poznałem po nim nie zasłużoną ku sobie łaskę W. M., za którą uniżenie i pokornie dziękuję. Bodaj się długo zdrowie W. M. łatało i trwało. Moje i mnie równych, jako po(spolite) i domowe, innych nie uwesela, ale W. M. wsz(ystkich) ochłodą i dobrego pospolitego podporą z ł(aski Bożej) zostaje. Naruszenie tego zdrowia W. M. (na posługach) pospolitych, brać się ma za męczeństwo i wiel(ką) u P. Boga wysługę. Znaczna się pokazała łaska Boża nad tym królestwem i nami wszystkiemi, iż nam w tak nieznośnej nędzy onej inflanckiej zdrowia W. M. dochował, na którym wszystko dobre nasze zawisło. Przymnażajże go P. Bóg, a jako słońce niech nam wszystkim św(ieci) i nadzieją o zatrzymaniu tej Rzeczypospolitej polskiej zagrzew(ać raczy). Troskanie o nasze nieporządki na (sejmie) wszyscy mamy spólne, ale W. M. ma

większe, który goręcej Ojczyznę miłujesz, i głębiej i ostrzej w jej potrzeby i niedostatki patrzysz. Proszę nawyższego Ojca miłosierdzia i (Boga) wszystkich pociech, aby nas do końca (nie opu)szczał i nie zasmucał. O uspokojenie żołnierstwa troskliwie myśli, jako zrozumiewam, Król Jego Mość, ale ręki i pomocy W. M. potrzebuje. Nie oddalaj W. M. do końca posługi swej P. Bogu, Królowi Jego Mości i Ojczyźnie złotej miłej, aby się..., z nimi (tru)dności znieść mogły. P. Bóg staraniu z miłości ku dobru pospolitemu i nam wszystkim pochodzącemu da błogosławieństwo, ut opus manuum tuarum dirigat ad gloriam sui sanctissimi nominis. Modlitwy moje grzeszne pokornie do łaski W. M. oddaję, któremu już tylko służyć ludziom, (daj) Boże, aby z wysłuchaniem, mogę. Starość mnie już przemaga, o dworskich i idących sprawach ledwie co wiedzieć mogę, radbych się na filozofią meditandae mortis gdzie głęboko skrył. Obedientia jeszcze mię trzyma, od Króla Jego Mości wyprosić (się trudno). Niegodne służby moje zalecam (uniżenie) W. M. memu miłościwemu Panu. Dat w Kr(akowie) 10 Iunii 1603.

Vestrae Illustrissimae Dnis servus indignus.

Petrus Scarga S. I.

Reverendo Domino Andreae Barski Custodi Varsoviensi, Domino mihi observando.

Admodum Reverende Domine mihi observande. P. C.

Oddane są flor. 40 X. Moraczewskiemu, sam niech Wasz Mości pisze. X. Dobrodzeskiego wziął nam P. Bóg intra octo dies febri, omnium nostrum dolore. Był multarum virtutum, Kościołowi św. i Biskupom pożyteczny. Jam mu służył i w niemocy i po śmierci. Det illi Dominus pacem et regnum.

Miałem list od Bractwa, z strony onego censum P. Burgrabiego, źle sprawiono bracią, aby zapis nie był warowny. Nie dojrzeli zapisu, iż jest na jego dziedzicznych dobrach na Trzcieńcu. Wróci summam principalem w krótkiem czasie, obmyślajcie W. M., jakoby ją najlepiej na pożytek ubogich obrócić. Z Jego Mością Panem Podkomorzym rad mówić o W. M. będę.

Barzoć mi żal W. M. A snać i w ono imienie od Królowej wjachano. Takie czasy. Dziękować P. Bogu in patientia, a jednak sprawiedliwości nie zaniechać. Łasce się W. M. et sanctis orationibus et sacrificiis zalecam. W Krakowie 9 Februarii 1608.

Vestrae Reverendae Dominatonis servus

Petrus Scarga S. I.

Illustrissimo Domino, Dno Carolo Chodkiewicz Capitaneo Samogitiae, Supremo Duci exercitus M. D. L., Dno mihi observandissimo.

Illustrissime Domine, Dne mihi observandissime. P. C.

W tej radości, którą nam P. Bóg przez Wasz Mość posłał, z kapłańskiego i życzliwego serca nie miałbych innej przyczyny pisania do W. M. jedno upomnienie, aby W. M. był pokorny, a P. Bogu zastępów zwycięstwo to jako inne oddawał. Ale iż znam W. M. nabożeństwo ku wszem władnącemu Panu nieba i ziemie, a słysząc o pokorze ku niemu, nie upominam, ale W. M. wielce dziękuję, iż w takiem cudownem szczęściu, nie siebie, któryś na nie pracował i zdrowie kładł, ale cudotwórcę i obrońcę swego podwyższasz, i tak ma być i tak z Dawidem mówić: Benedictus Dominus Deus meus, qui ducit manus meas ad proelium et digitos meos ad bellum. Najdzie P. Bóg obyczaje, jako W. M. ręką swoją podwyższy, iż za kościół św. jego przeciw heretykom, za ojczyznę, i za Króla Jego Mości i sławę korony wszystkiej, o takie się wysokie i trudne prace kusisz, i za pomocą Boską one wykonywasz, corde magno et animo volenti. Radości też serca mego, którą mam z W. M., zataiciem nie mógł. Błogosław cię P. Bóg i dom twój na wieki. Pokornie się do łaski W. M. i moje nalichsze modlitwy zalecam. W Wilnie 20 Octobris 1609.

Wasz Mości mego Miłościwego Pana naniższy bogomodlca

X. *Skarga S. I.*

Z powodu pewnego poglądu na rocznicę Skargi.

Skarga żyje w naszem pokoleniu i to jest tego pokolenia chlubą. Na pierwszą myśl o zbliżającej się rocznicy Skargi zawiązały się po miastach większych komitety, liczny zastęp uczonych zasiadł do prac naukowych o Skardze, szereg pism poświęcił już Skardze swoje zeszyty i łamy. Bez żadnych agitacyi i wbrew wszelkim przeszkodom, rocznica Skargi będzie obchodzoną w Polsce całej i będzie obchodzoną jako święto polskie pierwszego rzędu. Czuć w tym ruchu entuzyazm i siłę żywiołową.

W każdym ogólnym ruchu narodowym czy społecznym, czy jakimkolwiek innym znaleść się muszą jednostki czy grupki jednostek, które w imię tego czy innego hasła oddzielają się od całości i pozostają na boku. Tak i teraz. Socyaliści założyli już protest w swoim kalendarzu robotniczym a „Krytyka“ z pewnem zakłopotaniem mówi o stęchliźnie grobów. Czy poza tymi i poza „Prawdą“ warszawską znajdą się jeszcze inne luźne grupki, niewiadomo; w każdym razie nie jest to sprawa obchodu, który będzie i który będzie obchodem całego narodu, tylko sprawą tych grup. Wyjątki nie zmieniają reguły.

Już tym punktem wyjścia różnimy się od poglądu profesora Ignacego Chrzanowskiego, który w Kuryerze warszawskim zabrał głos w tej sprawie, w artykule zatytułowanym: „Pod jakim warunkiem jubileusz Skargi może być obchodem ogólno-narodowym?“

Prof. Chrzanowski, znany wielbiciel Skargi, chciałby skłonić wszystkich do obchodu jubileuszu. „Jest to naszym obowiązkiem narodowym“ pisze pod koniec swoich wywodów.

Przyczyny, dla których obchód winien być ogólno-narodowym, podaje szanowny autor z tak gorącem odczuciem znaczenia Skargi, że warto je przytoczyć w całości.

„Skarga wart kultu, bo w jego życiu i działaluości są wartości nieprzemijające, zarówno ogólno-narodowe, jak ogólno-ludzkie.

Wartością ogólno-ludzką jest w nim — człowiek, czysty jak łza, pełny miłości człowieka, miłości chrześcijańskiej, szlachetny działacz społeczny, założyciel banków pobożnych i bractw miłosierdzia, pocieszyciel ubogich, orędownik uciśnionych „robaczków ziemskich", nad których niedolą bolał tak gorzko, jak nikt w Polsce przed Staszycem.

A wartością ogólno narodową jest w nim przedewszystkiem — polak, kochający ojczyznę całą siłą swego szlachetnego i gorącego serca, jeden z największych patrjotów, jakich przez wieki swego istnienia wydała Polska, i największy jej kaznodzieja narodowy wszystkich wieków, który z bezprzykładną odwagą piętnował prywatę szlachty i „złodziejskie serca" magnatów, który zaklinał naród do ratunku i naprawy Rzeczypospolitej, który go uczył kochać ją, jako „matkę najmilszą": „Kazania sejmowe" to nietylko arcydzieło wymowy, jedno z największych w literaturze całego świata, to także jedno z największych na świecie arcydzieł literatury patryotycznej, najsilniejszy w niepodległej Polsce— przed Staszycem — głos, nawołujący do ratowania ojczyzny.

I wreszcie wartością ogólno-narodową w Skardze jest — jego język, który stanowi wspaniałą koronę długoletniej pracy naszych pisarzów zygmuntowskich nad wyrobieniem mowy ojczystej, a który do dziś dnia jeszcze — pomimo wielkich pisarzów XIX wieku — jest, jeżeli się nie mylimy, jako klasyczne zespolenie obrazowości i wogóle i poezji z prostotą i jasnością, nieprześcignięty i wogóle nieprześcigniony.

Za to wszystko — jak nie kochać, jak nie czcić Skargi? jak nie obchodzić trzechsetnej rocznicy jego śmierci? — zwłaszcza jeżeli się nad tem wszystkiem unosi jeszcze — mniejsza o to, zasłużona, czy niezasłużona — aureola natchnionego, jasnowidzącego proroka wszystkich naszych nieszczęść narodowych: jeżeli się oczom i sercom naszym przedstawia Skarga takim, jakim go nam objawił genjusz Matejki: z twarzą, na której, obok natchnienia i jasnowidzenia, widnieje rozpacz patrjotyczna, z rękami wzniesionemi w górę — w świętem oburzeniu, ze straszliwym okrzykiem na ustach: „Cóż mam z tobą czynić nieszczęśliwe królestwo!", z wichrem Bożym w siwych włosach!

Nie można piękniej i cieplej pisać o Skardze — i to świadczy aż nadto o dobrej woli i wierze autora.

P. Chrzanowski stawia jednak pewne warunki obchodowi Skargi. Wyszedłszy z założenia, że w obchodzie powinien brać udział każdy Polak, rozróżnia w Skardze wartości, zdaniem jego, różnorodne: jedne przemijające inne trwałe, jedne ujemne drugie dodatnie, jedne cenione dziś już tylko przez niektórych inne takie, które cenić może każdy nieuprzedzony. Oczywiście, że z rozumowania takiego płynie wniosek, że należy jako ideę naczelną obchodu podnieść tylko te wartości Skargi, które są trwałe, dodatnie, a nadto i przedewszystkiem takie, które cenione być mogą przez każdego nieuprzedzonego.

Dziwilibyśmy się bardzo, gdyby przy wyciąganiu tego wniosku nie nasunęły się szan. autorowi wątpliwości, co do naczelnej racyi pisania swego artykułu. Bo, jeżeli sam już uwzględnia tych, którzy

z uprzedzenia nie wezmą udziału w obchodzie, to temsamem rezygnuje z uniwersalnego udziału wszystkich. Liczba zaś tych, na których autor anatematem „uprzedzenia" wymusi udział w tym obchodzie, tak minimalnie zmniejszy szeregi tych grup, co do których z góry zrezygnowało się, że istotnej różnicy, co do uniwersalności obchodu, między kombinacyą prof. Chrzanowskiego a kombinacyą przeciwną nie widzimy. Upada też temsamem podstawa faktyczna postulatu autora.

A postulat ten jest bardzo dziwny, tak dziwny, że w zasadzie przekreśla cały pietyzm dla Skargi, który powyżej widzieliśmy. Ni mniej, ni więcej, tyle tylko żąda, by na czas jubileuszu schować katolicyzm Skargi. I to żądanie ma autor odwagę stawiać całej Polsce, która jest katolicką, w imię tych kilku niewierzących grup, których chce dla jubileuszu Skargi pozyskać!

Lecz idźmy krok za krokiem. Asumpt do zajęcia takiego stanowiska dały szan. autorowi dotychczasowe enuncyacye w sprawie jubileuszu Skargi, w których zaznaczone było katolickie stanowisko Skargi. Niech zresztą autor sam mówi:

Na samo czoło tych wartości wysuwają niektórzy działalność Skargi jako szermierza katolicyzmu, tę stronę jego działalności poczytują mu za największą chwałę i zasługę nietylko wobec Kościoła, ale i wobec narodu; całe życie Skargi, mówią, to nadewszystko afirmacja katolicyzmu, to stwierdzenie tej „prawdy", że niema polskości bez katolicyzmu; i za to właśnie powinniśmy go czcić, powinniśmy uczcić jego pamięć w trzechsetną rocznicę jego zgonu.

Jakżeż szan. autor uzasadnia niepoprawność takiego stanowiska?

Takie stanowisko nie sprzyja bynajmniej temu, aby jubileusz Skargi miał charakter uroczystości ogólno-narodowej. Skarga był szermierzem katolicyzmu, jednym z najgorliwszych, najdzielniejszych, jakich wydała w Polsce XVI wieku reakcja katolicka; to prawda, ale czy jego działalność na tem polu dobre wydała owoce! Unia brzeska, która stanęła przy znacznym jego współudziale, to owoc dobry, to wielki czyn nietylko kościelno polityczny, ale i narodowo-kulturalny; a że po części nie umiano, po części zaś nie chciano wyciągnąć z niego pożytku dla Polski, to już nie Skargi wina. Ale walka z protestantyzmem, w której Skarga, jako jezuita, upatrywał jedno z najgłówniejszych zadań swego życia, którą też prowadził niezmordowanie do ostatniego tchnienia— ten czyn Skargi jest pozycją stanowczo i bezwarunkowo ujemną w bilansie jego działalności, nie stanowiącą bynajmniej tytułu naszej czci dla niego. Działał on zawsze w dobrej wierze, był jaknajgłębiej, jaknajświęciej przekonany, że innowierstwo jest bluźnierstwem wobec Boga i zbrodnią wobec państwa, i dlatego je zwalczał; był fanatykiem i nietoleranten, bo niefanatykiem i tolerantem być nie mógł; jego fanatyzm i nietolerancya były — w jego zawodzie

i w jego zakonie — „koniecznością dziejową"; więc kamieniem potępienia rzuci w Skargę ten tylko, kto nie rozumie ducha historyi: tak, ale nie rzucać na kogoś za jego czyny kamieniem potępienia, a wielbić go za nie — to dwie rzeczy zupełnie różne! Z dzisiejszego stanowiska fanatyzm wyznaniowy i nietolerancja religijna — to nieszczęście, to przekleństwo, to plama na dziejach ludzkości. I powiedzieć sobie trzeba jasno i otwarcie, że od tej plamy i Skarga nie jest wolny. Wespół z całym zakonem jezuitów ponosi odpowiedzialność za wszystkie okropne skutki nietolerancji, — za pogwałcenie tolerancyjnej konfederacji warszawskiej, za zerwany Sejm r. 1606, za wygnanie arjan — aż do hańby toruńskiej i sprawy dysydenckiej w XVIII wieku! Czy za to wszystko mamy czcić Skargę? Ci, którzy każą nam wielbić w nim nadewszystko szermierza katolicyzmu, wyświadczają jego pamięci niedźwiedzią przysługę, co więcej, wręcz uniemożliwiają — wbrew własnej intencji — już nietylko ogólnonarodowy charakter kultu Skargi, ale i sam kult: bo fanatyzm, bo nietolerancja religijna nie mogą i nie powinny być przedmiotem kultu.

Pozwolimy sobie do wywodów szan. autora dodać kilka słów komentarza.

Najpierw szan. autor nie dowiódł wcale swego założenia, tego mianowicie, że katolicyzm Skargi jest wartością ujemną. Przypuściwszy nawet — do czego zaraz wrócimy — że Skarga był fanatykiem i nietolerantem, to byłby fanatykiem i nietolerantem tylko w pewnych wypadkach, po za którymi pozostaje jeszcze całe życie działalności jego katolickiej oddanej usłudze ojczyzny i bliźnich. Sam autor podnosi w Skardze jako wartość ogólno-ludzką, że był czysty jak łza, pełen miłości chrześciańskiej, szlachetny działacz społeczny, założyciel banków pobożnych i bractw miłosierdzia, pocieszyciel ubogich i orędownik „robaczków ziemskich". Czyżby autor, przez jakieś dziwne pomieszanie pojęć, chciał rozkawałkować Skargę tak, że powyższe przymioty stanowiłyby Skargę - człowieka, a Skarga katolik byłby tylko zlepkiem fanatyzmu i nietolerancyi? Pojęcie takie świadczyłoby, że autor nie ma właściwego sądu o katolicyzmie i sprzeciwiałoby się tak naturze rzeczy, jak i świadectwu samego Skargi, który tylokrotnie jako niezbędną podstawę wszelkiej zbożnej działalności mianuje katolicką wiarę — „Korzeń Chrystus" i „fundament katolickiej wiary".

A już to, co mówi p. Chrzanowski o Skardze, jako o Polaku, że jest jednym z największych patryotów polskich, że jest największym kaznodzieją narodowym, że jest najsilniejszym głosem nawołującym do ratowania ojczyzny — to przecież Skarga sam jak najsilniej jednoczy z katolicyzmem. Przecież naczelną dewizą Skargi są te jego słowa: „upominałem, aby obie matki swoje, Kościół Boży

i Ojczyznę, w jednym końcu złączone wiernie i uprzejmie miłowali". Czyż w tej idei nie tkwi Skarga cały, a jeżeli tak, to czyż nie należało wysunąć tej idei na czoło rocznicy? A Kazania sejmowe, które tak niezwykle objaśnia prof. Chrzanowski, czyż nie mają swego odrębnego skargowskiego znamienia w tem, że Skarga pierwszy u nas podciąga sprawy polityczne pod trybunał religii i łączy nierozdzielnie losy ojczyzny z fundamentem Kościoła katolickiego?

To jedno. Poza tą działalnością poświęcał się Skarga obronie i szerzeniu katolickiej wiary, walce z dyssydentami słowem i pismem. Szan. autor przyznaje sam, że Skarga czynił to z przekonania, że uważał, iż „innowierstwo jest bluźnierstwem wobec Boga i zbrodnią wobec państwa i dlatego je zwalczał". Określenie to poprawilibyśmy tylko o tyle, iż są ustępy w dziełach Skargi, z których jest widoczne, że Skarga uznawał, iż jeżeli ktoś wyznaje inną wiarę w dobrej wierze, nie popełnia bluźnierstwa wobec Boga. A nawet pośrednio możnaby ze słów Skargi wywnioskować, iż dobrze zrozumiał, że, jeżeli innowiercy są spokojni i nie wnoszą anarchii społecznej, jak to, niestety, często czynili ówcześni dyssydenci, nie popełniają żadnej zbrodni wobec państwa. Co o takiem określeniu, uzupełnionem powyższemi poprawkami, sądzi szan. autor niewiem — wiem jednak, że określenie takie podpisze cała dzisiejsza katolicka Polska, a podpisawszy to, potrafi z zarzutu fanatyzmu wyjść zupełnie obronną ręką.

Skąd wziął szan. autor swoje pojęcie fanatyzmu, trudno odgadnąć — to jasne, że źle je stosuje. Siła jakiegokolwiek głębokiego przekonania, religijnego czy naukowego, czy jakiegokolwiek innego, musi zawładnąć całym człowiekiem i musi dążyć do rozszerzenia się i udzielania się innym, — będzie odpierała i zwalczała przeciwne przekonania, będzie usiłowała przekonać o swojej słuszności wszystkich i wszystkich uczynić swoimi zwolennikami. To jest prawo natury. Im ktoś ma przekonania głębsze i silniejsze, tem jest wybitniejszym człowiekiem — brak takich przekonań stanowi ludzi miernych i małych. Skarga nie byłby Skargą, gdyby takiej siły przekonań nie miał — a już bynajmniej nie byłby się zdobył na kazania sejmowe. Sam w jednem miejscu tak się o braku tej siły przekonań katolickich wyraża: „Najszkodliwsi są katolicy bojaźliwi, małego serca, którzy gniewem się sprawiedliwym i świętym ku obronie czci Boga swego nie zapalają a zelum nie mają i jako straszydła na wróble stoją".

Tą siłą przekonań na różnych polach i tymi właściwościami tej siły stoi całe państwo ideowe ludzkości i gdyby kiedyś tej siły zabraknąć miało, nastąpiłoby całkowite ogłupienie rodzaju ludzkiego. Nie sama więc siła przekonań i nie szerzenie tych przekonań i nie walka o te przekonania jest fanatyzmem. Fanatyzm określa tylko sposób i rodzaj zwyrodnienia tej siły przekonania i jej przejawów. Fanatyzm, wedle swego ogólnie przyjętego znaczenia, jest jakimś niezdrowym, podnieconym stanem duszy, przejętej fałszywem lub przesadnem przekonaniem, przejawiającem się w swojej propagandzie zazwyczaj czynami gwałtownymi. Istotnym, psychologicznym objawem każdego fanatyka jest to, że ciasną głowę a zwykle i ciasne serce owłada jakaś idea, na ślepo i gorąco uchwycona i stąd domagająca się bezwzględnego swego panowania, owłada zaś tak, że rozum traci wszelką swą siłę i ustępuje pierwszeństwa ciemnym popędom i rozigranej wyobraźni. Wypływa stąd bezpośrednio, że jest psychologiczną niemożliwością, by człowiek o wielkim rozumie i wielkim sercu mógł być fanatykiem.

Takiej odrażającej profanacyi Skargi, jaka płynie z powyższego określenia fanatyzmu, prof. Chrzanowski nie mógł żadną miarą chcieć się dopuścić. Jakkolwiek jednak fanatyzm swój pojmował, pewne cechy powyższego określenia właściwe mu być muszą, a te już wystarczą, ażeby między idealną koncepcyą o Skardze, jaką chce mieć prof. Chrzanowski — zwłaszcza jako o człowieku wielkiego rozumu i serca — a pojęciem fanatyka, zapanowała sprzeczność, nie dająca się pogodzić.

Jeżeli zaś przejdziemy od znaczenia siły przekonań, w ogóle, do siły przekonań katolickich, sprawa przedstawia się nam jeszcze w jaśniejszym świetle. Siła przekonań katolickich powstaje stąd, że z przekonaniem o najwyższej prawdzie łączy się wzgląd na najwyższy cel człowieka i ludzkości. Skarga szerząc z gorliwością apostolską katolicyzm a zwalczając innowierstwo, miał w duszy i najgłębsze umiłowanie katolickiej prawdy i żal za jej deptanie, miał na oku zastawianie się o cześć Boga i skarbienie sobie u Boga zasług, miał na celu zbawienie dusz, szczęście ich doczesne i wieczne — a patrząc głębiej, widział, że i w ogóle i w szczególności, przy szczególnych znamionach charakteru polskiego, i pomyślność Polski zależną jest od fundamentu żywej katolickiej wiary. Co tu w tym poglądzie nazwać można fanatyzmem? Może być, że ktoś nierozumiejący katolicyzmu nie będzie uznawał słuszności tego

stanowiska, ale ten, jeżeli chce wydawać o tem sąd publiczny, powinien przedtem katolicyzm poznać i zrozumieć — inaczej, łatwo narazić się może na zarzut antykatolickiego fanatyzmu. W każdym zaś razie, powinien odczuwać cześć dla idealizmu i bezinteresowności takiego stanowiska.

Wchodząc bliżej w szczegóły walki Skargi z innowierstwem, stwierdźmy najpierw, że Skarga poza walką ideową, słowem i piórem, nie wychodził. Dla zrozumienia tej walki ideowej, stwierdźmy dalej, że dyssydenci to nie była societas clausa jak dzisiaj, pewna odgraniczona ilość ludzi, która w ścianach swego zboru pełni spokojnie swoje obowiązki religijne. Dyssydenci, to było kilkadziesiąt sekt, które rzuciły się na katolicyzm i odrywały mu wyznawców — to była walka, walka namiętna, posuwająca się niejednokrotnie do gwałtów. Była i z strony katolickiej na gwałty te odpowiedź, ale jaka? P. Chrzanowski nie posądzi chyba kolegę swego, p. Sobieskiego o fanatyzm katolicki w pracy p. t. „Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III". Otóż z pracy tej, wcale nie życzliwej katolicyzmowi, wynika pewnik historyczny ten: Nikt nie podniecał tłumów katolickich do wybryków, ani z królewskiego dworu, ani z pośród wyższego duchowieństwa; przeciwnie są dowody niezbite, że dostojnicy świeccy i duchowni brali energicznie w obronę protestantów. Pomimo to, tumulty wybuchały z żywiołową siłą i nikt nie zdołał tego prądu powstrzymać. Sprawę reformacyi roztrzygnął w Polsce lud prosty, stojąc twardo przy katolickim Kościele, przejęty nienawiścią do protestantyzmu. Rząd trzymał się zasady, że „wiara niema być z przymusu". Jan Zamoyski, przyjaciel Skargi, który za życia Skargi, nawą państwową kierował, tak się wyraża do innowierców: „Kiedyby to mogło być, abyście wszyscy byli papieżnikami, dałbym za to połowicę zdrowia mojego, żebym drugą połowicą żyjąc cieszył się z tej świętej jedności; ale, jeżeli wam kto gwałt będzie czynił, dam wszystko zdrowie przy was, abym na tę niewolę nie patrzył". Oto główny rezultat pracy p. Sobieskiego. Animozyę tłumów radby p. Sobieski połączyć z wpływami Jezuitów, sam jednak podkreślać musi nieobecność Jezuitów w pewnych faktach, w innych nawet protest Jezitów przeciw podobnym insynuacyom. Tak się przedstawia faktyczna strona rzeczy; że i tu ówdzie zdarzały się objawy, poza tę granicę wychodzące, rzecz w takiej walce, jak ówczesna walka rekilgijna, jest sama przez się oczywista.

Na tle tych walk i tamtoczesnych pojęć wychodzi Skarga, jako szermierz katolicyzmu tak jasno, że sąd o takim sposobie traktowania sprawy, jak to czyni prof. Chrzanowski pozostawiamy spokojnie czytelnikom. W kazaniach i pismach traktuje nieraz dyssydentów, jako ludzi złej wiary i złej woli, jako ludzi z natury złych i „leśnych", ale z całości pism jest oczywiste, że widzi między nimi i ludzi dobrej wiary i dobrej woli i ludzi dobrych; uogólnienia ujemne są tylko retorycznym zwrotem kaznodziei i polemisty, wypowiedzianym albo w chwili uniesienia, albo celem uplastycznienia argumentacyi, albo wreszcie z prostej oszczędności słów, ażeby ciągłemi zastrzeżeniami nie obciążać pochodu myśli. Jakąś trudność nasunąćby mogło posługiwanie się Skargi w pismach zasadą „brachii saecularis", ale tylko temu, kto nie rozumie podstaw tej zasady, względnej do stosunków społecznych i politycznych, i nie wmyślił się w stosunki tamtych czasów. Zdania, w których Skarga, w imię tej zasady, żąda kar na odszczepieńców, w których sprzeciwia się konfederacyi warszawskiej, brzmią dla dzisiejszych uszu twardo, ale dla zrozumienia ducha Skargi, dla zoryentowania się, czy tkwił w nim fanatyzm, trzeba zestawić zdania inne. Tego domaga się najprostsza metoda naukowa. Zarzut jakiegoś fanatyzmu miałby pozory słuszności wtenczas, gdyby Skarga względną zasadę „brachii saecularis" chciał bezwzględnie stosować także wtedy, kiedy rozum dostatecznie wskazywał, że zmienione przez wzrost ruchu dyssydenckiego stosunki społeczne nakazują stosować inną miarę. Aż po tę chwilę był Skarga tylko echem ogólnej zasady; od tej dopiero chwili dostatecznej oryentacyi rozumu zaczyna się to, co decyduje o człowieku. I tu właśnie zmianę w Skardze widzimy. Dowodów na to wiele. I tak, naprzykład, po zburzeniu przez motłoch protestanckiego zboru w Krakowie, tak zwanego Brogu, pisze Skarga broszurę, w której tak się do dyssydentów odzywa: „Polak z Polaki, brat z braty, krew ze krwią, sąsiad ze sąsiady ku dobremu rozmawiam" — i dalej pisze: „Prawda, iż złe heretyctwo, ale ludzie dobrzy; złe błędy ale natury chwalebne, złe odszczepieństwo ale krew miła". Gdzieindziej pisze: „konfederacya zła ale sąsiedzka (domowa) wojna gorsza, w której zła przegrana, zła wygrana i zamieszanie rzeczy Boskich i ludzkich i upadek królestwa następuje". W temsamem „Upominaniu do ewangelików" czytamy takie zdanie: „Ludzkość, miłość, cierpliwość i baczenie dobra Kościoła świętego katolickiego i dzieci jego nie dopuści tego, aby co o wojnie z sąsiady i bracią miłą myśleli, aby się do tak ostrych i przy-

krych do ich nawrócenia środków uciekać mieli". Albo w innem miejscu: „Nie daj Boże któremu katolikowi o tem myślić; wiedzą, iż kąkol zły ale plewidło gorsze..., wiedzą, że złe heretyctwa ale sąsiedzi i bracia dobrzy, z którymi się w jednej ojczyźnie powiązała miłość". Więc w końcu odrzuca Skarga wszelkie gwałcenie przekonań religijnych, bo „zniewolenie trwałości niema" i zwraca się do duchowieństwa katolickiego z następującem wezwaniem: „Miłujcie dusze ludzkie i krew Chrystusową dla nich przelaną, a niedługo heretyki pokonamy p r a w d ą, p i s m e m, k a z a n i e m, d y s p u t a c y ą, p r z y k ł a d y, m i ł o ś c i ą k u n i m — m o d l i t w ą z a n i e i g ę s t e m i u ś w i ę t y c h o ł t a r z ó w o f i a r a m i".

Te przytoczenia tyle mówią, że ani słowa nie potrzebujemy od siebie dodawać.

Zarzuca jeszcze prof. Chrzanowski, że Skarga zerwał sejm 1606 r. Zarzut ten wywołał już w radykalnych sferach warszawskich istną orgię paroksyzmów, skierowanych przeciw Skardze i katolicyzmowi. „Prawda", „Kuryer Poranny", p. Iza Moszczeńska et consortes rozpalają się, w ostatnich numerach dzienników ,ogniem oburzenia na tego, który potępiał zrywanie sejmów a sam był ojcem anarchii, stopniują wyrazy, uczucia i obrazy do tego stopnia, że Skarga zaczyna się przedstawiać, jako twórca „liberum veto" w Polsce, a owa noc, w której Skarga na rozkaz Zygmunta III studyuje nowy projekt wyznaniowy przed zapadnięciem nazajutrz uchwały i odnajduje w nim fałsz, owa noc, otrzymuje intrygującą nazwę „nocy Jezuitów", i urasta noc ta na szpaltach pism warszawskich do jakiejś tragicznej okropności, niemniejszej w każdym razie od nocy świętego Bartłomieja.

Niewiem, czy zdarzyło się już w dziejach umysłowości ludzkiej równie humorystycznie zjawisko, jak to, że jakaś grupa ludzi, opiera się na podstawie domniemanego faktu i wpada z tego powodu w stan patetyczny, — w tem nagle podstawa faktu się usuwa i cała grupa zawisa w próżni, jak owa średniowieczna „chimaera gyrans in vacuo". Chimera jednak obecna warszawska jest śmieszniejsza iod średniowiecznej tem, że zawisa w próżni z patetycznym gestem.

Otóż nietylko, że Skarga nie zerwał sejmu 1606 r., ale stwierdzić należy, że są dowody, iż sejmu 1606 r. zerwanym nazwać nie można.

Fantastycznego tego pomysłu ze zerwaniem sejmu przez Skargę dopuścił się p. Chrzanowski w ten sposób, że, jak to mu się już i kiedyindziej zdarzało, zbyt łatwowiernie poszedł na lep nowej hipotezy. W tym wypadku nieopatrznie uwierzył p. Sobieskiemu, który w książce

„Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III", z dziwną lekkomyślnością skonstruował powyższy wynalazek swej ognistej, anty-jezuickiej wyobraźni. . .

Historykiem nie jestem i być nie zamierzam, ale z prostej ciekawości zacząłem się rozglądać i w źródłach p. Sobieskiego i w innych danych, zebrawszy zaś pewien szereg spostrzeżeń zapewniłem się co do ich słuszności u zawodowych historyków. Ponieważ jeden z historyków nad tą dobą właśnie obecnie pracuje i, niezależnie odemnie, miał szereg własnych spostrzeżeń, uprosiłem go, ażeby sprawie tego sejmu poświęcił osobne studyum, które pojawi się już może w drugim zeszycie skargowskim Przeglądu powszechnego, w miesiącu wrześniu. Zdejmuje to ze mnie obowiązek szerszych wywodów, które w niniejszym publicystycznym artykule nie byłyby na miejscu, i pozwala w kilku krótkich uwagach sprawę załatwić.

Zerwanie sejmu jest pojęciem prawniczem i jako takie ma pewne prawnicze znamiona. Otóż, jeżeli sejmowi 1606 r. tych znamion brak, nie można mówić o jego zerwaniu.

Najpierw co do czasu trwania. Sejm 1606 r. rozpoczął się we wtorek 7 marca i skończył się we wtorek 18 kwietnia, trwał więc równo sześć niedziel, a więc cały czas, na jaki prawo polskie pozwalało. W ostatniej chwili sejmu, posłowie umiarkowańsi wpływają na dyssydentów, aby swój projekt wyznaniowy złagodzili, bo taki wygórowany projekt nie da się przeprowadzić „w kilka godzin", które do zamknięcia sejmu pozostają.

Powtóre, po sejmie tym trwającym cały przepisany czas, pozostaje uchwała poboru. Niema wprawdzie o tem wzmianki w niedokładnych „Volumina legum", ale istnieje drukowany uniwersał „Uniwersał poborowy uchwalony na sejmie warszawskim, 1606"[1]). Jak zaś zapewnia współczesny kronikarz, pobór ten, wbrew oczekiwaniu, był uchwalony przez wszystkich posłów — „contributio, quae erat, praeter opinionem, omnium consensu decreta"[2]).

Otóż, sejm, który trwa cały przewidziany prawem czas i pozostawia po sobie uchwałę poborową, żadną miarą nie może być nazwany sejmem zerwanym. To sprzeciwia się określeniu zerwania sejmu.

Był to sejm burzliwy, jak burzliwym był sejm 1603 r., który również tylko uchwałą poborową się zakończył, a przez nikogo nie

[1]) Arch. Kraj. Castr. Sand. 110 p. 1395/1418.
[2]) Script. rer. pol. T. 10. 129.

bywa nazywany zerwanym. Mglistość, otaczająca sejm 1606 r. ideą zerwania, pochodzi stąd, że 9 dni przed końcem tego sejmu rozpoczął się pierwszy akt rokoszu Zebrzydowskiego, zjazd w Stężycy, który silnie oddziaływał na atmosferę posłów w Warszawie, zwłaszcza na zwolenników Zebrzydowskiego. Zjazd w Stężycy dodawał opozycyi szczególniejszej animozyi, pozwalał na groźby zerwania sejmu; raz po razu też pojedyńczy posłowie jechali do Stężycy, opuszczając sejm, czasem wśród awantur, jak Radziwiłł. Zresztą nie do nas należy godzenie sprzeczności. Jakkolwiek rzeczy się mają, cokolwiek sądzić trzeba o przekonaniach, co do zerwania sejmu, lub o relacyach co do uchwały poboru tylko przez część posłów — dla nas wystarcza stwierdzić, że w każdym razie, sprawa stoi tak iż faktycznie rzeczy biorąc, sejmu tego ściśle zerwanym nazwać nie można.

W ten sposób, gdyby powyższy wywód z innych stron jeszcze ukazał się uzasadniony, byłby przecięty węzeł wywodów p. Sobieskiego. Dla naszej jednak sprawy, radykalny ten środek nie jest niezbędny; do powyższego wywodu nie przywiązujemy wagi. Dla odparcia infamii od Skargi, potrzebowalibymy tylko zachować ostatnią część powyższego wywodu, to mianowicie, co da się całym szeregiem innych dowodów stwierdzić, że nad sejmem 1606 r. nie dominował projekt wyznaniowy, ale duch rokoszu Zebrzydowskiego i animozyi politycznej do króla — potrzebnem jest także z powyższego wywodu to psychologiczne odczucie chwili, które zaciemnia p. Sobieski, że koniec tego sejmu wcale nie jest rozcięty grozą sytuacyi wyznaniowej i piorunem nagłego zerwania. P. Sobieski pisząc swoją książkę o ruchu wyznaniowym, zasuggestyonowany naczelną ideą swojej książki, nadaje tak wybitne znamię projektowi wyznaniowemu o tumultach, jakgdyby ten był osią ówczesnego położenia politycznego. W tej autosuggestyi natrafia na zapiskę kronikarską Wielewickiego, z której jasno wynika, że pewien wpływ na ten projekt miał Skarga, któremu król w nocy, przed zamknięciem sejmu przysłał projekt do przeglądnięcia, czy nie zawiera czegoś, coby się sprzeciwiało sumieniu katolickiemu. Skarga znalazł pewne szczegóły, na które sumienie katolickie pozwolić nie mogło, bo nie chodziło tylko w tym projekcie o zapewnienie pokoju dyssydentom, który już w znacznej mierze poprzednimi ustawami zapewniony mieli, ale jak dodaje kronikarz, chodziło także o obligacyę katolików „ad eos in haeresi defendendos". Na drugi dzień przedstawił Skarga swoje zarzuty posłom duchownym i niektórym ziemskim i ci do uchwalenia tej ustawy nie do-

puścili. Ten szczegół, znaleziony w Wielewickim, wyprowadził p. Sobieskiego całkowicie z równowagi. Historya w tem miejscu zamienia się w jego książce w powieść, w jakiś walter-skotowski opis „nocy Jezuitów" — fantazyę tę nowelistyczną upiększa jeszcze fantasmagoryą historyczną, gdy zamknięcie sejmu, które z góry i prawem samem było na ten dzień naznaczone, przedstawia, jako nagłe zerwanie sejmu, spowodowane bezpośrednio utrąceniem projektu dyssydenckiego a pośrednio „intrygą jezuicką" Skargi. Historya jednak przedstawia te fakty inaczej. Wybuch Radziwiłła, który z gronem swoich zwolenników z Warszawy pojechał wprost do Stężycy, spowodowany był nie upadkiem projektu o tumultach, ale poglądem tymsamym, który ożywiał Zebrzydowskiego i indywidualizmem szlacheckim, nie znoszącym postpozycyi, której Radziwiłł i kilka dni przedtem doznał, i o którą, wogóle, miał rankor do króla. Fakt zjazdu w Stężycy podniecił to usposobienie do wysokiego stopnia; jaki zaś pozór przy reasumpcyi obrad wystarczył do wybuchu nie jest jasne. Faktem jest tylko, że w uniwersale, który w kilkanaście dni potem, łącznie z Zebrzydowskim, wydaje w Stężycy, cały akcent spoczywa na politycznych zarzutach, czynionych królowi, jak praktyki celem zniesienia wolnej elekcyi. — Fantasmagorya ta p. Sobieskiego dociągnięta jest do samego końca, gdy przezwisko, rzucone na Skargę, w późniejszych dopiero miesiącach przez rokoszan Zebrzydowskiego, w odwet za pojęcia monarchiczne, tu, u p. Sobieskiego pojawia się w dniu zamknięcia sejmu 1606 r., jako bezpośredni odwet dyssydentów, za utrącenie projektu wyznaniowego. Takiem naciągnięciem i rozdęciem tych tylko faktów, które tu przytaczamy, wytwarza p. Sobieski obraz Skargi, jako zrywacza sejmów, i obraz „nocy jezuickiej", która raczej powinna się nazywać nocą p. Sobieskiego.

Tyle co do tego fantastycznego zarzutu.

Co się zaś tyczy zarzutu, jaki robi prof. Chrzanowski Jezuitom wogóle, to wystarczy, po powyższych wywodach dodać, że z istoty zakonu płynie, iż stanowisko religijne Skargi nie mogło być odmienne od stanowiska religijnego zakonu. Konkretne szczegóły może szan. autor w rzeczywistem świetle oglądnąć w odpowiednich pracach historycznych. Będzie zresztą jeszcze czas, by ktoś na to dokładniej odpowiedział; dziś w tem miejscu obszerniej mówić o sprawie Jezuitów nie pozwala nam prosty takt, zakazujący łączyć sprawę Jezuitów ze sprawą jubileuszu Skargi.

Że z punktu widzenia protestantów, Skarga nie był miłym pasażerem, że był fanatykiem, to jest jasne. Ale daruje p. Chrzanowski — jest to punkt widzenia, zrozumiały w zaułku, do jakiego został zepchnięty u nas protestantyzm, ale nie w Polsce. Linia dziejów Polski idzie równolegle z linią dziejów katolicyzmu i historyk metodyczny i naukowy musi o tem pamiętać; inaczej jest ofiarą własnych złudzeń. Polska była katolicką od początku, została następnie zalaną przez religijny import przeważnie niemiecki i po dziś dzień pod duchowym wpływem Berlina pozostający, — tak jak pod koniec XVIII wieku zalaną została przez zgubniejszy o wiele import wpływów francuskich — importy te strąciła jednak z szali swoich dziejów i pozostała nadal katolicką. Polska katolicka jest wdzięczną Skardze i za ten wysiłek i wcale nie ma racyi uważać tego wysiłku za wartość ujemną. Obchodząc jednak dzisiaj jubileusz Skargi, wcale nie czuje potrzeby wysuwać ostrza przeciw innowiercom. Walka z innowierstwem była tylko przemijającą szatą tamtych czasów, szatą niemającą dla dzisiejszych naszych stosunków najmniejszego znaczenia, szatą pod którą mieszkał wielki duch, o który tylko w obecnym jubileuszu chodzi. Prof. Chrzanowski nie potrafi przytoczyć ani jednego zdania, w któremby obecny jubileusz chciano wyzyskać jako propagandę przeciw protestantyzmowi — i gdyby nie jego animozya, niktby o tej sprawie nie wspomniał.

Tyle, co do faktycznej kwestyi. Wracając do sprawy obchodu, do podniesionych wyżej w tej sprawie uwag, dodamy jeszcze tę jedną: Trzeba być tolerantem i zostawić każdemu swobodę. Chce ktoś brać udział w obchodzie lub nie, chce brać w ten czy w inny sposób, chce brać udział dla tej czy innej racyi, wszystko to jest zależnem od wolnej woli każdego. Przedewszystkiem zaś oszczędźmy kłopotów samemu Skardze. Dziś jednemu nie spodoba się w Skardze walka z różnowierstwem, innemu jego antysemityzm, trzeciemu jego sympatye ludowe; jeźli tak każdy będzie ze Skargi po cząstce odbijać, cóż w końcu ze Skargi pozostanie? I po co? Cóż z tego przyjdzie, że Skarga ukrywszy suknię kapłańską, przywdzieje marynarkę, na krój warszawski stosowaną, i ułoży twarz w fizyognomię deisty z XX wieku? To, że pp. Kempner i Świętochowski zjawią się dnia 27. września, z czerwonym gwoździkiem w butonierce, przed biustem Skargi i raczą go zaszczycić mglistym uśmiechem zakłopotania i misternym dygiem zniżającego się do maluczkich respektu?

Nie o ceremonie przecież, ale o ideę chodzi!

Skarga ma tytułów dosyć do czci każdego Polaka jakichkolwiek przekonań. Niechżeż więc pokaże się raz, po czyjej stronie jest dzisiaj patryotyzm i tolerancya. Katolicy złożyli ten dowód przy jubileuszu Reja.

Występ p. Chrzanowskiego był bardzo niefortunny. Najpierw i przedewszystkiem dla samego p. Chrzanowskiego. Już dzisiaj słychać dokoła pomruk, nietylko niechęci ale i oburzenia, nawet głosy, odmawiające mu dobrej woli i dobrej wiary. Tym ostatnim głosom musimy stanowczo zaprzeczyć; złożył on już dość dowodów szczerości i prawości charakteru. Chochlikiem, płatającym figle p. Chrzanowskiemu jest jego umysłowość. Ma skłonność do zajmowania się kwestyą religijną ale zdaje się mieć zarazem lęk przed jasnemi o niej pojęciami. Człowiek pracy naukowej połączył się w nim nie harmonijnie z temperamentem warszawskego literata, który przy najpoważniejszym wywodzie lubi popełnić facecyę, fakty pozytywne lubi okrasić rezonowanem na różne ogólne tematy, z których zgubnego wpływu nie zdaje sobie dokładnej sprawy. Kryteryami jego naukowemi raz po razu wstrząsa pewna uczuciowa wrażliwość, która po prostu zmusza go, żeby dzisiejsze poglądy i czucia Warszawy przenosił w odległe wieki i podług tych czuć tamte wieki sądził. Pamięta o potrzebie stosowania do różnych epok różnych kryteryów, wyrazi to nawet jasno, a mimo to, w końcu, przy swojem uczuciowem kryteryum pozostanie. Jest to jaskrawo widoczne w tym występie. Z jednej strony przyznaje autor, że kto rozumie ducha wieku, nie będzie widział w Skardze plamy, w końcu jednak „od plamy Skarga nie jest wolny".

Występ ten był także niefortunny ze względu na sprawę p. Chrzanowskiemu tak drogą, jak sprawa Skargi. Dzienniki i pisma żydowskie, socyalistyczne, radykalne, a więc ekspozytury tych kierunków, które światło rocznicy skargowskiej chciałyby przyciemnić, już to umieściły bez zastrzeżeń wywody p. Chrzanowskiego w całości, już też nawet na tle tych wywodów rozpoczynają kampanię. Skarga i dzisiejszy ruch koło Skargi są zbyt wielką siłą, ażeby można przeciw nim wystąpić wprost, więc poza krzewem frazeologii, schylającej się do stóp Skardze, wije się wąż kąsający w piętę; tosamo, co p. Chrzanowski uczynił z przekonania, tamci robią z perfidią (warszawska „Prawda" nr. 2). O Skardze ci ludzie nie mieliby nic do

powiedzenia, bo nie mają o nim pojęcia, o urojonym fanatyźmie Skarg niktby słowem nie wspomniał, gdyby p. Chrzanowski nie podał d rąk gotowej broni. To jest ta „niedźwiedzia przysługa“ wyświad czona Skardze, którą p. Chrzanowskoi stronie przeciwnej zarzuca

Ks. J. Pawelski.

Dziwne warunki rocznicy.

Rocznicę Skargi będziemy mogli obchodzić w kraju naszym, — to się już wyjaśniło, — tylko jako święto domowe.

Uczynimy je tem droższem i uroczystszem. Tem lepiej i głębiej poznamy jego prorocze i natchnione dzieło. Tem pilniej wystudyujemy tę prozę polską nieporównaną i niedorównaną, która wali w serce jakąś mocą nieziemską i literaturę naszą tak wcześnie na szczytach stawia. Tem głębiej w duszy naszej urośnie dla męża tego podziw, i cześć, i miłość.

Już artykuły pism nam Skargę tłumaczą, i uprzystępniają czas jego i myśl jego.

Już też, niestety, na samym początku „roku Skargi" posłyszeliśmy rozdźwięk w chórze głosów czci i harmonii pełnych, — jakby dlatego skrzekiem w pieśni się odzywający aby uprzytomnić nam, że ciągle jesteśmy „królestwem rozdzielonem", które „ostać się nie może"...

Nie bralibyśmy w rachubę dźwięków z tych mokrych mielizn się podnoszących, gdzie sam rzeczownik „jezuita" wywołuje paroksyzmy niepoczytalności.

Ale to z wyżyn głos się ten odezwał.

Ze szczytów nawet samych... Z pod pióra profesora literatury polskiej na Wszechnicy Jagiellońskiej, — następcy Tarnowskiego, — Ignacego Chrzanowskiego ? !...

Winniśmy mu uczynić honor uwagi.

Winniśmy zatrzymać się, — choć ze zdziwieniem najwyższem, — przed „warunkami", jakie kładzie w noworocznym numerze „Kuryera Warszawskiego" prof. Chrzanowski, pod któremi narodowi naszemu wolno ma być uczcić największego kaznodzieję swego.

Posłuchajcie: U Skargi są w a r t o ś c i różne, jedne „przemijające", a inne „trwałe"; jedne dodatnie, a inne ujemne; i jeszcze takie, „które dzisiaj cenią jedynie już tylko niektórzy".

Ci n i e k t ó r z y to są właśnie — katolicy.

A broń Boże, żebyśmy w tym roku, czci Skargi poświęconym, pamiętali o tem, iż był on jednym z najpotężniejszych szermierzy, co Polskę w Kościele powszechnym zatrzymali? Prof. Chrzanowski takim pali — słowa prawdy jak się patrzy:

— Ci, którzy każą nam wielbić w nim nadewszystko szermierza katolicyzmu, wyświadczają jego pamięci niedźwiedzią przysługę, co więcej, wręcz uniemożliwiają — wbrew własnej intencyi — już nietylko ogólno-narodowy charakter kultu Skargi, ale i sam kult.

I wywłóczy prof. Chrzanowski namiętności wieku szesnastego, czyniąc Skargę odpowiedzialnym za całą walkę, jaką katolicyzm w Polsce w tym czasie musiał toczyć o duszę narodu. Fanatyzm! Nietolerancya!

Chwilami pióro prof. Chrzanowskiego jakby trzeźwieje na momenty i wtedy z pod pióra tego wypływają zdania o „konieczności dziejowej". Wtedy łaskawie gotów jest on wybaczyć Skardze to, że nie był on w wieku szesnastym kulturalnym dżentelmenem wieku dziewiętnastego i opuszcza na ziemię „kamień potępienia", który jakoś sam ciśnie się pod profesorską prawicę uczonego historyka literatury. Ale namiętność tkwi w tym człowieku głęboko. Zaraz więc bezpośrednio po tym frazesie o konieczności dziejowej i o kamieniu, mówi o p l a m i e, która ciąży na Skardze i o h a ń b i e, w której on uczestniczy za sprawy toruńskie.

Plama?!

Hańba?!

I prof. Chrzanowski radzi nam uczcić Skargę, swoją drogą, ale za „wartości trwałe i dodatnie" tylko, a nie za „przemijające i ujemne".

Powtarzamy raz jeszcze, że wyjść z podziwienia nie możemy, iż takie zastrzeżenia i takie... epitety wyjść mogły, przy okazyi takiej, z pod pióra profesora wszechnicy Jagiellońskiej. Ale to jest rzecz profesora i Wszechnicy. Jako pisarzowi, zabierającemu głos publiczny w sprawie, która cały naród obchodzi, winniśmy odpowiedzieć, że takimi dysonansami może być zgaszony każdy objaw kultu narodowego, ponieważ każdy wiek posiada swe właściwości, na które wieki późniejsze i w doświadczenie historyczne bogatsze, patrzą okiem krytycznem.

I wątpię bardzo, aby np. w cnocie tolerancyi, którą się wiek nasz szczyci, wieki późniejsze nie dopatrzyły się przedewszystkiem — szeregu niecnót, jak: obojętności, braku wszelkiej gorętszej wiary, lenistwa myśli i serca, zamiłowania do wygodnego, ale nie zaszczytnego spokoju.

Prof. Chrzanowski nienawidzi katolicyzmu, a przynajmniej Jezuitów. I już ta szczerość sama wystarczyła, aby zachwiać tak mocno przecież zasadą tolerancyi, którą niby wielbi, ponieważ jestto wysokim i jaskrawym dowodem nietolerancyi pokazywać p l a m ę i odsłaniać h a ń b ę, jakkolwiek urojone, na mężu, do uczczenia którego przystępuje cały naród.

Co się tyczy fanatyzmu, ten jest dwojaki i w naszych skomplikowanych czasach należy to pilnie rozróżnić. Jest fanatyzm interesu, fanatyzm egoizmu, który pod płaszczem słów wiary i miłości domaga się wielkim krzykiem korzyści własnych i ofiary z innych. Ale jest i „fanatyzm", który oddaje całego człowieka na potrzeby tego, co uznaje za „drogę i prawdę", który z całego życia ludzkiego czyni jeden bój szczytny o zasadę, który z rycerza w każdej chwili umie uczynić męczennika.

Skarga był „fanatykiem" tej drugiej kategoryi.

I jeżeli prof. Chrzanowski nie jest w stanie pojąć i ukorzyć się przed tem, co w takim „fanatyzmie" jest szczytnego, wielkiego i wiecznego, to, zaiste, jego uczniom mało mamy do pozazdroszczenia.

Nie będziemy dziś zastanawiali się nad tem, jakiem dobrodziejstwem bez miary był powrót Polski do katolicyzmu w wieku XVI, ani wskazywać, że wtedy to właśnie nasz kraj poczerpnął sił moralnych, które nie pozwoliły mu zginąć w zawieruchach dziejowych; dały mu grunt, na którym urosnąć było w stanie bohaterstwo polskie epoki legionów; wszczepiły mu cnoty domowe, które z rodziny polskiej uczyniły podwalinę trwałego bytu narodowego. Nie będziemy też próbowali odgadywać, jakby wyglądał dziś kraj nasz, tolerancyjnie i bez fanatyzmu podzielony pomiędzy sekty.

Powiemy tylko, że tym, co najmniej sam czci Skargi się doprasza, jest przecież sam Skarga. Możemy uczcić jego wielkie imię albo nie, jak to nam podyktuje rozum, serce i wola. Ale zabierać się do uczczenia Skargi w sposób, któryby najwyższem oburzeniem i gniewem napełnił tego wielkiego ducha, gdyby on przez cud stanął dziś między nami, — w aktach składanej mu czci plwać na to, co mu było najdroższem i najświętszem, — mówić o p l a m i e i o h a ń b i e tego, przed którym miliony mają czoło uchylić?! Są to obyczaje, którym należy jaknajrychlej i najkategoryczniej położyć koniec.

Wincenty Kosiakiewicz.

Druk ukończono 22 stycznia.

nawet i Ruś-Ukraina. Słowacki natomiast uczy śpiewać, uczy najsubtelniejsze uczucia miłości, tęsknoty, gniewu, ironii, rozpaczy zamykać w przepyszną formę wiersza, dzięki czemu wśród małej, ale wyborowej garstki słowiańskiego parnasu pogłębia zrozumienie i poczucie piękna.

Zupełnie czem innem był i jest do dzisiaj dla Słowian *Zygmunt Krasiński*. Nie można powiedzieć, by był im znany, lecz również błędnem byłoby twierdzenie, iż jest im zupełnie obcy. [1] Znamienną jest rzeczą, że w każdej prawie z literatur słowiańskich, gdzie tylko Krasińskim się zajmowano, zasługa zapoznania z nim danego społeczeństwa należy się prawię wyłącznie jednostkom, a nie grupom ludzi lub prądom specyalnym w literaturze. Mickiewicza, (a po części nawet i Słowackiego) przekładały i o nich informowały przeważnie całe zastępy pisarzy słowiańskich; wielu ich utworów mamy dzisiaj po kilka niemal równoczesnych przekładów.

O Krasińskim zaś tego nie można powiedzieć. Zawsze znachodził się jakiś jeden znawca-wielbiciel jego poezyi i ten systematycznie, stopniowo, ale bez wielkiego (w niektórych piśmiennictwach bez wszelkiego) wrażenia i wpływu na oświecone kręgi swego społeczeństwa, zapoznawał je z utworami twórcy „Nieboskiej" czy to drogą przekładów z niego, czy też za pośrednictwem rozpraw literackich. (N. p. Frič, Kvapil w Czechach, Preradović, Veber, w chorw.-serbskiej liter., Kursinskij w Rosyi).

Jasną jest rzeczą, że przyczyna tego zjawiska tkwi w samej istocie i charakterze poezyi Krasińskiego, a niezawodnie w znacznej części i w samej postaci poety, jego pochodzeniu, tradycyi, filozofii i przekonaniach polityczno-społecznych, tak dalekich i obcych większości Słowian. Krasiński, najmniej przy-

[1] Nie mogę się zgodzić na sąd dyr. R. Zawilińskiego, iż „u narodów słow. Krasińskiego utwory są równie dobrze znane, jak Mickiewicza". (*„Krasiński w literaturze czeskiej"*. P. niżej.) Może się to odnieść jedynie do Czechów, o których p. Zaw. słusznie powiada, że „prym trzymają w tym względzie", ale stanowczo nie do jakiejkolwiek innej narodowości słowiańskiej. Wiele z pomiędzy nich niestety Krasińskiego dotychczas nie zna zupełnie.

stępny dla samych Polaków, z wyjątkiem „Nieboskiej", bardzo mało przedstawia interesu dla nie-Polaków, a szczególnie Słowiańszczyzny, przesiąkniętej w przeważnej części duchem skrajnego demokratyzmu, a nie rozumiejącej należycie źródeł i przewodnich idei polskiego mistycyzmu i messyanizmu.

Polskość, taka czysta u Mickiewicza, taka barwna i wysubtelniona u Słowackiego, stanowiła często dla Słowian trudność wielką, niemal niepokonaną, — u Krasińskiego jednak, w połączeniu z głębią jego myśli filozoficznej i wzlotami zachwytu religijnego, stała się w znacznej części, i jest do dzisiaj jeszcze, dla Słowian wprost nieuchwytną i niepojętą. [1]

Tem się tłumaczy ostatecznie stosunkowo najmniejsza (w porównaniu z dwoma innymi wieszczami) ilość przekładów, jakich się doczekał Krasiński w piśmiennictwach słowiańskich; stąd też i najsłabsza wśród Słowian znajomość śpiewaka „Przedświtu".

Krasiński w literaturze czeskiej.

1. *Historya i ocena przekładów.*

(R. 1835). W Czechach zapoznawanie społeczeństwa z poezyą Zygmunta Krasińskiego rozpoczęło się stosunkowo bardzo wcześnie. Pierwszy bowiem przekład *Agay - Hana* dokonany został już w rok po ukazaniu się oryginału polskiego, to jest w r. 1835., i należy wogóle do najwcześniejszych czeskich przekładów z polskiej literatury romantycznej. [2] Wyszedł on z pod

---

[1] Odnosi się to szczególnie do *Przedświtu*, *Psalmów przyszłości* i częścią do *Irydiona*. Ale nawet to najbardziej ogólnoludzkie dzieło, *Nieboska komedya*, która, zdawałoby się, winna przemówić do wszystkich ludów wszystkich wieków, nie znalazło wszędzie wśród Słowian należytego zrozumienia. Najjaskrawszą tego ilustracyą jest osławiony przekład rosyjski *Nieboskiej*, Kursinskiego, a zwłaszcza oryginalny jego wstęp krytyczny do tłumaczenia.

[2] Por. Edwarda Jelinka: *Bibliografię przekładów z piśmiennictwa polskiego na język czeski*, która mi w tej pracy służyła jako główny przewodnik co do części czeskiej. Sięga ona jednak tylko do końca roku 1882., a co najgorsza, nie jest wyczerpującą i nie zawsze ścisłą. (Por. *Rozprawy i sprawozdania Akademii*

pióra wytrawnego znawcy języka i piśmiennictwa polskiego, tłumacza polskich pieśni ludowych, przysłów i epigramatów, oraz poezyi Szymonowicza, Węgierskiego, Morawskiego, Brodzińskiego, Gorczyńskiego i Odyńca, — Fr. Lad. Čelakovskiego.

Nie tylko jako poeta, ale także jako filolog, usiłował przekładowi swemu nadać piętno ścisłości i wierności językowej obok polotu poetyckiego. Nie w zupełności jednak mu się to udało, przekład bowiem, jako jedna z pierwszych jego prac i wśród nawału zajęć redaktorskich dokonana, miejscami jest dość ciężki i oporny, zwłaszcza z dzisiejszego punktu wymagań literackich. Powaga jednak szanownej postaci pierwszego śpiewaka Czech odrodzonych, a z drugiej strony poprawność i piękność, jak na owe czasy, tłumaczenia były powodem, że przekładania *Agay-Hana* po Čelakovským nikt się już z Czechów nie imał[1], podczas gdy cały szereg innych utworów Krasińskiego posiada po dwie, trzy i cztery próby tłumaczeń, stopniowo coraz lepszych. Przekład *Agay-Hana* ukazał się w tygodniku *Česka Včela*, dodatku literackim do dziennika *Pražské Noviny*, redagowanego przez Čelakovskiego w ciągu r. 1835[2].

(1856—1863). Po Čelakovským przez dwadzieścia lat z górą w Czechach głuche milczenie o twórcy „Irydiona". Dopiero od r. 1856. poczyna się pierwsza, silniejsza fala przekładów z Krasińskiego, trwająca do roku 1863. Obejmuje ona przeważnie drobne tylko utwory i ułamki z większych poematów wieszcza, jak n. p. fragment z *Irydiona* (J. V. Frič), *Re-*

Umiejętności w Krakowie. T. X. (1884.) 385 — 449 i osob. — O Krasińskim 410 — 411.)

Dlatego musiałem ją w niejednem miejscu poprawiać, bardziej wyszczególniać i uzupełniać. W pracy tej z całą gotowością służyli mi pp. Fr. Kvapil z Pragi i Edm. Kołodziejczyk z Krakowa, za co im składam najszczersze podziękowanie.

[1] Prócz nieznacznego wyjątku, ogłoszonego p. t. *Z historické pověsti „Agaj-Han"* w r. 1857. przez *B-ý* (=Bílý?).

[2] Powtórne wydanie, niezmienione, pomieszczono w zbiorowem wydaniu dzieł Fr. Lad. Čelakovskiego p. t. *Sebrane spisy.* Sv. III. (Spisů prosou kniha IX — XII.) V Praze. 1877. *(„Národní bibliotéka".* Díl 48. wyd. J. L. Kobra. 2 — 145. *„Agaj-Chán.* Překlad ze Zigmunda A. hraběte Krasińského".

surrecturis (V. Štulc), *Noc letnią*, *Pokusę* (A. Kotík) i *„Ostatnią pieśń“* (E. Vávra). Najdonioślejszem zjawiskiem w tym pierwszym okresie jest tłumaczenie całości *Irydiona*, dokonane przez Josefa V. Friča, a wydane w Pradze w r. 1863. z entuzyastyczną przedmową o poezyi Zygmunta i jego poemacie, pióra K. Sabiny.

I nie mógł Krasiński znaleść na owe czasy tłumacza bardziej powołanego nad tego romantyka i bajronistę Czech, który stał tak blisko polskiego romantyzmu, był niemal jego dzieckiem zarówno w życiu, jak i w twórczości [1].

To też Friča przekład *Irydiona* przyjęto z jednej i drugiej strony z radością i entuzyazmem, witając go pochwałami, na które niezawodnie zasługiwał, jako pierwszy miejscami bardzo piękny, ale nigdy jako doskonały. Po pierwszym wybuchu zachwytu, niedługo dały się odczuć braki i niedomagania pracy Friča. Rozwinięty z czasem zmysł piękna i poczucie językowe wśród młodszego pokolenia czeskiego, tak pilnie śledzącego życie duchowe Polski, odkryły niebawem, o ile praca czeskiego tłumacza pozostaje w tyle za oryginałem. Pośpiech zwłaszcza, z jakim praca dokonaną została, zaszkodził jej wartości. Miejscami bardzo dobra, często i zbyt często odbiega od źródła, trudniejsze ustępy błędnie interpretuje lub je wprost wypuszcza. Nic więc dziwnego, iż żądano nowego, klasycznego przekładu; a temu żądaniu chwalebnie zadość uczynił dopiero František Kvapil, w lat blizko → pół wieku.

(1874—1884). Tymczasem — po prawie dziesięcioletniej pauzie — nadeszła nowa fala przekładów, trwająca od r. 1874. do 1884. niemal bez przerwy. Zastęp tłumaczów się zwiększa, wartość pracy pogłębia, a i wybór coraz częściej pada na większe kompozycye i całości. I tak dostajemy tłumaczenie

[1] Por. niezmiernie ciekawe koleje jego życia i charakterystykę działalności w pracy prof. M. Zdziechowskiego *Karel Hynek Macha i bajronizm czeski*. (Rozpr. Akad. Umiej. w Krakowie. Wydz. filol. Ser. II. T. III. (Og. zb. 18.) r. 1891. str. 223—301. O Sabinie 264—267.), oraz czeskich historyków literatury, jak Fr. Bílý, J. J. Hanuš, Fr. Vlček i i.

Psalmu nadziei (Žherský), nowy i lepszy przekład *Pokusy* i dwu części *Nieboskiej* (Žherský) wiersza *Zawsze i wszędzie* (Vrchlický), części *Przedświtu* (Pakosty i znacznie lepszy Kvapila), ułamku *Glossy św. Teresy* (Kvapil), trzy *wiersze liryczne*[1] ze spuścizny pośmiertnej Krasińskiego (Kvapil), *Dla Ciebie...* (Čáslavský) wreszcie *Teodora, Grobu rodziny Reichsthalów, Zamku Wilczkiego i Gastołda* (L. C. Frič), z których część utworów wierszowanych ukazała się wraz z fragm. „Nieboskiej" w osobnej całości, w zbiorze Fr. Vymazala p. t. „*Poezye Słowian*" (1878).

Najcenniejszy dorobek w tym drugim okresie stanowią, obok wyżej wymienionego, dwa większe zbiory przekładów, dokonane przez dwu najlepszych, i jedynych zapewne podówczas w Czechach, znawców polskiej poezyi, a Krasińskiego w szczególności, przez L. C. Friča i Frant. Kvapila.

Pierwszy zbiera w r. 1882. w całość wszystkie dotychczas znane i przetłumaczone przezeń na język czeski „*Powieści*" Z. Krasińskiego i wydaje je w osobnym zbiorku t. zw. „Centralnej biblioteki". O przekładzie wystarczy powiedzieć, że jest wierny i gładki. Nie obniża wartości oryginałów, choć nie odznacza się tą wytwornością stylu i odczuciem języka twórcy, jakie cechują wszystkie prace Kvapila. W stosunku jednak do młodocianych prób powieściowych Krasińskiego przekłady Friča i dziś zadowolić muszą.

Drugi wydaje w r. 1880. „*Wybór pism*" Krasińskiego, w których pomieszcza wszystkie swe dotychczasowe tłumaczenia, przerobione i poprawione, wraz z pokaźną liczbą nowych,[2] tudzież z obszerną przedmową o życiu i twórczości Zygmunta.

(1885—1911). Od r. 1880. przekładanie poezyi Krasińskiego staje się niemal wyłącznym udziałem Františka Kvapila, który sobie postawił za zadanie w działalności literackiej: przyswojenie ojczystemu piśmiennictwu arcydzieł nie

[1] *Pytasz się mnie, Duchom w świetle księżyca i Roma.* (P. niżej: bibliografia.)

[2] Prócz *Nieboskiej, Pokusy i Przedświtu* pomieszczono tam trzy pierwsze *Psalmy, Sen* (z „*Niedokończonego poematu*") oraz 32 „*różne wiersze*" wedle lwowskiego z 75. roku i innych wydań pol. z przed r. 1880.

tylko Krasińskiego, ale wszystkich trzech wieszczów polskich, w szacie jak najwytworniejszej, w wykonaniu prawdziwie artystycznem, odpowiadającem pod każdym względem wyjątkowej wartości źródeł. Toteż w okresie tym o s t a t n i m (1885—1911.) — o ile nam wiadomo — nie ukazuje się nic n o w e g o z poezyi Zygmunta w szacie czeskiej. Jest to okres uzupełniania i wydoskonalania przekładów, oraz nowych, w z o r o w y c h edycyi najważniejszych dzieł Krasińskiego.

I tak już w r. 1899/1900. ukazuje się nowe (czwarte!) wydanie *Nieboskiej komedyi* w przekładzie Fr. Kvapila, tym razem popularne i tanie, z osobnym wstępem historyczno-literackim. W r. 1905/6. wydaje czeska Akademia umiejętności w Pradze jego przekład *Irydiona* (również z wstępem historycznym i wyczerpującemi objaśnieniami) w cyklu swych wydawnictw p. t. „*Sborník světové poesie*". W istocie jednak okres ten n i c n o w e g o z poezyi Zygmunta nie przynosi, zastępując tylko przestarzałe przekłady świeżymi, wzorowymi, odpowiadającymi dzisiejszym wymaganiom krytyki. Być może, że lata najbliższe przyniosą nowe przekłady poezyi Krasińskiego, dotychczas nie tłumaczonych, — a jest ich jeszcze spora liczba. Tembardziej b y ć m o ż e, że czeski wielbiciel Krasińskiego w pracy nie ustaje i — jak słyszymy — nowe przygotowuje dzieła, któremi pragnie nowy snop poezyi polskiej rozrzucić wśród czeskiego społeczeństwa [1].

*

* *

O tłumaczeniach Ž h e r s k i e g o—K v a p i l a nie wiele mamy do powiedzenia po tem wszystkiem, co już o nich pisano, zarówno po stronie czeskiej, jak i u nas. W y b ó r p i s m Krasińskiego doczekał się całego szeregu obszernych sprawozdań krytycznych, czeskich i polskich, (a nawet jedno francuskie [2]),

[1] Ma to być drugi tom cyklu literacko-historycznych studyów i szkiców z literatur słowiańskich p. t. „*Životem k idealu*". (Pierwszy ukazał się w r. 1901. p. niżej.), oraz „*Wybór poezyi*" Kaz. Tetmajera.

[2] W a c ł. G a s z t o w t a: *La poésie tchèque contemporaine.* („Bulletin littér., scientif. et artist. polonais" itd. Nr. 10—26. Paris. Impr. C. Zabieha. 1880—5.)

z pomiędzy których na szczególniejszą uwagę zasługują dwa czeskie: Fr. M. Vrány i Alb. Pražáka[1], i polskie, Rom. Zawilińskiego[2].

Już pierwszy u nas sprawozdawca E. Jelinek[3] podniósł „dokładność" i „znajomość rzeczy" u Kvapila, uznając jego pracę za „pożyteczne zbogacenie literatury czeskiej", które „otwiera nowy i wzniosły widok na bogatą niwę poezyi polskiej"; ostateczny zaś sąd swój o przekładach streszcza w krótkiem powiedzeniu, iż „Krasińskizostał i w czeskiem tłómaczeniu Krasińskim".

Jelinek jednak w sprawach czesko-polskich lubił się często entuzyazmować. Po nim więc zabrał głos w tym samym przedmiocie taki wytrawny znawca zarówno poezyi polskiej, jak i czeszczyzny, Roman Zawiliński. W obszernym artykule poddaje przekład „Wyboru poezyi" i popularnego wydania „Nieboskiej" ścisłej ocenie ze stanowiska językoznawcy i literata. A przecież sąd jego wypada jak najpochlebniej.

„Tłómacz (sc. Krasińskiego) — powiada autor oceny — nie tylko musi tu być tłómaczem we właściwem tego słowa znaczeniu, ale musi być egzegetą myśli i analitykiem literackim. To ostatnie spełnił p. Kvapil zarówno w „Wyborze", jak w niniejszem drugiem[4] wydaniu (sc. „Nieboskiej") w sposób zaszczytny, a świadczący nie tylko o głębokiem zrozumieniu poety, ale o znajomości wszystkiego, co się u nas o Krasińskim pisało"... I dalej: „Pod względem formy są miejsca wspaniałe w przekładzie *Przedświtu*, gdzie nawet zachowano te same rymy i ich porządek, na czem wierność myśli nic nie straciła".

Z równie pochlebnym, a opartym na sumiennem badaniu, sądem o pracy Kvapila spotykamy się i u najmłodszego z kryty-

[1] *Zik. Krasińského vybrané basně překladem Fr. Kvapila.* („Literarní listy", (moraw.) 1880. Nr. 5.) i „*Slovanská povaha díla Frant. Kvapila*". („Slovanský Přehled" Ad. Černego. Roč. VII. (1904/5). Str. 196—207).

[2] *Krasiński w literaturze czeskiej.* („Czas". R. LIII. Nr. 178. z dnia 16. lipca 1900 r. fejl.)

[3] *Poezye Z. K. w czeskiem tłómaczeniu Fr. Kv.* („Przegląd polski". R. XV. 1881. Kw. III. Og. zb. T. 59. St. 119—122.)

[4] *Recte* — w czwartem wydaniu, jeśli uwzględnimy i dawniejsze edycye częściowe, gdyż pierwsze ukazało się w przedkładzie Kvapila (pod pseud. Fr. Żherskiego) w Lumirze 1875 r. (cz. I. II.), drugie w „*Poezyi Słowian*" Fr. Vymazala (cz. I.), trzecie, pełne w „*Wyborze Poezyi*", a czwarte „niniejsze".

ków jego, autora specyalnego studyum o „słowiańskim charakterze poezyi Fr. Kvapila", u Dr. Alb. Pražáka, który powiada:

„Ilościowo praca Kvapila jest istotnie wielka. Ilości wszakże dorównywa i jakość, a na tem właśnie polega całe znaczenie jego, jako tłumacza. Pod tym względem jest on naszym najlepszym tłumaczem polskiej poezyi. Przenosi myśli i obrazy z bratniej ziemi, nie naruszywszy w niczem ich piękności. Miara, rytm, rym, porządek słów u niego wiernie zachowane. Gdzieniegdzie tylko, gdy akcent polski odmienny jest od czeskiego, tam metrum układa w pokrewny sposób. Polszczyzna, mając wyrazy dłuższe, posiada też i w wierszach większą ilość stop: Kvapil w takich wypadkach odpowiednie słowa dodaje, jużto objaśniając niemi myśl oryginału, jużto determinując ją dobitniej, aniżeli w tekście polskim. Wypadek zmiany myśli źródła przy takiej metodzie przekładania bardzo jest rzadki. To też wartość tłumaczeń Kvapila uznała cała krytyka czeska i polska". [1])

A taki sam, niemal dosłownie, sąd da się powiedzieć o wszystkich Kvapila przekładach z Krasińskiego. Taki sam sąd mieliśmy sposobność wyrazić już dawniej, z powodu ukazania się najnowszego wydania *Irydiona* po czesku [2]), gdzieśmy również uznali przekład za „bez zarzutu".

I dzisiaj więc, jak wówczas, powtórzyć możemy życzeniem, by tak poeci nasi, jak i czytający świat czeski „tylko takich mieli tłumaczów", jak Fr. Kvapil. Z przekładami innych pisarzy czeskich, a nawet jakichkolwiek innych słowiańskich, tłumaczenia Kvapila mogą się mierzyć zwycięsko. Pod względem artystycznego wykonania stoją wśród nich wszystkich najwyżej; dzięki zaś głębokiemu zrozumieniu i odczuciu twórczości Krasińskiego, której tłumacz doskonale nadąża, noszą one na sobie piętno prawdziwie twórczej, wysoce duchowej pracy.

[1] Op. cit. pag. 199.

[2] Por. rec. *Nowy przekład czeski „Irydiona"*, („Świat słowiański". R. II. (1906.) T. III. Str. 442—4.)

A pamiętać przy tem wszystkiem musimy, że Kvapil, gdy zaczynał tłumaczyć Krasińskiego, był młodzieńcem zaledwie kilkunastoletnim. Jako „*sextán*“ akademickiego gimnazyum w Pradze — wedle własnych jego wspomnień[1] — miał już całą *Nieboską* przełożoną. Oddał ją ówczesnemu redaktorowi „*Lumira*“, głośnemu poecie czeskiemu, Svatoplukowi Čechowi, do oceny, a ten wybrał z niej pierwsze dwie części i tego samego roku (1875) drukował je w swem piśmie. To pierwsze powodzenie literackie zakreśliło Kvapilowi zadania, jakim miał odtąd wiernie służyć w swej działalności literackiej.

Čelakovský odkrył Krasińskiego w Czechach, ale Kvapil dopiero dał go Czechom. I rzecz znamienna: ten subtelny znawca i wielbiciel poezyi ludowej, co do niedawna jeszcze niemieckie wiersze składał i o sławie na germańskim parnasie marzył, po pierwszem niemal odezwaniu się Krasińskiego (bo z *Agay-Hana*) poznał — *ex ungue leonem*. A za Čelakovským, w dwa dziesiątki lat później, student-młodzieniaszek, na ławie szkolnej tłumaczy najgłębsze z arcydzieł Krasińskiego.

Odtąd poszedł za tymi pierwszymi cały zastęp młodych adeptów poezyi w Czechach, biorąc się do przekładania polskich romantyków, ale żaden nie wytrwał tak wiernie i tak długo na tej drodze, żaden nie doprowadził do tak pięknych rezultatów, jak František Kvapil.

Poezya Krasińskiego, Mickiewicza i Słowackiego odegrała najwidoczniej w działalności, a nawet i życiu Kvapila niepowszednią rolę. Wywarła na całej jego indywidualności wpływ niezaprzeczony, przykuwając go do swego rydwanu i unosząc z sobą w zawrotne światy, które on rozumie, odczuwa i miłuje, jak tylko bardzo niewielu z pomiędzy słowiańskich znawców poezyi polskiej XIX. wieku.

Pozostaje nam jeszcze do powiedzenia kilka słów o pozostałych przekładach innych pisarzy czeskich. Z tych krótkiego ułamku z *Agay-Hana* w tłumaczeniu B—ý (Bilego?), oraz

[1] W liście prywatnym, do mnie pisanym, z dn. 12. stycznia b. r.

wiersza *Dla ciebie...* w przekładzie F. H. Čáslavskiego nie mieliśmy w rękach, nie możemy więc o nich wypowiedzieć własnego sądu. Zresztą są to drobiazgi, — już w Czechach nikt o nich dzisiaj nie wie.

Przekład V. Štulca (*Resurrecturis*) bardzo lichy, może najlichszy ze wszystkich; forma twarda, wiersz kuleje, myśl z trudem się wyłania z ciężkiego powicia, liczba wierszy nieco większa, aniżeli w oryginale. — Słabe również tłumaczenie E. Vávry „ostatniego wiersza" Krasińskiego *Módl ty się za mnie...*

Bez porównania lepsze przekłady Ant. Kotíka (*Pokusy* i *Nocy letniej*,) zwłaszcza ostatniego poematu, którego nie pomieścił w swym „Wyborze" Fr. Kvapil niezawodnie z tego powodu, że uważał przekład Kotíka za wystarczająco dobry. Rzeczywiście po Kvapilowych należy do najlepszych.

To samo da się powtórzyć i o jedynym przekładzie z Krasińskiego patryarchy dzisiejszej poezyi czeskiej, Jaroslava Vrchlickiego (*Zawsze i wszędzie.*) Swoboda, polot i miękkość formy, przy głębokiem wczuciu się w najsubtelniejsze drgnienia duszy poety.

Przekłady wreszcie powieściowych utworów Zygmunta, wyszłe z pod pióra L. C. Friča[1], pozostawiają wiele do życzenia. Wprawdzie dotyczą młodocianych, słabych prób Krasińskiego, przecież w wykonaniu winny zasługiwać na miano przynajmniej poprawnych. Tymczasem, robione widocznie w pośpiechu, nie posiadają tej staranności, jakiej się wymaga od każdego tłumacza. Styl i język zwłaszcza szwankują, a w wielu miejscach razi i niezgodność z tekstem.

Dr. Tad. Stan. Grabowski.

(Dok. nast.)

[1] Także: Frič Lipský lub Lip. C. Frič. Nie należy go mieszać z Jos. Vacl. Fričem, pierwszym tłumaczem *Irydiona*!

NOWE DROGI ROZWOJU SPOŁECZNO-EKONOMICZNEGO.

W roku 1907 świeżo po kongresie anarchistów w Amsterdamie, na którym rzucono klątwę na ruch neosyndykalistyczny we Francyi, podaje nam jedno z belgijskich pism anarchistycznych L'Insurgé w krótkich a jasnych zarysach najgłówniejsze zasady programu socyalno-ekonomicznego neosyndykalistów w jaskrawem zestawieniu z kierownemi zasadami anarchistów. Porównawcze zestawienie to rzuca jasne światło na kierunek i program ruchu neosyndykalizmu:

Neosyndykalistyczne zasady.	**Anarchistyczne zasady.**
Kwestya socyalna jest kwestyą robotniczą.	Kwestya socyalna jest kwestyą ludzkości.
Wrogiem jest reprezentant rządzącej klasy społecznej.	Wrogiem jest reprezentant władzy, należącej do jakiejkolwiek klasy.
Postęp polega na rozwoju świadomości klasowej.	Postęp polega na rozwoju świadomości godności ludzkiej.
Interes kolektywny jest punktem wyjścia.	Interes indywidualny jest punktem wyjścia.
Grupy bojowe łączą się na podstawie interesów materyalnych.	Grupy bojowe łączą się według zgodnych poglądów filozoficznych.
Kierownictwo przyszłego społeczeństwa spoczywać będzie w ręku grup producentów, które odpowiednio do potrzeb produkcyi się wyspecyalizują.	Kierownictwo przyszłego społeczeństwa spoczywać będzie w ręku ogółu stosownie do konsumpcyi.
Dzisiejsze syndykaty wezmą w ręce swoje administracyę społeczeństwa.	Żadna grupa zorganizowana nie stanie na czele administracyi społeczeństwa, chyba że grupy, opierające się na jakiejś zasadzie, która dziś jeszcze nie da się definitywnie sformułować.
Ekonomiczny fatalizm syndykalistów wymaga czynu, który zrodzi myśl.	Pogląd anarchistyczny podporządkowuje czyn myśli.

Syndykalizm z istoty swej jest systemem reformatorskim [1].

Anarchizm nie ma z reformą nic wspólnego.

Kto porównawcze zestawienie to uzupełni sobie programem np. erfurckim socyalizmu parlamentarnego czy państwowego, łatwo przekona się, że syndykalizm niczem nie jest, jak programem socyalistycznym, przepojonym głęboko duchem skrajnego indywidualizmu czy anarchizmu.

Zasadniczą podstawą programu syndykalistów jest t. zw. teorya klas, według której społeczeństwo dzisiejsze na dwa wrogie rozpada się obozy:

„Dzisiejszy dramat socyalny, mówi syndykalista Berth, rozgrywa się pomiędzy burżuazyą a proletaryatem".

„Całe społeczeństwo, czytamy w manifeście komunistycznym, [2] coraz wyraźniej łamie się na dwa wielkie a wrogie obozy, na dwie wielkie bezpośrednio występujące do walki klasy: burżuazyą i proletaryat".

„Ręka w rękę z monopolizacyą środków produkcyi, czytamy w programie erfurckim, [3] idzie wypieranie rozbitego przemysłu drobnego przez kolosalne wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, oraz rozwój narzędzi w maszynę, a następnie olbrzymi wzrost produkcyjności pracy ludzkiej. Ale wszystkie korzyści tej przemiany stają się monopolem kapitalistów i obszarników. Dla proletaryatu i zanikających warstw średnich — drobnomieszczaństwo i włościaństwo — powstaje stąd tylko ciągły wzrost niepewności egzystencyi, nędzy, ucisku, ujarzmienia, poniżenia, wyzysku.

Coraz to większą staje się liczba proletaryuszów, coraz to liczniejszą armia zbytecznych robotników, coraz to ostrzejszem przeciwieństwo wyzyskiwaczów i wyzyskiwanych, coraz zaciętszą walka klasowa między burżuazyą a proletaryatem, dzieląca spo-

---

[1] Porównawcze zestawienie dwu tych programów przytacza jeden z głównych wodzów syndykalizmu Hubert Lagardelle w Archiv für Socialwissenschaft u. Politik r. 1908 t. 26. str. 646/7.

[2] Manifest komunistyczny (Piekarski) str. 10.

[3] Kautsky: Zasady socyalizmu str. 10.

łeczeństwo nowożytne na dwa wrogie obozy i stanowiąca wspólną cechę wszystkich krajów przemysłowych".

Taki ma być w myśl teoryi syndykalistyczno-socyalistycznej obraz i kierunek rozwoju dzisiejszego życia społecznego i gospodarczego.

Czy pogląd ten jest słuszny, czy kształt i obraz stosunków gospodarczych i klasowych w dzisiejszem życiu społecznem jest zgodny z rzeczywistością?

W najogólniejszych i przyćmionych chyba zarysach, bo w rzeczywistości stosunki i przeobrażenia społeczne w odmiennem przedstawiają się świetle. Jak wszystkie teorye socyalistyczne obraz ten grzeszy widoczną przesadą i jednostronnością. Jest on przedewszystkiem odbiciem stosunków fabrycznych i jakiegoś typowego społeczeństwa abstrakcyjnego na wskróś przemysłowego. Życie zaś odmiennym idzie torem. Struktura i uwarstwienie społeczne są inne, i w innym idzie kierunku i inne żłobi sobie łożysko rozwój życia gospodarczego i społecznego.

Zapewne najcharakterystyczniejszym rysem dzisiejszych stosunków społecznych jest powstanie albo raczej potężne wzmożenie się plutokracyi i proletaryatu.

Na gruncie bezwzględnej wolności gospodarczej po wielkich miastach i ogniskach przemysłowych razem z wielkim handlem i postępem techniki wyrosła nowa arystokracya, dzielna, przedsiębiorcza, korzystająca skwapliwie z każdego postępu technicznego i gospodarczego, która niebawem stała się potęgą ekonomiczną, społeczną i polityczną we wszystkich dziedzinach naszego życia kulturalnego.

Arystokracya ta opiera się na majątku pieniężnym, który stał się w naszym systemie gospodarczym bogatem i stale bijącem źródłem dochodów i najpotężniejszym czynnikiem i spójnią społeczną.

Pieniądz bowiem, wcielając się automatycznie w różne przedsiębiorstwa produkcyjne, i bez pracy osobistej właściciela przynosi stałe dochody czy procenty, pieniądz uruchomił wszystko i ziemię uczynił towarem, przechodzącym z rąk do rąk, i wciągnął w wir

spekulacyi, pieniądz opanował wszystkie dziedziny życia ekonomicznego i po części duchowego.

Na tle gospodarstwa pieniężnego przeobrażają się dawne stany i wytwarzają nowe, rozrastają się miasta i okolice całe w olbrzymie ogniska handlowe i przemysłowe, powstaje sieć arteryi finansowych, rozszerza się handel i ogarnia organizacyą swoją świat cały.

A nad wszystkiem panuje wszechwładnie pieniądz, wyzwolony z wszelkich więzów i szranków targowych i cechowych i feudalnych, przenoszący się lotem błyskawicznym z kraju do kraju, kierujący się bezwzględną zasadą większego zysku. Panuje pieniądz razem z bezwzględną walką o byt, z brudną chciwością, nie krępującą się ani przykazami religii ani prostą uczciwością, unikającą tylko kolizyi z kodeksem karnym, pieniądz brutalny w używaniu swojej przewagi materyalnej.

Z drugiej strony na tle tych samych stosunków społecznych i ekonomicznych powstał proletaryat dzisiejszy, te masy bezdomne, pozbawione samodzielności ekonomicznej ze wsi i miasta, ofiarowujące na targach pracy swoje siły robocze jak towar, według popytu i podaży, zaciągające się do pracy pańszczyźnianej na mocy „wolnego kontraktu“ u bezimiennej częstokroć spółki, której celem jedynym rozdzielić jak najwyższe dywidendy roczne.

Wobec takich stosunków łatwo zrozumieć te prawdy i hasła teoretyczno-agitacyjne: świat dzisiejszy rozpada się na dwa obozy, na burżuazyę i proletaryat, na obszarników i bezdomnych, na ciemiężców i wyzyskiwanych. Dziś miejsce dawnych stanów zajęły dwie tylko klasy, z których jedną wytworzyła własność prywatna i wyrzeźbił pieniądz, a druga jest w służbie pańszczyźnianej u pierwszej i wytwarza ten pieniądz. Dziś własność i pieniądz tylko coś znaczy w społeczeństwie i jest jedynym czynnikiem uwarstwienia społecznego i twórcą klas i najgłówniejszą spójnią życia zbiorowego.

A jednak kto uważniej i dokładniej się przypatrzy dzisiejszej strukturze społecznej, spostrzeże, ileż w teoryach tych przesady i nieprawdy, ileż opacznego tłumaczenia czy nierozumienia życia ekonomicznego i społecznego. Tak było z owemi prawami

rozwojowemi kapitalizmu, które rewizyonizm krytycznie oświetlił i sprostował. Tak zdaje się, że syndykalizm i socyalizm stanowią przeciwieństwo do kapitalizmu, którego likwidacyę chcą przeprowadzić i którego rola historyczna ma być skończona, a w gruncie rzeczy są one tylko skrajnem przeciwieństwem indywidualizmu i chcą każdego producenta samodzielnego i twórczą indywidualność zatopić w kolektywizmie państwowym lub gromadnym.

Prawda — anarchistyczny i bezwzględny indywidualizm dużo złego wyrządził w dzisiejszym systemie produkcyi kapitalistycznej, ale zamiast podjąć walkę przeciwko lichwiarskim praktykom i nadużyciom kapitalizmu, zamiast zwalczać indywidualistyczny kapitalizm, one podwracają zasadnicze podstawy produkcyi i znoszą wszelkie indywidualne przedsiębiorstwa kapitalistyczne i wszelką własność produkcyjną.

Podobnie rzecz się ma z wzmiankowaną teoryą klas. W rzeczywistości bowiem społeczeństwo dzisiejsze nie składa się z dwu tylko klas, między któremi rozgrywa się dzisiejszy dramat socyalny, jak syndykalizm i socyalizm utrzymują, ale w budowie społecznej obok proletaryatu i kapitalistów są jeszcze inne klasy i grupy klasowe, nie roztapiające się bynajmniej w proletaryacie.

Uwarstwienie też społeczne i różniczkowanie nie dokonywa się wyłącznie na podstawie pieniądza tj. własności i dochodów, ale i dziś jeszcze praca zawodowa i praca, podjęta w imię wyższych dóbr i ideałów, praca kierująca i wykonująca, fizyczna i duchowa, słowem praca według różnych funkcyi społecznych w życiu i budowie społeczeństwa nie małe ma znaczenie i doniosłą odgrywa rolę.

Wprawdzie wyrobiła się w naszej epoce albo raczej wzmaga coraz więcej wielka deprecyacya pracy umysłowej i fizycznej i rażąca dysproporcya pomiędzy pracą wogóle a dochodami, ale to skutki dawnych stosunków feudalnych i głównie dzisiejszego indywidualistycznego systemu kapitalistycznego, które usuwać należy przez społeczne i ekonomiczne podniesienie i organizacyę pracy i przezwyciężenie bez naruszenia wolności osobistej indywidualistycznego systemu, za pomocą socyalnych formacyi, produkcyi i pracy.

W budowie dzisiejszego społeczeństwa dziś jeszcze wyraźnie trzy wyodrębniające się warstwy rzucają się w oczy.

Wyższą klasę stanowią wielka własność i sfery kierujące w życiu gospodarczem, państwowem i kulturalnem. A więc wyższy świat urzędniczy i głośni przedstawiciele oficyalnej nauki i sztuki, sfery ziemiańskie, przemysłowe i handlowe. Dawniej i przedstawicieli nauki i cały świat wogóle kulturalny zaliczano do klasy wyższej, dziś nauka i kultura dostępna dla wszystkich we wszystkich klasach społecznych ma swoich przedstawicieli.

Na klasę średnią składają się średnia i mniejsza własność w rolnictwie, w przemyśle i handlu. A więc włościanie, rzemieślnicy, kupcy, urzędnicy, pracujący po prywatnych i państwowych instytucyach i miejska i wiejska inteligencya o średnich dochodach. Jest to ta klasa mieszczańska, której główną cechą w przeciwieństwie do klasy wyższej jest samodzielna praca przy własnym warsztacie.

Klasa ta po wszystkie czasy w rozwoju historyi i cywilizacyi nader doniosłą odgrywała rolę. Ona stanowiła chwałę i potęgę miast średniowiecznych, które stały się jasnemi ogniskami przemysłu, nauki, sztuki i dobrobytu. Ona zrodzona w wolności, przez wieki całe prowadziła walkę z porządkiem feudalnym i stała na straży wolności obywatelskiej. Ona wypiastowała dzisiejszą cywilizacyę i stanowi jej rdzeń i kość pacierzową, bo od jej siły liczebnej i udziału w majątku społecznym zależy rozwój dobrobytu ogólnego, bo z jej łona przeważnie dobywają się bezustannie talent i energia i siły twórcze i kierujące dzisiejszem życiem i pracą społeczną.

Najniższą wreszcie klasę społeczną stanowią robotnicy zwyczajnie bezdomni i bezrolni, bez zabezpieczonej egzystencyi tz. proletaryat. Ale i w obrębie tej klasy są różne stopnie hierarchii towarzyskiej i technicznej. Trzy przedewszystkiem wielkie grupy wyodrębniły się pomiędzy dzisiejszą klasą robotniczą: robotnicy wykwalifikowani, poduczeni i robotnicy prości. [1]

[1] Świeżo wykazują to najnowsze dochodzenia niemieckiego związku polityków socyalnych. Patrz: Herknera mowę na zeszłorocznym zjeździe związku w Norymberdze z dnia 10 października 1911 r.

Na klasie tej opiera się cały dzisiejszy system produkcyjny i gospodarstwo społeczne. I tu ma swoje korzenie cały dzisiejszy wielki problem socyalny, którego rozwiązanie zależy głównie od wzniesienia się proletaryatu w przeważnej przynajmniej części na wyższy stopień egzystencyi społecznej. Jeden z konserwatywnych niemieckich polityków socyalnych i socyologów von Wiese przedstawia problem ten w ten sposób: „Jak z jednej strony każde społeczeństwo przy dotychczasowym stanie techniki koniecznie potrzebuje dostatecznej liczby rąk do pracy, tak z drugiej pożądaną jest rzeczą, by o ile możności jak największa ilość robotników przez nabycie własności i podniesienie stopy życiowej weszła w szeregi warstw średnich. Do klasy zaś średniej zaliczają się te rodziny, które mają z czego żyć i dobrze życie sobie urządzić t. j. które obok dochodu zarobkowego, wystarczającego na urządzenie życia według średniej miary, mają jeszcze w dodatku skromne dochody z ziemi albo kapitału. Rodziny bowiem takie dopiero mogą dać dzieciom swoim odpowiednie wychowanie i wykształcenie, które ich w mniejszym lub większym stopniu uzdolni do skutecznego prowadzenia społecznej walki życiowej i wzniesienia się na wyższe stanowiska społeczne. Stosunki dochodowe też powinny być tego rodzaju, żeby bez ofiar w czasie pomyślnym można zaoszczędzić sobie jakąś sumę na starość albo na wypadek niezdolności roboczej, i w końcu, żeby można korzystać z życia kulturalnego i duchowego“... [1]

Podobnie jak syndykalistyczna teorya klas nie zgadza się z rzeczywistością i nie przypada do dzisiejszej struktury i uwarstwienia społecznego, tak i przeciwieństwa interesów i co za tem idzie walka klasowa, nie wyrastają koniecznie z dzisiejszego ustroju ekonomiczno-społecznego i nie ogarnęły całego społeczeństwa w tych rozmiarach i takim stopniu, jak to syndykaliści i socyaliści sobie wyobrażają i w swoich teoryach przedstawiają.

Nie na całej linii wre walka klasowa pomiędzy robotnikami i klasą ziemiańską i burżuazyą, nie we wszystkich klasach społecznych występują przeciwieństwa interesów, które mają być

[1] Leopold v. Wiese: Einführung in die Sozialpolitik str. 42.

nieodłączne od systemu najmu, nie w całem społeczeństwie rozgrywa się dramat społeczny.

Walka ta klasowa nie ogarnęła najprzód klasy drobnomieszczańskiej. Warstwy średnie w przemyśle i handlu już w własnym interesie nie prowadzą żadnej walki przeciwko innym klasom społecznym, bo od nich ekonomicznie zależą. One walczą tylko w obronie własnej egzystencyi przeciwko zachłannej ekspanzyi dzisiejszego systemu kapitalistycznego, który dla klasy drobnomieszczańskiej zamknął swoje ożywcze potoki złota i wydał ją na łup wielkiego handlu i masowej i bezładnej produkcyi fabrycznej i magazynowej. Robotnicy i pracodawcy już oddawną posiadali potężne organizacye klasowe, włościanie oprócz spółek ekonomicznych i kółek oświatowych mieli rozległe organizacye, w których raz po raz rozbrzmiewały hasła wyłączności i walki klasowej.

Punktem natomiast wyjścia i celem organizacyi drobnomieszczańskich były zawsze sprawy zawodowe: podniesienie ich siły ekonomicznej, technicznej i konkurencyjnej a nie walka klasowa. Powstają zapewne i w łonie tej warstwy organizacye bojowe czeladników i pomocników przeciwko przedsiębiorcom i odwrotnie, ale są to organizacye tylko sporadyczne i krótkotrwałe, najczęściej przez sztuczną agitacyę tylko wywołane i podtrzymywane, które nigdy nie połączyły się w jedną organizacyę ogólną i klasową. I liczne organizacye obronne, które powstały w łonie tej warstwy przeciwko indywidualistycznemu systemowi kapitalistycznemu, miały w swoim zakresie zawsze na celu wzmocnienie i obronę swojej egzystencyi stosownie do specyalnej techniki i specyalnych potrzeb swoich i nigdy nie przekształcały się w organizacyę klasową, zwróconą przeciwko innej klasie.

„Że w czasie najswobodniejszej organizacyi interesów — czytamy w znanem czasopiśmie zgoła nie konserwatywnem — nie wytworzyła się jednolita, wielka organizacya stanu średniego (w rodzaju organizacyi pracodawców i robotników), to wskazuje na tendencyę nie rozwijającą się bezpośrednio w kierunku wyraźnie klasowym, może z przyczyn, które już tkwią w ruchu stanu średniego, jako takim... Polityka stanu średniego różni się od polityki socyalnej przedsiębiorców i robotników tem, że nie

jest nacechowaną żadnem przeciwieństwem klasowem i to z natury rzeczy, bo stan średni nie chce ani nie może iść przeciwko żadnej klasie, tylko obok innych klas, bo interesy stanu średniego nie są przeciwne interesom innych klas"[1].

Obecnie drobny przemysł i handel ciężki przechodzą okres przesilenia. Wolność przemysłowa zastała sklepikarzy i rzemieślników zgoła nieprzygotowanych do nowych warunków produkcyjnych i życiowych. Rzemieślnik bez odpowiedniego wykształcenia fachowego i kupieckiego, bez oświaty prawie, wciągnięty w wir twardej walki konkurencyjnej z produkcyą fabryczną i organizacyą handlową, dziś tylko z trudem zdoła się utrzymać przy swoim warsztacie. Drobny kupiec z powodu rosnącej liczby spółek konsumpcyjnych i wielkich bazarów i nader gęstego współzawodnictwa traci coraz więcej klientów. I z chwilowego upadku i groźnego przesilenia wyciągnięto wniosek, że drobnomieszczaństwo już się przeżyło i zgoła nie odpowiada nowoczesnym warunkom produkcyi i dystrybucyi dóbr ekonomicznych i dlatego nieuchronnie roztopić się musi w masach proletaryatu.

I ten wniosek nie płynie z przesłanek i nie zgadza się z rzeczywistym stanem rzeczy. Dochodzenia bowiem statystyczne w tym kierunku podjęte, wykazały tylko, że w dziedzinie drobnego przemysłu dokonywają się różne zmiany i przeobrażenia. Profesor Bücher przedstawia nam proces ten w sposób następujący:

1. Niektóre rzemiosła dziś już do szczętu prawie zrujnowała produkcya fabryczna, jak np. drobny przemysł tkacki, wyrób pończoch, obuwia itd.

2. W zakres pracy warsztatowej niektórych rzemiosł wciska się coraz więcej produkcya fabryczna lub wyroby przemysłu domowego lub półfabrykaty. I tak zacieśniło czy przesunęło się znacznie pole pracy kowalskiej, ślusarskiej, tokarskiej itd.

3. Wielkie przedsiębiorstwa fabryczne zakładają własne warsztaty ślusarskie, stolarskie i reparacyjne.

---

[1] Lederer. Mittelstandsbewegung w Archiv für Sozialwissenschaften t. XXXI. (1910) str. 971.

4. Niektóre rzemiosła upadają z powodu zmieniających się potrzeb. Tak naczynia blaszane, porcelanowe zastąpiły naczynia drewniane i cynowe itd.

5. Niektóre gałęzie przemysłu drobnego wypiera przemysł domowy, czyli tz. chałupnictwo, krzewiące się około wielkich magazynów[1].

Jasny i dość wyrazisty obraz tych przeobrażeń i dróg rozwoju drobnego przemysłu podaje nam najświeższa urzędowa statystyka niemiecka z dwu ostatnich lat dziesiątek.

W roku 1882 — czytamy tam — było w Niemczech samodzielnych warsztatów rzemieślniczych bez obsługi czeladnej i motorów 1,877.872. Odtąd liczba ta stale się zmniejsza i wynosi w 1907 roku 1,463.518 warsztatów.

Przyczyna tego ubytku tłómaczy się tem, że jedne się przeżyły, inne z braku warunków rozwoju zmarniały lub starte zostały w opałach nieuczciwej konkurencyi, inne pochłonęła produkcya fabryczna lub praca magazynowa po domach, inne wreszcie rozszerzyły się i przekształciły w warsztaty motorowe lub fabryczne.

Warsztaty bez obsługi czeladnej i motorów:

1882	1895	1907
1,877.872	1,714.351	1,463.518

Warsztaty z obsługą czeladną i motorami: Przyrost w %:

	1895	1907	
2—5 osób	1,220.372	1,682.616	+ 38 %
6—10 „	113.547	149.259	+ 31,4%
11—50 „	77.752	120.883	+ 58 %
51—200 „	15.624	26.279	+ 68,3%
201—1000 „	3.076	5.337	+ 73 %
więcej niż 1000	255	506	+ 98,4%

[1] Bücher: Entstehung der Volkswirthschaft 1904 str. 230.

Zmiany i przeobrażenia w ogólnej sumie warsztatów przemysłowych, wyrażone w procentach.

	1882	1895	1907
Warsztaty bez obsługi	62,5%	54,5%	42,45%
2—5 osób	33,4%	38,8%	48,8 %
6—10 „	2,3%	3,6%	4,35%
11—50 „	1,5%	2;5%	3,5 %
ponad 50 „	0,3%	0,6%	0,9 %

Kto się rozważnie wpatrzy w te cyfry, łatwo zrozumie w najogólniejszych choć przyćmionych zarysach drogi i kierunek rozwoju rzemiosł i przemysłu wogóle w ostatnich trzech dziesięcioleciach w Niemczech.

Uderza tu przedewszystkiem rosnąca stale liczba warsztatów z obsługą czeladników i zaopatrzonych w motory. Wprawdzie i przedsiębiorstwa wielkiego przemysłu niepomiernie się pomnożyły w szybszem stosunkowo tempie niż w przemyśle drobnym, ale w ogólnej liczbie przedsiębiorstw stanowią one bądź co bądź nader mały tylko procent i w ostatniem dziesięcioleciu naszych cyfr liczba ich się znacznie zmniejszyła. Liczba warsztatów samodzielnych z obsługą aż do 10 osób wynosi 95,6% ogólnej liczby przedsiębiorstw.

A dodać tu należy, że okres, który znalazł wyraz w statystyce, przedstawia nam rezultat swobodnego, żadną ustawą ani akcyą obronną niezacieśnionego rozwoju sił ekonomicznych. Akcyę bowiem obronną w ustawodawstwie i w łonie stanu średniego, podjęto dopiero później tak, że jej rezultaty w statystyce żadnego jeszcze nie mogły znaleść odbicia.

Przemysł drobny tedy się nie przeżył. On ma i siły żywotne i warunki rozwoju i swoje uzasadnienie w indywidualnych potrzebach i upodobaniach publiczności.

Warsztat rzemieślniczy zaopatrzony we wszystkie ulepszenia techniki, zasilany odpowiednim kredytem, nie potrzebuje się obawiać konkurencyi fabrycznej.

Wyroby rzemieślnicze wykonane z precyzyą i poczuciem estetycznem na zamówienie według wymagań indywidualnych

publiczności, zawsze będą miały przewagę nad masowymi i szablonowymi wyrobami fabrycznymi. I tu otwiera się szerokie pole dla pracy oświatowej i kulturalnej nad młodzieżą rzemieślniczą, dla przemysłu artystycznego i asocyacyi wszelkiego rodzaju.

Podobnie rzecz się ma z drobnym handlem i wielkimi magazynami, które z natury rzeczy opierając się na wielkim i szybkim obrocie i automatycznej obsłudze, wiele towarów na składzie trzymać nie mogą, ani do wybredniejszych wymagań i upodobań publiczności dostosować się nie są w stanie.

Wreszcie rosnące zarobki i polepszenie się bytu robotników przyczyni się znacznie do umocnienia i wzmożenia się dobrobytu drobnomieszczaństwa już to przez podniesienie kosztów wielkiej produkcyi, już to przez wzmocnienie siły nabywczej robotników. I pod tym względem interes ekonomiczny drobnomieszczaństwa łączy się znowu ściśle z ruchem zawodowym robotników i ograniczeniem rozwoju wielkiej produkcyi. Topniejąca liczba wielkich przedsiębiorstw w drugiem dziesięcioleciu naszej statystyki, zdaje się, w ścisłej jest łączności z rosnącym ruchem zawodowym robotników.

To też socyaliści częstokroć, wśród walki wyborczej podając swój program w opaczne rozumienie, przekuwają fakt ten na złudne hasło wyborcze . „Stan średni i drobnomieszczaństwo, pisze świeżo berliński „Vorwärts", powinny w dobrze zrozumianym interesie iść razem z socyalną demokracyą. (!) Gdy niemiecka klasa robotnicza nie będzie miała wystarczającego zarobku i odpowiedniej płacy, przepadnie stan średni. Przy dobrym natomiast zarobku robotników i drobny handel się utrzyma".

Oczywiście w ogólnym procesie produkcyjnym i w akcyi zaopatrzenia ludności w dobra materyalne przemysł drobny stosunkowo nie duże ma znaczenie. Podstawą bowiem naszej produkcyi i dystrybucyi dóbr ekonomicznych i żywotną sprężyną naszego życia gospodarczego jest indywidualistyczny system kapitalistyczny, który dzięki twórczej inicyatywie dzielnych jednostek i zbiorowym siłom finansowym i robotniczym zdołał z łona przyrody i społeczeństw ludzkich wydobyć z uśpienia nieskończoną ilość sił produkcyjnych i ogólną wytworzyć podstawę mate-

ryalną i warunki dla zbiorowej pracy nad gmachem naszej cywilizacyi.

Ale w dziedzinie produkcyi obok wielkiego przemysłu i drobny ma ważną funkcyę do spełniania. Jego zadaniem głównem zaspakajać indywidualne potrzeby ekonomiczne publiczności. Zapewne ruch drobnomieszczański nie miałby warunków rozwoju, gdyby utknął w martwym konserwatyzmie, gdyby nie uwzględnił potrzeb naszego wieku i nie zastosował się do wymagań jego w dziedzinie produkcyi i dystrybucyi. Sztucznie za pomocą środków ustawodawczych i administracyjnych utrzymywać to, co się przeżyło i wytrawiło, co już nie wypada do miary naszej kultury — znaczyłoby ogromną wyrządzić szkodę ludności i społeczeństwu i cywilizacyi.

Ale oprócz funkcyi ekonomicznej w dziedzinie produkcyi ma jeszcze stan średni dużo ważniejszą funkcyę, jak już powyżej wspomnieliśmy, w życiu społecznem do spełnienia.

Kto w polityce socyalnej ma tylko na oku jak największe quantum dóbr ekonomicznych, niedoceni nigdy doniosłej roli i znaczenia stanu średniego dla rozwoju społeczeństwa i cywilizacyi wogóle. Polityka socyalna, ograniczająca się do obrony i popierania wyłącznie stanu średniego, jest niewątpliwie jednostronna i zacofana. Bo jak równość pod strychulcem masy nie może być celem życia społecznego, tak mierny dobrobyt ogółu nie może być ideałem życia ekonomicznego całego społeczeństwa.

Życiowe prawdy te doskonale zrozumiał syndykalizm, który w imię indywidualizmu podjął walkę z wszystko niwelującym socyalizmem państwowym. Ale żeby społeczeństwo mogło wspinać się na wyżyny dobrobytu i bogatej kultury, musi wpierw dobrobyt i wolność rozlać się na szerokie masy i otrzeć je z barbarzyństwa i niewoli. Pierwszym zaś krokiem ku temu jest wzmożenie się stanu średniego. Bo tylko praca i wolność na własnym gruncie i przy własnym warsztacie jest potężną i nieodzowną dźwignią kultury.

(C. d. n.)

Ks. Leonard Lipke.

NAJNOWSZA METODA NAUCZANIA.

Od czasu, gdy dzięki Herbartowi i jego szkole, pierwiastek wychowawczy nauczania, znany już i w wiekach średnich, silniej zaznaczonym został, gdy zaczęto głosić, że bez nauczania niema wychowania,[1] główne wysiłki pedagogów zwróciły się w kierunku poszukiwania metody, któraby odpowiedzieć mogła nowym wymaganiom, postawionym szkole i była oparta na zasadach psychologii i fizyologii.

W Niemczech, Francyi i Anglii powstała obszerna literatura w dziedzinie pedagogiki naukowej, t. j. takiej, która się nie zadawalnia tradycyą, naśladowaniem wzorów gotowych, nie poprzestaje też na samem doświadczeniu, ulotnych prawidłach i gotowych receptach, lecz tworzy system prawd filozoficznych.

Istnieje dziś ruch potężny w kierunku nauczania wychowawczego. Przejęci nim są ludzie, którzy wraz z Michelet'em wierzą, że „nauczanie zawsze mieć może wpływ moralny, w najwyższym stopniu wychowawczy i oświecając umysł, kieruje zarazem życiem duszy".

Drogi, na które dzisiejsza szkoła wkracza, zupełnie są odmienne od dawnych. Mogą one wzbudzić nawet pewne niedowierzanie u tych, co się zżyli z utartemi przez całe wieki ścieżkami. Słusznie mówi Meumann, że „tak wielka jest różnica pomiędzy dzisiejszym stanem pedagogiki a dawnym, jakiej nie

[1] Por. *F. Guex*, Rapport sur l'enseignement éducatif. Genève, 1897.

Marcel Mauxion, L'éducation par l'instruction et les théories pédagogiques de Herbart. Paris. Alcan. 1901.

dostrzegamy w żadnej dziedzinie życia i nauki. Ta różnica tem silniej się zaznacza, im bardziej cofniemy się w przeszłość; a nawet początek w. 19-go przedstawia zupełnie odmienny obraz pedagogiki, jako nauki i jako praktyki, niż czasy obecne".[1]

Na najniższym stopniu rozwoju dydaktyki myślano, że udzielanie uczniom pojęć gotowych i większej lub mniejszej ilości wiedzy książkowej stanowi główne zadanie nauczania. Największą uwagę zwracano nie na ustrój psychiczny podmiotu, lecz na przedmiot wykładany, przypisując mu znaczenie wychowawcze.

Pozostałości tego poglądu pierwotnego i dziś jeszcze w szkołach spotkać można. „Wielu z dziwną naiwnością myśli, że umysł dziecka sam przez się przyswoi przedmioty, przez nich wykładane, i że te ostatnie wywrą nań wpływ wychowawczy. Pogląd taki, szczególniej przy nauczaniu religii, był przyczyną wielu złych następstw. Zdanie, że nauczyciel powinien tylko znać swój przedmiot i że metoda jest zbyteczną, zasługuje na odrzucenie".[2]

Wielcy dydaktycy w. 17-go, Ratychiusz i Komeński zwrócili uwagę na psychologiczny moment nauczania. Głoszone przez nich poglądy stanowiły wielki postęp. Szczególniej genialny Komeński w swej „*Didactica magna*", wydanej w r. 1632, podaje szereg prawideł zasadniczych, które i dziś jeszcze mają swą wartość; a nawet, powiedzieć można, że dopiero w nowszych czasach poglądy Komeńskiego w całej pełni zastosowanie znalazły. Pomimo, że dzieła jego cieszyły się uznaniem współczesnych i doczekały się licznych przekładów, jak n. p. „*Janua linguarum reserata*",[3] Komeński przez swych współczesnych zrozumianym nie został. Posunął on jednak znacznie szkolnictwo i na nowe tory wprowadził nauczanie.

---

[1] *E. Meumann*, Die gegenwärtige Lage der Pädagogik. Zeitschrift für päd. Psychologie 1911, IV. 193.

[2] *W. Rein*, Encyklopädisches Handbuch der Pädagogik. Langensalza 1906, V. 845.

[3] „Brama języków otwarta", wydana w r. 1631, przetłómaczoną została na jęz. grecki, polski, szwedzki, flamandzki, angielski, francuski, hiszpański, włoski, węgierski, turecki, arabski, perski, mongolski.

W wieku 18-tym pedagodzy fachowi i przygodni, jak Rousseau, Basedow, Lessing, Herder, Olivier, Campe i inni, starali się zastosować metodę nauczania do właściwości umysłu dziecięcego. Trudy, podjęte przez nich na polu dydaktyki, doprowadziły ułatwianie nauki do przesady. Starano się możliwie zmniejszyć osobistą pracę uczących się, osłodzić ją, a nawet zamienić na zabawę. Zapomniano przytem, że bez wysiłku umysłu nie może być mowy o jego rozwoju i że więc zbyteczne ułatwianie nauki prowadzi do płytkości umysłowej. W końcu, wynajdywanie coraz to łatwiejszych metod doprowadziło do czczego formalizmu i podkopało zarazem zaufanie do „metody" wogóle.

Wiek 19-ty przyniósł tu reakcyę, zapoczątkowaną jeszcze przez Pestalozziego. Filozofowie-pedagodzy: Immanuel Kant [1] (1724—1804), Daniel Schleiermacher [2] (1768—1834) i Jan Fryderyk Herbart [3] (1776—1841) za główny cel nauczania uważają wyrobienie silnego charakteru moralnego, a przez to zapoczątkowują, ściślej mówiąc, wskrzeszają, stosowane już przed nimi w szkołach Jezuitów i w „*Ratio studiorum*" polecane, n a u c z a n i e w y c h o w a w c z e.

Prace Herbarta w kierunku metody podjął i rozwinął Tuiskon Ziller, profesor na uniwersytecie w Lipsku. On też za cel nauczania uważa wyrobienie moralnej siły charakteru (sittliche Charakterstärke) i żąda, żeby każda godzina wykładowa zmierzała ku temu celowi. Nauczyciel powinien uważać swój przedmiot jedynie z a ś r o d e k oddziaływania na wolę dziecka, aby mu dać określone i trwałe wyrobienie duchowe, zgodnie z powziętym planem.[4]

Cechę dzisiejszej pracy pedagogicznej stanowi ten rys znamienny, że nie tylko pedagodzy i filozofowie jej się oddają, ale coraz to szersze koła okazują żywe zainteresowanie do zadań wychowawczych. Dziś wszystkich przenika świadomość, że

---

[1] „Über Pädagogik".

[2] „Schleiermachers Erziehungslehre".

[3] „Allgemeine Pädagogik, aus dem Zwecke der Erziehung abgeleitet", (1806).

[4] Por. *Dr. Karl Just,* Allgemeine Pädagogik von Tuiskon Ziller, [3] Leipzig, 1892.

wychowanie stanowi obowiązek święty, społeczny, który każdego obchodzić powinien.

„Praca pedagogiczna nie ogranicza się już dziś do pojedyńczych, zapalonych do swego dzieła pedagogów i filozofów, lecz biorą w niej jednakowy udział: nauczyciel i profesor uniwersytetu, medyk — jako lekarz, fizyolog, patolog i psychiatra, prawnik, zajmujący się przestępcami młodocianymi, duchowny i dyrektor zakładu, artysta, troszczący się o udział szkoły w ruchu estetycznym naszych czasów, wreszcie rodzice, przedsiębiorcy i kupcy, którzy rozumieją wielkie znaczenie dla swych interesów celowo wykształconego młodego pokolenia".[1]

Ten współudział wszystkich w pracy pedagogicznej dowodzi, że zrozumiano znaczenie nauczania wychowawczego i decydujący wpływ szkoły; dlatego też każdy stan i zawód chce mieć wpływ na szkołę.

Wszelkie jednakże reformy w szkolnictwie, o ile mają przynieść owoce pożądane, a nie być eksperymentem niebezpiecznym, zdolnym okaleczyć duchowo pokolenie młode, powinny być dziełem osób, z odpowiedniem fachowem wykształceniem pedagogicznem. Najlepszemi nawet chęciami ożywieni profani mogliby tylko zamęt wprowadzić w dziedzinę tak ważną. Samouctwo zaś w pedagogice przy teraźniejszym stanie kultury uważać można za zupełnie wykluczone.

W ostatnich dziesiątkach lat wspólna praca wielu wybitnych sił pedagogicznych pchnęła nauczanie szkolne na nowe tory. Zaprowadzono w niem gruntowne zmiany pod względem rzeczowym i formalnym. Trzebaby dzieła osobnego, a nawet dzieł kilku, żeby dokładnie je opisać i uzasadnić. Zadaniem tych kartek jest raczej rzut oka na ważniejsze zasady, któremi się kieruje szkoła nowoczesna i wypływające stąd zmiany w sposobie nauczania.[2]

---

[1] *Meumann*, Die gegenwärtige Lage der Pädagogik, str. 194.

[2] Literatura, podana w przypisku przy końcu tego artykułu, zaznajomić może czytelnika ze szczegółami nowoczesnego ruchu pedagogicznego w kierunku psychologicznej metody nauczania.

Hasłem szkoły dzisiejszej jest samodzielność. „Samodzielna praca ucznia", to zasadnicza formuła szkolna. Dawna metodyka wiele mówi o tem, co nauczyciel powinien czynić, jak się zachować, jak wykładać; dzisiejsza — punkt ciężkości przenosi na ucznia. Uczeń nie powinien być maryonetką w ręku nauczyciela. Wogóle nie chodzi tu o współpracownictwo nauczyciela, ale o postawienie ucznia w możności dociekania do wszystkiego samemu. „Tajemnica siły" nauczyciela polega nie na działaniu na ucznia, przez ucznia, z uczniem, lecz na doprowadzeniu go do tego, żeby sam do wszystkiego dochodził i sam wszystko zdobywał.

„Samemu zachować się biernie, a ucznia w stan czynny wprowadzić, jest żądaniem dzisiejszem, mówi dr. Hugo Gaudig.[1] Nauczyciel powinien ciągle doświadczać na sobie głębi moralnej tych słów: „On ma rość, a ja się umniejszać"... Potrzeba wiele woli i wiele energii, aby obudzić w uczniach energię i wolę; niemniejszego jednak trzeba też powstrzymywania swej energii i woli".

Wprawdzie bez pracy przymusowej szkoła obejść się nie może, lecz trzeba ograniczyć ją możliwie, a zarazem przedstawić w formie zachęcającej i pobudzającej do samodzielności. Po dłuższej lub krótszej chwili pracy przymusowej, w czasie której nauczyciel jest na pierwszym planie, następuje swobodna praca ucznia. Godzina wykładowa przedstawia więc przejścia od pracy przymusowej do swobodnej i odwrotnie. Zakończenie godziny powinna stanowić praca swobodna.

A więc forma narzucona, gdy to jest koniecznem, forma swobodna, gdy to jest możliwem. Ten przepis formalny wpłynął w wysokiej mierze na treść nauczania. Wyrzucono ze szkoły taki materyał naukowy, który może być tylko „przekazanym", a nie przerobionym przez dziecko. Za punkt wyjścia dla nauk religijnych i historycznych służą źródła, z których dzieci uczą się czerpać; pogłębia to i uzasadnia przedmiot wykła-

[1] *Dr. Hugo Gaudig*, Die Arbeitschule als Reformschule. Zeitschrift für päd. Psychologie, 1911, XI. 550.

dany.[1] Usunięto też nadmiar przedmiotów ze szkoły, bo wielowiedza przeszkadza do pracy samodzielnej. Szkoła dzisiejsza krytycznie się odnosi do przedmiotów, które nie mogą wzbudzić trwałej chęci do pracy, zamiłowania do niej i zainteresowania. Wielkiej zmianie uległ też plan nauk, a także ustrój szkoły. Przy teraźniejszym sposobie uczenia łatwiej poznać można zdolność i niezdolność dziecka, bo uczeń nie może się tu popisywać pracą swego nauczyciela, rodziców, korepetytora lub kolegi, tylko swoją własną.

Dzisiejsza „szkoła pracy" (Arbeitsschule), przez to właśnie, że wymaga pracy samodzielnej, rozwija energię, wytrwałość, poczucie odpowiedzialności, samokrytykę i inne przymioty, będące owocem samodzielności.

W taki sposób „szkoła pracy" staje się miejscem wychowania moralnego, a przez to zapewnia przyszłość narodowi. Zamiast dawnego przymusu i obarczania pamięci dziecka materyałem naukowym, szkoła stara się przedewszystkiem dopomódz dziecku do wyrobienia światopoglądu, do zajęcia określonego stanowiska względem świata i życia, do wzmocnienia woli i nabycia moralnej siły charakteru.

Ponieważ do osiągnięcia wychowawczych celów nauczania niezbędnem jest swobodne wypowiadanie się dzieci i przyjacielski z nimi stosunek, szkoła dzisiejsza wielką wagę przywiązuje do mówienia dzieci, poświęcając mu nieraz lwią część wykładu.

Dziecko przynosi do szkoły cały świat myśli, spostrzeżeń i wrażeń. To wszystko stanowi podstawę naturalną i punkt wyjścia dla nauczyciela. Na początku lub w czasie godziny wykładowej wciąga on dzieci do rozmowy. Szczerze i swobodnie wypowiadają one co robiły, co myślą i czują, czego pragną, każdy swym językiem czy dyalektem, którego nie trzeba zbyt

[1] Prawdy katechizmowe są czerpane z historyi biblijnej, ewangelii, listów apostolskich. Za źródła do historyi Kościoła służą zabytki z czasów pierwszych chrześcijan, listy, życiorysy, postanowienia soborów, historya papieży i t. d. Do historyi kraju ojczystego służą też źródła, wydane dla szkół, jak n. p. do historyi Niemiec: „Quellenbuch für den Unterricht in der deutschen Geschichte" von Albert Richter. [6] Leipzig, 1909.

wcześnie poprawiać lub ganić. Dzieci nabierają przez to wprawy w mówieniu i zaspakajają zarazem popęd naturalny: dzielenia się swemi wrażeniami. W taki sposób materyał doświadczeniowy dziecka stanowi dorobek duchowy całej klasy, z którego wszyscy współtowarzysze korzystają.

Jednak pojęcia dziecka są często niejasne, powierzchowne. Pod niedostrzegalnym kierunkiem nauczyciela dzieci mają uzupełnić swą wiedzę. Nauczyciel powinien zwrócić uwagę dziecka na jak? dlaczego? na co? czem? i przez to pogłębić jego życie duchowe. To co dziecku zdawało się dotąd jasnem, staje się przedmiotem powątpiewania, zastanowienia się i rozwagi.

Taki wykład nie ma nic wspólnego z „nauką o rzeczach" (*leçon de choses*), która łatwo się przeradza w czczą gadaninę. Nie ma też nic wspólnego z przesadą naszych czytanek, które dziecku miejskiemu mówią o krowie i owcy, a dziecku wiejskiemu o tramwajach i wielkich magazynach. Psychologiczno-pedagogiczny kierunek każe zaczynać naukę dziecka od świata, w którym się ono obraca, od poznawania swego otoczenia, od zwierząt i roślin, które wciąż widzi; za punkt wyjścia służyć mają małe rzeczy jego małego światka.

Co za radość dla dziecka, gdy zrozumie n. p. ile ludzi pracować musi, zanim jego śniadanie znajdzie się na stole, albo zanim karta pocztowa dojdzie do rąk jego rodziców. Wówczas budzi się w nim zainteresowanie do przedmiotów i życzliwość dla ludzi, którym tyle zawdzięcza! „To jest podstawą wychowania społecznego, humanitarnego, a nawet religijnego, mówi Ernest Keller.[1] Wlewa to w serce dziecka, nawet bez słów nauczyciela, uczucia radosne i pobożne".

Osobista, pełna życia nauka poglądowa ma tę przewagę nad książkową, że odpowiada naturze dziecka i wzbudza w niem zainteresowanie, a przytem pozostawia wrażenie niezatarte. Wówczas gdy przy czytaniu dziecko zachowuje się biernie, tu jest czynnem. Chce ono ciągle opowiadać, pytać, naśladować

[1] Neueste Lehrmetoden. Das Buch vom Kinde. Teubner, Leipzig, 1906, II, 42.

ruchami i, co nie jest małoważnem, śmiać się i swej radości innym udzielać.

Zdawaćby się mogło, że naturalna metoda nauczania idzie w parze z pewnem rozluźnieniem pod względem karności w klasie. Lecz tak nie jest. Wprawdzie ciągłe mówienie dzieci i wywoływane tem poprzednie podnoszenie rąk i podnoszenie się z miejsc sprawia, że są bezustannie w ruchu, ale karności to nie wyklucza. A nawet przepisy karności w szkołach nowych są bardzo ścisłe. I tak n. p. przepisy dla szkoły wzorowej przy uniwersyteckiem seminaryum pedagogicznem w Jenie głoszą co następuje: „Ponieważ nauczanie wówczas tylko udać się może, gdy w klasie panuje największy porządek, więc nauczyciel, skoro dzieci zajmą swe miejsca, powinien zwrócić uwagę na następne szczegóły: Dzieci mają siedzieć przyzwoicie, lecz swobodnie na swych miejscach. Oczy mieć zwrócone na nauczyciela. Ręce położyć spokojnie na stole. Nogi również trzymać spokojnie... Wykład nie powinien się zacząć, dopóki spokój nie zapanuje w klasie".[1] Dalej następuje szereg wskazówek szczegółowych, dotyczących sposobu zachowywania się dzieci i postępowania nauczyciela. Nakazanem jest rządzenie jędrne; rozkazy powinny być krótkie, wyraźne, stanowcze. To wszystko sprzyja wyrobieniu charakteru dzielnego, moralnego. Miękkość bowiem prowadzi do niemoralności i osłabia wolę.

Te przepisy karności nie przeszkadzają jednak swobodzie, niezbędnej do pracy samodzielnej. Dawniej, gdy nauczanie polegało na mówieniu, a uczenie się na słuchaniu uważnem, dzieci siedziały całemi godzinami jak przygwożdżone do ławek. Każde poruszenie, spojrzenie było kontrolowane i ganione. Dziś klasa przedstawia rodzaj parlamentu. Nie wystarcza, że jedno z dzieci jest czynne; cała klasa pracuje jednocześnie. Odpowiedź ucznia nie nauczyciel krytykuje, lecz klasa. Każde z dzieci ma prawo i obowiązek przytoczyć jakieś uzupełnienie, może wyrażać swe wątpliwości, zadawać pytania współtowarzyszowi; ten zaś odpowiada, zbija zarzuty, broni się. Wszystko

[1] Ordnung des pädagogischen Universitäts-Seminars und seiner Übungsschule in Jena.

się odbywa w porządku parlamentarnym. „Nauczyciel jest tu tylko przewodniczącym, co najwyżej rozstrzygającym sędzią, nigdy mówcą, rzadko dyskutującym; im bardziej zdaje się niepotrzebnym, tem lepiej spełnił swe zadanie“ [1].

Nietylko przy powtórzeniach powyższa forma nauczania zastosowywaną bywa, lecz i przy omawianiu przedmiotów nowych. E. von Sallwürk rozwija to obszerniej.[2] Uczniowie wypowiadają, co wiedzą o danym przedmiocie z własnego doświadczenia i z książek. Wymiana myśli odbywa się w sposób żywy, gdyż dzieci mogą się zwracać z pytaniami i dysputować ze sobą. Tę nowość śmiałą, lecz zastosowaną do natury młodzieży, zawdzięczamy w wielkiej mierze Hugo Gaudigowi. Dzieci bardzo lubią podobny sposób prowadzenia wykładu; godzina upływa zwykle zbyt szybko dla nich; na nudzenie się niema tu miejsca.

Psychologiczno-pedagogiczny kierunek nowoczesny nie uznaje czytania i pisania za przedmioty elementarne i uważa je za przedwczesne przynajmniej w pierwszym roku szkoły początkowej.

Najdalej w tym kierunku idzie Artur Schulz.[3] Żąda on, żeby dziecko zaczynało się uczyć w 8-ym roku życia, a nauka czytania i pisania, jak również wszystkie „przedmioty“ odłożone zostały do 12-go roku życia.

Już Pestalozzi ze swą niedostateczną psychologią doszedł do przekonania, że tak zwane przedmioty „elementarne“ (czytanie, pisanie, rachowanie) takiemi nie są, bo wymagają od dziecka bardzo złożonej pracy umysłowej, którą poprzedzać powinno przygotowanie odpowiednie.

Dzisiejsza analiza pracy umysłowej wykazuje słuszność dowodzeń Pestalozziego. Czytanie i pisanie są to czynności złożone. Na czytanie składa się czynność optyczna: widzenie kształtu liter; mówienie wewnętrzne i wyższa czynność myślowa: pojmowanie znaczenia wyrazów oddzielnych i całości.

---

[1] *E. Keller*, Neueste Lehrmethoden, str. 42.

[2] Haus, Welt und Schule, Wiesbaden, 1902.

[3] *Artur Schulz*, Mehr Kenntnisse! Weniger Zeit! Berlin 1899. Der Mensch und seine natürliche Ausbildung, [2] Berlin.

Spostrzeganie i odróżnianie kształtu liter wymaga bardzo rozwiniętego pojmowania kształtów wogóle, bo litery nie przedstawiają form prostych, lecz złożone połączenia kresek i łuków. Że dziecko sześcioletnie nie posiada tak dokładnego pojmowania form, żeby mogło odróżnić kształt liter w ich wszystkich odcieniach, o tem przekonać się można przez proste doświadczenia, co do jego pojmowania form.

Doświadczenia też wykazują, że „mowa wewnętrzna" jest niezbędna do zrozumienia tego, co czytamy. W 6-tym roku życia mowa dziecka wogóle nie jest rozwinięta; stąd wadliwe mówienie wewnętrzne, co opóźnia i przeszkadza czynności czytania.

Wreszcie rozumienie znaczenia wyrazów i łączności pomiędzy nimi wymaga z jednej strony kojarzenia znaków optycznych ze znaczeniem wyrazów, z drugiej, przedstawiania sobie tego, co się czyta. Reprodukcya słabo jest rozwinięta u dzieci sześcioletnich; stąd mają skłonność do czytania bezmyślnego.

Pisanie liter przedstawia też wiele trudności. Dziecko sześcio- i siedmioletnie pozostaje na stopniu schematu, nie może opanować trudności odtwarzania form; pisanie zatem przewyższa jego zdolności rysunkowe.

Wreszcie czytanie i pisanie nie przedstawiają dla dziecka żadnego interesu, są dla niego czysto formalnemi ćwiczeniami, których znaczenia nie rozumie, bo nie dają mu żadnego pokarmu umysłowego, przynajmniej czytanie syntetyczne.

Wywody powyższe nie zaprzeczają możliwości nauczenia się czytać i pisać w bardzo wczesnym wieku. Lecz będzie to raczej machinalną pracą ze strony dziecka, nie przynoszącą mu istotnego pożytku i nie wzbogacającą jego umysłu. Zbyt wczesne opanowanie techniki czytania jest nawet bezcelowem, bo przecież dziecko nie z książek ma czerpać pierwsze początki nauk.

Nauka poglądowa również na inne tory weszła w szkole dzisiejszej. Zamiast obrazków i wzorów — rzeczywistość. Nauczanie odbywa się nietylko w klasie, ale na podwórzu, w ogrodzie, na polu i w lesie. Artur Schulz radzi nie przynosić kłosa

do klasy, lecz dzieci mają oglądać go na polu, „gdzie ziemia, pług, obłoki, wiatr i słońce się przyczyniły do jego wytworzenia"... „Do powstania kłosa przyczyniły się siły naturalne obok Boskich i ludzkich. Dla wyjaśnienia tych sił potrzebujemy zaznajomienia się ze wszelkiemi naukami: botaniką, fizyką, chemią, meteorologią, naukami społecznemi, religią i t. d. Taki wykład wśród przyrody zaostrza też zmysły dzieci. Poznają one barwy wysoko w powietrzu lecącego ptaka... po pniu poznają drzewo, nie widząc jego liści"...

„Przy takim sposobie nauczania dziecko staje się samodzielnem i szczerem, nabywa siły charakteru. Bez przymusu dochodzi ono do poznania Boga i Jego potęgi, i do miłości ku Niemu. Po takiem wszechstronnem przygotowaniu formalnem i rzeczowem przy następujących potem przedmiotowych wykładach szkolnych czyni szybkie postępy".[1]

Nauczyciele szkół w Ameryce (w St. Louis, w Great Salt Lake City) prowadzą dzieci wielkomiejskie na podwórza ferm; tam dzieci z przyjemnością się przyglądają życiu ptactwa i zwierząt domowych. Wiodą też je do warsztatów rzemieślników, n. p. kowala, ślusarza; obraz ich pracy zapełnia potem umysł dzieci, urozmaica ich gry i służy za podstawę do uczuć społecznych w latach późniejszych.

John Dewey [2] wyjaśnia swym uczniom poglądowo rozwój ludzkości na przetworach włókien bawełny.

Taki sposób nauczania na pierwszy rzut oka zdaje się narażać dziecko na stratę czasu. W istocie jednak tak nie jest; przeciwnie, trwalsze i pewniejsze osiąga się tu wyniki w stosunkowo krótszym czasie, niż przy nauczaniu książkowem.

Nauka robót ręcznych gra w szkole dzisiejszej poważną rolę. Praca ręczna, przeważnie lepienie z plasteliny, towarzyszy każdemu prawie wykładowi, szczególniej w klasach niższych, i służy za środek do wytworzenia jasnych, dokładnych pojęć

---

[1] *Ernst Keller*, Neueste Lehrmethoden, str. 38.

[2] *John Dewey*, Schule und öffentliches Leben. Aus dem Englischen übersetzt von Else Gurlitt. Berlin, 1905.

o danym przedmiocie. Zdanie Fr. Fröbla, że „człowiek to tylko jasno rozumie, co potrafi przedstawić", znalazło dziś wśród pedagogów uznanie i zastosowywanie.

W istocie, zupełnie inaczej dziecko pozna i opisze dany przedmiot, gdy potrafi ulepić go z gliny, plasteliny, narysować go, lub wyciąć z papieru.

Praca ręczna przyczynia się też do rozwoju umysłowego i do wyrobienia charakteru. „Uwaga i spokój niezbędne przy pracy, mówi Ernest Keller,[1] przychodzą same przez się. Wola powściąga popęd do ruchliwości nadmiernej; wraz z panowaniem nad ciałem zaczyna się wyrabiać charakter"...

Dr. Kapff w Wertheimie założył przy szkole nietylko ogród ale i warsztaty; jego uczniowie sami wyrabiają narzędzia. A na wystawie wszechświatowej w St. Louis w Ameryce w 1904 roku widniał wzór szkoły w 20-tym w., przedstawiający zamiast klas warsztaty. Pod obrazem był napis następny: „Wychowanie w 20-tym w. — Uznanie konieczności kształcenia oka i ręki, które niemniej jest ważnem niż kształcenie umysłu".

Dzisiejszy psychologiczno-pedagogiczny kierunek słusznie podkreśla znaczenie pracy ręcznej, szczególniej dla dzieci mało zdolnych, jako środek do ich rozwoju umysłowego. Zwłaszcza dziś, w wieku nerwowości i towarzyszącej jej skłonności do zepsucia moralnego, praca ręczna dla chłopców jest wprost lekarstwem. Dziecko potrzebuje możności wyładowania swej energii. Praca stolarska, ślusarska i t. p. stanowi zdrowe i pożyteczne ujście dla budzących się sił. Broni dzieci zarazem od wielu zboczeń i towarzyszących im kar. To też w kierunku potrzeby pracy ręcznej dla chłopców powstała w nowszych czasach obszerna literatura.[2] Istnieją też osobne pisma, poświę-

[1] Neueste Lehrmethoden, str. 37.

[2] *A. Pabst*, Die Knabenarbeit in der heutigen Erziehung. Teubner, Leipzig, 1907 — *H. Bendel*, Der Handfertigkeitsunterricht in englischen Volksschulen. Zurich, 1901. — *F. Hueppe*, Die hygienische Bedeutung der erziehenden Knabenarbeit. Leipzig, 1889. — *F. Hueppe*, Über Unterricht und Erziehung vom sozial-hygienischen und sozial-anthropologischen Standpunkte. Sonderabdruck aus der Zeitschrift für Sozialwissenschaft. Berlin, 1905. — *F. Baumann*, Zehn Jahre Arbeitsunterricht, Hildesheim, 1900. — *M. Enderlin*, Erziehung durch Arbeit, Leipzig, 1903. — *M. Mittag*, Über die psychologischen Grundla-

cone tej sprawie, jak n. p. „Blätter zur Förderung der Knabenarbeit“ w Lipsku wydawane. „Blätter zur Förderung der Knabenarbeit“ w Wiedniu. „Schweizerische Blätter für Knabenarbeit“ w Zurichu. — W Niemczech i Austryi powstały związki „pracy ręcznej dla chłopców“.

Ruch ten z radością powitać należy; jednak strzedz się tu trzeba przesady. Praca ręczna, dzieci powinna być uzupełnieniem, niekiedy podstawą dla nauki; nigdy jednak głównym celem szkoły ogólno-kształcącej. Służy ona do wyrabiania charakteru, szczególniej woli; jednak nie kosztem rozwoju umysłowego zdobywać je należy. Tylko harmonijne i wszechstronne rozwijanie władz duchowych dziecka przyczyni się do wytworzenia osobistości, pełnych charakteru.

Dzisiejsze nauczanie, wkraczając na nowe tory, zbliżyło się do metody idealnej, ciągle poszukiwanej. „Metoda bowiem może być tylko jedna, tak jak jedne są prawa psychiczne, mówi W. Rein. — Metoda ta jest ideałem. Nie posiadamy jej, lecz do niej dążymy. Im jaśniejszy będzie pogląd na prawa psychiczne, zdobyty za pomocą doświadczeń czy też obserwacyi, tem pewniej znaleźć można będzie prawidłową metodę nauczania“.[1]

Szkoła nowoczesna zakreśla sobie cel wysoki. Czy do osiągnięcia możliwy? Tak, o ile szkoła nie wyobrazi sobie, że go już osiągnęła. Stan spokoju jest cofaniem się. — W szukaniu dróg nowych pożądanem byłoby porozumiewanie się wzajemne nauczycieli i szkół ze sobą. W taki sposób dorobek doświadczeniowy jednych stałby się własnością wszystkich i posunąłby naprzód całe szkolnictwo. *K. Proczkówna.*

---

gen des Handarbeitsunterrichtes „Blätter für Knabenarbeit“, 1904, Nr. 7—12. — *H. Scherer*, Der Werkunterricht nach seiner soziologischen und physiologisch-pädagogischen Begründung. Berlin, 1902. — *R. Rissmann*, Der Handarbeitsunterricht der Knaben. Sonderabdruck aus Reins „Enzyklopädischen Handbuch der Pädagogik“, [2] Langensalza, 1905, i in.

[1] *W. Rein.* Encyklopädisches Handbuch der Pädagogik. [2] Langensalza, 1906, V. 846.

Z POWODU I. WYSTAWY WSPÓŁCZESNEJ SZTUKI KOŚCIELNEJ W KRAKOWIE.

Myśl urządzenia wystawy współczesnej sztuki kościelnej polskiej była śmiała i posiadała tę ważną zaletę, że była żywotna i utrafiała w rzeczywiste potrzeby społeczeństwa.

Mimo wzmożonych trudności wykazuje myśl i życie katolickie u nas coraz większe wzmaganie się, ową niespokojną życiową falę, która je pcha do ruchu i działania, która nie może zadowolić się starczem używaniem pozostałości z lepszych czasów, ale czuje konieczność rozszerzania swych potrzeb i szukania sposobów do ich zaspokojenia. Już od długiego czasu dawała się odczuwać potrzeba pomnożenia kościołów na wszystkich niemal obszarach ziem naszych, Mimo że już wiele starych powiększono a wybudowano nowych i w miarę sił pracowano nad wyposażeniem ich w przedmioty do kultu należące, potrzeba trwa dalej, a to, co dotychczas dokonano, może być uważane za początek tego ruchu, który ma zadość uczynić wzmożonym wymaganiom żywej religości.

Wystawa utrafia w to wzmożone tętno religijnego życia i dlatego odrazu spotkała się z życzliwem zainteresowaniem się sfer czujących po katolicku, Oczekiwano jej otwarcia z żywem zajęciem, śledzono przygotowanie, wyglądano jej niemal z tem dziwnem uczuciem, z jakiem w rodzinie oczekują chwili zjawienia się upragnionej dzieciny, którą już naprzód wyposaża się we się upragnionej dzieciny, którą już naprzód wyposaża się we wszystkie przymioty, jakieby się chciało w niej ujrzeć.

Ale w takiem usposobieniu tai się niebezpieczeństwo, że doznawszy niespodziewanego zawodu, pod wpływem rozczarowa-

nia łatwo może doprowadzić do sądów za surowych, może nawet nie uzasadnionych.

Faktem jest, że wystawa sztuki kościelnej w Krakowie po swem zrealizowaniu wywołała i zostawia po sobie wielki niesmak, gdzieniegdzie nawet żal do jej twórców.

W rozmowach, które się toczyły pod wrażeniem dzieł oglądanych, nierzadko padały przykre słowa o jakiemś bezeceństwie, o profanowaniu i zbezczeszczeniu rzeczy świętych, mówiono o obrazie uczuć religijnych, zjawiały się nawet nieśmiałe przypuszczenia, czy też nie jest ona przypadkiem prowokacyą społeczeństwa katolickiego — a do tych słów oburzenia u osób poważnych, szczególną dawały ilustracyę śmiechy i chychoty co chwila wybuchające w grupach mniej poważnych, pod wpływem uciesznych spostrzeżeń przed dziełami, które z natury swej powinneby były wszelkie tego rodzaju spostrzeżenia uchylać i w zarodku utrącać.

Było więc zgorszenie z tego, co oglądano na wystawie i nie dziw, że pojawiło się zdanie, że lepiej było nie robić wcale wystawy, aniżeli robić ją taką, jaka jest.

Co więcej zdania podobne padały nie tylko z ust przekonanych i poważnych katolików, ale też z ust takich osób, których uczuć wystawa nie dotykała wcale.

Tak było.

W ogólności mówiąc, nie podzielamy tego sądu jako zbyt surowego, zbyt jednostronnego. Nie potępiamy wystawy. Jaką ona jest, taką jest, jednakowoż dobrze się stało, że jest i gorzejby było, gdyby nie była doszła do skutku. Że wystawa doszła do skutku, oznacza to, że sztuka religijna jest, że nie zanikła jeszcze całkiem wśród stosunków dla niej nieprzyjaznych lub wprost wrogich. Istnieje ona; — może słaba, może anemiczna, może nawet rachityczna, wszystko to być może, ale w każdym razie istnieje: problem sztuki religijnej nie zaginął wśród artystów; nie wiele wprawdzie, ale interesuje ich, starają się go na swój sposób rozwiązać, szukają dróg do tych rozwiązań. Choćby nawet błądzili i gubili się po bezdrożach z wielką szkodą dla swoich talentów, sztuki i społeczeństwa, choćby ich dzieła ra-

ziły wadami i wywoływały niesmak u widzów, nawet wtedy wystawa jest potrzebną i pożądaną.

Wystawa artystyczna nie zawsze jest wystawą wzorów zupełnie już doskonałych, niby ideałów sztuki, ale jest wystawą p r a c artystycznych — na wystawach zjawiają się projekty, studya, szkice, pomysły do dzieł — jest przystankiem w artystycznej działalności dla oryentacyi, dla rozglądnięcia się dokąd się doszło i co jeszcze jest do zrobienia. Wystawa jest miejscem spotkania się artysty z odbiorcą, ze społeczeństwem, dla którego tworzy swe dzieła, miejscem wymiany zdań i wzajemnego porozumienia się. W pracowni przy pracy lub nawet w gronie swych kolegów zawodowych, nie łatwo mu wyzbyć się tej jednostronności, do której wieść zwykło przyzwyczajenie i obracanie się w tym samym środowisku osób i poglądów. Dopiero wystawa, dając sposobność społeczeństwu rozglądnięcia się w jego pracy artystycznej i wypowiedzenia swego sądu o niej, staje się i dla niego samego szkołą, w której może i powinien swe poglądy rozszerzyć i na podstawie uwag i spostrzeżeń, jakie wywołają jego dzieła, rozpatrzeć się i skontrolować swą dotychczasową działalność. Czy sądy i krytyka będzie słuszna czy też bezpodstawna, zawsze daje mu ona podnietę do refleksyi, do kontroli poglądów na sztukę i jej zadania, do lepszego wniknięcia w istotę wymagań, jakie stawia dzieło sztuki, aby wywierało dodatnie wrażenie upodobania na tych, dla których jest przeznaczone.

Ale i społeczeństwo, publiczność zwiedzająca wystawę korzysta z niej, choćby w tem, że zbliża się i uczy się poznawać, rozumieć i ocenić tajemniczy świat twórczości artystycznej. Wystawa wprowadza weń, wskazując na dzieła, w których niby w zwierciedle odbija się on od początków i niemowlęctwa przez wszystkie stopnie, aż do zupełnej dojrzałości i starczego upadku.

Dla umiejącego czytać wystawa mówi o naturalnym podkładzie w zdolnościach twórczych, o różnych kierunkach i stopniach tych zdolności, o pracy i pilności w ich rozwijaniu,

o temperamencie i upodobaniach tak pojedyńczych artystów, jak i pewnych ich grup lub danego czasu.

Niejeden fragment gipsowy, niejeden obrazek wiszący na ścianie ma na sobie wyrytą historyę życia i twórczości artystycznej, nieraz bardzo ciekawą i dramatyczną, historyę tych zmagań i borykań się artysty z brutalnym oporem bezdusznego materyału, wzbraniającego się dać użyć do wyrażania wypieszczonych w duszy ideałów — historyę słabości i mocy, upadków pod jednym, a chlubnych zwycięstw pod innym względem. Wystawa daje zrozumieć jako tako twórczość artystyczną z jej radościami i trudami, z jej problemami i ideałami, z upodobaniami i dążeniami w danej chwili, które nie będąc tylko abstrakcyą, są żywe i zmienne, jak życie samo. Przez zrozumienie budzi też w duszy interes dla sztuki — nie ten bezduszny, książkowy interes, zapatrzony w najdoskonalsze dzieła wieków a strzepujący proch z nóg po zetknięciu się ze sztuką jeszcze zmagającą się, której się nie udało stanąć na wyżynie ideału; ale interes żywy dla żywej i rozwijającej się twórczości artystycznej, pragnący dla niej najszczytniejszych ideałów, ale umiejący z pewną wyrozumiałością popatrzeć przez palce na jej braki, niedomagania, kaprysy lub nawet dziwactwa, aby je tem prędzej poprawić.

Wystawa współczesnej sztuki kościelnej stworzyła ten teren dla obopólnego zetknięcia się twórczości artystycznej ze sferami, dla których chce ona pracować. I w tem leży jej znaczenie i doniosłość. Artystom dała sposobność pokazać, co mogą i jak pojmują sztukę kościelną; społeczeństwu katolickiemu, a przedewszystkiem reprezentującemu kościelne sprawy duchowieństwu, daje możność zabrania głosu i omówienia ze swego a raczej kościelnego stanowiska rezultatu tej pracy artystycznej i poczynienia uwag natury zasadniczej, któreby mogły pomódz sztuce do właściwej oryentacyi, do zaprzestania straconych wysiłków na fałszywych drogach a rozwinięcia energii w kierunku należytym. Za to, że taki teren został stworzony, że daje się możność do wymiany zdań na gruncie konkretnym wystawy — za to należy sie słuszne uznanie inicyatorom jej i twórcom,

którzy nie zniechęcili się trudnościami, ale z wielkim nakładem pracy i zabiegów zdołali ją doprowadzić do skutku. Spodziewać się należy, że ta ich praca i poświęcenie nie przejdzie bez śladu, ale stanie się początkiem poważniejszego ruchu na polu sztuki kościelnej.

Nie chcemy przez to apoteozować wystawy ani twierdzić, że była przeprowadzona bez zarzutu. Owszem były, znalazły się niedopatrzenia i niestosowności, mogące słusznie razić, ale to, że były niestosowności i niedopatrzenia, nie uprawnia nas do rozdzierania szat nad nią.

Bądźcobądź znamiennym jest fakt, że wystawa w najlepszych zamiarach poczęta, dobrze obmyślana, z wielkiem poświęceniem przeprowadzona, wystawa wyczekiwana z całą życzliwością przez społeczeństwo katolickie, jednakowoż wywołała niesmak i oburzenie, które znalazło swój wyraz nawet w prasie. Snać przedział między dzisiejszem społeczeństwem katolickiem a współczesną naszą twórczością artystyczną jest wielki, jeśli mimo szczerych chęci z obydwu stron doszło przy pierwszem spotkaniu do takiego nieporozumienia. Nie żeby istniała jakaś zasadnicza sprzeczność, jakaś rozbieżność kierunków między kościołem a twórczością artystyczną. Zasadniczej sprzeczności niema. Wszak istnieją nie tylko imiona najwybitniejszych artystów świata, związane najściślej ze sztuką kościelną — ale długie szeregi wieków postępują po sobie, w których, bez przesady twierdzić można, innej twórczości artystycznej niema, jak tylko kościelna. Jeśli więc dziś pokazuje się między niemi różnica taka, że nawet przy dobrych chęciach w zetknięciu się powstaje rozdźwięk, to widocznie zaszła jakaś głęboka zmiana w pojęciach, usposobieniu, w całej psychice tych, którzy reprezentują obecnie obydwie strony; widocznie dusze kształciły się i urabiały w innych zupełnie warunkach, żywiły innemi pojęciami, urastały pod wpływem zupełnie odmiennych haseł i ideałów.

Kto się zmienił? — Chyba nie kościół, który te same zawsze pielęgnuje ideały i tego samego ducha przekazuje z pokolenia w pokolenie; może być, że mniej ma dziś zrozumienia dla

obcej sobie sztuki dzisiejszej, ale życzliwość jego dla sztuki, jako takiej, nie zmniejszyła się, a dowodem tego przychylność, jaką okazano obecnej wystawie, gdy biskupi polscy objęli nad nią protektorat. Zmiana dokonywała się ze strony sztuki. Przedstawiciele sztuki coraz bardziej odsuwali się od wpływów i styczności z kościołem — całe pokolenie artystów wyrastały i wyrastają w atmosferze dla kościoła obcej, często do niego uprzedzonej i nieprzyjaznej, a za to pełnej pochlebstwa i przesiąkniętej oszałamiającym dymem frazesowej adoracyi dla sztuki i jej adeptów. I wytworzył się między duchem kościoła a obecną psychiką artystyczną jakiś przedział, obojętność, wielka obcość.

Niepodobna jest, żeby ten stan mógł się zataić tak dalece, żeby się nie zdradził w twórczości artystycznej. Toteż kiedy przychodzi do skutku wystawa współczesnej sztuki, całkiem naturalną jest rzeczą, że musiały się na niej znaleść dzieła będące wyrazem tej jakiejś dojmującej obcości i niedostrojenia się do życzeń i wymagań kościelnych.

Nie chcemy omawiać szczegółowo i osobno dzieł nadesłanych na wystawę, ale chcemy zwrócić uwagę na pewne kierunki twórczości artystycznej, jakie się na niej wyróżniły w większych lub mniejszych grupach dzieł — i które posłużyły za podstawę do ujawnionej obcości. Na tle tych kierunków uwzględnione będą dzieła, które w jakiś sposób zatrzymywały na sobie uwagę zwiedzających i wywoływały potrzebę bliższych komentarzy.

Wśród dzieł wystawionych dadzą się odróżnić trzy kierunki, które odrazu narzucają się w oczy zwiedzającemu wystawę. Jeden o zabarwieniu narodowościowym, drugi nazwiemy archaizującym i trzeci, który stanął na gruncie współczesności i z techniką dzisiejszą i pojęciami dzisiejszymi wkracza na pole sztuki kościelnej. — Mógłby być nazwany modernistycznym.

Już od dawnego czasu rozbrzmiewa wśród artystów sympatyczne hasło unaradawiania sztuki. Hasło to przechodzi powoli i na teren sztuki kościelnej. Prąd narodowy niby ciepły wiatr wiosenny odświeża ją i wywołuje w niej żywe powsta-

wanie dzieł tego kierunku. I nic w tym prądzie niema, coby się nie zgadzało z duchem kościelnym. Owszem jest on w sztuce kościelnej nawet pożądanym, — żeby nie tylko usta kapłana ale też i plastyczne obrazy w kościele głosiły łączność naszego narodu z Bogiem i wiarą katolicką. Obowiązkiem jest sztuki nie rozrywać tych węzłów obcością tematów lub sposobem malowania obcym, ale raczej zacieśniać je, zwłaszcza u nas w Polsce, gdzie narodowość i katolicyzm tak się dzięki Bogu sprzęgły ze sobą szeregiem najrozmaitszych faktów, że nie rażą już te twierdzenia: naród jest katolickim, bo jest polskim, i dlatego polskim, że jest katolickim. Sztuka ma ten związek zacieśniać i uplastyczniać.

Ale oto i niepożądane objawy zaczynają się pokazywać w tym kierunku. Zaczyna się on przeradzać i przybierać formy, które gotowe mu odebrać sympatyę, jaką się cieszy.

P. Sichulski hołduje kierunkowi narodowemu. Obraz, który wystawił pod niewłaściwym tytułem Wniebowstąpienie (powinno być Wniebowzięcie), jest w tym duchu skomponowany. Ale jak?

Zapomnijmy o katalogowym tytule, czytajmy obraz według tego, co sam plastycznie wyraża.

Nad cichym krajobrazem wiejskim, przepojonym zielenią i sinawą świeżością wczesnego poranka, zawisła w powietrzu jakaś dziewczyna z wiejska ubrana; w wiejskiej spodnicy, zapasce, staniku z świecącymi guziczkami, ze sznurem korali na szyi. I wisi. Nie wiedzieć, czy wznosi się w górę, czy opada na dół. Zdaje się, żeby chciała w górę lecieć, podniosła głowę i w górę przewróciła oczy. Ale widocznie nie leci, może i spada nawet. Bo fartuszek fruwa do góry, spodniczka także uniesiona zostaje w górze, a z pod niej wysuwają się golenie ze sztywnie wyciągniętemi w bok stopami, jak u podnoszącego się bociana. Twarz jakaś nabrzmiała, oczy nieswojsko błyszczą. Z obydwu boków obrazu patrzą na to zjawisko z za krzaka dwie anielice panny, w koszulach bez rękawów, jakby dopiero co wstały z łóżek i nie tracąc czasu na przyzwoitsze ubranie przyleciały zadość uczynić swej ciekawości. Wstrzymujemy się

od dalszych nasuwających się co do treści obrazu hypotez. Tyle mówi obraz bezpośrednio. W ten sposób pojął artysta treść religijną Wniebowzięcia i przetłumaczył na język sztuki o charakterze narodowym.

Mimo wszystkich zalet pędzla, które uznajemy, mimo ślicznego kolorytu i dziwnie pociągającej harmonii barw, która rwie oczy ku sobie, każdy Polak czujący po katolicku zaraz przy pierwszem wejrzeniu uczuje się przy nim niemile dotknięty. Po zastanowieniu się pierś mu wzbiera oburzeniem. Kto więcej czuły na walory estetyczne, uczuje w duszy niemiłe wrażenie walki. Z jednej strony rwać będą się jego oczy do rozkoszy, jaką im niesie cała świeża poezya budzących się do dnia brzasków, pól, kwiatów, — z drugiej czuć się będzie cały odepchnięty strywializowaniem najwznioślejszych w katolickiej duszy ideałów.

Radość oka chciałaby wytłumaczyć sobie wielką niestosowność pomysłu, ale głębia katolickiego uczucia potępić go musi i powinna.

Oto obrazek fałszywie zastosowanego hasła: unaradawiania sztuki.

W podobnym duchu unarodowienia i swojszczyzny pojęte są kompozycye P. Wlastimila Hofmanna, którym jakkolwiek nie brak sentymentu i rzewności, brak jednak tych wysokich kolorystycznych zalet i delikatności, w jakiej utrzymany był obraz p. Sichulskiego. Są to niewykończone jeszcze szkice do rzewnych obrazków rodzajowych podmiejskiej biedoty, którą gdzieś w polu, na murawie, ustawia sobie artysta symetrycznie w grupy, ze sentymentalnemi symbolami w ręce, w kostyumach, jakie się znalazły i na jakie je było stać.

Ma to być według intencyi artysty zapewne Santa Conversazione polskie — ale naprawdę nikt w tej charakterystycznej ubogiej kobiecinie podmiejskiej, która zasiada zawsze w środku grupy, nie domyśli się Matki Bożej, ani w tem kilkoletniem biedactwie na jej kolanach o fizyonomii dziewczęcej, długich włoskach i łagodnem głębokiem wejrzeniu nie odgadnie Pana Jezusa.

Tego rodzaju utwory w duchu narodowościowym nie są

odosobnione. Bywały wystawiane podobne gdzieindziej — przypominamy choćby karykaturalną Madonnę Huculską P. Sichulskiego — znajdują się, choć nie tak bardzo rażące, i na obecnej wystawie.

Sądzimy, że p. Sichulski ani p. Hoffmann ani inni artyści złych żadnych intencyi nie mieli, ale za daleko dali się uwieść prądowi wydobywania charakteru swojskości w nastroju i przeciągnęli strunę, która niemile razi niedostrojeniem się do poczucia katolickiego. Chcieli przemówić do dusz na nutę swojską, a oto trzeba zatykać uszy na przeraźliwy dysonans, jaki wydobyli.

W unaradawianiu sztuki kościelnej musi być pewna granica, której przestępować nie wolno, pewna miara, którą trzeba koniecznie zachować. I tak nie należy wprowadzać do faktów historycznych naszej wiary — scen z życia Zbawiciela, Jego Matki i Świętych i wogóle do przedstawień, w których chodzi o odtworzenie faktycznego, ile możności, ich przebiegu — pierwiastka narodowego, czy pewnej swojskości w ten sposób, żeby się miała zatrzeć granica między zdarzeniem historycznem a dodatkiem twórczym artysty. Wszystkie niemal przedstawienia tego rodzaju, w których widz nie może się zoryentować w rzeczach mu skądinąd znanych z nauki wiary a pogmatwanych przez artystę, pozostają dlań estetycznie stracone, obce, a szkodliwe dla wyrazistości religijnych pojęć w tych warstwach, dla których artysta tworzy. One bałamucą głowy mniej światłe i są okazyą do przyjmowania fantazyi za rzeczywistość historyczną, a na odwrót rzeczywistość historyczną spychają do rzędu legend i tworów wyobraźni.

Również stanowczo sprzeciwić się należy temu unaradawianiu sztuki kościelnej, które osoby święte ośmiela się ściągać z wyżyn ich gloryi na śmietniki naszych zagród, daje im fizyonomię wyszukanego prostaka modela i draperyę chłopską. Oburzającem to jest zwłaszcza w odniesieniu do postaci, która w duszy polskiej jest i powinna zostać najjaśniejszym i najdroższym ideałem i nietykalną świętością, otoczoną nieprzebytym nimbem majestatu, jeśli się widzi, jak ręka artysty

bez trwożnego drgnięcia śmie z niej zdzierać słoneczne szaty, a natomiast zarzucać na nią jakieś trywialne gorsety, zapaski lub kraciate chusty, których zaczynają się wstydzić wiejskie dziewuchy. Czas temu profanowaniu osób świętych i drogich położyć koniec, żeby ten rodzaj niesmacznych pomysłów nie przeszedł w manię. Kościoły powinny stanowczo zamknąć drzwi tego rodzaju wypaczonym tworom sztuki narodowej. Wyobraźni artystycznej, mimo ograniczeń, które zrobiliśmy, pozostaje dość pola do należytego pielęgnowania narodowego charakteru w sztuce kościelnej. Jak można czynić to godnie, daje przykład choćby sam p. Sichulski w swym projekcie witrażowym „Królowa Korony Polskiej".

Zostańmy jeszcze chwilę przy dziełach p. Sichulskiego — gdyż daje nam sposobność zetknięcia się z innym niepożądanym prądem ujawnionym na wystawie, z prądem, któryśmy nazwali „archaizującym". W jego projekcie witrażowym „*Dies irae*" widzimy Chrystusa u góry, jako sędziego, którego sprawiedliwy sąd wznieca okropne zamieszanie i prawdziwy dzień gniewu. Chaotyczny obraz różnych powikłanych linii, kształtów, ciał i brudnych dymów z przewijającymi się językami jaskrawego płomienia. Lecz nie o to nam chodzi. Nam chodzi o osobę samego Chrystusa, który siedzi u góry. Dlaczego tę osobę p. Sichulski w niemożliwy sposób powykrzywiał? Dlaczego jest w rysunku taka, jakby była odrysowana przez dziecko z jakiejś lichej starodawnej ryciny? Przecież p. Sichulski potrafi doskonale rysować, dlaczegóż więc wyrysował go tak, jakby nie miał najmniejszego pojęcia o najprostszych rzeczach z anatomii?

Mamy tu do czynienia z umyślnem naśladownictwem naiwności i nieudolności technicznej malarzy średniowiecznych.

Jestto cechą kierunku archaizującego. Malarze, rzeźbiarze mając sił swych spróbować na polu sztuki kościelnej, zdaje się odczuwają, że stara, wyblakła, o koszlawych kształtach sztuka średniowieczna ma w sobie dużo charakteru i ducha religijnego. Nie zdając sobie sprawy na czem polega ten nastrój wysoki, przenoszą żywcem powykrzywiane postacie do swych kom-

pozycyi, w tem chyba przypuszczeniu, że i nastrój kościelny łatwiej tą drogą osiągną i nie narażą się na rozliczne trudności współczesnej sztuki. W istocie na wystawie jest dość okazów tej archaizującej sztuki XX w.

Nie potępiamy naśladownictwa w sztuce religijnej. Ma ona niedościgłe wzory w przeszłości, które mogą i powinny nieraz zapładniać myśl artysty i przy tworzeniu oddawać mu wielkie usługi. Naśladownictwo kształci artystów technicznie, a talentom słabszym pozwala się oprzeć na potężnej organizacyi artystycznej wielkich mistrzów i dojść, jeśli nie do wspaniałych, to z pewnością do rezultatów dobrych. Tylko trzeba naśladować to, co jest z pewnością dobre, co jest wzorowe i pod tym względem, pod jakim jest wzorowe. Prąd naśladowniczy, ujawniony na wystawie, to prąd, który jakby żywcem przenosi nas w czasy artystycznego niemowlęctwa. Błędy i nieudolności w rysunku, anatomii, perspektywie, zdają się stawać przed nami z pretensyą do wielkiej sztuki. Artystom z przed kilkuset lat, wybaczamy je chętnie ze względu na niski poziom całej im współczesnej techniki, ale do takich okoliczności łagodzących nie mogą się odwołać artyści XX w., przed którymi nauka i doświadczenie otworzyło wszystkie tajnie techniki artystycznej. Naśladownictwo błędów w oczach dzisiejszego społeczeństwa zawsze uchodzić musi za jakieś niewłaściwe dziwactwo, nieudolność, a w najlepszym razie za jakiś lekkomyślny kaprys artysty. Jakkolwiek się rzecz osądzi, nie byłoby pożądanem, aby kościoły nasze miały się wyposażać w surogaty archaiczne dawno minionych wieków. — Lecz bądźmy sprawiedliwi. Niektóre z dzieł wystawionych tego kierunku, posiadają jednak pewne religijne namaszczenie, którego brak czuć się daje gdzieindziej. Tak n. p. mały ciemny obraz pod tyt. „Niedziela“, przemawia do widza dużym urokiem szlachetności wyrazu. Taki obraz może spokojnie znaleźć umieszczenie w kościele i może skutecznie przemówić do każdej duszy.

Zdumienie ogarnia na widok asyryjskich rzeźb na czterech ścianach jakiegoś dużego czworobocznego przedmiotu stojącego wśród sali. Co to jest? — Dowiadujemy się, że chrzciel-

nica — a przypatrując się rzeźbom, przekonywamy się, że to sceny z życia św. Jana. To także naśladownictwo. Tylko autor nie znajdował widocznie dość wzorów w zabytkach XX wieków chrześcijańskich, kiedy czuł się obowiązanym iść po nie aż w rumowiska babilońskie, żeby w reminiscencye tamtej sztuki ozdobić nasze polskie kościoły.

Ani chrzcielnica z płaskorzeźbą asyryjską, ani ołtarz z antependium w kaplicy wystawowej związku A. R. M. R., zapewne nie znajdą umieszczenia w kościele katolickim. Zwłaszcza owo antependium z dwoma postaciami w obcisłych niebieskich majtkach, z których jedna podaje drugiej kwiat lotosu. Co przedstawia ta scena? Miałażby to być przypadkiem scena Zwiastowania?!...

Spodziewamy się, że podobny pomysł nie pojawi się drugi raz na wystawie.

I jest na tym ołtarzu gipsowy posąg, nazwany pięknie „Immaculata", który uzyskał na konkursie pierwszą nagrodę. Wielu ludzi łamało sobie przed nim głowy, dlaczego uzyskał, z jakiego powodu wogóle znalazł się na wystawie. Co on ma znaczyć? — Sądzimy, że pomysł do niego przyszedł artyście zapewne gdzieś na wsi, gdzie dziewczęta lubią zakrywać i przybierać brzydkie kształty starych figurek Matki Boskiej jakiemiś sukienkami, płaszczami i pstrokacizną wstążek. Więc utworzył taką lalkę do ubierania dla dziewcząt i wysłał na wystawę. I tu nadspodziewanie przypadł mu zaszczyt pierwszej nagrody. Rzeczywiście tak jak jest, Immaculata wygląda na zwykłą rozebraną lalkę, której szkielet składa się z jednego pnia ze sztywnie przymocowanemi rękami. Tylko na wystawie nie zaznaczono nigdzie, jak należy tę lalkę ubierać. Szkoda — bo w tem dopiero ubraniu zapewne leży wartość estetyczna tego posążka.

Zresztą nawet w twarzy, którą jedynie można wziąć pod uwagę, brak wyrazu wzniosłej dziewiczości. W utoczonej główce, zadartej nieco w górę, nie widać nic ponad okrągłą twarzyczkę grzecznej dziewczynki, która posłuszna nakazowi, przymknęła ckliwie oczka i stara się, jak umie, przybrać minkę uroczysto nabożną. — To nie Immaculata.

Zresztą charakter tego posągu dość odpowiada charakterowi ołtarza, na którym stoi. Czciciel Ptaha, czy jakiegoś innego bóstwa z nad Nilu uczułby się przed nim dość swojsko — ale na wystawie kościelnej sztuki katolickiej w Polsce był jednym z cierni dotkliwie dających się odczuwać zwiedzającym wystawę. Był tem boleśniejszy, że powagą nagrody konkursowej został zatwierdzony przez komitet wystawowy.

Dzieła konkursu na posąg Madonny wypadły słabo. Jakaś schematyczność, redukcya kształtów do martwego typu, do widzianego gdzieś szablonowego posążku, zaciera na nich ślady artystycznego obmyślenia. Wyjątek stanowi utwór p. Dunikowskiego, ale ten znów zamiast Bogarodzicy, dał nam jakąś nerwową pannę, w której wyraz zadumy poważnej złączony z niedokończonym ruchem ręki, falowaniem włosów i boczną postawą, mówi o wewnętrznych walkach, o jakichś raptownych postanowieniach wśród przykrych dumań, o nerwowości współczesnej kobiety. Znamienny tytuł: Wiek XIX.

P. Dunikowski należy do artystów o twórczości dzisiejszej, który nie patrzą na przeszłość, nie oglądają się za wzorami, nie kopiują zabytków starożytnych, tworzą lub przynajmniej mają zasadę tworzyć tak, jak im mówi ich własny talent, ich smak indywidualny. Wzorem dla nich, natura, na którą chcą patrzeć bezpośrednio i z której bezpośrednio chcą czerpać i zbierać materyał kształtów, barw i form do swych pomysłów i swej twórczości. Czy zawsze się im to udaje, czy każdy jest twórczym i oryginalnym, czy potrafi stworzyć, wymalować lub wyrzeźbić coś dobrego, to inne pytanie. Chodzi tu o ich pojmowanie sztuki. Dunikowski należy do tych, co potrafią. Umie tworzyć, umie przy tworzeniu zdawać sobie sprawę czego chce, umie odnajdywać drogę do celu. Zna siebie, zna cele swej sztuki. Ma swój sposób ujmowania brył i postaci we wielkie płaszczyzny. Chodzi mu o jakość psychicznych stanów w dziełach, o wyraz — a wydobywa go we wielkich syntetycznych rysach. Drobiazgowego opracowywania nie zna. Tworzy monumentalnie.

Taką cechę noszą wszystkie jego wystawione prace. We wszystkich jest wyraz oddany z siłą, potężnie. Tylko czy zawsze

trafnie? czy zawsze odpowiąda ten wyraz naszemu pojęciu, jakie mamy o osobie przedstawionej, czy odpowiada poczuciu kościelnemu, n. p. o Matce Bożej lub o Chrystusie?

Wyżej zaznaczyliśmy, że jego „wiek XIX“ na konkurs Immakulaty nie odpowiada poczuciu kościoła. Tutaj dodamy, że grupy przeznaczone do portalu kościoła na Wesołej, mają charakter nieco przesadny w ruchach i pozycyi głowy. Nie robimy z tego zarzutu, bo symbolizm postaci bocznych zdaje się raczej przez to zyskiwać. Nie da się to powiedzieć o głównej postaci Chrystusa, która wskutek przeciągniętego wyrazu przybrała wygląd fanatyczny. Ten silnie zaakcentowany prostolinijny fałd nad oczami, stworzony skurczem mięśnia refleksyi, daje Chrystusowi wyraz jakiegoś zagłębienia się w sobie, w swej idei, a przeoczania tłumów, na które zdaje się patrzeć, a nie bardzo widzieć. Zaś uniesienie wargi górnej daje niesympatyczny wyraz pewnej pogardliwej niechęci do tłumów, które nie dorosły do Jego idei. Wskutek przesadnej charakterystyki wrażenie spokoju i powagi znikło z postaci Chrystusa, a występuje wrażenie człowieka bezsilnie usiłującego poruszyć apatyczne tłumy — wyraz niegodny i odpychający od Chrystusa.

Zupełnie współczesnym jest p. Malczewski, który wystawił, jak zawsze, obraz mieniący się barwami jakiegoś egzotycznego motyla, ale zimny, pozujący, z niezrozumiałą psychiką postaci. W intencyi artysty może jest religijny, ale widzowi zdaje się, że tylko podpis mógłby świadczyć o jego związku ze sztuką kościelną.

Daleką tylko i bardzo naciąganą reminiscencyę kościelną daje tytuł obrazu „Puste sieci z Rybitwów Pańskich“. Trzy ordynarne postacie dzisiejszych rybaków z zakłopotaną kwaśną miną, reminiscencyi nawet religijnych nie budzą.

Nagrodzony „św. Franciszek z Asyżu“ w kompozycyi poprawny, w kolorycie spokojny i poważny w swym nastroju ogólnym, jest jednak zbyt narzucający się manierą techniczną, upraszczającą linie i kształty — żeby nie mroził ogólnego nastroju. Sztuczność tego sposobu malowania, wytwarza w postaciach jakąś sztywność tekturowego pajaca, co razi zwłaszcza u aniołów.

Obrazy konkursowe Serca P. J. w większej części zdradzają usiłowanie oryginalnego rozwiązania tematu. Ale brak w nich nawet równowagi technicznej. Pomysły niektóre interesują, inne rażą. Szkic do obrazu: Objawienie się Serca Jezusowego błogosł. Małgorzacie, (nagrodzony za zalety artystyczne), widocznie w pogoni za silnem wrażeniem robi z Chrystusa jakieś potworne straszydło, spadające na zakonnicę. — Nader zajmujące i wymowne jest porównanie tego szkicu ze szkicem malowanym przez Brata Alberta. W jednym i w drugim ten sam temat — ale duch jaki odmienny!

Obraz pod tyt. „Prawda" pokazuje raczej obłoki nad krajobrazem swojskim aniżeli Chrystusa, który roztapia się w świetlanym obłoku.

Pomysł przedstawienia Chrystusa podającego w dłoni swe serce chybiony. Odbiera bowiem sercu wartość symbolu, a czyni czemś realnem; zwłaszcza w przedstawieniu na obrazie serce to wydaje się jakąś lampką jaskrawo oświecającą palce, które je ostrożnie trzymają, jakby z obawy, aby się nie popiec a zarazem nie upuścić na ziemię.

Pojęcie Serca Chrystusa na tle tekstu z Apokalipsy interesuje, ale czuje się w obrazie sztuczność kompozycyi.

Nie będziemy dłużej zatrzymywać się przy dziełach poszczególnych; wystarczyło nam uwzględnić tylko niektóre, bardziej zwracające na siebie uwagę, czyto ze względu na twórców, czy ze względu na przyznane nagrody. Pod ich wpływem przeważnie urabiała się opinia o wystawie, one były wyrazem pewnych objawiających się kierunków.

Wystawa nie przyniosła nam dzieł o skończonej doskonałości, wzorów, któreby świadczyły o dojrzałości naszej sztuki kościelnej. To była wystawa sztuki „*in fieri*" w tworzeniu się. Zrównoważenie można było napotkać w niektórych tylko pracach, n. p.: płaskorzeźby p. Madejskiego, Matka Boska Różańcowa p. Raszki i kilku innych; zresztą wszędzie przebija wysiłek. Są to dzieła sztuki niedoświadczonej, szukającej gwałtownie swoich dróg, borykającej się z trudnościami technicznemi i dlatego niezrównoważonej, zatracającej nieraz dobre wra-

żenie całości przez szczegół przesadny, na który artysta się wysilał.

Dochodzi nieraz do tego w takich obrazach, że treść religijna usuwa się zupełnie na plan dalszy, aby ustąpić pierwsze miejsce efektowi malarskiemu lub rzeźbiarskiemu, staje się tylko rusztowaniem do przeprowadzania rozmaitych prób kolorystycznych, kompozycyjnych, oświetleniowych itd.

Są to niestosowności i rażące niestosowności, gdy się patrzy na nie ze stanowiska wzorowej sztuki kościelnej, w której jedyną i najwyższą normą odpowiedzieć i wyrazić ducha kościelnego. Ale jeżeli się patrzy na wystawione utwory, jako na dzieła próby i usiłowania rozwinięcia sztuki kościelnej, jako na gromadzenie doświadczenia w twórczości kościelnej — to nie zasługują na wyraz oburzenia, z jakiem się spotkały, ale na wyraz uznania dla usiłowań pracy w dziedzinie twórczej nadzwyczaj trudnej, pełnej szkopułów, wciąż oscylującej między Scyllą i Charybdą dwóch obaw, żeby nie zaniedbywać walorów artystycznych i żeby nie urazić uczucia katolickiego. Tylko bardzo dobry artysta, który opanował technikę i władnie nią jak chce, a przytem dobrze znający nietylko naukę katolicką, ale tę sumę rozmaitych poczuć taktu, przyzwoitości, uszanowania i czci dla rzeczy świętych, historyczności pewnych zdarzeń, takiego a nie innego ich przebiegu, takiego a nie innego stosunku w religijnych sprawach i przedmiotach — tylko ten artysta zdoła przepłynąć szczęśliwie przez te ciągle zagrażające mu niebezpieczeństwa. Inny mniej biegły w technice, mniej znający się na rzeczach kościelnych, mniej związany z religią poczuciem katolickiem, ten rzadko tylko będzie mógł odpowiedzieć tym wielorakim wymaganiom.

Jednak artyści, zwłaszcza młodsze ich pokolenie, podejmują się tej pracy często niewdzięcznej i ogromnie trudnej a nieraz materyalnie zawodzącej z powodu braku nabywców. Podejmują się z wiarą, że społeczeństwo zainteresuje się ich usiłowaniami, że zwróci uwagę na nie, że przyjdzie im z pomocą, by zrzucić powijaki z naszej sztuki kościelnej i dać jej krzepką siłę młodzieńczego rozmachu.

W ich zabiegach musi wziąść udział społeczeństwo katolickie, które nie może przestać na ubolewaniu, że nie ma sztuki religijnej takiej, jakiejby się pragnęło, ale musi pomyśleć o jakiejś systematycznej pomocy do postawienia jej na pożądanym stopniu rozwoju. Dotychczas systematycznej, zorganizowanej pomocy u nas nie było widać. Dbano o sztukę w ogólności, spodziewając się widocznie, że byleby artysta nauczył się władać ołówkiem, pędzlem lub dłutem, sztuka kościelna sama powstanie bez żadnej pomocy. Artyści nie mieli sposobności spotkać się ze sztuką religijną, jak tylko przygodnie — nie mogli poznać jej ducha, znaczenia, jej celów. Toteż przystępując do tworzenia dzieł religijnych, kościelnych, skazani są na własne siły, własną domyślność, na chodzenie i szukanie po omacku nowych dróg, na wytwarzanie sobie pojęć o sztuce kościelnej na podstawie kryteryów sztuki świeckiej, które w zastosowaniu do kościelnej są niewystarczające i wiodą niemal koniecznie do podporządkowania treści religijnej pod wzgląd artystyczny. Artystom trzeba dać jakieś oparcie w zorganizowaniu teoretycznej i praktycznej pomocy. Trzeba się zająć tymi, którzyby chcieli rozwinąć swą działalność na polu sztuki kościelnej. Dawniej taką pomoc dawały cechy artystów, pielęgnujące ducha i tradycye sztuki kościelnej. Dziś brak ich zastąpić należałoby trwałą instytucyą i organizacyą, którąby miała za zadanie szerzyć znajomość ducha i zadań sztuki kościelnej, wychowywać w tym duchu młode pokolenia artystów, skupiać koło siebie wszystkich, którzy w tym duchu pracują, stwarzać dogodniejsze warunki ich twórczości, dawać możność pracy i zarazem jej zbytu.

O taką instytucyę złączoną z organizacyą dopomina się pierwsza wystawa współczesnej sztuki kościelnej polskiej. Prosi o nią milczącą obecnością wszystkich swoich dodatnich i ujemnych stron, domaga się wyrazem oburzenia tych, którym się on z piersi wyrwał.

Zrozumiejcie potrzebę i dopomóżcie!

Ks. L. Rudnicki.

OBECNE POŁOŻENIE POLITYCZNE W BELGII.

Bardzo to oryginalne, a jednak fakt prawdziwy, że w wieku dwudziestym, mimo tylu istniejących środków komunikacyi, tak trudno nam się dowiedzieć, co się w drugim kraju dzieje...

Telegraf (i to nawet bez drutu), telefon, poczta rozsyłają bez różnicy wszystkie wiadomości, jakie tylko otrzymują, a więc zarówno prawdziwe, jak i nieprawdziwe. Jakaż doprawdy szkoda, że się nie możemy poszczycić jakimś nowym Edisonem, któryby wynalazł przyrząd do odróżniania prawdy od fałszu... Ileż to wtedy ajencyi żydowskich, iluż reporterów straciłoby odrazu swój cel i zajęcie!...

I tak czytaliśmy, jak szczególne wypadki odegrały się dopiero co w Portugalii, w Tripolis lub w Persyi. Włosi i Turcy bywali zwycięzcami regularnie w jednej i tejże samej bitwie, jedni i drudzy bywali równocześnie zdobywcami tych samych fortów. — Tego sa-mego dnia o równej godzinie rząd portugalski wysyłał i niewysyłał swego wojska na granice Hiszpanii lub do Oporto. — Pavïo Conceiro znajdował się w Eras os montes i równocześnie nie było go tam; to znów w chwili, kiedy tylko 600 żołnierzy znajdowało się koło niego, było ich także 6000 przy nim... Podobnych prawdziwie zdumiewających wydarzeń możnaby naliczyć jeszcze więcej.

Nie inaczej rzecz się ma z wydarzeniami bardziej pokojowej natury, ze sprawami polityki wewnętrznej; to też z pewnością będą niebawem donosić dzienniki najbardziej sprzeczne wiadomości o zajściach w Belgii, w której za kilka miesięcy trzeba będzie wybierać nowy parlament. Już teraz bowiem pisma zagra-

niczne, redagowane zwłaszcza przez żydów, a więc kierunkowi katolickiemu w rządzie belgijskim nieprzychylne, przedstawiają położenie, jako bardzo dla katolików niepewne, mówią nawet wogóle o końcu katolickiego rządu. Iluż to już podobnych kłamstw nie wymyślono od 27-miu lat, t. j. od czasu, odkąd rząd katolicki stoi u steru państwa? Zaiste szczęśliwy ten rząd, iż nie potrzebował za przykładem fenixa przebudzać się do nowego życia, skoro pierwszego dotąd nie postradał!...

Aby czytelnicy „Przeglądu“ mogli zdać sobie sprawę z obecnego położenia politycznego w Belgii i poznać jego przyczynę, koniecznem jest zaznajomić ich najpierw z belgijskiem prawem wyborczem.

I. Przy wyborach do izb ustawodawczych, trzeba mieć 25 lat wieku, gdy idzie o wybór do izby deputowanych, a 30 lat, aby módz wybierać do senatu. Nadto należy być z urodzenia Belgijczykiem, albo przyjąć obywatelstwo belgijskie, co najmniej cały rok mieszkać w tej samej gminie, tudzież znajdować się w posiadaniu praw cywilnych i politycznych. — Każdy, kto powyższe warunki posiada, ma zarazem jeden głos wyborczy. Mamy w Belgii prawo powszechnego głosowania, do izby deputowanych począwszy od 25 lat wieku, a do senatu od 30 lat. Lecz to prawo głosowania powszechnego bynajmniej nie oznacza, że ilu głosujących, tyle jest głosów, albowiem, kto jest ojcem rodziny lub właścicielem realności, ten nadto posiada głos drugi przy wyborach, a kto jest ojcem rodziny i właścicielem realności w jednej osobie, ten oprócz samego pierwszego osobistego głosu posiada jeszcze 2 głosy „uzupełniające“.

Rozdzielenie mandatów odbywa się według sposobu zwanego systemem „wyborów proporcyonalnych“, to zn. odpowiednio do stosunku liczby głosów zebranych przez ostatnie listy wyborcze różnych stronnictw politycznych. Te listy ułożone są przez poszczególne stronnictwa, a na każdej z nich umieszczona jest pewna liczba nazwisk kandydatów. Porządek, według którego kandydaci figurują na liście, nie jest alfabetyczny, ale ustalony przez walne zgromadzenie odnośnego stronnictwa, co jest rzeczą bardzo ważną.

Nad nazwiskami wszystkich kandydatów każdego stronnictwa umieszczona jest u góry skrzynka na wrzucanie głosów, a nadto przy nazwisku każdego z osobna kandydata znajduje się druga skrzynka na głosy.

Liczba wyborcza jakiegoś stronnictwa powstaje ze zliczenia wszystkich kartek w skrzynce u góry, na których nazwisko owego kandydata umieszczone jest obok nazwisk innych kandydatów, oraz z dodania do tego liczby głosów wyłącznie przez niego otrzymanych, a wrzuconych do skrzynki, znajdującej się tuż obok jego nazwiska. Można zatem wrzucać głosy bądź do skrzynki u góry, bądź do tej, która jest przy nazwisku każdego kandydata. Jednak ten ostatni sposób daje kandydatowi t. zw. „głos pierwszeństwa" (un vote de préférence) i może kandydata zajmującego n. p. 4-te miejsce na liście przenieść wyżej, usuwając w ten sposób kandydata, któremu stronnictwo wyznaczyło na tejże liście miejsce 3-cie lub 2-gie. Wyborca może zatem praktycznie wpłynąć na zmianę porządku kandydatów, ustanowionego przez stronnictwo. Jeśli przeto rzuca kto głos do skrzynki u góry, tem samem oświadcza się za porządkiem kandydatów ustanowionym przez stronnictwo.

Dzielnik wyborczy (diviseur électoral) zwany także „quorum", jest to liczba głosów, które kandydat musi otrzymać, ażeby zdobyć mandat poselski. To quorum oblicza się na podstawie liczby wyborczej oraz ilości mandatów, o które chodzi. N. p. Przypuśćmy, że mamy obecnie tylko 3 stronnictwa: katolików, liberałów i socyalistów, a więc 3 listy wyborcze. Katolicy otrzymują 12.000 głosów, liberalni 5.500 a socyaliści 3.000. Jeżeli zatem mamy cztery mandaty do rozdania, to liczbę wyborczą każdego stronnictwa dzielę po kolei przez 1, 2, 3 i 4, t. j. przez liczbę mandatów, i dochodzę do następującego rezultatu:

12.000	5.500	3.000
6.000	2.750	1.500
4.000	1.833	1.000
3.000	—	—

Cztery najwyższe ilorazy są te: 12.000, 6.000, 5.500, 4.000; zatem dzielnik wyborczy będzie wynosić 4.000, ta zaś liczba mieści się 3 razy w 12.000, raz w 5.500, a wcale się nie mieści w 3.000. Przeto socyaliści nie dosięgając liczby „quorum", nie mają prawa do żadnego mandatu, katolicy otrzymują 3 mandaty, a liberalni jeden mandat.

Wypadałoby jeszcze oznaczyć, którzy z 3-ech kandydatów jakiegoś stronnictwa, dajmy na to katolików, zostanie wybranych, jeżeli jest ich więcej niż trzech przez dane stronnictwo postawionych? Ponieważ jednak określenie tego ma tylko pewną doniosłość dla tego jednego stronnictwa, a nie posiada większego znaczenia wobec walki stronnictw ze sobą, dlatego pomijamy kwestyę rozdziału mandatów pomiędzy kandydatów tego samego stronnictwa.

Taki jest sposób wyborów do izb prawodawczych. Przy wyborach gminnych albo municypalnych, postępuje się zupełnie inaczej, a powyższy system proporcyonalności zastosowany bywa tu, jedynie w wypadkach, gdy większość absolutna (to zn. połowa głosów więcej jeden) przez żadne stronnictwo nie została osiągniętą.

Cel, który sobie prawodawca postawił jest jasny: chciał mandaty poselskie rozdzielić w stosunku do wpływu politycznego, poszczególnych stronnictw, a zarazem przeszkodzić temu, aby znaczna liczba wyborców nie pozostała bez swoich przedstawicieli w izbie, jak to zdarza się przy systemie absolutnej większości, przy którym cała ta lista, nawet i 18 kandydatów zdobywało wszystkie mandaty, dzięki kilkudziesięciu głosom, a nawet z powodu jednego tylko głosu większości.

W świetle dopieroco opisanego prawa wyborów przypatrzmy się teraz wyborom gminnym, które się odbyły 15. października 1911 roku.

Cofnijmy się jednak najpierw do epoki, która te wybory poprzedzała. Parę miesięcy przedtem gabinet Schollaert'a przedłożył swój projekt ustawy szkolnej, projekt, który napotkał na opozycyę zaciekłą i nie sprawiedliwą ze strony liberałów i socyalistów. Oni domagali się szkoły przymusowej, a rząd zgodził się na to od-

nośnie do młodzieży poniżej lat 14-tu dla szkół 4-roklasowych. Lecz celem uniknięcia nauki przymusowej bez nauki religii, systemu tak drogiego naszym antyklerykałom, rząd chciał zapewnić ojcom rodzin swobodę co do wyboru szkół ludowych, do którychby mogli swoje dzieci posyłać. W tym celu każdy ojciec rodziny miał otrzymywać z urzędu dla swych dzieci obowiązanych do uczęszczania do szkół ludowych kartki legitymacyjne, które następnie wręczał dyrektorowi tej szkoły, do której swe dziecko pragnął zapisać, poczem bez żadnej dalszej interwencyi dziecko zostawało zapisywane bez względu na to, przez kogo ta szkoła była utrzymywaną. Ponieważ szkoły ludowe, zarówno prywatne jak i publiczne, są subwencyonowane przez państwo; przeto pobieranie nauki jest bezpłatne, ale i przymusowe. Taki projekt był bezwątpienia nowy, korzystny i łatwy do wprowadzenia w życie, zwłaszcza ze względu na uboższych. Bogaci bowiem mogą zawsze dla swych dzieci znaleźć szkoły według swego upodobania i swoich przekonań, ale ubodzy?... Ponieważ większa część mieszkańców Belgii miała zupełne zaufanie do szkół prywatnych, przeto panika ogarnęła antyklerykałów na samą myśl, że ich szkoły przymusowe, a naprawdę, po większych miastach, antyreligijne, mogły z czasem świecić pustkami, dlatego też pod wpływem zabiegów masoneryi, zorganizowano przeciw powyższemu projektowi wielką walkę opozycyjną we wszystkich ważniejszych miastach. Opozycya zaczęła działać w parlamencie systematycznie, a na domiar nieszczęścia większość komisyi parlamentarnej, która miała bliżej rozpatrzeć projekt prawa Schollaert'a, została przypadkiem, bo losem, wybraną z przeciwników projektu rządowego.

Projekt został w izbie wznowiony przez kilku deputowanych, którzy wnieśli go także w swojem imieniu, lecz po raz drugi nie przeszedł. Wszelkie zabiegi, jakie przeciwko temu projektowi poczyniono, nie są jeszcze dotąd publicznie zupełnie znane, ale to fakt, że cały gabinet Schollaert'a w czerwcu otrzymał dymisyę. Potem gabinet Broquevill'a wystąpił z przedłożeniem swojego wniosku szkolnego, w którym nie proponował już tych legitymacyi, które w poprzednim projekcie były niejako tarczą pocisków wszystkich jego przeciwników, a których nawet nie wszyscy

katolicy popierali, albowiem opozycya przeciw nim była tak silną, że mogła była powszechny spokój zakłócić.

Tak się przedstawia w zarysie projekt ustawy szkolnej. Antyklerykali nie mogli wykazać tego, iżby był bezprawnym, gdyż na mocy praw konstytucyjnych nauczanie w Belgii jest zupełnie wolne; a nie mogli również wykazać, by sprzeciwiał się sprawiedliwości, albowiem niczyich praw nie obrażał; a więc chcąc przeciw niemu walczyć, uciekli się do innej ulubionej broni, do kłamstwa, fałszywie tłomacząc tendencyę projektowanej ustawy. A więc już to w prasie, już też na swoich zgromadzeniach, wszędzie gdzie mogli, głosili, że celem projektu szkolnego jest to, aby zdobyć miliony dla kas klasztornych i aby zniweczyć zupełnie prawo nauczania publicznego. Ten cały ruch rozpoczął się pod starem oklepanem hasłem: „precz z zakonami!“ Kilka klasztorów w Bruxelli obrzucono nawet kamieniami. Nie mieli tylko odwagi mówić, że kolegium Jezuitów byłoby także subwencyonowane przez państwo, w razie uchwalenia projektu rządowego, albowiem w rzeczywistości nie miało ono pobierać żadnej subwencyi, gdyż projekt nowej ustawy szkolnej odnosił się tylko do szkół najniższych, a Towarzystwo Jezusowe posiada w swoich kolegiach szkoły średnie. Tymczasem przybliżono termin wyborów na 15-go października. Aby dać dowód, że kraj jest przeciwny rządowi oraz projektowi nowej ustawy szkolnej, liberalni oraz socyaliści utworzyli ze sobą dziwaczny związek, tak, że wszędzie przeciwko obozowi katolickiemu występował do walki „kartel“ czyli blok liberalno-socyalistyczny. Ludzie poważnie myślący mieli zatem przed sobą zjawisko prawdziwie nie do uwierzenia, iż finansiści, bankierzy i przemysłowcy figurowali na tej samej liście wyborczej razem z rzeczywistymi komunistami, socyalistami i wrogami kapitalistów. Prasa katolicka miała przeto wdzięczną sposobność, aby całymi tygodniami przytaczać mowy liberałów, zwalczające i potępiające na każdym kroku partyę socyalistów oraz jej przewódców, z którymi teraz liberałowie szli ręka w rękę w proponowaniu kandydatów przy wyborach do Izby.

Skutki tej niegodnej koalicyi były łatwe do przewidzenia: oto katolicy zostali wyparci z rad gminnych po większych mia-

stach, jak Bruxella, Antwerpia, Liége, Gandawa. Według wszelkich reguł matematyki nie mogło być inaczej; katolicy bowiem mogli byli wejść w skład tej reprezentacyi tylko na podstawie zastosowania systemu „wyborów proporcyonalnych", gdyby trzy stronnictwa polityczne liczebnie prawie równe, głosowały zupełnie z osobna. Skoro zaś którekolwiek z tych dwóch stronnictw połączyły się razem, natychmiast musiały przy wyborach otrzymać większość bezwzględną, niedopuszczającą przedstawicieli stronnictwa mniejszości.

Tak więc przez pogwałcenie ducha prawa wyborczego, oraz przez związek dwóch wprost przeciwnych sobie obozów, katolicy zostali wyparci z reprezentacyi miast większych. Trzeba jednak zauważyć, że nawet przed wprowadzeniem w życie nowego prawa wyborczego, katolicy już nie byli panami wymienionych czterech miast, albowiem przedtem jeszcze utracili w nich swoje mandaty. Toteż położenie katolików w Belgii wskutek nowej ustawy szkolnej wcale nie stało się gorsze, nie utracili bowiem nic z liczby swoich głosów, nikt ich obozu nie opuścił, aby walczyć w szeregach nieprzyjaciół. W tem tylko pomylili się katolicy, iż mniemali, że znaczna część liberałów nie pójdzie za głosem swoich przewódzców, i z obawy przed socyalistami nie będzie chciała popierać kartelu z nimi zawartego. Tymczasem stało się przeciwnie: ogromna większość partyi liberalnej, t. j. prawie wszyscy dawniejsi jej stronnicy, utonęli w obozie socyalistycznym, tak, że katolicy nie mają już do walczenia z dwoma wrogiemi im stronnictwami, ale właściwie tylko z jednem.

Zrobiwszy tę uwagę, wykażemy zaraz, że w czterech wyżej wspomnianych wielkich miastach stronnictwo rządowe nie straciło większości, owszem liczba głosów partyi katolickiej znacznie się powiększyła, z wyjątkiem Antwerpii. Weźmy najpierw pod rozwagę Bruxellę, łącznie z jej przedmieściami. Z wykazów statystycznych, podawanych przez dzienniki antyklerykalne, wynika, że ich stronnictwo przy ostatnich wyborach gminnych w roku 1907 zebrało razem 84.328 głosów, a w roku 1911 95.507. Katolicy zaś mieli otrzymać w r. 1907 — 49.552 głosów, a w roku 1911 — 57.831. A zatem u antyklerykałów przyrost wynosił

11.179 głosów, a u katolików 8.279. — Wyrażając ten stosunek procentowo, okazuje się, że w r. 1907 otrzymali antyklerykalni 63% głosów, zostawiając katolikom 37%. W r. 1911 było 19.458 głosów wszystkich więcej niż w r. 1907. Otóż, aby stosunek obu partyi głosujących w r. 1911 pozostał ten sam co pierwej, należało, aby kartel liberalno-socyalistyczny otrzymał 63% a katolicy 37% ogólnej liczby głosów; w tej proporcyi każda partya utrzymałaby się przytem, co już w r. 1907 uzyskała, a tak nie byłoby w r. 1911 ani zwycięzców ani zwyciężonych. Otóż możemy stwierdzić fakt, który potwierdzają także nasi przeciwnicy, że antyklerykalni otrzymując 11.179 więcej głosów niż w r. 1907, nie zyskali 63%, jak fałszywie podawali, ale tylko 57% w stosunku do katolików, przeto katolicy mogą się poszczycić przyrostem ilości głosów swoich o 6%, albowiem ich liczba stosunkowo przy wyborach podskoczyła z 37% na 43%. Innemi słowy różnica stosunku procentowego między katolikami i kartelistami spadła z 26%, jak to było w r. 1907, na 14%, podług obliczeń w r. 1911. Dlatego to liberalny „Journal de Liége" pisze z okazyi wyborów w Bruxelli, że stosunek procentu głosów katolickich z 33.8% roku 1907 podniósł się w r. 1911 na 38%. Analogiczny przyrost przy wyborach do izb prawodawczych wykazywałby zyskanie przez katolików jednego lub dwóch mandatów więcej.

Jeżeli przyjrzymy się stosunkom wyborczym samego miasta Bruxelli, bez przedmieść, to rezultat wyborów będzie jeszcze bardziej widoczny. — Otóż podług dat statystycznych, zebranych przez antyklerykałów, ich stronnictwo otrzymało w r. 1907 27.220 głosów, podczas gdy koalicya z liberałami zebrała w r. 1911 tylko 25.277 głosów, a więc cała partya straciła około 2.000 głosów. Tymczasem katolicy postąpili z liczby 11.163 głosów, otrzymanych w r. 1907 na 13.186 w r. 1911, czyli zyskali około 2.000. Ogólna zatem strata partyi antykatolickiej wynosi 4.000 głosów mniej. To samo było w Gandawie, gdzie liberalni wraz z socyalistami złączeni w jeden kartel, stracili 2.000 głosów od roku 1907, w którymto przeciągu czasu katolicy zyskali 3.000, czyli ogólna strata dla opozycyi 5.000 głosów. Podobnie rzecz się miała także w Liége. O Antwerpii jeszcze wspomnimy.

Pozostaje zatem faktem udowodnionym, że rząd od chwili odrzucenia projektu nowego prawa szkolnego nie stracił swojej większości nawet po największych miastach. Cała zatem argumentacya antyklerykałów, że rząd katolicki, mając przeciwko sobie większe miasta kraju, nie posiada moralnej przewagi, potrzebnej do sterowania państwem, opiera się na fałszywych danych.

Dopieroco widzieliśmy, że stosunki wyborcze przedstawia prasa antykatolicka w sposób nieprawdziwy, a niedopuszczenie katolików do brania udziału w radach gminnych, dowodzi tylko, że kartel potrafił tylko przeszkodzić zastósowaniu ustawy o wyborach proporcyonalnych.

Lecz nawet przypuściwszy na chwilę, że istotnie cztery wielkie miasta opuściłyby rząd, czyżby ztąd miało wynikać, że tenże rząd nie posiada już większości w całym kraju ? Wszakże katolicy zyskali ogółem w kraju począwszy od r. 1907 — 50.000 głosów; czyż to nie dowodzi, że większość jest po ich stronie ? Tymczasem antyklerykalni wcale nie wahali się oświadczyć, że tylko ludzie miast wielkich są inteligentni i zdolni do ocenienia rzeczy podług prawa i sprawiedliwości. Zaiste nędzny to system, do którego garną się ci właśnie, którzy przedstawiają się za obrońców zupełnej równości między ludźmi! A sami przecież czynią między nimi wielkie różnice, nazywając mieszkańców miast wielkich, to znaczy swoich stronników ludźmi inteligentnymi, uważając zaś włościan i małomieszczan za skończonych idyotów, dlatego, że za katolikami głosują. Ale zaiste system bardzo wygodny... aby w razie zupełnej przegranej, mydlić drugim oczy, próbując odegrać rolę zwycięzcy!...

Jeżeli od wielkich miast przejdziemy do gmin drugorzędnych to sukces katolików będzie jeszcze bardziej widoczny. Utraciliśmy miasto Namur, oraz ponieśliśmy stosunkowo stratę w Louvain, to prawda; ale z drugiej strony zyskaliśmy całe pobrzeże morskie. A jeśli należący do kartelu, osłabiają nasze stanowisko w Mechlinie, w Bruges i w Courtrai, to sami nam przyznają, że zupełnie w naszych rękach są miasta Hal, Wavre i Diest. Cała prowincya limburska należy również do nas, a ostatnia miejscowość Maeseyck niezadowolona z gospodarki liberałów, pragnie

się wydostać z pod przewagi bloku liberalno-socyalistycznego. W Luxemburgu i we Flandryi powodzi się katolikom niemniej świetnie. Wszelako największe tryumfy święcą katolicy w Hainaut, prowincyi przemysłowej. Doznaliśmy tam wprawdzie 4 porażki, ale za to odnieśliśmy więcej niż 20 zwycięstw. Gmina Famillereux, która pierwsza pozwoliła sobie narzucić administracyę socyalistyczną, po 24 latach przeszła na stronę partyi katolickiej; w Quaregnon wybrano, po raz pierwszy od lat 20, trzech katolików, w Marche także trzech, i to również pierwszy raz od 28 lat.

Ogólnie rzecz biorąc, mamy się z czego cieszyć, bo antyklerykalny powiew, który przeszedł przez kraj, i próbował partyę rządową zupełnie usunąć, zaprawdę niewiele wskórał dotąd.

Czy dlatego możemy już teraz odpoczywać i spokojnie sprawę zasypiać? Z pewnością, że nie; wskazówki, jakie się same wyłaniają z całej historyi wyborów, mogą być nietylko dla nas, ale i dla katolików w innych krajach niezmiernie pouczające. Oto najpierw przeciwnicy nasi, aby uczynić zadość swej nienawiści do wszystkiego, co trąci religią, gotowi są poświęcić swoje własne zasady. Fanatyzm antyreligijny zupełnie ich zaślepił. W r. 1895 przewódcy liberałów tak się wyrażali: „partya socyalistyczna zagraża publicznemu bezpieczeństwu, głosi walkę klasową między pracą a kapitałem, między robotnikiem a pracodawcą; zdąża do tyranii agitatorów, do zniesienia własności prywatnej, do zniszczenia handlu i przemysłu. Ona powołuje się na komunę paryską, która przez rzeź publiczną i niszczenie ogniem najsławniejszych zabytków stolicy świata wszędzie wzniecała przerażający postrach. Wszyscy zatem prawi obywatele powinni się z nami łączyć w celu odparcia tego nowego barbarzyństwa, grożącego wolności i cywilizacyi. Nasze miasta wnetby ujrzały, że zaczynają w nich znikać wszelkie źródła dobrobytu i prawdziwej wielkości, gdyby omamione fałszywemi obietnicami, jakie zawsze bardzo łatwo czynić, wybrały na przedstawicieli do rad gminnych samych tych gardłaczy ulicznych i twórców wszelkiego nieporządku".

Później potem, bo w r. 1903, liberalny burmistrz miasta Liége w następujący sposób wyraził się: „jeżeli z naszej strony przyczy-

nimy się do wyboru socyalistów, to oni wystąpią przeciwko nam, aby nas usunąć, albo, aby zaprządz nas do swego jarzma, którego żaden z nas nie zniesie". To proroctwo dosłownie się już spełniło oprócz ostatniego dodatku, „którego żaden z nas nie zniesie", albowiem liberałowie wzięli na siebie dobrowolnie jarzmo narzucone im przez socyalistów. Przepowiedział to im przewódzca socyalistów, pochodzący z Gandawy: „albo pójdziecie za czerwonym sztandarem, albo zginiecie"! I w istocie poszli za socyalistami, i w swym szalonym pośpiechu stali się rzecznikami wszelkich zasad socyalistycznych i przyjęli ich zasadnicze prawo głosowania powszechnego w jego najskrajniejszej formie „ilu ludzi, tyle głosów", jakkolwiek wiedzą dobrze, że z dniem, w którym taki sposób głosowania zostanie uchwalony, liberalni przestaną być stronnictwem, stracą wszelkie znaczenie. To prawda, że oni mniemają, iż do tego nie przyjdzie tak prędko, i dlatego też sądzą, że uda im się odnieść nad katolikami zwycięstwo. — Odkąd liberalni utworzyli blok ze socyalistami, odtąd starają się popierać tych ostatnich we wielkich miastach, oraz wszędzie iść im na rękę. Przyszłość okaże, za ile miesięcy socyaliści będą głosować przeciw swym sprzymierzeńcom — liberałom; bo pamiętajmy dobrze, że chociaż liberałowie przystępując do bloku, musieli w znacznej części odstąpić od swego programu, to socyaliści nie ponieśli przy tem nawet najmniejszej ofiary. Stąd też ich przewódzca Van der Velde mógł następujące złożyć oświadczenie w Amsterdamie: (podług sprawozdania socyalistycznego dziennika „le Peuple" z 4-go września 1911):

„Jakby to było dobrze, gdybyśmy nie byli związani z liberałami! Oni sami przyłączyli się do nas, aby urządzić manifestacyę 15-go sierpnia (przeciw projektowi ustawy szkolnej, oraz na korzyść powszechnego głosowania). Rada naczelna partyi robotniczej nie mogła przecież liberałom odmownie odpowiedzieć, bo myśmy sami zrzekli się drugiego głosu dla ojców rodzin. Cała zatem różnica między nami a liberałami na tem polegała, że oni żądali prawa głosowania dla tych, którzy dopiero 25-ty rok życia mieli, a myśmy chcieli, aby już od 21-go roku można było stawać u urny wyborczej. Potem i ta różnica nawet upadła, tak, że nie potrzebo-

waliśmy w niczem ustępować z naszych postulatów. Udało mi się utrzymać nasz program w całej rozciągłości; nastawałem na potrzebę walki przeciw § 310 kodeksu karnego, który zabrania prawa strejku, oraz wyraźnie występowałem w obronie naszych przekonań republikańskich... Protestuję przeciw temu zarzutowi, iżbyśmy w zamian za różne ustępstwa, które nam obiecano, mieli się zrzec prawa powszechnego głosowania i nauki przymusowej. To tylko prawda, że liberalni musieli nam ustąpić w niektórych istotnych punktach własnego programu,... otrzymaliśmy zatem od nich to, czegośmy żądali, nie potrzebując w zamian za to w niczem ustępować"...

Burżuazya liberalna utrzymuje wprawdzie, że socyaliści przez związek z nią zmądrzeli... Lecz z dopieroco przytoczonych słów przewódcy socyalistów, możemy wywnioskować, ile w tem jest prawdy. Za kilka miesięcy może nadarzy się nam sposobność do poruszenia znowu tej kwestyi, omawiając liberalno-socyalistyczną gospodarkę w czterech wielkich miastach Belgii. Na razie pozostaje dla nas z tego tylko ta bardzo ważna nauka, że jeżeli przeciw obozowi katolickiemu występują do walki dwa, choćby najbardziej zwalczające się stronnictwa, to chociażby miały wskutek swej unii zginąć, nigdy się nie rozłączą, ale mimo różnicy zdań, pójdą zgodnie ze sobą, aby tylko katolikom uniemożliwić zwycięstwo. Nienawiść do religii stanowi ich najsilniejszą spójnię.

Nie możemy zamilczeć, że nasi przeciwnicy korzystają z każdej sposobności, aby zastosować w praktyce osławione zdanie Voltaire'a: „Kłamcie, kłamcie tylko, a zawsze coś z tego pozostanie". I tak n. p. w Bruges i w kilku miejskich powiatach usiłowano tłumaczyć ludziom, że to rząd katolicki winien temu, iż artykuły żywności podrożały; — jak gdyby nasi katoliccy ministrowie mieli przy sobie klucze do otwarcia upustów nieba i mogli sprowadzić natychmiast deszcze w czasie posuchy, — jak gdyby ich można było do odpowiedzialności pociągać za wyjątkową posuchę w r. 1911.

Zaiste, jakże potężny musi być ten nasz rząd klerykalny!... Pewnie on to się porozumiał z ministeryum francuskiem, bez wątpienia bardzo katolickiem, a może z przebranymi jezuitami, a da-

lej z rządem niemieckim, austryackim i angielskim, ażeby w całej Europie przeprowadzić podrożenie artykułów spożywczych... Czy też to nie jest także wina katolickiego rządu w Belgii, że robotnicy i urzędnicy wszędzie domagają się podwyższenia płacy, co znowu musi pociągnąć za sobą zwiększenie podatków i podwyższenie ogólnych kosztów utrzymania?...

Choroba spadła na nasze bydło, pożar spalił lasy, Francya i Anglia o mało że nie wpadły w wojnę z Niemcami, a ich wojska musiałyby w tym wypadku przez nasz kraj przechodzić; temu wszystkiemu winien rząd katolicki!... Wojny bowiem nie przewidział, nie był do niej przygotowany, forty były źle zaopatrzone w amunicyę, nasze wojska były źle uzbrojone! — Na to odpowiedział minister wojny, że na wojnę byliśmy dobrze przygotowani, a przeciwny zarzut zupełnie nie był podyktowany troską o obronę ziemi ojczystej; — oto był skutek a zarazem owoc napaści socyalistycznej.

Potem prasa opozycyjna rozpisywała się o tem, że z okazyi sławnej manifestacyi, która odbyła się w Bruxelli 15-go sierpnia na rzecz powszechnego głosowania, a przeciw wnioskowi szkolnemu, cały naród okazał rządowi, że nie posiada zaufania do niego i że nie życzy go sobie na przyszłość. Otóż podług szczerej prawdy uczestników tej manifestacyi mogło być koło 100.000, podczas gdy wszystkich stronników tej partyi w okolicach Bruxelli można liczyć na cały milion. A nawet wśród tych 100.000 manifestujących 15-go sierpnia znaczna była liczba kobiet i dzieci, mimo, że 2 miesiące dobrze pracowano nad tem, ażeby zebrać jak największą liczbę uczestników. Rezultat całego zgromadzenia był tak słaby, że antyklerykalne dzienniki próbowały uratować sytuacyę bardzo fantastycznemi sprawozdaniami; i tak, kiedy jedne pisały, że uczestników było 150.000, to inne znów mówiły, że było ich 500.000. Katolicy mogli na to odpowiedzieć, że 27 sierpnia ich stronnictwo także zgromadziło w się Louvain w liczbie 80.000, i to bez wielkich przygotowań i bez napędzania ludzi, w celu wyrażenia uznania ministeryum Schollaerta, twórcy sławnego projektu ustawy szkolnej, które dzień przedtem podało się do dymisyi. To zgromadzenie w Louvain ma większe znaczenie niż

nieudały wiec w Bruxelli! Dzienniki liberalne donosiły, że w Louvain kręciło się tylko parę tysięcy chłopów... podczas, gdy organ socyalistów „Le peuple“ wyraźnie zaznacza, że zdumiewająca liczba robotników brała udział w manifestacyi w Louvain.

Kłamstwa, rozszerzane o nas przez nieprzyjaciół, niestety wnikają głęboko w masy, albowiem do ich kolportażu przyczynia się bardzo dobrze zorganizowana prasa, świetnie informująca czytelników o wszystkiem, co najbardziej obudza zainteresowanie się obecnego pokolenia, jak teatry, sporty, procesy przez inne dzienniki zamilczane i t. p. Jeżeli, nad czem słusznie ubolewać, wielu katolików abonuje tego rodzaju pisma, dla mnóstwa ciekawych wiadomości, to jeszcze nie przestają tem samem zaglądać do katolickich dzienników. Ale niekatolicy, liberałowie lub socyaliści, naszych pism wcale nie czytają.

Nasza zatem prasa, której nie brak ludzi z talentem i poświęceniem, powinna się jak najenergiczniej starać, aby nasze dzienniki stały się również pociągające, przez dobór artykułów, powieści, oraz ilustracyi, podobnie jak pisma naszych przeciwników.

Trzecia nauka, jaka z obecnego położenia sama się nasuwa, jest nieodzowna potrzeba unikania wszelkiego rozdwojenia, oraz konieczność zespolenia wszystkich sił katolickich. Jeżeli w niektórych okręgach ponieśliśmy stosunkowe straty, to musimy to przypisać walce pomiędzy samymi katolikami, i to niekiedy walce natury zupełnie osobistej. Otóż w chwili, kiedy niebezpieczeństwo zagraża, nie należy walczyć o osoby, ale o rzecz samą; kwestye osobiste powinny ustąpić wobec dobra ogólnego! Tego rodzaju zaparcie się, a nawet i ofiara, może czasem dużo kosztować, ale czyż nie można tego poświęcenia żądać od każdego, któremu przyświecają wyższe pobudki religii? Czy to nie jest naprawdę smutnym objawem, że w chwili, kiedy idzie o pokój religijny w kraju, o dusze naszych dzieci, jedni katolicy są zwalczani przez drugich katolików, jak to było w Alost, albo przez nieszczęsnego księdza, jak w Bruges, któremu to rozdwojeniu przyklaskiwali tylko liberałowie i socyaliści. Jak jeszcze mogą się ci nazywać katolikami, którzy do takich zajść doprowadzają!

Gdyby starano się o jedność, ale jedność szczerą i zupełną wszystkich katolików w kraju, niczego nie potrzebowalibyśmy się obawiać; podczas gdy teraz możemy się słusznie lękać, że może już niebawem ci, którzy ręka w rękę z nami nie postępują, znajdą się wkrótce w szeregach naszych przeciwników.

Nadto pouczeni wypadkami w Antwerpii konstatujemy, że organizacya naszego stronnictwa nie powinna przedstawiać jakiegoś zastoju, ale winna się stosować do wymagań czasu, tak co do swojej nazwy, jak i co do swojego programu, oraz co do osoby swojego przewódcy. Antwerpia przed 30-tu laty była miastem zupełnie flamandzkiem, walczącem przeciw militaryzmowi. Teraz jest wielkiem miastem portowem, jednem z najważniejszych miast Belgii, a zarazem największą w kraju twierdzą. Ponieważ mury i wały, otaczające Antwerpię, stały na przeszkodzie temu, że portu nie można było powiększyć, przeto stronnictwo katolickie postanowiło dążyć do ich całkowitego zniesienia. Projekt ten cieszył się nawet powodzeniem naturalnie wprost przeciwnej opinii władz wojskowych. Owszem, zupełnie się nawet powiódł, albowiem zapadła już uchwała zburzenia murów i usunięcia otaczających je szańców.

Obecnie sytuacya zupełnie się zmieniła. Antwerpia przestała być miastem wyłącznie flamandzkiem i przybrała charakter kosmopolityczny; Wallonowie oraz Niemcy, posiadający obywatelstwo belgijskie, stanowią teraz w Antwerpii większą i miarodajną część ludności miasta. Dawni mieszkańcy nie wiele się wprawdzie o nowych troszczą, w kościele przemawia się do tych przybyszów jeszcze po flamandzku, a więc językiem zupełnie dla nich niezrozumiałym. Mimo to wszystko, jako prawdziwi obywatele mają oni prawo głosowania. Liberałowie porozumiewają się z nimi w języku francuskim, przeciągają ich na swoją stronę, a nawet przy wyborach chętnie za nimi głosują. W ten sposób przybysze stanowią przy wyborach tę część ludności, o którą obie partye najbardziej się współubiegają i która prawie zupełnie daje się pozyskać stronnictwu antykatolickiemu.

Wspomnieliśmy wyżej, że powodzenie katolików szczególnie świetnie się powiodło w Hainaut, okręgu wybitnie przemysłowym.

Socyalizm w tym okręgu od kilku lat widocznie się zmniejsza, jego rozwój podobnie jak w Gandawie, jest zupełnie wstrzymany. W tem ostatniem mieście tylko 200 głosów brakło katolikom do przeforsowania przy wyborach robotnika antysocyalistycznego. A w skutek czego to poszło? Wskutek tego, że katolicy nie wzięli się energicznie do działania, i że są zorganizowani na terenie na wskróś socyalistycznym.

Dla zwalczania syndykatów socyalistycznych, prawie wszędzie katolicy zakładają syndykaty chrześcijańskie. Patronowie zawiązujący tego rodzaju syndykaty dokonali rzeczy wielkiej, albowiem niektóre z tych syndykatów, n. p. „le Francs-mineurs", stały się taką potęgą, że i socyaliści muszą się z nią liczyć, bo powodzenie strejków także od niej zależy. Zresztą nie wszędzie ta sprawa idzie równo. Można bowiem wskazać miejscowości poza okręgiem Hainaut, w których patronowie katoliccy godzą się na istnienie syndykatów socyalistycznych, konferują nawet z ich delegatami, owszem nie chcą nawet słyszeć o syndykatach chrześcijańskich lub wolnych. Może sądzą, że poczciwi robotnicy zawsze będą mieli siłę oprzeć się pokusie, połączenia się kiedyś z syndykatami socyalistycznymi?... Doświadczenie odebrane w ostatnich dwudziestu latach, powinnoby przecież wystarczającą być dla nich pod tym względem nauką. Widzimy bowiem, że na wsi, gdzie katolicy poparci przez duchowieństwo, pierwsi organizowali rolników, tam pod względem ekonomicznym i socyalnym stracony był grunt dla liberałów i socyalistów. Dlaczegoż zatem pozwoliliśmy na to, że socyaliści uprzedzili nas w organizowaniu rzemieślników i robotników po warsztatach i fabrykach? Czyż to nie wiele trudniej dopiero wtedy stanąć na czele ruchu, kiedy się pozwoliło przedtem przeciwnikom uprzedzić nas w tej robocie? Wszakże wiele jest w tem prawdy, że lud podobny jest do dziecka, które pozwala się każdemu pozyskać, i w rzeczy samej stanie po stronie tego, który pierwszy jego serce zdobył. Przykład okręgu Hainaut wskazuje, że nawet wtedy, kiedy się lud straciło, można go usilną pracą powtórnie zdobyć dla siebie, ale wtedy już trzeba chyba takiej troskliwości i skrzętności gospodarczej, jaką okazała niewiasta ewangieliczna przy szukaniu zgubionej drachmy.

Oto główne uwagi jakie się nam nasuwają z powodu naszej obecnej gospodarki społecznej. Są one dla nas teraz tem ważniejsze, iż po raz pierwszy udało się naszym przeciwnikom nadać wyborom charakter nawskróś polityczny, podczas, gdy przy nich należało przedewszystkiem mieć na oku dobrą administracyę kraju. 14 listopada 1911 r. zebrał się nasz parlament, a nazajutrz szef rządu baron de Broqueville przedłożył swoje exposé, wyłuszczając w niem zamiary całego gabinetu. Spis ludności w Belgii nastręcza sposobność powiększenia liczby deputowanych, oto dlaczego ministeryum uważało za stósowne ostatniego czerwca zażądać od króla, aby parlament rozwiązał. A więc przyszłego czerwca odbędą się wybory w całym kraju, mimo, że powinny się były odbyć tylko w połowie kraju; w naszym parlamencie zmienia się bowiem co dwa lata połowa liczby posłów. Posłowie opozycyjni, domagający się natychmiastowej dymisyi gabinetu, któremu kraj niby to dał 15 października votum nieufności, nie wystąpili z żadnym projektem co do przyszłych wyborów, owszem wyszli z posiedzenia, albowiem wstyd ich było, iż zarzucali katolickiemu rządowi, że zostawia kraj bez należytej obrony, podczas gdy ostatnie manewry okazały, że stan armii jest tak świetny, iż prawdziwą chlubę przynosi swojemu ministeryum wojny.

Cóż nam tedy nowe wybory przyniosą? Oczywiście, trudno to już dziś przewidzieć. Czy zobaczymy, że blok antykatolicki znowu będzie zawarty? Jedni mówią: tak, drudzy temu przeczą. A czy przyjście jego do skutku byłoby dla nas niepomyślne? Prawdopodobnie, że nie. Trzeba bowiem nie zapominać, że kto inny wybiera do izb prawodawczych, a kto inny do rad gminnych. Trzeba też pamiętać, że wielu dotychczasowych stronników bloku nie będzie już teraz za nim głosować. Już teraz w Liège, w klubie blokowym panuje niezgoda, to samo w Bruxelli dużo złego humoru i niezadowolenia. Jeżeli tylko blok będzie głosował za nałożeniem nowego podatku dochodowego, to zrazi sobie natychmiast liberalną burżuazyę, godząc w jej stronę najbardziej wrażliwą, t. j. w kieszeń...

W każdym razie czy przyjdzie do antykatolickiego bloku, czy nie, katolicy mogą być pewni zwycięstwa, jeżeli tylko wszyscy

się połączą i jeżeli pełni poświęcenia dla swojej idei rozwiną energiczną propagandę.

Lecz przypuśćmy na chwilę, że po 27-miu latach katolicy stracą w izbie przewagę. Rzecz to wogóle możliwa, acz nie bardzo prawdopodobna, ponieważ większość katolicka upadłaby tylko wskutek wywołania zupełnego niezadowolenia, a to nie tak łatwe w Belgii, gdzie ludność nie czuje się szczęśliwa, jeżeli jej brak tematu do narzekania... A więc cóż się stanie? W senacie będzie z wszelką pewnością większość katolicka, lecz cóż, gdyby w izbie deputowanej była większość antyklerykalna? Ta większość według wszelkiego prawdopodobieństwa byłaby mniejszą, niż jak obecna większość katolików; w każdym razie nie byłaby taką samą. A jakim będzie los ustaw antykatolickich, jeśli tylko takie będą uchwalane przez izbę? Co się z niemi stanie, gdy przyjdą pod obrady katolickiego senatu? Będzie konflikt pomiędzy obiema izbami; zniknie wtedy w parlamencie spokój i zdrowa praktyczność angielska, a zapanuje nieporządek, zaburzenia, bunty i ich represye, częste rozwiązywania izby i częste wybory. Jak na teraz przynajmniej, to nawet wyobrazić sobie trudno, aby rząd antykatolicki był w Belgii możliwy.

Liberalni mają swoje mrzonki, a więc powiadają: znajdziemy poparcie u katolików, ilekroć będziemy przeciwni zbyt daleko idącym projektom ekonomicznym socyalistów, a znowu socyalistów będziemy mieli za sobą przy uchwalaniu antykatolickich ustaw. Tego rodzaju lawirowanie między jednymi a drugimi nie zawsze jest pewne; gdyby nawet się powiodło w ten sposób utrzymywać pewną równowagę pomiędzy oboma stronnictwami bloku, to jeszcze byłoby to tylko oddawanie usług partyom antykatolickim. Taka rola nie przypadłaby do gustu ludowi belgijskiemu; zresztą socyaliści widząc, że ich wszelkie nadzieje co do reform społecznych zostają w ten sposób zawiedzione, przerzuciliby się niebawem do stronnictwa większości, przynajmniej ci z nich, którzy równocześnie służą masoneryi. Ci ostatni zawsze bowiem to tylko czynią, czego interes „braci masońskich“ wymaga; na szczęście ten odłam jest bardzo nieliczny, bo należą do niego tylko najbogatsi z pośród socyalistów. W ten sposób pomagalibyśmy je-

dynie do zużywania się sił partyi liberalno-socyalistycznej, i do prawdopodobnego rozłamu w tej partyi. I znowu naśladowalibyśmy w tym punkcie Francyę. Czy taki rozłam pośród socyalistów możnaby wkrótce osiągnąć? Z pewnością nie łatwo. Blok antykatolicki ma trzy zadania do przeprowadzenia: naukę przymusową, jedność prawa wyborczego i głosowanie powszechne.

1. Co do nauki przymusowej, to katolicy chcieli, aby ojcom rodzin pozostawić wolność doboru szkoły. Ten dezyderat został uwzględniony w programie rządowym i stanie się prawem, jeżeli przy czerwcowych wyborach otrzymamy większość. Prawo nauki przymusowej, (które nie zostawia rodzicom wolności wyboru szkoły) jest owocem współdziałania liberałów ze socyalistami, albowiem w tym względzie idą z sobą zgodnie, aby przeprowadzić szkoły przymusowe, a zaszkodzić szkołom prywatnym.

2. Jedność prawa wyborczego, idzie tu o to, aby jedna i ta sama zasada reprezentacyi proporcyonalnej była podstawą wszystkich wyborów, t. j. do rady gminnej, do rady prowincyonalnej i do parlamentu. Pośród katolików znaczna część jest tego zdania, że taka zasada byłaby najkorzystniejszą.

3. Głosowanie powszechne od 21 roku podług socyalistów, a od 25 roku podług liberałów. Co do tych ostatnich, to jeszcze pytanie, czy wszyscy faktycznie oświadczą się za takiem głosowaniem. Ich większość już teraz jest niewielka, jeżeli ją wogóle jeszcze mają! A potem idzie tu nadto o jeden warunek rozstrzygający; mianowicie do zmiany prawa głosowania, potrzeba rewizyi całej konstytucyi. Lecz, żeby ją przeprowadzić, potrzeba uzyskać $^2/_3$ głosów w izbie deputowanych, na mocy ustawy tejżesamej konstytucyi. Aby zaś to przyszło do skutku, katolicy musieliby posiadać mniej niż $^1/_3$ część wszystkich głosów w parlamencie, albo też przeciwnicy katolików musieliby znaczną część tego stronnictwa skłonić do głosowania za wnioskiem bloku antykatolickiego. Do tego jednak katolicy nie dadzą się łatwo nakłonić. Niektórzy z nich w rzeczy samej nie są przeciwni powszechnemu głosowaniu, ale jedynie takiemu, do którego dopuszczonoby także kobiety, sądzą bowiem, że tylko spełnienie tego ostatniego warunku położyłoby na zawsze kres wszystkim rewizyom, reklama-

cyom i manifestacyom. Cóżby jednak powiedzieli antykatolicy na to, gdyby także kobiety miały być przypuszczone do głosowania? Liberałowie nie przystaliby na to za żadną cenę, socyaliści zaś w teoryi musieliby się wprawdzie na to zgodzić, bo to dopiero byłoby równouprawnienie obojga płci, lecz w praktyce odpowiedzieliby, że kobiety nie są jeszcze dostatecznie przygotowane do wykonywania prawa głosowania. Innemi słowy baliby się przyznawać tego prawa kobietom, uważając je za element nadto klerykalny. Wobec socyalistów bowiem ten tylko jest godny głosu, kto głosuje za nimi, jako jedynie inteligentny... a tacy mogą się tylko rekrutować z antyklerykałów wielkich miast.

Widzimy zatem, że sytuacya jest bardzo skomplikowana i pełna niebezpieczeństw dla Belgii, idzie bowiem o rozstrzygnięcie kwestyi, od której zależy pokój i pomyślność narodu. Potrzeba aby przedwyborcza praca, którą już rozwinięto, została pobłogosławiona z nieba. W tym celu potrzebujemy modlitwy wszystkich katolików na ziemi, i dlatego liczymy, że katolicy-słowianie choć w ten sposób z pewnością pospieszą nam z pomocą.

Ks. Ch. Schoonjans.

„INDYWIDUALNOŚĆ TWÓRCZA SKARGI"

(C. d.).

CZĘŚĆ II.

W drugiej części zajmiemy się politycznymi poglądami Skargi i w ogóle jego stosunkiem do ówczesnego życia w Polsce. O ile w poprzednich rozdziałach mogliśmy poprzestać mniejwięcej na samem rozwinięciu pojęć naszego kaznodziei, a pominąć tło, jakiem tam była nauka Kościoła, a więc rzecz przynajmniej w głównych zarysach powszechnie znana, to tutaj, gdzie myśli Skargi mają swe źródło w ówczesnych polskich stosunkach, musimy zwrócić na ten punkt baczniejszą uwagę. Naturalnie, charakterystyka ich będzie dostosowana do naszego celu i co za tem idzie jednostronna. Skarga podobnie jak wszyscy nasi pisarze polityczni zajmujący się „naprawą Rzeczypospolitej", opuszczał oczywiście to, co uważał za dobre i zdrowe w naszym narodowym organiźmie. Dlatego przyjdzie nam się zająć właśnie temi ujemnemi stronami życia w XVI. stuleciu. Zadaniem naszem będzie nietylko nakreślić, jak poglądy Skargi wyglądają, lecz także o ile możności odnaleźć drogę, którą do nich dochodził. Bo dla ocenienia czyjejś indywidualności twórczej nie tak sama myśl jest znamienna, jak sposób jej powstania.

Nie był u nas Skarga pierwszym, ani ostatnim nauczycielem patryotyzmu. Dla wszystkich prawie zasad, jakie głosił, możnaby znaleźć poprzedników. O uzdrowieniu stosunków polskich rozprawiano wówczas w całej Polsce, a nawet zarodki kaznodziej-

stwa politycznego istniały przed Kazaniami sejmowemi;[1] ale Skarga dopiero doprowadził ten rodzaj naszej literatury do majestatycznego rozwoju i dlatego wolno nam powtórzyć za Mickiewiczem, że on go właściwie stworzył.

Nakoniec jedna jeszcze uwaga. Skargę należy traktować inaczej, niż resztę pisarzy politycznych tego wieku. Nie jest on przecież zawodowym politykiem, lecz przedewszystkiem księdzem, który mówi ze swego stanowiska o pewnych sprawach publicznych. A zatem jestto zakres ograniczony formą kazania. W traktacie politycznym, jeżeli się czegoś żąda, to równocześnie należy podać środki, któremi to można osiągnąć. Bez tego straci rozprawa na wartości. Natomiast w kazaniu, nawet politycznem, byłoby to rzeczą dziwną. Z tej więc przyczyny nie możemy wymagać od Skargi szczegółowych i dokładnych przepisów, w jaki sposób dojdziemy do celu, który w swych pismach wskazuje. Tu atoli nasuwa się pytanie, czy kazania są wiernym obrazem myśli naszego autora? Czy nie miał on także w tych więcej już fachowych kwestyach jakiegoś sądu? Możemy przytoczyć cytat, który rzuca na to zagadnienie wiele światła. W „Nabożeństwie żołnierskiem" (rozdz. VIII.) porusza Skarga kwestyę, jaki rodzaj wojska jest dla Polski lepszy: hufce zaciężne, czy pospolite ruszenie i kończy swą uwagę słowami, że rozstrzygnięcie tego „innym się na rozsądek puszcza. Nie nasza to profesya o tym zdanie dawać". A więc nie chciał przekraczać granic, jakie mu powołanie i miejsce nakreślały, ale wiedział więcej, niż mówił. Jednak nie musiały to być pojęcia jasno i gruntownie przemyślane. Skarga nie interesował się tem wiele, skoro zdawał to na ludzi, z temi sprawami lepiej — jak sądził — obeznanych. Polityka była dla niego zawodem bądź co bądź pobocznym; głównem jego powołaniem był stan duchowny, obrona katolicyzmu i apostolstwo tej nauki wśród Polaków. Z tego wynika dalszy wniosek, że nie mógł po-

[1] Do współczesnych Skardze kaznodziei tego rodzaju należeli przedewszystkiem Sokołowski i Powodowski, który już nie przez alluzye pierwszy, ale jak wprost o polityce pisał. Jednak i on nie poświęcił jeszcze kazań wyłącznie sprawom państwa, jak to autor Kazań sejmowych uczynił. Por. „Kazania sejmowe" wydanie prof. Chrzanowskiego 1903 i 1911.

święcać kwestyom politycznym tyle uwagi, jak inni, że nie miał tyle sposobności do ich gruntownego i dokładnego rozpatrzenia. Wobec tego nie można na podstawie pism oceniać jego zdolności w ten sam sposób, jak n. p. Warszewickiego, ale trzeba je brać w powiększeniu odpowiednio do tych ograniczonych warunków. Z drugiej jednak strony, jego styczność z dworem królewskim i pierwszemi osobami w państwie była okolicznością korzystną.

I.

Stosunek Kościoła do państwa. Stanowisko i obowiązki duchownych.

Chociaż w walce z reformacyą zaczęła się w Polsce szala zwycięstwa przechylać stanowczo na stronę katolików, i to już w czasie, kiedy Skarga wracał z Rzymu do swej ojczyzny, — to jednak stanowisko Kościoła do państwa i społeczeństwa wychodziło z tych zapasów znacznie zmienione. Bezwzględny swój autorytet stracił Kościół jeszcze dawniej. Edykt Jagiełły z r. 1433 postanawiający, że każdy, na kogo padnie klątwa, ma być pozbawiony majątku i czci, wychodził niby na korzyść Kościoła, ale równocześnie świadczył o jego zanikającym uroku i powadze. Przedtem wystarczała przecież sama klątwa, — teraz musiano przyłączyć do niej groźbę kary świeckiej. Autonomia duchowieństwa doznała również znacznego uszczerbku. W XV. w. zaczyna król narzucać kapitułom wybór biskupów, w XVI stuleciu staje się to już zwyczajem prawnym, który usankcyonowała ostatecznie bulla Sykstusa V z r. 1589. Dalszym ważnym wyłomem w potężnem stanowisku Kościoła było zniesienie egzekucyi sądów duchownych. Mimo to jednak uznawało jeszcze państwo religię katolicką za jedynie uprawnione wyznanie, a wszelkie inne były właściwie zakazane, chociaż w praktyce postępowano inaczej. Dopiero w r. 1573 nastąpił zwrot stanowczy. Konfederacya warszawska pozwalająca różnowiercom na swobodne wyznawanie swej wiary, odsuwała już państwo od ścisłej łączności z Kościołem i wynosiła je częściowo ponad spory religijne. Częściowo, bo

katolicyzm był nadal religią panującą, a inne były tylko dozwolone.

Duchowni, zwłaszcza ci, którzy przodowali w walce z reformacyą, przyjęli to z oburzeniem. Widzieli z trwogą, że wymyka im się z ręki pomoc władzy świeckiej, że to, co uważali za zbrodnię i bluźnierstwo, otrzymuje prawo obywatelstwa w kraju i rzucili się do zaciśnięcia rozluźnionych węzłów między państwem a Kościołem. Wykazują więc, jakie niebezpieczeństwa niesie za sobą różnowierstwo, już nie dla katolicyzmu tylko, ale i dla Rzeczypospolitej. Protestanci szerzą niezgodę, upór, nieposłuszeństwo, a zatem przyczyniają się do zamieszania, a przez anarchię do upadku państwa. Napominania takie znajdujemy prawie u wszystkich naszych katolickich pisarzy tego czasu: u Krzyckiego i u Kromera, u Hozyusza i u Górskiego, u Reszki, Sokołowskiego i innych.[1] Najskrajniejszym obrońcą katolicyzmu był Orzechowski. Dowodzi on w swoich pismach między innemi: „Król polski jest sługa kapłański, postawiony przeto w Polszcze ręką kapłańską, aby żaden nie śmiał przeciwko zwierzchności kapłańskiej hardego swego pyska podnosić", czyli podporządkowuje zupełnie władzę świecką duchownej. Lecz stosunki ówczesne były już zbyt odległe od średniowiecza, żeby pomysły Orzechowskiego mogły mieć jakieś znaczenie. Były to przecież czasy, kiedy teorya ucząca, że papież jest jedynym szafarzem wszelkiej władzy na ziemi, napotkała na inną, wywodzącą moc monarchy wprost od Boga.

Zobaczmy teraz, jakie stanowisko zajmował Skarga? Wychowanie, pobyt u Jezuitów i wszystkie jego dotychczas przedstawione pojęcia każą przypuszczać, że i on wyniesie Kościół ponad państwo. I tak jest w rzeczywistości. Tylko, że w ujęciu zagadnienia różni się nasz kaznodzieja o całe niebo od powierzchownego a fanatycznego autora „Quincunxu". Skarga roztrząsa je z historycznego punktu widzenia. Dzieje Starego Zakonu uczą nas, iż najpierw jest władza królewska złączona ściśle z duchowną, a nawet w jednych spoczywa rękach. Dopiero potem roz-

[1] Por. prof. Chrzanowski „Kazania sejmowe".

dzielają się obie dziedziny: lud otrzymuje króla, który czerpie swą władzę od Boga, przez pośrednictwo kapłana. „Obaczmy, — pisze Skarga, — jako Jozue on nad ludem przełożony bez kapłana urzędu nie bierze." [1] To samo powtarza się w dziejach chrześcijaństwa. „I w naszym Zakonie przez 300 lat sama religia rządy sprawowała", a dopiero potem nastąpił podział na władzę duchowną i świecką. Ale ścisły związek istnieje nadal między niemi, a nawet jest silniejszy niż u Izraelitów, „a to dlatego, iż Nowy Zakon więcej ma duchowieństwa i na religiej głębiej się funduje, niźli on Stary, i gorętszą ma służbę Bożą, bo Kościół nowy i królestwo jego lepiej i jaśniej zna Pana Boga swego i lepiej Go się boi bojaźnią synowską i więtszą ma z przykładów Syna Bożego wzgardę rzeczy tych widomych i więtsze do duchownych skarbów i do kochania się w nich pobrał przywileje. Przetoż urząd duchowny pierwszy w nim jest, niźli królewski". Tak więc wyższość Kościoła wypływa z doniosłości i dostojeństwa tych spraw, które ma powierzone, a w chrześcijaństwie występuje ta wyższość tem wyraźniej, że nasze poznanie religijne jest głębsze.

Władza świecka jest późniejsza i bierze swą moc od papieża. Źródłem tych poglądów była nauka pisarzy Kościoła, jak nas o tem sam Skarga powiadamia. „Oba miecze dane Piotrowi, jednym sam władnie t. j. duchownym, drugim przez króle i pany, jako Bernat św. naucza." (De consider.). „Co jedno królestw chrześcijańskich na świecie wszystkie się na religiej pobudowały i fundowały. Bo każdy król chrześcijański koronę swoję i miecz i moc królewską od Chrystusa przez kapłana jego bierze". To samo było i z polskimi monarchami. Wybiera ich wprawdzie naród, ale władzę swoją otrzymują dopiero u stóp ołtarza. Jakiż więc z tego wniosek? Orzechowski powiedział sobie z tryumfem: „cesarzowie i królowie i wszyscy panowie świata tego są podnóżkiem stanu kapłańskiego". — Skarga wymaga tylko, aby monarcha czcił swych duchownych pasterzy, a przedewszystkiem, aby bronił wiary i Kościoła. Król nie powinien przekraczać praw Bo-

[1] Kazanie sejm. IV. Wszystkie cytaty, których źródła nie będziemy podawać, są wyjęte z IV lub V kaz. sejmowego.

żych. Etyka chrześcijańska obowiązuje bowiem wszystkich, także sferę polityki. Dlatego mają biskupi-senatorzy nie tylko prawo, ale i obowiązek upomnieć swego władcę, gdyby tego konieczność wymagała, tak, jak to uczynił św. Stanisław. „Jednak bez przyczyny się panom i królom, abo z lada przyczyny przykrzyć, abo pogodnego do upominania czasu nie patrzyć: przeciw mądrości jest".[1] Biskupi powinni czynić swe przedstawienia jedynie z troski o dobro Kościoła lub całego narodu, prywatnych, swoich spraw niech nie tykają. Gdyby zaś monarcha mimo wszystko zmuszał poddanych do czynów złych, to obowiązek posłuszeństwa względem niego ustaje. Skarga nawołuje do uległości rozkazom króla z całą potęgą swej wymowy, ale nie waha się powiedzieć, że żołnierzom na niesprawiedliwą wojnę iść nie wolno.

Poza tą dziedziną etyki są obie władze raczej równorzędne. Każda z nich ma osobny zakres swej działalności; ale powinny się nawzajem uzupełniać. Stosunek ich wyraził nasz kaznodzieja pięknie w IV kazaniu sejmowem, porównując religię i stan duchowny do serca Rzeczypospolitej, a władzę świecką do głowy, „w której są do rządów wszystkich oczy, uszy i inne zmysły powierzchowne do tych widomych dóbr Rzeczypospolitej należące". Czyli: religia dba o życie wieczne, jest podstawą państwa, a władza świecka troszczy się o dobra widome i doczesne.

Jak widzimy, historyczny wywód Skargi, dowodzący pochodzenia władzy świeckiej od duchownej, opiera się, ogółem biorąc na rzeczywistych faktach historycznych, jego pogląd na stosunek państwa do Kościoła jest wolny od wszelkiej przesady, a przytem ożywiony szlachetną myślą, że biskupi powinni bronić sprawiedliwości i uciśnionych. Z poza słów Orzechowskiego przegląda nieokiełznana buta szlachecka i stanowa zarozumiałość, jego dowody, to błyszczące paradoksy — Skarga jest poważny, nie wolny od tendencyi, lecz umie patrzeć głębiej, szuka oparcia na faktycznej podstawie i śledzi za przyczynami w historyi. Od przesady chronią go związek z rzeczywistością i silne przekonania monarchiczne, o których wnet pomówimy.

---

[1] Kaz. na niedź. i św. Na dzień św. Stanisława Cz. II.

Kościół jest więc ostatecznie instytucyą wyższą niż państwo, które powinno mu podlegać, ale zawisłość ta ogranicza się właściwie tylko do spraw wchodzących w zakres religii. Wobec poglądów Skargi na reformacyę, rozwiniętych w pierwszej części, jest rzeczą jasną, że i stosunek państwa do różnowierców włącza on w tę dziedzinę zależności. Państwo powinno starać się dla swych obywateli nie tylko o szczęście materyalne, lecz też o „dobra duchowne", t. j. wspierać prawdziwą religię i bronić jej od różnowierców. Zresztą jestto obowiązkiem państwa ze względu na jego własny byt, bo dyssydenci są dla niego groźnem niebezpieczeństwem. Jak wszyscy nasi katoliccy pisarze XVI w., usiłuje Skarga udowodnić szkodliwy wpływ reformacyi na sprawy publiczne. Argumentów za swem twierdzeniem przytacza pełno, a dałyby się one podzielić na 3 grupy. Pierwszy rodzaj to rozumowania zupełnie błędne; albo wyprowadzone jako wniosek z założenia, w które kaznodzieja nasz wierzył głęboko, albo naciągane umyślnie do celu, jaki miał przed oczyma. Tak więc dowiadujemy się w „Kazaniach sejmowych", że wojska złożone z dyssydentów nie mogą pokonać nieprzyjaciela, bo Pan Bóg nie będzie przecież błogosławił odstępcom od prawdziwej wiary. Różnowiercy są zatem dla państwa niebezpieczni, bo trudno z nimi wygrać jakąś bitwę. A dalej inny argument. W królestwie polskiem żyje obok siebie pięć stanów: duchowny, senatorski, rycerski, żołnierski i kmiecy. Na nich niby na filarach opiera się cała organizacya państwa. Są niby ręka o pięciu palcach. Jeżeli teraz różnowiercy usiłują zdobyć sobie stanowisko w Rzpltej — to do jakiego stanu ich zaliczyć? Do żadnego! niema już dla nich miejsca. Chyba, że chcą się pchać gwałtem, a wtedy postępują tak jak ten, co przemocą wprawia szósty palec do zdrowej ręki. „Upadnie wszystko królestwo wasze, jeśli ten nowy stan, z którym się to ciało nie urodziło, do niego t. j. ewangieliki, abo raczej wszystki heretyki przyjmuje". Dowód to godny Orzechowskiego, ale nie Skargi.[1] Różnowiercy nie są przecież stanem, a liczba stanów nie jest wieczna! Na usprawie-

[1] Por. Tarnowski. Pisarze polityczni XVI w. Kraków 1886. T. II. str. 420.

dliwienie trzeba dodać, że gdzieindziej cofa się Skarga z swego jednostronnego stanowiska wobec żołnierzy - różnowierców. Gdy ujrzał przed sobą rzeczywistość, zezwalał ostatecznie na przyjęcie dyssydentów do armii. „Bo niekiedy Pan Bóg z nimi zwycięstwo daje, ale drugdy (czasem) dla ich grzechów wszystko wojsko gubi".[1]

Druga grupa to argumenty, którym nie małej przenikliwości odmówić nie można, jakkolwiek rzeczywistość nieraz im kłam zadaje. Reformacya — powiada Skarga — głosi naukę, że sama wiara bez uczynków zbawia, a więc otwiera drogę do swobodnego grzeszenia. Jak zaś dobry obywatel jest podporą państwa, tak zły prowadzi je do upadku. Inni znowu różnowiercy zaprzeczają nieśmiertelności duszy (pewien odłam aryan) a przez to usuwają ze społeczeństwa tak wpływowy czynnik, jakim jest obietnica wiecznej nagrody i groźba nieskończonej kary. Prawda, byli, są i będą ludzie, którzy mimo takiej wiary oddają ojczyźnie pierwszorzędne usługi. Ale, że zasada może działać źle i nieraz działa, temu też trudno zaprzeczyć.

Nakoniec są dowody, oparte już na rzeczywistych polskich stosunkach. Ma Skarga słuszność, gdy dopatruje się w sporach różnowierców niebezpieczeństwa grożącego także Rzeczypospolitej. W XVI w. odczuwano rozdział religijny nawet u nas mimo tolerancyi wcale żywo, a niemały też był wpływ spraw religijnych na państwo w czasach, kiedy kwestya wyznaniowa usuwała wszystkie inne z obrad sejmowych. Różnica przekonań dzieliła naprawdę serca ludzkie na wrogie obozy. Mógł więc kaznodzieja nasz twierdzić, że „różność wiar odejmuje prawą przyjaźń między ludźmi". „Różność wiar nie czyni uprzejmości i dufałości, aby się temu zwierzył wszystkiemu i dufał mu, którego ma w wierze przeciwnym".

Skarga rozumiał dobrze, że jedność religii jest silnym węzłem zespalającym społeczeństwo w jednolitą całość. Gdy się starał o unię Kościoła greckiego, to czynił to z pewnością głównie ze względów religijnych, ale przyświecała mu też myśl silniej-

[1] Nabożeństwo żołnierskie, rozdz. XI.

szego zespojenia obu narodów.[1] Czy jednak wolno nam iść tak daleko, jak to uczynił prof. Bobrzyński, który z silnem przekonaniem twierdzi, że jeśli Skarga żądał nietolerancyi, „to czynił to nie tyle jako kapłan na rzecz Kościoła katolickiego, którego zwycięstwo i bez tego było już zapewnionem, ile raczej jako gorący patryota, jako polityk myślący trzeźwo o zbawieniu ojczyzny. Przewidywał, że nietolerancya przyjdzie później, a wtedy wyzyskiwać ją będą na szkodę narodu ciemne, bezmyślne tłumy, pragnął więc uczynić ją narzędziem w ręku panującego dla zbudowania silnej władzy rządowej".[2]

Zdaje się nam, że jest to tylko osobisty pogląd, który nie ma najmniejszego potwierdzenia w pismach Skargi. Skarga nie przewidywał nietolerancyi, ani jej skutków, bo sam nie miał o niej dokładnego pojęcia, choć wahał się sam między nietolerancyą, a tolerancyą. Jeżeliby zaś wiedział, jak będą ją wyzyskiwać na szkodę narodu „ciemne, bezmyślne tłumy", to starałby się temu zapobiedz, ale nie zgodziłby się na wygrywanie uczucia religijnego w celach politycznych.

Zatrzymaliśmy się może zbyt długo nad tym ustępem, jednak było to rzeczą potrzebną, bo pogląd ten znalazł dziwnym sposobem łaskawe przyjęcie u naszych historyków literatury.

Jak wszelka herezya jest zgubą dla państwa, tak znów religia katolicka stanowi jego silną i niewzruszoną podporę. Zgoda i miłość sąsiedzka utrwala byt społeczeństwa, a właśnie „do tej jedności i zgody wiara święta katolicka dziwnie ludzie zaprawuje. Bo każe wszystkim wiernym być jako bratom u jednego ojca i w domu jednym". Dalej posiada nauka katolicka dziwną siłę do zmieniania serc ludzkich, „bo wszędzie srogość Pańską na złe rozszerza tu i w tym żywocie i po śmierci, obiecując każdemu za jego dobry uczynek najmniejszy zapłatę wieczną, potężnie barzo do cnót pobudza". Nadto nakłania do posłuszeństwa względem starszych, a od tego zależy przecież w pań-

---

[1] P. „O Rządzie i jedności Kościoła Bożego. Ks. III, rozdz. 5.

[2] Bobrzyński: Kazania sejmowe. Kraków 1876, str. 30—31, p. Tarnowski: „Pisarze polityczni", T. II, str. 438.

stwie porządek. Także przez spowiedź działa umoralniająco na społeczeństwo, słowem kościół katolicki czyni „bonos cives". Zresztą jest religia podstawą państwa, jak świadczą o tem słowa Pisma św. i sam rozum przyrodzony. Skoro Bóg rządzi światem, to przez wyznawanie Jego religii zyskujemy pomoc Opatrzności. A jakże jest tymczasem w Polsce? Różnowiercy mogą siać bezkarnie swe zasady, niezgoda rozrywa obywateli jednej ojczyzny, a bluźnierstwa dyssydentów gotowe są sprowadzić gniew Boży na cały kraj. Jest więc herezya ciężką chorobą Rpltej i grozi jej upadkiem. Skarga schodzi się tu zupełnie z wieloma katolickimi pisarzami tego stulecia, którzy przyczynę zła w Polsce odnajdywali w szerzeniu się reformacyi. Podobnie jak oni żąda i on zniesienia konfederacyi z r. 1573 i przywrócenia egzekucyi sądów duchownych. Na zarzut, że mogłoby to doprowadzić do napadów ze strony zfanatyzowanych katolików, a w dalszej konsekwencyi do groźnego zamięszania w kraju, oburzyłby się Skarga z pewnością. Jakto, katolicy, „synowie posłuszeństwa" mieliby zakłócać porządek publiczny? „Miłość i ludzkość" im na to nigdy nie pozwala! Jednak mimo to, jak już mówiliśmy, nie obstawał uparcie przy swych żądaniach. Wolał zachować spokój w ojczyźnie, tak bardzo ukochanej przez niego, wolał zamiast przemocy „pismo, kazanie i dysputacye". O ile tendencya nie nasuwała mu innych myśli, rozumiał dobrze, iż mogą się znaleźć katolicy wyznający wiarę ustami tylko, a nie czynem. Z goryczą i rozczarowaniem wspomina więc nieraz o takich, którzy słowami głoszą piękne zasady, ale mają „ręce heretyckie". Była to niestety smutna prawda. Szlachta zaczęła już wtedy pojmować religię niby jakiś kontrakt z Panem Bogiem, gdzie chodziło o to, aby jak najwięcej utargować, a przytem użyć do syta. Niejeden spędzał życie huczno i szumnie, a dopiero pod stare lata czynił głęboką skruchę i próbował odkupić swe winy hojnemi fundacyami i jałmużnami.

Jakie więc wnioski dadzą się wyciągnąć z tego ustępu? Tendencya widoczna w rozumowaniu zaciemnia czasem Skardze jasne spojrzenie rozsądku; głęboka lecz czasem naiwna trochę wiara jest również niekiedy taką zaporą w jego rozumowej

pracy (n. p. heretycy nie mogą zwyciężyć). Jednak nie zupełnie, czasem cofa się nasz kaznodzieja, przynajmniej częściowo, ze swego jednostronnego stanowiska: nie traci z oczu rzeczywistości. Argumentacya dowodząca korzyści religii katolickiej ze względu na państwo, a niebezpieczeństwa reformacyi, a ma miejsca słabe, jednak ogółem wzięta świadczy na korzyść Skargi. Trudno bowiem o zręczniejsze i wszechstronniejsze rozstrząsanie tego zagadnienia. Mnogość poruszonych punktów zawdzięczał autor „Kazań sejmowych" zdolności polegającej na jasnem uprzytamnianiu sobie wielu rysów jakiegoś pojęcia. Dałoby się ono porównać z kołem, z którego wypływa mnóstwo promieni. Otóż u jednych ludzi ślizga się myśl po jednym tylko lub kilku, u innych rozbiega się w rozlicznych kierunkach. Możnaby to nazwać pojemnością uwagi. Otóż Skarga posiadał ją w wysokim stopniu, jak to zresztą i później nieraz zobaczymy.

Pierwsza połowa XVI wieku i wiele lat po niej są smutną kartą w dziejach Kościoła polskiego.[1] Na stolicach biskupich zasiadali nieraz ludzie niegodni swego urzędu, jak Łatalski, który kupił sobie od Bony nominacyę na biskupstwo, albo Dzierzgowski wyniesiony również przez tę królowę na katedrę, jakkolwiek nie odznaczał się wcale potrzebnemi do tego zaletami. W żywotach biskupów włocławskich znajdujemy wcale niepochlebną o nim wzmiankę: *Episcopus stupidus, leardus, ab omni cogitatione de republica et religione alienus, nihil animo prospiciens.* Nie przynosił też zaszczytu swej dyecezyi Zebrzydowski, chciwy do tego stopnia, że nakładał podatek na swych proboszczów, albo taki Gamrat, arcybiskup gnieźnieński. Nawet Jan Łaski,[2] ten sławny prymas był niby pobożny, wspierał ubogich, na swój grób przywiózł garść ziemi św., ale lubiał zbierać majątek i protegować swych krewnych. W środkach nie był wielkim skrupulatem. Gdy w r. 1519 naznaczono komisyę do spisania i korrektury praw, Jan Łaski, pierwszy dygnitarz w państwie,

---

[1] Według książki ks. Melchiora Bulińskiego: „Historya Kościoła polskiego", Kraków 1837, t. II.

[2] Ludwik Finkel „Elekcya Zygmunta I-go" Kraków, 1910, str. 53 i 54.

nie wstydził się zaproponować kapitule, czyby ze względu na dobro duchowieństwa nie było dobrze... przekupić korrektorów i tak upewnić się, że nic niekorzystnego nie umieszczą! Na szczęście kapituła odrzuciła propozycye swego arcypasterza. Źle musiało być naprawdę w Kościele polskim, kiedy synody napominały biskupów, aby pierwej siebie zreformowali, jeśli chcą naprawiać inne duchowieństwo,[1] aby unikali próżniactwa i pijaństwa, a zamiast tego, wzięli się do czytania pobożnych, religijnych książek.[2] Synod warszawski z r. 1561 wzywał dostojników Kościoła do porzucenia zbytku, do zajęcia się gorliwie służbą Bożą, do głoszenia kazań i odwiedzania dyecezyi podległych ich pieczy. Na przykre te stosunki wpłynęło w wielkiej mierze lekkomyślne szafowanie urzędem biskupim ze strony króla. Bona uczyniła sobie z tego poprostu źródło znacznych dochodów. Ujemnie również musiało oddziałać postanowienie zamykające nieszlachcie dostęp do wyższych godności duchownych. Kanonie i prelatury zaczyna się teraz uważać za intratne a do niczego nie obowiązujące posady, które też rozdaje się hojnie krewnym, czasem nawet niedorosłym młodzieńcom. Biskup Padniewski obdarzył taką godnością 12-letniego chłopca!

Nie bardzo wielkich też kwalifikacyi wymagano na stanowisko plebana. W rozmowie księdza z Albertusem,[3] który dopiero co wrócił z wojska, zachęca go proboszcz, aby porzucił swój zawód:

„zostań tu lepiej ze mną do czasu którego,
„a jeślibyś miał chęć do stanu kapłańskiego,
„spuściłbym ci po śmierci tę to plebanią,
„zna cie też Jan Collator, da presentalią".

---

[1] Akta synodu gnieźnien. „Ut judicium et justicia incipiat, de domo domini reforment primo se ipsos curiasque suas deinde gradatim ceterum dioecesis suae universum. — Buliński, Hist. Kość. pol. t. II, str. 153 i 154.

[2] Synod piotrkowski z r. 1554. „Otio non torpeant, ludum omnem a jure prohibitum ac ebrietatem et crapulam omnino fugiant, quin potius lectioni sacrarum litterarum intendant".

[3] Jest to dyalog z XVI. w. wydany przez J. I. Kraszewskiego: „Pomniki do historyi obyczajów w Polsce". Warszawa, 1843.

A gdy młody żołnierz wymawia się, że zapomniał wiele i nawet kto wie, czy potrafi dobrze chorał odśpiewać, ksiądz odzywa się na to:

„Mniejsza o to, zwyczaisz się wprawując pomału". —

Jakie rozprzężenie panowało w klasztorach, o tem świadczy list Karnkowskiego, włocławskiego biskupa, pisany w r. 1579, a tak charakterystyczny, że przytoczymy tu niektóre ustępy:

„Co się dotyczy mnichów i opatów, jest to niezmierna praca. Już ja kilka razy usiłowałem to złe poprawić, aby ich wrócić do dawnej karności, ale bezskutecznie. Ile razy chciałem klasztory wizytować, to zaraz się mnichy burzyły".

„Karności zakonnej wcale nie widać, jadłu i piciu tylko dogadzają, nabożeństwa nie pilnują, dobra klasztorne marnują; słowem powiem zawsze się w jednem błocie nurzają".

Za Skargi zwłaszcza pod schyłek XVI w. było już lepiej. Reformacya pobudziła z konieczności do naprawy. Jednak nie było jeszcze wszystko dobrze. Relacya nuncyusza Malaspiny z r. 1598 do papieża,[1] nie zawiera wcale dodatniego opisu stosunków kościelnych w Polsce:

„Kościoły katedralne nie są dobrze sprawowane z dwóch przyczyn: Naprzód dlatego, że biskupi nie mieszkają przy swych katedrach, jak naprzykład biskup kujawski, który przemieszkuje najczęściej w miejscu nie należącem nawet do dyecezyi, ale będącem jego *dominium temporale*; powtóre dlatego, że wielu duchownych powyrabiało sobie dyspensy, na mocy których jeden posiada kilka beneficyów tak katedralnych, jako też i parafialnych, za czem idzie, że kościoły katedralne są puste i piecza dusz zaniedbana".

Ciekawą, ze względu na rady dawane przez Skargę w sprawie poprawy stosunków Kościoła polskiego, jest dalsza uwaga tegoż nuncyusza:

„Nie można się nigdy spodziewać dobrego urządzenia duchowieństwa świeckiego i zakonnego, dopóki nie będą założone przy katedrach seminarya, nowicyaty w zakonach".

[1] J. Rykaczewski: Relacye nuncyuszów. T. II. str. 80.

Kardynał Borghese. dając instrukcye legatowi wysłanemu do Polski w r. 1606, skarży się też na skupienie kilku beneficyów w jednem ręku, bo to przeszkadza z natury rzeczy dobremu zarządowi. Wszak nikt nie rozerwie się na kilka części.

Jakżeż wyglądają wobec tego obrazu pojęcia Skargi o zadaniu i obowiązkach kapłana?

Jak władza świecka ma urzędników wykonujących jej polecenia, tak i Kościół ma swych urzędników: kapłanów. Znamienną jest rzeczą, że Skarga często wspomina w swoich kazaniach o duchownych. Rozumiał dobrze, jak wielu wiernych rzuciły w objęcia reformacyi postępki duchownych, stojące czasem w tak rażącej sprzeczności z nauką Chrystusa! „Księżej naszej ospałość, złe przykłady, próżnowanie, rozkoszy, łakomstwo wasze herezye tuczą. Bardziej ich zły żywot heretyki mnoży, niźli ministrowskie kazania".[1] I dlatego to poświęcił temu stanowi szczególniejszą uwagę i dążył do jego naprawy z całą siłą swej płomiennej duszy. A naprawiać było jeszcze — jak widzieliśmy — nie mało. Skarga cieszy się wprawdzie: „obudzają się naszy księża ze snu twardego i niepilności około owiec Bożych",[2] — ale nie zamyka oczu na liczne niedostatki i wzdycha z utęsknieniem: „oby się do końca otrzeźwili a w obyczajach jeszcze lepiej reformować mogli".[3] Z czegoż mieli się więc poprawiać? Jakie błędy wytykał im nasz kaznodzieja? Przedewszystkiem obojętność, próżniactwo i samolubstwo. „Fałszywy zelus w nas — pisze w jednem miejscu — w rzeczy chcemy Panu Bogu służyć i ludziom, a my sobie, brzuchowi i powinnym z dóbr kościelnych służym".[4] Wielu księży nie mieszka przy swych wiernych, nie zna ich dobrze, jakże więc może się im połów dusz ludzkich udać? Tem więcej, że się do tego zawodu mało uczą. „Nie masz szkół kapłańskich, od dworu, od żołnierstwa, od służb świeckich do takiej filozofiej tak trudnej idą". [5] Skarga umie zawsze wyszukać przyczyny jakiegoś niedostatku.

---

[1] Upominanie do Ewang.

[2] Buliński. Hist. Kośc. pol. t. II. str. 223.

[3] Tamże. [4] Tamże.

[5] Kaz. na n. i św. Na IV n. po świątkach.

Takim to złym pasterzom przedkłada ich obowiązki. Ksiądz nie jest dla siebie, ale dla ludu! „Przetoż w wielką się miłość ku ludziom kapłan obłoczyć ma, aby im do zbawienia pomagał, jako który może i powołanie jego i dary zniosą".[1] Serce jego winno być pełne miłości, a życie ciągłą pracą. Żeby zaś zadanie swe mógł spełnić, musi posiadać należyte wykształcenie. „Księgi Zakonu Bożego ustawicznie we dnie i w nocy piastować mają i z nich i z doktorów kościelnych wiadomości około spraw Boskich i zbawienia ludzkiego nabywać".[2] W tym celu trzeba stworzyć seminarya i szkoły, jak to sobór trydencki zalecał. Każdy duchowny ma dalej przodować wszystkim przykładem. „Jeśliś świecą i światłością, musisz sam jasnym być pierwej, aby drugim ona jasność twoja świeciła".[3] „Co komu zalecać chcesz pierwej tego sam skosztuj. Próżno drugiemu do tego ukazujesz, od czego sam uciekasz".[4] Wzór duchownych, to apostołowie; opuścili oni dla Chrystusa cały świat i poszli za swym mistrzem na życie ubogie, czyste do śmierci, a pracowite. Takimi powinni być księża. Zadanie kapłana określone w tak wzniosły sposób, nie było naturalnie łatwe do spełnienia. Skarga widzi to dobrze, a nawet wylicza inne trudności: „Po tak szerokim morzu serca ludzkiego i w głębinie świeckich zabaw imać myśli ludzkie: kto to przemoże? Trudno sieciami zwierzchnemi i konopnemi wiązać ludzkie ciała; a cóż myśli ich i skłonności i serca rozumnemi wywody krócić, a namowami przycisnąć? To dziwnie trudno. A zwłaszcza, gdy mówią: Wierz, czego nie rozumiesz, ani rozumieć możesz: miłuj, czego nie widzisz, opuść to, co w ręku masz, za to, czegoć się spodziewać każą".[5]

Skoro kapłana czeka tak trudne zadanie, to nie każdy może ten urząd otrzymać. Najpierw kto powołania nie ma, niech porzuci myśl o stanie kapłańskim. Ale po czemże poznać to natchnienie Boże? Otóż wtedy, jeśli komuś Duch św. „myśli o roz-

---

[1] Kazanie o 7 Sakramentach. r. 1600. kaz. 36.
[2] Tamże.
[3] Kazanie o 7 Sakramentach. kaz. 36-te.
[4] Tamże.
[5] Kaz. na niedz. i św. Na dzień św. Andrzeja. I.

mnożeniu chwały Bożej, o przywodzeniu dusz bliźnich do Boga, o robocie i cierpieniu dla imienia Chrystusowego do serca puszcza chęci takie i pragnienia dając, aby ludzkiemu zbawieniu pomagał, prawdę i cnotę szczepił, a fałsz i złe obyczaje wykorzeniał, a na żadny się zysk świata tego i na dochody i na żadną zapłatę doczesną nie oglądał".[1] A nawet wtedy nie ma się taki pchać samowolnie na urzędy, ale czekać, „ażby Duch św. przez ludzie na to już posadzone wezwać go do tej roboty raczył, iżby go wybrano, mianowano, podano".[2] Wówczas należy się jeszcze opierać i ulegać dopiero stanowczym prośbom przełożonych.

Oto sposób, w jaki mieli kapłani na swój urząd wstępować. Że go podawało serce szlachetne, a nakreślał rozum bystry i znający dobrze dusze polskie — i życie, to widać wyraźnie na tle dopiero co omówionych stosunków w Kościele polskim. Ostatnia uwaga, aby czekać, aż zniewolenia na ten urząd, zdaje się jednak być przesadzoną, — wszak tłumiłaby swobodę działania. Dobrze, gdyby ludzie umieli zawsze uznać czyjeś zasługi, ale przecież trzeba nieraz iść przebojem — dla dobra innych, wbrew nim. Atoli jeśli z drugiej strony uwzględnimy ówczesne stosunki i fatalne następstwa takiego pchania się na urzędy duchowne, jeśli dodamy, że Skarga zalecał gorąco sumienny a rozumny wybór urzędników, to i ta przesada złagodnieje.

Nie wahał się Skarga upominać i biskupów. Wszak od nich zależało najwięcej. To, co powiadał o złych pasterzach, odnosiło się nie tylko do plebanów, ale i do starszych. Zwłaszcza, gdy narzekał, że duchowni za dochody kościelne wsi na imię krewnych kupują. „Kto im to chwalić może? — pytał się z oburzeniem. Kto tego szafowania niewiernym zwać nie ma? w którym barzo grzeszą, gdy cudzą i ubogich i kościelną majętność oddalają. Bo biskupi nie są dóbr kościelnych panowie, ale szafarze".[3] Nie uszło też jego uwagi, co mogło być powodem, że biskupi nie zawsze odpowiadali swemu zadaniu. „Gdy na króle

[1] Kaz. na Wtorek Świąteczny. Cz. II.
[2] Tamże.
[3] Kaz. na niedz. i święta. Na dzień św. Stanisława. II.

przyszło dawać biskupy, dają drugdy (czasem) jakie chcą i którzy tylko dworskim ćwiczeniem i wysługą się wzmagając, na Pany się, którzy je wprawili na one dostojeństwa, oglądają".[1] Zwraca się więc do biskupów z upomnieniem, aby nie uważali na to, że ich król mianował, „ale na to, co z poświęcenia biorą, jako świętym Bożym kapłanom i prorokom przystojno jest".[2] Owszem, jeśli zajdzie potrzeba, to biskupi mają stawać w obronie chwały Bożej i dobra całego narodu.

Mogłoby jednak kogoś zdziwić, że ten sam kaznodzieja, który kazał iść w stan kapłański, nie dla dochodów, lecz dla służby twardej pod sztandarem Chrystusa, nawoływał równocześnie do płacenia podatków kościelnych i domagał się od władzy świeckiej, aby karała „łupieżców dziesięcin".[3] Bronił także nadań kościelnych, ale jakże nie miał tego robić, kiedy uważał to za własność Kościoła, a przez to także Boga? „Żadnego prawa do nich nie ma król, ani pan, ani żadna rzeczpospolita. Co Bogu to Bogu. Bogu to oddano. Boże to. Co królowi to królowi. Król ma dobra rzeczypospolitej, a kapłani mają dobra Boże".[4] Czy można się dopatrywać jakiej sprzeczności między tym prześlicznym ideałem kapłana, który całe życie głosił, a gorącą obroną dochodów kościelnych? Sprawa stanie się jasną, gdy poznamy przyczyny, dla których o dziesięciny wołał i cel, na jaki kazał je obracać. Najpierw domagał się ich, bo takie było stanowisko Kościoła. To wystarczało dla Skargi zupełnie. Po drugie uważał cały majątek kościelny za własność Bożą. Biskupi i kapłani są tylko jej szafarzami, „a te dochody, które im nad opatrzenie ich stanu zbywają na ubogie i kapłany i na inne pospolite kościelne potrzeby obracać mają".

Według wiadomości podanych przez Rychcickiego[5] możnaby też nabrać przekonania, że nie mógł się Skarga pogodzić z myślą, aby bogaci księża mieli gwałtem domagać się dziesięcin

---

[1] Tamże.

[2] Na dzień św. Stanisława. II.

[3] Na IV niedz. po Świątkach II.

[4] Na XXIII niedz. po Świątkach.

[5] Rychcicki. Skarga i jego wiek. II. 302—3.

od biednych — choć obowiązanych. Był prawdopodobnie zdania, że duchowni winni w takim razie od opłaty uwalniać. Napewno zaś możemy twierdzić, że potępiał stanowczo bezwzględne wymuszanie dziesięcin przez klątwy rzucane na wieś dziedzica, który dochody plebana samowolnie zagarniał. Najpierw uderza naturalnie na okrucieństwo panów, że swych poddanych od tej strasznej kary wyzwolić nie chcą. Ale oburza go też postępowanie księży: „nie masz co duchownym i prałatom chwalić, iż o taką dziesięcinę, którą pan wydarł, poddane niewinne zaklinają, a pański grzech na nie kładą. Barzo to źle czynią i niewiem, jako się Panu Bogu o to sprawią. Bo są inne sposoby do upominania się u pana dziesięciny. A jeśli nie masz, lepiej szkodę mieć, a przeszkody niewinnym do ich zbawienia nie czynić".[1]

Nie! Skargę nie tylko, że o jakąkolwiek interesowność posądzać nie można, ale trzeba się zdumiewać nad śmiałością, z jaką zwalczał marnowanie tych dochodów „Bożych" na zbytki i świeckie zabawy. Bo wytykać to potężnym dygnitarzom duchownym nie było wcale rzeczą bezpieczną. Skargę oskarżono też przed nuncyuszem papieskim o sprzeciwianie się dziesięcinom, zarzucano [2] mu, że szerzy z pierwszej mownicy w państwie zapatrywania wprost błędne! I zabroniono mu nawet, jak akta kapituły krakowskiej świadczą,[3] wygłaszać takie kazania, bo dopatrzono się w tem obrazy duchowieństwa... Bywało jeszcze gorzej. Raz[4] napadł go podobno krewny jakiegoś prałata i obił po twarzy, ale Skarga odpowiedział tylko: „Jeślim źle mówił, daj świadectwo o złem"... I tu przemawia do nas jego serce szlachetne, kochające, ofiarne i nieustraszone.

---

[1] Na XX. niedz. po Świątkach. II.

[2] U Rychcickiego. Tamże. Oskarżył Skargę o to Dobrocieksi, doktor praw, kanonik krakowski i rektor uniw. Powodowski w „Speculum clericorum" 1604 mówiąc, że i od mniej bogatych mogą majętniejsi brać dziesięciny, pisze: „Słyszeliśmy, że niektórzy po katolicku nawet myślący, nauczywszy się niedawno z pierwszej mownicy przeciwnego temu zdania, powstawali potem w najwyższym trybunale państwa"... str. 250.

[3] Acta actorum Capit. Crac. Die 22. Octobris. Według ks. Połkowskiego „Pochodzenie i rodzina ks. Skargi".

[4] U Rychcickiego. Tamże.

Wszystkie te ataki były najzupełniej bezpodstawne. Bo Skarga, mimo swego szczerego i silnegoob urzenia na złych pasterzy, kazał ich jednak czcić i słuchać. Dobry katolik nie powinien się gorszyć złym przykładem duchownych, bo „owcy nie przystoi sądzić pasterza, tem więcej, żeśmy wogóle nie powinni wyrokować pysznie o innych, wszak każdy z nas pełny grzechów, a źli kapłani i urzędnicy, to właśnie kara Boża za nasze grzechy. Zasadą naszego zachowania się wobec złych duchownych, mają być słowa Chrystusa: wszystko, co wam powiedzą czyńcie, ale według ich uczynków nie czyńcie, bo mówią, ale nie czynią". A nawet czcić ich należy. Nie jako ludzi, lecz jako urzędników, nie za ich życie, lecz za naukę, jaką głoszą. A równocześnie należy się modlić za nich, bo od nich zawisło powodzenie chrześcijaństwa.

Wnioski, jakie nam powyższy ustęp nasuwa, będą po części odpowiedzią na pytanie, jakieśmy sobie na początku postawili: Skarga nietylko zrozumiał i odczuł wzniosłość ideałów chrześcijańskich, ale umie je też konsekwentnie stosować do życia. Nie głosi zasad zbyt radykalnych naówczas, nie domaga się nawet wyraźnie wolnego wyboru biskupów niezależnie od króla, ale w ramach istniejącego porządku społecznego usiłuje wszystko przeniknąć światłem miłości Boga i bliźniego. Sposób, w jaki to czyni, znamionuje ostrożność, ale i śmiałość, tam, gdzie potrzeba i niezłomna wytrwałość. Skarga ma wielki rozum praktyczny, konsekwentny, dążący do przyczyn, a bogaty dzięki szerokiej i trafnej obserwacyi, w której uderzają go głównie braki, niedostatki. Środki przeciw nim wybiera proste i przeważnie skuteczne.

(C. d. n.)

Stanisław Mitera.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Literatura i religia u Żydów za czasów Chrystusa Pana. *Ks. Dr. Stanisław Trzeciak.* Warszawa—Lwów, 1911. Cz. I str. XIX+347; Cz. II str. 428+IV.

Dzieło obszerniejsze o religii, a zwłaszcza o literaturze religijnej Żydów za czasów Chrystusa Pana, dawno było pożądanem w naszem piśmiennictwie. Podczas bowiem gdy zagranicą podobnych dzieł jest dużo, że wymienimy tylko prace powszechnie znane: katolicką Feltena: *Neutestamentliche Zeitgeschichte* i protestancką Schürera: *Geschichte des jüdischen Volkes im Zeitalter Jesu Christi*, u nas posiadamy właściwie jedną tylko pracę, dotyczącą literatury żydowskiej, J. Święcickiego, która weszła jako część składowa do *Historyi literatury powszechnej* (tomy VI—IX, Warszawa 1907), pracę traktującą swój przedmiot ze stanowiska czysto świeckiego, więc jako źródło dla oświetlenia początków chrześcijaństwa mniej pożyteczną. Wprawdzie obok tego o zwyczajach i prądach, nurtujących w spółczesnem Chrystusowi społeczeństwie żydowskiem, podali nam nieco szczegółów prof. Pawlicki w *Początkach chrześcijaństwa*, ks. dr. M. Godlewski w *Archeologii biblijnej*; mamy niektóre przekłady i przeróbki w *Bibliotece dzieł chrześcijańskich*, w *Encyklopedyi kościelnej* i artykuły w czasopismach rozmaitych; są to jednak rozrzucone fragmenty, z których tylko przy nader mozolnej pracy można było ułożyć jaką taką całość. Zamiar więc ks. prof. Dr. Trzeciaka, by dać całkowite tło żydowskie, na jakiem powstało chrześcijaństwo, zasługiwał na wszelkie uznanie.

Z przedmowy i wstępu dzieła ks. prof. Trzeciaka dowiadujemy się, że jest ono przeznaczone zarówno dla młodszego kleru, jak i dla świeckich, „u których moment literacki i ogólno kulturalny może znaleźć zajęcie“ (Cz. I str. XIX). Zadaniem książki jest budzić zamiło-

wanie do studyów biblijnych, dać poznać „w panoramie licznych traktatów" postać Chrystusową oraz wskazać na źródło i ewolucyę wielu naszych dogmatów i praktyk religijnych, by się one przedstawiły nam zupełnie w innem świetle (Cz. I str. 12). Zamierza ono podać czytelnikowi całokształt życia u Żydów w epokowej chwili wystąpienia Chrystusa Pana: w pierwszej części — życie umysłowe, w drugiej — religijne.

Jak ten zamiar autor w czyn przemienił?

W pierwszej części znajdujemy pobieżne omówienie religijno-politycznych prądów w ówczesnym świecie pogańskim i żydowskim. Nic tu nie znajdujemy nowego. Są tu bowiem znane szkice historyczne o demoralizacyi świata grecko-rzymskiego, o szerzeniu przez Żydów kolonistów znajomości biblijnej wśród pogan, o wpływie poganizmu na judaizm, o tworzeniu się sekt walczących z sobą w łonie religii Mojżeszowej, wskutek chęci oczyszczenia się z naleciałości obcych, oraz o tym Am - haarez'ie, ludzie wiejskim, wzgardzonym i stojącym na uboczu od wszelkich walk sekciarskich.

Od 72 strony omawia autor prądy i kierunki u Żydów w życiu umysłowem. Kierunek historyczno-filozoficzny przeważał u Żydów-kolonistów, a apokaliptyczno-mesyański w Palestynie.

Czytelnik zaznajamia się tu z literaturą żydowską nie tylko z czasów Chrystusa Pana, lecz także z pismami pochodzącemi z IV w. przed Chrystusem, z historycznemi dziełami po Chrystusie, Talmudem, średniowiecznymi apokryfami, a nawet z pracami o wróżbiarzach począwszy od zamierzchłej przeszłości aż do naszych czasów t. j. do XX w.

W drugiej części, gdzie miała być mowa o życiu religijnem, znajdujemy najpierw pobieżny rzut oka na Torę czyli Pięcioksiąg Mojżesza, który, jako zbiór praw i przepisów Bożych, był największą świętością, łączącą wszystkich Żydów w jedną religijną i narodową całość. Jego treścią i główną myślą przewodnią było przymierze zawarte między Jehową a Izraelem. Znaczenie Tory dla Żydów ma udowodnić szereg zdań wypowiedzianych o niej przez wielkich ludzi Izraela, od Salomona aż do rabinów z II w. po Chrystusie, tudzież fakta, ilustrujące cześć i przywiązanie do niej. Wypełnienie przepisów Tory było treścią religii żydowskiej. Wypełniano ją jedynie dla nagrody lub z obawy kary.

Po omówieniu Tory czytelnik znajduje dużo luźnych szczegółów o obrzezaniu, święceniu świąt i jubileuszów, o świątyni Heroda, du-

chowieństwie, synagogach, modlitwie, poście, jałmużnie, o czystości ciała, o cycelach i tefilinach, o przysiędze, ślubach i ofiarach. Dalej przypomni sobie żydowskie sekty i herezye. W końcu znajdzie „historyczny przebieg" pojęć mesyańskich, osnutych na dziełach powstałych nie tylko przed Chrystusem, lecz także i *po* Chrystusie. Tu zobaczy, jak cały świat oczekuje Mesyasza. Żydzi spaczyli ideę mesyańską: nie mogli pojąć Zbawiciela cierpiącego. Oprócz kilku ustępów u Henocha i w IV księdze Ezdrasza nie mamy świadectw oczekiwania nadziemskiego Mesyasza. Proroctwa pod tym względem okryły się pomroką. Chrystus cierpiący nie odpowiadał dumie narodowej Żydów. Autor wskazuje, że dopiero po zburzeniu Jeruzalem i strasznej katastrofie narodu poczęła kiełkować myśl cierpień Mesyasza.

Dzieło się kończy gorącą apologią Chrystusa.

Jak widać z pobieżnego streszczenia, Szan. autor zebrał materyału dużo i potrącił o wiele różnorodnych kwestyi, stąd też przy dobrych chęciach i dużej dozie krytycyzmu niemało można z dzieła jego skorzystać. Jeżeli jednak chodzi o to, jak książkę ocenić, jako dzieło naukowe, to trzeba wyznać, że praca Szan. profesora, pomimo zapowiedzi i obietnicy, nie może być „wzorem dla młodszego kleru" w dziedzinie studyów biblijnych.

Sąd nasz postaramy się usprawiedliwić.

Przedewszystkiem rzuca się tu w oczy stałe ignorowanie ustalonych przepisów metodologii. Tytuł zapewne napisany pierwej, niż dzieło, gdyż nie odpowiada treści. Ma być „literatura za czasów Chrystusa", a takiej literatury w książce prof. Trzeciaka prawie niema. Przedmowa i wstęp obiecują więcej, niż daje dzieło. Na początku pierwszej części znajduje się spis literatury, mającej wrzekomy związek z omawianym przedmiotem. Podane są same tytuły bez żadnej oceny i bez dokładności bibliograficznych. Przy czasopismach brak wskazania miejsca, gdzie wychodzą. Nowsi pisarze w dziełach naukowych starają się we wstępie zaznajomić czytelników z dotychczasowym stanem badań nad omawianym przedmiotem, wskazać na dezyderaty, wreszcie zapowiedzieć, co ich praca nowego przyniesie. W dziele Prof. Trzeciaka próżnobyś tego szukał. Przynajmniej należało zwrócić uwagę czytelników na różnicę poglądów p. Święcickiego a swoich. To też całość dzieła nie nosi na sobie cechy studyum naukowego. Jest to szereg luźnych rozpraw, nie mających należytego wątku. Czytelnik znajduje tu krótkie i niesystematyczne streszczenie utworów bez ich oceny i krytyki. Nawet przechwałkę Józefa Fla-

wiusza, że pływał całą noc (Cz. I str. 139) lub palenie się ptaków nad głową rabina Jonatana etc. podano jak gdyby prawdę historyczną (Cz. I str. 262). O ciągłości ewolucyi literackiej lub o rozwoju idei umysłowych i religijnych u Żydów niewiele, a raczej niczego się dowiedzieć nie można, jakoby zmysł pragmatyzmu był obcy zupełnie autorowi. Materyału nieopracowanego tak dużo, że zaiste „wśród tego balastu gubi się myśl, zatraca się idea przewodnia" (Cz. I str. 268).

Nie wiem, doprawdy, dlaczego Szan. autor, w wielu razach trzymający się Schürer'a, nie poszedł również za jego podziałem literatury, w czem właśnie warto było pójść w jego ślady. Gdyby apokryfy przeglądał osobno od pseudoepigrafów, a pseudoepigrafy podzielił na działy: proroczy, historyczny i poetycki, dzieło wiele byłoby zyskało na jasności.

Jakkolwiek zadaniem dzieła było dać poznać postać Chrystusową, znajdujemy w niem wiele literatury, nie mającej nic wspólnego ani z osobą Chrystusa, ani z Jego czasami. Tu należy zaliczyć: prace Jazona z Cyreny, Jana Hirkana, Hekateusza z Abdery, Talmud, średniowieczne apokryfy, pisma o wróżbiarzach, i t. d.

Sz. autor za często cytuje Talmud. Wszak początek kodyfikacyi głównej jego części, t. j. Miszny, przypada dopiero na drugie stulecie po Chrystusie, a po kodyfikacyi — jak sam przyznaje — Talmud „uległ wielu zmianom i tekst dzisiejszy zawiera mnóstwo błędów". (Cz. I str. 277). Wobec tego przy tłómaczeniu Ewangelii powoływać się na Talmud jest rzeczą ryzykowną i nienaukową, chyba że się z zastosowaniem całego aparatu krytyki wyróżniło i stwierdziło, jakie ustępy Talmudu mogą sięgać czasów Chrystusa Pana, czego jednak prof. Trzeciak nie dokonał. Dalej nie wiemy, dlaczego etyopska księga Henocha nazwana „kanoniczną?" W kanonie wszak takiej księgi nie mamy (Cz. I str. 156). Nie rozumiem też, jak można z trzech małych fragmentów Filona starsz., Teodota i Ezechiela wnioskować: „jak silnem tętnem biło życie umysłowe żydów kolonistów?" (Cz. I str. 82).

W dziele znajduje się wiele zdań, wygłoszonych z powagą i pewnością bez dostatecznych atoli dowodów. Tak, np. *Cohortatio ad Graecos* przypisaną została św. Justynowi, choć Bardenhewer (Patrologie str. 47) jest innego zdania. W książce prof. Trzeciaka znajdujemy kategoryczne twierdzenie, że Zbawiciel ostatnią wieczerzę obchodził według ówczesnego rytuału żydowskiego; zatem

zbyt radykalnie, ale bez dostatecznych dowodów została odrzuconą hipoteza Batiffola o „Kiddusz'u" (Cz. II str. 89).

Atoli metoda i naukowa powaga dzieła najlepiej się uwydatniły w rozbiorze *Ód Salomona*. Ody te w r. 1906 wynalazł Harris; dotychczas nie są one należycie opracowane. W dziele ks. prof. Trzeciaka mamy ich całkowity przekład; szkoda tylko, że jest on tak zawiły i językowo nieudolny, iż nie daje przybliżonego wyobrażenia o oryginale. Zresztą nic dziwnego, gdyż sam tłumacz nie rozumie ody 10, 23 i 24. Czytelnik dowie się, że ody 3, 23, 29 i 36 są zinterpolowane przez chrześcijan, gdyż zawierają pojęcia chrześcijańskie, 19 zaś, 27, 41 i 42 są zupełnie chrześcijańskiemi. Ale, ponieważ w 4 i 6 odzie jest wzmianka o świątyni i ponieważ *Ody Salomona* w gnostyckiem piśmie *Pistis Sophia* są umieszczone po *Psalmach Salomona*, muszą tedy być utworem żydowskim z interpolacyami chrześcijańskiemi. „Najpóźniejszy czas ich powstania należy przyjąć 67 r. po Chrystusie. A zatem czas ich powstania rozciąga się od mniej więcej połowy I w. przed, do połowy pierwszego wieku po Chrystusie". Ten wniosek, chyba dla dobitniejszego zaznaczenia, jest wydrukowany dwakroć słowo w słowo (Cz. I str. 173 i 206). Sz. autor jest przekonany, że ody pisał żyd, jakkolwiek „żyd szczególny", gdyż nic w nim specyficznie żydowskiego zauważyć nie można (Cz. I str. 205). Autor w zdaniu swojem idzie niewolniczo za Harnack'iem, który, przyjąwszy żydowskie pochodzenie ód z interpolacyami chrześcijańskiemi z 100 r. po Chr., uważa za prawdopodobne, że chrześcijański interpolator znał Ewangelię św. Jana i wiedział, że pochodzi z Palestyny. To prawdopodobieństwo ks. prof. Trzeciak nazywa „nowem odkryciem epokowem w studyach nad Ewangelią św. Jana, w puch bowiem obraca wszystkie zarzuty stawiane przeciw jej autentyczności". Wskutek tego prawdopodobieństwa „nie tylko kwestya św. Jana zostaje wyświetlona, ale nadto historyczność Pana Jezusa zostaje potwierdzona, Jego oryginalność potężnieje, a Jego bóstwo w oświetleniu tego odkrycia nabiera uroku i blasku!" Autor gromi ks. J. Rostworowskiego za to, że on „z wielką gorliwością, lecz z mniejszą znajomością rzeczy niedźwiedzią oddał przysługę" nauce, broniąc chrześcijańskiego tych ód pochodzenia (Cz. I str. 208). Tymczasem ze zdaniem ks. J. Rostworowskiego solidaryzują się: wynalazca ód Harris, a nadto katoliccy uczeni takiej powagi, jak znany biblista Lagrange, Batiffol, de Boysson, którzy przypuszczają pochodzenie ód z w. I lub nawet z początku II, prawdopodobnie od

Doketów (Por. *Revue pratique d'apologetique* VII. 1911 i *Revue biblique* 1910, 1911), podczas gdy zdanie Harnacka nawet z pomiędzy protestanckich uczonych posiada zwolenników podobno w jednym Spitta, no i w prof. Trzeciaku.

„Psalmy Salomona" opracowane są marnie. Razi tu szczególniej przekład psalmu XVII. Bez tłumaczenia Święcickiego zrozumieć przekładu prof. Trzeciaka zgoła nie można. Weźmy przykład:

W dziele ks. Prof. Trzeciaka.	W dziele Święcickiego.
1. Panie! ty sam jesteś królem naszym na zawsze; na wieki, ponieważ w tobie o Boże chlubić się będzie dusza nasza.	1. Królem naszym, Ty Panie, jesteś sam i wiecznie, w Tobie dusza się nasza rozpływa, o Boże!
9. Stosownie do ich uczynków litował się Bóg nad nimi, zbadał ich pokolenie i nie wypuścił ich. Wiernym jest Pan we wszystkich sądach, jakie na ziemi czyni.	9. Bóg nie będzie miał dla nich miłosierdzia swego, On nikogo w tym rodzie nie puści bez kary, wierny swoim wyrokom, które światem rządzą.
14. I wszystko, co uczynił w Jeruzalem, było tak zupełnie, jak zwykli poganie w miastach swym bogom (Cz. I str. 166 sq).	14. I co czynią poganie w swych miastach podbitych, On to wszystko uczynić śmiał w Jerozolimie. (Święcicki III str. 10).

Zdaje się, że bez uszczerbku dla dokładności tłómaczenia można było więcej się starać o poprawność języka.

W omówieniu księgi Henocha, pominąwszy już rzucające się w oczy podobieństwo szczegółów i porządku wyrażeń między prof. Trzeciakiem, a p. Święcickim, znajdujemy z drugiej strony także między nimi różnice, jak ta, iż prof. Trzeciak twierdzi, że opowiadanie Henocha o zaprowadzeniu go przez aniołów aż do siódmego nieba zawiera się w 68 rozdziałach, gdy p. Święcicki podaje, że w 21. Prof. Trzeciak powstanie księgi odnosi do czasów przed Chrystusem (Cz. I str. 157), podczas gdy Święcicki, idąc za Schürer'em, kładzie jej powstanie na koniec I w. lub na początek II po Chr. (Święcicki III str. 44). O tej różnicy niema w dziele żadnej wzmianki, a należało właśnie swój odmienny sąd uzasadnić.

Względnie najlepiej jest opracowany Talmud. Ale i tu znajdujemy podobne miejsca jak u p. Święcickiego. P. Święcicki wprawdzie powołuje się na Goldschmidta, w dziele ks. Prof. Trzeciaka tego

wcale niema (Por. Święcicki III, 201 i Trzeciak I str 292). Wyżej, już mówiliśmy, jak niepotrzebnie wciąga się Talmud do literatury mającej oświetlić czasy Chrystusa Pana.

Przegląd pseudoepigrafów jest słaby; nie może on nawet iść w porównanie z krótkim i jasnym poglądem p. Święcickiego. Dzieła filozoficzne opracowane jeszcze gorzej. Nawet Filon, najwybitniejszy przedstawiciel czasów Chrystusa Pana, nie znalazł należytej oceny. Znaleźliśmy o nim w dziele notatkę biograficzną i dowiedzieliśmy się, że „stworzył całą technikę teologiczną w języku greckim dla religii objawionej". O jego poglądach etycznych, psychologicznych i politycznych nie mamy najmniejszej wzmianki. Kilka słów o jego „logosie", ale i tych łatwo zrozumieć nie można.

Podając streszczenie dzieł Flawiusza, należało omówić zakwestyonowany ustęp o osobie Chrystusa Pana. Kiedy się zaczęło mówić o literaturze żydowskiej wogóle, trzeba było uwzględnić cały kanon St. Testamentu, tudzież *Testament XII patryarchów*. Położywszy tytuł artykułu: *Pisma magów, czarowników, czarnoksiężników, nekromantów, wróżbiarzy*, trzeba było omówić te pisma, tymczasem znajdujemy tam szkic historyczny *wróżbiarstwa*, a o *literaturze* ledwie coś wspomniano (Cz. I str. 316—337).

Najważniejszy zarzut następujący. Po przeczytaniu całości czytelnik spostrzega, że postać Chrystusa Pana znacznie w jego oczach zmalała. Autor bowiem porozrzucał w dziele zdania, jaskrawo mówiące o ewolucyi naturalnej chrystyanizmu z innych religii. Arystobul tu jest pomostem między filozofią grecką a teologią żydowską (I str. 114). Filon tworzy formę chrześcijańską „słowa", w którą Jan św. ubrał istniejące już pojęcie o Bóstwie Chrystusa i na podstawie proroctw starotestamentalnych przedstawił jako Mesyasza (I str. 133). Jako zapowiedź Chrystusa u Indów był bóg Agni, który uchodził za pośrednika między najwyższym bogiem Waruną a ludźmi; był on nadto arcykapłanem, prorokiem i zbawcą (II str. 367); u Persów Agniego przedstawiał Caoshyana (II str. 368). Cały świat pogański czekał na Mesyasza: Sokrates, Plato, Epiktet, Seneka. Ateńczycy wznoszą ołtarz: Nieznanemu Bogu! Nie zostaje również bez wpływu pogańskiego i judaizm. Autor zgadza się z Grimmem, że kult babiloński Plejad przeszedł do Azyi, następnie przeniknął do Grecyi, a w Biblii, przybrawszy monoteistyczny podkład, dostosował się do pojęć i kultu Jehowy (Cz. II str. 94). Religia Chrystusa jest rozwojem i wykwitem religii Mojżeszowej (Cz. II str. 40).

Zbawiciel pragnął uzupełnić i udoskonalić prawo Mojżeszowe (II str. 61). To też spowiedź żydowska przedzierżga się w pokutę chrześcijańską (II str. 399 — 400), z obrzędów paschalnych powstaje Msza św. (II str. 88), a z ablucyi i obrzezania formuje się sakrament chrztu św. (II str. 38, 39), z zakonów żydowskich tworzą się chrześcijańskie (II str. 313). Z czasem wytworzyła się większa różnica, a nawet i przepaść między nauką Chrystusa Pana, a nauką rabinów (II str. 209). Wiem, że autor jest zupełnie prawowiernym, jak to zresztą widać nawet ze str. 238 drugiej części. Powyższe jednak zdania, rozsiane tu i owdzie w obfitości, powoli w czytelniku budzą myśli zupełnie naturalnego rozwoju Chrystyanizmu z judaizmu i poganizmu. Chrystus Pan stopniowo schodzi do roli religijnego reformatora i nic więcej. Zdaje się nam, że nie zapoznając bynajmniej tych pierwiastków pochodzenia żydowskiego i pogańskiego, jakie w rzeczywistości asymilowało chrześcijaństwo, można było i należało wyraźnie zaznaczyć, gdzie zamiast asymilacyi wystarczy przypuścić tylko podobieństwo; należało też dobitniej podkreślić oryginalność istotną chrześcijańskiego objawienia.

Nie mówiąc o niefortunnem wklejeniu dedykacyi dzieła, strasznie razi czytelnika opieszała korekta (np. I str. 62, 79, 84, 143, 149, 150, 265 etc.) często napotykane błędy gramatyczne i składniowe (I str. 74, 94, 176—206 etc.), suche ogólniki (np. II str. 41: w Rosyi występowało wiele sekt, zachowujących obrzezanie. Historya atoli sekt wie tylko o Żydowinach i Subotincach, którzy właściwie należą do pierwszych), ciągłe powtarzanie się, wywołujące niepożądaną gmatwaninę (np. I str. 263 i II str. 263; I str. 114, 133 etc.), oraz brak systemu.

W końcu ze smutkiem wyznać muszę, że dzieło Sz. ks. prof. Trzeciaka nie ziściło zapowiedzianych nadziei. Ideał, który miało przed sobą, nie został osiągnięty nawet w przybliżeniu.

Ks. Jan Wasilewski.

Z nowszych monografii historycznych.

Dzieje Krakowa. (Z 12 planami i 150 rycinami). Kl. Bąkowski. Spółka wydawnicza, Kraków 1911, str. XIV+491 in 4-o. *Brzeżany w czasach Rzeczypospolitej Polskiej.* Dr. M. Marciszewski. Monografia hist., Brody, F. West, 1911, str. XII+223. *Dzieje miasta Tarnowa.* Dr J. Leniek, Fr. Herzig i Ks. Fr. Leśniak. Z 90 rycinami, Tarnów, 1911, str. 303. *Tarnów Leliwitów.* Dr J. Leniek. Odbitka z poprzedniego, str. 80. *Archidyecezya Lwowska na synodzie w roku 1641.* Ks. Dr. Szydelski. Lwów, 1910, str. 184. *Arcybiskup Sierakowski i szkoły parafialne w archidyecezyi lwowskiej.* Tenże. Lwów, 1911, str. 79.

Szkoła OO. Reformatów we Wrocławku. Ks. St. Chodyński. Włocławek, 1911, str. 48.

1. Do najzasłużeńszych badaczy nad dziejami Krakowa należy Dr. Kl. Bąkowski. Sam wydał już mnóstwo prac przedewszystkiém w wydawnictwach Tow. Miłośników m. Krakowa. Obecnie daje całokształt dziejów miasta. Wobec tego, że tyle się pisało o Krakowie, dzieło dra Bąkowskiego ma tę zaletę, że zbiera to, czego trzebaby szukać po mnóstwie broszur, po najrozmaitszych wydawnictwach i rocznikach: nadto obejmując względnie dość krótko dzieje miasta, streszcza dokładnie rozprawy nieraz bardzo szczegółowe i gubiące się w drobiazgach. Jeden tylko zarzut podnieść należy — nie dość staranną stronę artystyczną. Ryciny pozostawiają wiele do życzenia, nietylko dlatego, że same klisze są już zużyte, ale że i dobór ich nie zawsze odpowiedni, bo ze szkodą dla wyobrażenia o artystycznym wyglądzie miasta. Tłómaczenie się autora, jakie podaje w przedmowie, nie przemawia do przekonania.

2. O Brzeżanach pisano już nieraz. Pisał i sam autor o zamku brzeżańskim (Dr. Maciszewski: *Zamek Brzeżański*, Tarnopol 1908) pisał i Czarnecki (*Brzeżany, pamiątki i wspomnienia*, Lwów 1905), badacz i wydawca wielu naszych dawnych zabytków. Niniejsza monografia zbiera wszystkie te wiadomości razem, prostuje je i uzupełnia dzięki bardzo wielkiej pracy źródłowej. Materyału dostarczyły archiwa czyto samego miasta Brzeżan, czy archiwum Czartoryskich, spadkobierców brzeżańskich, czy też wogóle wydawnictwa źródeł polskich. Brzeżany, forteca podolska, została ostatecznie obwarowaną przez Mikołaja Sieniawskiego w r. 1630., razem ze zamkiem i miasto. Że forteca była silną, dowodem tego jest, iż tyle napadów odbijało się od niej i tylko Szwedzi pod generałem Douglásem zajęli ją (szczegół wydobyty dopiero przez naszego autora) zdradą, niewstępnym bojem.

Opis miasta i zamku samego podają nam bardzo dokładnie inwentarze z lat 1658—1567, 1682, 1695, 1698, 1705, 1708, 1768, nadto papiery komisyi austryackiej już z epoki kasacyjnej Józefa II. Dzięki temu można mieć pogląd na przebieg dziejów brzeżańskich, rozwoju zamku a także miasta, związanego z niem w jedną całość, broniącą kresów Rzeczypospolitej.

Rozdziały poświęcone samym Sieniawskim, właścicielom i założycielom Brzeżan, chociaż nie są wyczerpującymi pod względem biograficznym, jednak wyczerpującymi są w przedstawieniu działal-

ności ich i zasług względem miasta oraz w charakterystyce, często krótkiej, lecz jędrnej. A wspaniałe były to postacie, n. p. takiego Mikołaja (1636), który, jak świadczy napis grobowy — „Żył dla wiary,... żył dla Ojczyzny..., żył dla rodziny,... żył dla matki,... żył dla żony,... żył dla przyjaciół,... żył, żyje jeszcze teraz lepszą częścią swej istoty"... Byli to magnaci, i ludzie bogaci — ale często biedni dla siebie, nie dla Rzeczypospolitej, ludzie, którzy, jak inny znowu z nich sam o sobie świadczy, fundując klasztor — czynili dobrze w tym celu, „aby potomkowie nasi nie wyradzali się od moich i swoich przodków".

Tu też wdzięczność należy się autorowi, że przynajmniej w krótko naszkicowanych rysach przekazał nam te wszystkie postacie, zebrał te napisy i przez to odsłonił jedną z jaśniejszych kart naszej przeszłości. Reszta rozdziałów książki Dra Maciszewskiego zajmuje się opisem stosunków miejscowych kościelnych, miejskich, handlowych. W dodatkach umieszczono spis burmistrzów, ławników i pisarzy miejskich od r. 1620—1784, a nadto 13 dokumentów dotyczących tranzakcyi majątkowych, oraz przywilejów. Bardzo szczęśliwą myślą było umieszczenie planu miasta z r. 1756, konieczną wydrukowanie in extenso napisów nagrobkowych, szkoda tylko, że brak rycin. Chociaż kościół nie posiada wspaniałych pomników, godnych reprodukcyi, ale byłyby inne szczegóły, bodaj sam widok zamku czy kościoła!

3. Dzięki lepszym warunkom finansowym wydawnictwa *Monografii o Tarnowie*, wydanej przez Kasę Oszczędności tego miasta z okazyi 50-lecia swego istnienia, spotykamy w niej wszystkie najważniejsze dla historyka ryciny, odbite znakomicie, z wyjątkiem może trudnej do zdjęcia fotografowi-amatorowi — pieczęci miasta Tarnowa i nagrobku hetmana Jana Tarnowskiego. Praca jest zbiorową trzech autorów. Pierwszą jej część stanowią *Dzieje Tarnowa za Leliwitów*. Dr. Leniek, znany dobrze z licznych wydawnictw, dotyczących dziejów Tarnowa, rozwija przed nami obecnie pierwszą kartę historyi miasta, od jego powstania w r. 1330. Tarnów, starodawna posiadłość Benedyktynów tynieckich, jeszcze w XII w. istniał jako wieś; w XIV przechodzi na własność protoplasty rodu Tarnowskich, Melsztyńskich (Spicimirza), i dzięki ich staraniom został podniesionym do godności miasta. Przy tej okazyi znajdujemy doskonałą charakterystykę Spicimirza jako gospodarza, i jego to wpływom przypisuje autor wielką część gospodarki naszego Kazimierza W. Pogląd ten bardzo dobrze uzasadniony jest cennym nabytkiem dla historyi; mniej może przemawia dowód, że Leliwici są autochtonami. Dowody

przytoczone na str. 22 nie są jeszcze zupełnie ścisłe. W roz. III. i IV przesuwają się przed naszemi oczyma postacie Tarnowskich, kończąc na ostatnim z właścicieli Tarnowa, wielkim hetmanie Janie i jego synie, Janie Krzysztofie (1567).

Rzecz cała traktowana jest z pietyzmem dla najmniejszego nawet zabytku czy architektonicznego czy piśmiennego. A wielka liczba tych właśnie ostatnich ułatwiła pracę, bo żadne może z miast naszych prowincyonalnych, nie stołecznych, wykazać się nie może takiemi archiwami, jak Tarnów. 245 oryginalnych dyplomów, 56 ksiąg miejskich, dokumenta od samego założenia miasta (1330 roku), nadto — wyjątkowo — znajduje się tutaj inwentarz dóbr opactwa tynieckiego z r. 1689. Pomijając zbiory kapitulne, klasztorne etc., wspomnieć trzeba przedewszystkiem o bogatych archiwach obecnych właścicieli Tarnowa, ks. Sanguszków, w Gumniskach i Sławucie.

Praca więc nad dziejami Tarnowa wdzięczną jest, jak słusznie Dr. Leniek na wstępie zaraz zauważył, i zasługą też Sz. Autora, że swemi publikacyami o Tarnowie daje przykład wzorowy jak pracować. Ta pierwsza część monografii o Tarnowie wyszła i w osobnej odbitce.

Drugi autor, Fr. Herzig, podejmuje historyę Tarnowa tam, gdzie ją porzucił pierwszy, i doprowadza do ostatnich czasów. Stosunkowa bliskość czasów przy obfitości źródeł dozwoliły mu przedstawić te nowe dzieje miasta pod rządami książąt Ostrogskich i ich spadkobierców, następnie pod panowaniem książąt Sanguszków, a wreszcie od r. 1787 miasta samodzielnego, w sposób pełny, a przytem zajmujący, na tle bogatej w ważne zdarzenia historyi Rzeczypospolitej. Interesującym jest tu rozdział o szkole tarnowskiej, zwłaszcza po uposażeniu jej przez ks. Wojciecha Kaszewicza w r. 1752 — istniejącej jako kolonia Akademii krakowskiej. Od r. 1826 Tarnów staje się rezydencyą biskupów, co przydało splendoru miastu i ściślej wprowadziło je w historyę kościelną, wreszcie w r. 1845 powiększa się przez włączenie wsi sąsiednich, ale w następnym roku krwawo się zapisał tem, że tu rezydował Breinl von Wallerstein, główny kierownik „rabacyi". Do Tarnowa ściągały wozy z rannymi lub trupami pomordowanych ofiar. Składano je na placu Sobieskiego, gdzie Breinl wypłacał chłopom po 5 złr. za każdego żywego, a po 10 złr. za zabitego szlachcica. Z najnowszych czasów podano historyę powstania w Tarnowie wszelkich instytucyi gospodarczych, szkół, dzieje zarządu miasta etc. aż do r. 1907.

Ostatni autor, ks. Franciszek Leśniak, opisuje, bogato ilustrując, artystyczne i historyczne zabytki miasta, głównie katedrę z jej skarbcem, wieżą, grobami, muzeum dyecezyalnem, czyni przegląd innych kościołów, a wreszcie ratusza i cmentarza.

4. Ks. Szydelski przedstawia nam *stan archidyecezyi lwowskiej* na podstawie aktów synodu z r. 1641. Akta te były nieznane, jak i wogóle nie wiedziano dotąd, iż w tym roku był jaki synod, chociaż jego akta wyszły drukiem, jeszcze w tymsamym roku 1641 u M. Sloski, arcybiskupiego drukarza. Egzemplarzy pozostało niewiele: jeden zachował się w bibliotece kapitulnej. Notatkami i objaśnieniami zaczerpniętemi z innych archiwaliów uzupełnia Sz. autor suche nieraz dekrety synodalne i zmienia je w ten sposób na bardzo żywe szkice, przedstawiające życie codzienne archidyecezyi lwowskiej, stosunki między duchowieństwem i instytucyami od Kościoła wprost zależnemi. Przy tej okazyi prostuje ks. Szydelski Łukaszewicza, jakoby już w XVII w. miały istnieć seminarya dyecezalne we Lwowie; otóż w tych czasach jeszcze proboszczowie kształcili sobie przyszłych lewitów pod tym warunkiem, że będą ich następcami. Szkoda, że Sz. Autor nie sięgnął do tek Szneidra, tamby znalazł o szpitalnictwie we Lwowie nieco dokładniejsze wiadomości i nie żaliłby się na ich brak (str. 56); specyalnie wiele jest ich o szpitalu św. Łazarza; że istniał on już 1608, zbudowany przez Szarfenbergów przy Kaleczej ulicy, a dopiero 1618 przeniosło go bractwo Różańcowe na dzisiejsze miejsce. Tablica zaś pamiątkowa, podaje tylko datę budowy nowego gmachu („construxit... MDCXXI"), a nie założenie instytucyi.

5. Aczkolwiek posiadamy już nieco prac o szkolnictwie w Galicyi za czasów Maryi Teresy i pierwszego rozbioru Polski, to jednak one wszystkie nie uwzględniały należycie działalności Kościoła na tej niwie. Prof. Tokarz w swej „Galicyi" opierał się przedewszystkiem na relacyach rządowych i stąd sąd jego wypaść musiał nieprzychylnie. Helfert w „Gründung der öster. Volksschule" zastanawia się najwięcej nad szkolnictwem w krajach zachodnio-austryackich, Jantzen (w *Bibliotece Warszaw.* 1905) omawia stanowisko germanizatorskie szkoły austryackiej; najwięcej jeszcze daje ks. Prof. Chotkowski w „Historyi politycznej Kość. w Galicyi". Mimo to jednak pracę ks. Szydelskiego o *szkołach parafialnych*, która jest, jak i poprzednio wspomniana książka, zbiorem zapisków archiwalnych o stanie szkół w archidyecezyi lwowskiej za czasów arcybiskupa Sierakowskiego, czyta się jakby rzecz całkiem nową. Rehabilituje tutaj autor — z dowodami w ręku — stan szkół

parafialnych. Wojny kozackie zniszczyły szkolnictwo na kresach i dopiero praca arcybiskupa Sierakowskiego, oraz jego rozporządzenia synodalne z r. 1765 w sprawie szkolnictwa zaczęły dźwigać oświatę w niektórych miejscowościach nawet znacznie. Zamiarem arcybiskupa było, by każdy kościół miał swą szkółkę, by w razie braku sił nauczycielskich proboszczowie lub ich wikarzy spełniali funkcye nauczania w szkole. Pod tym względem nieporównanie wyżej staliśmy od krajów austryackich.

6. Równocześnie daje nam ks. Chodyński pogląd na stan *szkoły OO. Reformatów w Włocławku*, a więc w całkiem innej stronie Polski. Po dekrecie z d. 23. III. 1811, jakim rząd pruskiego królestwa kasował wszystkie te klasztory, które się nie zajmowały wychowaniem lub dziełami miłosierdzia, czekałby i Ojców Reformatów we Włocławku dekret banicyjny, gdyby nie to, że otwarli szkołę. Wprawdzie wprowadzeni tutaj jeszcze przez biskupa Andrzeja Lipskiego w r. 1625., nie zajmowali się szkolnictwem, ale gdy w innych miastach Rzeczypospolitej otwierali szkoły, jak n. p. w Pakości, Żerominie, a nawet i samej Warszawie, więc nie było widać trudności i w otwarciu szkoły we Włocławku. Tembardziej, że domagało się tego bardzo gorąco mieszczaństwo, i to od długiego już czasu. Ostatecznie starania ich odniosły skutek dopiero w r. 1814, w którym to roku otwarto szkoły wspólnym miasta i klasztoru kosztem. Szkołę tę przyjęła też pod swą opiekę dyrekcya komisyi edukacyjnej, i do niej odsyłane raporty przedstawiają dokładny obraz rozwoju tej szkoły i stosunków, jakie w niej panowały. Pod względem naukowym stała szkoła wysoko: oprócz języków łacińskiego i polskiego, uczono też niemieckiego, no i naturalnie francuskiego. Z przedmiotów trzeba wymienić, jako nowość, historyę polską i geografię ziem polskich. Była to szkoła typu średniego. I niewiadomo dla jakich powodów zamieniono ją w r. 1820 na szkołę typu elementarnego. Przecież wszystkie wizytacye szkoły protokółowały dla niej same pochwały tylko i szkoła rozwijała się bardzo pomyślnie. Do Włocławka przychodzą OO. Pijarzy i obejmują kierownictwo szkoły wydziałowej. Wkrótce powstaje szkoła przemysłowa, a dotychczasowa szkoła elementarna dzieli się na wyznaniową szkołę, a nakoniec upada, bo i ślad wszelki o niej ginie po r. 1840.

W dodatkach podaje ks. Chodyński porządek szkolny istniejący we Włocławku, spis nauczycieli, a wreszcie kilka aktów zapewne przygodnie spotkanych — do szkół OO. Reformatów we Wejhorowie, Komrsku, Stolcembergu i Gdańsku (na Szotlandzie).

Zapiski te jako notatka archiwalna, podobnie jak i sama wiadomość o szkołach włocławskich, jest drobnym, ale bardzo wiernym i źródłowym przyczynkiem do działalności OO. Reformatów w Polsce.

Ks. K. Konopka.

Głos bólu. (Sprawa odrodzenia narodowego Litwy w związku ze sprawą wyzwolenia narodowego Polski). *Józef Albin Herbaczewski.* Kraków 1912, księgarnia S. A. Krzyżanowskiego, str. 206.

Ze sposobu pisania autor znany jest dobrze. W obecnie wydanej książce nic się nie zmienił: przemawia namiętnie, styl jego roi się od wykrzykników, dla przeciwnika nie żałuje sarkazmów. To nie chłodna rozprawa, operująca dowodami, to krzyk do uszu przeciwnika: azali się zbudzi i może zareaguje. Ten niezwykły sposób pisania kiedyindziej może był u autora manierą tylko — obecnie, wierzymy, że jest głosem bólu. Bo oto patryota, kochający swój naród, widzi, że ci, co ujęli w swe ręce ster tego narodu, zatruwają jego duszę, a przytem zmonopolizowali na swą korzyść sternictwo, nikogo doń nie dopuszczając. Jak tu nie oburzyć się, jak nie krzyknąć z bólu?!

Autor wierzy, że Litwa, ojczyzna jego, tylko w połączeniu i zgodzie z Polską może iść naprzód w swym kulturalnym rozwoju; inaczej grozi jej zalew bizantyńszczyzny. Z drugiej strony i Polska potrzebuje Litwy. Niestety, autor ma wiele do zarzucenia i tym, co reprezentując Polskę w Litwie, sprzeniewierzają się rycerskim ideałom przeszłości i albo gnuśnieją w leniwej bezczynności, albo nawet tamują rozwój kulturalny ludu, względem którego mają długi i obowiązki. Jeszcze więcej ma do zarzucenia swoim — tym co myślą, że Litwę zbudują na nienawiści ku wszystkiemu, co polskie. Jednym i drugim wypowiada gorzkie słowa, owszem karci ich i zapowiada im groźną pomstę przyszłości. Karci przedewszystkiem ten podły serwilizm, który płaszczy się przed siłą prawdziwego wroga Litwy, by z nim wspólnie zgnieść wroga mniemanego i lokajstwem kupić sobie możność działania.

Na zasadniczą tezę p. Herbaczewskiego trzeba się pisać bez zastrzeżeń. Ale dla obronienia czystości tej tezy, trzeba wyraźnie podkreślić błędy, które jej towarzyszą. Autor zwalczany przez siebie kierunek stale nazywa „klerykalnym", dwie trzecie książki jego to walka z „klerykalizmem" litewskim. Dlaczego autor nadużywa nazw? Czy to nieodłączna własność programu klerykalnego sianie nienawiści

ku Polakom i lokajstwo względem rządu? Że taka metoda nie wypływa z zasad chrześcijańskich, autor to dobrze rozumie i rozumieniu tego nieraz wyraz daje; ale pytamy nadto, czy taka tylko metoda jest możliwą, według autora, tam, gdzie na czele pracy narodowej i społecznej staje duchowieństwo? W naszem przekonaniu metoda ta nie ma nic wspólnego z „klerykalizmem", według wszystkich utartych znaczeń tego wyrazu. Jest to szowinizm opłakania godny, ale jest to rzeczą przypadkową, że reprezentują ten kierunek właśnie księża litewscy. Szowinizmu tego i klerykali potrafią się pozbyć, skoro głębiej wnikną w zasady chrześcijaństwa i skoro na dalszą metę patrzeć poczną.

O ile pesymistą jest autor, gdy gromi „klerykałów", o tyle zbytniemu optymizmowi ulega, gdy zwraca oczy ku „demokratom" i „liberałom". Nie bierzemy za złe tego, że widzi w nich więcej prawości, ale czy to nie zdradza pewnej naiwności żądać od „demokratów", tych, których autor ma na myśli, by się wyzbyli „moskalofilizmu postępowego" i „wolnomyślności" antykatolickiej, by uszanowali bez zastrzeżeń ideę katolicką? Mniejsza o „moskalofilizm", ale jeśli chodzi o wolnomyślność antykatolicką, o stosunek do idei katolickiej, to demokraci nie mogą skorzystać ze wskazań autora, gdyż przestaliby być „demokratami". Tem mniej zgodzą się na określenie demokracyi, dane przez autora na str. 100. Z chwilą, gdy pójdą za głosem p. Herbaczewskiego, przestaną już być sobą i obrócą się w demokratów katolickich, czyli przyjmą cały program tych, których autor „klerykałami" zowie, oprócz tylko metody nienawiści i lokajstwa. Jeśli łatwiej jest zdjąć z kogoś czapkę niż skórę, to radzilibyśmy autorowi nie łudzić się co do „demokratów" i nie przesiębrać prób jakiejś transsubstancyacyi, lecz dalej pracować nad tem, by raczej „klerykali" pozbyli się tych błędów, które bynajmniej z katolickiego programu nie wypływają. W takiej pracy życzymy powodzenia.

Z książki p. Herbaczewskiego odniesie pożytek każdy Polak, znajdując w niej naszkicowany cały obraz duchowego i kulturalnego dorobku Litwinów. Zbytkiem znajomości Litwy nie grzeszymy; dlatego pouczyć się o czemś z tamtejszych stosunków nie zawadzi.

Ks. Jan Urban.

Z piśmiennictw obcych.

Z belletrystyki francuskiej.

Paul Margueritte: **La faiblesse humaine**; *H. Bordeau*: **Les yeux qui s'ouvrent, La neige sur les pas**; *H. Lavedan*: **Mon filleul.**

Uskarżaliśmy się niedawno na bladość i anemię dzisiejszych dobrych powieści francuskich. Szczęściem ludzie więcej oczytani mogą na skargę tę odpowiedzieć zarzutem nieświadomości, lub wprost nieuctwa. Ale trudno — pisze się o tem co wpadnie pod rękę, a nieuczciwość lub niesprawiedliwość zaczęłyby się wtedy dopiero, gdyby spostrzegłszy błąd, recenzent nie pospieszył go naprawić. A zaprawdę miło jest to uczynić, gdy pobudką do rehabilitacyi jest powieść tak ze wszech miar piękna, jak ta, którą wprzód *Revue des deux Mondes*, a następnie w nakładzie firmy Plon-Nourrit podał Paul Margueritte. Synowie generała Margueritte, Paweł i Wiktor, zwykle dotąd pisywali na wspólkę powieści wojenne z czasów napoleońskich lub z wojny r. 1870. Takim n. p. jest ostatni utwór: *Les frontières du coeur*, opisujący udręczenia Francuzki zaślubionej Niemcowi, zmuszonej patrzyć na męża i braci walczących w przeciwnych obozach. Obecnie bracia Margueritte pisują nieraz osobno i tak książkę *La faiblesse humaine* zawdzięczamy tylko Pawłowi. Rzadko się spotyka coś tak zdrowo, tak uczciwie pomyślanego a przeprowadzonego tak silnie, jasno i zręcznie. Teza da się określić w trzech słowach: apoteoza wierności małżeńskiej. Trzeba przyznać, że się ją nie często spotyka. Główną postacią powieści jest Gabryela Despent, żona prowincyonalnego lekarza. Oboje przystojni, młodzi, pobrani z miłości, żyją całą pełnią swych istot: ona zajęta obowiązkami wobec pary ślicznych dzieci i ukochanych rodziców męża, wobec ubogiej ludności wiejskiej, otaczającej ich posiadłości w okolicach Biarritz; on rozwijający bardzo szeroką działalność tak lekarską jak i społeczną. Ogród ich pełen kwiatów, dom pełen szczęścia, na którem Gabryela używa tem bardziej, iż przed dwoma laty po tem jasnem niebie ciężka przepłynęła chmura: odkryła dowody niewierności męża ale uwierzyła wyrazom żalu i — przebaczyła. Tylko że absolutna wiara w cnotę Maurycego została zachwiana. To też gdy obecnie po upływie dwóch lat dostrzegła smutne ślady nowego upadku, zasmuciła się, ale nie zdziwiła i nie zwróciła z żalem myśli (jak w innych powieściach) ku dawnemu adoratorowi, który od jej ślubu trzymał się w oddali i tylko przypomniał

się pamięci doniesieniem o zgonie swej matki. Bolesna zazdrość Gabryeli tonie atoli wśród przykrości grożącej zdruzgotaniem dotychczas słonecznego życia rodziny. Maurycy Despent wezwany jest przez przyjaciół, by podał swą kandydaturę do parlamentu i pomimo znacznych wydatków, mimo upomnień ojca zsiwiałego w koloniach pod bronią, mimo próśb żony, porzuca swe szerokie pole działania i rzuca się w brudny wir polityki. Starzy rodzice zostają sami, Gabryela z dziećmi przenosi się do Paryża, gdzie strojna i uśmiechnięta ale coraz smutniejsza patrzy na stopniowe zanurzanie się Maurycego w świat myśli, pojęć i czynów obcy dla niej i wstrętny. Wielkie zdolności wynoszą go na coraz to wyższe urzędy, a równocześnie pewna świeżość charakteru, pewna naiwna uczciwość nie dozwalają mu dostrzedz wielu złości ludzkich i czynią zeń cel niejednej podłej rachuby. Sekretarz jego, bardziej obeznany z politycznymi zaułkami rządów republikańskich, spogląda nań z nieco pogardliwą litością i usiłuje nim sterować wśród mętów, których autor dotyka piórem lekkiem a ostrem. Obrazu, jaki z nich kreśli, nie powstydziłby się rylec Hogartha. Dziwna rzecz, iż tylu jest Francuzów sądzących i potępiających rządy „blocku" a nikt nie ruszy palcem, aby się zeń otrząsnąć... Wpośród owej wielkiej kałuży nepotyzmu, intryg, podejść, bezwzględnego egoizmu i brudów pieniężnych Maurycy spotyka także kobiety; widzimy zwłaszcza dwa typy: jeden wesołego i chwilami nawet dobrodusznego cynizmu, a drugi intrygantki melodramatycznej, działającej na spółkę z mężem i wyłudzającej kolejno od nawijających się ludzi to pieniądze, to klejnoty, to znów posady i korzyści światowe. Maurycy Despent wpada w jej matnię jak mucha w siatkę pajęczą, łudzony pozorami bezinteresownej miłości. Od żony, której nie przestaje czcić, oddala się coraz bardziej, a Gabryela widzi wszystko i cierpi. W ciężkiej bardzo chwili spotyka kochającego ją wciąż Andrzeja Varaise, spotyka go nieskończenie smutnego i zapominając o własnym bólu, usiłuje go nieco pocieszyć, nie szukając sama u niego pociechy. A potrzeba jej coraz bardziej, gdyż Maurycy dopomógłszy prawie niechcący do upadku ministerium został sam mianowany ministrem i olśniony, otumaniony wpada coraz głębiej w sieci uwodzicielki i politycznych wspólników. Tego samego wieczora Gabryela odbiera od niego list pełen szacunku, pokory i wdzięczności za przeszłość, ale zawierający propozycyę rozwodu. Ledwie miała czas przeczytać, gdy jej oznajmiono przybycie Andrzeja. Ten już wie wszystkiem, przychodzi w zamian zdrady Maurycego ofiarować swą wierność, w zamian

opuszczenia swą miłość, błaga, by po dokonanym rozwodzie została jego żoną. Ale Gabryela odpowiada smutno a stanowczo: „Jestem żoną Maurycego i do śmierci być czem innem nie mogę". Węzeł małżeński jest w jej oczach nierozerwalnym, świętym, więc niech się dzieje co chce, ona pozostanie wierną do śmierci. Po wyjściu Andrzeja biedaczka bada jeszcze sumienie, czy poprzednio jakiem niebacznem słowem nie dała mu powodu do podobnego kroku. Ale oto wręczają jej telegram, donoszący o ciężkiem zasłabnięciu teścia. Gabryela tedy posyła go mężowi z paru słowami odmownej odpowiedzi na jego list, poczem spiesznie wyjeżdża. Małżonkowie spotykają się u łoża chorego, w dawnym domu, wśród kwiatów i sprzętów, które dawniej były świadkami ich szczęścia. Oboje zmięszani kryją swoje uczucia pod powłoką niepokoju o ojca. Maurycy tak się już myślą od przeszłości oddalił, że się dziwi, gdy żona go pyta, czy pochwala sposób leczenia przywołanego doktora... Niebawem zaś nagląca depesza z ministeryum powołuje go znów do stolicy. Tu zastaje zaburzenie wśród kolegów: dawny wspólnik, skompromitowany odkryciem wielkich defraudacyi, żemścił się, odsłaniając ohydę całego bagna, zatrząsł reputacyą dostojników, na których Maurycy dotąd z szacunkiem spoglądał. Wśród ogólnego bryzgania błotem odsłoniła się brudna przeszłość i równie brudna obecna intryga kobiety, z której śmiał uczynić rywalkę Gabryeli, kobiety, którą przez chwilę zamyślał poślubić. Pełen obrzydzenia i zgrozy, w obawie plamy na własnem nazwisku, Maurycy składa tekę i wraca do ojca. Ale ojciec już nie żyje, nie żyje też i matka, której osłabione serce nie zniosło bolu rozstania, więc Maurycy między dwoma trumnami zastaje tylko żonę szlachetną, łagodną, spokojną. Wśród serdecznego bólu dokonywa się w duszy jego zwrot rozpoczęty w Paryżu przez jaskrawe światło rzucone na błędy ubiegłego roku. Następuje pogodzenie opisane prześlicznie — Gabryela bowiem nie dopuszcza męża do zbytniego upokorzenia. Czyni to przez cnotę, przez poczucie należnej mu godności, a nie myśląc nawet, że powinna tak działać z samego wyrachowania. Mężczyzna bowiem zachowuje zawsze w duszy pewną urazę do żony, która mu raz dała odczuć swą wyższość. Czy szczęście małżonków jest zapewnione? Czytelnik nie śmiałby zaręczyć. Autor nazwał słusznie swą powieść *Faiblesse humaine*, a za ludzi słabych nigdy ręczyć nie można. W każdym razie powieść słabą nie jest, a recenzya nie jest w stanie oddać odmalowanych w niej przeróżnych odcieni, charakterystyki postaci pobocznych, n. p. owej kuzynki

wiecznie chorej, pocieszającej się oznajmianiem ludziom wszelkich złych wieści, owego służącego, podającego płaszcz zdymisyonowanemu ministrowi z mniejszą czcią, niż to w godzinę przed dymisyą uczynił i t. p. Słowem książka śliczna — tylko jednego brak, to jest wymienienia źródła, z którego Gabryela czerpie swą wytrwałość i cnotę.

Piękne są także dwie powieści H. Bordeau: *Les yeux qui s'ouvrent* i *La neige sur les pas*, obie wydane przez poważną firmę Plon-Nourrit w Paryżu. Widzimy w nich dwa małżeńskie dramaty, dwa obrazy walki i pracy nad odbudowaniem zdruzgotanego ogniska. W obu wina tej ruiny ciąży po części na każdym z małżonków. W *Les yeux qui s'ouvrent* znakomity historyk żeni się z majętną panną z Grenobli i tu wciągnięty w poziomo-światową atmosferę jej otoczenia, nie znajdując w niej samej oddźwięku swych myśli, czuje, że własny duch jego maleje, dusi się i kurczy, aż po paru latach znajduje bratnią duszę a raczej bratni umysł w zakochanej w nim oddawna tajemnie Annie de Sèzery. Żona chwyta list zdradzający ów początkujący stosunek i pod wpływem nieroztropnych rad matki nadaje mu światowy i oficyalny rozgłos przez podanie o separacyę. Tem samem nadaje trwałość rzeczy, którąby prawdopodobnie była się sama z siebie rozwiała. Paweł Derise w razie separacyi grozi rozwodem. Do tego jednak nie przychodzi, bo nad obojgiem czuwa jak anioł rozumna, wzniosła i święta matka Pawła. Przytulà do siebie zbolałą, z dwojgiem dzieci opuszczoną synową i działając więcej modlitwą niż radą, dopomaga jej do „otwarcia oczu" na bezwiedne samolubstwo i inne błędy przeszłości. Przez połowę tomu śledzimy wraż z autorem stopniowe przekształcenie się Elżbiety z kobiety banalnej i płochej w istotę uduchownioną, oddaną całem sercem ciężkim obowiązkom, tęskniącą za szczęściem, które zapoznawała w pierwszych latach po ślubie. Z synem sprawa trudniejsza i dopiero śmierć matki, która życie swoje ofiarowała Bogu za powrót jego na drogę cnoty, daje sposobność do odnowienia stosunków zwaśnionej pary. Dużo jednak czasu upływa, a ze strony Elżbiety potrzeba cudów cierpliwości i rozumnej słodyczy, by odbudować na lepszych podstawach normalne pożycie małżeńskie. Potrzeba i pracy męża, pracy duchowej, aby ugiąć zbyt dumny umysł, dozwalając sercu prosić o przebaczenie żony, w której obecnie znajduje wszystko, czego mu w niej było brak w początku. Boleść, która ją podniosła, rzuciła ją wprzód do stóp Boga a potem w objęcia męża, jemu znów „otwarła oczy" na istotną prawdę życiową. Za tło obrazu

służą górzyste okolice Delfinatu, o srogich zimach i cudownych oświetleniach alpejskich.

W powieści *La neige sur les pas* mąż Marek Romeny, zdolny budowniczy-artysta w nowożytnym stylu, zawinił o tyle, że pomyślawszy o wygodach żony, dawszy jej wszystko, czego jej strona zewnętrzna potrzebować mogła, zaniedbał potrzeby jej duszy umysłu, i serca, pozostał jej obcy myślą, zajęciem i zamiarami. Gdy zaś znalazł się człowiek, jego długoletni przyjaciel, który jej wdzięk moralny ocenił i dla innej zdradził własną małżonkę, Romeny wyzwał go i silnie poranił, a żonę błagającą o litość i przebaczenie, jak psa od wrót swoich odpędził. Wtedy Teresa wróciła do tamtego, wypielęgnowała i wkrótce oboje wyjechali do gór szwajcarskich. Tu pewnej nocy pies z klasztoru św. Bernarda znalazł ich na stoku przepaści — on już nie żył, a ona skulona jak zwierzę jęczała cicho liną jeszcze przywiązana do trupa. Na tym cyplu skalnym spędziła była niemal dwa dni i dwie nocy, patrząc bezsilna na towarzysza straszne męki i konanie, wśród mrozu, głodu i bólu... Marek Romeny wezwany depeszą przybył na górę św. Bernarda. Sądząc, że Teresa jest blizką śmierci, przywiózł jej córeczkę, znalazł słowa serdeczne i ciepłe wobec złamanej istoty, wobec biednej twarzy okrytej ranami i biedniejszych oczu błyszczących gorączką. Jej wydał się zbawcą przychodzącym ratować ją z toni. Straszne godziny w cieniu śmierci spędzone zbudziły ją ze złego, grzesznego snu — toż same ostatnie słowa jej uwodziciela nakłaniały ją do powrotu na dobrą drogę. Po przyniesieniu do szpitala, zaledwie odzyskała przytomność, pojednała się z Bogiem i teraz po Komunii św. nie zdawała sobie nawet sprawy, jak szybko przeszłość ostatnich miesięcy z duszy jej i z serca znikała, zostawiając żal i trochę bardzo pokornej nadziei. Marek był wzruszony, ale niestety! Teresa nie umarła. Silna młodość przemogła, a w miarę jak zaczęła powracać do życia, wzruszenie w sercu męża chłodło i gasło. Wśród powrotnej fali zazdrości zapragnął ujrzeć miejsce, gdzie skonał dawny jego przyjaciel, gdzie Teresa związana z jego trupem jęczała. Mógł tylko pod wodzą jednego z księży dostrzedz je z brzegu przepaści, śladów wypadku jednak nie obaczył, bo biały śnieg pokrył je i zatarł... Resztę książki zajmuje znów walka o ognisko domowe, walka w duszy Marka, aby przebaczyć i aby zapomnieć, walka ze słodką pokorą żony, z naleganiami matki, z własną stłumioną miłością. Aż w końcu dobro zwycięża, a Teresa wprowadzona po raz drugi do domu męża zajmuje w nim miejsce szersze i wyższe niż przed ogniową próbą nieszczęścia.

Pięknem jest bardzo owo bojowanie znamienitszych pisarzy francuskich o zagrożoną świętość ogniska, gdy jednak czyta się te powieści jedne po drugich, jest się uderzonym jednostajnością treści: jestto jako jedna i ta sama melodya powtarzająca się w różnych tonach i przy różnym akompaniamencie. Co prawda widzi się gdzieindziej też samą jednostajność w opisywaniu złego, ale bez podania lekarstwa.

Jeszcze słówko o innej książce *Mon filleul* przez H. Lavedan, członka akademii francuskiej, autora kilkunastu dramatów i dwudziestu kilku powieści, z których niektóre liczą po parę tomów a jedna z nich *Mal an* aż cztery! Obecna książka wydana przez firmę Pierre Lafitte zajmuje tylko tom jeden i to nie duży, a nie jest to powieść, tylko w formę dyalogów ujęta różnica pojęć i zwyczajów, jaka zaszła od pół wieku we Francyi. Nam by się zdawało, że ów *parrain*, liczący zaledwie lat 45, zanadto jest traktowany jako patryarcha tak przez autora jak i przez siebie samego i że przy czynnem życiu nie łatwo jeszcze w tym wieku zdać sobie sprawę ze zmian zachodzących po drodze. Rzecz jednak jest moralna i choć czasami czytelnik staje po stronie młodzieńca, częściej jednak musi uznać słuszność słów dojrzałego męża. Tylko że wiele z rad, jakich ten ostatni udziela, mogłyby być jeszcze samemu udzielone przez ojca, a temuż przez dziadka. Autor zamyka swą pracę w progach kościoła, dokąd ojciec chrzestny po niejakiej namowie zdołał wprowadzić swego pupila zbyt rezonującego i analizującego, by łatwo w duszy swojej znaleść prostotę potrzebną do poddania jej działaniom wiary.

I oto po bliższem rozpatrzeniu znalazł się szereg powieści francuskich nietylko dobrych i uczciwych, ale dzielnem piórem skreślonych. Jest ich zapewne więcej, ale trudno wiedzieć o wszystkich.

Teresa Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Charakter Skargi. Prof. *Stan. Windakiewicz.* Kraków 1912.

Wobec tego, że praca ta pojawiła się w styczniowym zeszycie *Przeglądu powszechnego* i znaną jest czytelnikom pisma, odpada obowiązek obszerniejszego sprawozdania. Zaznaczyła już Redakcya, że jest to pierwsza w naszej literaturze próba uchwycenia konkretnej osobowości Skargi, a dodajmy, że jest to próba niezwykle udatna i jako studyum literackie rzecz

pierwszorzędnej wartości. Już samo to, że Redakcya, mimo zastrzegającej uwagi — która odnosiła się tylko do jednego, drugiego i to drobnego szczegółu — czuła się podbitą i zniewoloną pracę tę umieścić, świadczy o niezwykłości tej pracy. Z nadzwyczajną przenikliwością i subtelnością autor wgląda w spuściznę literacką Skargi i szczegóły jego życia, a rysy charakteru tą drogą uzyskane jednoczy w obliczu duchowem Skargi, wymodelowanem z przepyszną wirtuozyą odczucia psychologiczno-historycznego. *J. P.*

Świątobliwe życie Przewielebnej Jej Mści Panny Zofiej z Granowa Sieniawskiej, fundatorki i pierwszej Xieniej klasztoru sendomirskiego reguły ś. Benedykta z Kassyna reformacyej chełmińskiej, według rękopisu z roku 1630, wydał ks. Jan Gajkowski, prof. Seminaryum Sandomierskiego. Kraków—Warszawa, Gebethner i Wolff, 1911.

„Życie" to Zofii Sieniawskiej po raz pierwszy ukazuje się w druku. Przedtem znanem było tylko szczupłemu gronu ludzi w oryginalnym rękopisie i 2-ch odpisach. Autorem jego, jak wydawca domyśla się, mógł być ks. Franciszek Stanisław Fenicki T. J., domniemany również tłómacz „Godzinek o Niepok. Poczęciu N. M. P." Jezuitów z Benedyktynkami sandomierskiemi łączyły węzły przyjaźni i wdzięczności, taż sama bowiem pani marszałkowa Sieniawska, matka Zofii, która ufundowała Klasztor Benedyktynek sandomierskich, była również fundatorką lwowskiego kolegium Jezuitów. Stąd też stale szli z posługą duchowną Benedyktynkom sandomierskim, gdzie Zofia pierwszą ksienią była. Za wydanie „Życia" będą wdzięczni nie tyle historycy z zawodu, bo „Życie" pisanem było przedewszystkiem dla zbudowania dusz dążących do doskonałości, lecz właśnie te dusze, które i teraz jeszcze z wielkim pożytkiem cnotom Zofii Sieniawskiej przypatrywać się mogą. Największe zaś znaczenie ma niniejsze wydanie dla literatury polskiej 17-go stulecia, bo „Życie" to jest jednym z najpiękniejszych zabytków piśmiennictwa ówczesnego dla prostoty opowiadania i wdzięku stylu. Dobrze też wydawca uczynił, że rękopis wydał z zachowaniem w druku wszystkich osobliwości języka i pisowni autora. Książkę zdobi reprodukcya z pięknego portretu Sieniawskiej, znajdującego się w muzeum dyecezalnem sandomierskiem.

J. U.

O modernizmie. *Ks. St. Miłkowski.* Odbitka z „Dwutygodnika dyecezalnego", Wilno 1911, str. 65.

Prawda. *Fr. Brors T. J.*, tłómaczył F. F. Wyd. księgarni M. Szczepkowskiego, Warszawa. Tom I, 1910 r.; str. 140; tom II, 1911 r., str. 178.

Pragnienie powrotu. *Ks. Dr. Wacław Kalinowski.* Wyd. księgarni M. Szczepkowskiego, Warszawa 1911, str. 83.

Gdzie prawda? Napisał *Prawdomir*, Poznań 1911, str. 172.

Coraz mocniejsze ataki na prawdy chrześcijańskiej wiary jużto ze strony różnowierstwa, jużto — jawnej importowanej z zagranicy niewiary, jużto wreszcie niebezpieczeństwa ze strony podkradających się nieznacznie a zdradliwie prądów modernistycznych — wymagają tworzenia i u nas całej apologetycznej literatury. Gdzieindziej apologetyce poświęcono specyalne czasopisma, wydaje się obszerne dzieła; u nas — po „Wieczorach nad Lemanem" ks. Morawskiego pono nic monumentalnego w tej dziedzinie nie pojawiło się. Jesteśmy jeszcze w stadyum przyswajania naszemu piśmiennictwu prac obcych, lub też wydajemy rzeczy drobne, dotyczące poszczególnych kwestyi, przeważnie popularne.

Modernizm! Taka rzecz aktualna, a tak mało u nas znana. Obszernej wyczerpującej monografii o tym nowym wrogu katolickiej

prawdy nie posiadamy. Mamy dwie czy trzy rozprawki, jakby próby wyjaśnienia, czem właściwie jest modernizm, jakie jego źródła i niebezpieczeństwa, tego jednak za mało. Do podobnych prób należy i rozprawka ks. Miłkowskiego *O modernizmie*. Autor umie przedstawić rzeczy jasno, ale pragnąc na 65 stronach małego formatu wyłożyć i genezę modernizmu i system takowego, i poddać modernizm krytyce, i wskazać środki zaradcze przeciw niemu i sposoby zwalczania go, dał nam rzecz zbyt pobieżnie opracowaną, robiącą wrażenie jakiejś studenckiej rozprawki, opartej na paru znanych książkach, albo podobnychże rozprawkach. Nie udał się przytem koniec rozprawki, wskazujący na „dowód psychologiczny" i to z uczucia, jako na jeden ze środków zapobiegawczych przeciwko modernizmowi i sposobów trafienia do duszy współczesnej. Myśl autora jest tu niejasną, niektóre wyrażenia wprost nieuzasadnione. „Dowód psychologiczny" bowiem nie koniecznie jest dowodem na istnienie religii o b j a w i o n e j, lecz raczej naturalnej. Uczucie i wola nie koniecznie są źródłem „głębszej formy poznania,... dającej nam możność dojścia do absolutnej pewności".

Księgarnia nakładowa Szczepkowskiego stara się o przyswajanie naszemu językowi obcych dzieł przedewszystkiem z zakresu apologetyki. Takiem jest 2-tomowe dziełko ks. Fr. Brorsa p. t. *Prawda* W niem przechodzi autor rozmaite zarzuty przeciwko podstawowym prawdom wiary; mówi o wolności woli, o duchowości i nieśmiertelności duszy, o istnieniu Boga, o cudach, o historyczności i bóstwie Chrystusa, o Kościele i t. d. Dowody czerpane ze starej skarbnicy, ale zastosowane do nowszych potrzeb i trzymane w tonie popularnym. Szkoda tylko, że autor tu i owdzie, odpierając przeciwników i chcąc ich niejako ośmieszyć, nieco przeszarżował. Naprzykład oburza się na Kanta, że stawia o jednym przedmiocie dwie sprzeczne tezy i obie usiłuje udowodnić, tak że czytelnik nie wie, którego zdania się trzymać. Ależ właśnie Kantowi o to chodziło, by na tych przykładach „antynomii umysłowych" zachwiać zaufanie do rozumu wogóle! Kategoryczny imperatyw Kanta wydaje się ks. Brorsowi czczą gadaniną, dlatego że „mogę przecież sobie nigdy niczego nie rozkazywać". Ależ według Kanta ten kategoryczny imperatyw dlatego kategorycznym się nazywa, że nie jest uwarunkowany między innymi i wolną wolą. Szkoda więc, że takiem zaniedbaniem wejścia w myśl przeciwników chrześcijańskiego światopoglądu może zrazić niejednego czytelnika. Forma książki — dyalog, ale, niestety, nie najlepszy. Forma ta wymaga mistrza, jakim był De Maistre, lub u nas ks. Morawski. Gdy z dwóch interlokutorów, jak to jest u Brorsa, jeden tylko stawia wciąż posłyszane lub wyczytane zarzuty, a drugi tonem magistra je rozwiązuje, aż tamten powie: a tak, już przekonałem się, — to taki dyalog musi wreszcie znudzić. Mimo to bynajmniej nie można zaprzeczyć, że książka może być przeczytaną przez inteligentnego czytelnika z pożytkiem.

W kierunku wykazania wieczystości religii zmierza broszura ks. Kalinowskiego. Idąc za Boutroux, autor charakteryzuje stosunek do kwestyi religijnych — rozmaitych systemów ostatnich czasów, jako to pozywityzmu Comte'a, agnostycyzmu Spencera, monizmu Haeckla, psychologizmu, socyologizmu, sentymentalnego chrystyanizmu i wreszcie protestantyzmu, poświęcając każdemu z nich swoje krótkie uwagi krytyczne. Autor broszurki konstatuje pewien zwrot umysłów ku katolicyzmowi w ostatnich czasach; pewną reakcyę przeciwko zracyonalizowaniu religii; naszem zdaniem zawiele objawia przy tem optymizmu, a jednocześnie zbyt wielkie znaczenie przypisuje dziełu Williama Jamesa.

Niejaki „Prawdomir" daje nam wcale niezłą apologetykę ludową, p. t. *Gdzie prawda?*, w której w formie rozmów między podróżnymi zestawia rozmaite błędy, sekty, dotyka najczęściej kursujących przesądów,

nie pomija i rzeczy historycznych. Styl polszczyzny nieco zabarwiony prowincyonalizmami, ale zrozumiały i opowiadanie dość barwne; książeczka nadaje się do rozszerzania tam, gdzie przedewszystkiem protestanckie i sekciarskie błędy usiłują dotrzeć do naszego ludu.

J. U.

Nasz dyletantyzm religijny. *Szczepan Jeleński*, Warszawa 1911, wyd. księg. M. Szczepkowskiego, str. 40.

Luźne uwagi i spostrzeżenia, rzucone na papier, by czytelnikowi nasunąć poważne myśli na tematy religii i życia z religii. A tematy są ciekawe, choćby to zapytanie, czy dogmat o zmartwychwstaniu ciał nie jest najgłębszą podstawą ruchu chrześcijańsko-społecznego? Autor nie odpowiada sam na rzucane przez się pytania, zmuszając czytelnika do samodzielnego wmyślenia się w zagadnienie.

J. U.

Kwestya robotnicza i dążności do jej rozwiązania. *X. Dr. Fr. Hitze.* Z dodatkiem: Kwestya robotnicza w świetle statystyki. Za zezwoleniem autora przełożył Walery Zieliński. Poznań, 1909.

Znane i uznane w kołach zawodowych dzieło X. Dr. Hitzego ukazało się w polskiej szacie. Upływ kilku lat od czasu jego ukazania się nie zmniejszył aktualności i trafności jego zasadniczych konkluzyi. Zmienił się tylko materyał faktyczny, na którym oparł się X. Dr. Hitze. Dobrze też uczynił tłómacz, że uzupełnił je zebraniem ustawodawstwa w sprawach robotniczych aż do ostatnich czasów. Obok tego życzyćby sobie należało, by to uzupełnienie rozciągnął i na zestawienia statystyczne lat ostatnich; zestawienia bowiem samego autora operują z istoty rzeczy materyałem dawniejszym, obecnie mającym znaczenie wyłącznie historyczne. Ale materyał statystyczny, ustawodawstwo społeczne i t. d. zmienia się, bo życie nie stoi i ustawodawstwo musi za niem podążać i potrzeby jego uwzględniać. Trwałe jednak pozostaną zasady polityki społecznej, postawione przez autora, jak wykwit głębokiej myśli polityki ekonomicznej opartej na zasadach katolickich. To trwała wartość dzieła X. Dra Hitzego; poczytać też należy za zasługę tłómaczowi, że przez swą pracę dał sposobność poznać je tym, dla których język niemiecki nie jest przystępny.

Dr. A. B.

Archeologia biblijna. *Ks. Alexander Lipiński* Warszawa 1911 r., str. XXII + 425.

„In quo quantum praestiterim judicabunt caeteri: prodesse certe cupio". Temi słowy kończy ks. Lipiński przedmowę do swej archeologii biblijnej. Nie ulega wątpliwości, że jego archeologia będzie przychylnie przyjętą i że wielką usługę oddał piśmiennictwu naszemu, które dotychczas nie posiadało jeszcze całkowitego podręcznika starożytności biblijnych. Prawda, że autor nie wypowiedział ostatniego słowa o archeologii biblijnej, zwłaszcza w jej dzisiejszym stanie i rozwoju, może nawet za mało uwzględnił nowe i bogate wykopaliska na Wschodzie, ale i tak jego dzieło podniesie znajomość naukową tej gałęzi wiedzy, u nas w kraju ułatwi studyum biblijne i naukę historyi biblijnej w naszych szkołach.

Całość obejmuje sześć głównych części: I. Opis ziemi świętej (przyroda i mieszkańcy ziemi świętej); II. kraje sąsiednie i pobliskie; III. życie domowe Hebrejczyków (mieszkanie, odzież, pożywienie, rodzina, życie towarzyskie, choroby i śmierć); IV. życie przemysłowo-handlowe, naukowe i artystyczne Hebrejczyków; V. życie publiczne Hebrejczyków (forma rządu, sądownictwo, wojskowość); VI. życie religijne i kościelne Hebrejczyków (miejsca święte, osoby Bogu poświęcone, kult święty, kalendarz). Do tej tak bogatej i rozmaitej treści wspomnieć należy o technicznej stronie jego dzieła, o licznych i pięknych ryci-

nach, planach i mapach. Wszystko to składa się razem na zalecenie podręcznika ks. Lipińskiego tak dla szkół, jak i dla bibliotek domowych.

B. L.

Historya święta Starego Testamentu, podręcznik dla klas wyższych szkół średnich przez ks. *Józefa Kruszyńskiego*, Warszawa 1911, str. 249.

Piśmiennictwo nasze polskie wcale nie obfituje w dobre podręczniki historyi biblijnej. To też z radością witamy tę nową pracę, tem bardziej, że historya święta Starego Testamentu ks. prof. Kruszyńskiego chce być historyą w ścisłem tego słowa znaczeniu. I rzeczywiście pierwiastek historyczno-pragmatyczny wybija się na pierwszy plan i nadaje jego pracy pewną wyższość nad innymi podręcznikami, tem więcej, że autor umiał wykorzystać i wciągnąć w swą pracę wykopaliska i odkrycia naukowe na Wschodzie ostatnich lat, które sporo rzuciły światła na same księgi święte i nowy punkt oparcia dały do dalszego badania krytycznego historycznej przeszłości narodu wybranego. Raz po raz powołuje się autor lub odsyła dla pogłębienia przedmiotu do odnośnych prac naukowych archeologów i biblistów. W całej jego książce uderza opanowanie, umiejętne ugrupowanie materyału i wielkie bogactwo myśli i uwag praktycznych, które z pewnością ułatwią naukowy wykład szkolny, a w uczniach obudzą ciekawość i żywe zainteresowanie się przedmiotem. Na dowód niech posłuży choć jeden wyjątek z pierwszego okresu jego historyi. Autor zaczyna od opisu stworzenia świata według Biblii. Następnie zestawia wyniki nauk świeckich o początkach świata, jak kosmologii, paleontologii i geologii, dołączając tablicę formacyi, klimatu, fauny i flory w każdym okresie geologicznym i przystępuje potem do naukowego pogodzenia opisu biblijnego z pewnymi wynikami naukowymi, posiłkując się przytem tłómaczeniem dosłownem, idealnem i alegorycznem tekstu biblijnego. Dalej przytacza opisy stworzenia świata u innych narodów starożytnych i bada ich stosunek do Biblii. Takie samo bogactwo myśli i szczegółów napotykamy i w innych rozdziałach.

Właściwą historyę poprzedza szereg uwag potrzebnych w dalszym ciągu pracy dla lepszego zrozumienia i objaśnienia, jak n. p. pojęcie historyi świętej i jej źródła pierwszorzędne i drugorzędne, podział, cel, charakter i zasady tłómaczenia ksiąg świętych. Cała historya rozpada się na cztery główne okresy. Okres pierwszy od stworzenia świata do powołania Abrahama na patryarchę narodu izraelskiego, okres drugi od Abrahama do pierwszego króla Saula, okres trzeci od Dawida do upadku królestwa judzkiego, okres czwarty naród izraelski pod panowaniem obcem. Kończy zaś autor swą pracę dwoma dodatkami o języku Starego Testamentu, o przekładach pisma świętego i o fałszywych bóstwach pogańskich, którym niekiedy oddawał cześć naród izraelski.

B. L.

Świat zwierząt. I. Zwierzęta ssące. Wydanie polskie pod redakcyą Prof. *J. Sosnowskiego*. Warszawa 1911.

Ukazał się już pierwszy tom „Świata Zwierząt", obejmujący zwierzęta ssące. Zbiorowa ta praca zawiera w wydaniu polskiem około 400 stronic tekstu na pięknym papierze kredowym, z 500 ilustracyami w tekście, oraz 13 barwnemi rycinami na oddzielnych tablicach.

Pracę ściśle naukową oceniamy przedewszystkiem ze względu na treść, formy żądamy wprawdzie poprawnej, ale poza tem wybaczamy jej wiele. Inną nieco przykładamy miarę do dzieła, przeznaczonego dla szerokich kół, czyli popularnego. Tu wybitną gra rolę sposób przedstawienia rzeczy, rzeczy skądinąd dobrej i pożytecznej. Na popularny zaś sposób pisania składa się wiele i różnych elementów, zależnie od dzie-

dziny wiedzy, z której się czerpie treść danego dzieła. Otóż nikt chyba nie zaprzeczy, że dobre ilustracye są jednym i to bardzo poważnym z takich popularnych elementów w pracy zoologicznej, jaką jest „Świat zwierząt", bo tę mamy na myśli. Pod tym względem „Świat zwierząt" prawie niewiele pozostawia do życzenia, bo fotograficzne zdjęcia postaci zwierząt wprost z przyrody zastępują oglądanie zwierząt w naturze, choć nie zupełnie, ale jak można najlepiej. Szkoda tylko, że ilustracye te nie stoją w jakimś ściślejszym związku z samym tekstem.

A treść dzieła? To krótki lecz barwny opis charakterystycznych cech zwierząt, ich geograficznego rozsiedlenia i zwyczajów. Kto zna ubóstwo naszej literatury faunistycznej, naukowej i popularnej, ten z wdzięcznością wita każde dzieło w tym zakresie i wartość jego rozumie, zwłaszcza, jeśli wartość ta ma nadto podstawę w samej formie i treści dzieła bogatej. Za takie właśnie dzieło popularne uważamy *Świat zwierząt*.

S. K.

Mariavitensekte. *Kasimir Gajkowski*, Kraków 1911, str. 99.

Nie czas jeszcze na dokładne opracowanie historyi odszczepieństwa Maryawitów; liczne ciemne sprężyny, jakie działały w tej sprawie, niedostępne są jeszcze do zbadania. Żeby jednak oddzielić od prawdy te legendy, jakie około tej sekty się tworzyły i na korzyść i na niekorzyść jej, pożyteczną jest rzeczą już teraz usiłować dać zarys historyi powstania i rozwoju tejże sekty. Ze wszystkich, dotąd wydanych w tym celu broszur, wyróżnia się dodatnio broszura K. Gajkowskiego, oparta przeważnie na materyale, ogłoszonym przez samychże Maryawitów. Autor wydał swą pracę po niemiecku, zapewne pragnąc dostarczyć zagranicy pewnych wiadomości o Maryawitach. Szkoda, że język broszury pozostawia niemało do życzenia.

J. U.

Geschichte der oesterreichischen Revolution im Zusammenhange mit der mitteleuropäischen Bewegung der Jahre 1848—1849, von *Joseph Alexander Freiherrn von Helfert*. Zweiter Band. Freiburg und Wien. 1909. 8-ka, str. XV + 382.

Tom ten zawiera historyę dwu, niespełna miesięcy, a mianowicie wypadków, zaszłych w przeciągu czasu od połowy kwietnia do początku czerwca 1848 r. Co się tyczy dziejów galicyjskich specyalnie, przynosi on wcale niewiele, a zatem: oprócz krótkiego zarysu nieudałego powstania krakowskiego, które pociągnęło za sobą zaprowadzenie stanu oblężenia, mówi autor pokrótce o czynnościach deputacyi polskiej we Wiedniu i o powstaniu w W. Ks. Poznańskiem. Pozostałe rozdziały tyczą się spraw nie-galicyjskich. Prawda! W anneksach przedrukowano w całości protest deputacyi galicyjskiej przeciwko przyłączeniu Galicyi do Austryi, oraz drugi protest przeciwko zarządzeniom gubernatora lwowskiego hr. Stadiona, a nadto odpowiedź gubernatora na skargi polskie i sporządzony przez Stadiona projekt odręcznego pisma monarszego w sprawach galicyjskich, które służyłoby jako dyrektywa postępowania w przyszłości dla ministra Pillersdorffa.

Z. O.

Der menschliche Körper in Sage, Brauch und Sprichwort. *Knortz Karl Prof.* Würtzburg 1909. 8-ka, stron 240.

Sam tytuł mówi najwyraźniej, co było zamiarem autora. Ze względu na ton przystępny i na żywe, miejscami pełne dowcipu przedstawienie rzeczy, książka ta ma niezaprzeczoną wartość popularyzatorską. Jednakowoż bez względu na taki charakter książki, niepodobna nie zadziwić się, że autor wyzyskał tutaj nawet materyał, zebrany z ust ludów dzikich, o Słowiańszczyźnie zaś jakgdyby nic nie wiedział. Prawda! Wszak jesteśmy „eine minderwärtige Nation"...

Z natury rzeczy samej, charakter książki jest encyklopedyczno-anatomiczny, że się tak wyrażę. Rozpoczynamy od głowy i dowiadujemy się sporo z zakresu medycyny i demonologii ludowej: o upiorach, pozbawionych tej części ciała, o tajemniczych dziwotworach, posiadających większą ilość głów, o środkach, używanych przez rozmaite ludy przeciwko bólowi głowy. Z kolei przechodzimy do włosów, brody i wąsów, twarzy, znaków na niej szczególnych, oczu, uszu, nosa i t. d. kolejno całe ciało, każdą jego część z osobna, aż skończymy szkieletem i pojedynczemi kośćiami oraz krwią. Na ustępie o krwi pokazuje się najlepiej, jak to mści się przeważnie zawsze nieujęcie należyte całości przedmiotu. O ileż więcej i lepiej wyjaśniłby był autor „pobratymstwo" krwi, gdyby był chociażby pobieżnie zaznajomił się ze zwyczajami południowo-słowiańskimi, zwłaszcza, że przeżytek ten nie tak dawno jak zaczął skłaniać się do wygaśnięcia.

J. H.

Der Verfasser der Eliu-Reden (Job 32—37). Eine kritische Untersuchung von *Dr. Wenzel Posselt* (Biblische Studien XIV Band, 3 Heft) Gr. 8-o (XII u. 112) Freiburg 1909, Herder'sche Verlagshandlung.

Celem niniejszej monografii jest ponowna krytyczna analiza dowodów za i przeciw pierwotnej redakcyi mów Eliu w księdze Job. Ponieważ jedna i druga strona przytacza na poparcie swego twierdzenia dwojakiego rodzaju dowody rzeczowe i językowe, podzielił autor całą swą pracę na dwie główne części. W pierwszej omawia dowody rzeczowe, czy mowy Eliu wykazują w porównaniu z całą księgą pewne odmienne właściwości pisarskie, czy napotykamy w nich ślady redakcyi późniejszej, czy się dostrajają do całego zewnętrznego układu księgi Job, czy się łączą z tokiem jej myśli, jaka jest ich treść, co sądzić o zapożyczeniach się autora mów z całej księgi, w drugiej zaś części roztrząsa dowody językowe. Mowy Eliu wykazują zgodność form gramatycznych, właściwości syntaktycznych i leksykalnych ale też i pewne różnice, które jednak nie uprawniają do kategorycznego twierdzenia redakcyi późniejszej. Ostateczny wynik jego badań jest następujący: Cały układ księgi wymaga koniecznie mów Eliu jako całości i chociaż nie możemy dokładnie i całkowicie niektórych trudności rozwiązać, to nie są one jednak tak wielkie, żeby nas zmuszały do przyjęcia redakcyi późniejszej.

L. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Polska Rada katolicka w Krakowie.

Sprawozdawca z ruchu religijnego rzadko kiedy jest w tem szczęśliwem położeniu, by mógł umieścić w referacie swoim jakiś znaczniejszy fakt z życia katolickiego w Galicyi. Tem chętniej więc korzysta z nadarzającej się ku temu sposobności. Otóż 25 stycznia b. r. odbyło się ukonstytuowanie Polskiej Rady katolickiej w Krakowie. Członkami jej są wszystkie istniejące w Krakowie towarzystwa katolickie, a celem związku jest wspólna akcya we wspólnych sprawach katolickich, tak co do obrony wiary i moralności, jakoteż co do pielęgnowania ducha katolickiego w społeczeństwie. Na wspomnianem zebraniu zgłosiło 46 towarzystw katolickich swoje przystąpienie do Rady, której prezesem jest powszechnie ceniony radca dworu prof. Dr. Wicherkiewicz. Statut został wypracowany i przedłożony przez Dr. Leopolda Caro i z niektóremi uzupełnieniami jednomyślnie przyjęty. Rada katolicka jest zatem faktem dokonanym i może przystąpić do pracy, której nigdy jej nie zabraknie.

Gdyby Rada katolicka niczem innem nie chciała być, jak tylko centralizacyą sił dla wspólnej akcyi katolickiej w Krakowie, byłaby to już rzecz bardzo chwalebna, dla wpływu miast wielkich na prowincyę, ale plan Rady jest szerszy. Z tej centralizacyi lokalnej bowiem ma powstać z czasem centralizacya

dyecezalna i krajowa, która złączyć ma wszystkie siły katolickie całej Galicyi w tym samym celu obrony i pielęgnowania zasad wiary i moralności. Można tylko żałować, że ta myśl nie została już dawno zrealizowaną, bo brak takiej centralizacyi wszak naraził już katolików na niemałe straty. O ile wiemy, podobnież skupiono już siły katolickie w archidyecezyi lwowskiej, z czego widać, że działa tutaj wspólna szczera idea o bardzo szerokim widnokręgu. Tą wspólną ideą jest Unia katolicka w całej Austryi, o której mówiliśmy w zeszycie grudniowym niniejszego czasopisma. Polska tedy Rada katolicka w Krakowie jest właściwie zaczątkiem wielkiego dzieła, które stanowić będzie najpoważniejszy czynnik w akcyi katolicyzmu Austryi. Ponieważ bardzo energicznie krzątają się także około tego dzieła w innych krajach austryackich, w najbliższym czasie spodziewać się można zwołania wiecu delegatów, aby załatwić wspólnie ostatnie formalności. W ten sposób rok kongresu eucharystycznego pozostawi, da Bóg, niezatarte ślady rozwoju katolicyzmu w Austryi i stanie się zadatkiem lepszej dlań przyszłości.

Kościół katolicki w Norwegii.

Podczas gdy coraz duszniejszą staje się atmosfera dla katolicyzmu w różnych krajach Europy, podczas gdy wszędzie przeciwnicy katolicyzmu łączą się dla zagłady Kościoła, warto na tem miejscu podać, co Wikaryusz apostolski norwegski Msgr. Fallize pisze o idealnej wolności religijnej w Norwegii.

Smutnym jest faktem, że w naszych czasach katolicy i katolicki Kościół swobodniej oddychają w krajach protestanckich, aniżeli w większej liczbie krajów katolickich. Niema zaś kraju w Europie, w którymby okazywano katolicyzmowi większe względy, jak w luterskiej Norwegii. Kraj ten, dzisiaj o własnym i niezależnym rządzie, rozwija się bardzo pomyślnie i cieszy się wielką kulturą, tak że jego wspaniałomyślność wobec Kościoła katolickiego nie może być uważana za wynik pewnego ograniczenia kulturalnego lecz poczucia sumiennej sprawiedliwości. Tłómaczą się te względy dla Kościoła katolickiego także tem, że herezya z góry narzucona ludowi norwegskiemu, nigdy tam głębokich

korzeni nie zapuściła i pozostawiła dużo sympatyi dla dawnych katolickich tradycyi kraju.

Pomimo to, dopiero w roku 1856 oddano znowu katolikom pierwszy kościół w Norwegii, kościół św. Olafa w Chrystyanii. Nawrócenia wnet rozmnożyły się tak, że 1869 Norwegia została wyniesioną do godności Prefektury Apostolskiej.

Obecny Wikaryusz Apostolski Msgr. Fallize znalazł u rządu dużo wyrozumiałej przychylności, tak że wystarczyło zwrócić rządowi uwagę na różne krępujące katolików przepisy, aby je usunąć. Prawo z 27 czerwca 1891 zagwarantowało Kościołowi katolickiemu wolności, jakich prawie nigdzie nie zażywa. Przy dyskusyach nad tem prawem zapytywano się zawsze o zdanie Wikaryusza i postawiono za zasadę, że katolicy sami mają określić, jakie im prawa i wolności są niezbędne, aby swobodnie według swej religii żyć, pracować i umierać mogli i że państwo tylko wtedy ma prawo im tychże wolności i praw odmówić, jeżeli udowodnić może, że całości i ogólnemu dobru zaszkodzą. Pozostał był w prawie z roku 1891 zakaz zakładania placówek zakonnych. Na skargę z powodu tego wniesioną przez katolików został i on w roku 1897 usunięty, tylko Jezuitów jeszcze nie dopuszczono, ale jest i to tylko kwestyą czasu.

Gdy układano nową ustawę szkolną, rząd oświadczył, że wobec wyznaniowo-luterskich szkół państwowych i gminnych, katolicy dzieci tym szkołom powierzać nie mogą, stąd trzeba im zostawić wszelką swobodę w zakładaniu własnych szkół. I tak się stało. Biskup zakłada wyższe i niższe szkoły, prowadzi inspekcyę, wybiera nauczycieli świeckich lub zakonnych, a rodzice dzieci posyłanych do tych szkół są zwolnieni od wszelkich podatków na szkoły publiczne.

W nieobecności Wikaryusza zostało ułożone prawo dotyczące kremacyi zwłok. Znalazł się tam paragraf, który orzeka, że krewni obowiązani są kremacyi dokonać, jeżeli zmarły domagał się tego. Gdy rządowi potem zwrócono uwagę na to, że przepis ten mógłby katolików narażać na kolizyę z ich własnem sumieniem, został on podług życzenia katolików zmieniony.

Proboszcz katolicki jest zarazem urzędnikiem cywilnym

dla katolików i małżeństwa przed nim zawarte są także ważne wobec prawa cywilnego. Katolicy są wolni od wszelkich podatków na rzecz kościoła państwowego, ale za to sami ponoszą wszelkie koszta utrzymania instytucyi własnego wyznania.

Odbija ta wolność Kościoła katolickiegow Norwegii jaskrawo od położenia tegoż Kościoła w sąsiedniej Szwecyi, gdzie zwłaszcza w ostatnich czasach znowu rząd formalnie nad nim się znęca. Mówiliśmy o tem na innnem miejscu *Przeglądu;* od tego czasu położenie jeszcze się pogorszyło. Może kiedyś misyonarze z katolickiej Norwegii nawrócą luterską Szwecyę.

Widoki Kościoła katolickiego w Chinach.

Wobec przewrotów w Chinach, nieraz nasuwało się pytanie, jaki będzie w przyszłości los katolicyzmu w tym kraju? Za cesarstwa katolicyzm w Chinach bardzo ciężkie przechodził czasy, a stosunkowo mała liczba obecnych chrześcijan jest dowodem, że swobodny rozwój katolicyzmu dużo pozostawiał do życzenia. Dni cesarstwa się skończyły, ale nie wiedzieć jeszcze jaki kierunek nowy rząd obierze. Obecnie leżą losy Chin w rękach dwóch sprytnych bardzo ludzi, Juanszikaja, który lawirował między royalizmem i republikanizmem, i Sunjatsena, duszy rewolucyi i nowej rzeczypospolitej chińskiej. Juanszikaj ma opinię przyjaciela katolików i niejednokrotnie w ich obronie stawał. Dlatego może katolicy najchętniejby widzieli, gdyby się przy władzy i znaczeniu w Chinach na dłużej utrzymał. Trzeba się jednak liczyć z możliwością, że Sunjatsen, głowa rewolucyi, dostanie się do steru rządu. Wiadomo było, że Sunjatsen jest chrześcijaninem, a stąd pokładano w jego osobie pewne nadzieje dla przyszłości katolicyzmu w Chinach, w ostatnich jednak czasach przyniosły gazety wiadomość, że głowa rewolucyi jest protestantem i wolnomularzem, że z pomocą lóż europejskich ułożył cały plan rewolucyi i od nich otrzymał zasoby pieniężne dla wykonania planów. To zmienia sytuacyę. Pomimo jego zapewnień szerokiej tolerancyi, nie można wobec wspomnianego faktu pozbyć się obawy, że zwolennicy jego w Europie podyktują mu także program dalszej akcyi, który z pew-

nością od programu francuskiego i portugalskiego nie wiele różnić się będzie. Zresztą trudno przypuścić, aby człowiek, który kształcił się w Europie i tu z żywiołami wrogimi dla katolicyzmu się zaprzyjaźnił, żywił w sercu sympatye dla Kościoła. Mała liczba chrześcian w Chinach nie zmusi go także do liczenia się z nimi, zwłaszcza że po większej części należą do klas uboższych i niewykształconych.

Antykatolickie prądy w Bawaryi.

W Niemczech podali sobie dłonie wolnomyślni i socyaliści w celu wspólnej walki z katolicyzmem. Widzimy to oddawna w Badeńskiem, doświadczyliśmy tego przy ostatnich wyborach do parlamentu niemieckiego i nowym dowodem są ostatnie zajścia w Bawaryi. Tu zaszedł wypadek, który zmienił dotychczasowe zachowanie się rządu wobec centrum bawarskiego. Minister ruchu Frauendorfer okazywał względy socyalistom, które pobudziły centrum do ostrej krytyki jego polityki. Blok wolnomyślnych i socyalistów skorzystał z tego nieporozumienia i pobudził rząd do ostrzejszej jeszcze opozycyi. Parlament bawarski został rozwiązany i nowe wybory miały obalić potęgę centrowców. Agitacya użyła wszystkich środków, aby zapewnić większość blokowi. Wybory odbyły się 5 lutego. Centrum w ostatniej kadencyi miało 98 posłów i aby utrzymać się przy absolutnej większości głosów w parlamencie, trzeba mu było 82 mandaty pozyskać. Przy wyborach centrum uzyskało 83 mandaty a tem samem, chociaż 15 mandatów straciło, jeszcze reprezentuje nadal absolutną większość w parlamencie bawarskim. To znaczyło klęskę nietylko dla bloku, ale także dla rządu, który w aferze z ministrem Frauendorfem był się z nim solidaryzował przeciw centrum. Wniosek stąd dla rządu był jasny i jeszcze wieczorem w dniu wyborów cały gabinet podał się do dymisyi. Jest to sprawiedliwa kara dla rządu, który zawdzięcza swoją bardzo wydatną działalność w latach ostatnich pomocy i współdziałaniu centrum. Cała heca wyszła i tu na korzyść socyalistów, tak samo jak przy wyborach do parlamentu niemieckiego, bo zyskali 11 nowych mandatów. Trudno przypuścić, żeby małe owo nieporozumienie między rządem a centrum było jedyną

komety wynosi dwie i pół sekundy, jądro zaś samo równa się gwieździe 11-tej wielkości. Tymczasem kometa zbliżała się ku nam ustawicznie. Dnia 30-go lipca znalazła się w punkcie najbliższym słońca, w tak zwanym perihelium czyli punkcie przysłonecznym i wtedy oddaloną była od słońca o 103 miliony kilometrów. Do ziemi zbliżała się aż do 17-go sierpnia, w którym to dniu odległość jej od nas wynosiła tylko jedną piątą jednostki astronomicznej, to jest odległości ziemi od słońca, a więc dzieliło nas wówczas od komety „tylko" 31 milion kilometrów. To też i wielkość jej pozorna ustawicznie wzrasta. Następnie przeszła ku południowi przez Wieloryba, 12-go sierpnia przekroczyła równik, dwudziestego zaś znikła z oczu mieszkańcom naszych krajów, ukazując się na półkuli południowej. Siedmnastego sierpnia, a więc w chwili, gdy była najbliżej ziemi, wielkość jej wzrosła do 3,6, wyglądała więc jak wcale pokaźna gwiazda; — już jednak w październiku zmalała do 10-tej wielkości.

Jakkolwiek kometa Kiessa należała do bardzo trudnych objektów astronomicznych, przebywała ona bowiem ciągle blisko horyzontu, stąd niełatwo ją było obserwować, to przecież wiele się nią po całym świecie zajmowano, liczne też ogłaszano ciągle o niej spostrzeżenia. Badano metodami rozmaitemi, zarówno okiem uzbrojonem w teleskop, jak i spektroskopem i metodą fotograficzną. Tak n. p. na fotografii, zdjętej przez znanego astronoma Quénisseta, a naświetlanej przez 78 minut, widać z pośrodku warkocza wychodzący ogon, na pięć i pół stopnia długi. Wogóle jednak trudno było dostrzedz jasno uformowane jądro. Z wielokrotnych badań widma komety pokazuje się, że ważnym jej składnikiem chemicznym jest cyanek i inne związki węgla. Czy kometa Kiessa, jest identyczną z kometą z r. 1790, jak niektórzy z kształtu jej drogi podejrzywają, okażą dopiero dokładne rachunki.

Bezsprzecznie do najefektowniejszych zjawisk astronomicznych roku ubiegłego należy trzecia z rzędu kometa, 1911 c, kometa Brooksa. Pierwszy ujrzał ją znany astronom Brooks, w obserwatoryum w Stanach Zjednoczonych w Genewie dnia 20 lipca. Znajdowała się wtedy w konstelacyi Pegaza, tworząc z gwiazdą α i β tej konstelacyi trójkąt równoboczny. Wstępowanie proste wynosiło 22 godzin i przeszło 13 minut, zaś zboczenie północne prawie 21 stopni. Była ona wtedy zjawiskiem bardzo nikłem, bo dorównywała zaledwie gwiazdom 10-tej wielkości. Szybko jednak blask jej wzrastał, w miarę jak zmniejszała się przestrzeń, dzieląca ją od słońca i od ziemi. Z początkiem września widzieć ją już było można wygodnie gołem okiem, bo posia-

dała mniej, niż piątą wielkość, która wkrótce w połowie owego miesiąca zamieniła się na czwartą, zaś w początkach października doszła jej głowa do wielkości drugiej, ogon zaś rozwinął się wspaniale na 15 stopni. Szczególnie pięknie wyglądała na wschodniem niebie, w październiku, gdy przebywając wówczas już w konstelacyi Włosów Bereniki, zwycięsko współzawodniczyła z wąskim, srebrzystym sierpem księżyca i obok znajdującej się wspaniałej Jutrzenki. Najbliżej ziemi kometa Brooksa była dnia 17-go września, i wtedy jej odległość wynosiła 77 milionów kilometrów, podczas gdy od słońca dzieliło ją blisko 140 milionów kilometrów. Od 17-go września kometa od ziemi się oddala, zbliżając się jednak równocześnie do słońca. Ze zdjęć fotograficznych jej widma, dokonanych dnia 4, 5 i 6-go października przez prof. Belopolskiego w Pułkowie wynika, że prędkość jej radyalna, tj. w kierunku, w którym na nią patrzymy, wynosi 15 km na sek. 15-go października odległą jest od słońca na 86 milionów kilometrów, zaś od ziemi na 98 milionów kilometrów. Mimo to jednak, że odległość jej od ziemi rzeczywista rośnie, to przecież blask jej jeszcze czas jakiś się wzmagał, bliskość bowiem słońca wywołała w tej niezmiernie wiotkiej materyi gwałtowne zaburzenia natury termicznej i elektrycznej, co wpływa na wielkość głowy komety zarówno jak i przedewszystkiem na ogon. Według obliczeń Dr. Ebella, 28-go października kometa znajdowała się w punkcie przysłonecznym, czyli tak zwanem peryhelium, t. j. w punkcie swej drogi, najbliżej słońca położonym, — odległość ta wynosiła 73 miliony kilometrów, — poczem poszła dalej w wszechświat, by, jak obliczają astronomowie, nigdy już więcej do nas nie wrócić. — Jakgdyby hołdując modzie wielkich kapeluszy, na głowie komety dostrzedz można było w teleskopach dwie, fantastyczne jasne smugi, wychodzące zadzierzyście w stronę przeciwną ogona, sukni jednak nie miała wąskiej, owszem jak widać z fotografii, jaką zdjął wspomniany wyżej astronom Wolf 25-go sierpnia wieczorem, prócz szerokiego ogona spuszcza się z głowy jakgdyby płaszcz z najsubtelniejszej, złocistej gazy. Cały wygląd robi wrażenie całkiem stylowe, tylko głowa na fotografii nieco zaduża.

Jeszcze się jednak jedna w zmrok nie zapadła, aż oto druga na niebo się wkradła, jak to pięknie mówi Wyspiański. Dnia 31-go lipca rozniosły telegramy radosną wiadomość o odkryciu znowu nowej komety, więc 1911 d. Tym razem pierwszy ją dostrzegł Dr. Gonnessiat w obserwatoryum w Algiers (w francuskiej kolonii Algeryi), a znajdowała się ona wtedy nieco na południe od dwóch gwiazd bliźniaczych

Kastora i Polluxa. Kometa ta jednak to stara lub powiedzmy grzeczniej — dawna znajoma, która ma szczęśliwą, godną zaiste do pozazdroszczenia własność, że odmładza się co trzy lata i cztery miesiące. Jestto znana i niezmiernie wiele zainteresowania wzbudzająca w astronomii kometa peryodyczna Enckego, która nie jest zjawiskiem efemerycznem, jak tyle innych, lecz stale krążąc koło słońca po elipsie, zbliża się do niego na jedną trzecią część jednostki astronomicznej, to znaczy odległości ziemi od słońca, a oddala najwyżej na cztery jednostki, nam zaś ukazuje się stale co trzy lata i cztery miesiące. Poraz pierwszy zauważono ją na niebie w styczniu roku 1786, potem 1795, 1805, lecz dopiero zjawienie się jej w roku 1818 zwróciło szczególniejszą na nią uwagę. Wtedy bowiem stwierdzono jej wiek podeszły, że mianowicie jest ona identyczną z kometą z r. 1805, Encke zaś po bardzo uciążliwych, skomplikowanych rachunkach udowodnił, że jest to kometa peryodyczna, której całkowity obieg trwa mniej więcej 1200 dni. W nagrodę za wykrycie tego faktu, komecie dano nazwę Komety Enckego, który więc odtąd cieszy się pomnikiem, piękniejszym i sławniejszym od piramid egipskich i figur spiżowych.

Kometa Enckego budziła wielkie zainteresowanie nie dla swej wielkości, obecnie bowiem przy odkryciu dostrzegalną tylko była przy pomocy silnych teleskopów, gdyż blask jej zaledwie dziesiątej dosięgał wielkości, ale najpierw dlatego, że to jest kometa, mająca czas obiegu najkrótszy ze wszystkich peryodycznych komet, a dalej, że dostrzeżono u niej pewną ciekawą właściwość, której powód i dzisiaj jest nieznanym. Oto według dokładnych obliczeń czas obiegu tej komety koło słońca skraca się zawsze o blisko dwie i pół godziny, tak, że jeden obieg trwa o półtrzeciej godziny krócej, niż następny. Na wytłómaczenie tego faktu postawił Encke i Olbers teoryę, że przyczyną tego przyspieszenia jest bardzo subtelna materya, która rzekomo wypełnia cały wszechświat. Materya ta jest tak wiotka, że nie stawia dostrzegalnego oporu planetom, których masa jest wielka, natomiast wywiera silny wpływ hamujący na szybkość ciała tak subtelnego, jak kometa, której przeźroczystość większą jest od przeźroczystości powietrza. Że opór ten nie przedłuża raczej; lecz skraca czas obiegu komety koło słońca, pochodziłoby stąd, że zmniejsza on prędkość komety w kierunku stycznym do jej drogi, a wskutek tego siła grawitacyjna ściąga kometę ustawicznie ku słońcu i skraca tem samem wielkość elipsy, jaką kometa koło słońca opisuje.

Dalsze jednak spostrzeżenia nie potwierdziły tych wywodów,

a to głównie dlatego, że jak się pokazało, ten czas skrócenia peryodu komety nie jest stały, lecz ciągle maleje. Bardzo dokładne rachunki Backlunda, który przestudyował cały materyał doświadczalny od roku 1819 do 1891, pokazały, że przyspieszenie owo, czyli skrócenie okresu obiegu, było stałe tylko do roku 1858, potem zaś, przez dziesięć lat ubywało. Od roku 1871 aż do 1891 jest ono znowu stałe, ale wynosi już tylko dwie trzecie przyspieszenia, jakie było za czasów Enckego, a między rokiem 1904—1908 znowu się zmniejsza. Oczywiście takiej zmienności zapomocą działań owej materyi kosmicznej wytłómaczyć nie można, dlatego Backlund przypisuje te zmiany szybkości komety wpływowi roju meteorów, jakie kometa Enckego napotyka w pobliżu swego perihelium, to jest wtedy, gdy znajduje się najbliżej słońca. Kometa Enckego 1911 d dla oka nieuzbrojonego wogóle nie jest widzialną.

Na rok ubiegły oczekiwali astronomowie zjawienia się innej jeszcze komety peryodycznej, mianowicie komety Borelly'ego. Podczas jej ostatniej u nas wizyty, w roku 1905, astronom Fayet obliczył dokładnie jej tor i według jego rachunków miała ona być w perihelium to jest najbliżej słońca, 18-go grudnia. Oczywiście widzieć ją można było prędzej u nas, na północnej półkuli, lecz dopiero w grudniu i w styczniu i to zapomocą zwykłej lornetki teatralnej, gdyż do końca listopada przebywała ona na półkuli południowej. I rzeczywiście we wrześniu już dowiedział się świat naukowy, że dnia 19-go września odkrył kometę Borelly'ego astronom Knox Shaw, w obserwatoryum, w Helwan w Egipcie. Jej wstępowanie górne wynosiło wtedy (o godz. 15-tej minut 3) 3 g. 46 m 20 sek., zaś deklinacya południowa 32 stopnie 54 min. — Była ona wtedy maleńką gwiazdką zaledwie 13-ej wielkości, to też odkryto ją już nie okiem, uzbrojonem w teleskop, lecz zapomocą fotografii, zdjętej przez reflektor, o zwierciedle mającym blisko 80 cm. średnicy, ten sam, zapomocą którego nie tak dawno zdjęto pierwszą fotografię znanej nam wszystkim komety Halley'a. Później widziano kometę Borelly'ego, 1911 e, jeszcze dnia 20-go października w Tsingtau. Była ona wtedy gwiazdką małą, 10-ej wielkości, i nie miała ogona.

We wrześniu, 23-go dowiadujemy się znowu o nowej komecie, więc 1911 f. Odkrył ją znany astronom Quénisset, w Juvisy. Była to gwiazda 7 i pół licząca wielkości, położona wysoko na niebie, bo w konstelacyi Małego Niedźwiedzia (14 g. 37 m. wstępowanie proste, 73 stopni, 40 m. północne zboczenie). Kometa ta, znacznie większa

od poprzedniej, stała się przedmiotem wielu badań i obserwacyi. Na fotografiach, które czynił Quenisset i Baldet już dnia 23-go września, naświetlając kliszę przez 34 minut, widać okrągłą głowę komety i ślady ogona. W następnym dniu warunki były pomyślniejsze i można było eksponować kliszę przeszło dwie godziny. Wtedy już i kometa się nieco rozrosła, ogon jej miał jeden stopień długości, a więc dwa razy był pozornie dłuższy, niż średnica księżyca, a wielkość pozorna komety podskoczyła o jeden stopień, bo dosięgała 6,5, —bardzo więc bystre oko nawet nie uzbrojone we szkła, mogło ją na niebie dostrzedz. Kometa posuwała się następnie ciągle prawie prostopadle ku południowi, zbliżając się do słońca, aż do 12 listopada, na który to dzień przypada jej perihelium. Największą jasność (mniej więcej koło półsiodma) dosięga w połowie października, poczem ustawicznie maleje, i w chwili gdy jest najbliżej słońca, sięga tylko już siódmej wielkości, a więc dla oka jest niewidzialną. Zresztą trudno ją było wtedy na północnej półkuli obserwować i zapomocą teleskopów, gdyż jej zboczenie północne, to jest oddalenie od równika, wynosi wtedy koło cztery stopni, a więc blisko już jest u nas horyzontu, gdzie warunki atmosferyczne są bardzo dla badań astronomicznych niepomyślne. Dodać jeszcze trzeba, że fotografowana w chwili, gdy była najjaśniejszą, między innymi przez Dr. Archenholda, ukazuje swój ogon na 3 stopnie długi. Wogóle dla zwykłego śmiertelnika, który gołemi tylko oczyma na niebo spoglądać może, kometa ta nie przedstawia, jak widzimy, większego interesu. Inaczej natomiast siódma z rzędu kometa, a więc 1911 g.

Odkrył ją 28 września Bielawski (w obserwatoryum w Simeis na Krymie) w konstelacyi Lwa (wstęp. proste 10 g. 43 m., zboczenie półn. 8^0 15'), gdzie świeciła jasnym blaskiem gwiazdy trzeciej wielkości. W parę dni później obserwowano ją gołem okiem w Anglii, np. w Greenwich 2-go października rano o wpół do piątej, przyczem widać było, że ogon jej, na dwa stopnie długi, więc czterokrotnie przewyższający pozorną średnicę księżyca, był zagięty i wachlarzowato rozpostarty. W miarę, jak kometa ta zbliża się do słońca i do ziemi, blask i ogon jej rośnie, toteż z początkiem października w chwili największej swej świetności, dosięga wielkości drugiej, podczas gdy jądro jej oceniają na trzecią wielkość, a ogon, widzialny okiem, na 3 stopnie. Na rysunku, jaki Dr. Archenhold sporządził według obserwacyi w słabym teleskopie, („Weltall", XII, 1), ogon ten rozpościera się szeroko, wychodząc z głowy najpierw ku górze,

jak ślubny welon, a ma długości 20 stopni. — 10-go października stoi kometa Bielawskiego najbliżej słońca, od którego odległą była na 45 milionów kilometrów, przyczem od ziemi oddziela ją wówczas 47 milionów kilometrów. Przeszedłszy przez Wagę i Skorpiona, poszła sobie na południową półkulę niebios, a oddalając się ustawicznie od ziemi, niknie dla oka.

Ósmą wreszcie kometę zoczył astronom Schaumasse w Nicei, a była ona wtedy gwiazdką niedostępną nawet dla najbystrzejszego oka, bo dwunastej wielkości. Znajdowała się w chwili odkrycia w konstelacyi Panny (wstępowanie górne 13 g. 19 min. 17,6 sek, a zboczenie północne 5 51') i poruszała się następnie w kierunku południowo-wschodnim, przez Węża, Herkulesa do Orła, nad którego największą gwiazdą Altairem stanie tuż, bo tylko o trzy stopnie na północ (a więc o 6 średnic pozornych księżyca), dnia 9-go marca 1912. Będzie więc wschodzić wczas rano, u nas koło drugiej po północy. Jednak pociechy nam nie przyniesie, gdyż nigdy nawet w najpomyślniejszym czasie (z początkiem lutego) nie przekroczy wielkości nawet dziesiątej.

Czy to coś bardzo nadzwyczajnego ośm komet na niebie w jednym roku? — zapyta ktoś może. By na to odpowiedzieć, najpierw zwrócić musimy uwagę, że z tych ośmiu ciał niebieskich dwa tylko lub trzy właściwie widzialne były gołem okiem, inne są to tak zwane komety teleskopowe, które dostrzedz można tylko przy pomocy teleskopów. Otóż prawdą jest, że od czasów narodzenia Chrystusa kroniki zanotowały zjawienie się 500 komet, przyczem najwięcej ich było w wieku dziewiątym (42 komety), najmniej zaś w wieku siedmnastym (dwanaście), a więc średnio przypada jedna kometa widzialna okiem nieuzbrojonem na cztery lata. Prócz tych jednak komet zauważono od pierwszych czasów wynalezienia teleskopu, a więc od samego początku wieku siedmnastego, około 350 komet teleskopicznych. W naszych jednak czasach, gdy liczba obserwatoryów i astronomów fachowych i amatorów coraz bardziej wzrasta, nie mija jeden rok, by ich nie odkryto kilka, sześć lub siedm. Głównie zaś polują na nie szczęśliwie obserwatorowie amerykańscy, gdzie pod opieką bogatych i szerzej patrzących obywateli wszystkie nauki doświadczalne, a między niemi i astronomia, niezmierne czynią postępy. A więc możemy się uspokoić — dotychczas w zegarze wszechświata ani też w mechaniźmie jednej jego cząstki, jaką jest nasz system słoneczny,

nic się nie popsuło i da Bóg, za naszej tu obecności nie popsuje, możemy więc ze spokojem podziwiać te przepyszne zjawiska, jakie przemykają przez firmament. I gdybyśmy częściej, idąc za radą Kanta, podnosili głowy ku górze i biegli oczyma za tymi milionami światów, w postaci świetlanych punktów migających wśród ciemności, lepiejbyśmy może potrafili ocenić i sprawy nasze i stanowisko człowieka w przyrodzie i jego w niej zadanie. Bo czyż jest coś piękniejszego i bardziej godnego człowieka nad badanie tej niezgłębionej, wcielonej zagadki matematycznej, jaką jest wszechświat?

Jest — odpowiedzmy jeszcze raz z Kantem — dusza ludzka.

* * *

Stosunek elektryczności do światła stanowi zawsze jeden z najponętniejszych rozdziałów nowszej fizyki. To też każdy nowy, chociażby drobny fakt z tej dziedziny, wzbudzić może zainteresowanie.

Jak wiadomo, dziś w nauce powszechnie panuje teorya elektromagnetyczna światła, wypracowana przez genialnego Maxwella, a dotychczas świetnie stwierdzana rozmaitymi faktami doświadczalnymi, chociaż z powodu odkrytych później zjawisk promieniotwórczych, nieco zmodyfikowana. Faktów takich znamy kilka, jak np. prawo, że między prędkością, z jaką światło rozchodzi się w niektórych ośrodkach, będących złymi przewodnikami elektryczności a ich pewną własnością elektryczną, zwaną stałą dyaelektryczną, zachodzi ścisły związek, dalej znane chyba wszystkim, interesującym się zjawiskami przyrody, tak zwane zjawisko Zeemanna, w którym bezpośrednio łapiemy niejako na gorącym uczynku działanie pola elektro-magnetycznego na światło. Tu mianowicie widzimy, że cząstki ciała świecącego, są naładowane elektrycznie, gdy bowiem ciało takie poddamy działaniu pola magnetycznego, to zmienia się rozmaicie szybkość drgania tych cząstek, i odpowiednio do tego zmienia się także i widmo światła przez nie wysyłanego.

Prócz zjawisk powyższych znane było w nauce a nawet i praktycznie szeroko już stosowane inne jeszcze, gdzie znowu bezpośrednio widoczny jest wpływ światła na własności elektryczne ciała. Istnieje odkryty jeszcze w r. 1817 przez sławnego chemika Berzeliusza pewien pierwiastek, który kapryśnemi swemi właściwościami, zdradzającemi skomplikowaną jego naturę, wiele sprawia zainteresowania. Jest to selen, tak nazwany przez Berzeliusza od greckiego selene, księżyc, na oznaczenie pokrewieństwa tego pierwiastka z innym, zwanym telurem —

od telus ziemia. Otóż ten selen, odznaczający się między innemi i tem, że istnieje aż w trzech tak zwanych allotropicznych postaciach (niektórzy podają ich nawet więcej), oddawna obudzał zainteresowanie jeszcze inną własnością. Jego odmiana metaliczna mianowicie jest dobrym przewodnikiem elektryczności, jak to na metal przystało, tem jednak różni się od innych ciał metalicznych, że to jego przewodnictwo elektryczne jest zmienne. Mianowicie jeśli selen metaliczny obrzucimy promieniami świetlnymi, to staje się lepszym przewodnikiem, a im światło nań działające jest silniejsze, tem też i opór, jaki stawia selen przejściu prądu elektrycznego, słabnie, tem ciało to staje się lepszym dla elektryczności przewodnikiem. Z tej jego własności skorzystano w elektrotechnice już dawno, mianowicie na niej opiera się zasada przyrządu do przesyłania obrazów zapomocą elektryczności, jak to swego czasu opisywaliśmy.

Jak sobie przedstawić mechanizm, wedle którego oddziaływa światło na własności elektryczne selenu, tego zupełnie nie wiemy. Naprzód rozwiązaćby należało pytanie, czy ten wpływ światła zachodzi tylko u selenu, czy też jest ogólniejszą własnością wszystkich lub większej liczby ciał. Na pytanie to właśnie niezmiernie interesujące odpowiedzią niejako jest świeżo odkryty przez F. W. Batesa na uniwersytecie w Montreal zjawisko, że podobnie jak selen, zachowuje się pod wpływem światła także i siarka, która zresztą i pod względem innych własności chemicznych, np. istnienia form allotropicznych, podobną jest do selenu. Przekonał się mianowicie ten fizyk, że siarka naświetlana przewodzi elektryczność, a przewodnictwo to rośnie w miarę natężenia światła. Zjawisko podobne znalazł Bates także i u ebonitu, a więc u substancyi pod względem chemicznym bardzo złożonej. Zachodzi więc przypuszczenie, że odpowiedź na wyżej postawione pytanie wypadnie twierdząco, że mianowicie światło oddziaływa na zachowanie się ciał względem zjawisk elektrycznych. O ile znajomość tego prawa wpłynie na nasze poglądy na elektryczność, lub odsłoni przed nami nowe pola, dziś nic orzec niemożna. To tylko pewna, że przyroda bez porównania więcej przed nami kryje, niż jej zdołaliśmy już wydrzeć, a teren tej wałki między nią a nami nie ma, praktycznie mówiąc, granic.

* * *

Rok ubiegły stanowi prawdziwą epokę „w rozwoju cywilizacyjnym“ ludzkości. Oto w tym roku poraz pierwszy człowiek, przy-

prawiwszy sobie poprzednio skrzydła w postaci aeroplanu, pokazał, że umie być drapieżcą nietylko na lądzie i morzu, ale także i w powietrzu. Ku wielkiemu tryumfowi nowoczesnej techniki, użyto w roku ubiegłym poraz pierwszy mono- i biplanów do akcyi wojennej. Erę czwartej armii zapoczątkował świat nowy, Meksyk, gdzie w lutym podczas rewolucyi, niejaki pan Hamilton przeleciał dwa razy na swym biplanie ponad oblężonem przez rewolucyonistów miastem Ciudad-Juarez i powrócił do Ameryki, przynosząc ze sobą opis stanu miasta, jak go własnemi widział oczyma. Inny znowu lotnik w tejże samej wojnie przebył na monoplanie systemu Antoinette przestrzeń 40 mil angielskich wynoszącą pomiędzy San Diego a Juana, niosąc posłannictwo do amerykańskiej kawaleryi, strzegącej granicy od przejścia przez nią powstańców. Ale bezpośredni udział w walce wzięły aeroplany dopiero w wojnie włosko-tureckiej w Trypolisie, gdzie nietylko pełniły z pożytkiem dla armii włoskiej służbę wywiadowczą, ale nadto usiłowały przez wyrzucanie z góry pocisków, razić nieprzygotowanego na taki atak nieprzyjaciela.

Obie te próby, tak meksykańska jak i włoska wykazały, że rozwój żeglugi powietrznej na aeroplanach dosięgnął już znacznych wyżyn, i że aeroplany stanowić mogą rzeczywiście czynnik ważny w operacyach wojennych. Stwierdzenie tego faktu odbije się silnie na dzisiejszej taktyce wojennej, z drugiej jednak strony także i w dalszem udoskonaleniu żeglugi powietrznej stanowić będzie epokę. Doświadczenia bowiem i próby z aeroplanami wymagają wiele pieniędzy i gotowych na wszystko ludzi, a tych wojsku nigdy dzisiaj nie zabraknie. Nie jest to żadną przesadą, lecz codziennem doświadczeniem stwierdzonym faktem, że dziś łatwiej ministrom wojny otrzymać od ludowych parlamentów milion, niż ministrom innym na cele oświaty lub gospodarcze setkę.

Jak bardzo sfery wojskowe zainteresowały się powietrzną żeglugą, przekonać się można było podczas zeszłorocznych wielkich manewrów we Francyi i Niemczech. Aeroplany odbywały tam służbę wywiadowczą z niebywałym skutkiem, tak, że np. w niemieckiej armii pod Mecklenburgiem wydarzyło się raz, że zaraz wczesnym rankiem obie walczące strony posiadały dokładny obraz planów przeciwnika. W armii francuskiej podczas głównych ćwiczeń było czynnych 44 aeroplanów, uganiających po powietrzu od rana do późnego wieczora, wśród przeróżnych zmian pogody i wiatru, a oddawały usługi takie, że sławny strategik francuski, pułkownik Bernard, wydał następu-

jące orzeczenie: „dwie baterye artyleryi i jeden aeroplan są pięć razy groźniejsze od trzech bateryi pozbawionych aeroplanu".

Nic też dziwnego, że wszystkie większe mocarstwa rzucają się teraz gwałtownie do budowania aeroplanów i tworzenia odpowiednich oddziałów wojskowych, a Francya, stojąca na czele tego ruchu, obiecuje sobie, że z końcem roku 1914-go będzie posiadała 1000 aeroplanów wojskowych i tyluż wyszkolonych lotników. Naturalnie odbić się to musi i na kieszeniach wyborców. I tak Niemcy zawotowały na aeroplany na rok bieżący półtora miliona marek, Francya zaś szesnaście milionów, podczas gdy w roku ubiegłym tylko dwa miliony, a nawet i Rosya otworzyła przed swymi przedsiębiorcami i dostawcami nowe „pole działania", gdyż uchwaliła zakupić 300 aeroplanów. Także i liberalny rząd angielski pod naciskiem parlamentarnego Aerial Defence Commitee zażądał kredytu na żeglugę powietrzną 113 tysięcy funtów (przeszło dwa miliony siedmset tysięcy koron), z tego jednak tylko część przeznaczona będzie na same aeroplany, gdyż 28 tysięcy funtów obrócono na zbudowanie szop dla balonów do kierowania. — Włochy (13 aeroplanów), Stany Zjednoczone, Japonia, i inne państwa biegną razem z powyższymi w zawody i tak nagle tworzy się potężna flota powietrzna — szczęściem że bez porównania mniej kosztowna od morskiej, gdyż jak obliczają, za jeden dreadnought kupić można dwa tysiące aeroplanów.

Tymczasem i lotnictwo „cywilne" dalej pomyślnie się rozwija. Nagrody, które lotnicy zdobyli w roku 1911-ym, doszły do pięciu milionów koron, a wśród nich lwia część z tego przypadła najsławniejszemu z nich Beaumontowi (Conneau), który był zwycięzcą podczas jazdy okrężnej europejskiej, dalej w konkursie rozpisanym przez redakcyę dziennika Daily Mail, w którym 1,010 mil angielskich przebył w 22 godzinach, 28 minutach i 42 sekundach i wygrał 240 tysięcy koron i w locie między Rzymem, Paryżem i Turynem. Wogóle dla lotnictwa rok ubiegły był pod każdym względem rokiem rekordów, przewyższono w nim bowiem wszystko, czego dawniej lotnicy dokonali. Dla przekonania się, jak gwałtowne są te postępy, przytoczymy kilka ważniejszych cyfr.

I tak co do wysokości, do jakiej wzbił się lotnik, otrzymano następujące najwyższe rezultaty:

Rok 1908 Wilburt Wright na dwupłaszczyznowcu 328 stóp (stopa angielska wynosi 30.48 cm.).

Rok 1909 Paulhan (dwupłaszcz.) 1,558 stóp.

Rok 1910 Hoxsey (dwupłaszcz.) 11,474 stóp.

1911 Garros (jednopłaszcz.) 13,947 stóp,

więc w ciągu lat czterech wzmógł się rekord o 13,691 stóp czyli około cztery i pół tysiąca metrów! W odpowiednim stosunku wzmogła się także i zdolność przebywania dłuższy czas w powietrzu, jak to widzimy z następujących cyfr:

Najdłuższy lot jednym cięgiem trwał:

W r. 1908 2 godz. 20 min. 23 sek., a odbył go Wilburt Wright na dwupłaszczyznowcu.

W r. 1909 4 godz. 17 minut 53 sek., (Farman, na dwupłaszcz.).

R. 1910 8 godz. 12 min. (również Farman na dwupłaszcz.).

R. 1911 11 godz. 1 min. 29 sek. (Fourny na dwupłaszcz.). Tryumf to więc ogromny i prawdziwie nieprzewidywany — niedawno bowiem temu, przed laty czterema, najwybitniejsi fachowcy utrzymywali, że aeroplan nigdy nie zdoła dłużej nad trzy godziny utrzymać się w powietrzu — dziś zaś widzieliśmy, że podróż trwała przeszło 11 godzin!

Ze wzrostem zdolności utrzymywania się długo w powietrzu zwiększać się też oczywiście będzie i przestrzeń za jednym przebyta lotem, bez zstępowania na ziemię. Mamy więc odpowiednio:

W r. 1908 najdalszą przestrzeń przebył Wilburt Wright (2 płaszcz.) 77.6 mil.

R. 1909 Farman (dwupłaszcz.) 144.5 mil.

R. 1910 Tabuteau (dwupłaszcz.) 365 mil.

1911 Gobe (jednopłaszczyznowiec) 462 mil. Cyfry tu notowane są w milach angielskich, a jak wiadomo, jedna mila taka wynosi mało co więcej ponad półtora kilometra.

Ciekawe i właśnie dla celów wojskowych szczególnie ważne wyniki otrzymano ze wzlotami, w których prócz lotnika na aeroplanie znajdowała się jeszcze jedna osoba. Takie loty jednorazowe trwały najdłużej:

W r. 1909 (Wilburt Wright, dwupł.) 1 g. 35 min. 47 sek.

1910 Cammerman (dwupł.) 4 g. 5 min.

1911 Suvelack (jednopł.) 4 g. 33 min.

Z innych rekordów zaznaczyć jeszcze trzeba, że Breguet powiózł na dwupłaszczyznowcu 11 osób naraz o trzy mile, że kanał, dzielący Anglię od Francyi, przebyto 28 razy (do końca r. 1910 tylko 7 razy) i że do lotnictwa zabierają się też na dobre i panie, z których jedna przybyła 160 mil w ciągu 2 godzin 58 minut. Na

szczególną wzmiankę zasługuje też lot adjutanta francuskiego Reau, który 19-go września wzbił się na aeroplanie z Paryża ku granicy wschodniej, unosząc ze sobą ośmiu pasażerów i nadto dwa tysiące kilogramów bagażów. Obładowany takim ciężarem aeroplan przebył z łatwością przestrzeń 917 kilometrów 400 metrów w ciągu 21 godzin 20 min. 50 sek. Także i prędkość średnia aeroplanów wzrosła, a w roku ubiegłym zdobył rekord pod tym względem lotnik Nieupoert, który na jednopłaszczyznowcu przebiegł w godzinie 82 i pół mili angielskiej czyli koło 130 kilometrów.

Tak więc rok 1911 stanowi świetne ogniwo w łańcuchu heroicznych usiłowań, by dozwolić człowiekowi, choć na krótką chwilę, wzbić się ponad skorupę ziemską, do której go siła ciężkości przytwierdza i by także powietrze zagarnąć pod swą władzę. Ale tryumf ten, jak wogóle wszelkie wielkie zwycięstwa, drogo przyszło okupić. Bo rok ubiegły święci swój rekord także i co do wypadków śmiertelnych, jakim ulegli lotnicy-pionierzy. Podczas gdy do końca roku 1910-go kroniki lotnictwa notowały 33 takie wypadki, to w samym roku 1911-ym było ich 74! Pomiędzy zabitymi było 27 Francuzów, w tem 11 wojskowych i jedna kobieta, a także wspomniany wyżej znakomity lotnik Nieupoert, 6 Anglików, 13 Niemców, i 12 Amerykanów. Co prawda i liczba lotników znacznie wzrosła, i podczas gdy przy końcu roku 1910-go było lotników urzędowym certyfikatem zaopatrzonych w czterech najważniejszych państwach, t. j. Anglii (45), Francyi (345), Ameryce (19) i Niemczech (23) razem 432, to przy końcu roku zeszłego dobiega już tysiąca, bo jest ich 971, a pomiędzy nimi 9 kobiet. W każdym razie procent wypadków fatalnych jest olbrzymi, bo koło ośm na sto; jednak trzeba przyznać z przykrością, że w wielu wypadkach winę przypisać należy samym lotnikom, którzy bądź ulegając nieroztropnej brawurze, bądź, jak w trzech wypadkach, żądnemu wrażeń tłumowi, zuchwale puścili się w powietrze wśród najniepomyślniejszych warunków i narazili się na niechybną zgubę. Dość powiedzieć, że jeden z lotników który zginął na morzu bez wieści, wyprawił się na aeroplanie z wybrzeża nad morze, by wylądować na małej wysepce, odległej o przeszło sto mil, bez żadnych środków znalezienia drogi. W kilku natomiast wypadkach przyczyną katastrofy było pęknięcie naczynia zawierającego benzynę, w innych uderzenia gwałtownego wiatru, które aeroplan przewróciło.

Biorąc jednak na uwagę, ogromną liczbę wzlotów dokonanych

i to często wzlotów niezmiernie wysokich i dalekich, wśród warunków bardzo ciężkich, bo nieraz wśród wichru pędzącego z szybkością 40 kilometrów na godzinę, a dalej odliczając znaczny bardzo procent wypadków śmiertelnych na rachunek nieroztropności lotników, przyznać trzeba, że jazda powietrzna jest już dzisiaj, w normalnych warunkach, wcale bezpieczną i udoskonaloną. Do tak znakomitego rezultatu doprowadziły doświadczenia bogate lat poprzednich, dalej konkurencya między fabrykami, które rozporządzają już obecnie inżynierami doskonale z teoryą i praktyką aeroplanu obznajomionymi i usiłowania jednostek i stowarzyszeń lotniczych, których w Europie istnieje już dwadzieścia sześć. Co do formy aeroplanów, to rok ostatni nie może się poszczycić żadnym wynalazkiem zupełnie nowym, natomiast fabryki, poznawszy najsłabsze i najbardziej narażone części aeroplanów, przez drobne napozór ulepszenia i przez stosowanie odpowiedniego materyału, uczyniły z aeroplanu wcale wygodny i stosunkowo bezpieczny środek lokomocyi. Walka między jedno- i dwupłaszczyznowcem dotąd nierozstrzygnięta i obie formy aeroplanu mają gorących zwolenników i dzielnych przedstawicieli, a fabryki jednego i drugiego typu dalej udoskonalają dawniejsze i wypróbowane modele. Rzeczy natomiast istotnie nowych niema, a i hydroaeroplan zbudowany w Ameryce, z którym Glenn Curtiss dokonał 27-go stycznia szeregu pomyślnych doświadczeń, wznosząc się w powietrze wprost z wody i zstępując bezpiecznie z góry na wodę, polega na znanych już urządzeniach.

Praktycznego zastosowania, prócz do celów wojskowych, gdzie mniej się rachują z bezpieczeństwem jednostki, byle dla całej armii osiągnąć korzyści, aeroplany nie znalazły. Funkcyonowała wprawdzie w Anglii „Poczta nadpowietrzna“ przez tydzień, od 7-go września, między Hendon i Windsor, która przeniosła koło 100 tysięcy kart pocztowych i listów, ale chodziło tu więcej o zabawę, dosyć zresztą kosztowną, bo za list posłany w ten sposób płaciło się koronę 30 hal., za kartkę połowę tego. Natomiast jako sport, stosunkowo nie drogi, znajduje jazda na aeroplanach coraz więcej zastosowania, i liczbę wszystkich lotników na świecie oceniają fachowi znawcy na sześć tysięcy.

U nas w Polsce żegluga powietrzna mało bardzo znana. Ciężka walka o byt przykuwa nas mocno do tej biednej, drogiej naszej ziemi, którą ze wszystkich stron usiłują nam z pod nóg wydrzeć.

Może jednak niedługo przyjdzie dzień, kiedy nasi wydziedziczeni

zerwą się do lotu jak spłoszone ptaki, a ulatując za oceany ponad tą krainą, która niegdyś była naszą, przypominać sobie będą ze łzami spełnienie strasznego proroctwa Skargi. Może jednak tymczasem właśnie z góry przyjdzie nam pomoc? Wzbijajmy się do owej chwili przynajmniej duchem, krzepiąc go tą nadpowietrzną wizyą...

Ks. F. Hortyński.

W odpowiedzi p. Sobieskiemu.

Wybierałem się właśnie na kilka tygodni za Kraków, gdy doniesiono mi, że w najnowszym numerze „*Nowej Reformy*" zaczyna p. Sobieski seryę artykułów, w której reaguje na moje zarzuty, skierowane przeciw słynnemu jego wynalazkowi o zerwaniu sejmu 1606 r. przez Skargę. Przyznam się, że brałem do ręki numer *Nowej Reformy* z pewną wątpliwością, czy nie trzeba będzie odłożyć wyjazd na kilka dni, a przez ten czas zaglądnąć ponownie do bibliotek i archiwów. Po kilku jednak minutach wiedziałem już, że mogę jechać spokojnie. Dlaczego — stanie się jasnem w dalszym ciągu.

Dla uprzytomnienia sprawy przypominam, że wbrew p. Sobieskiemu twierdziłem, iż nie można mówić o zerwaniu sejmu 1606 r. przez Skargę, bo, najpierw, sejm 1606 r. nie był wcale zerwany, — bo, powtóre, to, co zawichrzyło koniec tego sejmu, to nie był projekt wyznaniowy, na którego losy wpływał Skarga, ale coś zgoła innego. Z temi dwu kwestyami naczelnemi łączyło się kilka kwestyj drugorzędnych, jak ta, naprzykład, do jakiej daty odnieść należy przezwisko rzucone na Skargę — lub ta, co sądzić o zapisce kronikarskiej Wielewickiego, na której osnuta jest „noc jezuicka".

Jakżeż z tem wszystkiem poczyna sobie p. Sobieski?

Co do pierwszej kwestyi, czy sejm 1606 r. był zerwany czy nie — to stwierdźmy najpierw, z chlubą dla p. Sobieskiego, że postąpił o krok naprzód. Podczas, gdy w swej książce „Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III", uważa ten sejm bez żadnej restrykcyi za zerwany — w obecnym artykule *Nowej Reformy* już twierdzi, że jedna część narodu z królem na czele uważa ten sejm za legalnie i zgodnie zamknięty, druga zaś część narodu również nie patrzy na sejm, jako na bezwzględnie zerwany, uważa jed-

nak „rzekome zawarcie sejmu za bezprawne, za dokonane *contra iura et consuetudines* i sejm cały za zniweczony i nieobowiązujący"; faktycznie rzeczy biorąc, takie pojęcie drugiej tej części narodu od pojęcia o zerwaniu sejmu różnem byłoby pod względem formalistyki legalnej. Przyznanie to obecne p. Sobieskiego otoczone jest całą siecią restrykcyj, do których w dalszym ciągu wrócimy; faktem jest jednak, że to przyznanie jest i że to przyznanie ma dla tej kwestyi swoje znaczenie. Jeżeli bowiem p. Sobieski przyznaje, że istotna oznaka sejmu zgodnie zawartego, jaką jest uniwersał poborowy, istnieje, jeżeli nadto stwierdza, że część narodu z królem uważa ten sejm za zgodnie zawarty, druga zaś część nie za zerwany, ale za bezprawnie zawarty, to już sejmu tego żadną miarą zerwanym nazwać nie może.

Spróbujmy teraz postąpić krok dalej, w ten sposób, że restrykcye p. Sobieskiego powoli, jednę po drugiej, usuwać będziemy.

Najłatwiejszą do usunięcia jest restrykcya, dzieląca opinię ówczesną narodu, co do poglądu na ten sejm, na dwa obozy tak, że na drugi obóz, uważający ten sejm za bezprawnie zawarty, składają się zdaniem p. Sobieskiego, „rokoszanie i przeważna część szlachty". Rokoszanie, tak — ale „przeważna część szlachty"? Dowodu na to twierdzenie nie przytacza p. Sobieski żadnego. Z historyografii zaś nam wiadomo, że na obóz ten składają się tylko rokoszanie i nieliczni posłowie, stojący, o ile z przebiegu sejmu wnioskować można, pod wpływem stronników Zebrzydowskiego. Dopóki zatem nie przytoczy p. Sobieski jakiegoś dowodu na to swoje twierdzenie, że na ten obóz składa się prócz rokoszan „przeważna część szlachty", musimy za historyografią twierdzić, że obóz ten składa się tylko z rokoszan i z nielicznych ich sympatyków.

Przechodząc do kwestyi tych rokoszan, poświęćmy chwilkę uwagi pewnym metodom p. Sobieskiego, które o tyle tylko można nazwać historycznemi, że warto je przekazać historyi. Otóż, p. Sobieski, wspomniawszy jednem słowem o znalezionym przezemnie w archiwum krajowem uniwersale poborowym, uniwersale, który dla całej tej kwestyi jest decydującym, usiłuje znaczenie tego uniwersału zarzucić odrazu świadectwami rokoszan, protestujących przeciw temu uniwersałowi — a usiłowanie to skierowuje przeciw mnie ubocznie w ten sposób, jakgdyby protesty te były dla mnie rzeczą nieznaną, jakgdybym się z przerażeniem znalazł przed rewelacyami, burzącemi cały mój wywód. Co sobie o tem wszystkiem

pomyślą czytelnicy *Nowej Reformy*, to ich rzecz — czytelnicy jednak *Czasu* pamiętają, że o protestach rokoszan przeciw temu uniwersałowi pisałem wyraźnie. Pisałem, że „rokoszanie przeciw temu uniwersałowi występowali", że „pogłoska o zerwaniu tego sejmu będzie miała swoje źródło w relacyach, pochodzących od partyi rokoszowej Zebrzydowskiego". Pisałem także, o czem nie wspomina nic p. Sobieski, że „są ślady, iż rokoszanie uniwersał ten niszczyli". Pisałem wreszcie, że król przeciw tym protestom rokoszan występuje, jako przeciw pogwałceniu „ustawy sejmowej". O tem wszystkiem p. Sobieski milczy, ażeby tem łatwiej ważyć się na zarzut ignorancyi. Takimi efektownymi środkami walczy p. Sobieski. Najciekawszą jest uwaga p. Sobieskiego, że powinienem był skrzętniej rozglądnąć się w archiwum. Daruje p. Sobieski — ale drogę do archiwum krajowego ja jemu pokazałem. Faktycznie zaś sprawa przedstawia się tak, że w archiwum krajowem jest tak nieznaczna ilość kartek konstytucyjnych, odnoszących się do 1606 r., że kto za jedną szuka, musi mimo woli wszystkie przeglądnąć. Ponieważ, ponadto, archiwum to urządzone jest po europejsku, więc każda kartka podaje istotną treść dokumentu tak, że każdy, szukający za jakąś kwestyą, wie odrazu, którego dokumentu ma zażądać. Stąd też przytoczone przez p. Sobieskiego protesty rokoszowe nie były dla mnie żadną nowością; wiedziałem o nich z kartek konstytucyjnych w archiwum, wiedziałem też o nich przed kartkami skądinąd. W archiwum szukałem jedynie za rzeczami dla mnie nieznanymi, któreby dowodziły prawomocności sejmu. Przyznaję jednak chętnie, że gdybym pisał obszerniejszą monografię o tych czasach, coś w rodzaju „Nienawiści wyznaniowej tłumów za rządów Zygmunta III", to już nie pominięcie ale niedbałość w gruntownem przetrząśnięciu archiwum krajowego w Krakowie poczytywałbym sobie za wielką winę.

Wracając do protestów rokoszan przeciw uniwersałowi poborowemu, nie będziemy szukali ich genezy w tem, że rozszerzanie pogłosek o zerwaniu sejmu było rokoszanom na rękę, bo mąciło i podniecało opinię publiczną, bo również ułatwiało im ściąganie poboru do własnej kieszeni. Tak było w rzeczywistości, ale to nie tłumaczy jeszcze wszystkiego. Klucz do rozwiązania sprzeczności, jaka istnieje między protestami rokoszan a prawomocnością sejmu, leży w kontekście uniwersału poborowego. Na to wyraźnie wskazaliśmy, zostawiając historykom dalsze roztrząsanie tej kwestyi; p. Sobieski jednak nie raczył uwzględnić tej uwagi.

Kwestya nie przedstawia się tak, jak ją sobie ułatwił p. Sobieski, że z jednej strony leży suchy uniwersał poborowy, z drugiej zaś strony żywe świadectwo pewnych posłów, przeczące faktowi jednozgodności na ten uniwersał. W uniwersale poborowym, prócz taksy poborowej jest jeszcze wstęp, w którym król przed całą Rzeczpospolitą stwierdza w jasnych słowach jednozgodność uchwały poborowej. Wobec tak postawionej kwestyi, p. Sobieski, stwierdzający istnienie tych dwóch sprzecznych świadectw, w ten sposób, że przechyla się ku świadectwu rokoszan, nie idzie racyonalną drogą. Bo, jeżeli się decyduje już na postawienie tych wcale nierównorzędnych sobie świadectw na jednej linii i na przeciwstawienie ich sobie, to staje wtedy przed następującą alternatywą: ktoś skłamał — albo król w dokumencie urzędowym, reprezentującym wolę Rzeczypospolitej — albo rokoszanie w swoich protestach. Jak długo ta alternatywa stoi, jest błędem logicznym i metodycznym przechylać się ku świadectwu rokoszan, bo tak świadectwo rokoszan jak świadectwo im przeciwne zakwestyonowane są w swojej wiarygodności i obie strony są stronami podsądnemi, z tym jednak dodatkiem, płynącym z samej natury rzeczy, że cała presumpcya jest za świadectwem urzędowego uniwersału a przeciw świadectwu rokoszan.

Bardziej metodyczna i bardziej prowadząca do celu jest droga ta, by punkt wyjścia uczynić z urzędowego dokumentu, zestawić następnie ten dokument z relacyą rokoszan i na podstawie tego zestawienia doszukiwać się wspólnego gruntu. Na taki punkt wyjścia nadaje się wstęp uniwersału poborowego, w którym król opowiada cały przebieg ostatnich chwil sejmu. Synteza, na tle tego wstępu i relacyj rokoszan osnuta, daje to przeświadczenie, że i sejm jest prawomocny i zgodnie zawarty — i jakiś pozór ze sobą mają protesty rokoszan. Sprawa przedstawiałaby się tak: Wobec grożących niebezpieczeństw z zewnątrz, wnosi król projekt poboru. Na pobór ten godzą się, jak pisze król, wszystkie prawie województwa litewskie i wiele województw koronnych; jak później pisze cytowany przez p. Sobieskiego biskup Szyszkowski: „większa część królestwa zgodziła się na pobór". Niektórzy jednak posłowie wymawiają się od podatku, mówiąc, że nie mają polecenia od braci, inni z animozyi politycznej do króla protestują. Zaczyna się na wielką skalę zamieszanie i zawichrzenie sejmu. Do tej chwili odnoszą się późniejsze relacye i protesty rokoszan; w tej chwili wygłaszali stronnicy Zebrzydowskiego swoje protesty i w tej chwili wywierali na nich nacisk regaliści. Sytuacya stała

się nad wyraz poważną; nie trzeba zapominać, że był to już 43 dzień sejmu, a więc dzień ponad dozwolonych prawem sześć niedziel.[1] Trwanie sejmu liczyło się już na minuty. Król, widząc, że ostatnia ta chwila grozi zerwaniem sejmu, obmyśla, jak sam mówi, „środek". Chodzi już mu o uzyskanie jednozgodnej uchwały, choćby w najmniejszej rzeczy, byle tylko sejm nie został zerwany. „Środek" polegał na tem, że posłom protestującym przeciw podatkowi robi król to ustępstwo, iż sprawę podatku mogą wziąść ze sobą do załatwienia na sejmiki. — „A na ten czas — pisze dalej król — za zezwoleniem Panów Senatorów tak Duchownego jako i Świeckiego stanu, także i Posłów Ziemskich Koronnych i W. Ks. Litewskiego postanowiliśmy i uchwalili zwykłą obronę z Poboru i z Czopowego w Koronie — a w W. Ks. Litewskiem nad to, cło nowe podwyższone, spław wodny, pogłówne żydowskie, i to, co się zwykło przy tem zachować". Zapadła więc jednozgodna uchwała; w tej też chwili zamknięto sejm. Że przy tem szybkiem tempie i w tym rozgardyaszu ostatnich chwil sejmowych, niektórzy posłowie rokoszowi nie zoryentowali się należycie, że, po zapadnięciu uchwały, usiłowali wydobyć się z zatrzasku, przypuścić łatwo. Ale już uchwała raz zapadła i sejm już został zgodnie zawarty.

W powyższym wywodzie mieszczą się pewne szczegóły odtrącające drugą restrykcyę p. Sobieskiego, który przyznawszy, że regaliści uważali ten sejm za zgodnie zawarty, dodaje jednak, że ciż regaliści „kiedy pisać będą poufnie i prywatnie, wówczas przyznawać będą sobie w cztery oczy, że jednak część posłów była przeciwna uchwale poboru". Twierdzenie to p. Sobieskiego polega na złem rozumieniu tekstu. Na dowód przytacza p. Sobieski słowa biskupa Szyszkowskiego: „większa część królestwa zgodziła się na pobór na wyprawę przeciw Tatarom". Z powyższego jednak naszego wywodu wynika, że Szyszkowski miał na myśli to, co stało się na sejmie, przed uchwałą sejmików. Słowa zaś Zygmunta III do Rudnickiego o poborze „który po większej części na sejmie jest pozwo-

[1] Dowodząc, że sejm 1606 r. nie był zerwany, przedstawiłem dwie racye 1) że trwał całe 6 niedziel, 2) że pozostała po nim uchwała. Logika nakazuje brać te racye w połączeniu ze sobą, a wtedy racya pierwsza ma swoje znaczenie. P. Sobieski w zapale polemicznym rozrywa je, a wtedy oczywiście może ją nazwać błahą. Kwestya 6 niedziel ma jeszcze to znaczenie w tej sprawie, że uwidocznia, iż zamknięcie sejmu nie było nagłe; rzecz, którą zaciemnia p. Sobieski.

lony" nie mówią o większej części posłów ale o większej części podatku, jak to również potwierdza powyższy wywód. W ten sposób, wszystkie restrykcye p. Sobieskiego przeciw temu sejmowi byłyby usunięte — i sprawa tego sejmu stałaby na tem samem miejscu, na którem stała przed artykułem p. Sobieskiego.

Prawda, jeszcze jedna restrykcya!! Najsilniejszym dowodem przeciw prawomocności uchwały poborowej ma być to, że pobór w rzeczywistości nie był zebrany. Lecz niech mówi sam p. Sobieski: „Co najważniejsza, szlachta po wielu protestacyach i rozbiciu się wielu sejmików wcale poboru prawie nigdzie nie złożyła, a w wielu ziemiach złożyła do rąk Zebrzydowskiego, przeciw Królowi". Otóż, w tem najważniejszem twierdzeniu p. Sobieski potknął się fatalnie. W całem tem twierdzeniu jest tyle tylko prawdy, że pobór wskutek zamieci rokoszowej był utrudniony (Script rer. pol. T. 10. str. 129), ale wcale nie był uniemożliwiony. Co do poboru, składanego w ręce Zebrzydowskiego, to może p. Sobieski znaleść nawet w drugorzędnych podręcznikach historyi, że rokoszanie osobną dopiero uchwałą w Sandomierzu zobowiązują się do poboru na cele rokoszu. Jeżeli zaś tu i ówdzie szlachta pozarokoszowa dawała żołd Zebrzydowskiemu, to z faktu tego nic a nic wnioskować się nie da co do przekonań tej szlachty o prawomocności sejmu 1606 r.; dawała żołd dla świętego spokoju, lub z powodu podstępu rokoszan, lub z sympatyi dla rokoszu. Co się zaś tyczy twierdzenia, że szlachta „wcale poboru prawie nigdzie nie złożyła", to dla nauki, żeby takich twierdzeń nie ryzykować, niech p. Sobieski zaglądnie do drukowanych *Aktów Grodzkich i Ziemskich*, t. XX, gdzie (pod N. 72 art. 1., 75 art. 2., 76 art. 5, i 77) są jasne dowody,[1] że pobór był wybrany tak, jak był uchwalony, i że król upominał się, by przeznaczono pieniądze na żołnierza.

Za długo rozpisaliśmy się o prawomocności tego sejmu, za długo, wobec tego, że dla historyka, znającego prawo polskie, wystarcza fakt, iż istnieje uniwersał poborowy. Ale to ustępstwo

---

[1] I tak, naprzykład Laudum zjazdu województwa ruskiego (30 lipca 1606): „A iż insze ziemie, w województwach tych, na sejmie uchwalony pobór poborcom oddać pozwoliły i już go wydawać poczęły, tedy i obywatęle ziemie przemyskiej pobór pozwolony wydawać się deklarują, który jako najprędzej do poborce wydać powinni, wedle uniwersału na sejmie spisanego, a obrócony być ma na potrzebę Rzpltej tam, kędy zdanie J. kr. Mci będzie".

trzeba bylo zrobić wbrew dokumentowi historycznemu a gwoli rokoszowym wywodom artykułu p. Sobieskiego.

Artykuł ten, zatytułowany nie bez emfazy „W imię prawdy dziejowej", jest ciekawym fenomenem literackim. Znamionują go dwa szczegóły: jeden, to ogromna ilość przypisków, w których ma spoczywać prawda dziejowa — drugi, to powtarzająca się co kilka wierszy, z rytmem spieszącego się zegaru, tytulatura mojego nazwiska „ksiądz Jezuita Pawelski", mająca nastrojowo dopełniać tego, czego braknie prawdzie dziejowej. To są dwa szczegóły, wpadające na pierwszy rzut w oko. Ale jest i wiele innych. Takim ciekawym szczegółem jest naprzykład to, że na początku i na końcu artykułu stwierdza p. Sobieski niezłomność swoich poprzednich twierdzeń, gdy tymczasem w środku artykułu widoczna jest ewolucya. Są jeszcze i inne szczegóły. Te inne szczegóły dobrze obserwować można w tej drugiej części kwestyi, odnoszącej się już bezpośrednio do Skargi, a roztrząsającej to, czy powodem zawichrzenia końca tego sejmu był projekt wyznaniowy, na którego losy wpływał Skarga. I tak, co do źródła, z którego cała ta relacya o wpływie Skargi jest zaczerpnięta, na mój zarzut, że relacya ta, oparta na jednym tylko i to nie wolnym od pewnej jednostronności zapisku, nie daje absolutnej gwarancyi — p. Sobieski jednostronności przeciwstawia powagę źródła, jakby źródło poważne nie mogło być czasem jednostronne, główną zaś kwestyę, kwestyę jedyności źródła, pomija milczeniem. W innem miejscu, gdzie twierdziłem, że nie projekt wyznaniowy dominował nad tym sejmem ale duch rokoszu Zebrzydowskiego, p. Sobieski przestawia to twierdzenie tak, jakbym przeczył istnieniu obozu wyznaniowego na tym sejmie. Gdzieindziej, kwestyonuje p. Sobieski moje twierdzenie, że sam przewódzca ówczesnego innowierstwa był ożywiony poglądem Zebrzydowskiego — pomija jednak dowód, oparty na memoryale stężyckim.

O zerwaniu lub przynajmniej zawichrzeniu tego sejmu przez Skargę, p. Sobieski już ani słowem w swojej odpowiedzi nie wspomina. Byłaby to także ewolucya. Ponieważ jednak na końcu artykułu zapewnia o prawdziwości wszystkich twierdzeń swojej książki, przeto ośmielam się jego ostrej cenzurze przedstawić jeszcze raz główny mój dowód, który pominął całkowitem milczeniem, a który stoi w sprzeczności z twierdzeniem jego książki. Dowód ten przedstawia się, jak następuje:

We wstępie do wspomnianego uniwersału poborowego pisze

Zygmunt III o tem zawichrzeniu i jako jego racyę podaje to, że niektórzy posłowie nie kontentują się deklaracyą, jaką król na ich postulaty dał kilkakrotnie w ciągu tego sejmu, na piśmie i ustnie, którą to deklaracyę powtórzył raz jeszcze pod koniec sejmu i którą poleca powtórzyć na sejmikach. Że deklaracya ta nie tyczyła się projektu wyznaniowego, jest jasnem z kilku racyi. Do jasnego sądu o projekcie wyznaniowym doszedł król dopiero po owej słynnej „nocy jezuickiej", bezpośrednio przed zamknięciem sejmu, nie mógł więc składać deklaracyi o nim kilkakrotnie w czasie sejmu. Nadto w tym wstępie, łączy Zygmunt III wyraźnie tę deklaracyę z podatkiem na cele polityczne. Nie ufając królowi, przed podatkiem posłowie niektórzy się wzdragają, w końcu jednak „zwykłą obronę" jednozgodnie uchwalają. Nie projekt więc wyznaniowy zawichrzył koniec sejmu, ale to samo, co wichrzyło sejm cały: nieufność i animozya polityczna do króla stronników Zebrzydowskiego. Układając na tej podstawie przebieg ostatnich godzin sejmu 1606 r., widzimy, że projekt wyznaniowy upadł bez wielkich wstrząśnień, że po nim nastąpiły konkluzyjne obrady, z których wskutek animozyi politycznej do króla, udało się tylko uchwalić „zwykłą obronę".

To wystarczy w sprawie zawichrzenia sejmu.

Cały akcent w obecnej polemice kładzie p. Sobieski na to, coby było, gdyby był projekt wyznaniowy nie upadł — na to mianowicie, że rokosz Zebrzydowskiego bez udziału protestantów byłby się nie udał. Wszystko to są kwestye z wielkim znakiem zapytania. Natomiast, bez znaku zapytania, bo stwierdzone smutnym przykładem europejskich państw, jest to, co my p. Sobieskiemu przeciwstawimy. Coby było, gdyby Skarga pozwolił rozróść się u nas protestantyzmowi tak, jak rozrósł się, naprzykład, w Niemczech? Czyby Polska przetrzymała te katastrofy, jakie przechodziły Niemcy, wskutek walki wyznaniowej? Zawichrzenia, jakie u nas były na tle wyznaniowem, w porównaniu z zagranicznemi zawichrzeniami, są burzą w szklance wody.

W końcu występuje ostro p. Sobieski w sprawie przezwiska, rzuconego na Skargę. Twierdziłem i twierdzę, że przezwisko to rzucono na Skargę później za pojęcia monarchiczne, a nie z końcem sejmu warszawskiego, za popchnięcie prywatną namową króla i posłów do utrącenia wyznaniowego projektu. Na dowód, że się mylę, przytacza p. Sobieski urywek z uchwały sejmiku w Upicie. Ale nie spostrzegł się p. Sobieski, że w tym cytacie atakowany jest Skarga

za kazania a nie za prywatne przekonywanie króla i posłów. Że na Skargę padały od innowierców przezwiska, nawet obelgi, rzecz z najprostszych życiorysów Skargi jest znana. Pomijamy już inne niedostosowania tego cytatu do naszej kwestyi.

Kwestya niechętnych opinij o Skardze będzie wkrótce przystępną ogółowi, gdy Akademia Umiejętności wyda przygotowany już do druku zbiór dokumentów, odnoszących się do rokoszu Zebrzydowskiego.

W ten sposób nie pozostałem dłużny odpowiedzi na żaden z zarzutów p. Sobieskiego. Z „prawdy dziejowej", „w imię" której pisze, nie pozostało nic prócz melancholijnego wspomnienia o bezowocnym wysiłku. Nie mówię już o tonie p. Sobieskiego. Zarzuca mi p. Sobieski ton gwałtowny. Proszę tylko dwa te tony zestawić i ocenić.

Wreszcie wobec uwagi p. Sobieskiego, że polemiką kłócę nastrój jubileuszowy, nic innego nie pozostaje mi do nadmienienia, jak to, że z największą niechęcią a nawet z rezygnacyą z osobistych względów, zabrałem się do całej tej polemiki.[1] Ale czyż można było milczeć, gdy działa się krzywda Skardze i jego idei?

Zakopane, 10. lutego 1912.

Ks. J. Pawelski T. J.

---

[1] Z jednej prywatnej strony zwrócono mi uwagę, że przy polemice z p. Chrzanowskim powinienem był zaznaczyć, iż zdania tolerancyjne Skargi przytacza również p. Chrzanowski w swojej książce o kazaniach sejmowych. Jeżeli notatka ta może mieć jakieś znaczenie, kreślę ją niniejszem.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Pamiętnik jubileuszowy konwiktu chyrowskiego (1886— 1911). Nakł. Zakładu, Chyrów 1911, str. 223 z licznemi ilustr.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wyd. przez Krajowe Biuro statystyczne pod red. prof. Dra T. Pilata. Tom XXIV. zesz. 1.: Najważniejsze wyniki spisu ludności i spisu zwierząt domowych według stanu z dnia 31. grudnia 1910 r. Podali Dr St. Kaszica i Dr. M. Nadobnik. Lwów 1911, str. LVII+35. fol.

Przemiany. Dramat w 3 aktach. Michał Flamm. Nakładem Gebethnera i Ski. Warszawa—Kraków 1912, str. 160.

Przygotowanie dziecka do wiedzy ścisłej. Mary Everent Boote, przeł. z ang. Marya Sadzewiczowa. Nakł. Gebethnera i Ski. Warszawa—Kraków 1912, stron 113.

Ave Patria! Powieść Wł. St. Reymonta. Nakł. Gebethnera i Ski. Warszawa-Kraków 1912 str. 343.

Troski Wojciecha Górskiego, biskupa Kieleckiego o Seminaryum duchowne. X. Józef Rokoszny. Warszawa 1912, str. 63.

Mowa żałobna nad zwłokami stuletniego starca jenerała Wojciecha Ostrowskiego. X. Józef Rokoszny. Warszawa 1912. str. 11.

Człowiek niewidzialny. Powieść H. G. Wells. Nakł. „Biesiady Literackiej", Warszawa, str. 206.

Alfred Tennyson, jego życie i dzieła. Dr Roman Dyboski. Kraków 1912, stron 171.

Źródła do historyi sztuki i cywilizacyi w Polsce. Wydał Adam Chmiel. Tom I. Nakł. Akademii Umiej. w Krakowie, 1911, str. 376 in 4-to.

Sielanki albo pieśni. Adryan z Wieszczyc Wieszczycki. Wyd. Stanisław Rachwał. Nakładem Akademii Umiejętności. Kraków 1911. str. 24.

Kalendarz Wieczny. Wydał J. Łoś. Nakładem Akademii Umiejętności. Kraków 1911, str. 60.

Encyklika... Pascendi Dominici gregis, o učeni modernistův. P. Václav Smolik C. SS. R. Nakład. „Dziedzictwa św. Prokopa" w Pradze 1911, str. 423.

Sv. Aurelia Augustina Rukověť pro Vavřince, čili kniha o víře, naději, a lásce. Přeložil Klemens Kuffner. Nakł. „Dziedzictwa św. Prokopa" w Pradze. 1911. str. 108.

Ulicznicy. Książka dla starszych dzieci. Stanisława Okołowiczówna. Nakł. Wydawnictwa „Życie." Kraków 1912, str. 155.

Złoty pokoik. F. Lazarusówna. Nakł. Wyd. „Życie", Kraków 1912. str. 114.

Na daleki Wschód. Wacław Sieroszewski. Nakładem Spółki nakł. „Książka". Kraków, 1912. str. 292.

Ojcowie nasi. Nowele. Andrzej Strug. Nakładem Spółki nakł. „Książka". Kraków, 1912, str. 353.

Zawody. Nowele. Juliusz Kaden. Nakładem Spółki nakładowej „Książka", Kraków 1912, str, 160.

Dziecinny dwór. Zofia Rogoszówna. Nakł. Spółki nakład. „Książka", Kraków 1912, str. 185.

Ikarowe loty. I. K. Iłłakowicz. Nakł. Spółki nakł. „Książka", Kraków 1912. str. 118.

Vade—mecum des prédicateurs. Par deux Missionnaires. Nakł. Księgarni Pierre Téqui. Paryż 1912. str. 784.

Dziennikarstwo polskie na Śląsku. Napisał Ksiądz Nakładem „Katolika". Bytom 1912, str. 64.

U szczytu. Kazimierz Wroczyński. (Teatr amatorski Nr. 103.) Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Kraków 1912, str. 33.

Wielki rok. Powieść na tle 1812 r. Stanisław Ostrowski. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Kraków 1912, str. 353.

Proboszcz z Priessiau. Powieść. Jan Łada. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Kraków 1912, str. 287.

Gorzelnictwo. Teorya i praktyka. Prof. Tadeusz Chrząszcz. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Kraków 1912, str. 293.

Zbiór wykładów apologetycznych. Opracowali M. Giemza, X. O. Jaworski i inni. Pod redakcyą X. Dra Trzcińskiego. Nakł. księg. św. Wojciecha, Poznań 1912, str. 174.

Kazania homiletyczne o Synu marnotrawnym. Ks. K. Smogór. Nakł. autora. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1912, str. 142.

Wierzę w święty Kościół powszechny. Ks. Dr. Adam Kopyciński. Nakład. księg. Z. Jelenia, Tarnów, 1912, str. 104.

Przykłady ojczyste do nauki katechizmu. Ks. Józef Makłowicz. Tom III. Nakładem księg. Zienkowicza i Chęcińskiego, Lwów, 1912, str. 376.

O warunkach rozwoju cukrownictwa w kraju naszym. Jan Zagleniczny. Dodatek do „Głosu Warszawskiego". Warszawa 1912. str. 26.

Piotr Skarga, jako światło i sumienie narodu. A. Werytus. Biblioteka im. Jana Jeleńskiego Nr. 6. Warszawa 1911. str. 32.

Prawdą do odrodzenia i jedności. Jerzy Moszyński. Kraków 1912, str. 111.

Sprawozdanie krakowskiej Sodalicyi Maryańskiej akademickiej za rok 1910-11. Nakładem Sodalicyi, Kraków 1911, st. 39.

Der Heiland am Ölberg und die moderne Welt. Sechs Fastenpredigten nebst einer Karfreitagspredigt. p. Dr. Joseph von Tongelen O. S. Cam. Nakładem Herdera, Fryburg 1912, str. 89.

Ave Patria. Władysław St. Reymont. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Kraków 1912. str. 343.

Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem. Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Kraków 1912, str. 303.

Zwierzenia kobiety i inne nowele. Guy de Maupassant. Nakł. Gebethnera i Ski. Kraków—Warszawa 1911, str. 232.

Die Sonntagsschule des Herrn. Dr. Benedictus Santel O. S. B. Nakładem Herdera, Fryburg w Brisg. 1911. tom II, wyd. II, str. 377.

Untersuchungen und Urteile zu den Literaturen verschiedener Völker. Ergänzungsband zur Geschichte der Weltliteratur. Alexander Baumgartner S. J. Nakładem Herdera, Fryburg w Brisg. 1912. str. 949 in 4-to.

Pisma Adama Mickiewicza. Wydał, objaśnił, wstępami poprzedził Józef Kallenbach, nakł. księg. F. Westa. Brody 1911, tom III.

Po zamknięciu Wystawy Sztuki Kościelnej.[1]

Przechodziłem w godzinie popołudniowej koło pałacu sztuki.

Uderzyło mnie, iż mimo zamknięcia wystawy sztuki kościelnej drzwi gmachu stały otworem. Przez nie wyzierały, jak dawniej rzeźby i na lewo od stropu zwieszający się sztandar.

Zaciekawiony wszedłem po schodach. Ze zdziwieniem zauważyłem, iż wnętrze gmachu zalegała głęboka cisza. Ani zziębniętej kasyerki, wydającej bilety u wstępu; ani służącego, który odbiera laski, parasole i kupony biletów; ani drzemiących po kątach, lub hałaśliwie zażywających tabakę weteranów — stróżów bezpieczeństwa wystawy.

Zdziwienie moje rosło z każdym krokiem, znajdowałem bowiem wszystkie przedmioty na swoich miejscach, tak, jak je widziałem kilkakrotnie zwiedzając wystawę; doszło wszakże do zenitu, gdy nagle we drzwiach jednego z bocznych salonów ujrzałem wychodzącego na moje spotkanie długoletniego towarzysza młodości, najwierniejszego zawsze w przyjaźni malarza Władysława Czachórskiego z Monachium.

---

[1] Zapatrywaniom naszym na znaczenie i wartość niedawno zamkniętej Wystawy sztuki kościelnej w Krakowie daliśmy już wyraz w zeszycie lutowym naszego czasopisma w artykule ks. L. Rudnickiego. Ponieważ jednak rozumiemy, iż w rzeczy tej, jak wogóle w kwestyach dotyczących sztuki, możliwe są rozmaite kąty widzenia i różne stopniowania w sądach, przeto udzielamy chętnie miejsca i niniejszemu artykułowi. *Redakcya.*

— Władziu! — zawołałem, własnym oczom nie wierząc — co to jest?! Wszakżeż właśnie przed rokiem otrzymałem bolesną, niespodzianą wiadomość o twojej śmierci.

Uścisnął mnie serdecznie w milczeniu, a potem rzekł:

— Zdziwienie twoje całkiem usprawiedliwione; wytłumaczę ci wszystko niebawem, tymczasem jednak pozwól, bym cię zapoznał z najmilszym w świecie towarzyszem mojej podróży, z którym od niedawna zawiązałem bliższe stosunki. Jestto człowiek wyjątkowo inteligentny, przytem *un charmant causeur* — Wojciech Dzieduszycki.

Istotnie nieodżałowanej pamięci nasz rodak, którego w swoim czasie znałem tylko z widzenia, zbliżał się ku nam.

Po nieodłącznym akompaniamencie kilku krótkich konwencyonalnych frazesów, towarzyszących nieodmiennie każdemu zawarciu znajomości, począłem znów dawać folgę uczuciom zdziwienia.

Przerwał mi mój nowy znajomy.

— Mój Ojcze, rzecz najprostsza pod słońcem; zanim ci ją jednak wyjaśnię sądzę, iż lepiej będzie rozglądnąć się nieco po salonach wystawy, bo choć dopiero przed chwilą znaleźliśmy się tu z Profesorem Czachórskim, doszliśmy już jednak do wniosku, że warto było przywędrować nawet z tamtego świata, by obaczyć podobne *curiosum*.

— Pod jakim względem Ekscellencya uważała wystawę naszą za *curiosum?* — spytałem.

— Pod każdym. Nie wiem, czy Ojciec pamiętasz, jak na 25-cioletni jubileusz *Przeglądu Powszechnego* napisałem, iż pismo wasze uważam stanowczo za przestarzałe. Sąd mój motywowałem tem, iż Redakcya *Przeglądu* trzyma się starodawnej metody, wedle której ludzie myśleli najpierw, potem pisali, na końcu drukowali; a dzisiejsi autorowie zwykli najpierw rzecz wydrukować, potem napisać, a dopiero wydrukowawszy, obmyśleć, jeśli im wogóle czasu na myślenie starczy.[1] Otóż pod tym najprzód względem znajduję tu na wystawie widoczne i to

[1] *Przegl. Powszechny*, zeszyt jubileuszowy t. C. grudzień 1908.

wielkie kroki postępu. Dotąd sztuka, artyści trzymali się zasady, iż należy najpierw obierać temat, potem zastanawiać się nad nim, obmyśleć, a wreszcie tak poczętą i w duchowe formy obleczoną ideę przelewać na płótno lub uwieczniać w plastyce. Dziś najpierw malują, lub rzeźbią, następnie myślą, a wreszcie, czas jakiś namyśliwszy się, decydują, jaki obrać należy temat, to jest, jaką etykietę przyczepić do swego dzieła. Patrzcie, naprzykład, Panowie — ciągnął dalej, wskazując na tryptyk Sichulskiego, do któregośmy się zbliżali — patrzcie na to „Wniebowzięcie". Gdyby nas P. Sichulski i katalog nie zapewniali najuroczyściej, iż mamy przed sobą obraz religijnej treści; gdyby nie na wystawie kościelnej, ale w swojej pracowni spytał nas autor, co on przedstawia, wszyscy trzej, jak tu jesteśmy, znaleźlibyśmy się w niemałym kłopocie. Dlaczego ta pospolita, z zakasaną spódnicą i fartuchem dziewka, Kaśka czy Horpyna, która zapewne przed chwilą zajęta była plewieniem kapusty albo buraków, dlaczego, pytam, znalazła się naraz, mocą niewiem jakiego prawa fizyki zawieszona, jak trumna Mahometa w powietrzu? Nie mniejszą, jak dla nas, to powietrzne *salto mortale* zdaje się być zagadką dla dwóch *sui generis* — aniołów, którzy po przez krzaki malw podglądają bohaterkę tej osobliwej sceny, z niekłamanem upodobaniem wpatrując się w jej obnażone po kolana łydki. Podobne sceny pasterskie z wykluczeniem jednak powietrznych ewolucyi i trywialnego charakteru postaci bywały ulubionym tematem lubieżnej, choć wykwintnej formą epoki Lancretów, Boucherów i Fragonardów. Żadnemu jednak z nich nie przyszedł pomysł nadania podobnym kreacyom nazwy *Santa conversazione*, jaką noszą obrazy Belliniego, Mantegni, albo Cimy da Conegliano, podczas, gdy P. Sichulski nadaje swemu utworowi tytuł Tycyanowskiej *Assunty*. Wszyscy znamy Pizę z cudownem jej *Campo Santo*. Już tam, na tem miejscu poświęconem pamięci zmarłych, razi nas osławiona *Vergognosa* we fresku, w którym Benozzo-Gozzoli umieścił ją patrzącą przez palce na upojonego winem Noego. P. Sichulski, idąc dalej jeszcze, chce, by jego kreacya, niewątpliwie bardziej drastyczna, stała się ozdobą kościoła. Może P.

Sichulski modlić się „po swojemu", podobnie, jak i jego pseudo-anioły, do ideału, jaki sobie wypielęgnował w duszy: nie mamy prawa mieszać się do jego indywidualnych upodobań i prywatnych nabożeństw; to rzecz jego sumienia i — wyobraźni; mamy jednak niechybnie prawo uporczywie trzymać się przy zdaniu, że inne są przedmioty naszego kultu i inne naszych uczuć porywy.

— Ktoś utrzymuje — przerwałem, że w religijnych kreacyach Sichulskiego znać, jak z wysiłkiem największym broni się przed karykaturą.

— Nie, to fałszywe. Jest on karykaturzystą z wielkim talentem i jego karykatury mogą się znaleźć bez żadnej obawy o konkurencyę obok najlepszych utworów Caran d'Ache'a. Lecz o ile tam czuje się u siebie i porusza z całą swobodą, o tyle tutaj, podobnie jak w *Dies irae* i w „Zmartwychwstaniu" obraca się na całkowicie obcym i niewłaściwym dla swego talentu terenie. Gdybym mógł, dałbym mu tę samą radę, jaką Juliusz Lemaître dał Zoli przed laty, gdy wydał „Lourdes": „Panie Sichulski, to temat dla Pana całkiem nieodpowiedni: *n'y touchez pas avec vos gros doigts*!"...

— Coś podobnego powiedziałbym o kapliczce domowej P. Skotnickiego — zabrał głos Czachórski, który dotychczas przysłuchiwał się naszej rozmowie w milczeniu. — Od dłuższego już czasu patrząc na nią, reasumuję wrażenia. Ogólnemi liniami przypomina marmurowy parawan niefortunnego pomnika Grillparzera, którym przed dwudziestu mniej więcej laty zeszpecono i bez tego już wyjątkowo banalny wiedeński Stadtpark. Miejsce płaskorzeźb, przedstawiających sceny z utworów, siedzącego w pośrodku niemieckiego dramaturga zastąpiono tutaj szeregiem jakichś japońskich gejsz, z których każda, niezdarnie udrapowana, w „kimono" trzyma na rękach coś, co ma udawać kwiaty, czy owoce, czy niewiem już jaki przedmiot. Samo domaganie się od kilimka by udawał gobelin, zdaniem mojem całkowicie chybione; a tu tym bardziej, że nawet gobelin każdy traci właściwy sobie charakter tkaniny, skoro jest silnie rozpięty i oprawiony w ramę. Jaka przepaść dzieli stare,

średniowieczne *Arazzi*, a nawet gobeliny z czasów Colberta, od tych, jakie dawała epoka drugiego cesarstwa, gdzie zasadą było łudząco naśladować obrazy! Co tam było błędem, to tutaj potęguje się jeszcze i kuszenie się o to, by kilimek miał wyobrażać Matkę Bożą i zastąpić obraz w ołtarzu, uważam wprost za nonsens. Wreszcie ta przygnębiająca jednostajność powtarzanych niezmiennie postaci! Nigdy nie zapomnę z jaką radosną dumą Matejko, w towarzystwie starego pana Pawła Popiela, pokazywał mi przed laty swoją „Litanię Loretańską", prowadząc na rusztowania odnawiającego się wówczas Maryackiego kościoła. Biedne, rozśpiewane na prezbiteryum Matejkowskie anioły; biedni ich poprzednicy z wieków ubiegłych: aniołowie van Eycków w berlińskiem Kaiser-Friedrich Museum; Fra Angelika w galeryi Uffizi; Melozza da Forli w zakrystyi św. Piotra! nie przeczuwali, że ich następcy XX. stulecia, idąc za duchem czasu, nietylko utracą najpiękniejszą swoją ozdobę — skrzydła, ale nawet wszelkie ślady indywidualności; że odtąd „dominantą" chórów anielskich ma być monotonia, a typem szablon malarza pokojowego. Całość „kapliczki", w której ołtarz wygląda na bufet z wodą sodową, a niskie potrójne lichtarze przypominają szyjki ukrytych w środku syfonów robi wrażenie, które Niemiec określiłby słowem *unheimlich;* i wątpię, czybyś w niej chętnie i z odpowiednim nastrojem odprawiał Mszę świętą.

— Myślę, że nie ja jeden tylko — odrzekłem — ale co Ekscellencya sądzisz o obrazach Serca Jezusowego?

— Hm, zadanie nie łatwe do rozwiązania, bo temat jest symboliczny. Trza jednak przyznać, że ci panowie znaleźli się od razu na wysokości sytuacyi. Jeden umieścił na swoim obrazie jegomościa, który przenikliwym wzrokiem hypnotyzera spogląda przed siebie, a by przekonać nas i aniołów, że ma serce gorące, grzeje zziębnięte ręce przy jego płomieniach, jak przekupka nad garnkiem z węglami. U drugiego, jakiś nowożytny, mocno zaniedbany Dyogenes wpadł na genialny pomysł zrobienia ze swego serca latarni, którą zaciekawionym, ale oślepionym jej blaskiem, ludziom świeci w oczy, szukając między

nimi w biały dzień człowieka. Mówiąc nawiasem, w podobny sposób, choć ze zwykłą latarnią starego typu, moglibyśmy między malarzami i rzeźbiarzami na tej wystawie szukać malarza i rzeźbiarza. Trzeci, wziął się na sposób, zdaniem mojem, najbardziej radykalny: postanowił osiągnąć niespodziany, a silny efekt, napędzając patrzącym strachu. Jak wampir, czy krogulec z wyciągniętymi szponami rzuca się, na podobną do wiedźmy zakonnicę upiór, któremu, by ułatwić dla widzów zrozumienie sceny, nie omieszkał twórca kompozycyi przylepić na piersi serca z różowego papieru, a poza rozczochrane włosy wsunąć z fantazyą, na bakier, jako nimbus księżyca w pełni. Czwarty wreszcie najwidoczniej jest zwolennikiem wodnej i powietrznej kuracyi. Bohater jego obrazu, wstawszy o świcie, pragnie korzystać z wczesnej porannej chwili, w której wszyscy zazwyczaj są jeszcze w głębokim śnie pogrążeni. Boso, z odkrytą głową, w jednej tylko długiej nocnej koszuli rozpoczyna swój spacer po rosie i przepisaną *Luftkur* gdzieś na łąkach w Wörishofen, czy w innej podobnej miejscowości. Naraz spotyka się *bec à bec* z niewiastą, która w podobnym negliżu i z podobnym zamiarem znajduje się przypadkiem w tem samem miejscu. Sytuacya staje się bardzo drażliwą: bohater z zaspaną i nieumytą twarzą bawarskiego chłopa, zakłopotany, robi gest zdziwienia; niewiasta, by wybrnąć z niemiłego położenia, nie znajduje innego wyjścia, jak chyląc twarz, rzucić się na ziemię. Zdaje się też, że artysta Maryę Magdalenę bierze za tę samą osobę co Marya Małgorzata Alacoque, której Chrystus Serce swe objawił; lecz prawda historyczna to rzecz podrzędna, na którą się dziś w sztuce nie kładzie wielkiego nacisku. Cała ta serya obrazów zrobiłaby świetny efekt w monachijskim — tu zwrócił się do Czachórskiego — myślisz pewnie Profesorze, że powiem „Glaspalascie"? nie, bynajmniej: w waszym monachijskim tygodniku *Fliegende Blaetter*, w seryi szkiców zatytułowanych: *Wie sich der kleine Maxrl zu einem Rafael ausbildet...*

Rozśmialiśmy się wszyscy trzej równocześnie.

— Kiedy już przeszliśmy na temat symbolizmu, to co po-

wiesz o Malczewskiego „Chrystusie z Samarytanką?“ — rzuciłem Czachórskiemu pytanie.

Milczał przez chwilę.

— Nie łatwo mówić o artyście tej miary, co Malczewski — rzekł wreszcie. — To człowiek, który rozporządza olbrzymim kapitałem techniki i fantazyi. Siła i miękość, rozmach i wdzięk, uczucie i refleksya, a nad tem wszystkiem górująca wybitna, szczera, a całkiem odrębna indywidualność, to zdaniem mojem cechy, jakie go wyróżniają z pomiędzy innych malarzy współczesnych. Dodajmy jeszcze paletę, która ma zawsze na jego usługi wszystkie barwy tęczy w najsubtelniejszych odcieniach. Rzecz jedna obniża mi wartość niepospolitej jego twórczości: mglisty symbolizm. Odczuwa się bezwiednie jakiś niepokój, który osłabia pierwsze potężne wrażenie jego obrazów. Odkrywając w nich stopniowo coraz nowe piękności, chciałoby się je powiązać, ugrupować w jedną harmonijną całość i roskoszować się nią do woli. Nie pozwala na to myśl, błąkająca się tymczasem nieustannie po labirynćie zagadki tym uporczywiej, iż artysta na żaden sposób nie chce nam dać do rąk kłębka Arjadny. Nie przeczę, że i u największych mistrzów spotkać się z tem możemy. Przypomnę Panom tylko małe obrazki allegoryczne Belliniego w weneckiej *Academia*; takież rysunki Lionarda w bibliotece windsorskiej; niektóre sztychy Marc-Antonia; wreszcie przepyszny obraz Tycyana w galeryi Borghese, znany pod nazwą *Amore sacro e Amore profano*, a z nim nierozstrzygnięty po dziś dzień spór, która z dwóch figur na obrazie przedstawiać ma miłość duchową, a która świecką. Co jednak było u tamtych artystów sporadycznem, przejściowem, to staje się u Malczewskiego jakiemś kołem zaczarowanem, w którem się sam lubuje i dobrowolnie zamyka. Stąd sądzę, iż jego twórczość nie nadaje się całkowicie do traktowania tematów religijnych, które wymagają, by treść obrazów była najzupełniej prosta, jasna, przystępna.

— Jednego z tobą jestem zdania, Profesorze — dodał Dzieduszycki. — W „Chrystusie z Samarytanką“ symbolizm Malczewskiego tym mniej usprawiedliwiony, iż sama opowieść jest

pełna prostoty i łatwo zrozumiała dla wszystkich. Tymczasem artysta tłumaczy ją zupełnie na opak. O ile wiem, Samarytanka zastaje Chrystusa u studni, nie u beczki, a po rozmowie z nim, zostawiwszy wiadro, odchodzi na chwilę do miasta Sychar, by sprowadzić jego mieszkańców. Tutaj odwrotnie: Chrystus, a raczej realistycznie malowany jegomość ucieka od Samarytanki, jakby zgorszony tem, co mu ta niebespieczna, pieszczotliwie przez krawędź beczki ku niemu wychylona syrena szepce na ucho. Jeźli to więc koniecznie już ma być scena treści religijnej, to nazwał bym ją raczej „Pokusą Świętego Antoniego".

— A jednak obaj panowie jesteście w wielkim błędzie — przerwałem. — Malczewski, gdyby tylko chciał, mógłby być znakomitym malarzem religijnym. Mówię tak, bo mam na to konkretne dowody. Zdarzyło mi się przypadkowo widzieć przed paru laty jego szkic na chorągiew św. Kazimierza projektowaną do Częstochowy. Mało kto, chyba, tak niewielu środkami, tak wielki potrafił osiągnąć skutek. Złożyły się na to trzy najważniejsze, bodaj, dla stworzenia prawdziwego dzieła sztuki czynniki: prostota, jasność i chwila głębokiego natchnienia. Przez szerokie krakowskie błonia idzie młodziuchne polskie królewię, przybrane w oznaki ziemskiego dostojeństwa. Nagle, w przestworzu, jakie go oddziela od majaczących w dali wież i murów Wawelu, ujrzał jakieś, dla niego tylko jawne, a nam nieznane widzenie: może tę, której cześć usta jego niewinne głosiły na każdy dzień hymnem: *Omni die, Dic Mariae...* Więc zgina przed nadziemskiem widzeniem kolano; zdjął ze skroni koronę; a tak mu ona poczyna ciężyć, iż drugą ręką podtrzymuje mdlejące ramię i chwila jeno, a ujrzysz, jak bogaty królewski klejnot potoczy się gdzieś, hen po ziemi... Przed nim wyrasta lilia i chyli ku niemu śnieżne kielichy, i upaja wonnym oddechem. Po prawicy stanął anioł skrzydlaty, trzymając w ręce przeznaczony dlań upominek niebieski — pierścień oblubieńca. Wyznam otwarcie, że nie spotkałem dotąd tak subtelnie, a zarazem tak przystępnie i zrozumiale uchwyconego symbolizmu, jak w szkicu, o którym mówię. Malczewski umiał tam wniknąć

w prawdziwego ducha religijnego, odczuć i zrozumieć jego potrzeby. Jest on więc z tych, którzy postulatom, jakie stawia pierwsza u nas wystawa sztuki kościelnej godnie zdołałby odpowiedzieć.

— Rozglądałem się już po salach, szukając witraży Mehoffera — zauważył Czachórski — żałuję, że ich tu widzę tak mało. Mehoffer, jak nikt dotychczas potrafił na nowo wskrzesić zaniedbany od paru wieków i po macoszemu traktowany dział sztuki. Twierdzę śmiało, iż jego witraże katedry Fryburskiej w Szwajcaryi stanowią epokę w dziejach kolorystycznego szklarstwa. Proszę je tylko porównać choćby z nowymi witrażami św. Szczepana w Wiedniu: tamte mówią, jakie być winny, te, jakich wszelkiemi siłami chronić się trzeba. Mehoffer umie w dziwny sposób wżyć się w arcydzieła średniowiecznej sztuki szklarskiej i podpatrzyć wszystkie jej tajemnice. Nie pozbawiło go to wszakże bynajmniej oryginalności. Stare tradycye i obumarłe, jak mniemano formy umiał przeszczepić na grunt współczesnego ducha, z którego wyrosła niespodziana, pełna świeżości, pełna nowej siły i nowego uroku twórczość. A rozporządza w niej ogromną skalą efektów. Raz siłą tonów i linij, jak u Chrystusa ukoronowanego cierniem w motywie okna głównej nawy na Wawelu, rzekłbyś wyjętego z katedry w Chartres; to znów subtelną i za bladą niemal miejscami gamą przeźroczystych tonacyi, przypominających w M. B. Ostrobramskiej z kaplicy Szafrańców witraże Wilhelma de Marcillat, którymi się szczyci katedra w Arezzo. Witraż, jaki mamy przed sobą, wyróżnia się nadto od innych nadzwyczaj pomysłowo wyzyskanym motywem roślinnym bratków. Jak Gallé, albo Daum żąda Mehoffer od szkła, co chwila, by mu było posłusznem na każdym kroku i nie zawiódł się do tej pory. Przejdźmy, jednak do rzeźb, bo nam czasu nie starczy na zwiedzenie całej wystawy. Widzę, iż od jakiegoś czasu przyglądasz się im Ekscellencyo.

— Przyglądam się istotnie płaskorzeźbom, jakich tu bodaj najwięcej i stwierdzam, że nietylko rzeźby mogą być płaskie, ale i — pomysły rzeźbiarzy. Na studya ikonograffii chrześci-

jańskiej wybrali się ci panowie aż do — Assyryi. Herod Antypas na wielkiej gipsowej chrzcielnicy jednego z nich, to jakiś sławny z okrucieństwa w IX. wieku przed Chrystusem Assurnazirabal, a Jan Chrzciciel, jeden z niewygodnych sąsiadów, ukaranych śmiercią na rozkaz zaborczego despoty: może Bubu, a może Akiababa.[1] W tym samym typie są wszystkie figury chrzcielnicy, która zapewne modelowaną była na miejscu studyów w Niniwie, albo w Kalaku. Z Assyryi wędrują do Egiptu. P. Nowak drapuje swoją Madonnę na plakiecie *a l'égyptienne*, kładąc jej przytem na głowę mitrę, jakby żywcem zdjętą z bogini Naprit w Denderze. Mitra ta, ma, zdaje się tutaj przedstawiać symboliczną gołębicę z ogonem i rozwiniętemi skrzydłami. P. Konieczny projektuje ołtarz. Antependyum wyobraża dwie egipskie postacie, z których jedna podaje drugiej jakiś tajemniczy kwiat, zapewne lotosu; obie przykucnęły w bardzo zagadkowej pozie naprzeciw siebie; między jedną a drugą siedzi ptak jakiś, prawdopodobnie sęp przez egipcyan czczony. Dla uniknięcia nieporozumień, zdaniem mojem powinienby tam być jeszcze dodany napis: *Honny soit qui mal y pense!* Umieszczony na ołtarzu mszał żałobny ma, zdaje się, symbolizować egipską „Księgę Umarłych", tym bardziej, iż wbrew liturgii Kościoła, przyjmującego barwę czarną, jako kolor żałoby, oprawiono ów mszał biało, by wiernie dostosować się do tego, co Francuzi nazywają *la couleur locale*.

— Czyż Ekscellencya i umieszczoną na tym ołtarzu „Immaculatę" P. Koniecznego uważasz za inspirowaną Egiptem? — spytałem.

— Mój Ojcze, o tem należałoby pomówić obszerniej; wszak to *le clou* całej wystawy, rzecz odznaczona pierwszą nagrodą. Swoją drogą krzywdę wyrządziłbym artyście, gdybym „Immaculatę" porównał ze znanemi mi egipskiemi rzeźbami, które mogłyby być, po części, źródłem jego natchnienia. Przypomina ona istotnie trochę dwie statuetki Luwru: brązową królowej

[1] Cf. *Records of the Past, 1-st ser. t. III. Rodwell: Annals of Assurnasir-pal*, i tamże *2-nd ser. t. II. Sayce: the Standard Inscription of Assurnatsir-pal.*

Karomama i drewnianą Tui; również drewnianą Nehai w Berlinie, a wreszcie brązową Takuszit w muzeum Ateńskiem. Rzeźby te, jednak, choć bardzo archaiczne, za wiele mają w sobie realizmu i zanadto jeszcze Panu K. przypominają śmiertelników, chodzących po ziemi. Ideałem mu jest osiągnąć w plastyce najwyższą, jaka się da prostotę, a równocześnie ułatwić sobie zadanie. Scyllą dla każdego rzeźbiarza, chcącego oddać plastycznie postać ludzką jest strona anatomiczna — Charybdą draperya. Zarówno Grecya, jak i Renesans umieli szczęśliwie te przeszkody pokonać i zwycięsko zawinąć do portu. Przykładem u pierwszych może być, dajmy na to Hermes Praksytelesa i Nike, wdziewająca sandały na fryzie Partenonu Fidyasza, że nie wspomnę już o idealnych miękością i prawdą tak anatomii, jak i draperyi figurkach z Tanagry. W epoce Odrodzenia dość przytoczyć jednego choćby tylko Michała Anioła: jego Dawida i Mojżesza. Pan K. zamierzył chytrze ominąć oba niebespieczne punkta, na których niejeden już z jego kolegów uległ rozbiciu. Postanowił zatem zrobić całkowitą syntezę z człowieka i z draperyi i to w ten sposób, by człowiek i draperya zlały się w jedną nierozłączną całość, a w niej zarówno rola anatomii, jak rola draperyi zredukowane zostały do *minimum*. Czy prosty przypadek, czy też głębsze studya teologiczne, jakie, być może Pan K. przechodził, pragnąc dłuto swoje oddać w usługi sztuce religijnej, zrządziły, że owocem jego twórczości jest istota ludzka oddana plastycznie tak, jak ją swojego czasu zdefiniował w jednej z konferencyi paryskich w *Notre-Dame* O. Lacordaire. Sławny Dominikanin, jak to sobie może Panowie przypominacie, nazwał człowieka: *un tube digestif percé aux deux bouts*.[1] Wprawdzie kaznodzieja paryski miał tu na myśli materyalistów i w ten sposób ich pojęcia o istocie ludzkiej określił; Pan K. jednak, zapewne przez roztargnienie (wielcy ludzie tak często bywają roztargnieni!) wziął tę definicyę *au pied de la lettre* i konsekwentnie wyzyskał. Tak mu ona dziwnie nadawała się do urzeczywistnienia genialnego pomysłu zidentyfi-

[1] *XLVIII. Conférence: Du plan général de la création.*

kowania anatomii człowieka z jego odzieżą! Model miał pod ręką: spory kawałek rury wodociągowej. Roskruszywszy ją nieco od spodu, znalazł dostateczny otwór na wtłoczenie weń dwóch stóp w formie łopat przybitych do podstawy rury na płask. W górnej jej części, zdaniem mojem, całkowicie odbiegł od powziętej zasady, podkreślając energicznie znajomość anatomii tam, gdzie się nią najmniej popisywać należało. Jeszcze wyżej osadził mocno rozwinięty biust, pożyczony zapewne w tym celu od jednego z fryzyerów, który na ten czas w swojej witrynie zdjętą z woskowej lalki perukę zawiesił na kołku. Najtrudniej było z głową, chodziło bowiem o nadanie figurze swojskiego typu. Patrzcie Panowie, jak przedziwnie temu artysta umiał zaradzić: wszak typ ten spotykamy niezawodnie u zdradzających pewne do snycerstwa zdolności wiejskich chłopaków, którzy głowy podobne rzeźbią *con amore* z surowych kartofli, buraków pastewnych, albo rzepy. Wreszcie dopełniają całości statuy, przytwierdzone do biustu ręce w kształcie dwóch wielkich, ostro zakrzywionych ku górze haków. Przedstawiwszy całą psychologiczno-estetyczną stronę statuy, nie mogę pominąć praktycznej. Figury podobne możnaby reprodukować z drzewa; głowa i ręce dałyby się zaśrubowywać lub odejmować. Z głową i z rękami mogłoby służyć za wieszadło na paletoty, kapelusze i t. p., bez głowy i bez rąk, jako manekin na kostyumy w konfekcyi damskiej. Wynalazek ten należałoby opatentować, a biorąc pod uwagę idealny pierwiastek, jaki przyświecał twórcy w wydaniu na świat tego arcydzieła nazwać je „Manekin IDEAL". Przypuszczam, że głównie te ostatnie, wymienione przezemnie praktyczne strony twórczości Pana K. skłoniły *Jury* do zaszczycenia go pierwszą nagrodą.

— Ekscellencya nieubłagany jesteś dla rzeźbiarzy naszej wystawy — zauważyłem.

— Przepraszam Ojca, nie dla wszystkich. Mam na przykład specyalną sympatyę do rzeźb Madeyskiego, a tym samym i specyalne obowiązki wdzięczności dla komitetu wystawy, za ulokowanie ich wyjątkowo korzystne. Dowodzi wielkiej delikatności uczuć zawieszenie ich w tej wysokości, iż chcąc choć

cośkolwiek z nich ujrzeć w pełnem oświetleniu musiałem przyklęknąć, i jeszcze bardzo mocno pochylić się ku ziemi. Niewątpliwie chodziło o to, by otaczające arcydzieła nie zaćmiły skromnych prac artysty. Co o nich sądzisz Profesorze?

— Nie należę do szczególniejszych wielbicieli Madeyskiego — odrzekł Czachórski — i nie sądzę nawet, by wogóle prace jego mogły budzić entuzyazm; jestem jednak dla nich z wielkiem uznaniem. Talent Madeyskiego zamyka się w pewnych spokojnych, szlachetnych ramach, poza które nie próbuje nigdy wybiegać. Ideałem jego Renesans, a w Renesansie *Quattro* — i pierwsza połowa *Cinquecento*. Epoka ta wycisnęła głębokie piętno na jego twórczości: oddycha powietrzem, roskoszuje się formami, pieści się z ideałami wspomnianej epoki. Niejedna z prac jego znalazłaby w niej swych antenatów. Jadwiga może Ilarię del Caretto Jakóba della Quercia w katedrze Lukki, Warneńczyk postać Gastona de Foix Augustyna Busti zwanego „il Bambaja" w medyolańskiem Brera. Jak ten ostatni wykończa, cyzeluje, odrabia najdrobniejsze szczegóły zbroi, miecza, wszystkich akcesoryów pomnika. W paraleli do malarzy Prerafaelitów nazwałbym go rzeźbiarzem Prebuonarottistą. Jest zawsze poprawny, delikatny, wykwintny; natomiast próżnobyśmy w nim szukali rozmachu i siły, jakie na przykład spotykamy w świadczących o niepospolitym talencie dwóch bocznych grupach Dunikowskiego, mających zdobić portal kościoła Serca Pana Jezusa.

— Wspomniałeś o kościele — przerwałem — czy też zauważyliście Panowie projekt P. Szyszko-Bohusza?

—Naturalnie—podchwycił Dzieduszycki—mamy w nim rzecz całkiem swojską i na naszym wyrosłą gruncie. P. Szyszko-Bohusz nie potrzebował przynajmniej po wzór jeździć do Egiptu, albo Assyryi; znalazł go u nas rozsiany po całym kraju. Wzorem tym są cegielniane suszarnie. Dominuje w nich dach, i tylko dach, nieco, zaledwie, dla przewiewu wyniesiony nad ziemię. Ponieważ taki dolny przewiew w kościele byłby nie pożądanym, zatem architekt myśl swoją rozwija w ten sposób, iż dach bezpośrednio stawia na ziemi. Sądzę, iż pomysł ten będzie prze-

łomowym w dziejach architektury. Dotąd wszystkie wieki ubiegłe uważały budynek za odrębny, jednolity organizm, w którym dach był rzeczą dodatkową, choć często niezbędną dla jego ochrony. Od Witruwiusza począwszy, a skończywszy na najnowszych architektach, znajdziemy u wszystkich przekonanie głębokie, iż mogą być gmachy, i najwspanialsze nawet, bez dachu, z dachem płaskim, ukrytym dla oka; tu dopiero spotykamy się z nową teoryą, iż może architektoniczną całość stanowić dach, bez budynku, a *nota bene* ma nim być kościół. Być może chodzi tu o symbolizm. Robert de la Sizeranne opisując kościoły paryskie, wyraża się, iż „jedne z nich wieżami biegną ku górze, jak modlitwa ziemi ku niebu; u innych kopuły zstępują w dół, jak błogosławieństwo nieba dla ziemi". P. Szyszko-Bohusz obie symboliczne tendencye kojarzy i zlewa w jedno: wzlotom myśli ludzkiej do nieba czyni zadość, umieszczając kościół na strychu, pociechom błogosławieństwa, spływającego w serca ludzkie z wyżyn niebieskich, stawiając swój kościół-strych bezpośrednio na ziemi. Zdaje się, że pod szczytem dachu, pomnąc zawsze na pierwotne jego przeznaczenie, jako suszarni zamierzył P. Szyszko-Bohusz umieścić skład cebuli, jedna bowiem z nich, energiczniejszej natury, przedostaje się w gronie mniejszych towarzyszek na zewnątrz, a czując się na świeżem powietrzu, strzela w górę bujną łodygą, którą, zamiast kwiatonu, wieńczy krzyż — jedyna oznaka, mająca naprowadzić na domysł, iż pod tym dachem kryje się przecież coś innego, jak cebula, lub cegły. I sądzę, że gdyby Chrystus, jak my teraz, znalazł się na chwilę w tym „fragmencie wnętrza kościółka" P. Szyszko-Bohusza z ołtarzem i „Immaculatą" P. Koniecznego, ze mszałem żałobnym P. Lenarta, z lichtarzami i lampą wieczną P. Rembowskiego i t. d., i t. d., powtórzyłby im zapewne to, co wyrzekł przed dziewiętnastu wiekami do przekupniów w jerozolimskiej świątyni: *Napisano: Iż dom mój, dom modlitwy jest...*[1] zapewne dodałby jednak słowa

[1] Łuk XIX. 46.

nieco odmienne, jak we wersyi Ewangielistów: *a wy go chcecie uczynić jaskinią* — cyganeryi artystycznej"...

— Ekscellencya jednak doprawdy bardzo surowo sądzisz naszą wystawę — zauważyłem.

— Mój Ojcze — odrzekł — z wyjątkiem prac Malczewskiego, Madeyskiego, Mehoffera, Dunikowskiego i może paru zaledwie innych artystów, o których natrącić nie pozwala nam brak czasu, czyż wszystko tutaj zresztą brać można na seryo? Jak Wirgiliusz Dantemu powiedziałbym ci mimo przechodząc *guarda e passa!*... mówiłem zaś o rzeczach tu wystawionych li tylko dla tego, iż, chociaż pozbawione artystycznej wartości, są one jednak niepokojącym objawem upadku sztuki wogóle, dowodem zaniku zdrowego religijnego poczucia i smaku estetycznego. Widząc tak opłakane skutki, należałoby zbadać, jakie są ich przyczyny.

(Dok. nast.).

Ks. Józef Tuszowski.

KRÓLOWA JADWIGA czyli XIĘGA MIŁOŚCI.

(Z POŚMIERTNEJ TEKI DEOTYMY.)

Pierwsza część Prologu.

PO-ZA ZIEMIĄ.

W świecie wiecznej szczęśliwości.

Na dziewięciu stopniach coraz jaśniejszych dziewięć Chórów anielskich. Najwyższy Chór składa się z SERAFINÓW, podobnych do maleńkich dzieciątek. Pomiędzy Chórami anielskiemi snują się mirjady BŁOGOSŁAWIONYCH DUCHÓW z rozmaitych światów. Nad całą tą rzeszą, w niezmiernem oddaleniu, Światłość wiekuista, jako słońce słońc. W samem jądrze tego słońca Ciemność bezdenna w kształcie trójkąta.

GŁOS

wychodzący z trójkąta.

Przyjdź tu do mnie, największy z moich serafinów.

NAJWIĘKSZY SERAFIN

wybiega i klęka.

Jestem Ojcuniu! W światło! Lecę — płonę — tonę...
Lecz nie wiem, jak ja mały, najmniejszy z Twych synów
Śmiem sięgać w niepojęte i nieogarnione?
Ale ja tak Cię kocham! Ach, żyć w tem objęciu!
Lecę Ojczulku... jestem: co każesz dziecięciu?

(*Mówiąc to Serafin podnosi się coraz wyżej*
i ginie w Trójkącie.
Wszystkie Duchy patrzą za nim).

JEDEN Z CHERUBINÓW.

Dla któregoś ze światów gotują się dziwy,
Kiedy Pan z wysłannikiem naradę zaczyna

JEDNA Z MOCY.

I będzie to zapewnie wyrok miłościwy,
Kiedy na posłannika wybrał Serafina.

DUCH

co żył na gwiaździe, którą ludzie nazywają Wegą.

Powiedzcie mnie drżącemu, nowoprzybyłemu,
Bo ja tutaj z podziwu odchodzę od siebie...
Pan wyraźnie zawezwał największego... czemu
Wyszedł owszem ten mały, maleńki?

CHERUBIN.

Bo w niebie
Największy, kto się czyni najmniejszym.

JEDEN Z ARCHANIOŁÓW.

Ten mały
Wyższy jest od nas wszystkich. To z tajemnic chwały
Najdziwniejsza. On tylko na pierwsze wejrzenie
Wygląda tak dziecinnie. Przypatrz mu się bacznie,
Ośmiel się doń przystąpić, a niepostrzeżenie
Urośnie, aż struchlejesz, — i gdy rosnąć zacznie
To do takiej światłości, do takiej potęgi,
Że utracisz rachubę jak wobec mamidła.
Siedemset słońc ustawiaj, a dróg ich okręgi
Jeszcze go nie przemierzą od skrzydła do skrzydła.

JEDNO Z PANOWAŃ.

A jednak ten ogromny, kiedy się przybliża
Do Ojca z przymileniem rozkosznym pieszczocha,
Mógłby się cały zmieścić pod jeden gwóźdź krzyża.

WSZYSTKIE CHÓRY ANIELSKIE

Tak jest małym kto kocha — tak wielkim kto kocha!

ŚWIĘTY JAN EWANGIELISTA

unosząc się nad niemi.

Zaprawdę wam powiadam, kto temu dzieciątku
Nie stanie się podobny.....

(*Znika w świetle*)

DUCH Z WEGI.

Ach, cóż to za złota
Postać?

ARCHANIOŁ.

O! to duch wielki. Jeszcze za żywota
Mijającego, chadzał tutaj do nas w gości.
Widział koniec wszech-rzeczy, — i co na początku
Nawet było, powiedział. Apostół miłości.

DUCH Z WEGI.

Kiedyż wróci Serafin?

CHERUBIN.

Kto wie? W trójkątnej
Przepaści, jeszcze nie znać najmniejszego ruchu.

DUCH

z gwiazdy, której ludzie nigdy nie widzieli, przylatując do ducha z Wegi.

Powiedz mi, ty szczęśliwy, ty odważny duchu,
Co śmiesz z Cherubinami prowadzić rozmowy,
Dlaczego w tym przestrasznym trójkącie tak ciemno?
Ta ciemność wieki wieków już stoi przedemną —
Patrzę — chcę ją zrozumieć — wszystko nadaremno. —
Jak widzę, już ją własną nie odgadnę mocą.
Jam sądził wchodząc tutaj, że potęga Pana,
Im bliższa swego źródła, tem bardziej świetlana.
A tu....

CHERUBIN.

I dobrześ sądził. To co zowiesz nocą,
To nie ciemność, to tylko głębokość tajemnic

To owszem światłość wyższa, tak strasznie wysoka,
Że już dla niczyjego niepochwytna oka,
Oślepia i zostawia przerażenie ciemnic.

DUCH
z gwiazdy nieznanej ludziom.

Więc nigdy nie ujrzymy środka tego słońca?

CHERUBIN.

Czemu nie? Można zgłębić tę otchłań, lecz za nią
Roztworzy się znów inna, — otchłań za otchłanią.

DUCH
z gwiazdy nieznanej ludziom.

I tak będzie bez końca?

CHERUBIN.

Tak będzie bez końca.
Wiecznie będzie głąb ciemna w łonie Stworzyciela.
Stworzenia mogą boskie zdobywać przymioty,
Lecz nigdy nie dosięgną dna Jego istoty.
Ach, i to szczęście dla nas! Czyż nie rozwesela
Myśl, że jeszcze całą wieczność zawsze nam zostanie
Jakieś nowe zgłębianie i nowe kochanie?

DUCH Z WEGI.

Baczność! Serafin wraca! Trójkąt się rozcina...
Dzieciątko zeń wybłyska.....

SERAFIN *zstępuje w środek nieba.*

WSZYSTKE CHÓRY NIEBIESKIE *razem.*

Witaj nam kapłanie
Co z *Sanctissimum* wracasz! I cóż z majestatów
Niepojętych przynosisz? Cóż?

SERAFIN

Dobra nowina
Mam szczęśliwe poselstwo dla nieszczęsnych światów.

Dla jednego z najmniejszych między najmniejszemi,
Wielką wieść!

DUCH
z gwiazdy, którą ludzie nazywają Syrjuszem.
Dla którego ze światów?

SERAFIN.
Dla ziemi.

Wpośród Błogosławionych powstaje ruch mocniejszy.
Dusze różnych ludzi tłoczą się wokoło Serafina

JEDEN DUCH LUDZKI.
Dla tej kochanej ziemi? Ach, i ja tam żyłem

DRUGI DUCH LUDZKI.
Strach wspomnieć... Walkę ciężką staczałem tam z pyłem.

INNY DUCH LUDZKI.
Ach co za szczęście! Braciom ulżą się te smutki
Które i myśmy znali.

JESZCZE INNY DUCH LUDZKI.
Mnie radość oniemia, —
Dzieci tam zostawiłem...

DUCH Z WEGI.
Co to jest za świat, ziemia?

JEDEN Z ANIOŁÓW.
Nawet nie żadna gwiazda. To światek malutki,
Jeden z ciemnych księżyców, co krążą w około
Jednej z gwiazd pojedyńczych.

INNY ANIOŁ.
Oj, tam niewesoło!
Przygoda tego światka w całem niebie słynie,
Ojca obraził ciężko.

PIERWSZY ANIOŁ.

I odtąd w rodzinie
Światów, jęcząc się wlecze jak nędzny kaleka.

JEDNA Z CNÓT.

Prawda. Jednak przyszłość przepyszna go czeka,
Bo cierpi, a w cierpieniu leży moc straszliwa.
O, wspomnijcie! Ostatni często pierwszym bywa.
Ta ziemia właśnie za to, że nędzna, że mała
I że kaleka, — Ojcu tak drogą się stała,
Że sam zestąpił do niej, ach! sam cierpiał dla niej!

DUCH Z SYRJUSZA.

Jakto? Bóg żywy zeszedł aż tam, do otchłani?

CNOTA.

I nie dość na tem, dotąd codzień w tajemnicy
Zchodzi tam, i zgłodniałych swoim bóstwem żywi.

DUCH Z WEGI.

Jakiż to świat szczęśliwy!

JEDEN Z ANIOŁÓW.

Jednak ci szczęśliwi
Wciąż sarkają i wątpią.

DUCH Z SYRJUSZA.

Co za niewdzięcznicy!

DUCH

z gwiazdy, której ludzie nigdy nie widzieli.

Już u nas to inaczej. Na mój świat, jak wiecie,
Bóg nigdy nie zstępował, tylko wy anieli
Przynosiliście czasem wieść o Nim, — a przecie,
Myśmy nigdy narzekać, ni wątpić nie śmieli.

CNOTA.

To też i lżejsze u was, niż na ziemi życie.

Archaniołowie uderzają w trąby. — Całe niebo się ucisza.

SERAFIN

do dusz ludzkich, które ciągle go oblegają.

No, moje dobre dusze, kiedy tak prosicie,
Więc powiem, z czem Najwyższa posyła mnie Wola:
Nie idę ja z klęskami, jako ten co budzi
Pijanych biesiadników, — ani będę kości
Przeznaczenia wytrząsał na bitewne pola,
Nie, tą razą z uśmiechem lecę między ludzi,
Bo stać się ma cud miłości.

KRZYK

Dusz ludzkich błogosławionych.

O niechże jak najprędzej twe słowo się ziści!
O dziwne miłosierdzie! O rozradowanie!
Na ziemi, na tym świecie krwi i nienawiści,
Tam? Cud miłości się stanie!

Ze średnich sfer, z pomiędzy Chóru Mędrców, Duch Platona wylatuje z uniesieniem i garnie się do Serafina.

DUCH PLATONA.

Puśćcie mnie do boskiego mówcy! Już na ziemi
Lubiłem, pod kolumny chadzając białemi,
Słuchać mądrych. Lecz jakże ci wiedzieli mało!
Tu dopiero się uczę. Uczę się od dzieci.

DUCH Z WEGI

do jednego z Aniołów.

Kto ten przepiękny? Wprawdzie czoło mu nie świeci
Aureolą świętości, lecz ma gwiazdę białą.

ANIOŁ.

Ten? To Mędrzec Miłości. Niegdyś żył na ziemi.
Dziwny! Przeszedł bez skazy między skażonemi.
Ci mu sami świadectwo złożyli olbrzymie,
Gdy najczystszej miłości dali jego imię.

DUCH PLATONA *do Serafina.*

A więc powiedz, o boski! Jaki się odsłania
Nowy cud dla tej ziemi, co nam zawsze miła?
Bo myśl chętnie powraca do krain wygnania,
Lubi wspominać bitwy, gdzie sama walczyła.
Mnie tu wszystko nęci, zaciekawia, dziwi,
Mogę jasno w słonecznych czytać epopejach,
W lirę sfer się wsłuchiwać, — a jednak najchciwiej
Śledzę ziemię, i rozkwit miłości w jej dziejach.

SERAFIN.

W tych dziejach oto wielka nadchodzi godzina,
Doniosłości jej ludzie nie pochwycą zrazu,
Lecz my stąd ją widzimy. Z nią się rozpoczyna
Spełnienie proroczego, boskiego rozkazu,
Który najdalszą przyszłość ludzkości ogarnia:
„Niech będzie jeden pasterz i jedna owczarnia";
Ach nieprędko dojrzeje słowo dobrowieszcze,
Dotąd zaledwie głucha krąży wieść po ziemi,
Że człowiek człowiekowi jest bliźnim, — a jeszcze
Nikt nie wie — że i ludy są sobie bliźniemi.
Kiedy człowiek człowieka krzywdzi lub napada,
Spotyka sąd i groźne praw ludzkich wymiary.
Lecz kiedy się narody zabijają, biada!
Na to jeszcze tam niema ni sądu, ni kary.
Wojna! I nikt się takiej ohydzie nie dziwi!
Wódz i żołnierz śpiewając podąża na wojnę!
Wojna tam daje chwałę! I nawet cnotliwi
Z pola bitwy unoszą sumienia spokojne!
Bo myślom ludzkim długich lat i wieków trzeba
Nim potrafią wyczytać jedno słowo z nieba.
Tylko tutaj w wieczności wszystko jest odrazu,
Tam w czasie, wszystko musi stawać się koleją,
Wykuwać się jakby z głazu
Pracą, wątpieniem, nadzieją

I napis dziejów składać wyraz do wyrazu.
Wstanie dzień, (to już będzie ku końcowi czasów —)
Gdy w równinie się zbierze olbrzymi sejm ludów.
Naonczas dwaj mężowie rozsławieni z cudów
I święta niewiasta, rzekną: „Dosyć tych zapasów,
„Do czego bratobójcza przywiodła męczarnia?
„Narody, rzućcie morderstwo —
„Ślubujcie sobie braterstwo —
„Niech będzie jeden pasterz i jedna owczarnia".
A ludy odpowiedzą: „Ach, to byłby Eden!
„Ale któż weń uwierzy po wiekach zawodów?
„Pokażcie nam w przeszłości przykład choćby jeden,
„Takiego ślubu narodów".
A cudowni mędrcowie i niewiasta zbożna,
Ku pochmurnej przeszłości zwróciwszy się twarzą,
Przykład jeden świecący jak gwiazda pokażą.
Rzesze zdziwione rzekną: „Prawda. Kiedy można
„Ześlubić dwa narody, czemużby wszystkiemi
„Nie mogła rządzić miłość?"
Połamią oręże,
Człowieczeństwo ze łzami Unję zaprzysięże,
I będzie pokój na ziemi.
Lecz pierwej musi błysnąć owa gwiazda zgody.
A teraz drżyjcie piekła, radujcie się raje!
Nad ziemią już gwiazda wstaje.

GŁOSY DUSZ LUDZKICH.

I jakież to dwa narody
Co miłują się tak szczerze,
Tak bliźnięco, że Ojciec za wzór je wybierze?

SERAFIN.

Nie, miłość nie jest u nich z kolebki poczęta.
To nie bracia rodzeni, temci mniej bliźnięta.
Kogóżby taka miłość podziwieniem zdjęła?
Nie, — Pan tu dziwniejszego dokonać chce dzieła.

Te dwa ludy, to dwa wrogi,
Nie mrużące oka z trwogi.
Jak ich stare lasy pomną,
Walczą walkę nieprzełomną.
Gniew im piersi sciska.

Ich granicą pas pożogi,
Trupy, zgliszcza i zwaliska.
Wstręt wzajemny je rozgania.
Jednem polem ich spotkania
Plac pobojowiska.

Inne szczepy je wydały,
Inne ich dziejowe drogi,
Inne prawa, inne chwały,
Nawet inne bogi!

Niepodobne sobie z twarzy,
Ani z duszy, ani z mowy,
Żadnemu się z nich nie marzy,
By mógł ustać bój wiekowy.

A jednak jakże łatwo, Temu który waży
Losy światów, przełamać walkę nieprzełomną!
Jedno „stań się!" a wrogi, jakby kochankowie,
Padną sobie w objęcia, — w miłosnej rozmowie,
Zamienią łzy i serca, — przebaczą, zapomną!

I pójdą razem przez dzieje,
Przez ludzkości przyszłość całą,
Nierozdzielnie, wiernie, śmiało, —
Przez tryumfy i nadzieje,
Przez pokusy i męczeństwo
Przez krew i błogosławieństwo.
Dusze dwie, a jedno ciało, —
Czcigodne ludów małżeństwo, —

Przykład na ziemi długo samotny, jedyny, —
Kiedyś wzór dla niesfornej narodów rodziny.

GŁOSY DUSZ LUDZKICH.

Jak pysznie się podnosi tajemnic zasłona!
Jakże cudowna przyszłość ziemi przeznaczona!
Szczęśliwe pokolenie co teraz tam żyje!

DUCH PLATONA.

I przez czyjeż ręce, czyje,
Bóg cudów takich dokona?

SERAFIN.

Jak zwykle, przez najsłabsze. Ten co światy waży
Naśmiewając się z mocarzy,
Do najtwardszych przedsięwzięć zazwyczaj wybiera
Leciuchne jak puch narzędzie.
I tu nie wybrał mędrca, ani bohatera.
Tłumaczem słów Jego będzie
Kobieta, pół-duch, panienka,
Lilja, gołąbka, jutrzenka,
Przed którą, gdy Pan rozkaże,
Na kolana upadną ludy i mocarze.

GŁOSY DUSZ LUDZKICH.

Jakże szczęsna, jakże wielka,
Narodów pogodzicielka!

SERAFIN.

Wielka, tak, — ale szczęsną nie będzie aż w niebie.
Bo tam gdzie dusze idą po wieniec zasługi,
Nic darmo. Sprawiedliwość straszna wierzycielka!
Chyba że kto za drugich da samego siebie.
O! Święci za miliony mogą spłacać długi!
To też świętość i szczęście nie chodzą we dwoje.
I ta, za szczęście ludów musi oddać swoje.
Musi — jeżeli zechce. I to mnie w jej doli
Trwoży.... Przerażającą jest władza człowieka!
Ojciec tak w nim szanuje klejnot wolnej woli,
Że dla tej woli nieraz własnej się wyrzeka.

DUCH PLATONA.

To ciekawe, czy dziewczę zrobi co powinno?

DUCH Z WEGI.

A jeśli nie zechce?

SERAFIN.

Ha! Nie będzie winną
Lecz i nie będzie świętą. Na równi z drugiemi
Weźmie udział w radościach i cierpieniach ziemi,
A Bóg jej posłannictwo przeniesie na inną.

Rozwija skrzydła i zaczyna rosnąć nieskończenie.

Już jej godzina wybiła!
Pan dziś z pierwszem poselstwem do niej mię wysyła.
Kazał mi wytłumaczyć jej górne rozkazy
I wypróbować jej ducha.
Trzykroć mam ją powołać. Jeżeli trzy razy
Przetrzyma ból i usłucha,
Wtedy pójdźcie do raju, kwiatów nam przynieście
Niewiasty błogosławione,
Już możemy tej niewieście
Nieśmiertelną wić koronę.

GŁOSY NIEWIAST.

Tak, — ale czy przetrzyma?

SERAFIN.

Ach, dziwne katusze
Przyjdą! Ja sam truchleję na myśl, jak jej duszę
Niemiłosiernie kiedyś poprzekłuwać muszę...
Lecz dziś zacznę łagodnie, zostanę dziecięciem,
Bo i ona w tej chwili jeszcze jest dzieciną.
Nim się skrzydełka rozwiną,
Trzeba ostrożnie z pisklęciem.

Tyś biedny przyszedł o świcie,
A jednak nad wyziewy fałszu i zepsucia
Wzleciałeś jak skowronek, — Chrześcijanin z przeczucia.
A więc pójdź!

Platon całuje kraj jego szaty i gdy tamci dwaj odlatują — zdąża w ich ślady.

Wszyscy trzej spuszczają lot ku Światom Próby.

Wszystkie duchy patrzą w dół za niemi.

GŁOSY DUCHÓW BŁOGOSŁAWIONYCH.

Polecieli w bezdenne przestworza
Seraf i dwie miłości, człowiecza i boża.
Teraz pilnym baczmy okiem,
Gdzie na tamtym staną świecie?
Jakie to jest owe dziecię?
Czy tak bardzo przed wyrokiem
Zadrży? Ach, i czy przystanie
Na anielskie powołanie.

POST-SCRIPTUM.

Wy tam niebianie, zapewne u siebie
Stroicie żarty z tej pieśni o niebie.
Jak wam się muszą wydawać śmiesznemi
Owe trójkąty i różane snopki,
Które marzyłam złotą nędzą ziemi,
Na przystrojenie mej szopki!
Wiem ja, że u was wszystko tam inaczej.
„Słuch nie dosłyszał... Oko nie widziało"...
Lecz póki żywot cierpimy tułaczy
I pieśń się musi przyoblekać w ciało.
Człowiek to tylko pojmie, co zobaczy
Żywą źrenicą, lub stokroć wyraźniej
Pokazującem okiem wyobraźni.
Wszak i wy same istoty duchowe,

Gdy się wybranym Pańskim objawiacie,
Musicie ludzkie przybierać postacie,
Do ludzkich pojęć obniżać wymowę?
Tak matka słowa pieszczone przekręca,
Aby je główka pojęła dziecięca.
I czy wy tylko? Wszak On, Mistrz nad mistrze,
Kiedy chciał prawdy zaszczepiać najczystsze,
Musiał obwijać nagie ziarno treści
W puch przypowieści?
Więc mi wybaczcie Święci i Anieli,
Ziemię od nieba taka przepaść dzieli,
Że aby ziemię podźwignąć, potrzeba
Przychylić nieba.

Krasiński w piśmiennictwach słowiańskich.

(Dokończenie.)

Literatura o Krasińskim.

Przekładom czeskim z Krasińskiego towarzyszyć musiały i towarzyszyły studya o nim, rozprawy i artykuły historyczno-literackie i biograficzne.

Pomijając drobne o nim wzmianki, sprawozdania z dzieł i ich przekładów, pomieszczane po pismach czeskich od r. 1830 do najnowszych czasów, w stałych przeglądach piśmiennictwa polskiego, listach z Polski i notatkach bibliograficznych takich pisarzy, jak Fr. Bilý, Ed. Jelinek, Fr. Kvapil, Jar, Lipenský, Ot. Mokrý, Polabský, A. Schwab, T. Sobotka, V. Štulc i inni,[1] — poświęcam uwagę tylko ważniejszym rozprawom, zwracającym na siebie baczność nie tylko rozmiarami, ale i głębokością lub wszechstronnością w ujęciu przedmiotu.[2]

Przebiegając chronologicznie dość obfity dorobek Czechów w literaturze o Krasińskim, rozpocząć musimy od rozprawy Karla Sabiny, która poprzedza Fričovy przekład *Irydiona*

[1] Por. stałe rubryki, dotyczące literatury polskiej, w miesięcznikach i tygodnikach: *Časopis Muzea česk.*, *Hlídka*, *Koleda*, *Květy*, *Lumir*, *Naše doba*, *Osvěta*, *Ruch*, *Slovanský Sborník*, *Svět*, *Světozor* i w. i.

[2] Pomijam również zbiorowe dzieła pisarzy polskich, jak historye literatury, czytanki, podręczniki, przełożone na język czeski, jak n. p. A. Mickiewicza (Wykł. o lit. słow.), Br. Spasowicza (Lit. słow.), A. Brücknera (Lit. pol.) etc., gdzie z natury rzeczy musi być mowa i o Krasińskim.

z r. 1863.[1] Pełna podniosłego zapału i czci dla poezyi, drobna ta rozprawka (na 24-ech stronach) jest wyrazem najwyższego hołdu czeskiego pisarza dla twórcy *Irydiona*.

Karel Sabina (1813—1877), sam poeta i to skrajny romantyk, całą duszą odczuł tę właśnie stronę poezyi Krasińskiego, która najczęściej ginie z oczu, lub przynajmniej blednie, czytelnikom nie-Polakom, t. j. stronę patryotyczną, narodową. On, który już na ławie szkolnej, słuchając wykładów Jungmanna, z zapałem śledził dzieje polskiej walki o wolność, marzył o rewolucyjnych przewrotach i zwycięstwie idei „równości i braterstwa", — on, który w l. 1845—1848 stał na czele politycznych konspiracyi w Czechach, a ideały swe okupił ciężkiem więzieniem w Pradze i Ołomuńcu (do r. 1857.), — może z Czechów najbardziej był powołanym do wypowiedzenia słowa o Krasińskim i jego arcydziele *Irydionie*. Całe życie jego, tak awanturnicze, o tak tragicznym końcu i plamie najniższego upadku,[2] a przecież pełne niepowszednich blasków, nosi na sobie tyle piętna romantyczności i byronizmu, że niemal służyć może za ilustracyę ówczesnej poezyi; postać jego może być niemal typowym wzorem bohatera romantycznej powieści. Nie przesadzimy, jeśli powiemy, że faktycznie odbijają się w niej i jej losach tragiczne przełomy *Nieboskiej Komedyi*, — jest w niej coś, nawet wiele z mocarnej postaci Pankracego. Te same porywy do „społecznych czynów", ta sama moc porywania tłumów, ten sam płomień gniewu, zemsty, nienawiści kastowej, — ten sam w końcu upadek pod ciężarem zawodów i rozczarowań, może stokroć gorszy, bo połączony — wedle legendy — z moralnem upodleniem duszy, pozbawionej jasnego blasku, jakim bił w konającego Pankracego zwyciężający Galilejczyk.

I taki człowiek pierwszy niemal zapoznał społeczeństwo

---

[1] Por. op. cit. *Předslov*. Str. VII—XXIV. Obszerne objaśnienia (připisky) na str. 197—224.

[2] Podejrzany był i oskarżony o zdradę i wysługiwanie się policyi, jako agent-prowokator. Zginął w nędzy i opuszczeniu zupełnem. — Por. szczegóły (do dzisiaj jeszcze niewyjaśnione należycie) życia i twórczości w „Stručných dějinach literatury české J. V. i A. Nováków. (V Olomouci 1910.) Str. 238—240.

czeskie z poezyą Krasińskiego, — pierwszy zapoznał z jego arcydziełami, w których zmagała się ta sama wielka myśl wieków, myśl społecznej walki i sprawiedliwości, myśl, co odegrała tak tragiczną rolę w całem życiu czeskiego romantyka.

Ducha jego, kąt spojrzenia na twórczość Krasińskiego, temperament nawet i styl poetycki poznajemy doskonale ze wspomnianej przedmowy do *Irydiona*. Wychodząc od prastarych epok poezyi-wieszczbiarstwa i poezyi-kapłaństwa, autor porównywa je z współczesnym sobie upadkiem ducha i zmateryalizowaniem społeczeństw, dla których egoizm narodowy, wygodny dobrobyt materyalny, tanie, miałkie wrażenia duchowe są całą treścią życia. Kapitał — ich godłem najwyższem; użycie płaskich rozkoszy życia — całem dążeniem.

W takich warunkach nic dziwnego, że brakło miejsca dla wielkiego kapłaństwa poezyi.

„...Wiara za wiarą rozpadała się, a ciężki skeptycyzm, opanowawszy liczne idee, do sobkowstwa i niewolniczej zawisłości od najniższych interesów powszedniości — do sekciarstwa i fanatyzmu je wtrącił".

„Ci zaś, co wyrzec się nie mogli węzłów, jakie je w pośrodku widzialnego świata z idealnym łączyły, rozglądali się za nowemi, jasnemi drogami ku doskonałości; albowiem uznali, że człowiekowi nie należy poprzestawać na tem, co jeno życie utrzymuje, ale koniecznością jest jego dążyć ku temu, co je podnosi, uszlachetnia i upiększa. Na takiej drodze dopiero można domagać się owego współdźwięku, w jakim wolność i światło spływają się w trwałe błogosławieństwo, — na takiej drodze dopiero dotrzeć można do życiowego szczęścia, które przemyśleli mędrcowie wszystkich wieków, a opiewali pieśniarze wszystkich narodów, o którem starzy prorocy wieścili i doskonalszym je potomkom obiecywali" (Str. VIII—IX).

Przechodząc w dalszym ciągu do współczesnej sobie twórczości artystycznej, a poezyi w szczególności, społeczeństwa nie tylko czeskiego, ale i ogólno-europejskiego, podnosi autor, że na ujmę tego dawnego „majestatycznego" tworzenia rozpłodził się rodzaj poezyi, który, w pośrodku się utrzymując pomiędzy ludową a wieszczą poezyą, polega raczej na zręczności i dowcipie, aniżeli na szczerem natchnieniu poety.

„Pieśniarzy, których płody pochodziłyby z wieszczego i niegasnącego zapału i trwały zapał budziły, którzyby wielkiemi ideami napajali ducha, a w sercach potężne budzili uczucia, — takich zjawia się zbyt mało w czasach, kiedy ludzkość, od innych wy-

siłków omdlała i wycieńczona, niechętnie daje się wyrywać z wygodnego snu ducha, do którego ją kołysze codzienna literatura i łagodnie rozgrzewająca sztuka" (Str. X).

I w przeciwstawieniu do tej miałkiej poezyi ikarów wskazuje Sabina na górny lot twórczości polskiej, która dziedzictwem przejęła od wieszczów klasycznej poezyi moc jasnowidzenia i panowania nad milionami. W jej to łonie wzrosły „potężne, poetyckie katarakty, o których dotychczas niestety nie-słowiańscy badacze literatury zbyt mało wiedzą i zbyt mało powiedzieli." Taką kataraktę natchnionej, wieszczej, nieśmiertelnej poezyi stanowi twórczość Krasińskiego.

Następuje krótki, ale jędrny i nie pomijający żadnego, ważniejszego momentu, rys życia i działalności literackiej Zygmunta. Oparty na nielicznych podówczas (1863 r.) i bardzo ubogich źródłach polskich, nie ma pretensyi do samodzielności, a nie jest też wolny od drobnych przeoczeń, czy omyłek, które zresztą i u nas podówczas stale krążyły w życiorysach i charakterystykach Krasińskiego.[1] Pozatem rozprawka, utrzymana w ramach zapoznawczego szkicu, wykonana sumiennie, spełnia bardzo dobrze swą rolę, zwracając niejednokrotnie na siebie uwagę bystrością spostrzeżeń lub gorącym tonem, pełnym uwielbienia dla twórcy *Irydiona*.

I tak, podkreślając głębię myśli u Krasińskiego, lubującego się w widzeniach apokaliptycznych, podziwia Sabina zarazem w tych wizyach szeroki rozmach „idei światotwórczych," opierających swe skrzydła o wieki całe. Dzięki tej rozległości poglądu a głębi odczucia tchnienia mistycyzmu Krasińskiego nie męczy i nie osłabia, nie odbiera jasności dziełom jego, owszem owiewa je urokiem nadziemskim, dodając blasku nawet drugo- i trzeciorzędnym utworom, jak n. p. *Pokusa*, która pięknem swem przypomina Sabinie „najwspanialsze stronice z poezyi Dantego" (XVIII).

Podnosi dalej autor wszechludzki charakter poezyi

[1] Do takich należy przedewszystkiem błędna data urodzenia Zygmunta: nie 12., ale 19. lutego 1812. r. (Str. XI), czas zajmowania się pismami św. Teresy (r. 1848. Str. XIV) i kilka niedokładności w opisie podróży poety. (Str. XII i XV).

Krasińskiego, nawet w najbardziej patryotycznych, wyłącznie polskich utworach:

„...nie tylko do Polaków, lecz do każdego człowieka... przemawia ten duch podniosły, by całą ludzkość pobudzić ku podniesieniu myśli..."

A nigdzie to się tak potężnie i wszechstronnie nie wyraża, jak w *Nieboskiej*,[1] *Irydionie* i *Resurrecturis*, którym najwięcej autor poświęca uwagi. W *Irydionie* wskazuje na:

„potęgę ducha, który z podziwienia godną dokładnością oznaczył i przeprowadził charakter przeciwnych sobie żywiołów, nie ujmując żadnemu z nich ani należnego mu światła, ani padającego nań cienia. Przeprowadzenie jest tak przedmiotowe, że myśl przewodnia poety ginie zupełnie w poszczególnych scenach i dopiero w całości potężnie rozświta. Wszystkie charaktery, jak bujne kwiaty wykwitają w swej naturalnej barwności na widowni świata i utrzymują się w niej aż do wypełnienia swych ról, ani pyłu świeżości z niej nie utraciwszy" (XIX—XX).

W końcu, charakteryzując Krasińskiego, jako Polaka, katolika i arystokratę z krwi i ducha, broni go przed skrajnymi zarzutami stronniczości i tendencyi, widząc w nim

„ducha wolności, co nauczył się czcić każdą myśl swobodną, o ile ku podniesieniu i zdoskonaleniu ludzkości wiedzie"... „Gorąca miłość ojczyzny, serdeczne przywiązanie do narodu, cierpienie nad upadkiem Polski i nadzieja ponownego jej wskrzeszenia charakteryzują poezyę Krasińskiego zbyt jaskrawo, by go ktoś winić mógł o wsteczne dążności. Wiara jego polityczna pochodziła z głębokiego przekonania, a nigdy dla korzyści osobistych lub jakichkolwiek innych celów" (XXIII).

Program swój ideowy, jeden z najwznioślejszych, jakie poezya stworzyła, wyrażał poeta zawsze i wszędzie jasno i niedwuznacznie, a najwymowniej powtórzył go w swem pożegnaniu niejako ze światem, w *Resurrecturis*.

„W utworze tym dusza poety jeszcze raz się niejako rozglądnęła po świecie, a poeta ostatnią łzę uroniwszy nad odmętem życia, jakby usiłował poraz ostatni zebrać swe poglądy i wieszcze napomnienia i ześrodkować je w jędrnym obrazie swych poetyckich ideałów" (XX).

I jako takiego poetę-wieszcza, co cierpienia narodu i ludzkości odczuł całą siłą wielkiego serca, czci dzisiaj „nie tylko

[1] Tu bym zrobił zarzut, że autor w porównaniu z dwoma ostatnimi poematami, za mało mówi o *Nieboskiej*, którą niezawodnie najlepiej rozumiał i odczuwał. Uczynił to zapewne dlatego, iż pisał przedmowę do *Irydiona*.

tylko Polska, ale i Słowiańszczyzna cała", czerpiąc z jego płodów, jako z nieprzebranego zdroju natchnienia ducha i uszlachetnienia serca. Myśl jego nieśmiertelna, — myśl *Irydiona* — to idea wolności wiecznej, przekazana jako testament potomności. Jaśnieje ona nad życiem i jaśnieć nie przestanie, jako gwiazda krążąc po niebie, aż „kiedyś w całej jasności ocknie się na ziemi i na rumowiskach zdruzgotanej rzeszy niewoli, kłamstwa, ciemnoty i nienawiści, — władanie światła, prawdy i miłości rozpocznie" (XXIV).

* * *

Po tych patetycznych słowach Karla Šabiny przez dwa blizko dziesiątki lat w literaturze czeskiej głucho zupełnie o Krasińskim. Wprawdzie pod datą roku 1865. przytacza K. Estreicher[1] dziełko A. Kotíka *O życiu i pismach filozoficznych i estetycznych Z. K.* (Praga), mimo usilnych starań jednak nie udało mi się go nigdzie spotkać, obecnie zaś stwierdzam z korespondencyi z samym tłumaczem, iż rzecz wspomniana wypowiedziana była tylko jako odczyt w r. 1865, ale drukiem nie ogłoszono jej nigdzie.

Dlatego przenieśmy się odrazu do lat po r. 1880, który rozpoczyna w Czechach nową falę przekładów, studyów i szkiców o Krasińskim. Rozpoczyna je jedna z najwybitniejszych osobistości ówczesnych Czech, Jaroslav Vrchlický-Frida i to wyjątkowo nie przekładem, ani rozprawą, ale bardzo pięknym sonetem o Krasińskim, charakteryzując w nim zasadnicze rysy jego poetyckiej twórczości. Sonet „Krasiński" ukazał się w r. 1880, w cyklu p. t. *Masky a profily*,[2] ilustrującym w dosko-

[1] *Bibliografia XIX w.* T. II. Str. 447. Powtarza za nim tę samą wiadomość i bibliografia pism Kr. w „Wielkiej Encyklopedyi ilustr." S. I. T. 39—40. Str. 743. — Notatka Estreichera, zupełnie niedokładna, nie wzbudza wielkiego we mnie zaufania i z tego powodu, że wogóle slavica traktowane u niego tylko przygodnie i dodatkowo, wiele wiadomości czerpanych z dzienników, informacyi ustnych i prywatnych, wiele błędnych. (N. p. por. niżej Ketitza!)

[2] Nie w cyrklu „Portrety poetów", jak pisze nasz tłumacz, Bron. Grabowski. (p. n.) Por. zbiorek poezyi p. t. *Dojmy a rozmary.* („Wrażenia i Kaprysy") („Salonní biblioteka." č. 27. Nakl. J. Otto v Praze. 1880. Str. 242.) „*Krasiński*" Str. 224.

nały sposób sylwetki poetyckie pierwszorzędnych twórców europejskich, między nimi Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Przekład zaś polski tego sonetu, pióra Bronisława Grabowskiego, ukazał się znacznie później w jednym z tygodników krakowskich.[1] Dla zupełności i okazania, jak dobrze pojął Vrchlický charakter poezyi Krasińskiego i wczuł się w jej tony, przytaczam tu oryginał i przekład:

Krasiński.

Ty srdce hluboké, svým bolem spité!
Ó jistě anděl jak proroku rety
též tobě žárem očistil a vlety
ti křídlo ducha rozpjal obrovité.

Na žití dráze příkré, trnovité
ty všady nesmrtelné trhal květy,
a v srdce tvoje, kde jsi nosil světy,
vše rány tvojí vlasti byly vryté.

Když v kolébce jsi ležel v děcka snění,
dal Dante na čelo ti políbení
a s ním též úděl všeho utrpení.

A tak jsi žil v budoucnosti zoři
jak maják, jehož záře chví se v moři,
než velké jitro lidstva z ven se vznoří.

Głębokie serce, Bogiem wskróś przejęte!
Zaiste anioł usta jak proroka
Żarem oczyścił Tobie i z wysoka
Twe skrzydła ducha rozkołysał święte.

Na życia Twego drodze złej, ciernistej
Zrywałeś wszędzie nieśmiertelne kwiaty
I miałeś w sercu, w któremś nosił światy,
Wryte wsze rany Twej ziemi ojczystej.

Kiedyś w kolebce śnił swe sny dziecięce,
Dante całował czoło cnej dziecinie
I cierpień dolę wkładał w słabe ręce.

Żyłeś jedynie wpatrzon w przyszłą zorzę,
Jakby latarnia, co rzuca blask w morze,
Nim człowieczeństwa ranek zeń wypłynie.

* * *

Od r. 1880. rozpoczyna się też na wielką skalę działalność Františka Kvapila na polu zaznajamiania Czechów z twórczością Krasińskiego. Do niego tedy wracamy.[2]

---

[1] *Przegląd literacki* (Krak.) p. red. Kaz. Bartoszewicza. R. 1898. Nr. 18. i 19. (z dn. 25. IX. i 10. X.) Str. 1. p. t.: „Ze zbiorku „Portrety poetów" Jar. Vrch.". Przekład ten przedrukowano obecnie w krakowskiej jednodniówce jubileuszowej, wydanej przez Komitet obchodu Z. K., p. t. *Ku czci Zygm. Kras. 1812 – 1912.* (Kraków—Lwów.) Str. 24.

[2] Z wcześniejszych lat na wzmiankę zasługuje wydawnictwo „Macierzy morawskiej", redagowane przez Vymazala p. t. *Poezye Słowian* („Slovanská poezije", p. niżej bibliogr.), gdzie pomieszczono też, między innymi, krótki i treściwy, obraz życia i działalności Z. Krasińskiego wraz potrzebnemi objaśnieniami tekstu (T. II. r. 1878. Str. 250—278.)

Wydany w tymże roku *Wybór poezyi* Zygmunta poprzedza obszerna przedmowa o życiu i działalności polskiego wieszcza.[1] Duch jej i charakter zupełnie odmienny, aniżeli pełen romantycznych akcentów „předslov" Karla Sabiny. Spokój i powaga przy gorącem uwielbieniu autora *Przedświtu*, wszechstronna znajomość przedmiotu i dotyczącej go literatury obok samodzielności w sądzie, dokładność w analizie, jasne ujęcie całości w syntezie, trafność w krytyce, ciepły i ujmujący ton wykładu, styl przejrzysty, zwarty, język czysty i piękny — oto zalety Kvapilowego szkicu o Krasińskim.

Porównawszy we wstępie poezyę trzech naszych wieszczów na tle ich epoki, zastanawia się autor, o ile Krasiński wpłynął na obudzenie w społeczeństwie polskiem chęci i woli ku nowej pracy, oraz nadziei w lepszą przyszłość. Przypisuje pod tym względem Krasińskiemu rolę pierwszorzędną, nieustępującą niemal w niczem roli Mickiewicza, a przewyższającą Słowackiego, wskutek tego braku zrozumienia wśród swoich, jaki zawisł nad natchnioną poezyą Juliusza.

I odrazu uderza autor w zasadniczy ton walki o Krasińskiego, w ten główny punkt oskarżenia, jaki zwrócono przeciwko niemu od pierwszego odezwania się Słowackiego do autora *Trzech Psalmów* do chwili dzisiejszej.

„Nazwali Krasińskiego — powiada Kvapil — poetą grobów, lecz on powinien być raczej nazwanym poetą nadziei, jakkolwiek bowiem nad świeżymi grobami swej ojczyzny zaśpiewał smutno, cmentarnie, to przecież pieśni jego szły po całym narodzie polskim z wieszczbą zmartwychwstania i ze słowem pociechy. Ile w nich żalu nad ciężkim upadkiem narodu, tyle było w nich i iskier nadziei, tyleż wzniosłego hymnu w chwili, kiedy malował dzień jego przyszłej chwały. Wzrokiem filozofa idealisty patrzył Krasiński w ciemny chaos dziejowych wypadków, i można rzec o nim, że gdy wszyscy zwątpili, on jedyny nie zwątpił, gdy wszyscy utracili nadzieję, on nawoływał do pracy i nie popadł w rozpacz nigdy".

Obraz życia, rozwoju talentu i działalności Krasińskiego, stosunki wzajemne między nim a Mickiewiczem i Słowackim, tło dziejowe, stosunki literackie i społeczne w kraju i na emigracyi — wszystko to uwzględnia czeski literat z ścisłością historyka

[1] por. wyżej „Vybrané spisy". Předmluva. Str. III—XXIV.

literatury i znawcy wszystkiego prawie, co u nas o Krasińskim i romantyzmie pisano do r. 1880. Kvapil, przebywając sam dłuższy czas w Paryżu i obracając się wśród emigracyi polskiej, dzięki blizkiej i serdecznej znajomości z takiemi osobistościami, jak Adam Asnyk, J. I. Kraszewski, Wacław Gasztowt, Władysław Mickiewicz, Boh. Zaleski i wielu innych, miał sposobność najdokładniej poznać nie tylko najważniejsze objawy życia i piśmiennictwa polskiego, ale liczne ich dalsze i tajemne nici, liczne zakulisowe sprawy, które najczęściej dla obcych badaczy pozostają w ukryciu.

Dzięki tym szczęśliwym warunkom, a nie mniej dzięki nadzwyczajnej sumienności i umiłowaniu przedmiotu ze strony Fr. Kvapila, we wszystkich szkicach jego i rozprawach, dotyczących Krasińskiego (a podobnie i innych postaci w naszej literaturze) nie znajdujemy niemal nic do wytknięcia. Materyał historyczno-literacki i krytyczny (w tym wypadku Mickiewicz, Siemieński, Koźmian, Klaczko, Tarnowski, Hoesick, Gnatowski, listy do Gaszyńskiego i. i.) — nie mówiąc już o dziełach samego poety — przetrawiony i wyzyskany doskonale, toteż nic dziwnego, że i komentarz do życia i dzieł poety, dany w przytoczonej i dalszych rozprawach Kvapila, może służyć za wzór tego rodzaju poważnej pracy zapoznawczej, a pełnej wartości literackiej i naukowej.

W uzupełnieniu dodać należy, że przy tłumaczeniu poezyi Krasińskiego i pisaniu o niej posługiwał się Kvapil niemal wszystkiemi, wyszłemi do r. 1880, wydaniami jego pism, a w szczególności lipskiem (Brockhausa), lwowskiem z r. 1875 (Amborskiego) z przedmową prof. Tarnowskiego, poznańskiem z r. 1867 (Dzikowskiego), przy późniejszych tłumaczeniach także lwowskiem wydaniem Piniego, oraz pamiętnikami A. E. Koźmiana, listami Gaszyńskiego, monografią prof. Tarnowskiego i in.

Omawiając poszczególne dzieła Krasińskiego, daje Kvapil jędrny i przejrzysty ich rozbiór, tłumaczy powstanie, charakteryzuje rolę, jaką utwór odegrał współcześnie, oraz znaczenie, jakie ma dzisiaj. Szczególnie podnosi wielką wartość *Nieboskiej*, jako „dramatu społecznego, ale tak rozległego treścią, z taką

werwą i znajomością rzeczy napisanego, jakiego nie posiada żadna inna nowoczesna literatura" (VIII). Obok niej stawia *Irydiona*, najwspanialszy wyraz miłości ojczyzny, poświęcenia i prawdy, a o *Śnie* wyraża się, że jest to „przecudowna kompozycya, pełna żaru i mocy Dantowskich tercyn" (XIII). W *Przedświcie* podziwia podniebny wzlot natchnienia, dosięgający najwyższych porywów Mickiewiczowskich, ale potępia w nim błędne często poglądy poety na przeszłość polską oraz zbytni mistycyzm, przechodzący za często w mglistość i niejasność (XVI). *Psalmowi Miłości* nie oddaje tego uznania, jakiem darzy inne, a dla jego charakteru chwili i zbyt lokalnego znaczenia nie przekłada go na język czeski. Podobnie się ma rzecz z *Psalmem żalu*, w którego kompozycyi nie widzi prądu życia i artystycznego poziomu poprzednich psalmów, przez któreto braki staje się on „suchą dyskusyą". Za to z uniesieniem mówi o *Psalmie dobrej woli*, jako o najpotężniejszym hymnie Krasińskiego w ostatnim okresie poety życia i (mimo wszystkie jego słabości) „dostojnem zakończeniu całej jego poetyckiej wędrówki" (XX).

Ostateczny sąd swój o Krasińskim formułuje czeski krytyk w następujących słowach, uderzających życiem, wyrazistością i plastyką:

„Oryginalny w treści i formie, stworzył (Krasiński) odrębny swój język i czysto indywidualny sposób przeprowadzania swych pomysłów, czem wybitnie różni się od swych poprzedników i następców. Upodobanie jego w tem, że poezyę swą owiewał szczególnym, mistycznym półmrokiem, wychodzi czasem poniekąd na szkodę pełnemu jej zrozumieniu, jednakże w przeważnej części jego utworów bywa tok jego myśli czysty i jasny, jakkolwiek zadziwia czytelnika to niespodzianemi krasami wymowy, to wysokością lotu, któremu jedynie Mickiewicz i Słowacki dorównać mogli.

„Poezye jego rozumiano czasem błędnie, wytykano mu, że wielbieniem cierpienia i ofiary i niezachwianej nadziei w przyszłość wpływał na społeczeństwo polskie w sposób jakby usypiający, zapominano jednak przy tem, że nadewszystko wielbił czyn, bez którego dla nikogo zbawienia niema, ani nie będzie, i że błędnych tych tłumaczeń nie jest przyczyną on, lecz krótkowzroczni ich tłumacze sami. Gdzie wpływ się jego kończył, tam na podstawie przezeń utwierdzonej ufności zaczął dalej budować kierunek, wyrażający się w poezyi Słowackiego, i dlatego naturalną jest rzeczą, że kult tego poety nastał w piśmiennictwie polskiem dopiero po kulcie Krasińskiego.

„A był on tak gorliwym narodowcem, jak każdy inny z tej jasnej plejady polskich pieśniarzy doby niedawnej, — i rzec można zaprawdę, że krwią własnego

serca każda jego pieśń pisana. Zarzut ortodoksyjnego katolicyzmu jest zupełnie nie na miejscu, jeśli możemy bowiem dzisiaj z niezmniejszającym się, estetycznym pożytkiem czytać helleńskie śpiewy Iliady i Odyssei i lubować się bez przeszkody w klasycznej piękności dramatów Kalidasowych, tem bardziej przebaczymy pieśniarzowi polskiemu, że pisał, jak mu serce i czyste przekonanie pisać nakazywało. To czysto poetyckie jest przecież w utworach jego wszędzie na miejscu pierwszem i zapewnia mu też miejsce nieśmiertelne w kole największych śpiewaków świata. Widnokrąg jego wyobraźni niezmierzony, wnika w najtajniejsze głębie wszechświata i wieków, to znowu w małowniczych szczegółach oświetla dążenie i namiętności ludzkie, z poglądem filozofa-optymisty łącząc niepowszedni talent obserwatora-realisty".

Tyle Kvapil o Krasińskim w *Wyborze poezyj*. Co ponadto mówi w wstępie historyczno-literackim do *Nieboskiej*[1] (r. 1900) i w przedmowie do *Irydiona*[2] (r. 1905), jest niczem innem, jak monograficznem rozwinięciem charakterystyki obu powyższych dzieł, pomieszczonej w pierwszej, najobszerniejszej rozprawie, z szerszem uwzględnieniem literatury danego przedmiotu, a zwłaszcza korespondencyi samego poety. Toteż w sądzie, wypowiedzianym o pierwszem studyum Kvapila nic nam nie pozostaje do uzupełnienia. I tutaj równa tamtej sumienność w opracowaniu przedmiotu, chociaż w tak ciasnych ramach, i tutaj oświetlenie psychicznego procesu przy tworzeniu się poematów, ich genezy i myśli przewodniej jasne i wierne, oparte na dokładnej znajomości rzeczy i należytem dokumentowaniu sądów wiadomościami ze źródeł.[3]

Prócz wyżej wspomnianych szkiców, wymienić jeszcze należy dwie prace Kvapila, odnoszące się do życia Krasińskiego,

---

[1] Por. wyżej op. cit. *Literárně-historický úvod.* Str. 3—17.

[2] Por. wyżej op. cit. *Předmluva,* Str. 7—18. i wyczerpujące objaśnienia do tekstu (Přispívky, Str. 323—368.)

[3] Nie podzielam tutaj i tej drobnej poprawki, jaką zrobił w recenzyi swej p. R. Zawiliński, „prostując" pogląd Kvapila na genezę *Nieboskiej*, której podkład w cz. I. i II. miał stanowić — wedle Kvapila — wzajemny stosunek rodziców poety, stosunek Zygmunta do ojca etc., a w szczególności „różnica charakterów rodziców Zygmunta". Przypuszczenie Kvapila przemawia mi zupełnie do przekonania; dziecko, choć dziesięcioletnie zaledwie, ale tej miary zdolności, jaką się odznaczał Krasiński, mogło już doskonale stosunek ten pojąć i zapamiętać, a przynajmniej wrażliwością i intuicyą niezwykłą odczuć, względnie przeczuć. Przykładów na to nie mało w dziejach literatury i w psychologii. I sąd prof. Tarnowskiego przypuszczenia powyższego jeszcze nie burzy. (por. R. Zawilińskiego fejl. „Krasiński w literaturze czeskiej". *Czas* 1900. Nr. 178).

a to: jedna z r. 1884. p. t. *Delfina Potocka*, szkic z cyklu p. t. *Żony i kochanki słowiańskich poetów*[1] i druga z r. 1886., p. t. *Nieznajoma*. Szkic z życia Z. K.[2] Są to już nie studya literackie, choć pochłonęły i one niemało pracy w poszukiwaniach historycznych i noszą wyraźne ślady badań literackich, — ale lekkie, swobodne, „hoesickowskie" obrazki, z których wieje czar poezyi i uwielbienia dla poety i usiłowanie wczucia się w jego sytuacye życiowe, przełomy duszy i serca.

Jak u Hoesicka, wynikły one zarazem z chęci wyzyskania zajmującego tematu z życia niezwykłego człowieka dla osobistych celów literackich: utkania na kanwie tego życia barwnej, żywej, erotyką i poezyą obficie zaprawionej powiastki. Jako takie czytają się też lekko i z przyjemnością, zbliżając nam zarazem poetę i sprowadzając go z piedestału wieszcza na ziemię, gdzie się odkrywa jego zwyczajne oblicze — człowieka.

Jak się należy zapatrywać na całą tę rozległą pracę Kvapila ze stanowiska czeskiego, dowiemy się ze sprawiedliwej oceny Dr. Pražáka:

„Kvapil nie przekładał dla przekładów, — jemu zawsze chodziło o to, aby przekładem zająć, porwać za sobą, zrozumienie znaleść, aby czytelnikom autora przybliżyć, aby nauczyć ich czytać polskich poetów i wczuwać się w ich dzieła. Wiedział, że tu konieczną jest rzeczą prowadzić czytelnika, oświetlać dzieło poety oznaczeniem tła jego powstania, dokumentować utwory żywotnymi ich odblaskami w duszy autora, słowem — ukazać poetę przy pracy i objaśnić, dla czego to lub owo tak napisać musiał... Przy każdej sposobności szukał w dziele resonansu życia poety.

„Z tej świadomości płyną informacyjne artykuły, studya i essaye Kvapila. Kiedykolwiek coś przełożył, natychmiast poda-

[1] *Ženy a milenky slovaských básniků* VII. w fejlet. „Národnich Listů." V Praze 1884.

[2] *Neznamá*. Črta ze života Zyg. Krasinského („Slovanský Sborník" E. Jelínka. R. V. (1886.) č 9—10.) — Oba obrazki ukazały się następnie w r. 1893. w zbiorowym tomie szkiców literackich pod zbior. tyt. pierwszej. („Salonní bibliotéka" red. Ferd. Schulz. Č. LXXXII. V Praze. Nakl. J. Otto. 1893. Str. 246.) *Delf. Potocka*, Str. 191—198, *Nieznajoma*, Str. 73—90.

wał studyum literackie o świeżo przełożonym poecie. Chodziło mu zawsze o jasną podobiznę autora i jego miejsce w literaturze polskiej. Stąd sprawozdania z piśmiennictwa polskiego, przygodne fejletony etc. do wszystkich, wybitnych pism naszych, stąd te niezliczone szkice jubileuszowe, nekrologi. Kvapilowi nigdy nie przeszkadzała tu drobna przestrzeń. Wyraziście i pełnemi barwami rysował; pierwszy lepszy portret jego przedstawia się, jakby ostrzem dłuta rzeźbiony medalionik".

A celem głównym tych wszystkich rozpraw, szkiców i fejletonów było: wzbudzić wśród Czechów i w szerszych nawet warstwach „zajęcie dla losów życia przednich śpiewaków słowiańskich, a temsamem i dla ich utworów".[1]

Informując zaś o rzeczach polskich w Czechach nieznanych, posługiwał się przy tem metodą naukową, uwzględniając historyę rozwoju każdego przedmiotu, wyzyskując cały, nieznany Czechom, materyał krytyczny, zastosowując szeroko a przystępnie metodę porównawczą na tle piśmiennictwa rodzimego, lub lepiej znanych literatur zachodnio-europejskich, dzięki czemu każdą postać, każde dzieło poety zbliżał i uprzystępniał czytelnikowi. Tak n. p. ma się rzecz ze szkicami Kvapila o dziełach Słowackiego, Mickiewicza, Goszczyńskiego i. i., tak ze studyum o „bohaterkach poezyi polskiej", tak z komentarzem do poematu Krasińskiego *Ostatni*, którego koncepcyę porównywa autor z Byrona *Więźniem Chillonu* lub Słowackiego *Anhellim*, i t. p.

* * *

Pod datą r. 1881 wspomnimy jeszcze o ks. Vaclavie Svatopluku Štulcu (1814—1887), tłumaczu Mickiewicza, a — jak pisze E. Jelínek[3] — „zacnym i wielkiego charakteru mężu, serdecznym przyjacielu Zygmunta Krasińskiego, A. Cieszkowskiego i ks. Jerzego Lubomirskiego".

---

[1] A. Pražak op. cit. Str. 200 i 201.

[2] *Hrdinky polské poesie* („Zlatá Praha").

[3] Por. jego Korespondencyę z Pragi, z marca 1877 r. w tyg. lwowskim *Ruchu literackim*. T. I. Str. 267.

Skąd Jelínek zaczerpnął tę wiadomość o „serdecznej przyjaźni" jego z Krasińskim, nie umiemy objaśnić, nigdzie bowiem nie znaleźliśmy żadnych śladów podobnego stosunku. To pewna, że poeta bardzo żywo zajmował się piśmiennictwem i życiem polskiem, że utrzymywał blizkie stosunki z wielu Polakami w kraju i na emigracyi, że pisywał do pism polskich i częściej do rodzimych o rzeczach polskich, że był jednym z najgorliwszych popleczników t. zw. zgody czesko-polskiej (wraz z ks. J. Lubomirskim), że wreszcie przekładał z zapałem (choć z mniejszem szczęściem) Mickiewicza [1] i innych, a zwłaszcza *Resurrecturis* Krasińskiego.[2] Na tem tle, zdaje się, osnuł Jelínek swe daleko idące przypuszczenie o „serdecznej przyjaźni" Štulca z Krasińskim, na co pozatem żadnych innych dowodów nie mamy.[3] W każdym razie jednak okoliczność ta zasługuje na uwagę i godna bliższego zbadania ze względu na osobę Krasińskiego.

O ks. V. Štulcu umiemy jeszcze to tylko powiedzieć, że i poezyą Krasińskiego się zajmował, zabierając głos na uroczystem posiedzeniu praskiego „Koła polskiego" w r. 1881., kiedy to ku czci Zygmunta wypowiedział odczyt p. t. *Krasiński jako wieszcz*.[4] Odczytu tego jednak prawdo podobnie nigdzie w Czechach nie drukowano, co wnosimy nietylko z bezskutecznych poszukiwań takiegoż artykułu ks. Štulca w pismach czeskich, ale i z innych okoliczności, jak n. p., że artykułu tego nie znajdujemy w zbiorowem wydaniu pism ks. Štulca, a także z wieści, iż odczyt wspomniany, jak i cała uroczystość Krasińskiego w Pradze miały charakter czysto przygodny. Na uro-

---

[1] *Wallenrod, Grażyna, Sonety Krymskie, Ballady i Dziady.* (W II. tomie jego pism w Národní *bibliotéce* 1874 i 1878). — Przekłady liche i ciężkie.

[2] Por. niżej bibliografię przekładów.

[3] Nie wspomina nic o tem i polski biograf V. Štulca, Janusz Ferd. Nowakowski w broszurce p. t. *Ksiądz Wacław Štulc*, kanonik wyszehradzki, tłumacz Adama Mickiewicza na język Czeski. Szkic biograficzny (Warszawa. Nakł. aut. Księg. Kauffmana i Sp. 1862. Str. 32), — nie wspominają i późniejsze nekrologi jego po pismach polskich i czeskich.

[4] *Krasiński jako věštec* — tak czytamy w sprawozdaniu ówczesnego przewodniczącego „Koła", Dr. Sz (padkowskiego), drukowanem w *Slovanským Sborniku*, rocz. I. (1881). na str. 176—7.

czystości tej przemawiał również ówczesny członek praskiego „Koła polskiego", obecny powieściopisarz, Teodor Jeske-Choiński na temat *Szlachty w poezyi Krasińskiego*, ale i ten odczyt nie został nigdzie ogłoszony drukiem.[1]

W najnowszych wreszcie czasach pisał obszerniej o Krasińskim Dr. Josef Karásek, autor popularnej historyi literatur słowiańskich, gdzie także poświęca gorące słowa zachwytu poezyi Krasińskiego, porównując jej obrazy i wizye z wenecyańskiemi płótnami Ticiana. Znamienną jest też rzeczą, że ten sam pisarz, w szkicu p. t. *Polscy pisarze w Rzymie*[2] religijnemi wizyami Collosseum natchnioną poezyę Zygmunta przeciwstawia szyderczej poezyi jednego z najgłośniejszych dzisiaj poetów czeskich, J. Machara. Bezbożnemu (ze stanowiska katolickiego) jego *Rzymowi*, w którym, przy całej sile i pięknie poezyi, fanatyzm anty-religijny i partyjny przysłania oczy poecie na piękno klasycznej Romy i niebiańsko-krwawe wizye katakumb pierwszych chrześcijan, czyniąc z tego poematu raczej jakieś socyalno-religijne *credo* autora, aniżeli dzieło dojrzałego i świadomego swego celu artyzmu — temu *Rzymowi* przeciwstawia Dr. Karásek w kontemplacyi czystego ducha tonące strofy Krasińskiego, stawiając je niejako za wzór niedoścignionny czeskiemu poecie.

* * *

Taki byłby w głównych zarysach dorobek literacki Czechów na polu literatury o Krasińskim. Jak na znajomość tego poety wśród re sztySłowiańszczyzny, jest to wiele i bardzo wiele, co na uznanie niech będzie tym kilku jednostkom czeskim, a w pierwszym rzędzie Fr. Kvapilowi, który z całą świadomością szerzył wśród swego społeczeństwa kult dla twórcy *Irydiona*.

Nie ulega wątpliwości, że obecny rok jubileuszowy dorzuci jeszcze niejedną kartę do księgi pamięci i poznania Krasińskiego w Czechach, jak to już się dzieje i w dalszych stronach

[1] Donosi mi o tem sam p. Jeske-Choiński w liście prywatnym. Tytuł jego odczytu brzmiał wedle wspomnianego wyżej sprawozdania: *O šlechtě v poesii Kr.*

[2] *Polšti spisovatelé v Římě.* („Moravská Orlice", fejl. z r. 1908 lub 1909. Morav. Ostrava).

Słowiańszczyzny. Niech nam będzie wolno tutaj dodać, że podpisany, pragnąc niejako zaokrąglić tę znajomość Krasińskiego w Czechach, ogłasza prawie równocześnie w języku czeskim szkic o nieznanych tam i mało znanych pismach Zygmunta, opierając swą rzecz na owocach badań polskich historyków literatury z ostatnich lat.[1]

Bibliografia przekładów.

a) Zbiorowe i oddzielne wydania.

1863. *K. Z.* — *Iridion.* Přel. Jos. V. Frič. S předslovem od K. Sabiny. Praha. 1863.

1878. *Slovanská poezije.* Výbor z národného a umělého básnictva slovanského v českých překladech. Sestavil a liter. úvody opatřil. František Vymazal.

Sv. II. *Polská a lužicko-srbská literatura.* V Brně. 1878.[2] Nákl. Matice Moravské. Str. 250—278.

1. „Nebožska Komedie". (Cz. I.) přel. Fr. Žherský.
2. Z „Irydionu". (fragm.) přel. Jos. V. Frič.
3. Z „Předsvitu" (p. I—III.) přel. Fr. V. Kvapil.
4. Z „Glossy sv. Teresie". (fr.) přel. Fr. V. Kvapil.
5. „Z mrtvých vstání". (= Resurrecturis) přel. V. Štulc.

1880. *Z. K.* — *Vybrané spisy.* Přel. František Kvapil. (Z histor. liter. wstępem). „Salonní Bibliotéka" č. XVI. V Praze. Nakl. J. Otto. 1880. Str. XXIV+331.

1. „Nebožská komedie".
2. „Pokušeni" (= Pokusa).
3. „Předsvit".
4. „Žalmy budonenosti". (I—III.)
5. „Sen". (Z Niedokończonego poematu).
6. „Různé basně". (Razem 34: Zlomek glossy sv. Teresie, Básník, Stržené masky, Vim, pro mne Sibiř..., Než slunce vyjde, Ty ptaš se mne, Vindobona, Kde klid?, Na Sibiř, Nevysněná a čarovná. Italie, Duchům při světle měsíce, Rozloučení, Ideal večný, Čas a večnost, Po smrti, O čem snívám, Nad jezerem Albano, Dívce, Bolest rozloučení, Závět, Vždy a všude, Modli se za mne, Za hrobem, Bez návratu, Fragment, Koloseum, Nový život, Lazur duše, Roma, S Bohem Italii, Resurrecturis, Tři myšlenky. — Wedle wydania lwowskiego z r. 1875).

---

[1] Ukaże się w „Slovanským Přehledě" w Pradze, w nr. 5—12. b. r.

[2] U Jelinka raz pod datą r. 1876, drugi raz pod 1878 (op. cit.).

1882. *S. K.* — *Povidky*, (=Powieści) přel. C. Frič. „Ustřední knihovná." č. 67, Praha, 1882.
1. „Hrobka rodiny Reichstallské".
2. „Zámek vlčovský".
3. „Gastold".
4. „Teodoro".

1900. *Z. K.* — *Nebožská Komedie.* Z polštiny přel. Frant. Kvapil. (S literárně historickým úvodem od překladatele.) Praha. Nákl. J. Otty. Tiskem „Unie". „Světová knihovna" č. 153—154. Str. 17—169.

1905. *Z. K.* — *Irydion.* Přel. František Kvapil. (Z przedmową i objaśnieniami.) „Sborník Světové Poesie", vydává Česká Akademie c. Fr. J. pro vědy, slovesnost a umění. Číslo 88. (Roč. IX. Tř. IV. č. 11.) V Praze. Nakl. J. Otty. 1905. Str. 18—321—368.

1910. *Z. K.* — *Letní noc.* Z polštiny přel. Ant. Kotík. Praha. Nákl. J. Otty. Tiskem „Unie" „Světová knihovna". č. 791. str. 47.

b) Poszczególne utwory.

Agaj-Han:
- *a)* **1835,** (cał.) przeł. Fr. L. Čelakovský (pseud. Slavomir Tomiček.) („Česka Včela". R. 1835. Str. 129 i n.).
- *b)* **1857,** (fragm.) przeł. B—ý p. t. Z historické pověsti „Agaj-Han". (Lumir, 1856. T. II. Str. 903. i n.).
- *c)* **1877,** (cał.) przeł. Fr. L. Čelakovský, („Sebráne spisy Fr. L. Č." Praha. 1877. T. III. str. 3—148.).

Gastołd:
- *a)* **1880,** przeł. Lip. C. Frič. („Koleda" (ołom) 1880. Nr. 33—34.).
- *b)* **1882,** przeł. C. Frič. („Povidky", Praha. 1882. Ústřední knihovna, Číslo 67. Str. 79—94.).

Grób rodziny Reichstalów:
- *a)* **1880,** przeł. L. Frič Lipský p. t. „Hrobka rodiny Reichstalské. Histor. povidka". („Světozor" (illustr.) 1880. Str. 19—79.).
- *b)* **1882,** przeł. C. Frič (j. w.) „Povidky" j. w. (Str. 3—56.)

Irydion:
- *a)* **1856,** (fragm.) przeł. J. V. Frič. („Lumir", 1856. T. II. Str. 903. i n.)
- *b)* **1863,** (cał.) przekł. Jos. V. Frič. S předslovem od Karla Sabiny. (V Praze. Nákl. kněhkup. I. L. Koba. 1863. Str. XXIV+196—224).
- *c)* **1878,** (fragm.) przeł. Jos. V. Frič. („Slovanska poezije', Frant. Vymazala. Brno, 1878. Str. 250—278.)
- *d)* **1905,** (cał.) przeł. Frant. Kvapil. („Sbornik světové poesie', vyd. Čes. Akad. N. i t. d. V Praze J. Otto, 1905.)

Liryki drobne:
- *a)* **1860,** *Resurrecturis* (=„Z mrtvých vstáni".) przeł. V. Štulc. (Lumír, 1860. Str. 1153. Urywki z tego przekładu pomieszczone też w K. Sabiny przedmowie do „Irydiona" w przekł. Jos. V. Friča. (1863 r.) — Drugie wydanie tegoż p. n. r. 1878. („Slov. poezije".) — Drugi przekład (Fr. Kvapila), a trzecie wydanie tegoż p. n. r. 1880, „Różne wiersze".

b) **1863,** *Módl ty się za mnie...* przeł. E. Vávra pt. „Poslední báseň Z. K." („Rodinná Kronika". 1863. II. Str. 543.)

c) **1877,** *Zawsze i wszędzie,* przeł. Jar. Vrchlický. („Lumír" 1887. Str. 207.). — 2-gi przekład p. n. r. 1880. „Różne wiersze".

d) **1878,** *Ułamek naśladowany z glozy św. Teresy,* przeł. Fř. V. Kvapil. „Slovanská poezije" Frant. Vymazala. Brno, 1878. Str. 250—278).

e) **1879,** Z wierszy pośmiertnych Z. K.: *Pytasz się czemu..., (I słowik tylko...) Do Duchów..., Roma.* (Z půzostalých básní Sigm. Krasińského": Ty ptaš se mne. — Duchům při světle měsice. — Roma.) przeł. Frant. Kvapil. („Lumír". R. VII. (1879.) č. 22. Str. 334—5. 2-gie wyd. p. n. r. 1880. „Różne wiersze".

f) **1880,** *Różne wiersze* („Různe básně"), przeł. Frant. Kvapil („Vybrané spisy Z. K." Sal. bibl. č. XVI. Praha. J. Otto. 1880. Str. 227—302.) Pomieszczono tam następujące 34 pomniejsze utwory liryczne, które wymieniamy w porządku rozmieszczenia ich w wydaniu Kvapila, a wedle tytułów, wprowadzonych do najnow. krak. wydania *Pism Z. K.* J. Czubka:[1] *Ułamek naśladowany z glozy św. Teresy, Poeta, Im dalej idę..., Do Moskali, Nim słońce wejdzie..., I słowik tylko po święty Wit śpiewa..., Nad miastem chmury..., Tak więc ciągle..., Na Sybir!, Znasz co namiętność?..., Jak anioł spadły..., Do duchów przy świetle księżyca..., Ledwom cię poznał..., Do Beatr..., Czas, Gdybym dziś, jutro..., Do D..., Listku dziś suchy..., Do kobiety..., Czyż z Tobą wtedy..., Niech moja dusza..., Zawsze i wszędzie..., Módl ty się za mnie..., Do D. (Po śmierci.), Kiedy kwiaty..., Jak kawał lodu..., Tam gdzie spokój..., Cośmy kochali..., Myślałem nieraz..., Do Elizy, O ziemio włoska... Resurrecturis, Trzy myśli.*

g) **1880,** *Dla Ciebiem wszystko...* („Pro tebe"...) przeł. F. H. Časlavský („Koleda" ołom. 1880. Čis. 1.) — Wtóry przekład w r. 1886. Fr. Kvapila wyd. w szkicu jego p. t. *„Neznamá, Črta ze života Zyg. Kr."* w „Slovanským Sborníku". Roč. V. (1886.) č. 9—10.; to samo powtórnie drukowane w r. 1893, w cyklu szkiców lit. Fr. Kvapila pt. *„Ženy a milenky slovanských básníků"*. (p. n.)

Nieboska komedya. *a*) **1875,** „(cz. I. II.) przeł. *Fr. Žherský* p. t. Z „Nebožské komedie" S. K. („Lumír". Roč. III. č 24—7. Str. 308 i n. 320 i n. 334 i n.)

[1] T. VI. Utwory liryczne 1833—1858. Kraków, Gebethner i Sp. 1912. — U Kvapila nagłówki wierszy brzmią niemal wszystkie odmiennie.

b) **1878,** (cz. I.) przeł. Fr. Žhersky j. w. („Slovanská poezije". Frant. Vymazala itd. j. w.)

c) **1880,** (cał.) przeł. František Kvapil („Zygmunta Krasińského Vybrané spisy". V Praze. J. Otto. 1880. „Salonní bibliotéka". č XVI. Str. 1—109.)

d) **1900,** (cał.) przeł. tenże p. t. „Nebožská komedie" (j. w.) S literárně-historickým úvodem od překladatele. (Praha. J. Otto. b. d. r. „Světová knihovna", č. 153—4. Str. 17—169.)

Noc letnia: *a*) **1863,** przeł. Ant. Kotík p. t. „Letní noc". („Boleslavan", 1863.)

b) **1872,** przeł. Ketitz (?)[1]

c) **1910,** przeł. Ant. Kotík. („Světová knihovna". č. 791. Vyd. J. Otto. V Praze. B. d. r. Str. 47.)

Pokusa: *a*) **1863,** przeł. Ant. Kotík p. t. „Pokušení" („Lumír", 1863. II. Str. 985 i n.)

b) **1877,** przeł. Fr. Žherský. („Obrazy života" Praha, 1875. č. 6, 7, 8, Str. 107, 122.)

c) **1880,** przeł. tenże. („Vybrané spisy Z. K". i t. d. (j. w.) str. 111—130.)

Przedświt: *a*) **1877,** (fragm.) przeł. Fr. V. Kvapil pt. „Předsvit". („Lumír", 1887. Str. 207 i n.)

b) **1878,** (fragm.) przeł. Vojt. Pakosta. („Svetozor", 1878. Str. 495.)

c) **1878,** (cz. I-III.) przeł. Fr. V. Krapil. („Slovanská poesie" Frant. Vymazala i t. d. (j. w.) Str. 250—278.)

d) **1880,** (cał.) przeł. tenże. („Vybrané spisy Z. K." i t. d. (j. w.) Str. 131—174.).

c) **1884,** (fragm.) przeł. tenże. („Květy". Roč. VI. v Praze. (1884.) č. 10. Str. 448.).

Psalmy przyszłości: *a*) **1874,** *Psalm nadziei,* przeł. Fr. Žherský p. t. Z Krasińskeho „Žalmů budoucnosti": „Žalm naděje". („Beseda". (ołom.), Roč. I. 1874. Str. 187 i n.).

b) **1880,** (ps. I—III.) przeł. Frant. Kvapil p. t. „Žalmy budoucnosti: Žalm víry. Žalm naděje. Žalm dobré vůle". („Vybrané spisy Z. K." i t. d. (j. w.) Str. 175—194.).

Sen (z „Niedok. poematu"): **1800,** przeł. Frant. Kvapil p. t. „Sen. Piseň z nedokončeného poematu". („Vybrané spisy Z. K." i t. d. (j. w.) Str. 195—223.).

---

[1] Tak podaje K. Estreicher w swej *Bibliografii XIX w.* (T. Str. 472—4. pisząc, że „*Noc letnią*" i Listy Z. K. tłum. na czeskie r. 1872. Ketitz. Przypuszczam jednak, że zachodzi tu pomyłka: Ketitz zam. Kotik, r. 1872. zam. 1863. (!), ponieważ nigdzie czegoś podobnego (ani przekładu listów Kr.) nie udało mi się odszukać.

Teodoro, król borów:	*a)*	**1879,**	przeł. L. C. Frič p. t. „Teodoro, král lesů". („Česká včela". R. 1879. Str. 281 i n.).
	b)	**1882,**	przeł. tenże. („Povidky" i t. d. (j. w.) Str. 95—104.)
Trzy myśli Ligenzy:		**1880,**	przeł. Frant. Kvapil p. t. „Tři myšlenky: Syn stínů, Sen Cezary, Legenda". Bez przedmowy Kras. i mott. (Vybrané spisy Z. K." i t. d. (j. w.) Str. 303—331.).
Zamek Wilczki:		**1882,**	przeł. C. Frič p. t. „Zámek vlčovský". („Povidky', i t. d. (j. w.) Str. 57—77.)

Reszta utworów Krasińskiego — o ile wiemy — dotychczas nie doczekała się jeszcze przekładu czeskiego. To jednak co dotychczas przełożono, przedstawia — na pochwałę Czechów — walną i najpiękniejszą część spuścizny po Krasińskim.

* * *

Na tem kończymy obecnie rzecz o Krasińskim w Czechach. Najciekawszy przedmiot stanowi część o wpływie poety na twórczość niektórych czeskich pisarzy. O tem jednak, jak i o dziejach poezyi Krasińskiego w innych stronach Słowiańszczyzny, wśród Słowieńców, Serbo-Chorwatów, Rosyan etc. — mowa będzie na innem miejscu.

Dr. Tad. Stan. Grabowski.

KWESTYA DROŻYZNY.

(C. d.)

III.

W poprzednich ustępach starałem się skreślić główne przyczyny drożyzny. Jedne z nich są wynikiem ewolucyi gospodarczej i społecznej, inne konsekwencyą idei gospodarności wytwórców, t. zn. dążenia ich do osiągnięcia możliwie najwyższych materyalnych zysków. Wobec tego uchylenie przyczyn sprowadzających drożyznę jest niemożliwe, bo płyną one z naturalnych praw gospodarczych. Polityka ekonomiczna przeto, która przyjęłaby jako program radykalne usunięcie powodów drożyzny, byłaby chybiona jako niewykonalna — czynniki te są tak ściśle złączone z samą istotą gospodarowania, że usunąć ich niepodobna. Tem samem i zakres ewentualnej akcyi przeciw drożyźnie należy określić skromniej lecz i racyonalniej: może on objąć rozpatrywanie, względnie użycie takich środków, które stanowiąc przeciwwagę przyczynom drożyzny, osłabiałyby lub nawet neutralizowały ich ujemne skutki.

W ten sposób postawiwszy kwestyę, muszę z góry stwierdzić, że z punktu widzenia gospodarczego nie można uzasadnić walki z drożyzną, jako taką, tylko z pewnymi jej przejawami. Drożyzna jest wynikiem normalnych praw ekonomicznych, można więc przeciw niej wystąpić jedynie przy pomocy sztucznych, z zewnątrz gospodarstwu narzuconych środków. Otóż

jasną jest rzeczą, że wszelki sztuczny wpływ posiada pewne ujemne strony i dlatego tylko o tyle można go stosować, o ile ze względu na istotnie ważne interesy ogólne jest rzeczywiście niezbędny. Niedostateczne uzasadnienie potrzeby, lub przesadna wielkość środków w porównaniu z zamierzonym celem, muszą okazać się szkodliwe, bo utrudniają lub uniemożliwiają działalność gospodarczą pewnych jednostek lub warstw, a tem samem pośrednio i całego społeczeństwa. Szczególniej w sprawach tak bardzo nadających się do jednostronnego, a więc w gruncie rzeczy egoistycznego ujęcia, jak drożyzna, należy być bardzo ostrożnym. Konsumenci i producenci stanowią jedną całość społeczną; dobrobyt narodowy zależy od rozwoju gospodarczego obu tych grup, músi się przeto wystrzegać skrzętnie upośledzenia lub uprzywilejowania jednej czy drugiej warstwy; każdą z nich można skrępować tylko o tyle, o ile tego domaga się rzeczywiście dobro ogółu. Podobne stanowisko zajmuje się we wszystkich kwestyach praktycznej polityki ekonomicznej. Domagamy się np., ażeby krajowe zapotrzebowanie pokrywało się krajową produkcyą, ze względu na podniesienie wytwórczości społecznej. W ten sposób nakłada się niejednokrotnie na konsumcyę pewne ciężary, w kształcie ceł ochronnych, zakazu oddawania dostaw publicznych cudzoziemcom i t. p. Taka polityka jest słuszna, o ile nie przechodzi pewnych granic, byłaby jednak najzupełniej chybiona, gdyby utrudnienia konsumcyi wzrosły wskutek niej tak znacznie, że przeniosłyby swemi szkodami zyski, osiągnięte rozwojem produkcyi. Podobnie jest także z drożyzną. Korzyści konsumentów muszą dla gospodarstwa narodowego przedstawiać większą wartość niż straty wytwórców, inaczej akcya przeciwdrożyźniana jest chybiona.

Naturalnie zasady te odnoszą się do działalności związków prawno-publicznych, zmierzającej do osłabienia drożyzny. Wysiłki konsumentów, ażeby zaopatrywać się taniej, nie wchodzą tu w rachubę, bo opierają się na takich samych prawach, na jakich u wytwórców wspiera się tendencya drożyźniana, jakkolwiek oczywiście aspiracye obu tych stron są radykalnie

sprzeczne. Wszelka działalność spożywców, podjęta własnemi siłami, ażeby obniżyć koszta swego utrzymania jest naturalną; przejawia się jako walka z przeciwnikiem, dla interesu. Dla działalności publicznej niema jednak ani przyjaciół ani wrogów tylko całość społeczeństwa, stąd też może ona wystąpić tylko w granicach rzeczywistego dobra ogólnego.

Opierając się na tych przesłankach, można przedewszystkiem akcyi publicznej zakreślić granice negatywne, których przekroczyć nie powinna. Najpierw przeto nie można dopuścić do jakiejkolwiek działalności przeciwdrożyźnianej w tych gałęziach produkcyi, które stanowią główną podstawę bytu gospodarczego społeczeństwa, jeżeli zniżka cen wywołałaby zastój w ich rozwoju. W tych wypadkach interes ogólny idzie do pewnego punktu zgodnie z interesem producentów. Z pewnością konsumcya może się znaleść w położeniu bardzo przykrem, może z trudnością tylko zdobyć się na zaspokojenie swych potrzeb. Lecz dobrobyt narodowy poniósłby niepowetowane straty, gdybyśmy wystąpili przeciw wytwórcom i w ten sposób sprowadzili zmniejszenie produkcyi. Naturalnie, że granicę stanowią tu ekonomicznie i społecznie uzasadnione dochody wytwórców, t. zn. tak wysokie, ażeby umożliwiały utrzymanie i rozwój ich działalności. Liczebne ich ustalenie będzie oczywiście zależne od faktycznych stosunków. Zasadniczo można tylko powiedzieć, że ceny muszą być dość wysokie, ażeby zapewnić producentom odpowiednie utrzymanie własne i dostateczne środki na racyonalne prowadzenie gospodarstwa. Natomiast niewłaściwem i nielogicznem jest żądanie, ażeby ceny zapewniały dochody mniej więcej równe dochodom w innych gałęziach produkcyi. Zwyczajnie uzasadnia się to żądanie twierdzeniem, że o ile dochody produkcyi dla kraju najważniejszej byłyby niższe od zysków w innych działach, nastąpi emigracya sił ludzkich i kapitałów z produkcyi głównej do tamtych. Zapomina się jednak przytem, że nie wpływa się tu na ceny jedynie dlatego, że ma się do czynienia z wytwórczością decydującą o dobrobycie narodowym. Właściwość tę posiada jakakolwiek gałąź produkcyi tylko o tyle, o ile w ogólnym do-

chodzie społecznym odgrywa główną rolę ilościową — inaczej nie byłoby powodu zajmować wobec niej jakiegoś wyjątkowego stanowiska. W takim jednak razie przerzucenie się z tego działu do innej produkcyi niema dla naszej kwestyi żadnego znaczenia. Albo bowiem będzie się tu rozchodziło o nieliczne jednostki, a w takim razie jest to dla ogółu dość obojętne, albo nastąpi wielka przemiana, a wówczas dana gałąź utraci swą dominującą rolę i zniknie powód odmiennego jej traktowania. Dlatego też w wypadku, gdy chodzi o produkcyę, stanowiącą główną podstawę dobrobytu narodowego, stosunek jej dochodów do dochodów innych warstw produkcyjnych nie może wchodzić w rachubę przy ocenie polityki drożyźnianej.

W naszym kraju decydujące znaczenie posiada produkcya rolnicza. Niemcy lub Anglicy mogą domagać się akcyi państwowej zmierzającej do jak największego obniżenia cen zboża i bydła, bo zmieniły się w państwa przemysłowo-handlowe, podjęcie jednak u nas walki przeciw polityce agrarnej, dowodzi jedynie bezkrytycznego przejmowania haseł, przychodzących z Zachodu. Kraj, w którym trzy czwarte ludności żyje z produkcyi rolnej, którego cały prawie przemysł i handel znajduje zbyt u siebie, bo wywóz za granicę jest stosunkowo bardzo mały — doszedłby w krótkim czasie do zupełnej ruiny, gdyby podkopał podwaliny produkcyi rolniczej i tak jeszcze bardzo zacofanej, walczącej bezustannie z brakiem środków, niezbędnych dla podniesienia techniki, a tem samem i wydajności ziemi. Bez wątpienia pragniemy uprzemysłowienia kraju, widzimy w niem najważniejszy sposób zwiększenia dobrobytu narodowego, skierowujemy ku temu celowi znaczną część naszych sił i środków. Lecz właśnie dlatego nie możemy zapominać o interesach rolnictwa. Nasz młody przemysł, więcej niż którykolwiek inny, może się rozwinąć i wzmocnić tylko pod warunkiem, że wzrost konsumcyi krajowej zapewni mu zbyt odpowiedni. Wszędzie, nawet w najbardziej pod względem przemysłowym rozwiniętych krajach, targi krajowe główną odgrywają rolę; nigdzie przemysł nie opiera się na wywozie, który zawsze stanowi tylko uzupełnienie zbytu krajowego.

Tem mniejsze znaczenie może mieć wywóz dla przemysłu młodego, bo zdobycie targów zagranicznych, na których ściera się konkurencya międzynarodowa jest zawsze trudniejsze od opanowania własnych rynków. A jasną jest rzeczą, że ich pojemność, zależy od siły kupna warstwy najliczniejszej, więc u nas od ludności rolniczej. Nie tylko więc w interesie rolnictwa, lecz także, a może przedewszystkiem w dobrze zrozumianym interesie nowo powstającego przemysłu, musi się u nas wykluczyć wszelką akcyę anti-agrarną.

Naturalnie nie idzie bynajmniej o to, ażeby rolnikom zapewnić nadmierne zyski, albotеż, ażeby uważać każde podniesienie cen płodów ziemi za objaw dodatni. Jeżeli uważam w interesie kraju za wskazane, ażeby rolnictwo miało odpowiednie dochody, to najpierw chodzi o wielką masę rolników, a powtóre o nich tylko, a nie o posiadaczy środków żywności, którzy stykają się ze spożywcą. Stąd też niepodobna bronić polityki agrarnej, którąby przynosiła korzyści tylko nielicznym grupom rolniczym, n. p. właścicielom większym; nie można zmierzać do sprowadzenia przesadnych cen ziemiopłodów, któreby sprowadzały zbyteczną rentowność gospodarstw wiejskich, kosztem utrudnień konsumcyi; wreszcie chociaż leży w interesie kraju zapewnienie dostatecznych dochodów rolnikom, to jednak niema najmniejszego powodu dla ochrony pośrednictwa, o ile ono za swe usługi domaga się za wysokiej zapłaty. Innemi słowy, tylko ta część polityki agrarnej jest uzasadniona, która wychodzi na korzyść całego rolnictwa i to rzeczywiście rolnictwa, nie zapewniając mu jednak nadmiernej renty.

Skargi na wybujałości polityki agrarnej, na t. zw. lichwę agrarną, są tak powszechne i głośne, że należy choć w kilku słowach wskazać na przyczyny, które je wywołują, ażeby stwierdzić, o ile są uzasadnione i o ile nie dałoby się usunąć ich powodów, bez naruszenia zasad powyżej skreślonych. Skargi te są zupełnie zrozumiałe, bo chodzi o cenę najważniejszych środków żywności, a więc o możność utrzymania wszystkich tych rodzin, które nie produkują środków pożywienia we własnem gospodarstwie. Podstawą ich jest twierdzenie, że koszta wyży-

wienia podniosły się w ostatnich czasach bardzo znacznie — co jest prawdziwem — i że główną przyczyną tej klęski jest wzrost cen wytworów rolniczych — w czem właśnie tkwi główny błąd całego rozumowania. Powierzchowne choćby zapoznanie się z techniką życia gospodarczego, jak i statystyka któregokolwiek kraju dowodzą niezbicie, że ceny środków żywności nie stoją bynajmniej w prostym stosunku do cen otrzymywanych przez rolników. Prawda, że sprzedają oni swe płody lepiej niż dawniej, lecz wzrost ten nie przekroczył bynajmniej stopnia ogólnego podniesienia się dochodów, a tem samem nie sprowadził tej drożyzny, którą dziś tak dotkliwie odczuwa konsument. Przedział pomiędzy cenami, uzyskiwanemi przez rolników, a temi, które opłacają konsumenci, staje się coraz większy i ta różnica powoduje przedewszystkiem ucisk drożyźniany. A jasną jest rzeczą, że nie korzysta z niej rolnik, lecz jedynie ci wszyscy, którzy oddzielają go od spożywcy, to też polityka, która sprowadziłaby zniżkę cen płodów rolniczych, zaszkodziłaby niewątpliwie rolnictwu, lecz mogłaby okazać się zupełnie bezskuteczną, o ile chodzi o zwalczenie drożyzny.

Równie nieuzasadnioną byłaby jakakolwiek akcya, zmierzająca ku obniżeniu cen artykułów zbytkownych. Ponieważ nie podobna jej uzasadnić interesem ogólnym, przeto jedyną podstawą, na której możnaby ją oprzeć, byłoby twierdzenie, że pozwolenie na wygórowane zyski przy produkcyi zbytkownej oddziaływa niekorzystnie na rozwój wytwórczości w działach ogólnego zapotrzebowania, bo kapitały zwracają się ku rentowniejszym przedsiębiorstwom. Niebezpieczeństwo takie istnieje z pewnością, nie można jednak przeceniać jego doniosłości, a przedewszystkiem nie można go zwalczać środkami, które mogą w praktyce wydać jeszcze gorsze skutki. Produkcya zbytkowna albo pracuje na rzecz potrzeb warstw zamożniejszych, albo stara się upowszechnić pewne potrzeby zbytkowne. W pierwszym wypadku sztuczna ochrona wymagań gospodarstw materyalnie silnych jest najzupełniej nieuzasadniona, a nawet społecznie szkodliwa, gdyż wysokie ceny artykułów zbytkownych mogą dodatnio oddziałać na rozdział dochodów społecznych.

Szczególniej dzisiaj, gdy pod wpływem rozwoju kultury i subtelniejszych uczuć, pojęcie zbytkownego artykułu wiąże się raczej z artystycznem wykonaniem, aniżeli z kosztownością materyału, wygórowane ceny podnoszą w pierwszej linii wartość usług ludzkich, działają przeto dodatnio. Zresztą potrzeby zbytkowne tak łatwo dadzą się zmienić lub ograniczyć, że wszelka przesada cen staje się dla samych dostawców szkodliwą, a tem samem nie może się utrwalić. W drugim natomiast wypadku, gdy chodzi o szerzenie potrzeb zbytkownych, drożyzna nie może pojawić się w początkach, gdyż przeciwdziałałaby głównemu celowi — upowszechnieniu artykułów zbytku, później zaś o ile się ten cel osiągnie, mamy już do czynienia z produkcyą zwyczajną, a nie zbytkowną.

Wreszcie bez względu na rodzaj produkcyi, można zwalczać drożyznę tylko pod warunkiem, że ceny podniosły się niepomiernie. Dotkliwy nawet dla konsumentów wzrost cen nie stanowi jeszcze dostatecznej podstawy dla rozwinięcia akcyi polityczno-ekonomicznej, jeżeli jest wynikiem naturalnego i społecznie korzystnego rozwoju gospodarczego. W jakich wypadkach wyższe ceny są uzasadnione powyższemi przyczynami, podniosłem już poprzednio, omawiając przyczyny drożyzny, tutaj więc wystarczy stwierdzić, że walkę przeciw drożyźnie mogą podjąć czynniki publiczne tylko w razie społecznych nadużyć producentów, albo ich gospodarczej nieudolności. Nadużycia zachodzą, gdy producenci, korzystając z okoliczności im sprzyjających, podnoszą ceny dla zapewnienia sobie wysokich zysków, jakkolwiek sprzedając taniej, mieliby również dostateczne dochody. Nieudolną jest produkcya, najpierw gdy tylko przy wygórowanych cenach może się utrzymać, chociaż lepsza technika lub gospodarniejsze prowadzenie gospodarstwa pozwoliłyby na tańszą sprzedaż bez obniżenia własnych dochodów, a powtóre, jeżeli wskutek swej niedostateczności, sprowadza niepotrzebnie stały lub chwilowy brak towarów i wywołuje w ten sposób drożyznę, szkodliwą dla konsumentów, bezpłodną dla wytwórców.

W tych granicach dopiero można domagać się akcyi prze-

ciwdrożyźnianej. Pozytywne jej rozmiary i stopień jej natężenia nie powinny być jednakowe na wszystkich polach, lecz muszą być zastosowane do doniosłości celu, t. zn. do znaczenia potrzeb, które pragnie się chronić. Wchodzą tu w rachubę dwa główne momenty: jakość konsumcyi i stopień jej upowszechnienia. Jakkolwiek klasyfikacya potrzeb ma charakter przedewszystkiem indywidualny, to jednak znamy całe ich szeregi, które w interesie ogółu powinny być u każdego dostatecznie zaspokajane. Domagają się tego względy ogólno-społeczne, tak natury gospodarczej, jak kulturalnej, narodowej i t. p. Typowym tego przykładem są potrzeby, związane ze zdrowotnością, a więc sprawa odpowiedniego odżywiania się, mieszkania i ubezpieczenia niezbędnego minimum hygieny. Całym szeregiem ustaw i zarządzeń ogranicza się tu swobodę jednostek ze względu na interes ogółu, jasną przeto jest rzeczą, że na tem przedewszystkiem polu musi się rozwinąć działalność przeciwko drożyźnie. Nie pozwala się n. p. mieszkać w domach czy ubikacyach, które nie odpowiadają przepisom policyi sanitarnej lub budowlanej, logicznie przeto musi się dążyć do tego, ażeby każdy miał materyalną możność wynajęcia odpowiedniego mieszkania. Poprzestanie na czysto negatywnej akcyi zakazu, byłoby błędem; musi się ją uzupełnić działalnością pozytywną, zmierzającą do wytworzenia przystępnych czynszów.

Podobnie na skuteczniejszą opiekę zasługują potrzeby upowszechnione w szerokich warstwach ludności. Jakość ich i stopień ich uprawnienia nie wchodzą tu już w rachubę, wystarcza bowiem stwierdzenie, że posiadają charakter masowy, że ogół, lub najliczniejsza część ludności, uważa ich zaspokojenie za niezbędne dla swego zadowolenia i dobrobytu. Naturalnie nie możemy popierać rozwoju potrzeb szkodliwych, jeżeli jednak pokrywanie tych potrzeb nie wywołuje skutków ujemnych, musimy się starać, ażeby odpowiednie artykuły były spożywcom materyalnie dostępne. Każda konsumcya spełnia dwie odmienne funkcye. Jedna, którą możnaby nazwać naturalną, jest wynikiem dążenia do utrzymania bytu przyrodniczego i społecznego, druga, zmierza do zapewnienia człowiekowi pewnej sumy przy-

jemności i zadowolenia. Do pierwszej kategoryi należą potrzeby, które musi się zaspokoić, jeżeli nie chce się naruszyć swego zdrowia, podstaw swego gospodarstwa, stanowiska społecznego albo kulturalnego, przepisów nałożonych przez społeczeństwo itp. Znaczną część tych potrzeb normujemy jednolicie dla wszystkich w interesie publicznym, tak, że ich jakość jest już dostateczną podstawą, ażeby zajęła się niemi polityka ekonomiczna. Obok nich jednak występuje jeszcze druga grupa, nie posiadająca wprawdzie charakteru niezbędności, lecz ze stanowiska ekonomicznego i kulturalnego również bardzo doniosła. Zaspokojenie potrzeb niezbędnych zapewnia człowiekowi utrzymanie bytu, nie daje mu jednak nic więcej. Lecz cywilizacya i dobrobyt dopiero wtedy mogą liczyć na dostateczny rozwój, jeżeli ukazują jednostkom nadzieję pewnej sumy szczęścia. Potrzeby niezbędne, o ile są zaspokojone, dają człowiekowi dość siły do działania, nie zapewniają jednak bynajmniej jego dobrej woli. Ażeby chciał z tych sił korzystać w całej pełni, musi mieć pewność, że jego wysiłek przyniesie mu coś więcej prócz utrzymania bytu, że mu dostarczy pewnych przyjemności. Inaczej człowiek byłby maszyną, pracującą tylko na to, ażeby nadal pracować mogła. Stąd też każdy odczuwa pewne pragnienia dalej idące i w ich zaspokojeniu widzi chwilowe swe szczęście. Cały rozwój gospodarczy, wszystkie wysiłki ku podniesieniu dobrobytu, opierają się w znacznej mierze na tych właśnie uczuciach i byłoby wielkim błędem, gdybyśmy się z niemi nie liczyli. Jakieś indywidualne tylko, albo jedynie u nielicznych grup występujące dążenia, można naturalnie pominąć; zamknięcie jednak drogi do osiągnięcia materyalnych przyjemności, które są postulatem najszerszych warstw ludności, byłoby równoznacznem z podkopaniem u nich energii gospodarczej, a tem samem i głównej podstawy dobrobytu ogólnego. To też drożyzna odnośnych artykułów jest równie niebezpieczna, jak wysokie ceny towarów niezbędnych, musimy przeto ją o ile możności łagodzić: Przykładu dostarcza tutaj gwałtowna opozycya krajów niemieckich przeciw każdemu podwyższeniu podatku od piwa. Nie chodzi tu bynajmniej o pożywne składniki

piwa, choć niejednokrotnie przytaczają i ten argument; głównym powodem oporu jest uznanie, że dla najszerszych warstw ludności podrożenie piwa przyniosłoby zbyt wielką przykrość, zmniejszyłoby możność zaspokojenia jednej z dostępnych im potrzeb zbytkowniejszych, odebrałoby im pewną część i tak już nielicznych ich przyjemności.

IV.

Społeczeństwo zabiera się zwyczajnie do załatwienia trudniejszych problematów ekonomicznych dopiero wtedy, gdy ogół odczuwa dotkliwie szkody, wywołane stanem obecnym. Stąd też uderzają nas przedewszystkiem braki i niedomagania panujących stosunków, patrzymy na zagadnienie, które stoi przed nami, z ciasnego, jednostronnego punktu widzenia. Naturalnym skutkiem takiego stanu rzeczy jest wysunięcie na pierwszy plan negatywnej strony przyszłej akcyi, co przejawia się zwykle w ogólnem żądaniu usunięcia pewnych przejawów gospodarczych przy pomocy zakazów prawnych lub zagrożenia karami materyalnemi, czy też innemi. Szerzy się w kraju opilstwo, żąda się ustawy przeciw pijaństwu; gdy rozwielmożni się lichwa, chcemy ją zwalczać przepisami karnymi; wystąpi, jak teraz, drożyzna, domagamy się walki z kartelami. Zapomina się przytem, że każde nadużycie i każda trudność gospodarczo-społeczna, wynika z głębszych przyczyn, że więc usunięcie tych niedomagań można osięgnąć jedynie przez działalność twórczą, pozytywną. Zakaz prawny i kara mogą być tylko uzupełnieniem właściwej pracy, która ma stworzyć nowe, zdrowsze warunki dla mechanizmu ekonomicznego życia; same przez się, pozbawione głównej części całej akcyi, będą zawsze niewystarczające, lub nawet szkodliwe.

Sprawa drożyzny przedstawia zupełnie podobny rozwój. Strona pozytywna akcyi zostaje w półcieniu, podnosi się natomiast wszędzie z wielkim naciskiem konieczność zarządzeń przeciw nadużyciom, a więc zakazu, t. zn. negacyi. Tymczasem z poprzednich rozpatrywań wynika jasno, że drożyzna wiąże

się ściśle z pewnymi czynnikami naszego rozwoju gospodarczego, które same w sobie nie mając charakteru ujemnego, umożliwiają jednak nadużycia, albo przynajmniej zapanowanie wybujałego egoizmu materyalnego. Żaden zakaz wystarczyć tu nie może, bo automatyczna gra interesów gospodarczych musi okazać się silniejszą. Choćbyśmy wprowadzili najostrzejsze przepisy prawne, nie podołamy nimi samymi drożyźnie, gdyż albo okaże się, że stosowanie ich przynosi zbyt wielkie szkody, a wówczas pozostaną martwą literą lub naruszą podstawy dobrobytu, albo też życie, rozwijając się stosownie do naturalnych warunków gospodarczych, potrafi je obejść, a więc sprowadzić do rzędu norm teoretycznych, faktycznie bezskutecznych. Chcąc zwalczyć drożyznę istotnie, musimy więc sięgnąć głębiej, musimy stworzyć gospodarczo zdrowe podstawy dla takiego kształtowania się cen, ażeby wielki ogół ludności mógł dostatecznie zaspokajać swe potrzeby życiowe.

Zadanie to nie jest bynajmniej łatwe i domaga się współdziałania obu czynników zainteresowanych, to znaczy ciał publicznych, działających w imię dobra ogółu i konsumentów, dbałych o swój własny interes. Konsumenci pracują tu w myśl naczelnej zasady gospodarności, związki prawno-publiczne, jak widzieliśmy, mogą wprowadzić zmianę tylko w sposób sztuczny. Stąd też i teren działania jest dla obu tych podmiotów odmienny; usiłowania konsumentów, a więc samopomocy, mogą i powinny objąć całą dziedzinę życia ekonomicznego, państwo i mniejsze związki publiczne mają wystąpić tylko tam, gdzie drożyzna zagraża dobru ogólnemu. Współdziałanie samopomocy i akcyi publicznej sięga tylko do pewnego punktu, dalej mogą pójść już tylko własne wysiłki zainteresowanych. Taka wspólna akcya da się oznaczyć, według tego, co podniosłem poprzednio, dwoma zasadami. Konsumenci wraz z związkami prawno-publicznemi mają zwalczać drożyznę na wszystkich polach, o ile przyczyną jej są nadużycia, bądź prawne, bądź ekonomiczne, polegające na wybujałościach egoizmu indywidualnego, nie liczącego się z interesem ogółu, a powtóre mają zwalczać drożyznę, bez względu na jej przyczynę, występującą odnośnie do artykułów,

niezbędnych dla odpowiedniego utrzymania szerokich warstw ludności.

Konsumenci, pragnąc przeciwdziałać drożyźnie, mają tylko jeden skuteczny środek do rozporządzenia, t. zn. zgrupowanie się w wielkie stowarzyszenie odbiorców. Jest to rzecz tak powszechnie znana, że nie potrzebuję bliżej uzasadniać tej idei. Natomiast muszę w kilku słowach zwrócić uwagę na warunki, od których zależy skuteczność takiej organizacyi. Wszelkie stowarzyszenie odbiorców — głównym typem są spółki spożywcze, lecz obok nich należą tu syndykaty zawodowe, o ile zajmują się dostarczaniem środków produkcyi, spółki budowlane, obliczone na zaspokojenie potrzeb swych członków i t. d. — zwalcza drożyznę dwoma środkami. Najpierw tworzy z konsumentów wielkiego nabywcę, a tem samem nie dopuszcza, ażeby producent jednostronnie normował ceny, a powtóre usuwa w całości, lub przynajmniej w znacznej mierze pośrednictwo handlowe. Wobec tych korzyści, musimy się jednak liczyć z jedną poważną wadą takiego ustroju, nieodłączną od wszystkich zrzeszeń gospodarczych. Jest nią mniejsze zainteresowanie osobiste kierowników spółki w jej rezultatach, a stąd niebezpieczeństwo, że poprowadzi się ją mniej gospodarnie od przedsiębiorstwa, obliczonego na bezpośredni zysk swego posiadacza. Ujemne skutki tego niedomagania mogą być tak doniosłe, że zniknie wszelka korzyść stowarzyszenia. Tylko pod warunkiem, że przedsiębiorstwo zbiorowe poprowadzi się o ile możności tak samo jak indywidualne, a więc, że sprowadzi się do minimum szkody, wynikające z braku interesu osobistego, mogą konsumenci spodziewać się ze swej organizacyi poważniejszych rezultatów.

W najważniejszym dziale takich stowarzyszeń, przy spółkach spożywczych, czynniki te odgrywają największą rolę. Nie można zapominać, że odbiorcy artykułów spożywczych, kupują je w nieznacznych ilościach, wskutek czego różnica ceny ma wprawdzie wielkie znaczenie dla ogólnego budżetu, lecz nie daje się tak odczuć w każdym konkretnym akcie wymiany. To też okoliczności drugorzędne, towarzyszące umowie o kupno, jak skrzętne przystosowywanie się do upodobań publi-

czności, szybka usługa, liczenie się z wygodą odbiorców, uprzejmość personalu i t. p. wpływają w bardzo znacznym stopniu na rozwój stowarzyszenia. Kupiec baczy na to wszystko bardzo pilnie, bo wiąże się z tem jego dobrobyt; zarząd spółek spożywczych, aż nazbyt często nie liczy się z podobnemi wymaganiami i podkopuje przez to byt swojej organizacyi. Jasną bowiem jest rzeczą, że zrażona choćby drobiazgami publiczność, nie mając dostatecznej przeciwwagi w zaoszczędzeniu wydatków, powraca do handlów prywatnych i zmniejszając w ten sposób odbyt stowarzyszenia, odbiera mu główną jego broń przeciw drożyźnie: charakter wielkiego konsumenta.

Zwiększeniu sprawności i ekonomicznego wpływu stowarzyszeń konsumentów przeszkadzają nadto dwie wady organizacyjne, które występują w przeważnej liczbie podobnych zakładów. Jest to zasada, że z głównej części zniżki cen korzystają odbiorcy dopiero po zamknięciu roku gospodarczego, jakoteż, że dla umożliwienia jak największej taniości, winno się poczynić jak największe oszczędności na kosztach zarządu. W teoryi jedna i druga idea jest zupełnie uzasadniona, w praktyce jednak zbyt radykalne ich przeprowadzenie prowadzi tylko do tego, że spółki spożywcze, nie rozwijając się, tem samem nie mogą skutecznie oddziałać na regulacyę cen. Najpierw więc spółki spożywcze trzymają się zwykle systemu sprzedaży towarów po zwykłych cenach targowych, albo co najwyżej nieznacznie tylko od nich niższych i rozdzielenia swych zysków dopiero po roku pomiędzy członków, w stosunku do wysokości ich konsumcyi. W ten sposób, spółka może przez cały rok obracać zyskiem, powiększa przeto swój kapitał obrotowy, a konsumenci przyzwyczajają się przymusowo do oszczędności, bo po roku dopiero zwraca się im nadwyżkę, zapłaconą za kupione towary. Jeden i drugi rezultat jest niewątpliwie pożądany, lecz tylko o tyle, o ile osiąga się go bez szkody dla głównego celu całej akcyi. Tymczasem w rzeczywistości, postępując w ten sposób, stwarza się wyższość dla handlu prywatnego, a więc samochcąc utrudnia rozwój stowarzyszeń spożywczych. Jasną bowiem jest rzeczą, że główną warstwą ludności, na któ-

rej mogą się one oprzeć, są gospodarstwa, które ze względu na szczupłość swych dochodów, najdotkliwiej odczuwają drożyznę. Klasy zamożniejsze będą dla takich spółek zawsze tylko drugorzędną podporą, raz ze względu na różnorodność swej konsumcyi, w której potrzeby zbytkowniejsze wielką odgrywają rolę, powtóre ze względu na swe wymagania, wybitnie indywidualne, przeradzające się dość często w kaprys i fantazyę. Może się z nimi liczyć kupiec, który za to każe sobie dobrze zapłacić, nie zaspokoi ich stowarzyszenie, którego zadaniem jest tanie pośrednictwo. Otóż ludność, skromnymi tylko rozporządzająca środkami, nie ma w stosunku do swych potrzeb nadmiaru dochodów, tak, że oszczędzać może tylko o tyle, o ile sobie czegoś odmówi. Spółka, sprzedając towar po cenie, po której pozbędzie go każdy kupiec, nie daje tym klasom żadnych na razie ułatwień, obiecuje tylko pewne i to nieokreślone korzyści w przyszłości, w formie zwrotu, którego wysokość oznaczy się dopiero później. Obecnie przeto nie podobna tym ludziom polepszyć swych stosunków, ograniczenia a może niedostatek trwają nadal; nie usuwa się im przykrości codziennych. W takich warunkach obietnice lepszej przyszłości działają niezbyt silnie i to tem bardziej, że spółki spożywcze trudniej udzielają kredytu od innych pośredników. Nic przeto dziwnego, że pierwsza większa czy gwałtowniejsza potrzeba zwraca takich gospodarzy ku handlom prywatnym, w których dostanie się towaru po takiej samej cenie na kredyt. Raz wszedłszy na tę drogę, człowiek niezamożny jest już dla stowarzyszenia na długo stracony, bo trudno mu się uiścić z zaciągniętego u kupca długu. Spółka więc powinna w interesie swego rozwoju zapewnić swym odbiorcom bezpośrednie korzyści i to dość znaczne, ażeby odczuli je rzeczywiście w swoim budżecie domowym. Część zysków można rozdzielać w formie końcowych dywidend od konsumcyi, ażeby szerzyć oszczędność, lecz ceny odrazu muszą się dość znacznie różnić od cen handlu prywatnego, inaczej stowarzyszenie nie rozwinie się nigdy. Może to przeprowadzić jedynie spółka, która odrazu będzie wielkim nabywcą, a więc posiadająca dostateczny kapitał i znaczną ilość

członków. Drobne zakłady będą tylko wegetowały i pozostaną zawsze bez wpływu.

W drugiej linii musi być odpowiednio rozstrzygnięta sprawa administracyi. Wszelkie oszczędności, które można przeprowadzić jedynie kosztem niedogodności dla klienteli są wprost szkodliwe. Bardzo często spółki spożywcze starają się osiągnąć zmniejszenie kosztów zarządu przez używanie nie dość licznego i mniej wymagającego personalu, jakoteż przez ograniczenie dnia roboczego do małej liczby godzin. Jedno i drugie musi być dla publiczności niesympatyczne, a tem samem utrudnia spopularyzowanie stowarzyszeń. Użycie personalu w całości lub części bezpłatnego, a więc oparcia się w pewnej mierze na zasadzie altruistycznej, jest w każdem gospodarstwie tak niewłaściwe, że nie potrzebuję nad tem rozwodzić się szerzej. Lecz może jeszcze gorszem będzie użycie personalu tańszego, bo nie dość wyrobionego, w pierwszym bowiem wypadku możemy jeszcze liczyć na dobrą wolę, w drugim występuje nieudolność, której nie można usunąć. A właśnie kupiec, mając do czynienia z publicznością, musi posiadać pewne zalety nie tylko zawodowe, lecz i czysto osobiste, zręczność, uprzejmość i t. p. Braku ich nie zastąpi żadna wiedza fachowa, bo chodzi tu nie o wytworzenie dóbr, albo o układ z zawodowym producentem, lecz o drobną, cząstkową sprzedaż, przy której lada drobnostka może zrazić klienta. Tak samo ograniczenie dnia roboczego do kilku godzin czy rannych czy wieczornych, jakkolwiek umożliwia poważne oszczędności, jest zupełnie chybione. Nabywca chce mieć pewność, że potrzebny towar dostanie o każdej porze; dla niego te nieliczne godziny, w których sklep spółki jest otwarty, mogą być niedogodne; niższe ceny nie zawsze będą dostatecznym ekwiwalentem tych utrudnień, to też znowu wybierze raczej sklep inny, zwróci się do kupca, który we własnym interesie będzie się starał we wszystkich kierunkach zadowolić jego życzenia.

Działalność czynników publicznych winna przedewszystkiem ukrócić nadużycia, t. j., jak zaznaczyłem już wyżej, wyzyskiwanie sytuacyi dla celów egoistycznych, bez względu na interes publiczny. Tutaj należy cała sprawa walki z kartelami

i pokrewnymi im związkami. Kartel sam przez się, jako organizacya producentów lub sprzedawców, zmierzająca do uchylenia złych skutków wolnej konkurencyi, jest instytucyą, której wpływ gospodarczy może być nader dodatni. Stąd też nie może być mowy o akcyi, któraby zdążała do uniemożliwienia lub rozwiązania karteli. Lecz kartele, do których przystępuje się w nadziei polepszenia własnego bytu, niemal siłą rzeczy prowadzą do wyzyskania dla egoistycznych celów nowej sytuacyi, stworzonej przez uchylenie panującej przedtem konkurencyi. Przed powstaniem kartelu każdy posiadacz towaru miał dwóch przeciwników: odbiorcę i każdego innego dostawcę. Skoro wszyscy posiadacze towarów już się ze sobą porozumieli, pozostał tylko konsument jako przeciwnik i wszelki wzrost zysków można osiągnąć tylko jego kosztem. Naturalnem przeto dążeniem skartelowanych przedsiębiorców musi być tendencya ku powiększeniu cen, gdyż wobec związku kartelowego nie można powiększać swego zbytu. To też można powiedzieć, że jakkolwiek kartel w zasadzie jest związkiem o celach użytecznych, w praktycznem życiu gospodarczem musi zmierzać do wykorzystania swej przewagi przy pomocy podwyższania ceny.

Walka z kartelami przeto jest wskazana interesem ogółu i nieunikniona, pozostaje jedynie do rozpatrzenia jej zakres i środki, których należy użyć. Otóż zakres walki oznaczony jest poprzednimi wywodami; władza publiczna, pozwalając i nadal utrzymywać się i tworzyć kartelom, winna położyć tamę śrubowaniu cen. Sporniejsza jest sprawa środków, szuka się ich bowiem na polu ustawodawczem, administracyjnem, albo gospodarczem. Żądania, ażeby przy pomocy specyalnego ustawodawstwa kartelowego podjąć z kartelami walkę, o ile wychodzą poza nakaz jawności wobec władzy prowadzenia kartelu, wydają mi się niepraktyczne i nieuzasadnione. Są one niepraktyczne i nieuzasadnione, bo trudno tu wynaleźć odpowiednią sankcyę prawną, bez której każda ustawa ma znaczenie czysto teoretyczne. Ostatecznie nie można zapominać, że kartel, wyzyskując nawet w najbezwzględniejszy sposób swą siłę, nie popełnia żadnego przestępstwa karnego. Możnaby oczywiście skon-

struować takie przestępstwo, wystarczy wprowadzenie w tym celu nowego paragrafu do ustawy karnej, lecz takie postępowanie byłoby niezgodne z naszem poczuciem prawnem, bo stworzyłoby dla jednej kategoryi czynów gospodarczych specyalne *privilegium odiosum*. Celem każdego działania ekonomicznego jest osiągnięcie możliwie najwyższego zysku. Cel ten uważamy wszędzie tam za dozwolony, gdzie użyte środki nie wykraczają przeciw obowiązującym przepisom. Można więc potępić i skwalifikować karnie środki używane przez kartel, albo nawet sam kartel, nie można scharakteryzować jego tendencyi, jako przestępstwa. Uznanie kartelu za związek karygodny byłoby nieodpowiedniem ze względu na materyalny interes społeczeństwa, możnaby się przeto zwrócić jedynie przeciw środkom, t. zn. sposobowi działania. Tutaj jednak występuje tak wielka różnorodność, tyle jest możliwości zastąpienia jednego środka drugim, że praktyczny skutek takiej ustawy byłby w każdym razie bardzo drobny. Ustawodawca nie może po prostu przewidzieć wszystkich możliwości, bo sam zakaz działałby podniecająco na zmysł wynalazczy, wobec tego, że chodzi tu o interes materyalny bardzo poważny. Ustawa przeto może działać skutecznie tam tylko, gdzie rozchodzi się o usunięcie przejawów społecznie szkodliwych, a nie dość dla zainteresowanych ważnych, ażeby wzbudziło się w nich pragnienie obejścia norm prawnych.

Jeżeli jednak nadzieje, przywiązywane do ustaw przeciw kartelom, są nader przesadne, to z drugiej znowu strony należy przyznać, że dzisiejsze przepisy w jednym kierunku są niewystarczające. Chodzi mi tu o charakter umowy kartelowej, jako układu prywatnego pewnej liczby kontrahentów, nieznanego władzom publicznym. Kartel, zawarty za zgodą stron, może działać w sposób, przy którym widzimy tylko jego skutki, nie znając zupełnie przyczyn. Społeczeństwo odczuwa przeto w danym razie ujemne rezultaty takiego związku, nie może jednak poznać powodów, które je wywołały. Tymczasem w naszym dzisiejszym ustroju gospodarczym, kartel, grupujący jakiś wielki dział produkcyi, posiada niewątpliwie znaczenie ogólne; jego

wpływ wychodzi znacznie poza ramy zwykłej akcyi prywatnej. Toteż żądanie jawności jest tu zupełnie uzasadnione. Ustawodawstwo w całym szeregu analogicznych stosunków, zajęło już od dawna podobne stanowisko, dość zwrócić uwagę na koncesyonowanie kolei żelaznych, na przepisy odnoszące się do spółek akcyjnych, zakładów ubezpieczeń, przedsiębiorstw górniczych i t. p. Wprowadzając do ustawy przepisy, żądające, ażeby władzom publicznym przedkładano każdą umowę kartelową i uprawniające je do kontroli, o ile zarząd kartelu trzyma się obowiązujących lub umową określonych zasad, nie stwarzamy żadnych praw wyjątkowych, tylko rozszerzamy na instytucye kartelowe ogólne zasady dzisiejszego ustawodawstwa. A takie przepisy, pozornie tylko formalne, mają jednak ogromną doniosłość, bo bez nich niepodobna poznać nadużyć i ocenić ich rozmiarów.

Jeżeli przeto sądzę, że specyalne ustawodawstwo kartelowe, wychodzące poza ramy przepisów formalnych, jest niewłaściwe, to nie wykluczam bynajmniej oddziaływania na kartele przy pomocy ogólnych środków prawnych i administracyjnych. Specyalne ustawodawstwo tem bardziej jest zbyteczne, że państwo i teraz już ma tak wielką siłę, że kartele nie mogą oprzeć się prawdziwemu naciskowi władz publicznych. Państwo posiada w całym szeregu swych ustaw i rozporządzeń przemysłowych, socyalnych, budowlanych, policyjnych, skarbowych i t. p. prawdziwy arsenał broni, której można użyć skutecznie, jeżeli tylko kartel w swych dążeniach egoistycznych przechodzi właściwą miarę. W gospodarstwie nie rozchodzi się o zasadę, lecz o praktyczny rezultat; dla gospodarza ma znaczenie nie prawo jako takie, lecz sposób jego zastosowania i skutki, które z tego wynikają. Klasycznym tego przykładem jest t. zw. bierny opór, polegający na bezwzględnem stosowaniu przepisów według ich litery, wskutek czego uniemożliwia się odpowiednie funkcyonowanie niektórych instytucyi gospodarczych, n. p. komunikacyjnych. Taką samą metodę może państwo zastosować również, jeżeli chdzi o ochronę ważnych interesów ogólnych. Trzymając się jej w sto-

sunku do karteli, państwo utrudnia w tak znacznym stopniu działalność związku, że stowarzyszonym przedsiębiorcom nie pozostaje nic innego, jak tylko albo kartel rozwiązać, albo zgodzić się na żądania państwa. Ponieważ rozbicie kartelu przyniosłoby im znaczne szkody, przeto we własnym interesie muszą starać się o jego utrzymanie, a więc zastosować się do życzeń państwowych.

Powstaje jednak pytanie, czy stosowanie w taki sposób norm prawnych da się pogodzić z zasadami etyki i porządku prawnego. Ostatecznie chodzi tu o wymuszenie ze strony kartelu ustępstw przy pomocy szykan administracyjno-prawnych, a więc środków w zasadzie niewłaściwych. Czy więc władze publiczne mogą wejść na drogę tego rodzaju?

Chcąc więc tę kwestyę, niewątpliwie bardzo drażliwą, rozstrzygnąć, musimy zdać sobie sprawę ze stosunku nowożytnych form gospodarczych do całego ustroju publiczno-prawnego. Nasze poglądy prawne, zbudowane historycznie, traktują dotąd jeszcze przejawy gospodarcze, jako dziedzinę działalności prywatno-prawnej, w której każda jednostka posiada, w obrębie obowiązujących przepisów, zupełną swobodę. Nowsze ustawodawstwo administracyjne i socyalne uczyniło tutaj z pewnością poważny wyłom, nie tknęło jednak zasadniczej podstawy. Stanowi ono bowiem tylko wyjątek od niej, wprawdzie bardzo doniosły, ale zawsze wyjątek. Tymczasem rozwój związków społecznych i państwowych wytworzył tak wielką wzajemną zależność członków społeczeństwa, że akcya gospodarcza stała się w wielu razach już nie prawem jednostki, z którego można dowolnie korzystać, lecz rzeczywistą funkcyą społeczną, której zaniedbanie lub niewłaściwe spełnianie przynosi wielkie szkody licznym innym gospodarstwom. Właściwie na gruncie tego spostrzeżenia zbudowano obowiązek czynników publicznych ochrony gospodarstwa i dobrobytu narodowego. Dawniej usiłowania państw, zmierzające do rozwoju ekonomicznego ludności, miały podkład kameralistyczno-fiskalny, więc egoistyczny; dzisiaj stanowią funkcyę ogólno-społeczną,

bo bez zdrowych podstaw materyalnych życie publiczne nie może rozwijać się odpowiednio.

Wskutek tego należy stwierdzić, że działalność gospodarcza weszła w dziedzinę prawa publicznego, liczącego się przedewszystkiem z interesem ogólnym. Skoro dobro ogółu jest w grze, muszą wobec niego ustąpić wszystkie interesy prywatne. Państwo przeto ma obowiązek wkraczać w sferę życia gospodarczego tam wszędzie, gdzie ono może idzie drogą, niezgodną z interesem ogólnym. Uprawnienie przeto interwencyi władz państwowych w tych warunkach nie może ulegać wątpliwości. A jasną jest rzeczą, że im większe są przedsiębiorstwa czy związki gospodarcze, tem w wyższym stopniu mogą oddziałać na stosunki ogólno-społeczne, tembardziej więc interwencya państwa może być wskazana. Kartele łącząc całe, lub prawie całe gałęzie pracy ekonomicznej, są w każdym razie ugrupowaniami najpotężniejszemi, nie podobna przeto pozostawić im zupełnej swobody prywatno-prawnej, musi się ich działalność kontrolować i kierować ją zgodnie z potrzebami ogółu.

Tak się przedstawia uzasadnienie dla akcyi władz publicznych ze stanowiska dobra ogólnego. Lecz i z punktu widzenia złączonych w kartele przedsiębiorstw nie można przeciw temu przedstawić żadnych poważniejszych argumentów. Ingerencya państwa krępuje kartel, nie pozwala mu na jednostronne wyzyskanie konjunktury, zmniejsza przeto korzyści, które może ona przynieść stowarzyszonym — to prawda, lecz z drugiej strony kartel korzysta bez porównania więcej z naszego ustroju społecznego i prawnego. Nowożytne państwo, wprowadziło porządek prawny, dostarczyło całego szeregu instytucyi gospodarczych, zajęło się podniesieniem i ochroną rodzimej produkcyi. Są to niezbędne warunki dla powstania większych przedsiębiorstw gospodarczych, którym targ lokalny nie wystarcza, kartel więc bez pośredniej pomocy państwa nie mógłby powstać. Ozganizuje się on dopiero z chwilą, gdy bezpieczeństwo prawne nie zmusza do osobistego zapoznania się z charakterem i stosunkami każdego odbiorcy czy dostawcy, gdy dobre komunikacye umożliwiają produkcyę, kupno i sprze-

daż w każdym punkcie kraju, gdy można, znając stan ludności i jej wymagania, oznaczyć prawdopodobną konsumcyę, gdy gospodarstwa publiczne pokrywają w kraju swe potrzeby, gdy skutecznie chronią przed konkurencyą zagraniczną, słowem gdy stworzą zdrowe warunki dla produkcyi i wymiany. Kartel korzysta z tych wszystkich czynników stworzonych przez ustrój prawno-społeczny dla dobra ogółu, słuszną przeto jest rzeczą, ażeby dla społeczeństwa ponosił także niezbędne ofiary.

(C. d. n.)

Prof. Dr. Wł. Czerkawski.

NOWE DROGI ROZWOJU SPOŁECZNO-EKONOMICZNEGO.

(C. d.)

Powtóre i w dziedzinie rolnictwa niema zasadniczego przeciwieństwa interesów ani zasadniczego przeciwieństwa klas pomiędzy poszczególnemi warstwami ludności.

Wyróżniają się tu głównie 3 kategorye gospodarstw: 1) wielka własność rolna, w której kierownikiem jest zwyczajnie fachowy agronom albo sam właściciel; 2) średnie gospodarstwa włościańskie, wielkie i mniejsze, które oprócz siły roboczej rodziny, opierają się głównie na pracy najemnej; 3) małe gospodarstwa chłopskie, które wraz z rodziną właściciel sam obrabia w całości.

Wszystkie te trzy kategorye gospodarstw są pod względem technicznym i gospodarczym i społecznym w pewnym stopniu od siebie zależne i tworzą jakby jeden organizm, rozpostarty na kraj cały i władający warsztatem rolnym. Wszystkie i wielka i średnia i mała własność żyją z ziemi i wspólny mają interes w tem, żeby polepszyć i spotęgować wydajność tej ziemi, zależną od tych samych mniej więcej warunków i czynników. Współzawodnictwo ekonomiczne, które w innych dziedzinach gospodarstwa społecznego tak wielkie częstokroć wywołuje przeciwieństwa i walki ekonomiczne na życie i śmierć, jest zgoła na tem polu nieznane. Płody bowiem rolnicze zawsze są pożądane i dziś i w przyszłości więcej, niż produkcya rolnicza dostarczyć ich zdoła.

Rola i funkcye wielkiej własności w gospodarstwie społecznem są rozległe bardzo. „Wszelki postęp w dziedzinie kul-

tury rolnej i hodowli zwierząt, mówi Philippowich, wyszedł z wielkich gospodarstw, za któremi zawsze tylko niezmiernie powoli zdążały gospodarstwa włościańskie".[1]

Wielka tylko własność, mówią zwolennicy wielkich gospodarstw, opierając się na wiedzy i kapitale, może dobrze zorganizować i wyzyskać wszystkie siły i środki gospodarcze. Ona ma lepsze warunki zbytu i kupna i transportu, ma na usługi swoje siły inteligentniejsze i fachowo wykształcone, umie lepiej zastosować i wyzyskać maszyny rolnicze, ma lepsze bydło i lepsze ziarno. Wielkie tylko gospodarstwo może łatwiej przeprowadzić melioracye wodne, osuszyć lub nawodnić rolę i łąki, może lepiej śledzić i wprowadzać w życie, nowe i wciąż zmieniające się ulepszenia i zdobycze techniki rolniczej, łatwiej może ocenić i rozmierzyć zapotrzebowanie rynku i kierunek zbytu zbożowego i bydlęcego. W małem gospodarstwie, mówi znany ekonomista agrarny Buchenberger, hektar ziemi daje 10—15 ctm., w wielkiem racyonalnie prowadzonem 50—80 ctm., przy znacznych oczywiście kosztach produkcyjnych. Toteż porównując wielkie gospodarstwa z średniemi i drobnemi t. j. włościańskiemi, suponując tu i tam umiejętne kierownictwo, nie można chyba wątpić o ich ekonomicznej przewadze".[2] Wielkie gospodarstwa rolne są głównym warsztatem produkcyi rolnej, zaopatrującym w zboże i bydło wszystkie prawie rynki świata, i zarazem szkołą i wzorem rolniczego postępu.

Obok wielkiej własności ogromnie doniosłe znaczenie ekonomiczne ma własność średnia — niestety tak rzadka u nas w Galicyi — i własność mała. Pod względem kultury rolniczej własność średnia głównie, będąc ogniwem pośredniem pomiędzy własnością wielką a drobną, przyczynia się do krzewienia postępu rolniczego. W dzisiejszej nauce ekonomicznej raz po raz spotkać się można ze zdaniem, że gospodarstwa włościańskie t. j. średnie i małe są wyższą formą produkcyi rolniczej i sta-

[1] v. Philippovich *Grundriss der Pol. Oekonomie* t. II. str. 36.
[2] Buchenberger: *Agrarpolitik* I. str. 390

nowczą mają przewagę techniczną i ekonomiczną nad wielkiemi gospodarstwami rolnemi.

W ostatnich czasach poświęcili temu przedmiotowi, pisze Rozwadowski, obszerne i mniej lub więcej wyczerpujące studya Hubert Anhagen, Stumpfe, Luberg, Karol Klawki i Leon Huschke. Anhagen badał gospodarstwa w Hanowerze, Stumpfe na Śląsku, Klawki w Prusiech wschodnich, a Huschke w środkowej Turyngii, i wszyscy oni, jakkolwiek bardzo się nieraz między sobą różnią osobistemi sympatyami, a nawet może czasem tendencyą, stwierdzili, porównując wielkie, średnie i małe gospodarstwa, jedno i to samo zjawisko t. j., że małe gospodarstwa dawały wszędzie z hektara powierzchni dochód największy i to zarówno brutto, jak i netto".[1]

Na czem polega ta przewaga ekonomiczna i techniczna?

Na zabiegliwej i starannej pracy samodzielnej rolnika-robotnika, dowodzi Anhagen, i na konsolidacyi i większej odporności gospodarstwa włościańskiego wobec przesileń ekonomicznych.

„Uprawa niektórych roślin handlowych, mówi on, jak: konopi, tytoniu itp. jest wprost monopolem małych gospodarstw. Roboty polne wykonuje małe gospodarstwo przeważnie lepiej, traktując niektóre rośliny, jak buraki, a nawet i zboże n. p. przy ogartywaniu w bardziej indywidualizujący sposób". W małem gospodarstwie jest żniwo dokładniejsze i zwózka staranniejsza, jest więcej stosunkowo inwentarza żywego i nawozu stajennego. „Niektóre drobiazgowe i wymagające wielkiej dokładności roboty polne, jak np. niszczenie owadów lub zżynanie zboża celem ochronienia go przed wylęgnięciem, podejmować może tylko małe gospodarstwo". Albo roboty domowe jak np. przebieranie ziarna na nasienie w ciągu długich wieczorów zimowych, które siłą kiełkowania przewyższa wszelkie ziarno, przebrakowane za pomocą maszyny.

Techniczna zaś i ekonomiczna przewaga małego gospo-

---

[1] Dr. Jan Rozwadowski: Parcelacya wielkiej własności w świetle postępowania pruskich instytucyi pośredniczących. Lwów. 1903. str. 327.

darstwa nad wielkiem polega głównie na mniejszych kosztach produkcyi i administracyi rolniczej i na potędze asocyacyi, która równoważy wszystko to, co składa się na wyższość ekonomiczną wielkiego gospodarstwa nad małem. W małem gospodarstwie nie potrzeba opłacać koniecznego nadzoru i można lepiej zużyć wszystkie odpadki gospodarstwa domowego. W małem gospodarstwie pola są w pobliżu albo wokoło zabudowań gospodarczych i wszystkie budynki i narzędzia otoczone są staranną i zabiegliwą troską, przez co koszta produkcyi i utrzymania całego gospodarstwa są mniejsze. Mały gospodarz nie potrzebuje rozległego wykształcenia ani handlowego ani rolniczego, ażeby dobrze wypełnić swoje zadanie mniej skomplikowane. Mały gospodarz mniej jest zależny od cen robocizny i od cen zboża i łatwiej przetrwa wszystkie niekorzystne dla niego konjunktury gospodarcze. Rozwój zaś asocyacyi rolniczej na wszystkich polach pracy i potrzeb gospodarczych równoważy wszystkie inne momenty, za pomocą których góruje wielkie gospodarstwo nad małem.[1]

Przytoczyliśmy główne dowody, przemawiające za wielką własnością i za włościańską i usiłujące dowieść przewagi ekonomicznej jednej nad drugą. Nie przechylamy się ani na tę ani na ową stronę, raz dlatego, że wywody te nie opierają się na ścisłej rachunkowości rolniczej, dziś jeszcze wyjątkowo tylko stosowanej w rolnictwie, a powtóre, że życie gospodarcze zwyczajnie odmiennym idzie torem niż rozumowania ekonomistów i daleko odbiega od idealnych form produkcyi gospodarczej.

Zresztą poglądy nauki w tej mierze dotychczas zmieniały się stosownie do rozwoju stosunków gospodarczych w rolnictwie.

W okresie świetnego rozwoju rolnictwa i wysokich cen zbożowych aż do roku 1870 z okładem, nauka przyznawała stanowczą wyższość wielkim gospodarstwom nad małymi. O sile ekonomicznej i konkurencyjnej drobnych gospodarstw nie było wówczas mowy. Przeciwnie prawem ekonomicznem rozwoju stosunków własnościowych w dziedzinie rolnictwa, było wówczas

[1] Str. 345—347.

prawo Marksa o koncentracyi wielkich gospodarstw, chłonących małe i o rosnącej liczbie wielkich majątków ziemskich, zagrażających dobru ogółu.

Niebawem atoli zmieniły się stosunki społeczne i ekonomiczne. Na rolnictwo przyszło ciężkie przesilenie. Wielka własność rolna została wciągniętą w wir gospodarstwa handlowego i pieniężnego, dostała się w opały konkurencyi zagranicznej i zamorskiej. Ceny zboża spadły niepomiernie, nad gospodarstwem rolnem przedewszystkiem wielkiem zawisła ruina.

I oto nauka, ubogacona doświadczeniem i dokładniejszem badaniem, innym przemawia językiem. Dziś przeważa zdanie, iż każda kategorya własności i wielka i średnia i mała ma swoją żywotność ekonomiczną i pomyślne warunki rozwoju. Co więcej: jak dawniej byli ekonomiści, którzy przepowiadali upadek drobnych gospodarstw, tak dziś nie brak uczonych, którzy utrzymują, jak np. p. Rozwadowski iż w obecnej dobie z siłą elementarną na mocy ekonomicznego prawa parcelacyi dokonywa się rozdrobnienie wielkiej własności.

Nam się zdaje, iż rzekome prawo ekonomiczne niczem innem nie jest, jak świadomą celu polityką socyalną albo pasorzytnie krzewiącą się lichwą na gruncie duszy chłopskiej, zawsze łakomej na ziemię. Stosunek zaś wielkiej własności do małej przedstawia nam się tak, jak stosunek rzemiosł do wielkiego przemysłu. Produkcya rzemieślnicza nie tylko ostać się i pomyślnie rozwijać zdoła obok produkcyi fabrycznej, ale ją nadto uzupełnia. Tak i wielka własność i średnia i mała tworzą jeden warsztat rolniczy, rozciągający się na kraj cały, który tem sprawniej i doskonalej pracuje, im lepszy i racyonalniejszy jest układ gospodarstw w kraju i ich ustosunkowanie wzajemne.

Ale warsztat pracy potrzebuje robotników i tu doszliśmy do 4 kategoryi własności rolnej t. z. własności karłowatej, na której żeby wyżyć, trzeba mieć zarobek uboczny. Jest to własność właściwie robotnicza, która nader doniosłe ma znaczenie dla wiejskich rzemieślników i robotników tam, gdzie na zarobku nie zbywa. I pod tym względem tworzy ona z własnością wielką i średnią, która bez robotników obejść się nie może, jakby jedną

całość organiczną. Również w pobliżu miast, wokoło fabryk i ognisk przemysłowych domki z ogrodami warzywnymi są dla robotników pod względem hygienicznym, moralnym i kulturalnym prawdziwem dobrodziejstwem. Gdzie atoli mało zarobku albo niema go wcale, rozdrobnienie ziemi łączy się zwyczajnie z nędzą ludności i pasożytnie krzewiącą się lichwą wszelkiego rodzaju. Tak było u nas w Galicyi, gdzie własności średniej niema prawie zgoła i przemysłu mało, a rozdrobnienie gruntów wprost przerażające przybrało rozmiary. W ostatnich wszelako latach i u nas drobne włościaństwo wskutek szerzącej się oświaty, sezonowej emigracyi zagranicznej i głównie dolarów amerykańskich potężnie się poczyna dźwigać z upadku i swą własność powiększać.[1]

Ale w tym warsztacie pracy rolniczej są i rozbieżne interesy i przeciwieństwa pewne, które nie usuwane starannie i łagodnie, łatwo wyrodzić się mogą w sztucznie rozniecone przeciwieństwa klasowe i miejscami i chwilami w walkę klasową.

„Robotnik szuka o ile możności dużego zarobku i pracy nie bardzo intenzywnej, mówi wybitny znawca stosunków agrarnych von der Goltz, pracodawca natomiast życzy sobie, żeby robotnik za możliwie najniższe wynagrodzenie dużo pracował. Robotnik chciałby mieć zarobek przez rok cały, pracodawca zaś potrzebuje w ciągu lata dużo robotników, w zimie natomiast na folwarku mało sił roboczych znajduje zatrudnienie. Pracodawca rad zatrudnia latem robotników wędrownych, których zasiedziały robotnik rolny uważa za wrogów swoich, zabierających mu chleb codzienny. W interesie gminy włościańskiej leży, żeby nie uszczuplała się ziemia włościańska, interes zaś wielkich właścicieli ziemskich zmierza zbyt często do zaokrąglenia i powiększenia obszarów dworskich przez zakupno gruntów chłopskich. Chłopi mniej mają korzyści z ceł zbożowych, niż

[1] Porównaj odnośne rozdziały w dziele prof. Franciszka Bujaka p. t. Galicya tom I. r. 1908., które owiane gorącym zapałem służenia krajowi, powinno się znaleźć w ręku każdego pracownika na polu społecznem. Nadto cele polityki agrarnej przez prof. Milewskiego z kursu socyalnego w Krakowie r. 1897. w *Przeglądzie Polskim* t. 125 (1897).

wielcy właściciele ziemscy, drobna natomiast własność chłopska nie ma z ceł żadnej albo negatywną tylko korzyść. Nader doniosłe znaczenie dla chłopów mają spółki włościańskie, wielka własność natomiast potrzebuje innej organizacyi, gdyż asocyacya ma dla niej dużo mniejsze znaczenie. Tam, gdzie gminy i obszary dworskie oddzielne stanowią terytorya komunalne, rozbieżne też bardzo są ich interesy, zwłaszcza co do ciężarów szkolnych i podatków na ubogich i porządków drogowych".[1] Wreszcie latyfundya, które zwyczajnie oddzielają się przepaścią gospodarczą i kulturalną od ludności włościańskiej i mało dbają o dobro robotników, dają częstokroć poważne powody do uzasadnionych żalów i rozgoryczenia i ostrych antagonizmów społeczno-ekonomicznych.

A więc są rozbieżne interesy i przeciwieństwa, które rozsadzają wszelkie rolnicze zrzeszenia społeczne i torują drogę do walki klasowej. Niewątpliwie, ale te przeciwieństwa nie są ani tak ostre, jak w dziedzinie przemysłu, ani tak rozbieżne, żeby ich załagodzić nie można. Rzeczą to rozumnej i opatrznej polityki agrarnej, wciąż wytwarzające i wyradzające się przeciwieństwa łagodzić, sztucznie rozdmuchane rozpraszać, rzeczywiste i nieuchronne, sprawiedliwie wyrównywać i tak torować drogę do zgody i pokoju społecznego. „Byłoby nieszczęściem dla rolnictwa, mówi słusznie von der Goltz, gdyby ziemiaństwo, włościaństwo i robotnicy rolni połączyli się w odrębne i od siebie oddzielne związki". Mądra przestroga ta wybitnego uczonego zasługuje dziś przedewszystkiem na rozwagę, kiedy sprawa ustawowej organizacyi rolników wysunęła się na czoło programu agrarnego.

W Prusiech wykluczono chałupników i robotników rolnych z ustawowej organizacyi rolniczej i pozbawiono ich prawa wyborczego do izb rolniczych i obóz socyalistyczny powiększył się o setki tysięcy nowych zwolenników.

Ustawa austryacka z roku 1902, która stworzyła ogólne

---

[1] Theodor von der Goltz: *Die agrarischen Aufgaben der Gegenwart.* 1894. str. 173 i 174.

tylko ramy dla organizacyi zawodowej rolników, również pomija robotników bezrolnych i bezdomnych, ale nie wyklucza własności małej, ani karłowatej z obrębu organizacyi. Minimum własności, poniżej której ludność rolnicza nie będzie mogła należeć do organizacyi, mają oznaczyć ustawy krajowe. A więc w mocy Sejmu krajowego jest wcielić przynajmniej w części robotników rolnych do organizacyi rolników i przyczynić się w ten sposób do rozwiązania kwestyi robotniczej na wsi, albo ich zostawić poza obrębem organizacyi.

Że kwestya robotników rolnych jest aktualną bardzo, nie ulega wątpliwości. Dzisiejszy rozwój ekonomiczno-społeczny uczynił już wyłom potężny w dawnym systemie patryarchalnym. Praca w przemyśle połączona z wolnością przesiedlania się, brak trwałego lub widoki lepszego zarobku, odrywają coraz więcej robotników od pracy na roli tak, że miejscami mówi się o formalnej secesyi robotników rolnych ze wsi. Dziś i płaca podniosła się ogromnie i traktowanie służby domowej i podwórkowej i robotników rolnych uległy zmianom ogromnym, a jednak służba ta coraz częściej lekkomyślnie zrywa ugodę i brak robotników daje się coraz częściej rolnikom dotkliwie we znaki. Problem więc robotników rolnych domaga się rozwiązania. Albo może czekać, aż przyjdzie agitacya niesumienna i zatruje duszę ludu krytyką namiętną i skargą i żalem i pocznie organizować walkę klasową? Ona już i tak miejscami głębokie zapuściła korzenie i wielkie wywołała roznamiętnienie wśród robotników rolnych.

Problem ten inaczej przedstawia się w okręgach czysto rolniczych i inaczej w okręgach o charakterze więcej przemysłowym.

W okręgach, w których gęsto rozsiana jest własność karłowata i mała, w których robotnicy starsi mają trochę ziemi a młodsi mają widoki i możność dorobienia się kawałka pola, w których służba domowa i podwórkowa jest w stadyum przejściowem, słowem, w okręgach, w których różnice klasowe pomiędzy właścicielem a robotnikami nie występują zbyt jaskrawo, w których czeladź stanowi cząstkę rodziny, szerzej po-

jętej, i czuje nad sobą opiekę właściciela, organizacya robotników rolnych musiałaby sobie wytknąć inne cele i zadania, niż w okręgach więcej przemysłowych. Tu może wystarczyłoby na razie wcielić własność karłowatą do ogólnej organizacyi i spoić ją pewnemi korzyściami agrarnemi z wielkim warsztatem rolnym.

Celem głównym organizacyi robotniczej czy na wsi czy w ogniskach przemysłowych będzie zawsze podniesienie ekonomiczne i kulturalne robotnika. Ale środki prowadzące do celu są różne: Na wsi, gdzie robotnik znajdzie łatwiej opiekę albo w rodzinie pracodawcy albo w własnym domu, ubezpieczenia nie wysuwają się na pierwszy plan. Głównym celem organizacyi będą tu różne ulepszenia i udogodnienia gospodarcze i warunków pracy i zabiegi o podniesienie życia kulturalnego.

W okręgach natomiast przemysłowych i w sąsiedztwie większych miast, gdzie robotnicy rolni stykają się z robotnikami przemysłowymi, w majątkach wielkich, gdzie przepaść społeczna oddziela robotnika od właściciela, a jedyną spójnią, łączącą ich jest pieniądz, odpowiadałaby więcej potrzebom robotników i wymaganiom obszarów dworskich organizacya, podobna do związków zawodowych robotników przemysłowych wraz z wszystkiemi ubezpieczeniami, od choroby, od wypadków i z emeryturą na starość. Czem bowiem różni się robotnik bezdomny i bezrolny, pracujący na roli od robotnika miejskiego? Praca jest inna, bo na roli, ale węzły zależności, które go łączą z pracodawcą są te same. Bezduszny też i częstokroć bezwzględny jest rygor administracyi dworskiej, zwłaszcza wielkich, jak praca przy kołach i stalowych ramionach maszyny fabrycznej. A kontrakt roboczy — robotnik uważa go za stosunek przymusowy, któremu się częstokroć w bezmyślnej rezygnacyi poddaje, ale przy pierwszej lepszej sposobności od niego uchylić się próbuje, skoro tylko lepsze nadarzą się warunki pracy, albo nieraz bez żadnego wogóle powodu.

Otóż najlepszym i zdaje się jedynym środkiem przeciwko tym niedomaganiom robotniczym, zwłaszcza przeciwko niedotrzymaniu kontraktu jest zawieranie ugody z organizacyą. Kontrakty taryfowe, które w Niemczech, Anglii i w Au-

stryi w różnych gałęziach przemysłu coraz więcej się upowszechniają, przestrzegane są ściśle przez zorganizowanych robotników. Organizacya bowiem uważa za rzecz honoru czuwać nad tem, by robotnicy dotrzymali i przestrzegali zawartych umów.

Ustawowa tedy organizacya rolników i rządowa ich reprezentacya nie powinna pominąć robotników rolnych i wytyczyć w ramach ustawy dla rozwoju stosunków agrarnych takie łożysko, któreby zdołało pomieścić wszystkie o ile możności warstwy ludności rolnej i któremby raźno potoczył się nowy ruch agrarny.[1]

---

[1] W sprawie zawodowej organizacyi ogółu rolników porównaj jednomyślną uchwałę Rady Naczelnej P. S. L. we Lwowie z dnia 9. stycznia 1912 r.:

1) „Brak zawodowej organizacyi, obejmującej ogół rolników całego kraju uważa P. S. L. za główną przeszkodę w skutecznej obronie interesów ludności rolniczej i w należytym zużytkowaniu sił i środków, mających służyć ku popieraniu rozwoju krajowego rolnictwa.

Dążyć do najrychlejszego ustawowego przeprowadzenia zawodowej organizacyi rolników w naszym kraju...

Za krajową organizacyą zawodową też oświadcza się Komitet Towarzystwa rolniczego w Krakowie dnia 2 grudnia 1911 r.:

„Komitet c. k. Towarzystwa rolniczego krakowskiego, uznając połączenie głównych korporacyi rolniczych krajowych w myśl inicyatywy danej przez tegoroczną ogólną Radę bratniego Tow. gospodarczego w jedną organizacyę za skuteczny środek do częściowej naprawy administracyi agrarnej i w ogóle uzdrowienia pracy nad podniesieniem rolnictwa oświadcza się za zjednoczeniem c. k. Tow. gospodarskiego, Tow. Kółek rolniczych i Tow. rolniczego krakowskiego z zastrzeżeniem, że odrębne potrzeby różnych części kraju, wynikające z ich położenia terytoryalnego, właściwości fizyograficzne, odmienności stosunków ekonomicznych i dotychczasowego organizacyjnego rozwoju, zostaną przy tem zjednoczeniu uwzględnione.

Komitet poleca Wydziałowi wykonawczemu, aby z Tow. gospodarskim i Tow. Kółek rolniczych przeprowadził w tym kierunku rokowania i zdał z nich sprawę Komitetowi przed najbliższem Walnem Zgromadzeniem".

W sprawie robotników rolnych oświadcza Komitet:

b) „Wychodząc z zapatrywania, że tylko rolnik, utrzymujący się rzeczywiście z roli, powinien mieć prawa i ponosić ciężary, wynikające z należenia do organizacyi zawodowej rolniczej, postanawia projekt, że tylko właściciele posiadłości, opłacający przynajmniej 5 koron podatku gruntowego państwowego, do Związku jako członkowie należą, analogicznie do ustawy wprowadzonej na Śląsku, która tylko na rolników opłacających najmniej 20 koron podatku gruntowego nakłada obowiązek należenia do zawodowej organizacyi".

Zjazd ludowców niezawisłych w Tarnowie dnia 11. lutego 1912 r. w sprawie organizacyi rolników uchwalił:

A w jakim kierunku idzie ten nowy ruch agrarny?

Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie. Wpierw jednak słów kilka o przesileniu agrarnem.

W połowie 19-go stulecia zapanował w środkowej Europie wszechwładnie liberalizm ekonomiczny, który zapoczątkował w rolnictwie nową epokę. W krótkim stosunkowo czasie ukazał się we formie dekretów rządowych cały szereg t. z. wolności agrarnych, które niebawem zupełny wywołały przewrót w świecie rolniczym.

Zniesiono najprzód wszystkie dawne ograniczenia feudalne, krępujące gospodarczą swobodę jednostki.[1] Odtąd każdemu wolno swoję własność dzielić, sprzedawać, kupować, zaokrąglać, wydzierżawiać według własnego widzimisię bez jakichkolwiek ograniczeń.

Zniesiono włościańskie prawo spadkowe, które stało na straży nietykalności zagrody włościańskiej. Odtąd w braku testamentu obowiązują przepisy zwyczajnego prawa spadkowego w ustawie cywilnej, polegające na równym podziale ziemi albo na spłacie rodzeństwa równymi działami według wartości sprzedażnej całego gospodarstwa.

Skutek tych dekretów okazał się niebawem w nadmiernem obdłużeniu ziemi. Obdłużenie to powstało w ten sposób, że schedy spadkowe, na podstawie wartości sprzedażnej ojcowizny uczynione, w drugiem lub trzeciem pokoleniu zbyt wielkiem zaciążyły brzemieniem na majątku rodzinnym, albo — co najczęściej się zdarzało — długi rosły dlatego, że ziemia odtąd poczęła przechodzić z rąk do rąk i stała się przedmiotem targów i spekulacyi handlowych.

A więc należałoby zabronić wszelkich transakcyi i ziemię,

„Zjazd P. S. L. zjednoczenia niezawisłych ludowców — uznaje w zasadzie potrzebę zawodowej organizacyi rolniczej, ale tylko pod tym warunkiem, że wybory do organów kierujących organizacyą rolniczą odbywać się będą na podstawie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa głosowania wszystkich rolników. Do takiej organizacyi winni należeć wszyscy opłacający choćby najmniejszy podatek gruntowy i żaden z rolników nie może być od organizacyi wykluczony".

[1] *Aufhebung des Lehensbandes* r. 1862. — *Aufhebung des Bestiftungszwanges* r. 1868.

która jest funduszem żelaznym naszej siły przyszłości narodowej znowu unieruchomić?

Bynajmniej. Inicyatywa przedsiębiorcza i wolność gospodarcza to najcenniejsze liberalnej ery gospodarczej zdobycze, nie w tem tkwi zło. Nie transakcye są przyczyną obdłużenia, ale ceny wygórowane majątków ziemskich, które wyrobiły się z okazyi transakcyi już to na podstawie świetnej konjunktury przejściowej, już to szczególnej predylekcyi do ziemi, już to z jakichkolwiek innych przyczyn politycznych czy społecznych. Zresztą przy ziemi trudno bardzo ocenić i wypośrodkować rzeczywistą wartość, którą wykalkulować trzebaby na podstawie czystych dochodów z ziemi i ścisłej rachunkowości rolniczej. Ścisła zaś rachunkowość w rolnictwie to rzecz wyjątkowa i możliwa w wzorowem i postępowem tylko gospodarstwie.

Zniesiono prawo, ograniczające wysokość stopy procentowej przy pożyczkach (r. 1868) i na tle nowych wolności żarłoczna lichwa straszne poczęła czynić spustoszenia wśród chłopów. Lichwa wśród ludu wszędzie i zawsze od dawien dawna pasożytnie się krzewiła. Ale nie występowała ona może nigdzie w formach tak różnych i wyrafinowanych jak u nas w Galicyi, gdzie chłop był biedny i ciemny, nieoględny i łatwowierny, a żydzi-karczmarze jego bankierami i doradcami.

W kilkanaście lat później przyjdzie kolej na własność wielką, która również nieoględna i niedoświadczona w sprawach pieniężnych, w czasie ciężkiego i długiego przesilenia rolniczego startą zostanie i zdziesiątkowaną w opałach konkurencyi zbożowej i w wirach organizacyi handlowej i kredytowej.

Wprawdzie w r. 1877, gdy rozpętana lichwa dużo już pochłonęła ofiar, wznowiono znowu dawne ograniczenie stopy procentowej najprzód w Galicyi i Bukowinie, a następnie w całej Austryi. Ale ustawa ta odnosi się tylko do lichwy pożyczkowej i nie obejmuje lichwy, tającej się w innych i najróżniejszych formach i ekonomicznych ugodach.

Warto rzucić tu okiem na główne rodzaje lichwy, która lud nasz rolny rugowała z własności.

Najstraszniej buszowała pomiędzy chłopami lichwa pożycz-

kowa. Lichwą zajmowali się chłopi i żydzi. Tylko, że chłopi „zadawalniali się znacznie niższym procentem, najwyżej 24%, w Samborze i Tłumaczu do 30%, podczas gdy zwyczajny procent pobierany przez żydów obracał się między 50—150%, a w niektórych powiatach dochodził do 400 i 500%. Zwyczajnie obliczano procent od 1 złr. na tydzień".[1] Pożyczek udzielano na miesiąc, na parę tygodni, a w Przemyślu nawet na tydzień, by dłużnik nie mógł dotrzymać terminu. „Prolongaty tedy były na porządku dziennym, a należało je okupić bądź datkami w naturaliach, bądź też odrobkiem... W Czortkowskiem wierzyciele obałamucali sami włościan co do terminów zapadłości długu, aby policzyć sobie potem odsetki zwłoki i kary konwencyonalne".

Przy lichwie towarowej usiłuje lichwiarz chłopu albo najczęściej kobietom narzucić towary na kredyt, z którego nie łatwo się wydobyć. Kto raz dał się usidlić lichwiarzowi, to już musi wszystko u niego po cenach lichwiarskich kupować i wszystko, co z gospodarstwa wydobył, po cenach marnych mu odsprzedawać. A gdy długi urosną, lichwiarz podaje grunt chłopski na licytacyę.

Lichwiarz parcelacyjny skupuje i rozbija majątki ziemskie na parcele, ażeby je drogo rozsprzedawać chłopom. Sprzedaż odbywa się zwyczajnie w szynku, gdy, latający z rąk do rąk kieliszek, wprawi kupujących w dobry humor. Zwyczajnie niedługo atoli pozostaje świeżo nabyta i dużą hipoteką obciążona ziemia w ręku nabywcy. Gdy bowiem nowy właściciel nie zdoła się wywiązać ze swoich zobowiązań, ziemia idzie na licytacyę i wraca zwykle znowu do rąk tego samego lichwiarza, który ją tanio kupuje, ażeby ją nanowo z lichwą odsprzedać.

Lichwiarz żywego inwentarza wypożycza lub odsprzedaje chłopu zwykle krowę po to, żeby go za pomocą najróżniejszych praktyk wyzyskać.

Lichwiarz siły roboczej wielką odgrywa rolę pomiędzy obiężysasami. Są to zwyczajnie agenci dworscy, którzy dostarczają

---

[1] Porównaj doskonałe studyum p. Caro: Lichwa na wsi w Galicyi. *Przegląd Powszechny* t. 39. (1893.) str. 7. 9.

pracodawcom sił roboczych za grubem wynagrodzeniem, a robotnikom podrywają płacę w zamian za liche artykuły żywności po cenach lichwiarskich.

Do praktyk lichwiarskich w dziedzinie handlu, które głównie dotykają własność wielką i średnią, należy tu jeszcze tak częste u nas ryngi handlarzy, nakładające ceny na rynki zbytu i całe okolice, oraz różne operacye giełdowe, wpływające na urabianie się cen zbożowych.[1]

Radykalne reformy w stosunkach społecznych i ekonomicznych, zapoczątkowane i wprowadzone w życie przez rząd, hołdujący ekonomicznym zasadom liberalnym, były niewątpliwie

---

[1] Spekulant zbożony n. p. *à la hausse* w średnich wiekach skupował ogromne zapasy zboża, ażeby w czasie głodu podbić ceny w górę i zbogacić się na nędzy ludzkiej.

Dziś trudno *à la hausse* spekulować, bo zapasy świata całego zasilają rynki zbożowe. Dziś spekuluje się zwykła *à la baisse*. Nadarzy się odpowiednia chwila, jakaś wiadomość przy odpowiedniej interpretacyi, zapowiadająca zniżka i wstrząsająca chwilowo targiem, spekulant *à la baisse* poruszy cały sztab swoich przyjaciół i agentów, wszystkie swoje relacye kupieckie, żeby na wszelki sposób obniżyć cenę zboża.

Gra lichwiarska rozpoczyna się wypowiedzeniem niektórych zakontraktowanych dostaw: kupiłeś odemnie zboże, oto zabierz je. Listy wypowiedzenia zaś otrzymują ci właśnie, którzy nie mogą odebrać kupionych zapasów, bo nie mają ani pieniędzy ani magazynu, bo oni spekulowali tylko na dyferencyę cen.

Wypowiedzenie kontraktu wywołuje popłoch, każdy chce się wycofać ze spekulacyi i sprzedaje czemprędzej swój towar t. j. swój list z wypowiedzeniem po niższej cenie komuś trzeciemu albo doręcza go osobie, u której już poprzednio realizacyjną sprzedażą swoje zobowiązania był pokrył. List z wypowiedzeniem przechodzi z rąk do rąk z gorączkowym pośpiechem — bo zwyczaje giełdowe pozostawiają na te transakcye bardzo mało czasu, bo każdy lęka się realizacyi kontraktu, a więc stara się go pozbyć jak najprędzej choćby ze stratą. Gorączka i popłoch wzrasta, bo ciągle nowe listy wypowiedzenia się zjawiają, wywołując zniżkę cen. Podaż wzrasta, nawet ci, którym nie wypowiedziano, sprzedają towar na termin, żeby się ubezpieczyć, bo wobec wciąż rosnącej podaży jutro może stracić tysiące i dużo taniej będzie musiał sprzedać swój towar. Piekielny taniec się skończy z chwilą, gdy spekulant, który go wywołał, znowu napowrót zwykle z ogromnym zyskiem wykupi przez swoich agentów listy wypowiedzenia z owem zbożem na papierze.

W ten sposób giełdy zbożowe, rzucając na rynki światowe ogromne masy zboża na papierze, sztuczkami lichwiarskiemi wpływają na urabianie się cen zbożowych z ogromną szkodą rolnictwa.

Porów.: Dr. Ant. Górski: Cena giełdowa a przesilenie rolnicze. Kraków 1897.

uzasadnione i konieczne. Co się przeżyło i wytrawiło, wszystko, co krępowało wolność obywatelską i twórczą inicyatywę, co żadną miarą nie przypadało do ducha i ruchu wolnościowego wieku i dawne więzy feudalne i prawa i przywileje pańszczyźniane i absolutystyczne należało wyrzucić z wnętrzności społeczeństwa ze szczętem. I dlatego też wszystkie ówczesne ciosy ustawodawcze i administracyine, zwrócone przeciwko dawnemu porządkowi państwowemu i ekonomicznemu znalazły poparcie i poklask wszystkich najszlachetniejszych umysłów.

Ale nieszczęście było w tem, że liberalizm tylko burzył a nie budował, że kierunek ten wolnościowy i racyonalny nie próbował nawet zachować tego, co przeszłość historyczna i obyczaj prawny mądrego i dobrego zbudował, słowem, że cała robota nowego kierunku była burzycielską a nie ewolucyjną.

Tkwiły też niewątpliwie twórcze potęgi w ruchu liberalnym, które mają żywotność nieprzerodną i zawsze pozostaną twórczym czynnikiem ustroju społecznego i ekonomicznego, jak n. p. indywidualizm społeczny i ekonomiczny, ujęty w ryzy porządku socyalnego i w łożysko żywotnej ciągłości historycznej.

Zresztą w czasie wszechwładnego panowania liberalizmu ekonomicznego rolnictwo rozwijało się wcale pomyślnie i częstokroć świetnie bardzo, przedewszystkiem wielka własność. Z rozwojem budowy dróg i środków komunikacyi ożywił się ruch gospodarczy i wytworzyły się korzystne konjunktury handlowe i przemysłowe. W dziedzinie przemysłu rozpoczął się okres bujnego i wybujałego rozwoju przedsiębiorstw wszelkiego rodzaju, t. z. Gründerperiode. W dziedzinie kredytu po zniesieniu ustawy antylichwiarskiej panuje bezwzględna swoboda, w dziedzinie polityki handlowej prawie zupełna wolność handlowa. Dla produkcyi rolniczej otworzyły się szerokie rynki zbytu, ceny zboża idą w górę i przez szereg lat utrzymują się na tym poziomie.

Był to okres świetnego rozwoju dla rolnictwa, t. z. tłuste lata egipskie. Tylko niestety rolnictwo nie skorzystało z tego czasu, żeby się kształcić w szkole wieku i komplikujących się stosunkach społecznych. W świecie społecznym i ekonomicznym

dokonywa się radykalny przełom, dawne czasy i metody pracy rolnej, kiedy wszystkie potrzeby gospodarcze opierały się głównie na produkcyi domowej, minęły bezpowrotnie. Społeczeństwo pokrywa się siecią dróg i organizacyą handlową i kredytową, które wrzynają się i wciągają w swój organizm gospodarstwa wielkie i małe. Wszystko wokoło się przeobraża, tylko rolnictwo trwa w martwym konserwatyzmie i nie idzie naprzód ani w kierunku techniki ani kultury ani asocyacyi rolniczej.

Niebawem przyszła reakcya. Kryzys handlowa i przemysłowa i kredytowa, które dotkliwie odbiły się na rolnictwie, i zagraniczna konkurencya zbożowa. Właśnie, w czasie kiedy Austrya i inne państwa otworzyły granice wolnemu handlowi, z siłą elementarną potężne fale zagranicznej konkurencyi zbożowej poczęły zalewać wszystkie rynki zbytu zachodniej Europy.

Przedewszystkiem północna Ameryka otworzyła olbrzymie przestrzenie dla kultury rolniczej, zaopatrzonej we wszystkie udoskonalenia techniki i komunikacyi i rzucała rok rocznie przez dwa prawie lat dziesiątki olbrzymie masy zboża na targi europejskie.

Fakt ten łączy się ściśle z emigracyą. W ciągu wieku 19. olbrzymie masy ludności, liczbą przerastające ogromnie dawne wędrówki ludów, idą za chlebem do Ameryki i tam na gruncie dziewiczym, wolnym od długów i dawnych nawyknień gospodarczych, zakładają gospodarstwa, zaopatrzone w maszyny i zastosowane do wymagań handlowych i kredytowych, i odrazu zyskują ogromną przewagę ekonomiczną nad macierzystymi krajami kulturalnymi.

Obok północnej Ameryki poczęła się na wielką skalę produkcya zboża również na Węgrzech i w Rosyi, w Indyach wschodnich, Syberyi i Argentynie.

Ceny zboża spadają gwałtownie. W połowie 8. dziesięciolecia po wojnie niemiecko-francuskiej znać już pewne wahanie się, w dziesięć lat później następuje gwałtowny spadek cen, który w połowie lat 90 osiąga maksymum przesilenia.

Tak według notowań na rynku Pragskim w ciągu 19. wieku od roku 1821—72 podniosła się w cenie pszenica o 100%, żyto

o 84,83%, jęczmień o 97,53%, zboże wogóle o 95%, kartofle o 134%, mięso wołowe o 184,53%.

Podczas przesilenia natomiast mimo, że stopniowo podwyższano cła zbożowe, spadła cena pszenicy o 80%, a żyta o 65—70%. W Niemczech n. p. cło zbożowe w roku 1885 i 1887 podniesiono do 5 marek od dwucentnara pszenicy i żyta, a przeciętna cena z roku 1871—80 dwucentnara pszenicy w Prusiech z 22,30 mk. spadła w roku 1894 na 13,20 mk. W Anglii, gdzie ceł nie było, dwucentnar pszenicy w roku 1877 kosztował 18 mk., a w roku 1894 tylko 8,5 mk., na Węgrzech w roku 1873 — 14,76 złr., w roku 1894 natomiast 6,75 złr.

Konkurencya ta zagranicznej i zamorskiej produkcyi zbożowej jednak nie dałaby się tak dotkliwie we znaki rolnictwu, gdyby nie zeszła się razem z potężnym rozwojem komunikacyi lądowej i morskiej i co za tem idzie obniżeniem się kosztów transportowych. Wzrost kolei żelaznych i dróg morskich i nader tani fracht dopiero umożliwiły tę konkurencyę.

Pokazuje to na oko porównawcze zestawienie kosztów transportowych. Fracht n. p. za dwucentnar pszenicy z New-Yorku do Rotterdamu w roku 1894 wyniosił 0,70 mk., z Rotterdamu do Mannheim, głównego rynku zbożowego w południowych Niemczech 0,65 mk., co razem czyni 1,35 mk. Fracht z Odessy przez Rotterdam do Mannheim wynosi 1,75 mk. Fracht z Budapesztu Dunajem do Regensburgu wynosi 1,76 mk., stąd koleją do Mannheim 1,78 mk., czyli razem 3,54 mk. Transport więc z New Yorku do Mannheim tańszy jest niż z Regensburgu do Mannheim. Rolnicy więc bawarscy zmuszeni byli taniej swe zboże sprzedawać niż współzawodniczący z nimi farmerzy amerykańscy na rynku zbożowym w Mannheim. Nadto amerykańskie taryfy kolejowe były 3½ razy tańsze niż taryfy bawarskie.[1]

Ceny bydła natomiast w braku konkurencyi zagranicznej pozostały stosunkowo dość wysokie. Ceny masła i mięsa wołowego w ciągu przesilenia od roku 1871—1890 stale podnosiły się

[1] Dr. Eugen. Jäger: *Denkschrift über die Lage der Landwirthschaft* 1894.

n. p. w Niemczech. Również cen owsa i jęczmienia nie dotknęło przesilenie. Ale do chowu i eksportu bydła nie było ówczesne rolnictwo przygotowane, a mleczarstwo było podówczas dopiero w powijakach.

Pod koniec 19. wieku znowu idą ceny zboża w górę i stale z małą przerwą na początku nowego wieku się podnoszą.

Skutkiem i objawem najgroźniejszym rozwijającego się przesilenia agrarnego było rosnące stale obdłużenie własności rolnej. Tak, długi w krajach monarchii austryackiej z uporządkowaną hipoteką (obie Austrye, Czechy, Morawy, Śląsk, Styrya, Karyntya i Kraina) wynosiły:

w r. 1867 . . . . . 2444 mil. koron
„ „ 1885 . . . . . 3525 „ „
„ „ 1892 . . . . . 3796 „ „
„ „ 1899 wzrosły o 792 mil. koron.

Wogóle według wykazów statystycznych ksiąg hipotecznych wzrosły długi od r. 1867—1892 r. o 55,1%, w różnych krajach w różnym stopniu.

W naszym kraju w r. 1902 było własności ziemskiej tabularnej 2,916.630 hektarów, obciążonych sumą 542,515.803 koron długów hipotecznych, własności nietabularnej zaś było 4,932.553 hektarów, obciążonych sumą 305,275.086 koron długów hipotecznych. Na jeden hektar ziemi tabularnej wypadało tedy 186 koron, a na jeden hektar ziemi nietabularnej 62 koron obciążenia hipotecznego.[1] Stąd już łatwo obliczyć, ile przeciętnie długu przypadnie na każdy majątek ziemski, na każdą własność chłopską według obszaru gruntu. Rachując tylko 4% od tego długu, to jużby każdy właściciel, mający 1000 morgów gruntu, musiał płacić samego procentu 4000 koron rocznie. A długi osobiste i podatki i dodatki i inne ciężary? Nic tedy dziwnego, że wielka własność ginie i topnieć musi, jeżeli tych długów w jakiś sposób się nie usunie, że chłop i właściciel

[1] Patrz: Zjazd Prawników i Ekonomistów Polskich. Kraków 1906. str. 19.

wielki zaciągnęli się w niewolę kapitału i pracują tylko na rozmaite kasy pożyczkowe i na podatki.

Wobec przerażających cyfr tych, które w gruncie rzeczy, jak później zobaczymy, nie mają ścisłej i pewnej podstawy realnej, były rząd i nauka bezradne. Powszechnie też pod koniec wieku ubiegłego sądzono, że położenie własności wielkiej i małej jest rozpaczliwe i bliskie nieuchronnej ruiny, zwłaszcza, że w parze z obdłużeniem szły rosnące zaległości podatkowe, wzmagająca się liczba sądowych licytacyi i coraz większe straty wierzycieli hipotecznych przy sądowych egzekucyach.

Jak zaradzić tym niedomaganiom agrarnym i podźwignąć rolnictwo z upadku — oto pytania, które stały się przedmiotem poważnych studyów uczonych i ciężkiej troski i usiłowań rządu i różnych stronnictw socyalno-politycznych.

Wysunęły się tu na czoło reform agrarnych trzy kierunki i szkoły socyalno-polityczne, które szerokie żłobią sobie łożysko w dzisiejszym ruchu społecznym.

(C. d. n.)

Ks. Leonard Lipke.

„INDYWIDUALNOŚĆ TWÓRCZA SKARGI"

(C. d.).

II.

Stanowisko i zadanie rządu.

Rozterki wyznaniowe i ataki różnowierców na religię katolicką uważał Skarga za ciężką chorobę społeczeństwa, ale daleki był od tego, aby upatrywać w niej jedyną przyczynę smutnych stosunków w ówczesnej Polsce. Jeżeli wiara katolicka jest sercem w organiźmie państwowym i naruszenie jej przywodzi rychłą śmierć, to władzę królewską można uważać za jego głowę, której choroba wywołuje rozstrój w ciele Rptej, a w dalszej konsekwencyi upadek całego narodu. Jak zaś miejsca, gdzie Skarga mówił o tej pierwszej chorobie „na serce", dają nam obraz jego poglądów na stosunek religii do kościoła i państwa, tak znowu szóste i trzecie kazanie sejmowe, poświęcone dwom innym chorobom: osłabieniu władzy centralnej i niezgodzie domowej, zawierają najbogatszy materyał, do odbudowania jego pojęć o zadaniach i stanowisku rządu, a przytem rzucają wiele światła na genezę tych wyobrażeń. Naukę o pochodzeniu władzy świeckiej od duchownej zaczerpnął Skarga z dzieł pisarzy kościelnych, na stosunek państwa do Kościoła patrzał oczami niestrudzonego pracownika nad rozszerzeniem katolicyzmu po całej Polsce, były to zatem poglądy przejęte z drugiej ręki, albo wynikające konsekwentnie z jego pojęć o różnowiercach, nie zaś zdobyte drogą bezstronnej obserwacyi i refleksyi.

Czy i tutaj było tak samo?

Był Skarga jak wiadomo żarliwym monarchistą, a złożyły się na to rozmaite wpływy. Najpierw sprzyjała temu już sama natura Skargi, jego serce, w którem pychy nie było, lecz raczej pokora, — indywidualność niewątpliwie bujna, ale zdolna do wielkiego poświęcenia na rzecz ukochanych ideałów. Wychowanie u Jezuitów, wzór tej żelaznej organizacyi opartej na bezwarunkowem posłuszeństwie dla przełożonych, musiały też pozostawić głębokie ślady w jego duszy. A dalej był tron królewski w Polsce nawet za chwiejnego Zygmunta Augusta niemałą podporą katolicyzmu, a Stefan Batory stanął już otwarcie po jego stronie. Trudno, aby Skarga nie został w takich warunkach zwolennikiem monarchii. Nie można zapomnieć i o tem, że ustrój Kościoła katolickiego opiera się na „jedynowładztwie" i że Skarga dowodził schyzmatykom konieczności takiego rządu. W dziele „O rządzie i jedności Kościoła Bożego" — a więc wiele lat przed Kazaniami sejmowemi napotykamy argumenta, które się niewiele różnią od kazania o monarchii. Powołuje się nasz kaznodzieja na to, że cały ród ludzki powstał z jednego człowieka i z jednej rodziny, przedkłada, że gdyby trzech albo czterech rządziło, to trudno byłoby o zgodę i jednolitość w działaniu i przywodzi na poparcie swych twierdzeń przykłady historyczne, począwszy od Rzymu, a skończywszy na Polsce. Znajdujemy tu też w ogólnych zarysach prawie tę samą krytykę „wielogłowego rządu", jaką napotykamy w szóstem kazaniu sejmowem. Panowanie szerokich warstw ludu jest niebezpieczne, bo wśród tłumu zawsze więcej głupich jak mądrych, a więc władza musi przejść w niepowołane ręce. Skąd nabrał Skarga takich pojęć o rządach ludu? Można przypuszczać wpływ Cicerona,[1] a kto wie, czy to już nie refleksye nad zamięszaniem, jakie nastało po śmierci ostatniego z Jagiellonów? Pierwsza elekcya odbyła się w r. 1573., po krótkim pobycie

[1] Ciceronowi wydawało się pospólstwo niezdolnem do prawdziwego rozsądku i wolności. De nat. deor. III. c. 2. De divin. II. c. 12. 33, 72. De legib. II. 7. III. 12.

Walezego nastąpiło drugie bezkrólewie, pełne zamętu i anarchii,[1] a trwające aż do r. 1576., kiedy to właśnie wyszła książka „O jedności Kościoła Bożego.[2] Jeżeli jednak tutaj na pewno odpowiedzieć nie możemy, to później występuje ten związek z życiem z całą wyrazistością.

Jakże się więc te stosunki przedstawiały?

Władza monarsza była już w owym czasie niemało ograniczona. Król wstępował na tron na podstawie umowy (pacta conventa) i mógł być z niego zrzucony, gdyby łamał prawa Rzpltej „świadomie, z wolą i wiedzą" — jak to konstytucya z r. 1578. określała.[3] Posiadał wprawdzie pełnię władzy wykonawczej: wszystkie urzędy spełniały swe czynności w jego imieniu, ale mimo to i w tym zakresie nie mógł wywierać stanowczego wpływu, bo godności były dożywotnie i tylko w razie wyraźnej zbrodni stanu można je było odebrać. Naturalnie zapewniało to urzędnikom prawie zupełną bezkarność, a paraliżowało rozkazy rządu. Jaskrawie illustruje nam to stosunek króla do dzierżawców jego dóbr t. zw. starostów - tenutaryuszy. „Szlachcic wyrugował swego dzierżawcę, wypędził ekonoma, jeśli nie respektował jego woli, — król tego nie zrobił i zrobić nie mógł, bo byłby niewątpliwie zrobił w niejednym wypadku, w którym lekceważenie jego mandatów, przybierało cechę już nie biernego oporu, ale zelżywego, wyzywającego zuchwalstwa".[4] A nie byli to przecież właściwi urzędnicy, ale dzierżawcy!

Na polu ustawodawstwa był monarcha już prawie zupełnie skrępowany przez senat i posłów. Bez ich przyzwolenia nie mógł wydać żadnej nowej ustawy (konstytucya „Nihil novi"), któraby naruszała przywileje i stanowisko szlachty. A chociaż sejm miał właściwie charakter stanowy i pozostawiał królowi

---

[1] Por. Winc. Zakrzewski. „P'o ucieczce Henryka Walezego" Kraków, 878.

[2] „O rządzie i jedności kościoła Bożego" jest przedrukiem (z pewnemi zmianami) książki z r. 1576 „O jedności kośc. Boż.". Autorowi było dostępne tylko to późniejsze wydanie.

[3] Kutrzeba. „Historya ustroju Polski". Na tem dziele opiera się przeważnie to wszystko, co się w tym rozdziale do ustroju Polski odnosi.

[4] Władysław Łoziński. „Prawem i lewem" I. str. 362 i 3.

swobodę w sprawach nie interesujących szlachtę, to jednak z czasem „stan rycerski" zmieniając się w panującą warstwę narodu, wciągał coraz więcej spraw w zakres swej kompetencyi. Senat stanowił przyboczną radę króla, później zmienił się w rodzaj Izby wyższej. Do przeprowadzenia jakiejś ustawy potrzeba było zgody wszystkich trzech czynników prawodawczych t. j. króla, senatu i posłów. Opór jednego z nich uniemożliwiał uchwałę. Z czasem przeniósł się punkt ciężkości do Izby poselskiej, a właśnie w jej ustroju tkwił błąd zasadniczy. Oto każdy poseł był tylko przedstawicielem tej ziemi, która go wysyłała, przedstawiał tylko jej interes i był skrępowany przez swych wyborców instrukcyą, jak się ma na sejmie zachowywać. Sejm powstał pierwotnie ze zgromadzenia wszystkich przedstawicieli ziem i zachował nadal ten charakter będąc nie tak jednolitą reprezentacyą państwa, jak raczej federacyjnym kongresem różnych części Rzpltej. Jeżeli zatem jakiś poseł nie mógł w myśl swych przepisów zgodzić się na jakąś ustawę, to nie obowiązywała ona tej ziemi, którą na sejmie zastępował. Mógł też uniemożliwić obrady. Jednakże jak długo ożywiała posłów szlachetnie i rozumnie pojęta miłość ojczyzny, nie zwracano uwagi na opór jednostek i był nawet czas za Zygmunta Augusta, kiedy ten dośrodkowy ruch omal że nie doprowadził do zwycięstwa zasady większości głosów. Za Zygmunta III. niestety nastaje zwrot wprost w odwrotnym kierunku.

Jeszcze w r. 1578, a więc za energicznych rządów Stefana Batorego odmówiły podatku trzy województwa: krakowskie, sandomierskie i sieradzkie.[1] „Od roku 1590. takie niezałatwianie na sejmie sprawy podatkowej, przedtem sporadyczne, zaczęło się powtarzać coraz częściej, właściwie co rok w coraz większej ilości województw".[2] Początek dały województwa wielkopolskie odmawiając stanowczo podatku uchwalonego na sejmie z r. 1590. Uznano to wprawdzie za bezprawie, ale od tego czasu

---

[1] „O kazaniach sejmowych" I. Chrzanowski str. 18.

[2] Józef Siemieński. Rozprawy wydz. hist.-filoz. Ak. Um. U. 48-my str. 296 I dalsza część tego ustępu opiera się prawie dosłownie na tej pracy.

datuje się zwyczaj brania „do braci" poborców, szafarzów, potem podatków, aż w ciągu kilku lat doszło do tego, że zaledwie drobną część potrzebnych środków uchwalano na sejmie. Resztę oddano decyzyi sejmików relacyjnych. W r. 1591. odmówiło uchwały W. X. Lit., a liczne województwa wzięły poborców i szafarzy „do braci". Następny sejm wypadł jeszcze gorzej: „A iż Panowie senatorowie i posłowie niektórzy województw i ziem koronnych, także wszystkie województwa i powiaty W. X. Litewskiego rozróżnili się od drugich województw, które podatek postąpiły... My im tedy sejmiki naznaczyliśmy dla pozwolenia poboru takowego". — Decentralizacya zaczęła się już na dobre. „Dążność ujawniona najzupełniej — pisze historyk rządów sejmikowych — wszystko, jak na dłoni: rozrzucić, to co spojono, rozsypać, co z trudem zebrano, poćwiartować na kawałki to, co organiczną całość zawsze i wszędzie stanowić powinno".[1] Nie wywołałoby to może jeszcze tak bardzo złych następstw, gdyby szlachta była politycznie wyrobiona i zawsze przejęta rozumną miłością ojczyzny. Ale już Zygmunt I. pisał o niej: „próżno pracować jest na korzyść tych, którzy nie życzą sobie swojego dobra i lekceważą je. Czy sądzą, że pomogą im wolności, na których zdawałoby się pokładają swoje nadzieje. Niech im służy za doświadczenie upadek tych (Czesi i Węgrzy), którzy bez mienia i broni nie zdołali utrzymać swych swobód".[2] I Modrzewski wyrzucał posłom: „Ale też niekiedy dali się w tem poznać, iż nazbyt swój stan miłują a nie tak o Rzpltą dbają, jako pilnie wolności swych bronią".[3] Jakie to jednak były „wolności" o tem wiedział już współczesny Fryczowi Orzechowski: „Wiemy co umieją sejmiki, na których duży słabego, śmiały mądrego łatwie z kluby swej wybija, ku swojemu pożytku sejmikiem kierując".[4] Prawdę tych słów stwierdzają nam niejedno-

---

[1] Pawiński. „Rządy sejmikowe" str. 348. Według Ign. Chrzanowskiego „O kazaniach sejmowych" str. 19.

[2] Szelągowski. „Wzrost państwa polskiego" str. 151.

[3] „O poprawie Rzeczypospolitej" I. ks. R. X. str. 91. (Btka Mrówki).

[4] „Quincunx", Wyd. Tur. str. 8. p. Barwiński. „Kartka z dziejów sejmikowania w Polsce". Odbitka z. r. 1897. Lwów.

krotnie dyaryusze sejmowe. W r. 1592. wnosi szlachta płocka protest przeciw biskupowi Baranowskiemu, że gdy go wszyscy sejmikujący oczekiwali z dygnitarzami na czele „właśnie od ołtarza strzelać z rusznic, tuż od formy JMci poczęto, akklamacye ludzi różnych wielkie czynić, podobno in disturbationem aktu tak potrzebnego".[1] W tymże samym roku skarży się szlachta ziemi krakowskiej, że „gdyśmy broniąc dignitatem JMci Pana naszego, broniąc zginienia ojczyzny miłej, która dotychczas nie praktykami, ale wolnym i zdrowym zdaniem stała, wolne głosy swe, jako wolny szlachcicy w pośrodku braciej swej podawali, chcąc otworzyć oczy ludzkie w tych sprawach Rzpltej zachodzących, naprzód strzelaniem po mieście, potym akklamacyami i porywaniem się do broniej głosy nasze opprimowali, przywodząc bracią naszą do rozlania krwie, aby uprzątnąwszy sobie przeciwne głosy wedle affektów i przedsięwzięcia swego postąpić mogli".[1] Żalą się dalej protestujący, zwolennicy króla — jak z ich słów widać —, że „nam wolnych głosów ludziom wolnym, w ojczyźnie wolnej nie dopuścili i posły prywatnemi sprawami obciążone na sejm wysłali", — ale ustąpili ostatecznie krzywde swoje „na ten czas" — „na stronę miłości ojczyzny odłożywszy". Co prawda, nie zawsze skutkowało i odwołanie się do całego sejmu. Na sejmiki we Wiszni w r. 1596. przeprowadziła partya kasztelana Czechowskiego swych posłów, najechawszy sejmik z hurmą zbrojnych szlachciców i to do tego obcych, w owym powiecie — jak podkreślają protestujący — „nigdy przedtem niesłychanych, przedtem niebywających, nie widzianych". Było to jaskrawe pogwałcenie prawa, które zakazywało nosić broni podczas sejmikowania, głosy przyznawało tylko szlachcie mieszkającej w danym powiecie. Poszli zatem pokrzywdzeni szukać sprawiedliwości na sejmie. Ale protest ich odrzucono. A z jakich powodów? Dyaryusz wyjaśnia nam motywa, kierujące tym wyrokiem: „Nie po mniejszej części

[1] *Scriptores rerum polonicarum*: *Diaria comitiorum Poloniae 1592.* str. 135 i 6. wyd. Barwiński 1911.

[2] Tamże str. 178 i 179.

przedsiębrali, iż panowie posłowie od protestantów naganieni, ludzie są wielkiej sławy i wielkiego baczenia. A gdybyśmy ich ruszyć mieli, jużby uszczerbek był honoru, boby byli in regestro civium factiosorum notati i prawo takich poena honoris karze, a nie życzemy tego, aby to miało na domie tak zacnych ludzi zostawać".[1] Okazało się jawnie, że wolność w Polsce przypada w udziale tylko mocniejszym. I na sejmie z r. 1597. starły się z sobą dwie partye posłów z jednej ziemi, a choć protestujący nie mieli, jak się zdaje, tym razem słuszności — to jednak i strona przeciwna przyznawała, że na sejmikach nieraz przemoc panuje i przywiozła w swej instrukcyi następujące znamienne żądanie: „Iż się wiele inordinate i z ubliżeniem wolności w obieraniu posłów ziemskich dzieje, mają pp. posłowie obyczaj i porządek tego obierania namówić i postanowić, tego strzegąc, aby nie wszystko jedni, ale wedle cnót i godności ludzie do tego sposobni obierani byli, wolnie, bez tumultów i praktyk, sedycyej i opresyi wszelakich".[2] Zresztą nie zawsze trzeba było szczęku broni, aby postawić na swojem. Wystarczyło zagrać umiejętnie na strunach duszy szlacheckiej, a żadne słowa nie nadawały się lepiej do tego niż hasło: „wolność wasza zagrożona". Rzesza herbowa patrzyła wogóle podejrzliwie na króla i bała się silnego rządu, jak ognia, bo mogłoby się to skończyć utratą jej wolności. Charakterystycznym wyrazem takiego usposobienia jest Polak w „Rozmowie" Górnickiego, który drży na samą myśl porządniejszych urządzeń w Rzpltej. Gdy Włoch pragnie go przekonać, że n. p. pozywanie winnych z urzędu zapobiegłoby wielu zbrodniom, Polak sprzeciwia się temu gorąco, bo „król mógłby nas zniewolić, a my tego nie chcemy!"

Jakże się teraz zachowywał wobec bieżących kwestyi taki sejm, skrępowany instrukcyami i uroszczeniami sejmików, oparty na zasadzie ogólnej zgody, składający się z posłów nieraz bezprawnie wybranych, upornych, burzliwych, tak często pełnych podejrzliwości i tak zazdrosnych o złotą wolność niby o źrenicę oka?

[1] Barwiński. Kartka z dziejów sejmikowania w Polsce.

[2] *Script. r. pol. XX. Diaria com. 1597.* str. 7 i następne, oraz str. 387 i 8.

Niestety okoliczności złożyły się fatalnie. Młody Zygmunt III, wstąpiwszy na tron, zamiast oprzeć się na silnem stronnictwie Zamojskiego, które szczerze i rozumnie pragnęło dobra ojczyzny, zaczął uprawiać politykę dynastyczną, a przytem skrytą i dlatego wszystkim podejrzaną. Podejrzenia te nie były zresztą bez racyi. W Rewlu chciał król wyjechać z Polski, a tron oddać jednemu z arcyksiążąt austryackich, a choć zamiaru swego, który był „spekulacyą na rachunek narodu",[1] nie wykonał, to nie zaprzestał ustawicznych konszachtów z dworem wiedeńskim. Przeciw intrygom Zygmunta wystąpił Zamojski. Krok jego był niewątpliwie potrzebny, ale źle stało się, że w walce tej nie uciekano się tak hojnie do demagogicznych instynktów szlachty, że nie brakło w niej momentów osobistych, że walka przeciągała się w nieskończoność i obniżała coraz bardziej powagę króla.[1] Nie mniej roznamiętniała kwestya wyznaniowa. Co prawda katolicy wzięli już stanowczo górę nad różnowiercami, ale właśnie wtedy wytworzył się wśród nich ruch dążący do zupełnego zgniecenia dyssydentów. Zaczęły się coraz częściej pojawiać wybuchy fanatyzmu, co sprawiło, że różnowiercy domagali się nieustannie „obwarowania konfederacyi warszawskiej i surowych kar na „tumulty". Oprócz tego nie brakło naturalnie prywatnych niechęci i intryg.

Głównem polem, na którem się te wszystkie sprawy mogły rozgrywać, był sejm. I rzeczywiście spotykamy tu ciągle dwie partye zwalczające się zajadle, regalistów i zwolenników Zamojskiego, zwanych często „politykami" lub „popularystami". Izba poselska zwłaszcza ulegała silnie wpływom kanclerza a także różnowierców i trzęsła się nieraz od burzliwych obrad. A nawet sejm stawał się czasem za ciasny dla rozdrażnionych umysłów. Fale ogólnego wzburzenia rozlewały się szeroko po całym kraju i doprowadzały do bezprawnych zjazdów, bo odbywanych wbrew woli króla. Pierwszy przykład dał sam prymas,

[1] Szujski. Dzieje Polski. III. (1894) str. 152. według Ign. Chrzanowskiego „O kazaniach sejmowych" str. 77.

[1] Sokołowski. Dzieje Polski. T. III. str. 127.

urządzając zjazd w Kole. Zdarzenie to świadczy nadto, że szlachta nie posiadała znajomości stosunków i wyrobionych zasad. Zjazd ten bowiem odbył się przeciw Zamojskiemu i na sejmie z r. 1590. ograniczono jego hetmańską władzę. W r. 1592. poszły tłumy szlachty za kanclerzem — długo pozostawały pod jego wpływem, ale gdy go brakło, stanęły po stronie Zebrzydowskiego i takich krzykaczy, jak Stadnicki i Herburt.

Gdy Skarga pisał kazania sejmowe było jeszcze do rokoszu lat blisko 10, ale podłoże do niego przygotowywało się już wyraźnie. O sejmie z r. 1590. powiada Bielski, że „burzliwszego dotąd sejmu nie było". — Rok 1591. przyniósł cały szereg samowolnych zjazdów, urządzanych przez różnowierców i „popularystów" (w Chmielniku, Radomiu, Lublinie — już z tendencyą polityczną — w Jędrzejowie, Słonimie i Nowogródku). W r. 1592. odbył się sławny sejm inkwizycyjny, na którym runęła do reszty powaga króla. Sejm z r. 1593. zaczął się gwałtowną kłótnią o wybór marszałka, a burzliwe spory doprowadziły do tego, że sześć dni przed zakończeniem sesyi nic jeszcze nie zrobiono. Na sejmie z r. 1595. obradowano nad ligą turecką, ale do żadnych uchwał nie doszło. Sejm z r. 1597. stracił pięć dni na kłótni między dwojakiemi grupami posłów z województwa ruskiego — potem nastały obrady mało pożyteczne i choć Zamojski przedkładał wymownie, ile naglących potrzeb państwa czeka swego opatrzenia, choć zaklinał posłów złamanym od starości głosem, dyaryusz kończy się smutną notatką, że „wszyscy nic nie sprawiwszy na tym sejmie rozjechali się"...

W r. 1597 wykończył Skarga kazania sejmowe i oddał je do druku.[1] Mamy tu już wyraźny wpływ ówczesnych stosunków politycznych. Skarga był od r. 1588. kaznodzieją królewskim i zetknął się bezpośrednio z ich objawami. „Patrzyliśmy i w tej ojczyźnie naszej na troje straszliwe interregna, w których jako w potopie to się królestwo pogrążyło. Patrzyliśmy na owe jadowite heretyki, którzy tu w tym państwie W. K. M. do kilka tysięcy kościołów poburzyli. Odnosiliśmy ciężkie najazdy

[1] Chrzanowski „O kaz. sejm." str. 45.

o Konfederacyach przeciw Bogu i Kościołowi Jego, któremi spustoszyć ostatek chcieli. Patrzyliśmy na sejmy nieszczęśliwe, na których się nigdy nic pożytecznego królestwu wszystkiemu przez niespokojnych ludzi mięszaniny, postanowić nie mogło. Uweselże nas Panie za te dni, którycheś nas poniżył, a daj nam lepsze lata"[1]... Z takich spostrzeżeń i z takiego uczucia wypłynęło kazanie o niezgodzie domowej: „Obejrzyjcie się, proszę, na ty szkody i utraty, które wam z niezgody urastają. Bo naprzód drogi sobie wszytki prawie zagrodzicie do poratowania tak nachylonej do upadku ojczyzny swej i królestwa tego". „Cóż będzie po waszych sejmach, które tylo samy na oddalenie i leczenie przygód z tych razów Rzeczypospolitej wam zostały, jeśli z różnemi wiatry i niestwornemi myślami na nie się zjeżdżacie? (III Kaz. sejm.)

Odpowiedź na to pytanie dawały mu już same wypadki. Skarga widział dobrze, że zjazdy opozycyjnej szlachty, to dalszy ciąg walki, jaka się na sejmie toczyła: „I owszem, sejmy, które wam były lekarstwem na wszytki Rzeczypospolitej choroby, w jad się wam obróciły: bo na nich więcej niezgód i odrażenia myśli jeden od drugiego i stanu od stanu przyczyniacie. Na nich się buntowania i sedycye rodzą, z nich z więtszem rozwaśnieniem wyjeżdżacie niżli przyjeżdżacie. I tak sejmy na ukrzepcenie zgody i miłości braterskiej uczynione, na rozpalenie rozterków służą. Toć już ich lepiej nie składać, jeśli takich niespokojnych serc i myśli nie złożycie, a do więtszej zgody nie przystąpicie. A bez sejmów, jako o sobie radzić macie, nie łacno się domyślić, ażby z przykrą i niebezpieczną odmianą wszystkiego" (III. kaz. sejm.).

I gdy się pytał sam siebie, co dalej z takiego stanu Rzpltej wyniknąć może, nieubłagana konsekwencya powiadała mu: „Zatym, uchowaj Boże, domowe wojny powstać mogą, które nade wszytki nieszczęścia królestw nażałośniejsze są i upadek domu wszytkiego i spustoszenie za sobą ciągną, jako Pan mówi". „Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszą niezgodę

[1] Przedmowa do kazań przyg. z r. 1600.

i mówić będzie: rozdzieliło się serce ich, teraz poginą. I czasu dobrego do waszego złego, a na swoje tyraństwo pogodnego, nie omieszka. Czeka na to ten, co wam źle życzy, i będzie mówił: „*Euge, Euge*! teraz je pożerajmy, teraz pośliznęła się noga ich odjąć się nam nie mogą". „I niezgoda przywiedzie na was niewolę, w których wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą..." (III kaz. sejm.).

Cała historya Polski od Zygmunta III. do dzisiaj mieści się w tych proroczych słowach. Wszystkie konsekwencye, jakie z ówczesnego ustroju Polski, wysnuwała historya, są tam zebrane z zadziwiającą przenikliwością. Słusznie powiedział o Skardze Mickiewicz, że „przyszłość stała mu przed oczyma wypisana, jakby w księdze dziejów upłynionych; czytał ją od deski do deski".

Jeśli jest źle, to trzeba temu koniecznie zaradzić! Ale jak? „Nic nie jest bez przyczyny, zwłaszcza w ludzkich sprawach, które z rozumu i wolnej woli pochodzą"[1] (II. kaz. sejm.). Skarga nie sprzeniewierzył się prawie nigdy temu hasłu: wszędzie, gdzie może, szuka niestrudzenie ukrytych sprężyn wypadków. „Dotknijmy już przyczyn, takich niezgód waszych, które poznawszy, przywodźmy się do oddalenia ich, abyśmy się do świętej zgody przywiedli" (III. kaz. sejm.). I wynajduje ich Skarga nie mało. Jedna „barzo główna" przyczyna to chciwość i łakomstwo, które sprawia, że „gdy nie dostaną czego chcą, rozruchy czynią, niezgody sieją, mszcząc się, abo grożąc". Inna — to znów zbytni dostatek i pycha, oraz wynikający stąd upór: „jeden przeciwko drugiemu nadyma i ustąpić w niczym nie chce" (III. kaz. sejm.). Dalej zazdrość, „zakryte serca i obłudne, które cicho ludzie łowią, a z małych przyczyn i podejrzenia niepewnego złe serce, ku drugiemu biorą". Ale to mniejsze powody. Niezgodę wywołują przedewszystkiem „kacerstwo i różne fałszywe wiary, które jedną prawdziwą zepsować chcą" i „lekkie uważanie królewskiej od Boga zwierzchności".

Trzeba przyznać, że Skarga odnalazł rzeczywiście główne źródła ówczesnego zamięszania. Rozpaczliwe wysiłki różnowierców

o zdobycie konfederacyi i walka regalistów z „popularystami" — to zasadnicze rysy polskich sejmów w tym czasie. Sądząc ze stanowiska nowoczesnych pojęć tolerancyi religijnej, trzebaby uznać, że stanowisko Skargi w danym wypadku było po części tendencyjne. Skarga nie widział, że przyczyną byli w tym wypadku i katolicy, którzy wytrwale bronili się przed zagwarantowaniem różnowiercom takiej wolności religinej, jakiej się oni domagali. Sam Skarga ze szczerej troski o szczęście dusz polskich był wrogiem tej konfederacyi.

A dalej nie wiedział, że w zarzutach podnoszonych przeciw królowi było wiele słuszności, że na Zygmunta III. spada w niemałej mierze odpowiedzialność za anarchię w Polsce. A może wiedział, — ale nie chciał wyciągać błędów królewskich przed sąd publiczny? Wszak w Rewlu miał się do tego przyczynić, że Zygmunt III. nie opuścił Polski, a później gdy się gotowało drugie małżeństwo austryackie, co miało rozpętać nową burzę w kraju, on odradzał to i złożył nawet urząd kaznodziei nadwornego. Zdaje się jednak, iż pogłoskom zwracającym się przeciw królowi nie wierzył, tem więcej, że się do właściwej polityki nie mięszał. „Wszak mają prawa — mówił o królach (w VI. kaz. sejm.), — z których namniej nie występują".

Jeśli jednak przywiązanie do Zygmunta III. czyniło go do pewnego stopnia jednostronnym, to z drugiej strony sprzyjało ono bardzo powstaniu głębokiego przekonania, że ratunek niezgodnej Polski leży jedynie w silnym rządzie. „Gdy pańska dostojność i poważność mocna jest, wszytki niezgody wasze uciekać i psować się muszą i gdy jeden karze, jeden sądzi, jeden rozumem swoim i mądrością wszytkich rozumienia miarkuje" (III. kaz. sejm.). „Nic gorszego nad niezgodę domową niemasz i dlatego wszędy się stawia, aby różnice poddanych rozsądzały, a wadzić im się nie dopuszczały, wiedząc, iż tak najrychlej zginąć mogą" (III. kaz. sejm.).

I to była z pewnością najsilniejsza przyczyna, że Skarga monarchii nie tylko sprzyjał, ale że też wystąpił do walki w obronie władzy monarszej i to z taką nigdy przedtem w Polsce niesłychaną potęgą wymowy i z taką zdumiewającą śmiałością.

Ale nie dosyć na tem. Do tego samego wniosku prowadziły Skargę jeszcze inne, choć poprzednim pokrewne objawy ówczesnego życia. Już za Zygmunta Augusta panowały w Polsce bardzo przykre stosunki, a po jego śmierci nastało takie zamięszanie, że — jak pisze Orzelski[1] — „została tylko sama forma prawa, z których nikt nie miał korzyści, wyjąwszy, rzeczników, woźnych i pisarzy, że niespełniane były wcale wyroki, a zbrodniom prywatnym nie było miary i granicy". I Stefan Batory narzekał gorzko na anarchię: „Nierząd, wszystkie obyczaje psuje — pisze w swym uniwersale — na których miejsce nastąpiły srogie zbrodnie, mężobójstwa, gwałty, łupiestwa, mordy z rusznic, zabijania, wszeteczeństwo, krzywoprzysięstwo, zbytki, utraty i innych wiele szkaradnych występków".[2] Zapiski sądowe owych czasów potwierdzają niestety te smutne słowa. „Są lata, w których akta tych ziem jakby ociekały krwią".[3] pisze o pierwszej połowie XVII. w. badacz tych stosunków na Rusi czerwonej. A cóż było tego przyczyną? Czy może same prawa polskie? Po części tak, — ustawodawstwo polskie miało wiele niedostatków — powrócimy do tego, gdy przyjdzie nam mówić o stanowisku Skargi wobec „praw niesprawiedliwych", — ale nie w tem tkwiła główna przyczyna zła. „Nie brak prawa gubił obyczaje, — ale brak władzy, nie brak sankcyi karnej, ale brak wykonania". Zwłaszcza w pierwszej połowie panowania Zygmunta III. „trzeba było szczególnego nieszczęścia, albo wielkiej osobistej pokory, aby uledz karze w rzeczywistym jej rygorze".[4]

Cóż dopiero mówić o uszanowaniu władzy monarszej? Wbrew woli króla odbywały się w r. 1592. tak liczne zjazdy, jego uniwersały miały po większej części papierową tylko wartość, a najlepszym tego dowodem jest choćby i to, że ponawiają się tak często — i tak często bez skutku!.

Te to właśnie zatrważające stosunki miał Skarga na myśli, gdy wołał w pierwszem kazaniu sejmowem: „Zginęła w tym

---

[1] Orzelski „Bezkrólewia". T. II. 6, za Wł. Łozińskim: „Prawem i lewem" I. str. 7.

[2] Wład. Łoziński. „Prawem i lewem". T. I.

[3] Tamże. [4] Tamże.

królestwie karność i disciplina, bez który żadny rząd uczynić się nie może, którą Pismo św. wszędzie zaleca. Nikt się urzędów ani praw nie boi, na żadne karanie nie ogląda". „Wszyscy się wolnością ślachecką bronią, wszyscy ten płaszcz na swe zbrodnie kładą i poczciwą a złotą wolność w nieposłuszeństwo i wszeteczność obracają" (I. kaz. sejm.).

Skarga patrzył na to z głęboką boleścią i wiedział, że „gdy bojaźń Boża ginie i wstyd upada, w samej tylo karności urzędowej nadzieja do pohamowania złości zostaje" (I. kaz. sejm.). I to było dalszą ważną przyczyną, dla której był głęboko przekonany o konieczności silnej władzy rządowej.

Ale, jak mówiliśmy, była wówczas władza królewska niemało już ograniczona. Krępowała ją zwłaszcza Izba poselska, która pochodząc z wyboru, nie zależała wcale od króla, kiedy tymczasem senat zależał od jego nominacyi. Izba ta stanowiła podstawę wolności szlacheckich i uchodziła za ideał demokratycznego rządu.

Skarga jednak patrzył na nią innemi oczyma i dostrzegał w niej wiele złego. Widzieliśmy, jaką obawą napełniała go niezgoda, która rozrywała jedność obrad i uniemożliwiała powzięcie jakichkolwiek uchwał. Widzieliśmy, jak narzekał na bezkarność i swawolę — i jak upatrywał w tem ciężką chorobę Rzpltej. Oprócz tego znajdował on jeszcze przyczynę anarchii w ówczesnym ustroju parlamentarnym, w samym urzędzie poselskim: „z niego teraz się wielkie dobrym radom przeszkody dzieją i jeśli co do upadku koronie tej pomaga, jako sami między sobą często mówicie, tedy to koło narychlej ją przewróci i zgubi". „Bierzem przykład z tych kila przeszłych sejmów, na których nic się dobrego w tak wielkich i nagłych Rzeczypospolitej potrzebach stanowić nie mogło. Panowie posłowie wszystko rozporzą, abo swemi głowami, abo cudzemi tajemnemi dając się użyć, na co komu potrzeba, zdrowia całości i dochowania Rzeczypospolitej odstępując. Na tym tegorocznym sejmie z sromotą i wielkim niebezpieczeństwem wszystkiego królestwa nas odbieżeli protestując się, iż na żadną rzecz, ani dobrą ani napotrzebniejszą nie zezwalają" (VI. kaz. sejm.). Oczywisty z tego wniosek, że rządów nie można takiej instytucyi powierzać.

Wynajdywał też Skarga i przyczyny, dlaczego tacy a nie inni ludzie na sejm przyjeżdżają. „Naprzód obieranie posłów na sejmikach takie jest, iż mocniejszy a śmielszy czynią co chcą: abo się sami obierają, i drudzy mało nie dożywotny sobie ten urząd czynią, abo takie wystawiają, którzy ich myślom i przedsięwzięciu służą. A szlachta w prostocie nie wiedząc, co się dzieje, przyzwala i wrzaskiem wszystko odprawuje". „A gdy ich obieranie minie, takie artykuły napiszą, któremi myślom swoim służyć i sejmowe sprawy zatrudnić usiłują... nie to, co im prości bracia poruczają, ale z głowy swej i z serca, na urzędy obostrzonego, abo z głodu na swe dobre mienie, abo z waśni na duchowne, rozterki sieją i dobrym pożytecznym Rzeczypolitej radom przeszkadzają" (VI. kaz. sejm.). I z tego wynikałoby też konsekwentnie, że tacy ludzie nie są zdolni do rządzenia sprawami narodu. I rzeczywiście, za najszkodliwszą u nich rzecz uważa Skarga to, „iż moc sobie tak wielką przyczytają, którą królewskiej i senatorskiej przeszkodę czynią... iż chcą, aby szlachta, abo lud pospolity przez swe posły rządził, a bez nich król z radą swoją nic nie czynił, a na ich konkluzyę patrzył" (VI. kaz. sejm.). Jestto może dobre w mieście greckiem albo szwajcarskiem, albo w Wenecyi, — ale nie w Polsce, w „królestwie tak szerokim". „A musiałaby się wszystka szlachta w jednych murach i w jednym mieście zamknąć i tam mieszkać, by o sobie wszyscy radzić zaraz mogli" (VI. kaz. sejm.).

Skarga uderza tutaj, — na decentralizacyę władzy, co się właśnie w tych czasach na dobre zaczęło rozwijać. Był nasz kaznodzieja stanowczym przeciwnikiem rządów „pospólstwa". Mogły na to wpłynąć do pewnego stopnia pisma starożytnych. Główna jednak przyczyna tkwiła w tem, że stosunki polskie ujawniały częstokroć ujemne strony tych rządów i że nie zgadzały się z pojęciem silnej władzy centralnej. „W takim rządzie wielogłowym łacno bardzo sedycye i wzburzenie uczynić, bo prostym smaczne to pochlebstwo, iż też oni rządzić mają i lada zły język i śmiała swawolność namówi ich do rzeczy barzo szkodliwych i głupich, któremi się sami pogubią". Czy to nie alluzya do samowolnych zjazdów i różnych agitatorów, którzy słowem

wolność hypnotyzowali całe tłumy szlachty? Otóż właśnie, jeżeli kto sądzi, że ustrój tego rodzaju zapewnia rządy wszystkim obywatelom, ten się bardzo łudzi. „Taki rząd popularitatis musi mieć przecież swoje króliki, bo populus na dwu językach abo na trzech polega; którzy królikowie z sobą się wadząc, jeden drugiemu zajrząc, wszystko nogami wzgórę obrócą" (VI. kaz. sejm.).

Tak zatem wielkie tłumy szlachty nie nadają się do rządu, także izba poselska przeszkadza raczej niż pomaga. Należy więc oddać władzę w ręce króla. Ale czy zupełnie, czy aż do granic absolutyzmu? Nigdy w świecie. Byłoby to w Polsce niemożliwe, ale kaznodzieja nasz nie tylko dlatego sprzeciwia się samowładnym rządom. On rozumie, że „dobre *absolutum dominium* i nad nie lepszego rządu nigdy być nie może, ale u samego Pana Boga, który nigdy pobłądzić i złym być i tyranem nie może" (VI kaz. sejm.). Ale ludzie są omylni i grzeszni. „Dla tegoż do monarchy i króla przykłada ludzki rozum radę i prawa, krocąc i okreszając moc jego, a pomagając rozumowi jego, aby nie pobłądził, a złym się tyranem nie stawał".[1] Król powinien być zatem ograniczony prawami: „radą" czyli senatem. W jakim stosunku do monarchy miałaby tu rada pozostawać, o tem nie mówi Skarga wyraźnie. Raz[2] znajdujemy tylko wzmiankę, że zwłaszcza biskupi powinni się przy boku monarchy znajdować, „bo oni jako Ducha św. hojniej mający, jaśniej i w rzeczy świeckie, któremi tenże Duch św. rządzi, patrzą, a mniej do własnych i prywatnych pożytków, któremi się pospolite psują zaglądają"... W razie gdyby król uciskał poddanych mają stanąć u niego w ich obronie; naturalnie należy to czynić z wszelkiem uszanowaniem i w odpowiednim czasie.

A co zrobić z Izbą poselską? Czy ją znieść? Skarga nazywa ją „rzeczą na początku dobrą", a także w kazaniu Wiślickiem godzi się na rząd „obtoczony" arystokracyą (senat) i demokracyą (posłowie). Jest tylko przeciwnikiem zbyt wielkich

[1] Kaz. na niedz. i św.
[2] Na dzień św. Stanisława.

praw i uroszczeń Koła poselskiego i pragnie, aby posłowie „opatrzywszy wolności swe, a nie mając żadnego uciśnienia ani tyraniej od swoich panów, onym jako pomazańcom bożym, wszytki rządy zlecali" (VI. kaz. sejm.). W rękach królewskich mają więc spoczywać właściwie rządy, a szlachta ma tylko „opatrywać" swe wolności. W jaki sposób miałoby się to odbywać, o tem niema także wyraźnych wskazówek; ale do pewnego stopnia można to określić. W kazaniu o monarchii wyraża się Skarga z uznaniem o dawnych sejmach: „Dla poborów samych przyzywano posłów od szlachty z powiatów, z któremi za trzy albo cztery dni sejmy się kończyły i były krótkie sejmy, ale pożyteczne królestwu i dzielne". Wolno zatem przypuszczać, że kaznodzieja nasz chciałby powrócić właśnie na to stanowisko.

W ten sposób zyskałaby władza monarsza rzeczywiście wpływ bardzo wielki. Starał się jeszcze Skarga i w inny sposób o jej wzmocnienie. Gdy szukał przyczyn, dlaczego powaga królewska w Polsce osłabła, znajdował obok nadmiernej wolności i złego szafowania urzędem poselskim także „rozerwanie dochodów i dostatków królewskich" (VI. kaz. sejm.). Wiedział, że dzieje się to wskutek chciwości i niedbalstwa dzierżawców, napominał więc posłów, aby temu zaradzili, a równocześnie uderzał z oburzeniem na łakomych urzędników.

Tak więc prawie wszystko, czego do naprawy systemu rządowego można było wymagać, Skarga odnalazł i całemu narodowi pokazał. Co prawda, o elekcyi nic nie wspomniał, lecz nie była to wówczas kwestya aktualna, także sprawę skarbową poruszył bardzo ogólnikowo. Ale po spełnieniu jego żądań, musiałoby to przyjść samo z siebie. Ważniejszym byłby zarzut, że zapomniał o rzeczy tak potrzebnej, jak reforma samego sejmowania. Bo gdyby nawet Izba poselska miała ograniczoną władzę, to jednak nie bardzo dobrze działoby się w Rzpltej, gdyby kilku mogło udaremnić uchwały większości. Otóż trzeba powiedzieć na chwałę Skargi, że i ten niedostatek swym przenikliwym wzrokiem spostrzegł i żądanie reformy obrad wyraźnie wypowiedział: „Na tych pracach sejmowych o dobro wszystkiej korony ten jest zwyczaj, albo podobno jakieś krzywe i szkodliwe

prawo: co ojcowie i mądrzy starzy uradzą i postanowią, to synkowie młodzi zepsować mogą i psują. Stąd jest iż i zamknienie wszystkiego sejmu i stanów koronnych... kilku ich rozerwać i wszystką ojczyznę zamięszać i pomoc jej odjąć i w wielkie niebezpieczeństwo wprawić ją mogą. Jakoby to trudno opatrzyć, aby zamknienie sejmów swój pewny obyczaj miało, a jeden albo dwa niespokojni, okrętu, w którym się wszyscy wieziem, nie przewracali i nie zatapiali".[1] — Wogóle żądania, jakie stawia Skarga, są niezwykle doniosłe. Jakże inaczej wyglądałaby nasza historya, gdyby je spełniono.

Królowi oddawał Skarga bardzo rozległą władzę, ale tylko po to, aby całemu narodowi działo się dobrze pod jego silnymi i sprężystymi rządami. Monarcha powinien służyć swoim poddanym, a obowiązki jego można podzielić na trzy części. Najpierw ma się starać dla swego ludu o „dobra pożyteczne" t. j. zupełne bezpieczeństwo życia i dobrobyt materyalny. „Bo tym jest różne panowanie tyrana od pobożnego króla, iż tyran wszystkę moc swoję i poddanych dobra na swój pożytek i pompę i rozkoszy i ubogacenie samego siebie obraca, a pobożny Pan wszystkiego na dobro poddanych swoich nie na swoje obraca".[2] A nawet wymaga Skarga od króla takiego poświęcenia, że poleca im i życia w obronie kraju nie żałować, jak to czasem czynili pogańscy urzędnicy, którzy „radzi za ludzie swoje umierali". Druga powinność monarchy to „obmyślanie dóbr uczciwości", polegających na tem, „aby cnota w ludziach kwitnęła, a grzechy i złości nie panowały".

Jest bowiem nasz kaznodzieja, jak i Modrzewski głęboko przekonany, że moralność jest konieczną podstawą państwa. Najwyższe miejsce wyznacza „dobrom wiecznym". Rozumie pod niemi życie religijne i wymaga od króla, aby je z całych sił ochraniał i popierał.

Naturalnie król, jeśli ma tyle zadań do spełnienia, jeśli jest głową i „świecą" społeczeństwa, to musi się odznaczać

---

[1] Wzywanie do pokuty. (Btka Mrówki) str. 38.
[2] Kaz. na niedz. i św. Na XXII n. po Św. I.

wieloma przymiotami. Nie szczędził też Skarga licznych napomnień Zygmuntowi III, a równocześnie dawał z serdecznej troski o dobro narodu rady, jak wychować młodego królewicza Władysława. Była w tych słowach wielka miłość ojczyzny i wiele szlachetności, jak n. p. wtedy, kiedy kazał nauczać przyszłego dziedzica tronu, „aby się pierwej człowiekiem być znał, niźli panem i synem królewskim“,[1] aby ukochał naród, który ma rządzić i przyzwyczajał się do twardego życia w jego służbie.

W ten sposób przedstawiają się poglądy Skargi na stanowisko i zadania rządu. Zanim wysnujemy z tego ustępu wnioski o indywidualności twórczej naszego kaznodziei, musimy się jeszcze zastanowić nad oryginalnością tych pomysłów. Czy nie spotykamy w naszej literaturze politycznej podobnych spostrzeżeń i czy dopiero Skarga je pierwszy wypowiedział?

Na niezgodę, która jego serce taką obawą napełniała, skarżyli się prawie wszyscy pisarze 16 w. Również bezkarność i swawola szlachty, kłótliwe obrady i zrywane sejmy pobudziły wielu współczesnych do ostrej krytyki Koła poselskiego. Ostroroga gniewało tylko ustawiczne spaźnianie się posłów i zbyt długie sesye, — Modrzewski narzekał już, że niektórzy „nazbyt swój stan miłują“, a nawet Orzechowski, ten trybun wolności szlacheckiej, nie waha się powiedzieć posłom wprost: „Jeżeli tak ma iść dalej, to się lepiej rozejdźcie, niż postronnym w pośmiewiska, a swoim na wstyd i oburzenie się podawać“. Szczególnie śmiało uderzył na Izbę poselską Karnkowski w swoich „Exorbitancyach“, a wpływ tego dzieła na „Kazania sejmowe“ jest wyraźny, bo sam Skarga o tem wspomina. Także przekonania naszego kaznodziei, że najlepszym rządem jest monarchia, nie są odosobnione. Według Modrzewskiego „władza królewska, samego Boga, który jest wszego świata królem, obraz na ziemi wyraża“. Warszewicki uczy podobnie jak Skarga, że jedynowładztwo to naśladowanie rządów niebieskich i żąda także silnej władzy centralnej. O jej wzmocnienie starał się też i Górnicki — choć nie zawsze szczęśliwie.

---

[1] Przedmowa do „Kazań na niedz. i św.“ z r. 1597.

Ale czy ma to dowodzić, że Skarga wziął swe pomysły z cudzych książek i że był echem cudzych poglądów? Stanowczo nie. Nawet o „Exorbitancyach" słusznie powiedział prof. Chrzanowski, że jakiejś ściślejszej zależności od nich trudno się w „Kazaniach sejmowych" doszukać. Skarga nie potrzebował w istocie zapożyczać się od innych w charakterystyce obrad sejmowych, bo znał je z życia. Jakże często wskazuje sam na źródło, skąd swe pomysły czerpał. „Doznaliście i tego roku co wam i ojczyźnie miłej pomogło" — pisze w III. kaz. sejmowem.

W kazaniu o monarchii czytamy: „kilka dni obierając marszałka, raz pomnię półtrzécia niedziele na tym trawiąc czas tracili..." „Bierzem przykład z tych kila sejmów" — powiada przy końcu tegoż kazania i t. d. Własna obserwacya, a nie cudze książki, oto materyał, z którego swoje poglądy budował.

Nie myślimy atoli zaprzeczać pośredniego wpływu i to nie tylko pism, ale i różnych ludzi grupujących się w stronnictwie królewskiem. Pisał Skarga do Zamojskiego: „Troskanie o nasze nieporządki (na sejmie) wszyscy mamy wspólne, ale W. M. ma większe, który goręcej ojczyznę miłujesz i głębiej i ostrzej w jej niedostatki patrzysz". A choć list ten pochodzi z r. 1603, to jednak i przed napisaniem kazań sejmowych nie było inaczej. „Ja to tylo mówię, — co wszyscy widzą" (I. kaz. sejm.). Nawet w uniwersałach królewskich, albo w deklaracyach regalistów nieraz napotykamy ustępy, które nam żywo przypominają poglądy Skargi. Miało to naturalnie wpływ na tworzenie się jego pojęć, ale tylko ten, że zwracało jego uwagę na pewne sprawy i podawało punkt widzenia, z jakiego trzeba było na nie patrzeć. Wpływ otoczenia pomagał tylko myślom Skargi wydobyć się na światło dzienne, ale praca umysłowa była zupełną jego własnością.

* * *

Było naszem staraniem dać w tym rozdziale obraz poglądów Skargi na rząd i nakreślić ich genezę. Widzieliśmy, że monarchistą zrobiły go już po części stosunki życiowe i sam umysłowy oraz uczuciowy kierunek jego indywidualności. Był zwo-

lennikiem władzy królewskiej, bo nie unosiła go ta nieokiełznana natura szlachecka, co pragnęła bujać „jako orzeł bez pętlic", — bo król stanął po stronie ukochanego przezeń katolicyzmu, a różnowiercy znaleźli się w obozie wichrzycieli. Ale to nie stanowiłoby jego wielkości. Kazania sejmowe były wypowiedziane z innych jeszcze powodów. Oto Skarga, prawdopodobnie dopiero zetknąwszy się bezpośrednio z życiem sejmowem i stronnictwem królewskiem, ujrzał wyraźnie, że w kraju panuje anarchia, — a niema na to innej rady, jak tylko silny rząd, że serca polskie rozdzieliła niezgoda, że stądto płynie zrywanie sejmów, które dzierżyły cały ster państwa, a w własnem łonie nosiły śmiertelną chorobę: jednomyślność i decentralizacyę, i że także na to niema innej rady, jak silny rząd centralny i reforma sejmowania. Widział z nieubłaganą konsekwencyą, że w przeciwnym razie musi przyjść do zguby i to nadało jego wystąpieniu taką moc zdumiewającą i to nakazuje nam powiedzieć, że Skarga posiadał wielki, przenikliwy rozum polityczny.

Na czemże więc polegał? Zastanówmy się nad genezą jego poglądów: czy wytwarzały się one naprawdę w ten sposób, jakeśmy to nakreślili. Jest naszem przekonaniem, że tak, choć należy zrobić jedno zastrzeżenie. Jestto tylko ogólny kierunek myśli, a nie linia ich szczegółowego przebiegu. Ten mógł być rozmaity. Może gromadził się szczegół po szczególe, aż nadeszła chwila, kiedy Skarga to wszystko pojął i zrozumiał, może parę faktów wywołało już to przekonanie — a na resztę wypadków patrzył nasz kaznodzieja już z tego stanowiska. Kiedy ten moment nastąpił i jak się dokonał? Trudno na to dokładnie odpowiedzieć. Musimy poprzestać na wytyczeniu ogólnego szkicu. Przedstawia się on zaś w następujący sposób.

Skarga dochodził w tej dziedzinie do swych przekonań na podstawie własnej obserwacyi. Nie patrzył wprawdzie na wydarzenia zupełnie bezstronnie, ale właśnie to uprzedzenie było po większej części korzystne, ułatwiało mu widzieć fakta z tej strony, z której trzeba było na nie spoglądać, a z której na nie szlachcic, co bujał „jako orzeł bez pętlic", patrzeć nie mógł. Jednak to ułatwiało mu tylko ocenę faktów. Umożliwiała mu

ją dopiero ta przedziwna zdolność jego umysłu do wysnuwania bardzo dalekich konsekwencyi naprzód i w tył. Skarga szukał uporczywie przyczyn i skutków, choćby najdalszych, a w poszukiwaniu tem zwykle się nie mylił. Jego umysł odznacza się przenikliwą logiką, idzie drogą prostą a dobrą. Nigdzie nie występuje tak, jak tutaj właśnie w III. i VI. kazaniu sejmowem. Pomysły nie są może wszystkie zupełnie jego dziełem, ale uwagi cudze były tylko niby lekkiem potrąceniem, które myślom jego dążącym do uświadomienia, pozwalały się prędzej rozwinąć. Rozwój ten odbywał się drogą powolnej indukcyi i refleksyi, a jest zupełnie jego własnością. Posiada Skarga we wysokim stopniu dar ujmowania szczegółów w całość, zdolność syntezy. Do szybkiego ich obejmowania i do uprzytamniania potrzeba było naturalnie trwałej pamięci i tego, cośmy nazwali pojemnością uwagi. Ale do spostrzegania tych rzeczy trzeba było jeszcze gorącego uczucia. Bo, jeśli on, cichy zakonnik, oddany myślom o nawracaniu dusz ludzkich i zapatrzony w niebo, zwracał uwagę na te fakta, zastanawiał się nad niemi i potem występował z taką siłą wymowy i z tak nieustraszoną śmiałością, to tylko dlatego, że miał serce pełne głębokiej miłości ojczyzny, że go bolało nieznośnie każde zdarzenie, w którem widział objaw powszechnej choroby. Skarga dochodził tutaj do swych poglądów nie przez teoretyczne, deduktywne rozumowania, ale przez bolesne zetknięcie się z życiem, przez zaprzeczanie tego, co uważał za złe i szukanie na to środków ratunku. Uczucie było tu czynnikiem jedności, który sprawiał, że z drobnych szczegółów wytwarzała się wspaniała całość.

(C. d. n.)

Stanisław Mitera.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Konsekracya kościoła. Starożytność i znaczenie tego obrzędu. Przepisy kościelne i wskazówki praktyczne. *Karol Józef Fischer,* Biskup tyt. malleński, Sufragan przemyski. Z rysunkami. Przemyśl. Nakładem księgarni A. Juszyńskiego, 1911, str. VIII+147.

Dziełko to jest prawdziwie wielką, wyświadczoną duchowieństwu przysługą. Najdostojniejszy Autor, który sam rok rocznie wśród wizyt pasterskich konsekruje po kilka kościołów, przekonał się, na jakie trudności narażeni są XX. Proboszczowie, którzy przygotowują konsekracyę kościoła, a to dla braku odpowiednich informacyi. Zaradzić temu, usunąć te trudności, wziął sobie Najprzewielebniejszy Ks. Biskup za zadanie, z którego też wywiązał się znakomicie.

W pierwszych czterech rozdziałach, dawszy najpierw pojęcie o istocie konsekracyi kościoła, przedstawił starożytność, piękność i symboliczne znaczenie tego obrzędu, a wreszcie prawne następstwa i korzyści duchowe dla wiernych. To wcale obszerny materyał do kazań na uroczystość poświęcenia kościoła i jego rocznicę. W dalszych pięciu rozdziałach znajduje czytelnik wskazówki, co należy zrobić przed konsekracyą kościoła, a mianowicie: jakie kościoły, kiedy i kto powinien konsekrować; jak urządzić ołtarz; co przygotować w samym kościele, co sprowadzić, ilu duchownych zaprosić do asysty i. t. p. szczegóły, nie wyjmując kwestyi postu w wigilię konsekracyi. Jednem słowem, krótko a źródłowo zebrane mnóstwo przepisów, które wprawdzie istnieją, ale porozrzucane po rozmaitych dziełach liturgicznych i prawniczych i po księgach kościelnych. Rozdział X. omawia szczegółowo sam obrzęd konsekracyi. Bardzo dokładnie i jasno w ostatnim podpodziale tego rozdziału zestawił Najdostojniejszy Autor przepisy, dotyczące Oficyum i Mszy w dniu konsekracyi

i w rocznicę tejże. Wreszcie dwa dodatki: I. o konsekracyi ołtarza bez konsekracyi kościoła, II. o portatylach. Ten drugi dodatek, ze względu na konsekracyę, dotyczy wprawdzie tylko przeważnie kościołów katedralnych; atoli obchodzi każdego kapłana o tyle, że podaje wskazówki, jak portatyle mają być urządzone i przez co tracą konsekracyę. Na końcu dzieła, prócz spisu rzeczy według rozdziałów, dodany bardzo dokładny alfabetyczny wykaz daje możność znalezienia odpowiedzi na najrozmaitsze wątpliwości.

Siedm rysunków, zamieszczonych wśród tekstu, objaśnia go bardzo dobrze. Wskazanie firm, które wyrabiają pewne rzeczy, do konsekracyi potrzebne, oraz podanie cen jest niemałą usługą i wygodą dla rządców kościołów, którzy też nie tylko przed konsekracyą, ale nawet przed zaczęciem budowy kościoła powinniby starannie przejrzeć to dzieło, bo znajdą w niem wiele bardzo praktycznych rad i wskazówek.

Nadmienić w końcu musimy, że dzieło X. Rippel'a, które Najdostojniejszy Autor poleca, wyszło także w tłumaczeniu polskiem p. t. *Piękności Kościoła katolickiego, przedstawione w zewnętrznych uroczystościach, obrzędach i zwyczajach*. Przełożył X. Nestor H. S. Bieroński. Warszawa 1890, u Orgelbranda, tomów 3.

Ks. J. Antoniewicz.

Ludwik Bierkowski. Monografia. Z ilustracyami. *Adam Wrzosek*. Kraków. Nakładem autora, 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Ski. (Odbitka z *Rocznika Lekarskiego*, T. II). str. 180, in-8°.

Prof. Wrzosek, o którego pomnikowem dziele, dotyczącem Jędrzeja Śniadeckiego, donosiliśmy w sierpniowym zeszycie r. z., wzbogacił historyografię[1] medycyny w Polsce nową pracą, monografią o Ludwiku Bierkowskim, długoletnim profesorze Uniwersytetu Jagiellońskiego (* 1801, † 1860). Wielka wszelako między obydwiema pracami zachodzi różnica: jeżeli bowiem w wyżej wspomnianem dziele chodziło o wystawienie godnego pomnika powszechnie znanemu

[1] Która w ostatniem dwuleciu — niech nam będzie wolno nawiasem zaznaczyć — nie małe uczyniła postępy szczególnie w wydawaniu źródeł (że wspomnę tylko „Kronikę lekarzy krakowskich" Dra J. Lachsa, „Źródła biograficzno-bibliograficzne" p. Fr. Giedroycia, *Analecta medico-historica* ks. St. Chodyńskiego i in.) oraz, co niemniej ważna, doczekała sie wreszcie obsadzenia „Oettingerowskiej" katedry przy Uniwersytecie Jagiellońskim.

i głośnemu uczonemu, o którego pracach i zasługach każdemu choćby coś niecoś wiadomo, to przeciwnie w nowej monografii pióro autora wskrzesza postać zupełnie zapomnianą, osobistość, o której nawet specyaliści nie wiele chyba mogliby powiedzieć. Dlatego z tem większem rozciekawieniem musimy tę książkę wziąć do ręki, wiedząc z góry, że zawiera prawie wyłącznie wiadomości nowe, oświetla fakty, na które nikt dotąd baczniejszej uwagi nie zwrócił. A fakty to, jak zobaczymy, pod niejednym względem bardzo ciekawe i ważne dla dziejów naszej kultury w pierwszej połowie ubiegłego stulecia.

Życie Bierkowskiego płynęło, na ogół biorąc, bardzo pospolitym torem. Urodzony w Poznaniu przechodzi tamże niższe stopnie wykształcenia, studyuje dalej w Berlinie, doktoryzuje się z filozofii w Jenie, z medycyny w Lipsku, odbywszy przedtem dłuższą podróż naukową po Niemczech i Francyi; następnie po krótkim pobycie w Warszawie i Wilnie zostaje powołany w r. 1830 na katedrę chirurgii w Uniwersytecie Jagiellońskim, którą miał zajmować do śmierci — obejmuje ją jednak faktycznie dopiero w czerwcu 1831 r., a to częściowo z powodu pewnych nieporozumień, jakie zaszły w łonie samego Uniwersytetu, głównie wszelako na skutek powstania listopadowego, podczas którego zarządza szpitalem, założonym w koszarach gwardyi w Warszawie. — Po powrocie do Krakowa główną troską młodego profesora było postawienie kliniki chirurgicznej na wysokości podobnych zakładów zagranicznych; aby przytem choć częściowo zaradzić dotkliwemu brakowi miejsca, jaki podówczas w klinice panował, stwarza ambulatoryum chirurgiczne, którego dotąd w Krakowie nie było. Urządzenie należyte kliniki, którą w miarę możności zaopatrywał w najnowsze urządzenia, pozwala mu rozwinąć wybitniejszą działalność nauczycielską, niż tego mogli dokonać jego poprzednicy. O skuteczność nauczania dbał z wzorową gorliwością i sumiennością; nie szczędził ani czasu ani zachodu, aby uczniów wykształcić na zręcznych operatorów i dać im sposobność praktycznego obznajomienia się z chirurgią.

Z tą działalnością nauczycielską Bierkowskiego wiąże się ściśle cały szereg podręczników, które dla użytku uczniów medycyny ułożył. Poczet ich rozpoczyna atlas anatomiczny, wydany w Berlinie w r. 1825, jeszcze za studenckich czasów autora, — kończy „Wstęp do anatomii ciała ludzkiego" (Kraków 1850), t. j. obszerna przedmowa do podręcznika uniwersyteckiego, który niestety w całości opracowany nie został. Prócz tych dzieł dydaktycznych ogłosił nadto Bierkowski

sporą ilość kazuistycznych artykułów w warszawskim *Pamiętniku lekarskim*, w *Roczniku Kliniki chirurgicznej i położniczej Uniw. Jagiell.* (założonym i wydawanym przez się w trzechleciu od r. 1832 do r. 1834), w *Roczniku wydziału lekarskiego Uniw. Jagiell.* oraz w *Roczniku towarzystwa naukowego krakowskiego*. Niektóre inne niewydane prace Bierkowskiego dochowały się w rękopisach.

Ale nie na tych pracach polega ważne stanowisko, jakie zająć musi Bierkowski w dziejach polskiej medycyny: dziełem jego było ponadto założenie pierwszego w Polsce (przynajmniej pierwszego[1] zakrojonego na większą skalę) Muzeum anatomii patologicznej w Krakowie. Autor kreśli historyę tego Muzeum od założenia w r. 1831 aż po dzień dzisiejszy. Ze skromnego początku, jaki stanowiły 3 okazy patologiczne, jakie Bierkowski zastał już w klinice chirurgicznej, zbiór wzrastał dzięki niezmordowanej działalności inicyatora oraz pomocy kolegów (zwłaszcza prof. Brodowicza) statecznie z roku na rok: w r. 1834 liczył 234 preparatów, w r. 1841 — 387, w r. 1845 — 440, w r. 1850 — 555; jest to ostatnia dokładna liczba, jaką autorowi udało się odnaleźć. Dalszy ślad istnienia Muzeum raz wraz się usuwa; dlatego będzie może na miejscu uzupełnić wiadomości prof. Wrzoska kilku szczegółami, zaczerpniętemi z paru drukowanych źródeł, które uszły jego uwagi, w pierwszym rzędzie z publikacyi p. t. „Zakłady uniwersyteckie w Krakowie", wydanej przez Towarzystwo naukowe krakowskie w r. 1864. Owóż, dowiadujemy się z tego źródła, że w chwili śmierci Bierkowskiego (r. 1860) „Zbiór anatomiczno-patologiczny" obejmował 723 N-rów;[2] za następcy Bierkowskiego, prof. A. Bryka, przybyło od r. 1860 do r. 1863 okazów 56, ogólna zatem liczba wynosiła w tym roku 779[3]; było mianowicie 321 preparatów w wyskoku, 191 zasuszonych, 157 odlewów gipsowych, 15 woskowych, 10 odcisków z masy papierowej oraz 85 rysunków i obrazów.[4] Jeszcze wtedy zbiór

[1] Prof. Teichmann w publikacyi p. t. „Zakłady naukowe" itd. o której na str. 387 podaje, że już w r. 1816 istniał przy Gabinecie anatomicznym osobny zbior anatomiczno-patologiczny, który potem (w r. 1834 według Wrzoska, str. 128; Teichmann podaje mylnie rok 1853) wszedł w całości do Muzeum Bierkowskiego.

[2] Liczba ta znakomicie się zgadza z liczbą 717, na jaką w przybliżeniu szacuje prof. Wrzosek (str. 137) zbiór Bierkowskiego,

[3] „Zakłady" str. 492.

[4] „Zakłady" str. 492 i 493. Należy więc nieco zmodyfikować przypuszczenie prof. Wrzoska (str. 132), jakoby odlewy gipsowe stanowiły najobszerniejszy dział Muzeum Bierkowskiego.

ten istniał przy klinice chirurgicznej, niezależnie od zbioru Zakładu anatomii patologicznej, który w tymże czasie liczył 446 preparatów,[1] zebranych po części przez prof. Treitza (1851—1855), głównie zaś przez prof. Heschla (—1861) i prof. Teichmanna; już wówczas przepowiadał jednak prof. Teichmann[2], że „przeznaczeniem (zbioru Bierkowskiego) musi być, wcześniej lub później, zlanie się, jeśli nie w całości, to w znacznej swej części, z zakładem właściwym, przeznaczonym do nauki anatomii patologicznej". To zlanie się nastąpiło istotnie co najpóźniej w r. 1868[3], ale tylko częściowo, zgodnie z zapowiedzią Teichmanna: przeniesiono mianowicie do Zakładu anatomii patologicznej znaczną część preparatów wyskokowych i woskowych oraz niektóre zasuszone okazy, w ogólnej liczbie 376;[4] reszta pozostała w klinice chirurgicznej pod dawną nazwą „Gabinetu anatomiczno-chirurgicznego"[5] obejmującego zbiór narzędzi chirurgicznych[6] (w r. 1831—467, w r. 1860—1149, w r. 1864—1217, w r. 1881—2023) oraz zbiór patologiczny, liczący w r. 1881 zaledwie „436 przedmiotów, mianowicie preparaty anatomiczne zasuszone, w wyskoku przechowane, odlewy z gipsu, wyroby papierowe, akwarele jako też obrazy olejne",[7] a zatem prawie wyłącznie te okazy ze zbioru Bierkowskiego, które do Zakładu anatomii patologicznej nie przeszły; z drugiej jednak strony z liczb podanych wnosić musimy, że od r. 1863 do r. 1881 kliniczny zbiór wzrósł o 33 okazy; razem z poprzednio wspomnianemi 56 preparatami przybyło zatem za cały dwudziestoletni czas kierownictwa Bryka około 90-ciu okazów. Skromna to wprawdzie liczba w porównaniu ze wzrostem Muzeum za czasów Bierkowskiego, w każdym jednak razie nie można w żaden sposób obwiniać Bryka o zupełny brak pietyzmu dla dzieła swego poprzednika, o który go posądza

[1] „Zakłady" str. 383.
[2] „Zakłady" str. 379.
[3] Wrzosek str. 139.
[4] Ibid. Cały zbiór anatomiczno-patologiczny w tym w zakładzie posiadał w r. 1864: 446 numerów („Zakłady" str. 383), w r. 1881: 1845 okazów (por. notatkę prof. Browicza w publikacyi p. t. „Zbiory i zakłady przyrodnicze i lekarskie Krakowa". Upominek dla uczestników III. zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, wyd. Dr. J. Rostafiński", Kraków 1881, str. 121), zaś w r. 1887; 2100 preparatów („Kronika Uniwersytetu Jagiellońskiego od r. 1864 do r. 1887" Kraków 1887, str. 64).
[5] Wrzosek str. 138.
[6] „Zakłady" str. 489. 492; W. Strzechowski w „Upominku" str. 154.
[7] W. Strzechowski w „Upominku" str. 155.

autor wersyi, przytoczonej przez prof. Wrzoska.[1] Bryk zmarł w r. 1881, prawie równocześnie z chwilą wydania wspomnianej wyżej notatki Strzechowskiego; za krótkotrwałej profesury Mikulicza (1882—1887) nic nie słychać o Muzeum;[2] dopiero po przeniesieniu kliniki do nowego budynku (październik 1889 r.) dowiadujemy się, że muzeum zostało umieszczone w suterynach nowego gmachu: że „dla muzeum nie jest miejsce w suterynach najstosowniejszem, pokój ten jednak jest duży, nieźle oświetlony i suchy".[3] Jak długo muzeum w takim stanie pozostawało, dokładnie nie wiadomo; z biegiem czasu zostało ono wszelako porozwłóczone po różnych kątach kliniki,[4] aż dopiero przed dwoma laty Dr. Radliński zajął się jego reorganizacyą;[5] przy tej sposobności okazało się jednak niestety, że zaniedbanie, na jakie od czasów Mikulicza skazany był zbiór patologiczny, wcale mu na dobre nie wyszło. Jakoż sporą ilość preparatów wyskokowych musiano zupełnie usunąć — wielu nie można było zidentyfikować; co tylko warto było jeszcze uratować, umieszczono częściowo w osobnym pokoju, przeznaczonym na muzeum kliniczne, częściowo odstąpiono Muzeum historyi medycyny w Polsce.[6]

Należy jeszcze w paru słowach wspomnieć o innych polach pracy jakie uprawiał Bierkowski, nie licząc bardzo rozległej i słynnej praktyki operatorskiej. Niemałe n. p. zasługi położył Bierkowski w dziedzinie hygieny, szczególnie dla fizycznego wychowania mło-

[1] Wrzosek, str. 140 w przypisie.

[2] Przynajmniej w krótkim opisie starej kliniki z r. 1887 („Kronika Un. Jag". str. 67—68) niema wzmianki o gabinecie.

[3] L. Rydygier, Opis nowej kliniki chirurgicznej w Krakowie (*Przegląd lekarski*, 1890. Nr. 4 i 11) str. 148—149.

[4] Wtedy to (a prawdopodobniej już w czasie przenoszenia kliniki do nowego budynku) usunięto część odlewów gipsowych na strych „jednego z budynków uniwersyteckich" (Wrzosek, str. 140). Jak smutny los spotkał potem te odlewy, dowiadujemy się z pracy prof. Wrzoska: zaledwie 42 sztuk, przeważnie uszkodzonych, udało się ocalić; około 400 (?) uległo zagładzie (Wrzosek str. 141). Ta ostatnia liczba wydaje mi się wszakże grubo przesadna; zauważę mianowicie, że w r. 1863 istniało zaledwie 157 odlewów; do nas dotrwało 91 (49 w Muzeum historyi medycyny i 42 wyżej wzmiankowanych); chyba zatem nie 400, ale co najwyżej 100 sztuk zniszczało?

[5] Por.: Wrzosek, str. 140.

[6] Według uprzejmej informacyi Dra Radlińskiego, już po wydrukowaniu monografii prof. Wrzoszka znalazły się w klinice nowe okazy pochodzące z Muzeum Bierkowskiego, m. i. owa skóra wypchana sianem, o której wspomina prof. Wrzosek (str. 132) oraz jakieś akwarele — wszystko w stanie mocno zniszczonym.

dzieży, zakładając „Szkołę gimnastyczną połączoną z zakładem ortopedycznym" (1837) oraz „Zakład bezpiecznego kąpania się w Wiśle" (1839), jak niemniej wydając dziełko „O ważności gimnastyki" (1837). Interesował się też dziejami medycyny, zwłaszcza polskiej: nie pisał wprawdzie w tym kierunku, zgromadził wszelako z prawdziwem zamiłowaniem i znajomością rzeczy cenny zbiór starszych dzieł medycznych, który służył po części za materyał Gąsiorowskiemu. Przygodnie nawet zajmował się topografią Tatr i wykonał pomiar głębokości Morskiego Oka (między r. 1852 a 1858); rzecz w każdym razie zasługująca na uwagę. Próbował dalej swego talentu w pisaniu artykułów dla ludu, które wszelako nigdy drukiem nie wyszły; podobno był też autorem odezw politycznych w r. 1846. Wreszcie zredagował obszerny „Projekt do planu szkoły rolniczej i leśnej założyć się mającej w Krakowie" (1849), który być może (o czem autor nie wie) służył za podstawę przy założeniu szkoły rolniczej w Czernichowie pod Krakowem".[1]

Oto w pobieżnym przeglądzie bogata treść monografii; pewni jesteśmy, że zainteresuje ona każdego badacza naszej kultury, nie tylko fachowe koła lekarskie.

Aleksander Birkenmajer.

Teorya mensuralna w polskiej literaturze muzycznej pierwszej połowy XVI w. *Dr. A. Chybiński.* Wyd. nakł. Akademii Umiejętności w Krakowie, Kraków 1911.

Zasadnicze normy chorału gregoryańskiego należy uważać za definitywnie ustalone w wieku XII. Od tego czasu przypada teoretykom muzycznym inne zadanie, chociaż nie zaniedbują i teoryi chorału. Mianowicie rozszerzają i pogłębiają zasady polifonii i harmonii, mając już w „organii" i „diafonii" pewne punkty oparcia. Tem samem, że poszczególne głosy się usamodzielniają i liczba ich rośnie, okazuje się potrzeba ujęcia ich w pewne ograniczenia czasowe, celem zachowania prawidłowej jednolitości w polifonowym zespole. Tak tedy powstaje około połowy wieku XII. mensura, czyli muzyczna miara nuty względnie i czasu, nadająca poszczególnym znakom nutowym wartość czasową. Muzykę w ten sposób mierzoną nazywamy muzyką

[1] O projekcie założenia szkoły rolniczej przez krakowskie Towarzystwo rolnicze koło połowy zeszłego stulecia (na skutek uwłaszczenia włościan w r. 1848) i o faktycznem założeniu jej w Czernichowie zob. broszurkę Fr. Stefczyka „Pogląd historyczny na rozwój szkoły rolniczej w Czernichowie" Kraków 1887.

mensuralną, teorya zaś mensuralna podaje zasady tej notacyi. Dopiero po upadku teoryi mensuralnej około roku 1600 spotykamy się z dzisiejszym systemem taktowym. Początkowo używano w pisowni mensuralnej kwadratowych nut choralnych, rozdzielając wartość nut w ten sposób, że każda następna liczyła połowę wartości poprzedniej. Zachodzi więc: *duplex longa*, *longa*, *brevis*, *semibrevis*, a około wieku XIII. oprócz tego: *minima* i *semiminina*. Gdy ostatecznie we wieku XV. czarne nuty wzięte z chorału zamieniono na białe, ustaliły się nazwy następujące: *maxima*, *longa*, *brevis*, *semibrevis*, *minima*, *semiminima*, *fusa*, *semifusa*. Wartości nut odpowiadała wartość pauz; ligaturą nazywano połączenie kilku znaków nutowych nad jedną sylabą; *plica* dodawała do nuty następnej ton wyższy albo niższy. Ważną w teoryi mensuralnej odgrywały rolę pojęcia: *modus*, *tempus*, *prolatio*. *Modus* w starszej teoryi mensuralnej podawał schemat dla kompozycyi n. p. *longa brevis brevis*, albo *longa brevis*, w późniejszej oznaczał jako *modus major* stosunek najdłuższej nuty (*maxima*) do długiej (*longa*), jako *modus minor* stosunek długiej (*longa*) do krótkiej (*brevis*). Co do *tempus* rozróżniano *tempus perfectum* i *imperfectum*; w *tempus perfectum* przypadały na jedną *brevis* trzy *semibreves*, w *tempus imperfectum* dwie. Podobnie mawiano o *prolatio major*, gdy jedną *semibrevis* dzielono na trzy, a *prolatio minor*, gdy dzielono ją na dwie *minimae*. Na wartość nut lub ich wzajemny stosunek wpływał punkt jako *punctum perfectionis*, *divisionis* i *additionis*.

Historya teoryi mensuralnej przechodzi od XII. do mniejwięcej XVII. wieku najrozmaitsze charakterystyczne fazy, gdzie pisownia mensuralna coraz więcej się udoskonala. Każda faza ma wybitnych przedstawicieli swoich, podanych częściowo przez Gerbert'a w *Scriptores ecclesiastici de musica sacra potissimum*, a głównie przez Coussemaker'a w dziele: *Scriptores de musica medii aevi, nova series a Gerbertina altera*. Wielkie zasługi około badań historycznych nad teoryą mensuralną położył berliński profesor J. Wolf, mianowicie co do notacyi mensuralnej madrigalistów z Florencyi.

Początki notacyi mensuralnej zaczynają przejawiać się w Paryżu, we wieku XII., gdzie głównie zajmują się nią kapelmistrze kościoła B. M. Virginis, dzisiaj Notre Dame. Za ich przykładem idą inni teoretycy i kompozytorowie. Odznaczają się pod tym względem: Leoninus, Perotinus, Johannes filius Dei, Theobaldus Gallicus, Johannes de Burgundia, Thomas Anglicus i inni, a przedewszystkiem

Johannes de Garlandia. Traktat jego *de musica mensurabili* umieścił Coussemaker w dwóch wersyach w pierwszym tomie swych *Scriptores*. System teoryi mensuralnej znacznie polepsza i porządkuje we wieku XIII. starszy Franko z Paryża, rozszerzają go i komplikują madrigaliści z Florencyi we wieku XIV. Francuzi wreszcie, mianowicie Machault i Philipp de Vitry, zawiły ten system madrigalistów florenckich upraszczają; pisownia ich mensuralna w głównych formach miarodajną stała się aż mniejwięcej do roku 1600. Zewnętrzną tylko, więcej kaligraficzną zmianę oznacza począwszy od roku 1450 t. zw. notacya biało-czarna z nutami o łebkach próżnych i pełnych. Do upadku muzyki mensuralnej w znacznej części przyczyniły się notacye instrumentalne, mianowicie najrozmaitsze tabulatury.

Powyższe szczegóły z muzyki mensuralnej podałem oczywiście w najgrubszych zarysach.

I w Polsce oczywiście znaną była teorya mensuralna i miała swych przedstawicieli, których traktaty muzyczne uprzystępnił nam wytrawny znawca muzyki polifonowej XVI. i XVII. w. Dr. A. Chybiński w cennej swej pracy: *Teorya mensuralna w polskiej literaturze muzycznej pierwszej połowy XVI. wieku*, wydanej nakładem Akademii umiejętności w Krakowie. P. Chybiński wylicza trzech nauczycieli teoryi mensuralnej w Polsce i ich rozprawy; mianowicie zaliczają się do nich: 1. Sebastyan z Felsztyna: *opusculum musices mensurales*; 2. Stefan Monetarius z Kremnic: *epithema utriusque musices practicae*; 3. Marcin Kromer z Biecza *de musica figurata*. Jak wogóle polscy muzycy niczego nie stworzyli, coby było naprzód pchnęło wiedzę muzyczną lub technikę kompozytorską, z wyjątkiem jedynego Chopina, tak i żaden z wyżej wymienionych traktatów nic nowego nie powiada; wszystkie opierają się na teoretykach zachodnich. Najwidoczniej zaznacza wpływ swój Franchinus Gafurius, teoretyk muzyczny z drugiej połowy XV. i początku XVI. wieku, powaga w świecie muzycznym. Głównie sławę swoją zawdzięcza dziełu: *Practica musicae sive musicae actiones in IV libris*, gdzie obszernie rozprawia o teoryi mensuralnej. P. Chybiński szczegółowo rozbiera traktaty trzech naszych teoretyków i omawia kolejno pojęcia mensuralne ogólnie przez teoretyków przyjęte. Spotykamy się zatem ze znakami: *punctum*, *modus*, *tempus*, *prolatio*, *ligatura*, *pausa*, etc. Najcenniejszy z traktatów, bo najwięcej samodzielny, jest traktat Sebastyana z Felsztyna, który był znany jako dobry praktyk muzyczny; głównie na Gafuriusie polega Monetarius, który, o ile wiem,

był nauczycielem muzyki we Wiedniu, najsłabszym jest traktat Kromera. Tak tedy wobec wspaniałej literatury mensuralnej innych narodów dorobek muzyczny na tem polu u nas w Polsce bardzo jest biedny. Lepiej przedstawia się praktyka muzyczna, mianowicie, gdy uwzględnimy może najpoważniejszą naszą instytucyę muzyczną, kapelę rorantystów na Wawelu, której historyę p. Chybiński bardzo dokładnie według dokumentów omawia, naprzód w osobnej książce, „Dzieje kapeli od r. 1540—1624", w *Przeglądzie muzycznym* zaś dalsze jej losy. W krótkości je tutaj według p. Chybińskiego zestawiam. Do nowo wybudowanej kaplicy zygmuntowskiej postanowił Zygmunt I. wprowadzić i sztukę tonów; ufundował więc kollegium kapłanów-śpiewaków w r. 1543, przeznaczył dla nich odpowiednie fundusze i darował im dom. Fundacya ta trwa do dziś. Kollegium rorantystów miało obowiązek śpiewać w każdy dzień *cantú figurato* mszę *Rorate*. Do kollegium przyjmowano tylko zdolnych śpiewaków, nad czem sumiennie czuwał przełożony.

Chór rorantystów pierwszy raz produkował się 19. sierpnia 1543. r. W spisie rorantystów spotykamy nazwiska o najlepszem brzmieniu. Rorantystami więc byli: Borzymski, Tomasz Szadek, Marcin z Mielca, Mikołaj z Poznania, Krzysztof Borek i inni.

Najciekawszą oczywiście rzeczą jest poznać repertuar muzyczny rorantystów. Program był bardzo bogaty i wyborowy. Głównie wykonywano kompozycye włochów, dalej utwory niederlandczyków, prawdopodobnie i francuzów, z hiszpanów tylko Vittorię, ale też często utwory polskich kompozytorów, jak Marcina z Mielca, Bartłomieja Pękiela, Grzegorza Gorczyckiego, Jacka Różyckiego, Marcina Paligonjusza, Krz. Borka, Tomasza Szadka, Sebastyana z Felsztyna, Marcina Leopolity i innych. Najczęściej spotykamy się z utworami Palestriny, Orlanda di Lasso, oprócz tego Gondimela, Viadany, Aneria itd.

Tak się przedstawia działalność rorantystów do roku 1624. Od tego roku zaczyna zwolna kapela upadać. Upadek rozpoczyna się od chwili przeniesienia dworu królewskiego do Warszawy. Upadek ten spowodowało także założenie wokalno-instrumentalnej kapeli w katedrze wawelskiej, w kościele N. P. Maryi i jezuickiej kapeli w Krakowie; instytucye te muzyczne znaczną czyniły konkurencyę kapeli rorantystów. Najgłówniejszą jednakże przyczyną rozstroju w kapeli były niesnaski w kollegium samem i zbytnia troska o byt materyalny, która na drugi dopiero plan zesuwała względy artysty-

czne. Gdy wreszcie w r. 1655 Szwedzi zajęli Kraków i Wawel, złupili dom rorantystów i kaplicę Zygmuntowską i wypędzili członków kapeli w r. 1656 z ich domu, zwanego „Sep". Po wyjściu Szwedów z Krakowa część rorantystów wprawdzie wraca, lecz oczywiście zajętą jest uporządkowaniem majątkowem. Polepszają się stosunki w kollegium, także co do produkcyi muzycznych, gdy w r. 1649 przełożonym rorantystów został ks. Jan Porębski. Jakkolwiek prawo należenia do kollegium mieli tylko Polacy, to jednakowoż w r. 1628 jako przełożonego widzimy Annibala Orgasa, Włocha; wogóle starali się Włosi w pierwszej połowie XVII. w. o zdobycie stanowiska w kapeli. Zresztą została organizacya wewnętrzna kapeli w ciągu wieku XVII. prawie nienaruszoną, wprawdzie liczba członków czasami nie wynosiła więcej niż 5—8 osób.

Czy rorantyści śpiewali tylko *a capella*, czy też czasami z towarzyszeniem organów, oczywiście tylko organów przenośnych, t. zw. pozytywu dla braku miejsca w kaplicy, jest rzeczą wątpliwą. Pewne wzmianki w dokumentach zdaje się przemawiają za towarzyszeniem organowem; z wszelką pewnością tego jednakże stwierdzić nie można. W każdym razie śpiewano we wieku XVII. i XVIII. tylko *a capella*, tem więcej trzymano się tej praktyki z pewnością i dawniej.

Dźwignięcie się kapeli rorantystów przy końcu XVII. i XVIII. w. nie cieszyło się niestety długiem powodzeniem. Rozbiór Polski tak nieszczęśnie zapisany w kartach historyi naszej oznacza i upadek kollegium.

P. Chybiński w przedmowie swej pracy zaznacza, że niestety wiele dokumentów dotyczących historyi rorantystów zaginęło, i to prawdopodobnie bezpowrotnie. Co najważniejsza, doznały wielkiego spustoszenia inwentarze i spisy muzykaliów. Z przechowanych spisów dowiadujemy się tylko, co wykonywano w katedrze wawelskiej, nic nie wiemy o tem, jak produkcye muzyczne rorantystów wypadały i jak je w Krakowie przyjmowano. Byłoby to oczywiście rzeczą bardzo interesującą. Mnie się zdaje, że dla wspaniałych utworów polifonowych XVI. i XVII. wieku w Polsce nie było zrozumienia, jak go i dziś jeszcze niema, że nawet w Krakowie wprost z niechęcią, przynajmniej w pewnych sferach, patrzono na produkcye rorantystów. Bo jakże zrozumieć zapatrywanie takiego Skargi na muzykę polifonową — a z pewnością słyszał on chór rorantystów — kiedy w kazaniach o Sakramentach (kazanie VIII. o mszy św.) tak pisze: „Dzita muzyka w kościołach bardzo się popsowała, sztuki tylo i mister-

stwa patrzą, jako owi włoscy malarze, którzy odkryte nogi ukazują, i swego zalecenia w rzemieśle chcą, a nabożeństwa i pożytku ludzkiego zaniechywają. Tak zdrobnieli, zmieszali i niewieścią, a miękką muzykę ową na głosów wiele uczynili: iż żadnej do nabożeństwa pobudki w niej niemasz. Sromajmy się Greków i Rusi, którzy swoją kościelną dosyć poważną i skromną i prostą a wdzięczną muzykę zachowują, a nic świeckiego i miękkiego nie wnoszą". Wywody te tylko w ten sposób umiem wytłomaczyć sobie, że doprowadzenie do skutku unii Skarga przy nadarzającej się sposobności na pierwszy wysuwa plan, nawet, jak tutaj, na koszt sztuki muzycznej. Sztuka muzyczna sama przez to Bogu dzięki uszczerbku nie poniosła, gdyż właśnie wówczas kapela rorantystów świetnie się rozwijała.

Gdy dzisiaj po tylu wiekach i po upadku kapeli wspomnieniem sięgamy w owe czasy, kiedy to wspaniałe kompozycye klasyczne XVI. i XVII. w. rozbrzmiewały w katedrze wawelskiej, dumni jesteśmy z polskiej naszej Sykstyny, jak słusznie ją nazwano, i bolejemy tylko nad tem, że już do żyjących nie należy. Czyżby nie można jej wskrzesić? Czyż czynniki miarodajne obowiązku nawet nie mają, poważnie pomyśleć o kwestyi tej. Niemasz na razie w całej Polsce ani jednego chóru kościelnego, któryby *ex professo* pielęgnował klasyczną polifonię, idąc za przykładem rorantystów. W takim Krakowie, gdzie istnieje przecież seminaryum większe i mniejsze, myśl ta zrealizowałaby się z niewielką trudnością. Odpowiednich ludzi jako organizatorów i kierowników chóru także nie brak. O tem już chyba dwóch zdań być nie może, że ideałem wielogłosowej kościelnej muzyki katolickiej są utwory klasyków z czasów złotej jej epoki. To przyznawają bez wszystkiego nawet muzycy protestanccy. Taki Ryszard Wagner zachwycał się utworami Orlanda, Palestriny, Vittorii i wszystkich innych klasyków. Tylko też spaczone pojęcia muzyczne wrogie wobec nich zajmować mogą stanowisko. Kto posiada delikatne i czyste poczucie estetyczne, zachwycać się nimi musi. Dla tej wspaniałej muzyki i u nas warto zgotować przybytek.

Ks. W. Gieburowski.

Z piśmiennictw obcych.

L'action Populaire. Revue tri-mensuelle. — Paris: V. Lecoffre — 90. rue Bonaparte. Reims: rue des Trois-Raisinets 5.

Stowarzyszenie to i jego organ samo o sobie mówi, że nie jest ani szkołą, ani ligą, ani dziełem. Jest ono wytężoną pracą w kierunku uświadomienia społecznego szerokich warstw, w duchu najczystszego chrystyanizmu. Obejmuje całokształt dobra duchowego i materyalnego całego francuskiego narodu, powołując do tej pracy wyborowe myślące i czujące jednostki. Pragnie, aby takich jednostek było jak najwięcej — szuka ich u ognisk, gdzie się zbierają i zrzeszają pod tem samem hasłem, a więc w seminaryach, kollegiach, kółkach naukowych, stowarzyszeniach chrześcijańskich kobiet, robotnic — słowem wszędzie, gdzie myśl chrześcijańska tętni i wiąże serca i dłonie do wspólnego trudu.

Głównym celem, jaki sobie postawiła A. P. to zrzeszenie. Pragnie je powoływać do życia w najrozmaitszych kształtach, jako związki rodzinne, religijne, szkolne, zawodowe. Nie zakłada ich bezpośrednio, ale pomaga założycielom radą i czynem, jest źródłem pouczeń i informacyj.

I. Źródłem pouczeń A. P. są jej pisma, obejmujące dwa kierunki: akcyę społeczną i akcyę religijną.

Dla spraw społecznych wychodzi rocznie 36 żółtych broszurek o bardzo różnorodnej treści, głównie jako materyał do konferencyj i odczytów. Np.: „Młodzież katolicka, a społeczeństwo nowożytne", „Społeczne wychowanie kobiet", „Leon XIII. i praca", Solidaryzm i chrystyanizm", „Św. Franciszek z Assyżu i jego społeczne posłannictwo", „Czy sztuka może być popularną?", „Kółko samokształcenia", „Kooperatywy", „Związki zawodowe", „Kolonie wakacyjne", „Szkoły gospodarcze", „Ogrody robotnicze" i mnóstwo innych.

Te broszurki uzupełnia Przegląd, wychodzący w zielonej okładce (*Revue verte*), zawierający różne artykuły treści społecznej, dział bibliograficzny, kronikę miesięczną i dział pytań i odpowiedzi w Pośredniku społecznym (*Intermediaire social*). Roczne sprawozdanie pod względem ekonomicznym i społecznym wychodzi co roku p. n. Przewodnika społecznego (*Guide social*).

Co do spraw religijnych, A. P. nie ma zamiaru obejmować ich całokształtu. Poświęca głównie uwagę dziełom, których podstawą jest zrzeszanie się w sprawach szkół, reorganizacyi parafij i t. p.

Jako równoleżnik do Przewodnika społecznego, wychodzi Przewodnik akcyi religijnej, będący odzwierciedleniem inicyatywy w kwestyach religijnych najaktualniejszych. Oprócz tego broszury, omawiające niebezpieczeństwa bezwyznaniowego szkolnictwa, sprawy parafialne, kongregacye i prace, przez nie prowadzone.

II. Informacyj udziela A. P. za pomocą swego Biura, złożonego z komitetu teologów i prawników, oddanych sprawie. Udzielają oni odpowiedzi na wszelkie zapytania, dotyczące zakładania stowarzyszeń, syndykatów, układania statutów, planów na Kółka naukowe, dostarczają programów na konferencye, wykłady i t. p.

W ten sposób wypełnia A. P. zadanie, jakie sobie postawiła: służyć i pomagać pracy zbiorowej, prowadzonej w zdrowym duchu chrześcijańskim i społecznym. Wyrabia do tej pracy narzędzia, kuje broń, podając jedne żądnym pracy robotnikom, drugą żołnierzom ochotnym społecznego trudu, społecznej walki uczciwej.

A. P. jest kooperatywą wysiłków i pomocy. Jako taka zwraca się do dobrze myślącego ogółu o współpracownictwo z nią, przez dostarczanie wiadomości o pracach i dziełach, bądź to zorganizowanych, bądź to będących w zaczątku.

W dalszym ciągu pragnieniem A. P. byłoby stworzyć dla ludu chrześcijańską społeczną literaturę, przedewszystkiem powieści i sztuki teatralne etyczne, zdrowe, a z talentem pisane. Byłyby to ważne czynniki, niosące daleko myśli przewodnie A. P., jej podnietą do społecznych czynów, do powiększenia sumy światła i dobra.

Jednym ze sposobów, używanych przez A. P. dla zbierania dokumentów, uświadamiania siebie i szerszych warstw o potrzebach i brakach, jakim należy zaradzić — to ankiety. Towarzystwo rozsyła kwestyonaryusze, otwiera dział pytań i odpowiedzi w swoim Przeglądzie. W ten sposób, snop światła pada na daną sprawę, rozświetla ją wszechstronnie, pobudzając do życia i czynu. A. P. wysyła swoich przedstawicieli na liczne kongresy, jakie zbierają się dla zapoczątkowania nowych dzieł chrześcijańskich, lub odrodzenia, odmłodzenia dawnych. Ruch, to życie. Zasady, które stworzyły różne instytucye społecznego dobra, są te same, ale zewnętrzna forma przystosowuje się do potrzeb bieżących. Weźmy np. Konferencye św. Wincentego à Paulo. Miłosierdzie, które jest ich duszą, zawsze to samo w ciągu lat i stuleci, ale kształt, w jakim się to miłosierdzie objawia, inny teraz, niż lat temu sto lub dwieście. Dzisiaj dążymy

do tego, aby potrzebującym dać nietyle chleb powszedni, jak raczej sposoby zdobycia go uczciwie.

W tym duchu A. P. przemawia na kongresach, wierna swojej zasadzie niesienia pomocy zbiorowej akcyi, zrzeszeniom, nie aby niemi kierować, ale by je oświecać, poucżać, wspierać, ułatwiać pracę.

Rzućmy okiem, mając przed sobą parę roczników A. P., na różnorodność życiowych postulatów, jakie stanowiły jej treść. Czujnym wzrokiem, gorącem sercem, śledzi tok i rozwój chrześcijańskiej myśli i pracy, tak we Francyi, jak po za jej granicami. Znajduje się wszędzie, gdzie najbardziej zagrożona placówka, najbardziej piekąca potrzeba, najlepsze nadzieje rokująca praca.

Oto mamy rozdziały, poświęcone francuskim wieśniakom — sposobom podniesienia ich i przywiązania do ziemi, którą opuszczają z lekkiem sercem, goniąc po zarobek do miast — a opuszczona ziemia — umiera, jak opisuje barwnie a tragicznie jeden z najznakomitszych powieściopisarzy, René Bazin (*La terre qui meurt*).

Inne artykuły omawiają sprawę mieszkań lub ogrodów robotniczych — znaczenie drobnego przemysłu, pracy domowej dla ubogiej ludności, która stwarza sobie tem lepsze warunki ekonomiczne. Inne podnoszą inicyatywę zrzeszeń kobiecych, związki robotnic, zwiększenie zarobku pracownic, domy, w których samotne młode dziewczęta znajdują za małem wynagrodzeniem mieszkanie z utrzymaniem, uczciwą rozrywkę, chroniącą je od niebezpieczeństw ulicy, własnej lekkomyślności i opuszczenia. Inne jeszcze informują o szkołach gospodarczych, ogrodniczych, rolniczych, o sposobach zawiązania na wsi czytelni, biblioteki, spółek zarobkowych, kooperatyw różnego typu, związków młodzieży, kas zapomogowych, posagowych — wszędzie A. P. jak dobry, wierny przyjaciel, znajduje się na posterunku ze zdrową radą i objaśnieniem. Jak sumienny lekarz, odkrywa rany społeczne, jakoto handel żywym towarem, przestępstwa małoletnich, nędzę dzieci, pracujących w fabrykach, okaleczałych, skarlałych i umierających przedwcześnie z wycieńczenia, z duszą nierozwiniętą lub znieprawioną. Niewolno nikomu być spokojnym, obojętnym widzem na tej wielkiej, potem i łzami zlanej widowni, która życiem się nazywa.

Te skromne, małe broszurki dzwonią na alarm, budzą, zagrzewają i uczą, jak usuwać zło, a znosić choćby najmniejsze cegiełki do budowy gmachu społecznego z krzyżem u szczytu. Za tę pracę

wytrwałą, a nierozgłośną, w najlepszym duchu prowadzoną, należy się poparcie, uznanie i postanowienie zdrowego naśladownictwa.

Helena Skolimowska.

„Pelerinages franciscains" — par *Johannes Joergensen* — traduit du danois par Teodor de Wyzewa. — Paris. 1911. Librairie académique Perrin et C-ie.

Pomiędzy duchem, wlanym przez św. Franciszka z Assyżu w organizacyę zakonną, z ducha tegó zrodzoną — pomiędzy tym pełnym prostoty i słodyczy pokojem serca, który jest jej cechą znamienną, a krajobrazem umbryjskim, gdzie płynęło życie Świętego — istnieje głęboki a harmonijny związek. Wczucie się w ducha św. Franciszka i w krainę, która była jego kolebką i areną jego cudownej działalności, znajdujemy w wysokim stopniu u duńskiego pisarza, który powiększył zastęp *„les grands convertis"* naszej doby. Wiek XIII., zlany krwią ciągłych walk, pożerany pychą i okrucieństwem możnych — nędzą i zawiścią maluczkich — potrzebował takiego odrodzenia, jakie mu przyniósł wielki duchem, a ubożuchny zewnętrznie *„Poverello"* — miłośnik i jakby rycerz-trubadur ubóstwa. — Po siedmiu wiekach — epoka nasza zwraca się z tem samem utęsknieniem do ideału, który ucieleśnił św. Franciszek i hojną dłonią zasiewał go wśród wędrówek swoich, bosy, ubogi — ale z duszą pełną wieczystych bogactw.

Szczodrze uposażona w materyalne dobra, w zdumiewające zdobycze nauki i wynalazki doba nasza — wyciąga dłonie do tych skarbów, które materyalizm, nierówny podział bogactw, nienawiść stanowa — wyczerpały pozornie do dna. Pozornie — bo w każdej epoce, w jakikolwiek kształt zewnętrzny układa się życie społeczeństw, biją w nich zawsze serca, spragnione wiecznej prawdy, pełne miłości bratniej dla ludzi, a nadewszystko dla tych, którzy cierpią i żyją w mrokach duchowych i materyalnych.

Dlatego to jesteśmy świadkami dziwnego na pozór zjawiska, że w czasach wybujałego indywidualizmu, zażartej walki o byt, nienawiści klasowych i narodowościowych, wykwita cała literatura, oddająca się badaniom nad życiem i działalnością św. Franciszka z Assyżu, ubogiego mnicha o duszy anielskiej.

Jednym z takich gorących miłośników Świętego, to Duńczyk Joergensen, nawrócony głównie pod wpływem tego serafickiego ducha. W czci i miłości dlań, kocha on nietylko jego bezpośrednie

przejawy, nietylko zrodzone z niego zakony, które w ciągu stuleci przędą dalej i snują myśl jego i spuściznę — ale miłuje też to włoskie słońce, które oświecało ziemską wędrówkę Świętego, te góry, w które chronił się dla samotnej rozmowy z Bogiem swoim...

Od czasu do czasu, Joergensen z ojczystej, mglistej północy udaje się do Włoch i krok za krokiem przebiega Umbryę śladami św. Franciszka.

Widzimy go w Greccio, wsłuchującego się w szmery leśne, które kołysały do snu Dzieciątko Boże, gdy św. Franciszek w noc wigilijną urządził tam szopkę, do której biegli pasterze — jak tam, niegdyś w Betleem...

Zwiedza jeden po drugim klasztory franciszkańskie, chowające pamiątki swego świętego założyciela: Fonte-Colombo, z siecią źródeł, którym błogosławił, z grotą, w której trwał na modlitwie, La Foresta, ukryta wśród borów, Poggio Bustone, gdzie św. Franciszek usłyszał głos z nieba, odpuszczający mu jego ludzkie winy, góra i klasztor w Alwernii, gdzie ciało tego miłośnika Męki Pańskiej zostało naznaczone stygmatami tej Męki i miłości... Wreszcie Assyż, z grobami św. Franciszka i św. Klary — tych duchów świetlanych, które jak dwa promienie zlewały się w najczystszej miłości Bożej...

Helena Skolimowska.

Die Evangelien und die Evangelienkritik. Der akademischen Jugend und den Gebildeten aller Stände gewidmet von *Dr Jakob Schäfer*. II vermehrte Auflage, 8⁰ (VIII. u. 152), Freiburg 1911, Herdersche Verlagshandlung.

Was ist uns Christen die Bibel? Ein Wort zur Bibelfrage an der gebildete Laienwelt von *Dr. Kapistran Romeis O. F. M.* 8⁰ (VIII u. 242) Freiburg 1911, Herdersche Verlagshandlung.

Dziełko Schafera polecamy jak najgoręcej wszystkim warstwom wykształconym, pragnącym się zapoznać z zagadnieniem tak ważnem, jakiem jest kwestya ewangelii. Może ono służyć jako doskonały i pewny przewodnik wśród całej powodzi literatury historyczno-krytycznej o tym przedmiocie. Nic ważnego nie pominął autor w niem, całą literaturę najnowszą uwzględnił i należycie wykorzystał. Treść książki, to odpowiedź na zasadnicze pytanie, mogące wejść w rachubę przy naukowem i umiejętnem badaniu tego rodzaju kwestyi, a więc, jak powstały nasze ewangelie, kto jest ich autorem, jaki ich wzajemny stosunek do siebie, czy one są wiarogodne i czy się do-

stały do naszych rąk istotnie nie zmienionemi. Krótko, ale jasno określa autor wszędzie zagadnienie, przytacza zdania przeciwne i zbija ich wywody, powołując się nieraz wyłącznie na powagi naukowe obozu protestanckiego, by tem mniej ściągnąć na siebie podejrzenie i zarzut stronniczości. Dla zaokrąglenia całości dołączył autor we wstępnym rozdziale cenne uwagi o języku biblijnym Nowego Testamentu, o materyałach piśmiennych ówczesnego świata cywilizowanego i o kodeksach odnośnych, tak, iż niejedna odpowiedź na wyłaniające się trudności staje się bardziej zrozumiałą i przekonywującą.

Podobnie jak Schäfer, tak i Romeis poświęca swą pracę warstwom wykształconym, by w ich sercu uzasadnić i ugruntować wiarę w Pismo święte, dziś więcej niż kiedykolwiek zagrożoną, a może i nadwątloną wskutek niedowiarstwa i liberalizmu przeciwników, którym trudno dopatrzeć się w księgach świętych jakiegokolwiek pierwiastka wyższego, nadnaturalnego. Jakkolwiek główny przedmiot jego pracy jest ten sam, to jednak stanowisko, jakie względem niego zajmuje, jest nieco odmienne. Schäfer uwzględnia tylko Nowy Testament i przetrząsa kwestyę biblijną z punktu historyczno-krytycznego, Romeis przeciwnie bada Stary i Nowy Testament, ale więcej z punktu historyczno-dogmatycznego i uzupełnia tem samem niejako pracę Schäfera, gdyż dopiero wtenczas zyska Pismo święte należytą sobie powagę słowa Bożego.

Ponieważ księgi nasze święte ściśle się łączą z objawieniem, musiał autor i o nie potrącić, określić jego pojęcie, stwierdzić jego możliwość i historyczny fakt istnienia. Szczególniejszy nacisk położył przy dowodzie na psychologiczną stronę czynników objawienia. W następnych rozdziałach przychodzi autor do głównej i zasadniczej kwestyi Pisma świętego t. j. do inspiracyi. Inspiracya jest to szczególniejszy jakiś objaw działania Bożego na rozum i wolę hagiografa, różny od objawienia, jest to działanie Boże nadprzyrodzone, przynaglające pisarza, by przelał na papier wszystko to i tak, co i jak Bóg biednej ludzkości dla jej ogólnego dobra przekazać raczył. Jako dowód istnienia inspiracyi przytacza autor świadectwo narodu wybranego, Chrystusa Pana, Apostołów i całego chrześcijaństwa w starożytności i przechodzi następnie do skutków inspiracyi, do tej dziwnej jedności i prawdy, jaka się przebija w rzeczach wiary i z nią związanej historyi. Dla lepszego oświetlenia i uwydatnienia prawdy, jedności i prostoty ksiąg naszych świętych, zestawia je autor z dzi-

wacznemi i niesmacznemi nieraz opowiadaniami religijnych ksiąg pogaństwa. W ostatnim rozdziale wykazuje autor, że Kościół św. zawsze otaczał Pismo święte wielką czcią, pragnąc, by wszyscy wierni korzystali przez czytanie z tego źródła prawdy, coby i w naszych czasach bardzo było pożądanem. Końcowy dodatek oryentuje czytelnika o wydaniach Pisma św. i o nowszej biblijnej sztuce obrazowej.

Obie książki polecamy, zwłaszcza że się nadają do odczytów w kółkach apologetycznych. Nie znajdzie wprawdzie czytelnik w nich nowych jakichś teoryi, samodzielnie przez autorów postawionych, ale zbiorową pracę ludzi uczonych, z której chętnie korzysta niefachowy.

Ks. L. Bolesławski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Historye cudownych obrazów Najśw. Maryi Panny w Polsce. Zebrał według autentycznych źródeł *ks. Alojzy Fridrich T. J.* Kraków, Nakł. Apostolstwa Modlitwy, 4 tomy. Str. 396+512+448+504. Cena po 3 kor. za tom, w opr. 3·50.

Przez 30 lat autor zbierał sumiennie wszystkie szczegóły, odnoszące się do historyi poszczególnych cudownych obrazów, aby na tle autentycznych dokumentów i wiarogodnych świadectw i podań wykazać, ze Królowa Korony Polskiej przez wieków koleje opiekowała się ziemią naszą z szczególniejszą troskliwością, że wiele więcej niż w innych krajach zakładała u nas stolic i tronów miłosierdzia swego. Historye cudownych obrazów są najlepszą zachętą dla synów Polski do czci i kochania Maryi. Czytanie tego dzieła uważać należy za pielgrzymkę duchowną, która podnosi na duchu i odradza duszę, krzepiąc nadzieję i budząc wdzięczność.—Wszystkie dzielnice rozdartej na trzy części Polski przechodzi czytelnik, od północy do południa, od zachodu do wschodu, a wszędzie wita go Matka Polski, ta sama dziś jak ongi, pełna miłosierdzia i dobroci. Idea tego dzieła — to zaprawdę idea wielka i święta, bo Polak, któryby nie kochał Najśw. Panny, musi wobec świadectwa wieków uznać, że zerwał z duchem praojców, z tradycyą i najczystszym jej skarbem, czcią ku Maryi.

Tyle, co do idei. Przejdźmy do jej wykonania Zważywszy na myśl przewodnią, musimy przyznać, że autor wywiązał się znakomicie ze swego zadania. Prostym, a jasnym stylem, aby nikogo nie wykluczyć od tej pielgrzymki po Polsce, autor opisuje historyę uznanych po dziś dzień cudownych obrazów Maryi, oceniając krytycznie historyczną wartość rozmaitych podań, które stanowią dowód, że cześć Matki Najśw. głęboko się wryła w serca narodu naszego. Aby ułatwić i uprzyjemnić wędrówkę, autor wpadł na bardzo szczęśliwy pomysł. Zwiedzając cudowne obrazy nie tylko szukał osobiście po bibliotekach i archiwach parafialnych materyałów historycznych, lecz zdejmował także fotografie cudownych obrazów i Kościołów lub kaplic, w których się one znajdują. Przeszło

więc 500 tych oryginalnych rycin umieścił w tych 4 tomikach, aby i dla oka była korzyść i przyjemność z pielgrzymki. Tak stworzył autor dziełko prawdziwie pożyteczne, przemawiające do narodu przez naród, t. j. przez historyczne przedstawienie jego nabożeństwa i jego ofiarnej wdzięczności.

E. M.

Jana hr. Potockiego prace i zasługi naukowe. Skreślił *Aleksander Brückner*. Warszawa, Kraków 1911.

Wierny tytułowi dzieła pomija autor koleje życia Jana Potockiego, poświęca natomiast tem więcej miejsca rozbiorowi jego dzieł. W dziełach treści historycznej dopatruje się zdrowego przemożenia i większego ponad współczesną historyografię punktu wyjścia; rezultatom jednak badań nie przypisuje większej wartości wobec późniejszych badań, opartych na materyale obszerniejszym. Natomiast powieści i opisy podróży zaleca, jako godne uwagi, mające wartość i dla dzisiejszych czasów. *A. B.*

W Kwestyi nienawiści rasowej. *Mateusz Mieses*. Warszawa — Lwów — Kraków 1912.

Autor stara się wykazać w długich uwagach, opartych na historyi i etnografii, że rasa semicka nie była w dziejach ludzkości czynnikiem destrukcyjnym, lecz przeciwnie w wysokim stopniu produktywnym. Godząc się z autorem co do tego wyniku, a nie uważając wobec założenia pracy polemizować co do pewnych szczegółów, uważamy jednak zwrócić uwagę na pewne konkluzye, jakie wyciąga z swych wywodów autor w odniesieniu do czasów dzisiejszych.

Oparty na podłożu historycznem, sądzi autor, że nienawiść rasy aryjskiej do semickiej nie ma uzasadnienia. To postawienie kwestyi przez autora nie odpowiada istocie i podstawom antysemityzmu w tej formie, w jakiej on się spółcześnie objawia. Na antysemityzm składają się powody natury społecznej, ekonomicznej, moralnej: przeciwieństwo rasowe, a nawet różność religii, jak mniema autor, odgrywa tu rolę minimalną, a przeważnie całkiem nie wchodzi w grę. Nad tą kwestyą nie uważamy za stosowne szerzej się rozwodzić, ujęcie bowiem kwestyi żydowskiej wymagałoby pracy większej może rozmiarem, niż praca omawiana: dlatego zadowolnić się musimy tą skromną uwagą.

Dr. A. B.

Ignacy Potocki, przez *Kazimierza Maryana Morawskiego*. Część I. 1750—1788. Warszawa, Kraków 1911.

Postać Ignacego Potockiego jest jedną z najwybitniejszych wśród szeregu wcale pokaźnego wybitnych z epoki rozbiorów i Księstwa warszawskiego. We wszelkich akcyach politycznych i społecznych z tej epoki odegrał rolę znaczną: walka połączonych familii przeciw królowi, działalność w Komisyi edukacyjnej, Sejm czteroletni, powstanie Kościuszki itd. To też wdzięczni być winniśmy autorowi, że podjął zadanie zapoznać nas dokładnie z osobistością Ignacego Potockiego. Część I., którą mamy obecnie przed sobą, obejmuje okres nie najchlubniejszy życia. Tylko działalność jego w Komisyi edukacyjnej zwiastuje Potockiego z czasu Wielkiego Sejmu, z okresu Kościuszki, więzienia, emigracyi i Napoleona. *A. B.*

Żywioł żydowski w Palestynie. — *Dr. Aleksander Hausmann*. Kraków, Warszawa 1911.

Autor badał szczegółowo na miejscu stosunki żydowskiej kolonii w Palestynie. Owocem tych studyów niniejsze dzieło. Ogólnie określa stan kolonii jako pomyślny, a to zarówno pod względem ekonomicznym, jak i zdrowotnym i moralnym. Jak należy pro-

wadzić dalej pracę, pyta autor na zakończenie. Na to pytanie nie daje autor szczegółowej odpowiedzi. Zamiast niej twierdzi, że wszyscy osadnicy palestyńscy, starszy i młodzi, wołają o ziemię. Bez nabycia nowych obszarów ziemi niema przyszłości dla osadnictwa żydowskiego. *A. B.*

Włodzimierz Antonowicz. Zarys jego działalności społeczno-politycznej i historycznej. *Dr. Rawita Gawroński.* Lwów. 1912.

Znany badacz dziejów polsko-ruskich kreśli nam sylwetkę osobistości, która dziwnym uległa ewolucyom. Urodzony w atmosferze polskiego drobnoszlacheckiego domu przez zetknięcie się z ludem i przez studya ukochał ideę ukraińską, by stąd zejść na urzędowego historyografa rosyjskiego. Prace jego historyczne: „Studyum o kozaczyźnie", „O pochodzeniu szlachty poł.-zach. Rosyi", „Studyum o miastach poł.-zach. Rosyi", „Akty o ekonomicznych i prawno-państwowych stosunkach włościan XVIII. w". „Studyum o hajdamaczyźnie", „Iwan Gonta", „Bunt Wołyński 1789" i inne drobniejsze owiane są tendencyą wszechrosyjską, przekręcają dla tych celów dzieje Polski, a ukraińcom radzą znosić jarzmo rosyjskie. Od r. 1880. widać u Antonowicza zwrot może rozmyślny. Przechodzi do badań archeologicznych, gdzie już nie ma sposobności do wyjawiania swych zapatrywań historyozoficznych. Natomiast widać chęć zbliżenia się do Polski. *A. B.*

Stanisław Worcell. Życiorys. Napisał *Dr. Bolesław Limanowski.* Kraków 1910.

Pisze sędziwy pisarz z obozu socyalistycznego o jednym z pierwszych polskich socyalistów, pisze w epoce pewnego — wielkimby go niejeden nazwał — rozwoju myśli i partyi socyalistycznej o epoce, w której myśl ta dopiero się wykluwała. To uzasadnia obszar pracy, a i widoczną predylekcyę dla tematu. My jednak patrząc ze stanowiska więcej objektywnego na omawiane dzieło, nie możemy się powstrzymać od pewnych uwag krytycznych. Oceniając Worcella z tego nawet, co przy całej sympatyi dla osoby mówi o nim autor, dochodzimy do przekonania, że stojąc nawet na stanowisku czy spółczesnych czy partyi, która go uważa za swego przodownika, na pomnik taki, jak monografia nie bardzo zasłużył. Jako pisarz nie wnosi myśli nowych, nie rozszerza horyzontów, nie kieruje swymi zwolennikami, lecz jest tylko ich echem. Jako polemista, zbyt blady i stąd nie wiele użyteczny. A jego działanie praktyczne? Z dzieła p. Limanowskiego nie wiele widzimy momentów, z którychby działalność Worcella rzeczywiście się zaznaczyła.. A może osoba Worcella miała być tylko osią, koło której miałoby się okazać przedstawienie dziejów emigracyi. Było to również zamiarem autora, jak widzimy z przedmowy. Wykonanie jednak nie zupełnie odpowiedziało zamiarowi. Dzieje tej epoki, tak urozmaicone, nie uwypuklają się ostatecznie i brak przedstawieniu jasności, ciągłości, odpowiedniego przejrzystego ugrupowania.

Dr. A. B.

Jezus Chrystus i kwestya społeczna. *Fr. B. Peabody* (tłóm. A. Jałowiecka). Warszawa — Kraków 1911.

Samo już zestawienie imienia Zbawcy świata z żywotną dzisiaj kwestyą społeczną obudza zaciekawienie i może zachęcić do czytania tego dziełka. A gdy się zaraz na pierwszych stronnicach czuje, z jakiem przekonaniem, z jaką znajomością spraw piekących, z jaką przytem sympatyą dla Osoby Jezusa autor swoje zapatrywania rozwija, trudno oderwać się od studyum tej książki.

Wydobyć wprost z ewangelii wskazówki pewne, wyjaśniające stosunek nauki Jezusowej do zawiłych zagadnień społecznych doby obecnej, to cel i zadanie, jakie sobie Peabody postawił. Na pierwszy rzut oka wydaje się ta myśl zbyt śmiałą. Co nauka ewangeliczna ma do czynienia z zagadnieniami czysto socyalnej natury? Lecz amerykański socyolog uważa kwestyę społeczną za kwestyę etyczną. I rzeczywiście, patrząc na tę sprawę z tego punktu widzenia, a uwzględniając nadto przekonania religijne autora, trzeba przyznać, że nieźle się wywiązał ze swego zadania i nie dziwi wcale, jak w wykładach o kwestyi społecznej zajmuje się np. sprawą związku małżeńskiego. Jaki wynik tego studyum? Podstawą i koniecznym warunkiem reformy spraw społecznych to odnowienie i uduchownienie według idei Chrystusowych jednostek naprzód, a przez jednostki całości społecznej.

Atoli ze stanowiska nauki katolickiej trzeba zaznaczyć: Po pierwsze, że autor zbyt indywidualnie, często nawet niekrytycznie stosuje teksty ewangeliczne do swoich poglądów i twierdzeń. Powtóre znaczenie wyrazu „Królestwo Boże“ ogranicza do królowania Boga w duszy chrześcijanina i do życia błogosławionych w niebie, gdy tymczasem często najwyraźniej oznacza ten wyraz także kościół hierarchiczny pod jednym najwyższym zwierzchnikiem tu na ziemi. Wreszcie nie ocenia autor należycie ducha katolickich instytucyi miłosierdzia, wydaje o nich jak w ogóle o katolicyźmie sąd jednostronny, oparty jedynie na przesądach protestanckich i modernistycznych.

Przyswojenie tego dziełka polskiemu czytelnictwu należy uważać za dobrą przysługę, chociażby jeno dla tego że szersze masy mogą się przekonać, jak nawet obce katolicyzmowi wyznania szukają pomocy w sprawach społecznych w nauce Jezusa. Tłómaczenie jest na ogół dobre; w niektórych tylko zwrotach przebija się duch niepolski. *B. W.*

Ewangelia Eucharystyi: Nauki wygłoszone w kościele katedralnym w Sens przez *ks. Pichenot*, arcybiskupa Chambery, tłómaczył M. K. Poznań, nakładem i czcionk. księg. św. Wojciecha 1911.

Świat katolicki stoi pod znakiem Eucharystyi. — Wszyscy wierni, a zwłaszcza kapłani z radością witają każdą gruntowną publikacyę o Najśw. Sakramencie. Niedawno otrzymaliśmy polskie tłómaczenie sławnego dzieła Fabra, które zawsze będzie *standard work* o tym przedmiocie. A jednak potężne to a głębokie i wzniosłe dzieło nie jest może dla każdego dość przystępne. Obok niego, podobne do niego a raczej jako uzupełnienie możnaby postawić dzieło ascetyczno-homilétyczne arcybiskupa z Chambery. Niema w niem sentymentalności francuskiej, słodko-nudnej cukrzonej ascezy, którą często autorowie francuscy się odznaczają i do gustu naszego nie trafiają.

Prostota, która prostą drogą do Boga prowadzi, prostota przypominająca błogosł. proboszcza z Ars jest główną zaletą autora ewangelii eucharystycznej, pomimo polotu wzniosłego, który na korzyść maluczkich zdaje się być trzymanym w karbach.

Rozważając życie mistyczne P. Jezusa w Eucharystyi, stosuje autor nauki swoje do życia ziemskiego — ukrytego, publicznego, bolesnego i chwalebnego. Później pokazuje przykłady i cnoty Jezusa w Hostyi utajonego i w ten sposób słusznie nazwać można te nauki Ewangelią Najśw. Sakramentu. Nauki postępują po sobie logicznym i historycznym porządkiem.— Nadto w osobnym spisie rzeczy są te

nauki podzielone i zastosowane do niedziel i świąt całego roku. Osobom świeckim i zakonnym polecamy to dzieło jako czytanie i rozmyślanie, kapłanowi odda wielkie usługi na ambonie. *J. As.*

Sztuka Rymotwórcza Fr. ks. Dmochowskiego. *Ks. Dr. Ludwik Zalewski.* Studyum z dziejów krytyki literackiej w Polsce w epoce pseudoklasycyzmu. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1910.

Cenna to dla historyków literatury i sumiennie opracowana książka. Wypełnia ona dotkliwą lukę, jaką był, nietyle brak dzieła omawiającego Sztukę Rymotwórczą, ile brak dzieła wykazującego związek poglądów estetycznych Dmochowskiego z poglądami estetycznymi i krytycznymi panującymi w spółczesnej mu Europie, oraz współczesnej Polsce. Aby zaś dojść do tak ściśle określonego wyniku, autor z wielką sumiennością, niemal pedanteryą, wyzyskał wszystko, co na uzasadnienie w tej kwestyi wyzyskać się dało. Na wstępie zaznajamia nas z dotychczasowymi sądami o książce Dmochowskiego, poczynając od Osińskiego a kończąc na Chmielowskim. Następnie zestawia i porównywa wydanie pierwsze Sztuki z 1788 i wydaniem trzeciem z 1826 r. i wykazuje, że to ostatnie wydanie jest postępem w porównaniu z pierwszem. Potem mamy genezę Sztuki Rymotwórczej, jej treść i sformułowanie poglądów estetycznych Dmochowskiego, następnie wykazuje autor zależność i stopień zależności Sztuki od Boilea'ua, Horacego, Goliń skiego, Karpińskiego i Kopczyńskiego. Po tem gruntownem opracowaniu źródeł Sztuki, zastanawia się ks. dr. Zalewski nad stopniem oryginalności Dmochowskiego. Oryginalność ta jest prawie żadną, twierdzenia i poglądy Dmochowskiego były już u jego poprzedników i żyły w poglądach współczesnych mu w samej Polce. Kwestya, dlaczego, mimo tego, Sztuka Rymotwórcza doszła w swoim czasie do tak wielkiego znaczenia, roztrząsaną jest w pierwszym rozdziale omawianej rozprawy.— Jak z tego widocznem książka ks. dra Zalewskiego rzeczywiście jest cenną, szczególniej dla badaczy historyi krytyki w Polsce. *A. Str.*

Maurycy Mochnacki. *Stanisław Szpotański.* Kraków. Akademia umiejętności. 1910.

Monografia Stanisława Szpotańskiego o Maurycym Mochnackim należy do poważnych dzieł historycznych. Przestudyowanie tej książki stwierdza, że autor sumiennie opanował materyał historyczny, w części rękopiśmienny, i oparł swe studyum na niezaprzeczalnej podstawie historycznych dokumentów. A z tła tak poważnie podjętej pracy, wychyla się postać Mochnackiego, w swych rysach wprawdzie nie zupełnie zdecydowanie nakreślona, ale o ile na to talent autora zezwolił, przy jego sumienności, w oświetleniu zgodnem z prawdą tych historycznych dokumentów. Jedno tylko podkreślić należy, nie czyniąc zresztą z tego zarzutu, zależnem to jest bowiem od skali talentu autora piszącego monografię. Postaci Mochnackiego w odtworzeniu Szpotańskiego brak życia, to jest, brak ze strony autora wniknięcia w psychikę człowieka, w każdym razie niezwykłego, jakim był Mochnacki, chociaż rys zasadniczy Mochnackiego, to jest fakt, że przedewszystkiem był on artystą, a jako taki nie mógł być doskonałym politykiem, w ścisłem tego słowa znaczeniu, niejednokrotnie jest przez autora podkreślonym. Z tego powodu książka dla badaczy czasów powstania listopadowego oraz dziejów emigracyi po 1831, ma niewątpliwe znaczenie.

A. Str.

Współczesny dramat Polski. *Herbert Sand.* „Książnica naukowa i artystyczna“, Kraków 1911.

Nie ma szczęścia współczesny dramat polski, aczkolwiek tak pożądaną byłaby książka omawiająca go krytycznie. Nie ma szczęścia, albowiem książka Herberta Sanda, nie ma nawet prymitywnej wartości. Kardynalną zaś wadą tej książki jest to, że autor usiłuje być jakimś teoretykiem dramatu, a nie mając ku temu żadnych danych, daje nam gmatwaninę szumnych a niezrozumiałych zdań i twierdzeń, nie posiadających żadnej wartości. Czasem tylko zabłąka się gdzieniegdzie zrozumialsza myśl, ale po to tylko, aby zaraz utonąć w chaosie frazesów i nonsensów. Dziwnem jest, że „książnica naukowa i artystyczna“, wydając tę książkę, nie zastanowiła się nad tem, że nadpis „naukowa i artystyczna“ nakłada obowiązki, których przecie zupełnie lekceważyć nie należy. Wtedy z pewnością, acz papier jest cierpliwy, nie zdobyłaby się na heroicznie komiczny czyn i nie wydałaby książki Herberta Sanda.

A. Str.

Katechetik von *Dr. M. Gatterer S. J.*; herausgegeben von Dr. Frz. Krus S. J. — II. verbesserte Auflage. — Innsbruck 1911, Fel. Rausch.

Książka ta jest zaiste czemś więcej aniżeli sam autor w przedmowie skromnie zaznacza; albowiem nietylko ogranicza się do naszkicowania najgłówniejszych zasad katechetyki, ale jest dziełem traktującem w sposób wyczerpujący wszystkie ważniejsze zagadnienia wchodzące w zakres teorytycznej, jako też i praktycznej katechetyki. Autorem tego dzieła jest O. Gatterer Tow. Jez., który jako kapłan świecki najpierw praktycznie zapoznał się z trudnościami katechizowania, poczem przez 17 lat był profesorem katechetyki w uniwersytecie w Innsbrucku, a przez ostatnie lata ściągał zastępy doborowych słuchaczy na swoje katechetyczne kazania. W niniejszem dziele podaje zatem autor cenne wskazówki będące owocem własnego długoletniego doświadczenia, dla każdego katechety nie tylko niezmiernie pożyteczne, ale wprost niezbędne. Jako dzieło profesora uniwersytetu, książka odznacza się systematycznem ugrupowaniem materyału. Część I-ą (str. 16-64) poświęca autor historyi katechetyki, w myśl wypowiedzianej przez się zasady (str. 16), iż: „Katechetyka bardziej niż jakakolwiek inna nauka powinna liczyć się ze swoją własną historyą“, aby zadaniu swojemu godnie odpowiedzieć. W II-iej części traktuje autor o metodzie katechizowania. W III-iej części znów mówi o wychowawczym wpływie katechizacyi, podając zarazem wskazówki, w jaki sposób katecheta ma wszczepiać w serca dzieci najpotrzebniejsze cnoty, oraz jak ma się starać o to, aby owej swej pracy skuteczność zapewnić. Oryginalnym zaś sposobem wplata autor w te dwie części 26 tez, które krótko i zwięźle wyrażają zasady nauki i wychowania katechetycznego. Ich zestawienie na końcu książki możnaby słusznie nazwać katechizmem dla katechety. Czwarta część dzieła omawia kwestye należące do katechetyki szczegółowej, jak to sposób uczenia dzieci modlitwy, oraz przygotowania ich do spowiedzi i komunii św. — Jakkolwiek bogaty w własne doświadczenie, autor nie ogranicza się na niem, ale wywody swe opiera na zdaniach najznakomitszych innych autorów, przez co książka jego jest jakby małą encyklopedyą katechetyczną. Bardzo byłoby pożądanem rzeczowe zestawienie przedmiotów na końcu dzieła.

H. W.

Praelectiones dogmaticae. *Chr. Pesch, S. J.* Friburgi, Herder. Tomus IV. De Verbo incarnato. De B. V. Maria. ed. III. (XXV-399 str). Tomus V. De gratia. De lege divina positiva ed. III. (XXI-331 str.) Tomus VIII. De virtutibus. ed. III. (XXII-344 str.) Tomus IX. De virtutibus moralibus. De peccato. De novissimis, ed. III. (XXVII-436 str.), Tomus I. Institutiones propaedeuticae, ed. IV. (XXVIII-452 str.).

Prócz uwzględnienia najnowszej literatury teologicznej i wciągnięcia jej w tekst lub w uwagi, osobliwą uwagę poświęca autor modernizmowi i w odpowiednich miejscach zbija jego zasady. Zmian zasadniczych nie poczynił autor żadnych; za dopełnienie podręcznika służyć mogą wydawane przez niego Theologische Zeitfragen.

S. J.

Die Welt, in der wir leben. *Rudolf J. Meyer S. J.* Aus dem Englischen übersetzt von J. Jansen S. J. (XVI-460 str). Freiburg, Herder.

Skreśliwszy znakomicie świat, jak żyje, myśli i czuje, — przestrzega autor przed niebezpieczeństwami, co grożą duszy dążącej do doskonałości chrześcijańskiej. Rzecz przeznaczoną pierwotnie dla środowiska amerykańskiego, zastosował tłumacz do naszych stosunków. *R. Th.*

Arbeit und Armut. Ein Beitrag zur Entwicklungsgeschichte sozialer Ideen. Von *Dr. Anton von Kostanecki.* Freiburg, Herder. (VI-210 str.).

Starannie i z wielką znajomością dotyczącej literatury śledzi autor rozwój wzajemnego stosunku pracy i ubóstwa, sięgając aż do średniowiecza, gdzie tkwi początek teoryi gospodarczych. Ostatnim etapem w genezie pojęć społecznych jest według autora pojęcie proletaryatu, a zrozumienie jego pierwszorzędnem zadaniem współczesnej socyologii. W wytłómaczeniu stosunku pojęć „etyczny“ a „socyalny“ pragnęlibyśmy widzieć więcej precyzyi.

S. J.

Der einheimische Klerus in den Heidenländern. Von *A. Huonder S. J.* — Mit 32 Abbildungen. Freiburg, Herder (X—312 str.).

Parę lat temú zarzucił Joly (*Le Christianime dans l'Orient* 1907 i *Le Problème des missions* 1908) katolickim misyonarzom zakonnikom, że całą pracę misyjną katolików w ostatnich czterech wiekach uważać trzeba za chybioną, ponieważ z małostkowych przyczyn zaniedbali wychowanie kleru krajowego Wobec tych oskarżeń, roztrząsa zasłużony redaktor niemieckich „Misyi katolickich“ tę niezmiernie aktualną kwestyę oraz wykazuje źródłowo że od 16. wieku począwszy, utworzenie kleru krajowego było zawsze kwestyą życia i rozwoju Kościoła w krajach misyjnych, zadaniem tak ważnem, że nawet wśród prześladowań starali się misyonarze jemu godnie odpowiedzieć.

S. G.

Die Menschenopfer der alten Hebräer und der benachbarten Völker. Von *P. Dr. Evar. Mader S. D. S.* Ein Beitrag zur alttestamentlichen Zeitgeschichte. Freiburg, Herder (XIX—188 str.)

Z wielkim nakładem pracy i nagromadzeniem bogatego materyału źródłowego omawia autor w pierwszej części zwyczaj ofiar ludzkich u Egipcyan, Babilończyków i innych ludów, zaznaczając przytem wpływ ich na Żydów. W drugiej zaś części zastanawia się nad ofiarami z ludzi u Żydów i dochodzi do wniosku, że Izraelici naprawdę ofiary składali z ludzi, zwłaszcza z dzieci; nie ma atoli ten zwyczaj nic wspólnego z prawdziwym kultem Boga. Czy jednak żydowski kult Molocha bierze swój początek od Egipcyan, — jak chce autor, — nie zdaje

się być rzeczą dostatecznie uzasadnioną. *S. G.*

Die Frauenfrage. *Viktor Cathrein S. J.* 3 Aufl. Freiburg, Herder (VII--240 str)

Die katolische Weltanschauung in ihren Grundlinien mit besonderer Berücksichtigung der Moral. *V. Cathrein S. J.* 2 bedeutend verm. Aufl. (XVI—678 str.).

Dzieło o kwestyi kobiecej znanego autora w nowem wydaniu znacznie wzrosło dzięki gruntownemu omówieniu stanowiska niewiasty w rodzinie. Nie godzi się autor na emancypacyę polityczną, zostawia natomiast swobodę w studyach, działalność zaś w kółku rodzinnem z ciepłem zaleca. Dzieło to dobrze oryentuje w danej kwestyi i zasługuje na uwagę.

W drugiej książce dowodnie wykazuje autor, że katolicki światopogląd nie z powietrza wzięty, lecz płynie z harmonii między chrześcijaństwem a zdrową filozofią. Moralność chrześcijańska nie krępuje ani nie zaskorupia człowieka w martwocie, przeciwnie podnosi, uszlachetnia, idealizuje.

R. Th.

Manuale juris ecclesiastici. *D. Prümmer O. P.* T. I. De personis et rebus ecclesiasticis in genere. Friburgi, Herder (XXII—505 str.).

Lehrbuch des katolischen Kirchenrechts. Von *Dr. J. B. Sägmüller.* 2 Aufl. Freiburg, Herder (XVI—932 str.).

Prümmer zebrał w swym podręczniku, najważniejsze zagadnieniu z dziedziny prawa kościelnego w sposób jasny i krótki, w pytaniach i odpowiedziach; kierował się widocznie względami praktycznymi. Książka Prümmera nie stoi jednak na wyżynie dzieła Sägmüllera, które ma już ustaloną sławę i do najlepszych podręczników prawa kościelnego należy. W nowem znacznie pomnożonem wydaniu, znać wszędzie staranność autora, by postawić dzieło swe na wysokości współczesnych wymagań naukowych. Jasność, przejrzystość, oraz licznie podane źródła podnoszą wartość tej książki.

R. Th.

Christliche Symbole aus alter und neuer Zeit nebst kurzer Erklärung für Priester und kirchliche Künstler. Von *Dr. Andreas Schmid.* 2 verb. u. verm. Aufl. Mit 200 Bildern, Freiburg, Herder (VIII—112 str.)

Wychodząc z założenia, że w nowej sztuce tylko dobranych i dla nas zrozumiałych symbolów starochrześcijańskich używać należy, zestawił i przystępnie wytłumaczył symbole z katakumb kościoła zachodniego. Dobrzeby było w przyszłości uwzględnić także symbole kościoła wschodniego.

R. Th.

A. Stolz: „Bilder zur christkatolischen Glaubens-und Sittenlehre". Von *K. Telch.* (XVI—452 str.) Freiburg, Herder.

Jest to bardzo zręcznie i trafnie ułożony wybór z pism znanego pisarza, w którym Telch podać pragnie zarówno kapłanom materyał do nauk, jak wiernym książkę ku zbudowaniu. Podział główny: Ambona—szkoła—chorzy wskazuje na praktyczną doniosłość książki. *R. Th.*

Gottesloh. Predigten auf die Feste des Herrn. Von *P. Maurus Plattner O. S. B.* Freiburg, Herder (XIII.—421 str.)

W powyższym zbiorze kazań wskazuje autor na obfity zdrój, jakim jest głębsze poznanie Chrystusa Pana. Nadaje się jako podręcznik do kazań lub rozmyślań. *R. Th.*

Erzabt Placidus Wolter. Ein Lebensbild von *P. Seb. von Oer.* Mit 10 Bildern. Freiburg, Herder (160 str.).

Pamięci zasłużonego i świątobliwego męża, znanego szczególnie ze swego komentarza do Psalmów (*Psallite sapienter*), poświęca autor serdeczne wspomnienie. *R. Th.*

Die Erziehung zur Keuschheit. Gedanken über sexuelle Belehrung und Erziehung, von *Dr. Michael Gatterer S. J.* und *Dr. Franz Krus S. J.* III. vermehrte Auflage. Innsbruck, Druck und Verlag v. Fr. Rauch 1911.

Książeczka ta ma być drogowskazem dla wychowawców w delikatnej, nader trudnej, a dziś nie dość jeszcze rozstrzygniętej kwestyi o uświadamianiu płciowem. Zawiera ona nader wiele trafnych i praktycznych uwag oraz wskazówek dla katechetów, spowiedników i rodziców, które w wielu wypadkach rzucą sporo światła i posłużą za normę w tej arcytrudnej sprawie. Nasuwa się jednak bardzo poważna wątpliwość, czy poglądy autora i jego praktyczne metody — acz same w sobie nader mądrze obmyślane i opracowane — dadzą się przeprowadzić w całej rozciągłości w praktyce, zwłaszcza, jeśli chodzi o prywatne indywidualne uświadamianie. Przypuszcza ona bowiem spory zasób roztropności, doświadczenia, taktu i umiejętności pedagogicznej ze strony wytrawnego wychowawcy.

W każdym jednak razie, jeśliby uświadamianie płciowe w tej rozciągłości i w tych granicach, w jakich je pojmuje autor, było wskazane i uzasadnione, natenczas wyświadczyłby autor wielką przysługę wychowawcom, dając im w swej metodzie oparty na silnych podstawach prawd i zasad katolickiej wiary sposób spełnienia tego trudnego obowiązku pedagogicznego. *J. M.*

Die Epistel des hl. Jacobus übersetzt und erklärt von *Dr. Johannes Evang. Belser* gr. 8-o (VIII u. 216), Freiburg 1909. Herder'sche Verlagshandlung.

Spór o list św. Jakóba nie jest jeszcze ostatecznie pomiędzy uczonymi zakończony. Protestanci usiłują obniżyć jego wartość w literaturze chrześcijańskiej pierwszego wieku, katolicy przeciwnie podnoszą jego wielkie znaczenie dla świata katolickiego wogóle. Dotychczas jednak dawał się ze strony katolickiej odczuwać brak nowszego studyum o liście, ujętego w jedną jednolitą całość. Lukę tę chlubnie wypełnia znany z prac egzegetycznych prof. Belser. Właściwe tłómaczenie i objaśnienie tekstu poprzedza szereg uwag, odnoszących się do punktów spornych jak n. p. o autorze listu i jego adresatach, o czasie napisania, całym układzie zewnętrznym i wewnętrznej treści. Główny jednak nacisk położył autor na komentarz listu. Z całą ścisłością nowoczesnej krytyki usiłuje określić autora listu i wydobyć na wierzch te piękne, zwniosłe, apostolskie jego myśli, które i w naszych czasach nie są bez głębokiego znaczenia, a dla duszpasterzy przy sprawowaniu ich posłannictwa niezbędne. Z ubolewaniem zaznacza prof. Belser, że przy naukowem badaniu nie zawsze mógł należytą zwrócić uwagę na praktyczną stronę listu i jego znaczenie dla katolicyzmu, chociaż i tak przez gruntowną analizę niewątpliwie ułatwił studyum listu św. Jakóba. W końcowym dodatku przytoczył autor łacińskie tłómaczenie listu, jakie się znajduje w *Codex Corbeiensis* podług charakterystyki Mayera.

B. L.

Institutiones Metaphysicae Specialis, Theologia naturalis. *P. Stanislaus de Backer S. J.* Paris, Gabriet Beauchesne.

Niniejszym tonem zakończył lowański filozof swe *Institutiones Methaphisicae specialis.* Prawie wszystkie dodatnie przymioty, któremi się odznaczały poprzednie jego prace, cechują i to najnowsze dzieło. Z uznaniem podnieść należy i zaznaczyć tę wielką jasność jemu właściwą w analizowaniu pojęć, w określeniu *status quaestionis* i w dowodach, które, mimo iż w niektórych tezach nieco za długie wypa-

dły, na jasności jednak nie straciły. Owoc to długoletniej pracy profesorskiej. Jak w swej kosmologii i psychologii uwzględnił autor odnośne wyniki badań najnowszych, tak też i w teodycei usiłuje się zetknąć z ideami i poglądami świata filozoficznego nowożytnego i poddaje je surowej, ale nie mniej rzeczowej krytyce, jeżeli tego prawda wymaga. W szeroką analizę poszczególnych systemów filozoficznych autor się nie wdaje, nie zbija też pojedynczych ich trudności i zarzutów. ale z łatwością znajdzie każdy sam odpowiedź po gruntownem przestudyowaniu odpowiedniej jego tezy. Szerokie uwzględnienie znalazło *principium causalitatis*, zewsząd i wszędzie zaczepiane, odkąd tylko istnieje myśl filozoficzna. Domagała się tego sama rzecz, gdyż to podstawa dowodów nietylko istnienia Pana Boga, ale i innych gałęzi nauk i wiedzy.

Może niesłusznie zalicza autor św. Anzelma do twórców dowodu *a simultaneo*, gdyż dowód ten należy pojmować jako dowód psychologiczny, a nie ontologiczny.

Dzieło to polecamy nietylko do użytku prywatnego, ale i dla wyższych kursów filozoficznych. Zasługuje na to w całości. *L. B.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ingres Księcia-biskupa Krakowskiego Adama Sapiehy.

Niezwykle serdecznem było przyjęcie nowego księcia-biskupa. Znać było, że stary gród Piastów i Jagiellonów ze swojemi wiekowemi tradycyami katolickiemi nie myśli zrywać. Szczególnie w dzień ingresu czuć było wszędzie, że całe miasto jest pod wrażeniem uroczystej chwili. Prasa również w licznych artykułach witała nowego arcypasterza z wielką sympatyą, graniczącą niemal z entuzyazmem. Nie bez wpływu na te oznaki szacunku i inne niezwykłe objawy życzliwości była zapewne i ta okoliczność, że dostojny nominat przybył do nas wprost od boku Ojca świętego, jak również i wielkie nadzieje, jakie się wiążą z Jego przybyciem. Zapewne! Książę biskup, odprawiający ingres, ma przed sobą wielkie zadanie do spełnienia. Ze zmianą w stosunkach ekonomicznych i kulturalnych idą w parze także zmiany zapatrywań i aspiracyi, które nie mogą zostać bez wpływu i na życie religijne.

Nowemu arcypasterzowi towarzyszy w drodze wielkich obowiązków Jego nasze szczere przywiązanie i to najgorętsze życzenie, aby wśród ogólnej sympatyi swych owieczek, niezrażony trudnościami i walką, przeprowadził wytknięty sobie program: uczynić »z wiary« fundament nietylko naszego osobistego, ale także rodzinnego, społecznego i narodowego ustroju i życia. *Ad multos annos!*

Kongres eucharystyczny we Wiedniu.

Ruchliwy Komitet przygotowawczy dla 23 międzynarodowego Kongresu eucharystycznego rozsyła do wszystkich redakcyi pism katolickich w Austryi i za granicą informacye o dotychczasowych swoich pracach i instrukcye o przebiegu Kongresu. Jest to najlepsza i najprostsza droga do zainteresowania szerszych warstw dla tego ważnego zdarzenia, dlatego spodziewać się należy, że wszystkie pisma katolickie pójdą za wezwaniem Komitetu i od czasu do czasu umieszczać będą na swoich szpaltach informacyjne referaty o Kongresie wiedeńskim. Dotychczas prasa nasza mało się zajmowała tym Kongresem, zadowalniano się krótkiemi wzmiankami, choć przecież Kongres ten ma odnowić także zaszczytną dla Polski pamięć bohaterskiej odsieczy Wiednia, którą przynieśli Polacy pod wodzą Sobieskiego w roku 1683, gdyż rozpocznie się 12, a skończy się 15 września w uroczystość Imienia Maryi, pamiątkowego święta owych historycznych dni. Jest więc podwójna przyczyna, aby katolicka Polska jak najliczniejszy wzięła udział w Kongresie i najszerzej się nim zainteresowała.

Komitet centralny, na którego czele stoi kardynał arcybiskup wiedeński Nagl, rozdzielił pracę przygotowawczą na różne sekcye i komitety, a centralna kancelarya znajduje się obok katedry (Stephansplatz 5), dokąd należy adresować wszelkie przesyłki i pisma.

Obok znanego faktu, że cesarz przyjął protektorat nad Kongresem, rokuje dla niego najlepsze nadzieje żywy udział członków rodziny panującej w różnych komitetach i sekcyach. Wiedeń, stolica monarchii katolickiej, która mieści w sobie tyle różnych narodowości, łącząca wschód i zachód, bogata w wielkie tradycye katolickie, z katolickim dworem cesarskim i licznemi dykasteryami urzędniczemi, bezsprzecznie najlepiej się nadaje na widownię międzynarodowego Kongresu eucharystycznego. Komitet przygotowawczy wyraża też dlatego uzasadnioną nadzieję, że przy udziale całej monarchii wiedeński Kongres prześcignie wszystkie, jakie się dotychczas odbyły. Kongres ten, mający na sobie charakter wybitnie kościelny

i będący wspaniałą manifestacyą najistotniejszej wiary Kościoła katolickiego, może także dla katolicyzmu w całej Austryi przynieść upragnione owoce, byleby tylko we wszystkich krajach został należycie uwzględniony i wyzyskany. Biskupi monarchii austryackiej ogłosili w tej myśli 12 listopada zeszłego roku bieżący rok za eucharystyczny i z różnych stron dochodzą nas wieści, że głos pasterski nie przebrzmiał bez skutku. Utworzyły się już po różnych miastach komitety, działające w myśl Kongresu eucharystycznego, jużto aby mu przyjść z pomocą finansową, jużto aby przyczynić się do żywszego i czynnego w nim udziału.

Kongres wykazuje chwalebne usiłowanie, aby każda narodowość została należycie uwzględniona i wyznacza już teraz dla poszczególnych narodowości odpowiednie kościoły, gdzieby w dniach Kongresu mogły znaleźć duchowną obsługę i odprawić swoje uroczyste nabożeństwa. Wiedeń, choć na parę dni, chce się okazać wyższym nad względy nacyonalistyczne, dać obraz szerszej rodziny, zebranej z całego świata i z różnych narodowości, którą spaja jeden chleb błogosławiony — Bóg w Najśw. Sakramencie.

Środki do urządzenia Kongresu czerpie Komitet z dobrowolnych datków, subwencyi i składek uczestników Kongresu. Tym będą wydawane karty wstępne; karta za 10 koron upoważnia do wstępu na wszystkie zebrania i właściciel otrzymuje oprócz tego odznakę, przewodnik po Wiedniu i illustrowaną księgę pamiątkową; karta za 6 koron upoważnia do wstępu na zebrania, do odznaki i przewodnika, za 2 korony do wstępu na zebrania w ciągu jednego dnia podług wyboru. Oddzielne grupy uczestników będą miały zniżki na kolejach. Nieobecni mogą dostąpić łask Kongresu przez nadesłanie wkładki.

Katolicyzm w Anglii.

Żywą dyskusyę wywołało w ostatnim czasie twierdzenie anglikańskiego arcybiskupa i prymasa z Canterbury, że katolicyzm w Anglii po świetnych latach wzrostu zaczyna upadać. Opiera on swoje twierdzenie na statystyce

małżeństw, która wykazuje, że zawarcia małżeństw katolickich spadły z 4·8% w roku 1866 na 4·2% w roku 1909. Kardynał Bourne na bankiecie stowarzyszeń katolickich energiczny przeciw temu twierdzeniu założył protest — i słusznie. Statystyka bowiem małżeństw jest tylko dowodem pozornym i ubytek zawartych małżeństw katolickich jest zjawiskiem gospodarczem, związanem z drożyzną w Anglii. Ponieważ katolicy w Anglii po większej części należą do klas uboższych, nie łatwo im przychodzi założyć ognisko domowe. Anglikański zaś arcybiskup zupełnie przeoczył, że Kościół katolicki w Anglii rośnie przez zyskiwanie konwertytów. Statystycznie pewnem jest, że katolików w Anglii było w roku 1870 trochę mniej niż milion, z tych 750,000 Irlandczyków i 50,000 cudzoziemców. W roku 1910 liczono już 1.500,000 katolików. W tym czasie przeszło do Kościoła katolickiego 23 żon, 269 synów i 350 córek duchownych anglikańskich. Z szeregów szlachty naliczono 432, ze stanu oficerskiego 306, z klas wykształconych 1418 i z pomiędzy profesorów gimnazyalnych i uniwersyteckich 425 konwertytów. Stąd jasną jest rzeczą, że cyfra zawartych małżeństw katolickich nie daje dokładnego obrazu Kościoła w Anglii, katolicyzm mimo tej pozornej utraty dalej kroczy po drodze rozwoju i wzrostu.

Papieski instytut biblijny w Rzymie.

Wielkie zasługi i usilne starania Piusa X. na polu wewnętrznych reform kościelnych pozostaną na zawsze największą chlubą Jego pontyfikatu. Szczególnie cenną jest działalność Papieża odnosząca się do wykształcenia kleru. Szereg przepisów, tyczących się tego przedmiotu, pokazuje, jak doskonale Pius X. ocenia dzisiejsze zadania kleru i jak wielką wagę przywiązuje do gruntownego, dzisiejszym wymaganiom odpowiadającego wykształcenia. Troska o podniesienie wykształcenia kleru i o godność nauki katolickiej wywołała przed paru laty założenie Instytutu biblijnego w Rzymie. Po pierwszych latach organizacyjnych przeniósł się niedawno biblijny instytut papieski do własnego nowego zabudowania, które nowem jest świadectwem królewskiej hoj-

ności Piusa X. w celu popierania studyów. Wielka aula służyć ma dla posiedzeń, konferencyi i przedewszystkiem dla wykładów z świetlnymi obrazami. Obok auli znajde się bogate muzeum, zawierające wszystko, co do ilustracyi tekstu i historyi biblii posłużyć może. Biblioteka obejmuje szeroką salę o dwóch piętrach. Na półkach umieszczono już 20,000 tomów, miejsca zaś jest na 100,000. Cenna ta biblioteka odnosi się naturalnie tylko do nauk biblijnych. Liczba alumnów obecnie uczęszczających na wykłady instytutu, wynosi 135, należących do 25 różnych narodowości. Na czele ciała profesorskiego stoi znany O. Fonck T. J., dawniejszy profesor egzegezy w Innsbruku; trzech profesorów wykłada egzegezę, dwóch archeologię biblijną, geografię i historyę, pięciu objęło wykłady języków semickich, a dwóch paleografii. Oprócz kapłanów i kleryków także osoby świeckie w wykładach mogą brać udział po poprzedniem zgłoszeniu się u zarządu. Między profesorami instytutu znajduje się także Polak O. Władysław Szczepański T. J.

Ks. A. Starker.

Christliche Kunst.

Malarstwo, w przeciwieństwie do rzeźby i budownictwa, przedstawia nam formy, które mają tylko rzeczywistość względną. Właściwie malarstwo oszukuje nasze oko, gdyż wypukłości i wklęsłości, tworzące obraz, są jednak na jednej i tej samej powierzchni i tylko przez sztukę, kombinującą efekty światła i cienia, dają nam wrażenie formy, — jednocześnie zaś zmieniając układ linij i proporcye wielkości, dają wrażenie odległości. Perspektywa więc i kolor są to dwa życiodajne pierwiastki malarstwa. Kolor odróżnia przedmioty od przedmiotów, — perspektywa stawia je na właściwem miejscu. Rysunek sam zaś jest tylko wynikiem różnicy zabarwień. Jest to linia idealna, za pomocą której powierzchnie zabarwione odgraniczają się wzajemnie.

Można więc powiedzieć, że rysunek w malarstwie jest tem, czem takt w muzyce — niczem więcej. Czemże jest takt bez dźwięku?

Próżnią, niemożliwością. Miara jest granicą dźwięku, podobnie jak rysunek — granicą barwy, którą powierzchownie uwidoczniają się,

Na barwę w malarstwie musimy się jednak zapatrywać z dwóch punktów widzenia — strona światło-cieniowa i — kolorytowa. Rozkład światła i cienia, sztuka oświetlania obrazu, stanowi jedną z najważniejszych części malarstwa. Rembrandt H. van Rhyn był jej mistrzem. On w swych dziełach — wszystko osnuwa, wszystko pogrąża w falach cienia, nawet światło wlewa w ciemność, by potem je wydobyć i dać wrażenie dalszego, promienniejszego. On obraca fale ciemne naokół ognisk świetlanych, cieniuje je, czyni je już-to rzadszemi, już-to gęstszemi, — stwarza mimo to ciemność przeźroczystą, półciemność łatwą do przeniknięcia. Daje nakoniec, nawet najsilniejszym barwom rodzaj przepuszczalności, która im nie pozwala wpadać w kolor czarny. I widzimy w jego obrazach wyniki tego sposobu widzenia, czucia i wyobrażania rzeczy.

Życie już nie ma tej samej postaci. Kontury się rozlewają, kolory — ulatniają. Obraz, wyzwolony ze sztywnych konturów, staje się bardziej niepewnym w swych rysach, bardziej falistym powierzchni, — i, gdy nad nim panuje ręka umiejętna, z poczuciem artystycznem, jest on najżywszy i najrealniejszy, zawierając tysiące odcieni, tysiące tonów najsubtelniejszych, dzięki którym żyje, jakby życiem podwójnem — życiem natury i życiem — wzruszenia.

Też sposób wydrążania płótna, oddalania i zbliżania powierzchni, — maskowania, uwydatniania i zlewania prawdy w wyobraźni, należy do sztuki światłocieniowej. Światłocień to daje modelacyę i wraz z perspektywą określa plany obrazu. Oto, dlaczego tak trudno modelować w pełni światła. W tym wypadku — stopniowanie światła i cienia są tak mało odczuwalne, że tylko wyćwiczone oko malarza rozróżnia je, przy pomocy subtelnego odczuwania wartości kolorów. Oko zaś publiczności, patrząc na żywo oświetloną przestrzeń, ma wrażenie jedynie powierzchni zupełnie gładkiej. I dlatego nieraz zdumieni jesteśmy pięknością i odczuciem natury w obrazach mistrzów szkoły *plein-air*'u, która sobie ten problem postawiła i świetnie rozwiązuje.

Na wystawie *Christliche Kunst* czuć przedświąteczną atmosferę. Więcej tą razą zwraca uwagę ilość, a nie jakość przedstawionych prac. Obliczono na szerszą publiczność, która w tym czasie uczęszcza na wystawy głównie w celu zakupna świątecznych prezentów.

Z tej jednak masy wybitnie się odróżniają prace Wilhelma Steinhausena, profesora z Frankfurtu, który wystąpił z kilkunastu obrazami z różnych czasów swej artystycznej działalności. We wszystkich tych pracach uderza głębia wewnętrzna religijnej treści, prócz naturalnie paru przepysznych pejzażów i portretów, którymi chciał więcej błysnąć wobec artystycznej braci.

Steinhausen prawie we wszystkich religijnych obrazach unika okolicznościowych etnograficznych, architektonicznych i pejsażowych akcessoryów i tła. U niego koncentruje się głównie wewnętrzna, duchowa siła z artystyczną. Głębia wyrazu duszy w religijnych scenach, które on przedstawia, jest u niego jedynym celem i zadaniem jego malarstwa. Jednakże muszę zaznaczyć, że nie zawsze ta głębia duchowa szczęśliwie się łączy z jego stylem i kolorytem. Nierazby się chciało widzieć więcej intensywną barwę, więcej świeże i soczyste kolory. Szczególnie mdły ton uderza w niektórych dawniejszych jego pracach. W nowszych zaś jego obrazach spotykamy często ogromne bogactwo jego palety i silne odczucie kolorów, które i na dzisiejsze wymagania kompletnie wystarczyć mogą.

Prawie we wszystkich pracach Steinhausen umie nadać miękki i miły *Stimmung*, unikając ostrych konturów i silnych świateł. Wogóle jego prace robią wrażenie, jak gdyby przez wszystkie kolory przeciągniętą była lekka zasłona i tym sposobem wydobywa nieraz dziwnie miłe dla oka wrażenie. To tylko silny malarski talent może się zdobyć na takie tajemnicze wdzięki w swych obrazach.

Dość duże płótno — *Heilige Nacht* pociąga ku sobie oczy patrzących głębią wyrazu dusz w twarzach Najświętszej, Dzieciątka Jezus i Świętego Józefa.

Pokój panował w Judei, jak i wszędzie.

August uśmierzył w Rzymie wszystkie bunty, — w świecie — wszystkie powstania.

Wojny, jedynie głośne wypadki w starożytności, zamilkają wszędzie, ponieważ zapowiedziano, że w chwili przyjścia Chrystusa — ziemia będzie w pokoju..

W Rzymie — Wirgili i Horacy śpiewają u stóp tryumfującego Augusta i Tyberyusza, — w Judei, ponad ubożuchnym żłóbkiem, w którym spoczywać za chwilę ma nowonarodzone Dzieciątko, głosy niebieskie, przez kilku pasterzy słyszane tylko, mają zaśpiewać streszczenie wiekuistej Ewangelii: Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Uroczysta chwila dla całej natury!!...

Jak słońce wydaje swe światło, jak kwiat wydaje swą woń — Najświętsza — z dziewiczych swych wnętrzności — wydała dzieciątko... tajemnica godna narodzin Boga!...

Oto leży w żłóbku — zarazem jest i w Niebie. Owinięty w pieluchy — odbiera cześć potęg niebieskich!...

Bóg i człowiek, to jest siła i słabość, pokora i majestat; — sprzedany i Odkupiciel, — przybity do krzyża — i dający Niebo...

Dzieciątko, po raz pierwszy ludzkiemi oczyma, patrzy w oczy Maryi... A jak patrzy, to dusza tylko Steinhausena mogła odczuć, a ręka mistrzowska oddać to bosko-ludzkie spojrzenie...

Marya — łzą tylko odpowiada, czując matczynem sercem dramat przyszłości... spełnienie proroctw nad Jej dzieciątkiem!...

Dusza ludzka Jezusa czuje potrzebę powitania i swego Ojca — na ziemi — Józefa. Wyciąga jedną rączkę, którą chciwie do ust przytula święty Józef, — ten Józef cichy i łagodny, ubogi i maluczki, uległy i posłuszny, a jednak zarazem i niezdobyta forteca, poza którą kryje się — honor Maryi i życie tego Dzieciątka...

Steinhausen, w swej kompozycyi, nie chciał rozpraszać naszej uwagi akcessoryami. Skoncentrował wszystkie uczucia patrzącego na te trzy postacie — Jezus, Marya, Józef! Trzy królestwa Boże, których Bóg — sam jest królem! Trzy stworzenia, których Stwórca — sam jest jednym z tych stworzeń! Trzy osoby w cudownej jedności przez miłość — trójca ziemska!... Stojąc przed tym obrazem i patrząc w te twarze, właściwiej — dusze, wywołane artyzmem Steinhausena, nie zwracamy już uwagi, ani na brawurę, z jaką jest ten obraz malowany, ani na ciekawy światłocień, ani na subtelność tonów i barw... Steinhausen dopiął jednak swego celu — nas zajęła tylko głębia religijnej treści, którąśmy odczuli, jak artysta mógł sobie tylko życzyć!

Mniej szczęśliwym jest H. Mathis swym obrazem tejże treści, *Geburt Christi*. W kompozycyi — zanadto banalny, — powiedziałbym, kopia znanych obrazków z książek do nabożeństwa dla młodszej braci. Oryginalne chyba — bezmyślna głowa osiołka, patrzącego jednocześnie z Najświętszą do żłóbka. Co do rysunku, to w niektórych miejscach tak nieudolny, że się aż dziwić trzeba, że artysta sam tego nie spostrzegł. Widocznie się śpieszył na przedświąteczną wystawę w nadziei, że ten osiołek przyniesie mu złoto... Jedno muszę podnieść w tej pracy, by być sprawiedliwym, to —

światłocień. Przepyszna, znakomita! Prawda, czuć, że Mathis zapatrzył się w Eug. Carriére'a, przesiąkł nim do tego stopnia, że może się to już stało jego własną naturą. W każdym razie, wybrał sobie, co mógł był najświetniejszego i odpowiadającego jego własnej naturze. Carriére bowiem zajmuje w sztuce współczesnej miejsce osobne, swój fotel prywatny na Olimpie — i swoją batutę na koncercie sztuki wszechświata! Brak u Mathisa tylko „indywidualności" Carriére'a, lecz, jako młody malarz, ma czas jeszcze przed sobą i razem ze stylem — może się jeszcze rozwinąć.

W tym obrazie Mathis ześrodkował główne światło na Dzieciątku, rozlał je po całym akcie bardzo umiejętnie, bardzo malowniczo gdzieniegdzie rzucił cienie.

Głowa Najświętszej jest dobrze obmyślaną, pod względem refleksów padających od światła dziecka, — czuć, że z modelu pracował. Fatalnie jednak w skróceniu narysowana ta głowa! Gdy górna część tej głowy jest pochyłą do nosa i dobrą w skróceniu, — od nosa do końca brody — prostopadłą! Nie rozumiem wprost, jak mógł taki błąd się wkraść, bo przecież cała głowa musiała być wprzód podmalowaną. Widocznie modelka znużyła się trzymać schyloną głowę, a artysta, nie spostrzegłszy tego, malował dalej, psując rysunek szkicu, — oko się przyzwyczaiło i — poszło na wystawę, jako dobre.

Święty Józef, w głębi stojący, też jakoś mi nie wyraźnie stoi. Nie czuję, według form i linij, aktu pod fałdami płaszcza i czy figura stoi na lewej, czy też na prawej nodze, — czy też może jednocześnie na obu razem? Wrażenie to robi jedynie brak pod fałdami tego płaszcza, jak powiedziałem, aktu i z tego powodu ten płaszcz wygląda, jak gdyby wisiał już nawet nie na manekinie, lecz wprost na wieszałce.

Wogóle, w tym obrazie Mathisa, widać tylko to dobrem, a nawet pysznem, co od talentu zależnem było, — pracy zaś ani śladu, czuć, że artysta czasu na to nie miał.

Że Gaston Latouche, swojemi kompozycyami nieraz silne wrażenie robi, właśnie, głównie interpretacyą modernistyczną Nowego Testamentu, tośmy do tego przyzwyczajeni. Jego dzisiejsze Magdaleny, z całym przepychem nowożytnych tualet, korzące się u stóp Chrystusa — nieraz podziwialiśmy, i nieraz, patrząc na dobrotliwą boskoludzką twarz Jezusa, przeżyliśmy chwile prawdziwie artystyczne z odcieniem wzniosłych uczuć religijnych.

Wystawiony obecnie w *Christliche Kunst*, obraz jego *Ver-*

suchung, pomimo całego mistrzowstwa Latouche'a w traktowaniu szczegółów, charakterystyki, wyrazu twarzy i masy różnych czysto malarskich zalet i piękności, pomimo tego wszystkiego, całość robi wrażenie niesmaczne, przykre, i wolałbym, by artysta tego obrazu był nie malował, albo też zostawił w pracowni.

Śledząc jednak prace Gastona Latouche, można było się spodziewać, że taki obraz musi wyjść z jego atelier. Latouche, zanadto się rozkochał w szczegółach kobiecej tualety, — maluje je, jak mało kto, — wydobywa swą szaloną techniką, wprawą w tych rzeczach, takie piękności, że człowiek stoi przed niemi, jak odurzony całą tą poezyą w materyi, koronkach, gazach, kolorach! Tu jest cała ich symfonia!... I to — mści się dziś na nim, zabija obraz jego — *Versuchung*.

Zakonnik, ascetyczna twarz, przy jakimś stole, siedzi w celi na zydelku. Studyuje z olbrzymich ksiąg Ojców Kościoła. Przed nim — krucyfiks i czaszka ludzka — *Memento mori*. W głębi — Chrystus z obrazu patrzy na młodego Lewitę, błogosławiąc mu. Wtem ucho mnicha słyszy jakiś dziwny szelest — materyi, jedwabiu, koronek — nieznany w klasztorze, drażniący jego nerwy. Chwyta w rozpaczy za krucyfiks, wpatrując się szalonym wzrokiem w Mękę Chrystusa i szukając w Niej siłę do walki strasznej, która w tej chwili nastąpi... Czaszka zlatuje ze stołu, kapiszon — z głowy. Ręka z krzyżem silnie wyciągnięta przed siebie, oparta na stole, nie ugina się pod ciężarem kobiety, przechylającej się przez nią, by spotkać wzrok zakonnika i zasłonić mu swą głową — Zbawiciela. Mnich, na wpół owinięty trenem balowej sukni — najprzepyszniejszemi koronkami różnych *soujupes*, których całą malowniczość jeszcze przepyszna światłocień podnosi — ani drgnie. Mięśnie w twarzy, zdradzają tylko walkę wewnętrzną, z której widać, że zakonnik z tryumfem wyjdzie, bo ściągnienie ustnych mięśni — *triangulaire* tak silne, tak energiczne, że już nie pogarda, lecz tylko aż wstręt wywołać ten skurcz musiał.

Przepyszna głowa, przepyszny wyraz twarzy!... i ona to w kompozycyi powinna była ześrodkowywać uwagę patrzącego. Stało się inaczej. Główne, co oczy pociąga na pierwsze spojrzenie, — czem wzrok się rozkoszuje i nie myśli się oderwać, by spojrzeć w głębię, w duszę tego obrazu, — to, w czem już czujemy dzieło sztuki, które nas już rozmarza i sentymentalnym robi, to jest to, co powinno znikać wobec twarzy zakonnika i być tylko akcessoryami, dopeł-

niającemi i uplastyczniającemi główną myśl i intencyę autora. Blask, przepych tualety, nieporównane efekta światła i cieni na niej, wirtuozostwo techniki i brawura pędzla, — cała orgia kolorów w biżuteryach, w materyach, koronkach, illuzyach, kwiatach i wszystkich kobiecych tra-la-la — zabiją w obrazie zakonnika, którego i tak, z powodu ułożenia postaci w kompozycyi, prawie nie widać!!

Jeżeli to Latouche'a było celem, zadaniem, problemem kompozycyjnym — to dopiął swego celu. Jakaś panna, patrząc przy mnie na obraz, do swej matki szepnęła: *Mütterchen, möchte solche soujupes haben.* Latouche może tryumfować — zakonnika nie widziała!

Przed rokiem zawiązała się w Monachium niewielka grupa artystyczna, pod nazwą *Autonomen*. Dźwięczy ta nazwa może trochę dziwnie, może pretensyonalnie, tembardziej, że pod względem zewnętrznym chodzi im tylko o to, by na wystawach większych korporacyi malarskich, mieć swój własny samorząd, swe własne *Jury*. Co zaś do programu artystycznego, zamiarów i celów towarzystwa, to sądząc z prac członków jego, można tylko zauważyć tendencyę — postępowym i *modern*-ideom i pojęciom w sztuce — pomódz do zwycięstwa.

I rzeczywiście, wyjątkowo *modern* przedstawiają się prace tych stowarzyszonych. Jeden z nich, A. Fricke, bodaj czy nie najoryginalniejszy duch w tej korporacyi, przysłał do *Christliche Kunst* kilka swych pejsażów. Jego miękki sposób malowania ma rzeczywiście coś dziwnie usidlającego. Jego śmiałe, świeże, nieraz może za pstre tony, dźwięczą w jego pracach kompletnie oryginalną harmonią i wywołują dziwnie orzeźwiające uczucie w patrzącym, pomimo całego czaru i wdzięku malowniczego, który strasznie rozpoetyzowuje i rozmarza. Pejzaże jego — głównie widoki i motywa z Ziemi Świętej, gdzie artysta spędził blizko roku w ostatnich czasach.

Największa z jego czterech prac, przedstawia Dolinę Jozafatową, którą, zdaniem niektórych kommentatorów, prorok Joel oznacza jako miejsce sądu ostatecznego. Że ta dolina nie jest oddaną z fotograficzną wiernością, to można ręczyć, — zresztą artyście z pewnością nie chodziło robić konkurencyę amatorom-fotografom, których pełno w Ziemi Świętej z narzeczem angielskiem.

Moje wrażenie tego pejzażu — zupełnie inne. Artyście chodziło głównie, na podstawie topograficznej, mniej więcej, wierności, stworzyć nam wizerunek doliny — czysto duchowy, właśnie — na podstawie proroctwa Joela. Patrząc na ten pejzaż, choć nie jest zaludnionym

i niema na nim milionów ciał, lecz widzimy i czujemy zarysowane miejsca dla nich, — prawie możemy wskazać, gdzie i jakie grupy ludzkie staną. Wpatrując się w tę dolinę — zda się za chwilę ozwie się trąba ostateczna... „Wynijdź, Łazarzu! Prochu rodu ludzkiego, odżyj!"... zawoła Pan. I z pod tych wszystkich tysiącznych kamieni, wiekami naleciałych z otaczających gór, jak z pod płyt grobowych — wstanie proch ludzki, na zmartwychwstanie żywota — nagrody, lub zmartwychwstanie sądu — kary. A tam, nad tą górą, gdzie olbrzymia światłość bije wschodzącego słońca, że oczy zmrużyć potrzeba — w chwale zasiądzie — Chrystus...

To nie jest fantazya artysty, to się widzi i czuje w obrazie, bo A. Fricke każdemu krzakowi, każdemu drzewku, każdej grudce piasku nadał jakiś dziwny charakter, jakiś dziwny wyraz — prawie duszę pojedyńczych ludzi lub całych grup i tłumów. Tam drzewa wyglądają, jak gdyby wznosiły ramiona błagające do tego wschodzącego słońca, — a te pagórki, jak gdyby korzyły się i uginały głowy przed majestatem jego...

Pomimo całego czaru poezyi, wprost buchającej na widza z tego obrazu, czuć, że natura szalenie jest odczutą przez artystę i prawie widać, jak przy wschodzącem słońcu z listków spada rosa, jak łzy ludzkie! W tej pracy — czuć duszę samego autora i to rozmarzoną poezyą religijną, wiejącą w Ziemi Świętej. O nim, o tym artyście, który tyle duszy umiał wlać w tę dolinę Jozafatową, muszę powiedzieć ze szwedzką poetką — Ellen Key: *C'est une âme, qui a appris à entendre les mille voix de la nature, à écouter la musique de sa propre âme et de celle des autres.*

Maryan Strzembosz.

Konkursy Akademii Umiejętności w Krakowie.

Akademia Umiejętności w Krakowie przypomina dawniejsze, względnie ogłasza nowe konkursy.

1. **Konkurs z zapisu ś. p. jenerała Oktawiusza Augustynowicza.**

„Dzieje zniesienia zależności poddańczej i uwłaszczenia włościan w krajach, które niegdyś w skład byłej Rzeczypospolitej Polskiej wchodziły, poprzedzone historycznym poglądem na wytworzenie się klasy

włościańskiej w dawnej Polsce, jej rozwój i stopniowy upadek, z uwzględnieniem wszelkich objawów tak w literaturze naszej, jak i w samem społeczeństwie, mających na celu polepszenie losu tej klasy".

Temat powyższy rozdziela się na następujących pięć części:

1) Dzieje ludności włościańskiej w dawnej Polsce Piastowskiej, mianowicie w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu, Kujawach i na Śląsku;

2) Dzieje ludności włościańskiej na Rusi i Litwie;

3) Dzieje zniesienia zależności poddańczej w krajach byłej Rzeczypospolitej, przyłączonych do Cesarstwa rosyjskiego z uwzględnieniem także Inflant i Kurlandyi;

4) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Królestwa pruskiego, mianowicie w Prusach Królewskich i w W. Ks. Poznańskiem; wreszcie

5) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Cesarstwa austryackiego.

W części czwartej i piątej należy uwzględnić także Śląsk jako integralną część Polski Piastowskiej.

W części pierwszej i drugiej, obejmującej historyę ludności wieśniaczej w dawnej Polsce, winny być dokładnie wyjaśnione fakty, z których wywiązała się zależność poddańcza, oraz stosunek wieśniaka do gruntu przezeń posiadanego, jaki istniał pierwiastkowo. Literaturę, odnoszącą się do kwestyi rozwiązania i uregulowania stosunków włościańskich, należy uwzględnić w trzech ostatnich częściach.

Temat powyższy może być opracowany bądź w całości, bądź też każda część osobno. Jednolite opracowania, bądź całego tematu, bądź też pierwszych dwóch lub trzech ostatnich części razem, przedewszystkiem zaś pierwszych dwóch razem, będą mieć pierwszeństwo do nagrody przed równie dobremi opracowaniami osobnemi pojedynczych części.

Za najlepsze opracowania uznane będą tylko takie, które nie tylko celować będą między innemi pracami nadesłanemi, ale nadto będą odpowiadać dzisiejszym wymaganiom nauki.

Nagrody ustanawia się, jak następuje:

a) za część 1 i 2-gą po 2.000 koron:

b) za część 3-cią 3.200 koron;

c) za część 4-tą 2.400 koron;

d) za część 5-tą 2.800 koron.

Nagrodzone opracowania winny być ogłoszone drukiem. Na ten cel przeznacza się fundusz 2.600 koron; gdyby ten fundusz nie wystarczał na pokrycie kosztów druku, autorowie winni pokryć nadwyżkę ze swego w stosunku do objętości swoich prac.

Opracowania należy nadsyłać do Akademii Umiejętności najdalej do końca grudnia 1912. (Nr. Dz. pod. 60/10, 35/12).

2. Akademia Umiejętności ogłasza **konkurs im. Lindego.**

Do konkursu tego dopuszcza się prace z zakresu języka polskiego a mianowicie: prace leksykograficzne z zakresu gramatyki, historyi języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi, mogące w jakibądź sposób służyć za dopełnienie Słownika Lindego. Prace te mogą być według aktu fundacyi, drukowane lub też w rękopisie nadesłane do Akademii; powinny odznaczać się metodą ściśle naukową i każda ma stanowić zaokrągloną i skończoną całość.

Nagroda 675 rubli.

Termin konkursu upływa 31 grudnia 1912. (Nr. Dz. pod. 61/10).

3. Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem **konkurs im. Józefa Majera** na następujący temat:

„Stosunki mineralogiczno-petrograficzne północnego trzonu Tatr".

Nagroda wynosi 2.000 koron.

Termin konkursu upływa 31 grudnia 1913 r. (Nr. Dz. pod. 96/12).

4. Akademia Umiejętności ogłasza niniejszem **konkurs im. Mikołaja Kopernika,** a mianowicie:

„Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic Ziem Polskich, albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonii zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska, z klimatem rodzinnym".

Nagroda wynosi 1.200 koron.

Termin konkursu 31 grudnia 1913. (Nr. Dz. pod. 388/07, 98/08 i 410/09).

Autor pracy uwieńczonej nagrodą zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku od wypłacenia mu nagrody pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii.

Zarówno autor, jak i Akademia, składają po cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie miasta Krakowa.

6. Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem **konkurs im. Juliana Ursyna Niemcewicza** na trzy następujące tematy:

1) „*Historya ustroju Królestwa Kongresowego* (1815—1830)".

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1912 roku.

2) „*Historya obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI. i na początku XVII. w. w obrębie obranego terytoryum (co najmniej województwa Rzeczypospolitej)*".

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1912 roku.

3) „*Monografia z dziejów Litwy albo Rusi w epoce aż do Unii lubelskiej*".

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1912 roku.

Nagrody mogą być podzielone na dwie, niekoniecznie równe części. (Nr. Dz. podaw. 2944/03, 120/08, 391/09, 63/10 i 36/12).

7. W celu uczczenia 60-letniego Jubileuszu Najjaśniejszego Cesarza Franciszka Józefa — Akademia Umiejętności w Krakowie rozpisuje niniejszem konkurs na napisanie **„Historyi Galicyi w okresie lat 1848—1908".**

Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1912.

Nagroda wynosi 1.200 koron; objętość dzieła conajmniej 20 arkuszy druku.

Akademia Umiejętności zastrzega sobie prawo własności nagrodzonego rękopisu. Po wydrukowaniu autor otrzyma jako honoraryum — oprócz nagrody — dalsze 1.200 koron.

Autor winien zwrócić przedewszystkiem uwagę na rozwój wewnętrznych stosunków Galicyi i wszechstronnie przedstawić wszystko, co w tym kierunku w czasie 60-letniego okresu do skutku przyszło.

Uczeni, zamierzający pracy tej podjąć się, mogą po bliższe informacye zgłaszać się do Sekretaryatu Generalnego Akademii (Nr. Dz. p. 338/08 i 37/12).

8) Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem **konkurs z fun. Ks. Adama Jakubowskiego** na następujące dwa tematy:

1) „*Historya ustroju Księstwa Warszawskiego*".

2) „*Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej*".

Nagroda wynosi 1.400 koron i może być podzielona na dwie, niekoniecznie równe części.

Termin konkursu 31 grudnia 1912. (Nr. Dz. pod. 121/08, 392/09, 64/10 i 38/12).

9) Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem **konkurs im. Czerwińskiego** na napisanie *„Historyi sztuki w Polsce"*. Warunki konkursu są następujące:

1. Historya sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie Ziemie dawnej Polski łącznie z Litwą i Rusią.

2. Powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę aż po koniec stylu empire.

3. Ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane.

4. Układ i rozmiary dzieła pozostawia się autorowi.

5. Fotografii ani rysunków autor nie jest obowiązany dołączyć do rękopisu.

6. Do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi.

7. Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1912 r.

Nagroda wynosi 1.000 rubli.

(Nr. Dz. p. 2828/04, 119/08, 390/09, 558/10 i 39/12).

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres a opatrzonej tem samem godłem.

Według § 18. Regulaminu Akademii wypłata wszelkich nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy uwieńczonej nagrodą.

Druk ukończono 20 marca 1912 r.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Hanza. Powieść z XV w. Wincenty Rapacki. („Ciekawe Powieści, Styczeń 1912) Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1912, str. 187.

Refleksye na tle podróży do Ziemi św. Ks. Dr. Stanisław Dutkiewicz. Nakł. autora, Tarnów 1912, str. 353.

Imć Pan Cześnikiewicz-Miniszewski. Aleksander Kraushar. Miscellanea historyczne. L. Nakł. „Przeglądu Narodowego" Warszawa 1912, str. 32.

Znaj pana. Nowele, Józef Weyssenhoff. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Kraków 1912. str. 167.

Obraz z niedoli chłopskiej. Dr. Ignacy Wróbel. Odb. z „Przyjaciela Ludu", Kraków 1911, str. 24.

Sprawozdanie szpitala Bonifratrów w Krakowie za rok 1911. Kraków 1912, str. 12 in 4-to.

Złote ziarna zebrane z pism X. Piotra Skargi. Wyd. Chyrowskiego Koła Towarzystwa im. P. Skargi. Chyrów 1912, str. 48 in 32-to.

Czyń mężnie a żyj. Józef Könn. Tłum. E. M. Wydanie Chyrowskiego Koła Towarzystwa im. P. Skargi . Chyrów 1912, str. 102 in 32-to.

Psychologia społeczna. Zygmunt Balicki. Nakł. autora z pomocą „Kasy im. Mianowskiego", Warszawa 1912. str. 617.

Jezus Chrystus wzorem i mistrzem kapłana. Rozmyślania dla kapłanów. Dr. Józef Sebastyan Pelczar, biskup przemyski. Nakł. księg. A. Juszyńskiego, Przemyśl 1912, tom III str. 215.

Złudzenia postępu. Jerzy Sorel, tłóm. E. Breiter. (Książnica naukowa i artystyczna). Gebethner i Ska. Kraków 1912, str. 367.

Pomysły filozoficzne w hymnach Rig-Vedy. Dr. Wojciech Marceli Gielecki. Nakł. autora, Kraków 1911, str. 152.

Stefan Czarniecki. Powieść histor. Michał Czajkowski. Nakł. „Biesiady literackiej", Warszawa 1912, t. I, str. 196.

Dzik. Komedya w 1 akcie. Aleksander Bisson, tłóm. Leon Idźkowski. (Teatr amatorski Nr. 104) Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1912. str. 54.

Parcelacya własności tabularnej w Galicyi. Dr. Tadeusz Brzeski. (Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, t. XXIII, zesz. II.) Nakładem Krajowego Biura Statystycznego, Lwów 1912, str. 43 in 4-to.

Co to jest choroba i na czem powinno polegać leczenie? [Dr. Stanisław Breyer. Odbitka z „Nowych horyzontów", Kraków 1912, str. 37.

Z powodu pewnego poglądu na rocznicę Skargi. Ks. Jan Pawelski- T. J. Odbitka z „Roli". Warszawa 1912, str. 23.

Kim jest Zygmunt Krasiński? Helena Rzepecka. Nakł. księg. św. Wojciecha, Poznań 1912 str. 64.

Wychowanie człowieka. Dr. Fr. W. Foerster. Nakł. Gebethnera i Wolffa Kraków—Warszawa. Zeszyt IV.

Polski Anti-Lukrecyusz. Tadeusz Sinko. Nakł. Akademii Umiejętności, Kraków 1911, str. 116.

Trzej poeci polsko-łacińscy z XIX. wieku. Tadeusz Sinko. Kraków 1911, str. 28.

Polski apologeta humanizmu z w. XVIII. Tadeusz Sinko. Nakł. Twa Filolo gicznego, Kraków, 1911, str. 15.

Jak organizować i prowadzić stowarzyszenia polskiej młodzieży rękodzielniczej i robotniczej. Ks. Mieczysław Kuznowicz T. J. Kraków 1911, str. 272.

Krvav list iz zgodovine ruskega sistema Preganjanje katoličanov na Ruskem. Sestavil Dr. Leop. Lénard. Lublana, str. 68.

I pieśń niech zapłacze. Eliza Orzeszkowa. („Ciekawe powieści" 1912, Nr. 2). Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1912, str. 167.

Irydion. Zygmunt Krasiński. (Wystawia na scenie B. Feller). Nakł. Gebethnera i Ski, Kraków 1912, str. 131.

Chopiniana. Ferdynand Hoesick. Tom I. Korespondencya Chopina. Nakł. ksieg. F. Hoesicka, Warszawa 1912, str. 469.

Wykięci. Tryptyk dramatyczny. Bronisław Minkowicz-Wysoczański. Nakł. H. Altenberga, Lwów 1912, str. 103.

Lehrbuch der Dogmatik. Dr. Bernhard Bartmann. Nakł. księg. Herdera, Fryburg 1912, str. XX+861.

Die Mysterien des Christentums. Dr. N. J. Scheeben, Dritte Auflage bearbeitet von Dr. Arnold Rademacher. Nakł. księg. Herdera, Fryburg 1912, str. XXIV+691.

Handbuch der allgemeinen Kirchengeschichte. Joseph Kard. Hergenrötter. Neu bearbeitet von Dr. Joh. P. Kirsch. I. Band. Nakł. księg. Herdera, Fryburg 1912, str. XIV+784.

Handbuch der Paramentik. Joseph Braun S. J. Nakł. księg. Herdera, Fryburg 1912, str. XII+291.

Das Missale als Betrachtungsbuch. Dr. Franz Xaver Reck. Nakł. Herdera, Fryburg 1912. tom V, str. VIII+451.

Die Allegorie des hohen Liedes. Romuald Munz O. S. B. Nakł. Herdera, Fryburg 1912, str. X+305.

Die katholischen Armen. Dr. Johann Bapt. Pierron. Nakł. księg. Herdera, Fryburg 1912, str. XV+182.

Anleitung zur Erteilung des Erstkommunikanten-Unterrichtes. Dr. Jakob Schmitt. Nakł. księg. Herdera, Fryburg 1911, str. XII+371.

Predigten. Alban Stolz. Nakł. Herdera, Fryburg 1912, t. III, str. X+532.

Höhenblicke, Festtags-Gedanken. K. A. Vögele. Nakł. księg. Herdera, Fryburg 1912, str. X+184.

Der Junge Priester. Herbert kard. Vaughan. Nakł. księg. Herdera, Fryburg 1912, Wyd. 2. str. XVI+345.

Leben und Lehre Jesu Christi. Betrachtungen für alle Tage. Nik. Avaneini S. J. Nakł. Herdera, Fryburg, 4 wyd. Tom I str. XXI+332. t. II str. XIV+386

Trost und Ermutigung im geistlichen Leben. Ludwig Blosius O. S. B. Nakł. Herdera, Fryburg 1911, str. XV+213.

Tabulae fontium traditionis christianae. Dr. J. Creusen S. J. Nakł. Herdera, Fryburg 1911, str. 8+VIII tabl.

Praelectiones dogmaticae. Christian Pesch. S. J. Tom IX. wyd. 3. Nakł. Herdera, Fryburg 1911, str. 436.

Skarga. Poezye. Jadwiga Podhorska. Nakł. Anczyca i Ski. Kraków 1912, str. 32.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Rok Skargi (1612—1912) Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*—9*
Na trzystolecie zgonu Skargi. Wiersz. Przez *Wiktora Gomulickiego.*	10*—12*
Wynik pierwszego konkursu Przeglądu Powszechnego na rocznicę Skargi.	1
Indywidualność Twórcza Skargi. Praca nagrodzona na konkursie *Przeglądu Powszechnego.* Przez *St. Miterę*	4 262 430
Charakter Skargi. Przez *prof. d-ra St. Windakiewicza*	50
Skarga i Bossuet. Na tle Kazań pogrzebowych. Przez *prof. St. Mondelskiego*	93
Skarga jako Hagiograf. Przez *prof. d-ra T. Grabowskiego*	110
Skarga jako tłumacz Pisma Świętego. Przez *ks. St. Okoniewskiego*	124
Skarga i Filalet. Przez *prof. d-ra Tretiaka*	136
Skarga i Batory. Przez *ks. J. Sygańskiego T. J.*	149
Z nieznanych listów Skargi.	161
Z powodu pewnego poglądu na rocznicę Skargi. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	162
Dziwne warunki rocznicy. Przez *Wincentego Kosiakiewicza*	177
W setną rocznicę Zygmunta Krasińskiego. Przez *Ludwika Hieronima hr. Morstina*	181
Krasiński w piśmiennictwach słowiańskich. Przez *Dr. Tad. Stan. Grabowskiego*	188 370
Nowe drogi rozwoju społeczno-ekonomicznego. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	199 411
Najnowsza metoda nauczania. Przez *K. Proczkównę*	212
Z powodu I wystawy współczesnej sztuki kościelnej w Krakowie. Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.*	225
Obecne położenie polityczne w Belgii. Przez *ks. Ch. Schoonjansa T. J.*	242

Po zamknięciu Wystawy Sztuki Kościelnej. Przez *ks. Józefa Tuszowskiego T. J.* 339
Królowa Jadwiga czyli xięga miłości. (Z pośmiertnej teki Deotymy.) 354
Kwestya drożyzny. Przez *prof. Dr. Wł. Czerkawskiego* 390

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Literatura i religia u żydów za czasów Chrystusa Pana. Ks. Dr. Stan. Trzeciak. *(Ks. J. Wasilewski)* 281
Z nowszych Monografii Historycznych. Dzieje Krakowa, Kl. Bąkowski; Brzeżany w czasach rzeczypospolitej polskiej. Dr. M. Maciszewski; Dzieje miasta Tarnowa, Dr. J. Leniek, Fr. Herzig i ks. Fr. Leśniak; Tarnów Leliwitów, Dr. J. Leniek; Archidyecezya lwowska na synodzie z r. 1641, ks. Fr. Szydelski; Arcybiskup Sierakowski i szkoły parafialne w archidyecezyi lwowskiej, tenże; Szkoła OO. Reformatów we Włocławku, ks. Stan. Chodyński. *(Ks. K. Konopka T. J.)* 288
Głos bólu. J. A. Herbaczewski. *(Ks. J. Urban T. J.)* 294
Konsekracya kościoła. Starożytność i znaczenie tego obrządu. Przepisy kościelne i wskazówki praktyczne. Ks. Karol Józef Fischer. *(Ks. J. Antoniewicz T. J.)* 452
Ludwik Bierkowski. Monografia Z ilustracyami. Adam Wrzosek. *(Aleksander Birkenmajer)* 453
Teorya mensuralna w polskiej literaturze muzycznej pierwszej połowy xvi w. Dr. A. Chybiński. *(Ks. W. Gieburowski)* 458

Z piśmiennictw obcych.

Z belletrystyki francuskiej. La faiblesse humaine, Paul Margueritte; Les yeux qui s'ouvrent, La neige sur les pas, H. Bordeau; Mon filleul, H. Lavedan. *(Teresa Wodzicka)* 296
L'action Populaire. *(Helena Skolimowska)* 464
Pelerinanes franciscains. Johann Joergensen *(Helena Skolimowska)* . . 467
Die Evangelien und die Evangelienkritik. Dr. Jakob Schäfer. *(Ks. L. Bolesławski T. J.)* 468
Was ist uns Christen die Bibel? Dr. Kapistran Romeis O. F. M. *(Ks. L. Bolesławski T. J.)*. 470

Zapiski bibliograficzne.

Charakter Skargi. Prof. Stan. Windakiewicz. *(J. P.)* 301
Świątobliwe Życie... Sienkiewiczowskiej. wydał ks. J. Gajkowski *(J. U.)* . . . 302
O Modernizmie, Ks. St. Miłkowski. Prawda, Fr. Brors T. J. Pragnienie Powrotu. Ks. W. Kalinowski. Gdzie Prawda? Prawdomir. *(J. U.)* 302
Nasz Dyletantyzm Religijny. Szcz. Jeleński. *(J. U.)* 304
Kwestya Robotnicza i dążności do jej, rozwiązania. Dr. Fr. Hitze *(Dr. A. B)*. 304
Archeologia biblijna. Ks. A. Lipiński. *(B. L.)* 304
Historya Świętа Starego Testamentu Ks. J. Kruszyński *(L. B.)* . . . 305

Świat Zwierząt J. Sosnowski. (*S. K.*) 305
Mariavitensekte K. Gajkowski (*J. U.*) 306
Geschichte der Oesterreichischen Revolution u. s. w. J. Helfert (*Z. O.*) 306
Der Menschliche Körper in Sage, Brauch und Sprichwort. K. Knortz (*J. K.*) 307
Der Verfasser Eliu-Reden. W. Posselt (*L. B.*) 307
Historye cudownych obrazów Najśw. Maryi Panny w Polsce. Zebrał ks. Alojzy Fridrich T. J. (*E. M.*) 470
Jana hr. Potockiego prace i zasługi naukowe. Skreślił Aleksander Brückner (*A. B.*) 471
W Kwestyi nienawiści rasowej. Mateusz Mieses (*Dr. A. B.*) 471
Ignacy Potocki. Przez Kazimierza Maryana Morawskiego. (*Dr. A. B.*) . . 471
Żywioł żydowski w Palestynie. Dr. Aleksander Hausmann (*A. B.*) . . 471
Włodzimierz Antonowicz. Dr. Rawita Gawroński. (*A. B.*) 472
Stanisław Worcell. Napisał Dr. Bolesław Limanowski. (*Dr. A. B.*) . . 472
Jezus Chrystus i kwestya społeczna. Fr. B. Peabody. (*B. W.*) 472
Ewangelia Eucharystyi. Ks. Pichenot (*J. A.*) 473
Sztuka Rymotwórcza Fr. Ks. Dmochowskiego. Ks. Dr. Ludwik Zalewski. (*A. Str.*) 474
Maurycy Mochnacki. Stanisław Szpotański. (*A. Str.*) 474
Współczesny dramat Polski. Herbert Sand. (*A. Str.*) 475
Katechetik. Dr. M. Gatterer S. J. (*H. W.*) 475
Praelectiones dogmaticae. Chr. Pesch S. J. (*S. J.*) 476
Die Welt, in der wir leben. Rudolf J. Meyer S. J. (*R. Th.*) 476
Arbeit und Armut Dr. Anton von Kostanecki. (*S. J.*) 476
Der einheimische Klerus in den Heidenländern. A. Huonder S. J. (*S. G.*) 476
Die Menschenopfer der alten Hebräer und der benachbarten Völker. Dr. F. Evar. Mader S. D. S. (*S. G.*) 476
Die Frauenfrage. Viktor Carhrein S. J. (*R. Th.*) 477
Die katolische Weltanschauung in ihren Grundlinien mit besonderer Berücksichtigung der Moral. V. Cathrein S. J. (*R. Th.*) . . . 477
Manuale juris ecclesiastici. D. Prümmer O. P. (*R. Th.*) 477
Lehrbuch des katolischen Kirchenrechts. Dr. J. B. Sägmüller. (*R. Th.*) 477
Christliche Symbole aus alter und neuer Zeit. Dr. Andreas Schmid (*R. Th.*) 477
A. Stolz: Bilder zur christkatolischen Glaubens und Sittenlehre K. Telch (*R. Th.*) 477
Gotteslob. P. Maurus Plattner O. S. (*R. Th.*) 477
Erzabt Placidus Wolter. P. Seb. von Oer. (*R. Th.*) 477
Die Erziehumg zur Keuschheit. Dr. Michael Gatterer S. J. u. Dr. Franz Krus S. J. (*J. M.*) 478
Die Epistel des hl. Jakobus. Dr. Johannes Evang Belser. (*B L.*) . . . 478
Institutiones Metaphysicae Specialis. Theologia naturalis. P. Stanislaus de Backer S. J. (*L. B.*) 478

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

LUTY.

Sprawy Kościoła: Polska Rada katolicka w Krakowie. — Kościół katolicki w Norwegii. — Widoki Kościoła katolickiego w Chinach. — Antykatolickie prądy w Bawaryi. — Nowe wyroki Kongregacyi Indeksu. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 308

Z NAUK PRZYRODNICZYCH; Komety z r. 1911. — Światło i elektryczność. — Postępy lotnictwa w r. 1911. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* . . . 315
W ODPOWIEDZI P. SOBIESKIEMU. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . . 330

MARZEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Ingres Księcia-biskupa krakowskiego Adama Sapiehy. — Kongres eucharystyczny we Wiedniu. — Katolicyzm w Anglii. — Papieski instytut biblijny w Rzymie. Przez *ks. A. Starkera T. J.* . . 480
CHRISTLICHE KUNST. Przez *Maryana Strzembosza* 484
KONKURSY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE 486